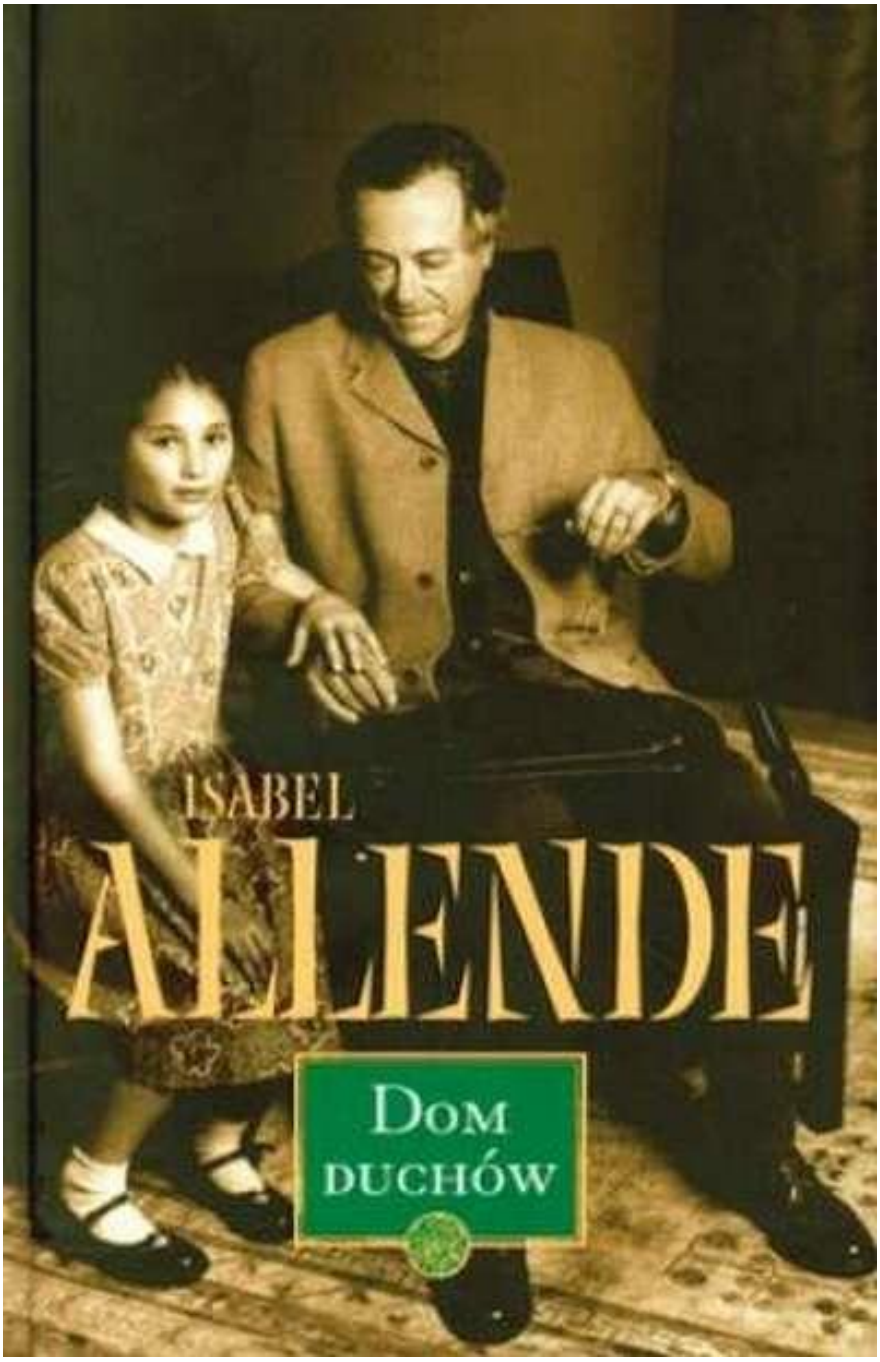

ISABEL ALLENDE

Dom Duchów

(tłum. Zbigniew Marcin Kowalewski)

Tytuł oryginału: La casa de los espiritus

Mojej matce, babce i innym niezwykłym kobietom ivystępującym w tej opowieści

I. A.

W końcu jak długo żyje człowiek? Żyje tysiąc lat czy tylko rok? Żyje tydzień czy kilka wieków? Na jak długo umiera człowiek? Co to znaczy na zawsze?

Pablo Neruda

PIĘKNA ROSA

Barrabas przyjechał do nas drogą morską, zapisała delikatną kaligrafią mała Clara. Już wówczas miała zwyczaj zapisywać rzeczy ważne, później zaś, gdy zaniemówiła, zapisywała również błahostki, nie podejrzewając, że w pięćdziesiąt lat później posłużę się jej zeszytami, by przywrócić pamięć o tamtej epoce i przetrwać czasy trwogi, które nadeszły. Barrabasa przywieziono w Wielki Czwartek. Siedział we wstrętnej klatce pokryty własnymi ekskrementami i moczem i spoglądał zagubionym wzrokiem nędznego i bezbronnego więźnia, lecz po królewskim sposobie trzymania łba i rozmiarach kości można było się domyślić, że wyrośnie na owego legendarnego giganta, jakim stał się później.

Rankiem tego dnia panowała senna, przypominająca jesień atmosfera, toteż nic nie zwiastowało wydarzeń, które opisała dziewczynka, aby nie poszły w niepamięć; miały one miejsce podczas sumy w kościele św. Sebastiana, w której wzięła udział wraz z całą rodziną. Figury świętych przykryto na znak żałoby fioletowymi płachtami, które jak co rok o tej porze dewotki powyciągały z szafy w zakrystii i odkurzyły, i pod żałobnymi prześcieradłami królestwo niebieskie wyglądało jak stos mebli przed przeprowadzką - tego żałosnego efektu nie mogły zrównoważyć ani świece i kadzidło, ani jęki organów. Zamiast pełnokształtnych świętych z identycznymi twarzami cierpiętników, w wyszukanych perukach z włosów zmarłych, rubinach, perłach, szmaragdach z malowanego szkła i strojach florenckiej szlachty, widać było sterczące groźnie ciemne, zamazane sylwetki. Jedynym, któremu żałoba wychodziła na korzyść, był patron kościoła, św. Sebastian, ponieważ podczas Wielkiego Tygodnia oszczędzano wiernym widoku jego nieprzyzwoicie wygiętego ciała, przeszytego pół tuzinem strzał, ociekającego krwią i łzami niczym cierpiący homoseksualista, którego rany, cudownie świeże dzięki pędzlowi ojca Restrepo, budziły w Clarze wstręt.

Był to długi tydzień skruchy i postu: nie grano w karty, nie słuchano muzyki, która mogłaby zachęcać do rozpusty lub sprzyjać zaniedbaniu, i na tyle, na ile było to możliwe, okazywano smutek i przestrzegano czystości, choć właśnie w tych dniach diabeł szczególnie natrętnie wodził słabe ciało katolickie na pokuszenie. Post polegał na spożywaniu delikatnych ciastek z ciasta francuskiego, smakowitych duszonych warzyw, puszystych placków kukurydzianych i wielkich serów przywiezionych ze wsi, którymi rodziny upamiętniały Mękę Pańską, wystrzegając się kosztowania nawet najmniejszego kawałka mięsa lub ryby pod groźbą ekskomuniki, przed którą ostrzegał ojciec Restrepo. Nikt nie odważyłby się okazać mu nieposłuszeństwa. Ksiądz był wyposażony w długi oskarżycielski palec, którym publicznie wskazywał grzeszników, i w język wyćwiczony w targaniu uczuciami wiernych.

- Ty złodzieju, który okradłeś Kościół! - krzyczał z ambony wskazując na młodzieńca usiłującego zasłonić twarz kołnierzem. - Ty bezwstydnico, która prostytuujesz się w dokach! - oskarżał zniedołężniałą, dręczoną artretyzmem i oddaną Matce Boskiej z Karmelu dońę Ester Truebę, która zaskoczona przecierała oczy, gdyż nawet nie znała znaczenia tego słowa ani nie wiedziała, gdzie znajdują się doki.

- Kajajcie się, grzesznicy, nieczysta padlino, niegodna ofiary Naszego Pana! Pośćcie! Okazujcie skruchę!

Kapłan musiał powściągać gorliwość, z jaką wypełniał swoje powołanie, aby nie okazać otwartego nieposłuszeństwa zwierzchnikom kościelnym, którzy uginając się przed wiatrami modernizmu byli przeciwni noszeniu włosiennicy pokutniczej i biczowaniu się. On sam był zwolennikiem garbowania skóry jako środka walki ze słabościami duszy. Słynął z rozpasanego krasomówstwa. Najwierniejsi chodzili za nim z parafii do parafii i pocili się słysząc, jak mówi o cierpieniach grzeszników w piekle, ciałach rozszarpywanych przez wymyślne maszyny do tortur, wiecznych ogniach, hakach, które przebijały członki męskie, obrzydliwych gadach, wchodzących w otwory kobiece, i o wielu innych rodzajach kaźni, którymi ubarwiał każde kazanie, by siać strach boży. Opisywał nawet najintymniejsze anomalie samego szatana, a wszystko to czynił z akcentem galisyjskim; jego misją kapłana na tym padole było potrząsanie sumieniami zobojętniałych Kreolów.

Severo del Valle był ateistą i masonem, lecz miał ambicje polityczne i nie mógł pozwolić sobie na luksus nieobecności na najbardziej uczęszczanych mszach w niedziele i święta kościelne. Jego żona Nivea wolała porozumiewać się z Bogiem bez pośredników, żywiła głęboką nieufność do osób w sutannach i nudziły ją opisy nieba, czyśćca i piekła, lecz towarzyszyła mężowi powodowanemu parlamentarnymi ambicjami, ponieważ miała nadzieję, że jeśli zasiądzie w Kongresie, to ona uzyska dla kobiet prawo głosu, o które walczyła od dziesięciu lat, nie tracąc animuszu mimo wielokrotnego zachodzenia w ciążę. W ten Wielki Czwartek ojciec Restrepo doprowadził słuchaczy swoimi apokaliptycznymi wizjami do granic wytrzymałości i

Nivea dostała mdłości. Zastanawiała się, czy znów nie jest w ciąży. Mimo podmywania się octem i gąbką nasączoną żółcią wydała na świat piętnaścioro dzieci, z których żyło jedenaścioro, i miała powody sądzić, że dochowała się już całego potomstwa, ponieważ najmłodsza córka, Clara, miała dziesięć lat. Wyglądało na to, że jej zdumiewająca płodność wytraca wreszcie impet. Skłonna była upatrywać przyczynę złego samopoczucia we fragmencie kazania ojca Restrepo, w którym wskazał na nią mówiąc o faryzeuszach chcących zalegalizować bękarty i śluby cywilne, spowodować rozkład rodziny, ojczyzny, własności i Kościoła, przyznać kobietom tę samą pozycję społeczną co mężczyznom i rzucić otwarte wyzwanie prawom boskim, które są w tej dziedzinie bardzo precyzyjne. Nivea i Severo zajmowali wraz z dziećmi cały trzeci rząd ławek. Clara siedziała obok matki, która z niecierpliwością ściskała jej rękę, ilekroć ksiądz rozwodził się zbytnio nad grzechami cielesnymi, ponieważ wiedziała, że pod wpływem jego wywodów mała skłonna jest tworzyć w swojej wyobraźni obrazy nawet najbardziej nieprawdopodobnych zboczeń, o czym świadczyły pytania, które zadawała i na które nikt nie umiał odpowiedzieć. Clara była przedwcześnie dojrzała i miała bujną wyobraźnię, którą wszystkie kobiety w rodzinie dziedziczyły po matkach. W kościele podniosła się temperatura i przenikliwy zapach świec, kadzidła i zbitego tłumu potęgował nudności. Nivea pragnęła, by uroczystość skończyła się wreszcie i by mogła wrócić do chłodnego

domu, usiąść w korytarzu między paprociami i delektować się popijaną z dzbana orszadą, którą Nana przygotowywała w dni świąteczne. Przyjrzała się dzieciom; najmłodsze były zmęczone, sztywne w niedzielnych strojach, a uwaga starszych zaczynała się rozpraszać. Jej wzrok padł na Rosę, najstarszą z żyjących córek, i jak zwykle doznała uczucia zaskoczenia.

Dziwna uroda Rosy miała w sobie coś niepokojącego, przed czym nawet ona nie mogła uciec; wydawała się ulepiona z innej niż rasa ludzka gliny. Nim Rosa przyszła na świat, Nivea wiedziała, że będzie to dziecko nie z tego świata, bo widywała je w snach, toteż nie zdziwiła się, gdy położna krzyknęła z wrażenia na widok noworodka. Rosa urodziła się biała, gładka, bez zmarszczek, jak fajansowa lalka, z zielonymi włosami i żółtymi oczyma i - jak powiedziała położna żegnając się znakiem krzyża - była najcudowniejszym stworzeniem, jakie pojawiło się na ziemi od czasów grzechu pierworodnego. Od pierwszej kąpieli Nana myła jej włosy wywarem z rumianku, co złagodziło ich barwę, nadając im odcień starego brązu, i kładła nagą na słońcu, aby wzmocnić skórę, która w najbardziej delikatnych okolicach brzucha i pod pachami była niemal przezroczysta, tak że widać było żyły i ukrytą tkankę mięśniową. Okazało się jednak, że te cygańskie wybiegi nie wystarczą, i szybko rozeszła się pogłoska, że oto urodził się anioł. Nivea miała nadzieję, że niewdzięczny okres dorastania przysporzy córce pewnych niedoskonałości, lecz nic takiego nie nastąpiło - przeciwnie, osiemnastoletnia Rosa nie przytyła i nie dostała pryszczy na twarzy, przybyło jej natomiast morskiego wdzięku. Miękki lazurowy połysk skóry, kolor włosów, powolność ruchów, ciche usposobienie przypominały mieszkańca wód. Było w niej coś z ryby i gdyby miała ogon pokryty łuską, byłaby w sposób oczywisty syreną, lecz fakt, że była dwunożna, sytuował ją na niewyraźnej granicy między postacią ludzką a mitologiczną. Mimo wszystko wiodła niemal normalny tryb życia, miała narzeczonego i należało się spodziewać, że pewnego dnia wyjdzie za mąż, a wówczas odpowiedzialność za jej urodę przejdzie w inne ręce. Rosa pochyliła głowę i promień słońca, który przeniknął przez gotyckie witraże kościoła, nadał jej profilowi świetlną obwódkę. Niektórzy z obecnych obejrzeli się i zaczęli szeptać między sobą, co zdarzało się często, gdy mijali Rosę, lecz ta zdawała się niczego nie dostrzegać; była odporna na próżność i tego dnia bardziej nieobecna duchem niż zwykle, gdyż wyobrażała sobie nowe gatunki bestii, które miała zamiar wyszyć na obrusie - pół-ptaki i półssaki pokryte piórami w kolorach tęczy, wyposażone w rogi i kopyta, stworzenia tak grube i o tak krótkich skrzydłach, że rzucały wyzwanie prawom biologii i aerodynamiki. Rzadko myślała o narzeczonym, Estebanie Truebie, nie dlatego że go nie kochała, lecz dlatego że była zapominalska oraz z powodu długiej rozłąki, która trwała już dwa lata. Esteban pracował w kopalniach na północy kraju. Pisywał do niej systematycznie i od czasu do czasu Rosa odpowiadała mu na listy wysyłając przepisane wiersze i rysunki kwiatów malowanych tuszem na pergaminie. Z owej korespondencji, której tajemnicę Nivea gwałciła regularnie, Rosa dowiedziała się, jak bardzo ryzykowny jest zawód górnika, nieustannie narażonego na zasypanie, uganiającego się za nieuchwytnymi złożami kruszcu, zabiegającego o kredyty na konto szczęśliwego zbiegu okoliczności, ufnego, że pojawi się cudowna złota żyła, która szybko pozwoli mu zbić fortunę i powrócić, a wtedy - jak pisał zawsze na końcu listów - będzie mógł zaprowadzić Rosę do ołtarza i stanie się najszczęśliwszym człowiekiem we wszechświecie. Lecz Rosie nie spieszyło się do zamążpójścia i prawie zapomniała o jedynym pocałunku, jaki wymienili na pożegnanie; nie pamiętała też koloru oczu upartego narzeczonego. Pod wpływem romantycznych powieści, które stanowiły jej jedyną lekturę, lubiła wyobrażać go sobie w butach z cholewami,

osmalonego pustynnym wiatrem, ryjącego ziemię w poszukiwaniu skarbów piratów lub zakopanych dublonów hiszpańskich i klejnotów inkaskich i nie odnosiły skutku żadne wyjaśnienia Nivei, która starała się ją przekonać, że bogactwo kopalń tkwi w kamieniach, bo Rosie wydawało się rzeczą niemożliwą, żeby Esteban zbierał tony skał w nadziei, iż poddane niegodziwym procesom krematoryjnym wyplują gram złota. Tymczasem czekała na niego nie nudząc się, niewzruszona w obliczu ogromnego zadania, które sobie postawiła: wyhaftowania największego na świecie obrusa.

Zaczęła od psów, kotów i motyli, lecz szybko jej dziełem zawładnęła fantazja i stopniowo pojawiał się raj, w którym żyły nieprawdopodobne bestie, rodzące się pod jej igłą na oczach zatroskanego ojca.

Severo uważał, że już czas, aby córka przebudziła się z letargu i zaczęła chodzić po ziemi, nauczyła się wykonywania niektórych czynności domowych i przysposobiła się do małżeństwa, ale Nivea nie podzielała jego niepokoju. Wolała nie zakłócać spokoju córki przyziemnymi wymaganiami, bo czuła, że Rosa jest istotą niebiańską, której nie jest pisane wytrwać długo w prostackim ruchu tego świata, i dlatego pozostawiała ją w spokoju wśród kłębków nici i nie miała zastrzeżeń do koszmarów ogrodu zoologicznego, który haftowała.

W gorsecie Nivei złamał się fiszbin i jego szpic wbił się jej między żebra. Czuła, że dusi się w sukni z niebieskiego aksamitu, że koronkowy kołnierz jest za wysoki, rękawy za wąskie, talia tak bardzo dopasowana, że gdy rozwiązywała pas, przez pół godziny, dopóki wnętrzności nie wróciły do normalnego położenia, cierpiała na kolkę w brzuchu. Często dyskutowała o tym z przyjaciółkami-sufrażystkami i razem doszły do wniosku, że dopóki kobiety nie obetną spódnic i włosów i nie zrzucą halek, dopóty nie będzie miało znaczenia, czy mogą studiować medycynę i głosować, bo nie będą do tego zdolne, lecz sama nie miała odwagi zrezygnować jako jedna z pierwszych z poddawania się wymogom mody. Zauważyła, że galisyjski głos przestał kuć młotem jej mózg. W kazaniu nastąpiła bowiem jedna z długich pauz, które ksiądz czynił często, świadomy efektu niezręcznej ciszy. W takich chwilach jego płonący wzrok przesuwał się po kolei po twarzach wszystkich parafian. Nivea wypuściła dłoń Clary i odszukała w rękawie chusteczkę, którą starła kroplę potu płynącą po szyi.

Cisza stała się gęsta, czas zdawał się stanąć w miejscu, ale nikt nie odważył się kaszlnąć lub zmienić pozycji w obawie, że zwróci na siebie uwagę ojca Restrepo. Ostatnie słowa jego kazania odbijały się jeszcze echem między kolumnami.

Jak wspominała po latach Nivea, w tej właśnie chwili, pośród trwogi i ciszy, dał się słyszeć bardzo wyraźnie głos małej Clary:

- Pst! Ojcze Restrepo! Gdyby bajka o piekle okazała się zwykłym kłamstwem, to dopiero wszyscy spieprzylibyśmy sprawę...

Palec wskazujący, który był już wzniesiony w górę i miał grozić nowymi kaźniami, zawisł jak parasol nad głową jezuity. Ludzie przestali oddychać, a ci, co drzemali, ocknęli się. Małżonkowie del Valle zareagowali jako pierwsi czując, że ogarnia ich panika, i widząc, że ich dzieci zaczynają wiercić się nerwowo. Severo zrozumiał, że powinien coś uczynić, nim wybuchnie zbiorowy śmiech lub dojdzie do jakiegoś niebiańskiego kataklizmu. Chwycił żonę pod ramię, a Clarę za kołnierz i długimi

krokami wypadł z kościoła ciągnąc je za sobą; za nim podążały pozostałe dzieci, które kupą rzuciły się ku drzwiom. Wyszli, nim ksiądz zdążył przywołać grom, który miał ich zamienić w słupy soli, lecz i tak za progiem usłyszeli jego straszny głos urażonego archanioła:

- Opętana przez diabła! Grzesząca pychą i opętana!

Słowa ojca Restrepo utkwiły rodzinie w pamięci jak groźna diagnoza i w ciągu następnych lat często je wspominano. Jedyną osobą, która nigdy nie myślała o nich, była sama Clara - odnotowała je w dzienniku, a potem puściła w niepamięć. Natomiast rodzice nie mogli ich zapomnieć, choć byli zgodni co do tego, że opętanie przez diabła i pycha to zbyt ciężkie grzechy jak na tak małą dziewczynkę. Bali się ludzkich złorzeczeń i fanatyzmu ojca Restrepo. Dotąd nie nadawali nazwy dziwactwom najmłodszej córki ani nie kojarzyli ich z wpływami szatańskimi. Brali je za cechę osobowości dziewczynki na takiej samej zasadzie, na jakiej utykanie uważali za cechę Luisa, a urodę za cechę Rosy. Siła zmysłów Clary nikomu nie przeszkadzała i nie powodowała poważniejszych nieporządków; przejawiała się prawie zawsze w mało ważnych dziedzinach i ujawniała wyłącznie w czterech ścianach domu rodzinnego. Czasami, w porze posiłku, gdy wszyscy siedzieli w wielkiej jadalni - każdy w miejscu ściśle określonym według kryteriów godności i władzy - nagle zaczynała wibrować solniczka i przesuwała się między kielichami i talerzami bez udziału jakichkolwiek znanych źródeł energii czy sztuczek iluzjonistów. Nivea szarpała wówczas Clarę za warkocz i w ten sposób sprawiała, że córka porzucała lunatyczne roztargnienie i przywracała normalne położenie solniczce, która nieruchomiała w jednej chwili. Gdy mieli gości, bracia zorganizowali się tak, że ten, który siedział najbliżej, uderzał dłonią w przedmiot poruszający się na stole, nim goście zdążyli zauważyć, co się dzieje, i poderwać się z wrażenia. Rodzina spożywała posiłek bez komentarzy. Przyzwyczajono się również do przepowiedni najmłodszej siostry. Z pewnym wyprzedzeniem ogłaszała trzęsienia ziemi, co było bardzo wygodne w tym kraju katastrof, bo pozwalało zabezpieczyć na czas serwis stołowy i trzymać w zasięgu ręki kapcie, w których nocą wybiegało się z domu. W wieku sześciu lat Clara przepowiedziała, że koń wyrzuci Luisa z siodła, ale ten nie chciał jej słuchać i w rezultacie miał zwichnięte biodro. Z biegiem czasu jego lewa noga stała się krótsza i musiał nosić specjalny but na grubej podeszwie, który sam sobie fabrykował. Tym razem Niveę ogarnął niepokój, lecz Nana uspokoiła ją mówiąc, że wiele dzieci lata jak muchy, tłumaczy sny i rozmawia z duchami, ale wszystkim to mija, gdy tracą niewinność.

- Niech pani poczeka, aż dziecko dorośnie - wyjaśniła. - Gdy tylko dostanie demonstracji, minie jej skłonność do poruszania mebli i przepowiadania nieszczęść.

Clara była ulubienicą Nany. Nana pomogła jej się urodzić i jako jedyna rozumiała naprawdę cudaczną naturę dziewczynki. Gdy Clara wyszła z brzucha matki, Nana ukołysała ją, umyła i odtąd kochała rozpaczliwie tę kruchą istotę z zaflegmionymi płucami, która w każdej chwili mogła stracić oddech i zsinieć i którą, gdy brakowało jej powietrza, musiała wielekroć ożywiać ciepłem swoich wielkich piersi, ponieważ wiedziała, że jest to jedyne lekarstwo na astmę - o wiele skuteczniejsze od alkoholizowanych syropów doktora Cuevasa.

W ten Wielki Czwartek Severo przechadzał się po salonie zatroskany z powodu skandalu, który córka wywołała podczas sumy. Argumentował, że w XX wieku -

wieku oświecenia, nauki i techniki, w którym pojęcie diabła zostało ostatecznie zdyskredytowane - tylko taki fanatyk, jak ojciec Restrepo, może wierzyć w opętanie. Nivea przerwała mu mówiąc, że nie o to chodzi. Niebezpieczeństwo polegało na tym, że jeśli wieść o wyczynach córki rozejdzie się na zewnątrz, a ksiądz zacznie badać sprawę, to wszyscy będą o tym rozprawiać.

- Ludzie zaczną przychodzić i oglądać ją jak jakieś dziwadło - rzekła Nivea.

- A partia liberalna pójdzie w cholerę - dodał Severo, który rozumiał, jaką szkodę może wyrządzić jego karierze politycznej to, że ma w swojej rodzinie osobę zaczarowaną.

Rozmawiali o tym, gdy weszła Nana szurając espadrylami i szeleszcząc nakrochmalonymi halkami i zawiadomiła, że na patio jest kilku mężczyzn, którzy wyładowują nieboszczyka. Tak było naprawdę. Wjechali wozem zaprzężonym w cztery konie, zajęli całe pierwsze patio, rozjechali kamelie i zapaprali końskimi odchodami lśniący bruk, po czym zatrzymali się w obłoku kurzu, wśród stukotu kopyt koni przebierających przednimi nogami i złorzeczeń przesądnych mężczyzn, którzy wymachiwali rękami usiłując odpędzić czary.

Przywieźli zwłoki wuja Marcosa z całym jego ekwipunkiem. W zgiełku wodził rej słodki jak miód człowieczek w czarnym surducie i za dużym kapeluszu; zaczął wygłaszać uroczystą mowę, by wyjaśnić okoliczności zgonu, ale Nivea przerwała mu brutalnie, rzucając się na zakurzoną trumnę, w której spoczywały szczątki jej najukochańszego brata. Nivea krzyczała, że mają otworzyć wieko, bo chce go zobaczyć na własne oczy. Już raz zdarzyło się jej pochować go, toteż wątpiła, czy i tym razem jego śmierć jest ostateczna. Krzyki Nivei ściągnęły całą liczną służbę domową i wszystkie dzieci, które przybiegły słysząc pośród żałobnych lamentów imię wuja.

Clara nie widziała wuja Marcosa od kilku lat, ale pamiętała go bardzo dobrze. Był to jedyny całkowicie wyraźny obraz z jej dzieciństwa i dla przywołania go nie musiała zerkać na wiszący w salonie dagerotyp, na którym widać go było w stroju podróżnika; podpierał się dubeltówką starego typu i trzymał prawą nogę na szyi malajskiego tygrysa; miał postawę równie tryumfalną jak ta, którą zauważyła u Matki Boskiej z głównego ołtarza, depczącej pokonanego diabła wśród gipsowych chmur i bladych aniołów. Wystarczyło, że Clara zamknęła oczy, a już widziała wuja w całej okazałości, zahartowanego w najsurowszych klimatach kuli ziemskiej, chudego, z wąsami flibustiera, między którymi w dziwnym uśmiechu błyszczały zęby jak u rekina.

Wydawało się niemożliwe, żeby spoczywał teraz w czarnej skrzyni stojącej na środku patio.

Każde odwiedziny Marcosa u jego siostry Nivei trwały kilka miesięcy, co wywoływało radość siostrzeńców, a w szczególności Clary, oraz burzę, w której zamazywały się horyzonty domowego ładu. Dom wypełniał się kuframi, zabalsamowanymi zwierzętami, strzałami indiańskimi, torbami marynarskimi. Co krok potrącano jakieś dziwaczne graty, zewsząd wyłaziły niesamowite robaki, które przywieziono tu z odległych lądów i które kończyły żywot bezlitośnie rozgniatane w każdym zakątku domu szczotką Nany. Jak mawiał Severo, wuj Marcos miał maniery ludożercy. Noce spędzał w salonie wykonując niezrozumiałe ruchy, które - jak się później okazało -

były ćwiczeniami doskonalącymi kontrolę umysłu nad ciałem i poprawiały trawienie. W kuchni robił doświadczenia z alchemii, wypełniając cały dom obłokami cuchnących dymów, i psuł garnki substancjami trwałymi, których nie można było oderwać od dna. Podczas gdy inni usiłowali spać, on przeciągał walizy po korytarzach, ćwiczył ostre dźwięki na barbarzyńskich instrumentach i uczył mówić po hiszpańsku papugę, której język ojczysty pochodził znad Amazonki. W ciągu dnia spał na hamaku rozwieszonym w korytarzu między dwiema kolumnami, nie mając na sobie nic prócz opaski na biodrach, co wprawiało Severa w zły humor, lecz Nivea usprawiedliwiała Marcosa, który przekonał ją, że w takim samym stroju nauczał Nazarejczyk. Clara, choć była wtedy bardzo mała, pamiętała doskonale, jak wuj Marcos po raz pierwszy przy-jechał do nich po powrocie z jednej ze swoich licznych podróży. Rozgościł się tak, jakby miał zamiar zamieszkać na stałe. Po krótkim czasie znudzony uczestniczeniem w panieńskich wieczorkach, na których pani domu grała na pianinie, grą w karty i ponagleniami ze strony wszystkich krewnych, żeby się ustatkował i podjął pracę aplikanta w kancelarii adwokackiej Severa del Valle, kupił sobie katarynkę i zaczął chodzić z nią po ulicach z zamiarem uwiedzenia kuzynki Antoniety, a przy okazji zabawiał publiczność muzyką na korbkę. Maszyna była tylko brudną skrzynią na kółkach, ale namalował na niej motywy marynarskie i doprawił imitację komina okrętowego. W rezultacie wyglądała na kuchnię opalaną węglem. Na katarynce grywał na przemian marsza wojskowego i walca, a między jednym a drugim obrotem korbki papuga, która nauczyła się hiszpańskiego, choć miała w dalszym ciągu obcy akcent, przyciągała publiczność ostrymi wrzaskami. Z pudełka wyciągała dziobem losy, które on sprzedawał gapiom. Różowe, zielone i niebieskie karteczki były tak pomysłowe, że zawsze trafiały w najskrytsze życzenia klienta. Poza losami handlował piłeczkami z trocin, które służyły dzieciom do zabawy, i proszkami przeciwdziałającymi impotencji, które sprzedawał porozumiewając się półgłosem z przechodniami cierpiącymi na tę dolegliwość.

Katarynka była ostatnią, rozpaczliwą próbą zwrócenia na siebie uwagi kuzynki Antoniety po fiasku innych, bardziej konwencjonalnych sposobów zabiegania o jej względy. Uważał, że żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie może pozostać obojętna na serenadę z katarynki. Wziął się więc do dzieła. O zmierzchu stanął pod jej oknem i w chwili gdy piła z przyjaciółkami herbatę, zagrał marsza wojskowego i walca. Antonieta udawała, że nie wie, iż to koncert na jej cześć, dopóki papuga nie zaczęła wywoływać jej po imieniu, i wtedy wychyliła się przez okno. Jej reakcja nie była zgodna z oczekiwaniami zakochanego w niej mężczyzny. Przyjaciółki rozpuściły wieść po wszystkich salonach w mieście i następnego dnia ludzie zaczęli spacerować śródmiejskimi ulicami w nadziei, że ujrzą szwagra Severa del Valle grającego na katarynce i sprzedającego piłeczki z trocin w towarzystwie zjedzonej przez mole papugi, i będą mieli przyjemność przekonać się na własne oczy, że nawet w najlepszych rodzinach jest czego się wstydzić. W obliczu hańby domowej Marcos musiał zrezygnować z katarynki i wybrać mniej rzucające się w oczy metody oczarowania kuzynki Antoniety, lecz nie przestał jej nękać. Mimo wszystko nie miał w końcu szczęścia, bo dziewczyna wyszła z dnia na dzień za dyplomatę, starszego od niej o dwadzieścia lat, a ten zabrał ją do jakiegoś tropikalnego kraju, którego nazwy nikt nie mógł zapamiętać, ale która kojarzyła się z czarnym kolorem skóry, bananami i palmami; uwolniła się tam od wspomnień o pretendencie, który swoim marszem wojskowym i walcem zrujnował jej życie, gdy miała siedemnaście lat.

Marcos popadł na dwa czy trzy dni w depresję, po czym oświadczył, że nigdy się nie ożeni i wybiera się w podróż dookoła świata. Katarynkę sprzedał jakiemuś ślepcowi,

a papugę zostawił w spadku Clarze, ale Nana otruła ją dużą dawką tranu, bo nie mogła znieść jej lubieżnego spojrzenia, pcheł oraz przeraźliwych wrzasków, którymi zachwalała losy, piłeczki z trocin i proszki na impotencję.

Była to najdłuższa podróż Marcosa. Wrócił z niej z ładunkiem ogromnych skrzyń, które do końca zimy zalegały na ostatnim patio, między kurnikiem a składem drewna. Wiosną przeniósł skrzynie do Parku Defilad, gdzie podczas świąt narodowych na rozległej przestrzeni gromadził się lud obserwując, jak wojsko maszeruje krokiem przejętym od Prusaków. Gdy otwarto skrzynie, okazało się, że są w nich drewniane i metalowe części oraz płachty malowanej tkaniny. Marcos montował to wszystko przez dwa tygodnie, zgodnie z instrukcjami zawartymi w podręczniku w języku angielskim, którego treść odszyfrowywał za pomocą swojej niezmożonej wyobraźni i słowniczka. Rezultatem tej pracy był ptak o rozmiarach prehistorycznych, który sprawiał wrażenie jakiegoś niesamowitego orła, był pomalowany z przodu i miał ruchome skrzydła, a na grzbiecie śmigło. Stwór ten wywołał poruszenie. Rodziny należące do oligarchii zapomniały o aferze z katarynką i Marcos stał się bohaterem sezonowych sensacji. Ludzie chodzili oglądać ptaka podczas niedzielnych spacerów, a sprzedawcy rozmaitych drobiazgów i wędrowni foto-grafowie robili wokół dobre interesy. Lecz wkrótce zainteresowanie publiczności zaczęło spadać. Wtedy Marcos ogłosił, że jak tylko się rozchmurzy, ma zamiar wznieść się na ptaku w powietrze i przelecieć nad górami. Wieść rozeszła się w ciągu paru godzin: było to najbardziej komentowane wydarzenie roku. Maszyna, ciężka i niezgrabna, leżała na brzuchu i bardziej przypominała rannego kaczora niż jeden z tych nowoczesnych aeroplanów, które zaczynano produkować w Ameryce Północnej. Nic w jej wyglądzie nie pozwalało mniemać, że może się poruszać, a już tym bardziej wzbić się w powietrze i przelecieć nad zaśnieżonymi górami. Dziennikarze i gapie stawili się tłumnie. Marcos uśmiechał się niezmiennie w odpowiedzi na lawinę pytań i pozował fotografom, nie udzielając żadnych wyjaśnień technicznych czy naukowych na temat tego, jak zamierza zrealizować swoje przedsięwzięcie. Aby obejrzeć widowisko, przyjeżdżano nawet z prowincji. W czterdzieści lat później Nicolas, syn jego siostrzenicy Clary, którego Marcos nie zdążył poznać, odgrzebał pomysł lotu, zawsze korcący mężczyzn jego pokroju. Nicolas miał zamiar uczynić to w celach komercyjnych, wznosząc się w ogromnej parówce wypełnionej gorącym powietrzem, na której wydrukowana była reklama napojów gazowanych. Jednakże w czasach, gdy Marcos zapowiedział swój lot aeroplanem, nikomu nie przychodziło do głowy, że taki pomysł może służyć jakimś celom utylitarnym. On robił to z zamiłowania do przygód. Dzień był pochmurny, ale Marcos rozbudził tak wielkie oczekiwania, że nie chciał odkładać lotu. Stawił się punktualnie i nawet nie rzucił okiem na niebo, które pokrywało się ciężkimi szarymi chmurami. Osłupiały tłum wypełnił wszystkie przyległe ulice, wspinano się na dachy i tłoczno było na balkonach okolicznych domów i w parku.

Żadna impreza polityczna nie zgromadziła tylu ludzi, dopóki w pół wieku później pierwszy kandydat marksistowski nie postanowił zabiegać w sposób całkowicie demokratyczny o fotel prezydencki. Clara zapamiętała ten świąteczny dzień na całe życie. Ludzie poubierali się wiosennie, wyprzedzając nieco oficjalną inaugurację sezonu, mężczyźni byli w białych lnianych garniturach, a damy miały kapelusze z włoskiej słomki, które tego roku robiły furorę. Przedefilowały z nauczycielami grupy uczniów, którzy wręczali bohaterowi kwiaty. Marcos przyjmował je mówiąc żartem, żeby poczekali, aż się rozbije, i zanieśli mu te kwiaty na cmentarz. Zjawił się we własnej osobie biskup z dwoma ministrantami, choć nikt go o to nie prosił, i poświęcił ptaka, a orkiestra żandarmerii zagrała wesoło i bezpretensjonalnie w ludowym

guście. Policja, na koniach i z lancami, miała trudności z utrzymaniem tłumu z dala od centrum parku, gdzie Marcos paradował w kombinezonie mechanika, wielkich okularach automobilisty i tropikalnym kasku. W podróż zabierał busolę, lunetę i dziwne mapy nawigacji powietrznej, które sam sporządził, opierając się na teoriach Leonarda da Vinci i wiedzy astralnej Inków. Wbrew wszelkiej logice już przy drugiej próbie ptak uniósł się bez trudu, a nawet z pewną elegancją, pośród zgrzytów szkieletu i rzężenia silnika. Odleciał machając skrzydłami i znikł w chmurach żegnany oklaskami, gwizdami, chusteczkami, flagami, biciem w bębny i wodą święconą. Na ziemi pozostały komentarze oczarowanego tłumu i ludzi bardziej wykształconych, którzy usiłowali wyjaśnić cud w sposób racjonalny. Clara długo wpatrywała się w niebo, gdy straciła wuja z oczu. W dziesięć minut później wydało się jej, że widzi go znowu, ale to tylko przeleciał wróbel. Po trzech dniach minęła euforia wywołana przez pierwszy w tym kraju lot aeroplanem i nikt już nie wspominał o wydarzeniu, z wyjątkiem Clary, która niestrudzenie wpatrywała się w niebo.

Po tygodniu, gdy nadal nie było wieści o latającym wuju, powstało przypuszczenie, że wzniósł się za wysoko i zaginął w przestrzeni międzygwiezdnej, a najwięksi ignoranci spekulowali, że może poleciał na Księżyc. Severo, targany mieszanymi uczuciami smutku i ulgi, orzekł, że szwagier spadł wraz ze swoją maszyną gdzieś w górach, gdzie nikt go nigdy nie odnajdzie. Nivea płakała niepocieszona i zapaliła kilka świec świętemu Antoniemu, patronowi rzeczy zaginionych. Severo sprzeciwił się pomysłowi zamówienia mszy, ponieważ nie wierzył, że można w ten sposób osiągnąć niebo, a już tym bardziej sprowadzić kogoś na ziemię, i utrzymywał, że msze i darowizny, podobnie jak odpusty oraz handel obrazkami świętymi i szkaplerzykami, stanowią nieuczciwy interes. W tej sytuacji Nivea i Nana poleciły wszystkim dzieciom przez dziewięć dni odmawiać po kryjomu różaniec. Tymczasem ochotnicze grupy poszukiwaczy i andynistów szukały go niestrudzenie w górach, na szczytach i w wąwozach, badały po kolei wszystkie dostępne rozpadliny, aż w końcu wróciły w tryumfalnym nastroju i przekazały rodzinie szczątki w czarnej, skromnej trumnie, która była zapieczętowana.

Nieustraszonemu podróżnikowi urządzono wielki pogrzeb. Śmierć uczyniła z niego bohatera i jego nazwisko było przez kilka dni na pierwszych stronach wszystkich gazet. Ten sam tłum, który zgromadził się, by go pożegnać w dniu odlotu, przedefilował teraz przed jego trumną. Cała rodzina płakała, jak należało, z wyjątkiem Clary, która z cierpliwością astronoma wpatrywała się nadal w niebo. W tydzień po pogrzebie w drzwiach domu Nivei i Severa del Valle stanął we własnej osobie wuj Marcos, uśmiechając się wesoło pod wąsem pirata. Jak sam przyznał, przeżył - i pozostał przy zdrowych zmysłach, a nawet zachował dobry humor - dzięki potajemnemu odmawianiu różańca przez kobiety i dzieci. Mimo szlachetnego pochodzenia map powietrznych lot zakończył się fiaskiem, Marcos stracił aeroplan i musiał wracać pieszo, ale wszystkie kości miał całe, a ducha przygody zachował. Utrwaliło to na zawsze uwielbienie rodziny dla świętego Antoniego i nie posłużyło za przestrogę przyszłym pokoleniom, które również usiłowały latać różnymi maszynami. Z prawnego punktu widzenia Marcos był jednak trupem. Severo del Valle musiał wykorzystać całą swoją wiedzę prawniczą, aby przywrócić szwagrowi kondycję człowieka żywego i obywatela.

Gdy w obecności odpowiednich władz otwarto trumnę, okazało się, że leży w niej worek z piaskiem.

Nadszarpnęło to dotychczas nieskazitelną opinię poszukiwaczy i andynistów: odtąd uważano ich niemal za złoczyńców.

Heroiczne zmartwychwstanie Marcosa sprawiło, że puszczono ostatecznie w niepamięć aferę z katarynką. Znów zapraszano go do wszystkich salonów w mieście i przynajmniej przez jakiś czas jego imię brzmiało godnie.

Marcos mieszkał przez parę miesięcy u siostry. Pewnej nocy odjechał nie pożegnawszy się z nikim i pozostawiając kufry, książki, broń, buty i manatki. Severo, a nawet sama Nivea, odetchnęli z ulgą. Jego ostatnia wizyta trwała zbyt długo. Natomiast Clara była tak wstrząśnięta, że przez cały tydzień chodziła jak lunatyczka i ssała palec. Dziewczynka miała wtedy siedem lat; nauczyła się już czytać książki wuja i przywiązała się doń bardziej niż ktokolwiek w rodzinie, a to ze względu na swój dar przewidywania. Marcos twierdził, że rzadka zaleta siostrzenicy może być źródłem dochodów i dobrą okazją, by rozwinąć własne zdolności wróżbiarskie.

Miał teorię, że właściwości te posiadają wszystkie istoty ludzkie, a w szczególności członkowie jego rodziny, i że jeśli ktoś ich nie wykazuje, to tylko z powodu braku treningu. Kupił na bazarze szklaną kulę, która według niego miała właściwości magiczne i pochodziła ze Wschodu, lecz później okazało się, że był to tylko pływak z łodzi rybackiej, położył ją na kawałku czarnego aksamitu i ogłosił, że może w niej widzieć przeznaczenie, leczyć z uroków, czytać przeszłość i poprawiać jakość snów, wszystko za pięć centów. Jego pierwszymi klientkami były służące z sąsiedztwa. Jedną z nich oskarżono o kradzież, ponieważ jej pani zgubiła pierścionek. Szklana kula wskazała, gdzie znajdował się klejnot: spadł pod bieliźniarkę. Następnego dnia pod drzwiami stała kolejka.

Przyszli woźnice, handlarze, mleczarze i woziwody, a następnie zjawili się dyskretnie niektórzy urzędnicy gminni i dystyngowane panie, które prześlizgiwały się pod ścianami nie chcąc, by je rozpoznano. Klientelę przyjmowała Nana, która ustawiała ludzi w kolejce w przedpokoju i pobierała honoraria. Zajęcie to absorbowało ją niemal przez cały dzień - do tego stopnia, że zaniedbała pracę w kuchni i rodzina zaczęła się skarżyć, że na kolacje dostaje tylko starą fasolę amerykańską i konfitury z pigwy. Marcos przysposobił wozownię, gdzie pozakładał zasłony, które kiedyś wisiały w salonie, ale porzucone i stare zamieniły się w zakurzone szmaty. Tam razem z Clarą przyjmował klientów. Dwójka jasnowidzów nosiła tuniki „o barwie ludzi światła”, jak Marcos nazywał kolor żółty. Nana ufarbowała je szafranem w garnku, w którym gotowano potrawę z kurzej piersi, cukru, mleka i mąki ryżowej. Ponadto Marcos nosił na głowie turban, a na szyi egipski amulet.

Zapuścił brodę i włosy i był chudszy niż kiedykolwiek. Marcos i Clara byli bardzo przekonujący, zwłaszcza że dziewczynka nie musiała patrzeć w szklaną kulę, żeby przepowiedzieć to, co każdy chciał usłyszeć.

Przepowiednię szeptała na ucho wujowi Marcosowi, ten zaś przekazywał ją klientowi i improwizował rady, które wydawały mu się stosowne na daną okoliczność. Rozeszła się o nich fama, ponieważ ci, którzy przychodzili do poradni przygnębieni i smutni, wychodzili pełni nadziei, zakochani bez wzajemności uzyskiwali wskazówki, jak usidlić nieczułe serce, a biedni wiedzę o skutecznych fortelach, które pozwalały im wygrywać zakłady na wyścigach psów. Interes tak dobrze prosperował, że przedpokój był zawsze pełen ludzi, a Nana zaczęła dostawać zawrotów głowy od

zbyt długiego stania. Tym razem Severo nie musiał interweniować w celu położenia kresu przedsiębiorczości szwagra, ponieważ dwójka jasnowidzów uświadomiła sobie, że przepowiednie mogą zmienić losy klientów, którzy rozumieli je zbyt dosłownie; Marcos i Clara przestraszyli się i doszli do wniosku, że jest to profesja godna oszustów. Przestali bawić się w wyrocznie z wozowni i podzielili się równomiernie zyskami, choć w rzeczywistości jedyną osobą zainteresowaną materialną stroną biznesu była Nana.

Spośród całego rodzeństwa del Valle Clara najwytrwalej i z największym zainteresowaniem słuchała opowieści wuja. Mogła każdą z nich powtórzyć, znała na pamięć różne słowa w dialektach Indian z innych krajów i ich obyczaje, potrafiła opowiedzieć, w jaki sposób przebijają sobie wargi i uszy kawałkami drewna, a także opisać obrzędy inicjacyjne oraz podać nazwy najbardziej jadowitych węży i antidotów przeciwko ich ukąszeniom. Wuj był tak elokwentny, że dziewczynka czuła na własnej skórze palące ukąszenia żmij, widziała gada ślizgającego się po dywanie między nogami palisandrowego stojaka z kwiatami i słyszała krzyki papug ara między kotarami w salonie. Przypominała sobie bez wahania trasę, którą przebył Lope de Aguirre szukając Eldorado, znała nie dające się wymówić nazwy rozmaitych okazów flory i fauny, które poznał lub wymyślił cudowny wuj, wiedziała o lamach, którzy piją słoną herbatę z łojem jaków, i mogła szczegółowo opisać obfite kształty kobiet z Polinezji, ryżowiska w Chinach lub białe równiny w krajach na dalekiej Północy, gdzie wieczne mrozy zabijają zwierzęta i zabłąkanych ludzi, zamieniając ich w ciągu paru minut w sople lodu. Marcos miał kilka dzienników ze swoich podróży, kolekcję map oraz baśnie i powieści przygodowe, które trzymał w kufrach w graciarni, w głębi trzeciego patio. Wszystko to krążyło po domu i zaludniało swoimi treściami marzenia potomków, dopóki w pół wieku później nie zostało spalone przez pomyłkę na haniebnym stosie.

Z ostatniej podróży Marcos wrócił w trumnie. Zmarł na skutek tajemniczej zarazy afrykańskiej, od której pokrył się zmarszczkami i zżółkł jak pergamin. Gdy się rozchorował, podjął podróż powrotną z nadzieją, że opieka siostry i wiedza doktora Cuevasa przywrócą mu zdrowie i młodość, lecz nie wytrzymał sześćdziesięciu dni na statku: zmorzony gorączką i majacząc o kobietach perfumowanych piżmem i o ukrytych skarbach zmarł, gdy mijali Guayaquil. Kapitan statku, Anglik nazwiskiem Longfellow, miał zamiar zawinąć go w sztandar i wyrzucić za burtę, lecz na pokładzie transatlantyku Marcos mimo zdziczałego, obłędnego wyglądu zawarł tyle przyjaźni i rozkochał w sobie tyle kobiet, że pasażerowie nie dopuścili do tego i Longfellow musiał zamknąć zwłoki w składzie z zieleniną należącą do chińskiego kucharza, aby uchronić je przed upałem i moskitami z tropików, dopóki pokładowy stolarz nie zbił skrzyni, w której złożono Marcosa. W Callao kupiono odpowiednią trumnę i w kilka dni później kapitan rozeźlony kłopotami, które pasażer ten sprawił towarzystwu i żeglugowemu i jemu osobiście, wyładował ją bez ceregieli na nabrzeżu, zdziwiony, że nie zjawił się nikt, kto upomniałby się o zwłoki i pokrył nieprzewidziane wydatki. Później dowiedział się, że pod tą szerokością geograficzną do poczty nie można mieć takiego zaufania jak w odległej Anglii i że telegramy wyparowały po drodze. Na szczęście dla Longfellowa stawił się adwokat urzędu celnego, który znał rodzinę del Valle i zaproponował, że zajmie się tą sprawą; załadował trumnę i cały bagaż Marcosa na wynajęty wóz i udał się do stolicy pod jedyny stały adres nieboszczyka, jaki znano: do domu jego siostry.

Dla Clary byłaby to jedna z najboleśniejszych chwil w życiu, gdyby nie to, że wśród manatków wuja znaleziono Barrabasa. Wiedziona instynktem i nie zwracając uwagi na panujące na patio zamieszanie, udała się prosto do miejsca, w którym zrzucono klatkę. W środku siedział Barrabas. Była to kupa kostek pokryta sierścią nieokreślonej barwy i zainfekowana, z jednym okiem zamkniętym, a drugim zaropiałym, nieruchoma jak trup we własnych odchodach. Mimo to dziewczynka rozpoznała go bez trudu.

- Piesek! - pisnęła.

Zajęła się nim. Wyciągnęła go z klatki, przytuliła do piersi i z troskliwością misjonarki nalała mu wody do opuchniętego i wysuszonego pyska. Nic nie jadł, odkąd kapitan Longfellow, który podobnie jak wszyscy Anglicy lepiej traktował zwierzęta niż ludzi, zostawił go wraz z bagażami na nabrzeżu. Dopóki pies znajdował się na pokładzie u boku umierającego pana, kapitan karmił go własną ręką i prowadzał po pokładzie okazując wszelkie względy, których poskąpił Marcosowi, natomiast na lądzie potraktowano go jako część ekwipunku.

Clara stała się matką dla psa - nikt zresztą nie współzawodniczył z nią o ten wątpliwy przywilej - i zdołała przywrócić go do życia. W parę dni później, gdy ucichła burza spowodowana pojawieniem się zwłok wuja Marcosa i pogrzebem, Severo przyjrzał się włochatemu zwierzakowi spoczywającemu w ramionach córki.

- Co to takiego? - zapytał.

- Barrabas - odparła Clara.

- Oddaj go ogrodnikowi, niech się go pozbędzie. Może nas czymś zarazić - nakazał Severo.

Lecz Clara już go uważała za swego.

- On jest mój, tato. Jeśli mi go zabierzesz, to przysięgam, że przestanę oddychać i umrę.

Pies pozostał w domu. Wkrótce biegał wszędzie, obgryzał frędzle u zasłon, dywany i nogi od stołów. Bardzo szybko wrócił do siebie. Gdy go wykąpano, okazało się, że jest czarny, ma kwadratową głowę, bardzo długie łapy i krótką sierść. Nana zasugerowała, że należy obciąć mu ogon, by wyglądał na delikatnego pieska, ale Clara wpadła w gniew, który przerodził się w atak astmy, i nikt nie wspomniał więcej o tym pomyśle. Barrabas zachował ogon, który z biegiem czasu osiągnął długość kija golfowego i poruszał się bezwiednie, zmiatając porcelany ze stołów i strącając lampy. Pies był nieokreślonej rasy. W niczym nie przypominał kundli, które włóczyły się po ulicy, ani tym bardziej psów rasowych, jakie trzymano w niektórych arystokratycznych domach.

Weterynarz nie potrafił powiedzieć, skąd pochodzi, a Clara przypuszczała, że z Chin, ponieważ dużą część bagażu wuja stanowiły upominki z tego dalekiego kraju. Miał nieograniczoną zdolność wzrostu. Po sześciu miesiącach osiągnął rozmiary owcy, a po roku źrebaka. Zrozpaczona rodzina zastanawiała się, co z niego wyrośnie, i zaczęła wątpić, czy to rzeczywiście pies; podejrzewano, że jest to egzotyczne zwierzę, schwytane w jakimś zakątku świata przez wuja odkrywcę i że w stanie

pierwotnym był dzikim drapieżnikiem. Nivea obserwowała jego łapy godne krokodyla i ostre zęby i jej matczyne serce ściskało się na myśl, że bestia ta jednym kłapnięciem może odgryźć głowę dorosłemu człowiekowi, a co dopiero któremuś z dzieci. Lecz Barrabas nie okazywał najmniejszej agresywności - wręcz przeciwnie. Swawolił jak kotek. Spał w łóżku Clary, obejmując ją i trzymając głowę na puchowej poduszce, przykryty po szyję, bo był wrażliwy na zimno, a później, gdy nie mieścił się już w łóżku, kładł się obok na podłodze i końskich rozmiarów pysk opierał na ramieniu dziewczynki. Nigdy nie szczekał ani nie warczał. Był czarny i cichy jak pantera, lubił szynkę i kandyzowane owoce i zawsze gdy byli goście, a zapominano go zamknąć, wkraczał chyłkiem do jadalni i obchodził stół, ściągając dyskretnie z talerzy swoje ulubione przekąski, w czym nikt z biesiadników nie ośmielał się mu przeszkadzać. Barrabas, choć łagodny jak panienka z dobrego domu, wzbudzał lęk. Dostawcy rzucali się do ucieczki, gdy pojawiał się na ulicy, a pewnego razu jego obecność wywołała panikę wśród kobiet, które stały w kolejce do mleczarza; kobiety te spłoszyły perszerona, który roztrącił z hukiem i trzaskiem wiadra z mlekiem ustawione na jezdni. Severo musiał zapłacić za wyrządzone szkody i rozkazał przywiązać psa na patio, ale Clara znowu dostała konwulsji i wykonanie decyzji odłożono na czas nieokreślony. Ludowa fantazja i nieznajomość rasy Barrabasa sprawiły, że przypisywano mu cechy mitologiczne. Opowiadano, że ciągle rośnie i gdyby jego istnieniu nie położyła kresu brutalność pewnego rzeźnika, osiągnąłby rozmiary wielbłąda. Ludzie uważali, że jest on krzyżówką psa i klaczy, przypuszczali, że mogą mu wyrosnąć skrzydła i rogi, że jak smok będzie ział siarką i że w ogóle jest jak bestie, które Rosa haftowała w nieskończoność na swoim obrusie. Nana, która miała dość zbierania potłuczonej porcelany i gadaniny, że przy pełni księżyca pies zamienia się w wilkołaka, postanowiła poradzić sobie z nim tak samo jak kiedyś z papugą, ale duża dawka tranu nie zabiła go, a jedynie wywołała czterodniową sraczkę, po której ona sama musiała sprzątać dom od góry do dołu.

Były to ciężkie czasy. Miałem wtedy około dwudziestu pięciu lat, lecz wydawało mi się, że nie będę już długo żył i nie osiągnę pozycji, do której aspirowałem. Harowałem jak wół i rzadko mogłem usiąść, by odpocząć, a zmuszony do tego w jakąś nudną niedzielę miałem poczucie, że tracę cenne chwile i że każda minuta bezczynności oddala mnie o cały wiek od Rosy. Mieszkałem na terenie kopalni w chacie zbitej z desek, z cynkowym dachem, którą zbudowałem korzystając z pomocy paru peonów. Była jednoizbowa i trzymałem w niej cały dobytek; w każdej ścianie miała okienka, by za dnia, gdy panowała duchota, był przewiew, a w nocy zamykałem okiennice, bo wiał lodowaty wiatr. Za całe umeblowanie miałem krzesło, łóżko polowe, prosty stół, maszynę do pisania i ciężką kasę ogniotrwałą, którą kazałem przewieźć przez pustynię na grzbiecie muła; trzymałem w niej pieniądze na dniówki dla górników, nieco dokumentów i brezentowy mieszek, w którym błyszczały kawałeczki złota, stanowiące owoc mego wysiłku. Chata nie była wygodna, ale przywykłem do niewygód. Nigdy nie kąpałem się w ciepłej wodzie i z dzieciństwa pozostało mi wspomnienie chłodu, samotności i wiecznej pustki w żołądku. W chacie tej jadłem, spałem i pisałem przez dwa lata, nie mając żadnej rozrywki poza lekturą kilku wielokrotnie już przeczytanych książek, stosu starych gazet, paru tekstów po angielsku, które służyły mi do nauki podstaw tego wspaniałego języka, i przechowywanej w pudełku zamykanym na klucz korespondencji z Rosą. Przywykłem do pisania listów do niej na maszynie i przez kalkę, toteż kopie zostawiałem dla siebie i układałem je w porządku chronologicznym wraz z nielicznymi listami, które dostawałem od niej. Jadłem ze wspólnego kotła z

górnikami. Zakazałem spożywania trunków na terenie kopalni. Nie trzymałem ich też w domu, bo zawsze uważałem, że samotność i nuda w końcu robią z człowieka alkoholika. Być może do abstynencji skłoniło mnie wspomnienie mego ojca z kieliszkiem w ręku, rozpiętym kołnierzykiem i rozluźnionym, poplamionym krawatem, zmąconym wzrokiem i ciężkim oddechem. Mam słabą głowę i łatwo się upijam. Uświadomiłem to sobie, gdy miałem siedemnaście lat, i nigdy o tym nie zapomniałem. Kiedyś wnuczka zapytała mnie, jak mogłem tak długo żyć w samotności i tak daleko od cywilizacji. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Lecz, prawdę mówiąc, musiało mi to przyjść łatwiej niż wielu innym ludziom, ponieważ nie jestem towarzyski, nie mam wielu przyjaciół i nie lubię zabaw nawet w domu - przeciwnie, czuję się lepiej, gdy jestem sam. Z trudem wchodzę z ludźmi w zażyłe stosunki. W tamtych czasach nie byłem jeszcze z kobietą, więc nie mogłem gardzić czymś, czego nie znałem. Nigdy nie byłem kochliwy, jestem z natury wierny, choć wystarczy cień ramienia, wgięcie w pasie, zarys kolana kobiety, a już różne myśli przychodzą mi do głowy nawet dzisiaj, gdy jestem tak stary, że nie poznaję się w lustrze i wyglądam jak skrzywione drzewo. Wcale nie usiłuję usprawiedliwiać grzechów młodości opowiadając bajki o tym, że nie mogłem opanować popędów i żądz. Byłem wtedy przyzwyczajony do utrzymywania stosunków bez perspektyw na przyszłość z kobietami lekkich obyczajów, bo nie miałem innych możliwości. W moim pokoleniu dzieliliśmy kobiety na przyzwoite i te inne, a także dzieliliśmy przyzwoite na własne i cudze. Nie myślałem o miłości, dopóki nie poznałem Rosy, a miłość romantyczna wydawała mi się niebezpieczna i zbędna i jeśli czasami spodobała mi się jakaś dziewczyna, nie miałem odwagi zbliżyć się do niej z obawy, że zostanę odtrącony i ośmieszony. Byłem bardzo dumny i z powodu dumy cierpiałem bardziej niż inni-Od tego czasu minęło ponad pół wieku, lecz nadal pamiętam dokładnie chwilę, w której piękna Rosa wkroczyła w moje życie jak roztargniony anioł i od razu ukradła mi duszę. Szła z Naną i kimś jeszcze, prawdopodobnie jedną z młodszych sióstr. Miała chyba na sobie sukienkę koloru lila, ale nie jestem tego pewien, ponieważ nie jestem spostrzegawczy, gdy chodzi o stroje kobiece, i ponieważ była tak urocza, że nawet gdyby była odziana w gronostajowe futro, mógłbym przykuć wzrok jedynie do rysów jej twarzy. Zazwyczaj nie gapię się na kobiety, ale musiałbym być niedojdą, gdybym nie zwrócił uwagi na tę zjawę, która idąc ulicą wywoływała zamieszanie i powodowała zatory, bo tak ludzie reagowali na widok zielonych włosów, okalających twarz jak fantazyjny kapelusz, postawy czarodziejki i ruchów, które sprawiały wrażenie, że unosi się w powietrzu. Przeszła nie zwracając na mnie uwagi i jak powiew wiatru przeniknęła do cukierni na Placu Broni. Stałem osłupiały na ulicy, podczas gdy ona kupowała anyżkowe cukierki. Wybierała je pojedynczo śmiejąc się dźwięcznie, po czym próbowała jednych, a innymi częstowała siostrę. Nie byłem jedyną osobą, którą zahipnotyzowała: w ciągu paru minut powstał szpaler mężczyzn, którzy zaglądali do cukierni przez okno wystawowe. Wtedy podjąłem decyzję. Nie przyszło mi na myśl, że wcale się nie nadaję na idealnego pretendenta do ręki tej boskiej dziewczyny, bo nie jestem ani majętnym, ani zbyt przystojnym kawalerem, a przyszłość mam przed sobą niepewną. Co więcej, wcale jej nie znałem! Lecz olśniła mnie i w tej samej chwili postanowiłem, że jest to jedyna kobieta godna tego, by zostać moją żoną, i że jeśli okaże się, iż nie może być moja, zostanę starym kawalerem. Nie odstępowałem jej przez całą drogę powrotną do domu. Wskoczyłem do tego samego tramwaju i usiadłem za nią nie mogąc oderwać wzroku od doskonałego kształtu jej karku, okrągłej szyi, delikatnych ramion i opadających na nie zielonych loków. Nie czułem ruchu tramwaju, gdyż wszystko to było jak sen. Nagle prześliznęła się obok mnie, a wtedy jej zaskakująco złote źrenice zatrzymały

się na ułamek sekundy na moich. Mało brakowało, a umarłbym. Nie mogłem oddychać i ustało mi tętno. Gdy odzyskałem równowagę, musiałem wyskoczyć na chodnik ryzykując złamaniem jakiejś kości i pobiegłem w stronę ulicy, którą poszła. Domyśliłem się, gdzie mieszka, gdy ujrzałem plamę koloru lila rozpływającą się za bramą. Odtąd warowałem przed jej domem, kręcąc się w pobliżu jak bezpański pies, szpiegując, przekupując ogrodnika, zagadując służące, aż w końcu udało mi się porozmawiać z Naną i ona, święta kobieta, zlitowała się nade mną i zgodziła się przekazywać Rosie moje liściki miłosne, kwiaty i niezliczone pudełka anyżkowych cukierków, którymi usiłowałem podbić jej serce. Przesyłałem jej też akrostychy. Nie umiem pisać wierszy, ale pewien hiszpański księgarz genialnie rymował, więc zamawiałem u niego wiersze, piosenki - cokolwiek, co może być pisane atramentem na papierze. Moja siostra Ferula pomogła mi nawiązać znajomość z rodziną del Valle, gdyż odkryła jakieś dalekie pokrewieństwo między naszymi rodzinami i szukała okazji, abyśmy mogli wymienić ukłony po mszy. W ten sposób udało mi się złożyć Rosie wizytę. W dniu, w którym przekroczyłem próg jej domu i miałem ją w zasięgu mojego głosu, nie przyszło mi do głowy nic, co mógłbym jej powiedzieć. Stałem więc niemy z kapeluszem w ręku i otwartą z wrażenia gębą, aż jej rodzice, którym były znane takie reakcje, wyciągnęli mnie z opałów. Nie wiem, co Rosa widziała we mnie ani dlaczego z biegiem czasu zgodziła się mnie poślubić. Nie musiałem stawać na głowie, aby zostać jej oficjalnym narzeczonym, ponieważ choć była nieludzko piękna i miała niezliczone zalety, nikt nie starał się o jej rękę. Przyczynę wyjaśniła mi jej matka powiedziała, że żaden mężczyzna nie czuł się na siłach bronić Rosy przez całe życie przed zakusami ze strony innych mężczyzn. Wielu chodziło za nią i traciło dla niej zmysły, lecz nie zdecydował się żaden, dopóki ja nie pojawiłem się na horyzoncie. Onieśmielała ich swoją urodą i dlatego podziwiali ją z daleka, lecz się nie zbliżali. Prawdę mówiąc, nigdy nie przeżywałem takich rozterek. Cały szkopuł w tym, że nie miałem ani grosza, ale czułem, że dzięki sile miłości zostanę bogatym człowiekiem. Rozejrzałem się za krótką drogą do celu, mieszczącą się w granicach uczciwości, w których mnie wychowano, i stwierdziłem, że aby odnieść sukces, powinienem mieć protektorów, odbyć specjalne studia lub posiadać kapitał. Cieszące się szacunkiem nazwisko nie wystarczało. Przypuszczam, że gdybym miał na początek jakieś pieniądze, to grałbym w karty lub stawiał na konie wyścigowe, ale ponieważ tak nie było, musiałem pomyśleć o pracy, która - choćby ryzykowna - pozwoliłaby mi zbić majątek. Kopalnie złota i srebra były marzeniem awanturników: mogły pogrążyć ich w nędzy, przyprawić o gruźlicę i spowodować śmierć lub przynieść bogactwo. Wszystko zależało od tego, czy się miało szczęście, czy nie. Dzięki temu, że nazwisko panieńskie mojej matki bardzo się liczyło, bank udzielił mi poręczenia i uzyskałem koncesję na pewną kopalnię na północy kraju. Poprzysiągłem sobie, że wyeksploatuję ją do ostatniego grama szlachetnego metalu, choćbym miał przekopać wzgórze własnymi rękami i rozetrzeć skały własnymi stopami. Nie tylko to byłem gotów uczynić dla Rosy.

Pod koniec jesieni, gdy rodzinę przestały niepokoić intencje ojca Restrepo, który musiał uśmierzyć swoje inkwizytorskie zapędy po tym, jak biskup nakazał mu osobiście zostawić w spokoju małą Clarę del Valle, i gdy wszyscy pogodzili się z myślą, że wuj Marcos naprawdę umarł, zaczęły się konkretyzować plany polityczne Severa. Pracował na to przez wiele lat. Wreszcie odniósł sukces: partia liberalna poprosiła go, by w wyborach parlamentarnych kandydował na posła Z pewnej prowincji na południu; nigdy w niej nie był i miałby nawet pewne trudności z odnalezieniem jej na mapie. Partia potrzebowała ludzi, a Severo bardzo pragnął

zasiąść w Kongresie, więc bez trudu przekonała ubogich wyborców z południa, aby wysunęli jego kandydaturę. Wyborcy wystosowali zaproszenie poparte prezentem w postaci pieczonego różowego wieprza monumentalnych rozmiarów. Przyniesiono go do domu państwa del Valle na drewnianej tacy, pachnącego i lśniącego; spoczywał na łożu z pomidorów, z pietruszką w ryju i marchwią w dupie. Miał gruby szew na brzuchu, a brzuch nadziany kuropatwami; te z kolei były nadziane śliwkami. Towarzyszyła mu karafka, w której było pół galona najlepszej wódki krajowej. Severo od dawna marzył, by zostać posłem, a jeszcze bardziej senatorem. Dążył do celu cierpliwie, czemu służyły kontakty i znajomości, konwentykle, dyskretne, acz skuteczne wystąpienia publiczne, pieniądze oraz przysługi wyświadczane właściwym osobom we właściwym czasie. Owa prowincja na południu, choć odległa i nieznana, była właśnie tym, czego oczekiwał.

Wieprza dostarczono we wtorek. W piątek, gdy pozostały po nim już tylko skóra i kości, które Barrabas obgryzał na patio, Clara zapowiedziała, że w domu ktoś umrze.

- Ale umrze przez pomyłkę - rzekła.

W sobotę źle spała i obudziła się z krzykiem, Nana podała jej napar z kwiatu lipowego i nikt nie zwracał na nią uwagi, bo wszyscy byli zajęci przygotowaniami ojca do podróży na południe, a piękna Rosa wstała rano z gorączką. Nivea poleciła, żeby Rosa została w łóżku, ale doktor Cuevas orzekł, że to nic groźnego, i przepisał jej na poty letnią, dobrze osłodzoną lemoniadę z odrobiną napoju alkoholowego. Severo poszedł zobaczyć się z córką i zastał ją z silnymi rumieńcami na twarzy i błyszczącymi oczyma, tonącą w kremowych koronkach prześcieradeł. W podarunku przyniósł jej karnecik balowy; pozwolił Nanie otworzyć karafkę i dolać wódki do lemoniady. Rosa wypiła lemoniadę, przykryła się wełnianą derką i zaraz usnęła u boku Clary, z którą dzieliła pokój.

W niedzielę wydarzyła się tragedia. Jak zwykle, Nana wstała wczesnym rankiem. Przed wyjściem na mszę poszła do kuchni przygotować śniadanie dla całej rodziny. W piecu, opalanym drewnem i węglem, żarzyły się jeszcze węgle z poprzedniego wieczoru, więc z łatwością rozpaliła ogień. Grzejąc wodę i gotując mleko wyjmowała talerze, które miała zanieść na stół. Zaczęła gotować owsiankę, cedzić kawę, robić grzanki. Przygotowała dwie tace, jedną dla Nivei, która zawsze jadła śniadanie w łóżku, a drugą dla Rosy, która jako chora również miała do tego prawo. Nakryła tacę Rosy wyhaftowaną przez zakonnice lnianą serwetką, aby kawa nie wystygła i nie powpadały do niej muchy, i wyjrzała na patio, rozglądając się za Barrabasem. Zazwyczaj napastował ją, gdy niosła śniadanie. Ujrzała go swawolącego z kurą, więc ruszyła przez podwóreczka i korytarze w długą drogę z położonej w głębi domu kuchni aż do pokoju dziewczynek. Przed drzwiami pokoju Rosy zawahała się, gdyż nagle ogarnęło ją złe przeczucie. Weszła bez zapowiedzi, jak to miała w zwyczaju, i natychmiast poczuła zapach róż, choć nie była to pora roku, w której one kwitną. Wtedy zrozumiała, że stało się straszne nieszczęście. Postawiła ostrożnie tacę na nocnym stoliku i powoli podreptała do okna. Rozsunęła ciężkie kotary i blade promienie porannego słońca wpadły do pokoju. Odwróciła się zaniepokojona; nie zaskoczył jej widok martwej Rosy, która leżała na łóżku piękniejsza niż kiedykolwiek, z jaskrawo zielonymi włosami, cerą przypominającą świeżą kość słoniową i otwartymi, żółtymi jak miód oczyma. W nogach siedziała mała Clara, która przyglądała się siostrze. Nana uklękła przy łóżku, wzięła Rosę za rękę i zaczęła się modlić. Modliła się do chwili, w której w całym domu rozległ się straszliwy lament,

przypominający wołanie o pomoc z tonącego statku. To Barrabas zawył po raz pierwszy i ostatni w życiu. Wył tak przez cały dzień, aż wprawił w rozstrój nerwowy domowników, a także sąsiadów, którzy zbiegli się zwabieni tym jękiem rozbitka.

Doktorowi Cuevasowi wystarczył rzut oka na ciało Rosy, aby zorientować się, że przyczyną zgonu było coś o wiele poważniejszego niż chwilowa gorączka. Zaczął węszyć po kątach, rozejrzał się w kuchni, pozaglądał do garnków, worków z mąką i cukrem, skrzynek z suszonymi owocami, wszystko powywracał do góry nogami i zostawił po sobie taki bałagan, jakby przeszedł huragan. Pogrzebał w szufladach Rosy, przesłuchał po kolei służących, Nanę zadręczył pytaniami do tego stopnia, że straciła panowanie nad sobą, i w końcu śledztwo naprowadziło go na karafkę wódki, którą zarekwirował nikomu się nie opowiadając. Z nikim nie podzielił się wątpliwościami, ale karafkę zabrał do laboratorium. Wrócił po trzech godzinach z wyrazem przerażenia na twarzy, który zamienił jego rumiane oblicze fauna w bladą maskę; maskę tę nosił dopóty, dopóki nie nastąpił finał tej strasznej sprawy. Podszedł do Severa, ujął go pod ramię i odprowadził na bok.

- W wódce było tyle trucizny, że nawet byk by zdechł - rzekł mu na ucho. - Lecz jeśli mam mieć pewność, że to jest przyczyną zgonu dziewczynki, muszę zrobić autopsję.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że musi ją pokroić? - jęknął Severo.

- Niezupełnie. Głowy nie tknę, a jedynie system trawienny - wyjaśnił doktor Cuevas. Severowi zrobiło się duszno.

Nivea, wyczerpana o tej godzinie płaczem, na wiadomość, że mają zamiar zabrać jej córkę do kostnicy, odzyskała nagle energię. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy złożono przyrzeczenie, że Rosa zostanie zabrana z domu prosto na cmentarz katolicki. Wtedy zgodziła się wziąć laudanum i spała przez dwadzieścia godzin.

Gdy zapadła noc, Severo zarządził przygotowania. Dzieciom kazał iść spać, a służącym pozwolił oddalić się o wczesnej porze. Clarze, która była pod zbyt silnym wrażeniem tego, co się zdarzyło, pozwolił spędzić noc w pokoju innej siostry. Gdy już pogaszono wszystkie światła, a dom zapadł w nocny spoczynek, przyszedł asystent doktora Cuevasa, młody człowiek o chorobliwym wyglądzie, krótkowidz i jąkała. Wraz z doktorem pomógł Severowi przenieść ciało Rosy do kuchni, gdzie złożono je delikatnie na marmurowym stole, na którym Nana wyrabiała ciasto i siekała zieleninę. Mimo silnego charakteru Severo nie wytrzymał, gdy córce zdjęto koszulę nocną i w całym splendorze ukazała się jej syrenia nagość. Wyszedł potykając się, pijany z bólu, i zwalił się z nóg w salonie, płacząc jak dziecko. Również doktor Cuevas, który był przy narodzinach Rosy i znał ją jak palce własnej ręki, przeżył wstrząs widząc ją rozebraną. Młody asystent zaczął natomiast sapać z wrażenia i sapał przez następne lata, ilekroć przypominał sobie niezwykły widok: Rosę śpiącą nago na stole kuchennym, z długimi włosami, które kaskadą opadały na podłogę.

Gdy wykonywali tam swój straszny obowiązek, Nana, znudzona płaczem i modlitwą i przeczuwając, że coś dziwnego dzieje się na jej terytorium na trzecim patio, wstała, zarzuciła na siebie szal i ruszyła na obchód domu. Zobaczyła światło w kuchni, ale drzwi i okiennice były zamknięte. Szła korytarzami, na których panowały cisza i chłód, przemierzyła trzy skrzydła domu i dotarła do salonu. Przez uchylone drzwi

dostrzegła pana, który przechadzał się po pokoju; wyglądał na zrozpaczonego. W kominku wygasł ogień. Nana weszła do salonu.

- Gdzie jest Rosa? - zapytała.

- Jest z nią doktor Cuevas, Nano. Zostań tutaj i wypij ze mną kieliszek - odparł błagalnym tonem Severo.

Nana stała ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, otulona szalem. Severo wskazał jej sofę, do której podeszła nieśmiało. Usiadła obok niego. Była tak blisko pana po raz pierwszy od czasu, gdy zamieszkała u niego. Severo nalał jerezu do kieliszków i wychylił swój jednym haustem. Chował twarz w dłoniach, targał palcami włosy i z zaciśniętymi zębami mamrotał jakąś niezrozumiałą i smutną litanię. Nana, która siedziała sztywno na krawędzi krzesła, rozluźniła się widząc, że płacze. Wyciągnęła szorstką dłoń i automatycznym gestem przygładziła jego włosy z taką samą czułością, z jaką od dwudziestu lat pocieszała dzieci. Podniósł wzrok i przyjrzał się jej twarzy, na której nie był wypisany żaden wiek, indiańskim kościom policzkowym, czarnemu kokowi, szerokiemu łonu, do którego tulili się i na którym usypiali wszyscy jego potomkowie, i poczuł, że ta kobieta, ciepła i wielkoduszna jak ziemia, może przynieść mu ukojenie. Położył głowę na jej kolanach, wciągnął delikatny zapach nakrochmalonego fartucha i rozszlochał się jak dziecko, wypłakując wszystkie łzy, które powstrzymał w sobie od czasu, gdy wszedł w wiek męski. Nana podrapała go po plecach, poklepała na pocieszenie, przemówiła cichym głosem, jak wtedy, gdy usypiała dzieci, i nuciła cichutko chłopskie kołysanki, aż zdołała go uspokoić. Potem siedzieli bardzo blisko siebie, popijając jerez, popłakując od czasu do czasu i wspominając dobre czasy, gdy Rosa biegała po ogrodzie zaskakując motyle pięknem morskiej głębi.

W kuchni doktor Cuevas i jego asystent przygotowali złowrogie utensylia i śmierdzące flakony, pozakładali gumowe fartuchy, pozawijali rękawy i przystąpili do grzebania się w intymnościach pięknej Rosy. W końcu stwierdzili bez cienia wątpliwości, że dziewczyna połknęła ogromną dawkę trutki na szczury.

- Była przeznaczona dla Severa - rozstrzygnął sprawę doktor myjąc ręce w zlewozmywaku.

Asystent, zbyt oczarowany urodą zmarłej, nie godził się, żeby zszyto ją jak worek, i zasugerował, by zwłoki nieco przysposobiono. Wzięli się więc obaj do dzieła, nacierając ciało balsamem i napełniając je kompresami z pachnidłem. Pracowali do czwartej rano, kiedy to doktor Cuevas uznał się za pokonanego przez zmęczenie i smutek, i wyszedł. Rosa pozostała w rękach asystenta; ten zmył z niej gąbką plamy krwi, założył jej haftowaną koszulę, którą zakrył szew biegnący od gardła do łona, i ułożył włosy. Potem usunął ślady swojej pracy.

Doktor Cuevas zastał Severa w salonie w towarzystwie Nany; oboje byli upojeni płaczem i jerezem.

- Jest gotowa - rzekł. - Przygotujemy ją nieco, żeby mogła zobaczyć ją matka.

Wyjaśnił Severowi, że jego podejrzenia były uzasadnione i że w żołądku córki znalazł tę samą śmiercionośną substancję, co w podarowanej wódce. Wtedy Severo

przypomniał sobie przepowiednię Clary i stracił resztę równowagi, którą jeszcze zachowywał, gdyż nie mógł pogodzić się z myślą, że córka umarła, zamiast niego. Załamał się i jęczał, że to jego wina, bo jest żądny władzy i pełen pychy, że nikt nie kazał mu brać się do polityki, że był o wiele lepszym człowiekiem jako zwykły adwokat i ojciec rodziny, że rezygnuje natychmiast i raz na zawsze z kandydowania, porzuca partię liberalną, jej pychę i jej dokonania, że ma nadzieję, iż żaden z jego potomków nie będzie mieszał się do polityki, gdyż jest to zajęcie dla rzeźników i bandytów, aż w końcu doktor Cuevas zlitował się i spił go na umór. Jerez okazał się silniejszy niż żal i poczucie winy. Nana i doktor zanieśli go do sypialni, rozebrali i położyli do łóżka. Następnie udali się do kuchni, gdzie asystent kończył swoje zabiegi nad zwłokami Rosy.

Nivea i Severo del Valle obudzili się późno następnego ranka. Krewni udekorowali dom na obrzędy pogrzebowe, zasłony były zaciągnięte i ozdobione czarną krepą, a wzdłuż ścian leżały wieńce, których mdły aromat zawisł w powietrzu. W jadalni zrobiono katafalk. Na wielkim stole, przykrytym czarnym suknem ze złocistymi frędzlami, ustawiono białą trumnę ze srebrnymi nitami, w której spoczywała Rosa. Dwanaście żółtych świec w kandelabrach z brązu oświetlało dziewczynę rozproszonym blaskiem. Odziano ją w strój narzeczeński i założono woskowy wianek z kwiatów pomarańczy, który chowała na dzień zaślubin.

W południe zaczęli się schodzić krewni, przyjaciele i znajomi, którzy składali kondolencje i towarzyszyli rodzinie del Valle w żałobie. W domu zjawili się nawet najzacieklejsi przeciwnicy polityczni i Severo del Valle obserwował ich wszystkich uważnie, w każdej parze oczu starając się odkryć sekret mordercy, lecz we wszystkich - nawet w oczach przewodniczącego partii konserwatywnej - dostrzegł ten sam co u innych żal i tę samą niewinność.

Gdy czuwano przy zmarłej, kawalerowie krążyli po salonach i korytarzach, komentując ściszonym głosem sprawy związane ze swoimi interesami. Milkli na znak szacunku, gdy zbliżał się ktoś z rodziny. W jadalni, podchodząc do trumny, by spojrzeć po raz ostatni na Rosę, wszyscy wzdrygali się, bo w godzinach tych jeszcze bardziej wypiękniała. Panie przechodziły do salonu, gdzie ustawiono w krąg krzesła zniesione z całego domu. Było tam wygodnie i można było płakać do woli, dając pod pretekstem cudzej śmierci upust własnym smutkom. Płakano więc obficie, lecz godnie i po cichu.

Niektóre kobiety mamrotały pacierze. Służące chodziły po salonach i korytarzach podając gościom filiżanki herbaty i kieliszki koniaku, kobietom czyste chusteczki i słodycze domowego wyrobu, a paniom, które cierpiały na zawroty głowy z powodu duszności, zapachu świec i ze zmartwienia, małe kompresy z amoniaku. Wszystkie siostry del Valle, z wyjątkiem Clary, która była jeszcze bardzo młoda, były ubrane na czarno i obsiadły matkę jak wrony. Nivea, która wypłakała wszystkie łzy, trzymała się sztywno na krześle, nie wzdychając, nic nie mówiąc i nie szukając ulgi w amoniaku, który wywoływał u niej alergię. Przybywający goście podchodzili do niej i składali kondolencje. Niektórzy całowali ją w oba policzki, inni ściskali przez parę sekund, lecz ona zdawała się nie poznawać nawet najbliższych. Widziała śmierć innych dzieci, czy to w ich wczesnym dzieciństwie, czy przy porodzie, lecz żadna nie przyprawiła jej o takie poczucie straty, jakie przeżywała w tej chwili.

Całe rodzeństwo pożegnało Rosę pocałunkami złożonymi na lodowatym czole i tylko Clara nie chciała wejść do jadalni. Nie nalegano, ponieważ znano jej niezwykłą wrażliwość i skłonność do lunatyzmu, gdy jej wyobraźnia ulegała zmąceniu. Pozostała w ogrodzie skulona obok Barrabasa i odmawiała przyjmowania posiłków i czuwania przy zmarłej. Tylko Nana zwróciła na nią uwagę i chciała pocieszyć małą, lecz Clara ją odepchnęła.

Mimo środków ostrożności, które podjął Severo, aby zapobiec plotkom, śmierć Rosy stała się skandalem publicznym. Doktor Cuevas oferował każdemu, kto chciał go słuchać, całkiem racjonalne wyjaśnienie przyczyny zgonu, który - jak twierdził - nastąpił na skutek nagłego zapalenia płuc. Lecz rozeszła się pogłoska, że została otruta przez pomyłkę, zamiast ojca. Wówczas w tym kraju nie znano zabójstw na tle politycznym, a trucizna była w najlepszym razie ratunkiem dla frywolnych kobiet, czymś zdyskredytowanym i nie stosowanym od czasów kolonialnych, bo nawet zbrodnie w afekcie popełniano z otwartą przyłbicą. Podniosły się głosy protestu przeciwko zamachowi i nim Severo zdołał temu zapobiec, wiadomość opublikowała pewna gazeta opozycyjna, która w sposób zawoalowany oskarżyła o ten czyn oligarchię, dodając, że konserwatyści zdolni są nawet do tego, gdyż nie mogą wybaczyć Severowi del Valle, że wbrew swojej klasie społecznej przeszedł na stronę liberałów. Policja usiłowała pójść tropem karafki z wódką, ale ustaliła jedynie, że nie pochodziła z tego samego źródła co wieprz nadziany kuropatwami i że wyborcy z południa nie mieli z tym nic wspólnego. Tajemniczą karafkę znaleziono przypadkiem pod drzwiami kuchennymi w tym samym dniu i o tej samej godzinie, w której przywieziono pieczonego wieprza. Kucharka sądziła, że stanowi ona część składową podarunku. Ani gorliwość policji, ani dochodzenie przeprowadzone na własną rękę przez Severa za pośrednictwem prywatnego detektywa nie doprowadziły do wykrycia zabójców i cień tej zemsty, której tajemnicy nie rozstrzygnięto, pozostał obecny w życiu następnych pokoleń. Był to pierwszy z wielu aktów przemocy, które wycisnęły piętno na losach rodziny del Valle.

Pamiętam to doskonale. Był to dla mnie bardzo szczęśliwy dzień, ponieważ ukazała się nowa żyła - gruba, cudowna żyła, której szukałem przez ten cały czas wypełniony poświęceniem, nieobecnością i oczekiwaniem i która mogła być źródłem upragnionego przeze mnie bogactwa. Byłem pewien, że za sześć miesięcy będę miał dość pieniędzy, żeby się ożenić, a za rok będę mógł zacząć uważać się za bogatego człowieka. Miałem szczęście, bo w interesie górniczym było o wiele więcej takich, którzy doprowadzali się do ruiny, niż takich, co odnosili sukces, o czym mówiłem - a raczej pisałem - tego wieczora Rosie, tak bardzo ogarnięty euforią, tak niecierpliwy, że plątały mi się palce, gdy stukałem na maszynie, i słowa się sklejały. Wtedy właśnie usłyszałem łomotanie do drzwi, które raz na zawsze odebrało mi natchnienie. Był to poganiacz z parą mułów; przyniósł z osady telegram, nadany przez moją siostrę Ferulę, z wiadomością o śmierci Rosy.

Trzykrotnie przeczytałem tekst widniejący na kawałku papieru, nim zdałem sobie sprawę z beznadziejnego położenia, w jakie wtrąciła mnie ta wiadomość. Jedno nigdy nie przyszło mi na myśl - to, że Rosa była istotą śmiertelną. Wiele przecierpiałem myśląc, że znudzona oczekiwaniem na mnie wyjdzie za kogoś innego, że nigdy nie pojawi się ta przeklęta żyła, która miała mi przynieść fortunę, że kopalnia zawali się i zgniecie mnie jak karalucha. Rozważałem wszystkie te możliwości i jeszcze kilka innych, ale nigdy - mimo mojego przysłowiowego pesymizmu, który zawsze każe mi spodziewać się najgorszego - nie liczyłem się z

możliwością śmierci Rosy. Czułem, że bez Rosy życie nie ma dla mnie sensu. Byłem wewnętrznie pusty jak przekłuty balon i straciłem cały entuzjazm. Nie wiem, jak długo siedziałem na krześle patrząc przez okno na pustynię, ale w końcu dusza zaczęła powoli wypełniać ciało. Moją pierwszą reakcją była wściekłość. Z taką siłą rzuciłem się z pięściami na słabe drewniane przepierzenia, że pokrwawiłem sobie nadgarstki, podarłem na tysiąc strzępów listy i rysunki Rosy oraz kopie moich listów, które przechowywałem, pospiesznie powrzucałem do walizek odzież, papiery i brezentowy woreczek, w którym trzymałem złoto, a następnie poszedłem do majstra, któremu przekazałem pieniądze na dniówki dla robotników i klucze do magazynu. Poganiacz mułów zaoferował się towarzyszyć mi na stację kolejową. Przez wiele godzin jechaliśmy nocą na mułach, mając derki kastylijskie za jedyną osłonę przed gęstą, niską mgłą i podążając powoli przez nie kończące się pustkowia, i tylko instynkt mojego przewodnika gwarantował, że dotrzemy na miejsce, bo nie było żadnego punktu odniesienia. Noc była jasna i gwiaździsta; czułem, jak chłód przenika mnie do szpiku kości, jak sztywnieją mi od niego ręce i jak wciska się do samej duszy. Myślałem o Rosie i z irracjonalną zapalczywością pragnąłem, by wiadomość o jej śmierci nie była prawdziwa, błagałem rozpaczliwie niebiosa, by okazała się pomyłką lub by siła mojej miłości przywróciła jej życie i by wstała jak Łazarz z łoża śmierci. Płakałem w głębi duszy, pogrążony w żalu i nocnym chłodzie, przeklinając muła za to, że idzie tak wolno, Ferulę za to, że zwiastuje nieszczęścia, Rosę, że umarła, i Pana Boga, że do tego dopuścił, aż zaczęło jaśnieć na widnokręgu; ujrzałem, jak znikają gwiazdy i wschodzą pierwsze barwy brzasku, farbując krajobraz Północy na czerwono i pomarańczowo, i wraz ze światłem dziennym odzyskałem odrobinę rozsądku. Zacząłem godzić się z nieszczęściem i prosić już nie o to, by zmartwychwstała, lecz jedynie bym zdążył przyjechać na czas i mógł ją ujrzeć, nim zostanie pochowana. Przyspieszyliśmy kroku i w godzinę później poganiacz pożegnał się ze mną na maleńkiej stacji kolei wąskotorowej, łączącej świat cywilizowany z pustynią, na której spędziłem dwa lata.

Podróżowałem ponad trzydzieści godzin nie zatrzymując się nawet na posiłek i zapominając o pragnieniu, i zdążyłem na pogrzeb. Podobno wszedłem do domu rodziny del Valle zakurzony, bez kapelusza, brudny i zarośnięty, spragniony i wściekły, krzycząc i pytając o narzeczoną. Mała Clara, która była wówczas jeszcze chudą i brzydką dziewczynką, wyszła na moje spotkanie na patio, wzięła mnie za rękę i w milczeniu zaprowadziła do jadalni. Rosa leżała tam w białej trumnie pośród falban z białej satyny i choć minęły trzy dni od chwili zgonu, nie było tego po niej widać; stała się tysiąckroć piękniejsza od tej, którą zapamiętałem, bo po śmierci zamieniła się niepostrzeżenie w syrenę, którą zawsze była potajemnie.

- Niech będzie przeklęta! Wymknęła mi się!

Podobno tak mówiłem, krzyczałem, padając obok niej na kolana, czym wywołałem zgorszenie wśród krewnych nieboszczki, bo nikt nie mógł zrozumieć mojej frustracji - a przecież spędziłem dwa lata na rozdrapywaniu ziemi po to tylko, by pewnego dnia, gdy stanę się człowiekiem bogatym, zawieść tę dziewczynę do ołtarza. Jej śmierć sprzątnęła mi to wszystko sprzed nosa.

W chwilę później przyjechała karoca - ogromna, czarna i lśniąca, zaprzężona, jak to było wówczas w zwyczaju, w cztery rumaki z czubami i powożona przez dwóch woźniców w liberii. Wyjechała z domu koło trzeciej po południu, pośród mżawki, a za nią podążała procesja powozów wiozących krewnych, przyjaciół i wieńce. Zgodnie ze

zwyczajem kobiety i dzieci nie brały udziału w pogrzebach, które uważano za rzecz męską, ale Clara w ostatniej chwili zdołała wkręcić się do orszaku i towarzyszyła swej siostrze Rosie. Czułem jej rączkę w rękawiczce, mocno trzymającą się mojej dłoni, i przez całą drogę miałem ją u mego boku - mały cichy cień, który wzbudzał w mojej duszy nie znaną dotąd tkliwość. Wtedy ja również nie zdałem sobie sprawy z tego, że Clara nie powiedziała od dwóch dni ani słowa - dopiero po upływie trzech kolejnych dni jej milczenie zaalarmowało rodzinę.

Severo del Valle i jego starsi synowie ponieśli na noszach białą trumnę ze srebrnymi nitami i sami złożyli ją do wnęki w grobowcu. Szli w żałobnym nastroju, milczący, nie roniąc łez, zgodnie z zasadami obowiązującymi w kraju, w którym ludzie zwykli znosić ból z godnością. Gdy zamknięto kraty grobowca, a przyjaciele i grabarze odeszli, zostałem sam między kwiatami, których nie dosięgły kły Barrabasa i które towarzyszyły Rosie w drodze na cmentarz. Z tańczącymi na wietrze połami surduta, wysoki i chudy - bo taki byłem, nim spełniła się klątwa Feruli i zacząłem maleć - musiałem wyglądać jak jakiś ptak zimowy. Niebo było szare i zapowiadało się na deszcz, przypuszczam, że było zimno, ale chyba go nie czułem, bo zżerała mnie złość. Nie mogłem oderwać wzroku od małego marmurowego prostokąta, na którym wysokimi gotyckimi literami wyryto imię pięknej Rosy, i od dat określających czas jej krótkiego pobytu na tym padole. Myślałem o tym, że straciłem dwa lata marząc o Rosie, pracując dla Rosy, pisując do Rosy, pragnąc Rosy i że w końcu nie spotka mnie nawet ta pociecha, że po śmierci spoczął bym u jej boku. Rozmyślałem o latach życia, które mi pozostały, i doszedłem do wniosku, że bez niej nie warto żyć, ponieważ nigdy w całym wszechświecie nie znajdę kobiety o zielonych włosach i morskiej urodzie. Gdyby mi wtedy powiedziano, że przeżyję z górą dziewięćdziesiąt lat, strzeliłbym sobie w łeb. Nie dosłyszałem kroków stróża cmentarnego, który zaszedł mnie od tyłu. Dlatego byłem zaskoczony, gdy dotknął mojego ramienia.

- Jak śmiesz mnie dotykać? - ryknąłem.

Biedak cofnął się przestraszony. Parę smutnych kropel deszczu spadło na kwiaty umarłych.

- Przepraszam, ale jest szósta i muszę zamknąć cmentarz - tak chyba mi odpowiedział.

Usiłował mi wytłumaczyć, że regulamin zakazuje osobom nie należącym do personelu przebywania na cmentarzu po zachodzie słońca, ale nie pozwoliłem mu dokończyć, wsunąłem parę banknotów i odepchnąłem, by sobie poszedł i zostawił mnie w spokoju. Widziałem, jak odchodzi oglądając się przez ramię. Pewnie pomyślał, że jestem szaleńcem, jednym z tych obłąkanych nekrofilów, którzy od czasu do czasu włóczą się po cmentarzach.

Była to długa noc, może najdłuższa w moim życiu. Spędziłem ją siedząc przy grobie Rosy, rozmawiając z nią, towarzysząc jej na pierwszym etapie podróży w zaświaty, gdy jest najtrudniej oderwać się od ziemi i potrzeba miłości tych, którzy pozostają żywi, aby można było odejść co najmniej w pocieszę, że posiało się coś w cudzym sercu. Przypominałem sobie jej idealnie piękną twarz i przeklinałem swój los. Wypomniałem Rosie te lata, które spędziłem pod ziemią, marząc o niej. Nie powiedziałem jej, że przez ten cały czas nie widziałem żadnych innych kobiet poza paroma nędznymi, podstarzałymi i zużytymi prostytutkami, które obsługiwały cały

obóz, zresztą raczej z życzliwości niż z profesjonalnego powołania. Powiedziałem natomiast, że żyłem między ludźmi nieokrzesanymi i samowolnymi, jadając groch i pijąc zieloną wodę, z dala od cywilizacji, myśląc o niej dzień i noc, nosząc w sercu jej wizerunek jak sztandar, który dodawał mi sił, dzięki czemu ryłem nadal ziemię, nawet wtedy, gdy gubiłem ślad żyły, chorując na żołądek przez większą część roku, trzęsąc się z zimna w nocy i doznając z gorąca halucynacji w dzień, wszystko tylko po to, żeby się z nią ożenić, a tymczasem ona odeszła, umarła zdradziecko, nim mogłem urzeczywistnić moje marzenia, i pozostawiła mnie w stanie nieuleczalnej rozpaczy. Powiedziałem, że zakpiła sobie ze mnie, wypomniałem, że nigdy nie byliśmy zupełnie sami, że tylko raz mogłem ją pocałować. Musiałem tkać miłość ze wspomnień i naglących, ale nie zaspokojonych pragnień, spóźnionych i wyblakłych listów, które nie mogły wyrazić namiętności moich uczuć ani bólu spowodowanego jej nieobecnością, bo nie mam talentu w dziedzinie twórczości epistolarnej, a już tym bardziej nie potrafię pisać o własnych emocjach. Powiedziałem, że lata spędzone w kopalni były czasem nieodwracalnie straconym, że gdybym wiedział, iż pozostanie tak krótko na tym świecie, to ukradłbym pieniądze, które były potrzebne, by się z nią ożenić, i zbudowałbym za nie pałac ozdobiony skarbami z dna morza: koralami, perłami, masą perłową, do którego ona zostałaby uprowadzona, a dostęp miałbym tylko ja. Kochałbym ją nieprzerwanie i niemal w nieskończoność, bo jestem pewien, że gdyby była ze mną, nie wypiłaby trucizny przeznaczonej dla ojca i żyłaby tysiąc lat. Mówiłem o pieszczotach, jakie miałem dla niej zarezerwowane, podarunkach, którymi chciałem sprawić jej niespodziankę, o tym, w jaki sposób rozkochałbym ją w sobie i uczynił szczęśliwą. W sumie więc powiedziałem jej wszystkie szalone słowa, których nigdy nie wypowiedziałbym, gdyby mogła mnie usłyszeć, i których nie usłyszała ode mnie żadna kobieta.

Tej nocy wydawało mi się, że straciłem na zawsze zdolność kochania, że nigdy więcej nie będę mógł się śmiać ani żywić złudzeń. Lecz nigdy więcej to bardzo długo. Mogłem przekonać się o tym w ciągu mojego długiego życia.

Odnosiłem wrażenie, że wściekłość narasta we mnie jak złośliwy nowotwór, kalając najlepsze godziny mojego istnienia, i że przestaję być zdolny do okazywania czułości lub łaski. Lecz uczuciem najsilniejszym - silniejszym niż konfuzja i złość, które, jak pamiętam, trawiły mnie tej nocy - było nie spełnione pożądanie, ponieważ nigdy już nie miało spełnić się gorące pragnienie, by moje dłonie mogły gładzić ciało Rosy, przenikać jego tajemnice, rozpuszczać zielone źródło włosów i pogrążać się w jego najgłębszych wodach. Przywołałem desperacko jej ostatni obraz, leżącej wśród satynowych falban w dziewiczej trumnie, w narzeczeńskiej koronie z kwiatów pomarańczy i z różańcem między palcami. Nie wiedziałem, że taką samą, z kwiatami pomarańczy i różańcem, ujrzę ją przelotnie raz jeszcze, wiele lat później.

Wraz z pierwszym brzaskiem dnia wrócił stróż. Musiał czuć litość do tego na wpół zamarzniętego szaleńca, który spędził noc wśród sinych cmentarnych zjaw. Podał mi manierkę.

- Gorąca herbata, proszę pana. Proszę się napić - rzekł.

Odepchnąłem go jednak i złorzecząc z wściekłości odszedłem długim krokiem ścieżką między grobami i cyprysami.

Tej nocy, kiedy doktor Cuevas i jego asystent wypatroszyli zwłoki Rosy w kuchni, szukając przyczyny jej śmierci, Clara leżała w łóżku z otwartymi oczyma, drżąc w ciemnościach. Miała straszne poczucie, że siostra umarła dlatego, iż ona to przepowiedziała. Mniemała, że tak jak siła jej umysłu może poruszyć solniczkę, może również spowodować śmierć, trzęsienie ziemi i inne wielkie nieszczęścia. Na próżno matka tłumaczyła jej, że nie może powodować zdarzeń, a jedynie widzieć je z pewnym wyprzedzeniem. Była bardzo smutna i czuła się winna, i przyszło jej na myśl, że gdyby mogła być z Rosą, czułaby się lepiej. Wstała i boso, w samej koszuli, udała się do sypialni, którą dzieliła ze starszą siostrą, lecz nie zastała jej w łóżku, gdzie widziała ją po raz ostatni. Wszędzie było ciemno i panowała cisza. Matka spała odurzona narkotykiem, który zaaplikował jej doktor Cuevas, a rodzeństwo i służba rozeszli się wcześnie po swoich pokojach. Obeszła salony, prześlizgując się pod ścianami przestraszona i zziębnięta. Wiało grozą od ciężkich mebli, grubych udrapowanych kotar, obrazów wiszących na ścianach, tapet w kwiaty na szarym tle, zgaszonych lamp pod sufitami i paproci na fajansowych kolumnach. Zauważyła, że przez szparę pod drzwiami prowadzącymi do salonu pada światło i miała zamiar tam wejść, ale przestraszyła się, że spotka ojca, który każe jej wrócić do łóżka. Skierowała się więc do kuchni, mając nadzieję, że znajdzie pocieszenie na piersi Nany. Przeszła przez główne patio, między kameliami i karłowatymi drzewami pomarańczowymi, przez salony w drugiej części domu i ciemne, otwarte korytarze, w których blado świeciły gazowe latarnie, palące się przez całą noc, aby ułatwić ucieczkę w razie trzęsienia ziemi i odstraszać nietoperze i nocne owady, i dotarła na trzecie patio, gdzie znajdowały się pomieszczenia służbowe i kuchnie. Dom zatracał tam pański wygląd i zaczynał się nieład psiarni, kurników i pokojów służby. Dalej znajdowała się stajnia, w której trzymano stare konie, używane jeszcze przez Niveę, chociaż Severo del Valle jako jeden z pierwszych kupił samochód. Drzwi i okiennice kuchni i izby kredensowej były zamknięte. Instynkt ostrzegł Clarę, że dzieje się tam coś nienormalnego; usiłowała zajrzeć przez okno, lecz nie sięgnęła nosem parapetu, więc musiała przyciągnąć pod ścianę skrzynię, na którą się wspięła; teraz mogła zajrzeć przez szparę między okiennicą a ramą okienną, wypaczoną z wilgoci i ze starości. Ujrzała wnętrze kuchni.

Doktor Cuevas - to dobroduszne i łagodne chłopisko z szerokim podbródkiem i obfitym brzuchem, które pomogło jej przyjść na świat i czuwało nad nią podczas wszystkich lekkich dziecięcych chorób oraz ataków astmy - zamienił się w grubego, obskurnego wampira z ilustracji w książkach wuja Marcosa. Pochylał się nad stołem, na którym Nana przygotowywała posiłki. Miał u swego boku nie znanego młodzieńca, bladego jak księżyc, w koszuli poplamionej krwią i z oczyma pełnymi nieprzytomnej miłości. Ujrzała niezwykle białe nogi i gołe stopy siostry. Zaczęła drżeć. W tej samej chwili doktor Cuevas odsunął się i mogła zobaczyć horrendalne widowisko: Rosę leżącą na marmurowym stole, głęboko rozciętą z góry na dół, a obok niej, w półmisku na sałatę, jelita. Rosa miała głowę odwróconą ku oknu, przez które zaglądała Clara; jej bardzo długie zielone włosy spływały jak paproć ze stołu na płytki podłogowe, poplamione na czerwono. Miała zamknięte oczy, lecz pod wpływem cieni, odległości lub wyobraźni dziewczynce wydawało się, że dostrzega w nich błaganie i poniżenie.

Clara, stojąc nieruchomo na skrzyni, nie mogła do końca oderwać wzroku od tej sceny. Była tam podglądając przez szparę i nie zdając sobie sprawy, że coraz bardziej ziębnie, aż wreszcie dwaj mężczyźni zakończyli wypróżnianie ciała Rosy, wstrzyknęli jej płyn do żył i umyli wewnątrz i na zewnątrz aromatycznym octem i esencją z lawendy. Była, gdy nadziewali ją plastrem i zszywali krzywą igłą używaną

przez tapicerów. Była, gdy doktor Cuevas mył ręce w zlewozmywaku i ścierał łzy z twarzy, a jego pomocnik zmywał krew i zbierał trzewia. Była, gdy lekarz wychodząc narzucił na siebie czarny surdut ruchem, który wyrażał śmiertelny smutek. Była, gdy nieznajomy młody człowiek ucałował Rosę w usta, szyję, piersi i między nogami, umył ją gąbką, założył jej haftowaną koszulę i uczesał włosy, sapiąc przy tym przez cały czas. Była, gdy przyszli Nana i doktor Cuevas i ubrali ją w biały strój i koronę z kwiatów pomarańczy, którą przechowywała zawiniętą w bibułkę, bo miała ją włożyć w dzień zaślubin. Była, gdy asystent doktora uniósł ją w ramionach z taką samą wzruszającą czułością, z jaką przenosiłby ją po raz pierwszy przez próg domu, gdyby go poślubiła. Była tam nie ruszając się z miejsca, dopóki nie zaczęło świtać. Wtedy udała się do łóżka, czując wewnątrz całą ciszę świata. Milczenie wypełniło ją całkowicie i przemówiła dopiero w dziewięć lat później, gdy oświadczyła, że wychodzi za mąż.

LAS TRES MARIAS

W jadalni, pośród niemodnych i podniszczonych mebli, które w dalekiej przeszłości stanowiły okazy epoki wiktoriańskiej, Esteban Trueba spożywał jak co wieczór z siostrą Ferulą tę samą tłustą zupę i tę samą co w każdy piątek niesmaczną rybę. Usługiwała im kobieta, która zgodnie z ówczesnym obyczajem posiadania płatnych niewolników była u nich na służbie przez całe życie. Ta stara kobieta krążyła bez przerwy między kuchnią a jadalnią, pochylona i na wpół ślepa, lecz jeszcze pełna energii, uroczyście wnosząc i wynosząc potrawy. Doña Ester Trueba nie towarzyszyła dzieciom przy stole. Spędzała przedpołudnia przy oknie, siedząc nieruchomo na krześle i patrząc na ulicę; widziała, jak z upływem lat ulega zaniedbaniu dzielnica, która w czasach jej młodości uchodziła za elegancką. Po obiedzie przenoszono ją do łóżka i układano w pozycji na wpół siedzącej, bo tylko na to pozwalało zapalenie stawów, i pozostawała tam jedynie w towarzystwie żywotów świętych i książeczek o czynionych przez nich cudach, które czytała z nabożeństwem. Trwało to aż do następnego dnia, kiedy wszystko powtarzało się zgodnie z tą samą rutyną. Wychodziła z domu tylko na niedzielną mszę w kościele pod wezwaniem św. Sebastiana, odległym o dwie przecznice, dokąd w fotelu na kółkach zawoziły ją Ferula i służąca.

Spomiędzy gmatwaniny ości Esteban wygrzebał resztę białawego mięsa rybiego i położył sztućce na talerzu. Jak zwykle siedział sztywno, podobnie jak chodził, wyprostowany, z głową lekko odrzuconą do tyłu i nieco przechyloną na bok, patrząc z ukosa w sposób, który był mieszaniną wyniosłości, nieufności i krótkowzroczności. Spojrzenie to byłoby niemiłe, gdyby jego oczy nie były tak zaskakująco łagodne i jasne. Tak sztywna postawa byłaby właściwsza w przypadku niskiego grubasa, który pragnie wyglądać na wyższego, on zaś mierzył metr osiemdziesiąt i był bardzo chudy. Wszystkie linie jego ciała były pionowe i wstępujące, od ostrego orlego nosa i szpiczastych brwi po wysokie czoło, uwieńczone lwią grzywą, którą zaczesywał do tyłu. Miał długie kości, a palce u rąk szpatułkowate. Chodził długim krokiem, poruszał się z energią i wydawał się bardzo silny, choć jego gestom nie brakowało pewnego wdzięku. Miał bardzo harmonijne rysy mimo oschłego i posępnego wyrazu twarzy i częstych oznak złego humoru. Właśnie zły humor i skłonność do gwałtownych odruchów i tracenia głowy cechowały go od dziecka, kiedy to rzucał się na ziemię z pianą na ustach i nie mógł oddychać ze złości, wierzgając jak opętany. Trzeba było zanurzać go w lodowatej wodzie, aby oprzytomniał. Potem nauczył się panować nad

sobą, lecz przez całe życie łatwo popadał w gniew - wystarczył bardzo niewielki bodziec, a już miał straszny atak wściekłości.

- Nie wrócę do kopalni - rzekł.

Były to pierwsze słowa, jakie zamienił przy kolacji z siostrą. Decyzję podjął poprzedniego wieczora, gdy zdał sobie sprawę, że nie warto już dłużej wieść życia pustelnika po to, by szybko się wzbogacić. Miał koncesję jeszcze na dwa lata, a więc dość czasu na zbadanie cudownej żyły, którą odkrył, ale postanowił, że nie zaszyje się ponownie na pustyni, nawet jeśli majster miałby go trochę okradać lub nie pracować tak intensywnie jak on sam. Nie pragnął zdobyć majątku za cenę aż tylu wyrzeczeń. Jeśli było mu dane wzbogacić się, to miał przecież przed sobą długie lata życia bez Rosy, w nudzie i oczekiwaniu na śmierć.

- Będziesz musiał podjąć się jakiejś pracy, Estebanie - odparła Ferula. - Wiesz, że nasze wydatki są bardzo skromne, prawie żadne, lecz lekarstwa dla mamy dużo nas kosztują.

Esteban popatrzył na siostrę. Była jeszcze piękną kobietą, o obfitych kształtach i owalnej twarzy rzymskiej Madonny, ale przez jej bladą skórę o morelowym połysku i z oczu pełnych cieni wyzierała już brzydota rezygnacji. Ferula pogodziła się z rolą pielęgniarki przy matce. Sypiała w pokoju przyległym do sypialni doni Ester, gotowa przybiec do niej w każdej chwili z wywarami leczniczymi, podstawić basen, poprawić poduszki. Miała udręczoną duszę. Gustowała w poniżeniu i nikczemnych pracach, wierzyła, że zasłuży na niebo cierpiąc straszliwe niegodziwości, i dlatego znajdowała upodobanie w czyszczeniu krost na chorych nogach matki, myciu, pogrążaniu się w jej zapachach i nieszczęściach, zaglądaniu do nocnika. Jak nienawidziła samej siebie za te zboczone i nieprzyzwoite rozkosze, tak też żywiła nienawiść do matki za to, że służy jej za narzędzie. Zajmowała się nią nie narzekając, lecz w subtelny sposób kazała jej płacić za inwalidztwo. Choć nigdy nie było o tym mowy, obie dobrze wiedziały, że córka poświęciła swoje życie opiece nad matką i z tego powodu została starą panną. Odrzuciła dwóch narzeczonych pod pretekstem choroby matki. Nie mówiła o tym, lecz wszyscy to wiedzieli. Była kobietą o raptownych, nieokrzesanych gestach i równie złym charakterze jak brat, lecz życie i kobieca kondycja zmusiły ją do panowania nad sobą i hamowania się. Sprawiała wrażenie osoby tak doskonałej, że zyskała sobie famę świętej. Podawano ją za wzór ze względu na poświęcenie, jakie okazywała doni Ester, i na to, że wychowała jedynego brata, gdy matka rozchorowała się, a ojciec umarł pozostawiając ich w nędzy. Uwielbiała Estebana, gdy był dzieckiem. Sypiała z nim, kąpała go, zabierała na spacery, pracowała od wschodu do zachodu słońca szyjąc cudzą odzież, aby opłacić jego szkołę, i płakała ze złości i niemocy w dniu, w którym Esteban musiał pójść do pracy u jakiegoś notariusza, ponieważ jej zarobki nie wystarczały na życie. Opiekowała się nim i usługiwała mu tak, jak teraz czyniła to wobec matki, i jego również owinęła niewidzialną siecią, utkaną z poczucia winy i niespłacalnych długów wdzięczności. Chłopiec zaczął oddalać się od niej, gdy tylko przywdział długie spodnie. Esteban pamiętał dokładnie chwilę, w której zdał sobie sprawę, że siostra jest złowieszczym cieniem. Stało się to, gdy otrzymał pierwszą wypłatę. Postanowił zatrzymać pięćdziesiąt centów, aby uczynić to, co było jego marzeniem od dzieciństwa: napić się kawy parzonej po wiedeńsku. Przez okna Hotelu Francuskiego widywał kelnerów, którzy chodzili z tacami na głowie roznosząc skarby - wysokie kryształowe szklanki z koronami bitej śmietany, udekorowane cudowną mrożoną wiśnią. W dniu, w którym

dostał pierwszą wypłatę, kilkakrotnie przespacerował się przed hotelem, nim nabrał odwagi. W końcu, z beretem w ręku, przekroczył nieśmiało próg i wszedł do luksusowej restauracji, między kandelabrami i stylowymi meblami, z poczuciem, że wszyscy nań patrzą i tysiącem oczu taksują za ciasny garnitur i stare buty. Z płonącymi uszami usiadł na brzegu krzesła i speszonym głosem złożył zamówienie u kelnera. Czekał z niecierpliwością, szpiegując w lustrach ludzi chodzących tam i z powrotem, delektując się zawczasu przyjemnym smakiem, który tylekroć sobie wyobrażał. W końcu przyniesiono jego kawę po wiedeńsku, która zrobiła na nim jeszcze większe wrażenie, niż się tego spodziewał - wyniosłą, pyszną, z trzema miodowymi ciasteczkami. Długo przyglądał się jej zafascynowany. W końcu odważył się wziąć do ręki długą łyżeczkę i wzdychając ze szczęścia utopił ją w kremie. Ciekła mu ślinka. Pragnął, by ta chwila trwała jak najdłużej, był gotów przeciągać ją w nieskończoność. Zaczął mieszać patrząc, jak ciemna ciecz na dnie szklanki wsącza się w bitą śmietanę. Mieszał, mieszał, mieszał... I nagle koniec łyżeczki uderzył w kryształ i wybił w nim dziurę, przez którą rozlała się kawa. Pociekła na ubranie. Esteban ujrzał z przerażeniem, jak cała zawartość szklanki rozlewa się po jego jedynym garniturze, na oczach rozbawionych gości siedzących przy sąsiednich stolikach. Wstał blady, sfrustrowany i wyszedł z Hotelu Francuskiego, mając w kieszeni o pięćdziesiąt centów mniej i pozostawiając za sobą na miękkich dywanach strugę wiedeńskiej kawy. Przyszedł do domu w poplamionym ubraniu, wściekły, zmieniony na twarzy. Ferula, dowiedziawszy się, co mu się przytrafiło, skomentowała kwaśno: „Bóg cię pokarał za to, że pieniądze na lekarstwa dla mamy wydajesz na swoje zachcianki”. W tym momencie Esteban przejrzał na wylot metody, które stosowała siostra, by nad nim panować i podtrzymywać w nim poczucie winy, i zrozumiał, że musi się ratować. W miarę jak wymykał się spod kurateli, Ferula odnosiła się do niego z coraz większą antypatią. Jego wolność bolała ją jak wyrzut sumienia i niesprawiedliwość. Gdy zakochał się w Rosie i zrozpaczony jak dzieciak prosił siostrę o pomoc, uganiał się za nią po domu, błagał, żeby nawiązała kontakt z rodziną del Valle, porozmawiała z Rosą, przekupiła Nanę - poczuła, że znów jest ważna dla Estebana. Przez pewien czas wyglądało na to, że się pogodzili. Lecz okazało się to tylko przelotnym wrażeniem i rychło Ferula uświadomiła sobie, że została wykorzystana. Ucieszyła się, gdy brat postanowił wyjechać do kopalni. Odkąd, w wieku piętnastu lat, zaczął pracować, utrzymywał dom i podjął zobowiązanie, że będzie to czynił zawsze, lecz Feruli to nie wystarczało. Dolegała jej konieczność pozostawania w zamknięciu, między ścianami cuchnącymi od starości i lekarstw, zrywania się ze snu na odgłos jęków chorej matki, nieustannego spoglądania na zegar, by o właściwej godzinie podać lekarstwa; była znudzona, zmęczona, smutna, brat zaś nie poczuwał się do tego rodzaju obowiązków. Miał prawo do świetlanego, wolnego życia pełnego sukcesów. Mógł się ożenić, mieć dzieci, zaznać miłości. W dniu, w którym wysłała do niego telegram z wiadomością o śmierci Rosy, doznała dziwnych, niemal miłych łaskotek.

- Będziesz musiał podjąć się jakiejś pracy - powtórzyła Ferula.

- Dopóki będę żył, nigdy niczego wam nie zabraknie - rzekł.

- Łatwo to powiedzieć - odparła Ferula wyjmując ość z zębów.

- Chyba wyjadę na wieś, do Las Tres Marias.

- To ruina, Estebanie. Zawsze mówiłam ci, że lepiej byłoby sprzedać tę ziemię, ale ty jesteś uparty jak osioł.

- Nigdy nie należy sprzedawać ziemi. To jedyne, co zostaje, gdy wszystko inne się kończy.

- Nie zgadzam się z tobą. Ziemia to romantyczna idea, a bogactwo przynosi ludziom umiejętność robienia interesów - dowodziła Ferula. - Ale ty zawsze mówiłeś, że pewnego dnia przeniesiesz się na wieś.

- Nadszedł czas. Nienawidzę tego miasta.

- Dlaczego nie powiesz raczej, że nienawidzisz tego domu:

- Jego również - odpowiedział brutalnie.

- Chciałabym urodzić się mężczyzną, żeby też móc wyjechać - powiedziała głosem pełnym nienawiści.

- A ja nie chciałbym urodzić się kobietą - odparł. Skończyli jeść w milczeniu.

Oddalili się już bardzo od siebie i jedyne, co ich jeszcze łączyło, to obecność matki i zacierające się wspomnienie miłości, którą darzyli się w dzieciństwie. Wyrośli w zrujnowanym domu, będąc świadkami moralnego i materialnego upadku ojca, a następnie powolnych postępów choroby matki. Doña Ester zaczęła cierpieć na zapalenie stawów we wczesnej młodości, z biegiem czasu coraz bardziej sztywniała i poruszała z coraz większym trudem, aż w końcu, gdy nie mogła już zginać kolan, pogrążyła się w fotelu na kółkach, wdowieństwie i beznadziei. Esteban wspominał dzieciństwo i młodość, przyciasne garnitury, sznur św. Franciszka, który kazano mu nosić z powodu, Bóg raczy wiedzieć, jakich ślubów poczynionych przez matkę lub siostrę, troskliwie cerowane koszule i samotność. Ferula, starsza o pięć lat, dwa razy dziennie prała i krochmaliła dwie koszule, które posiadał, by zawsze wyglądał schludnie i dobrze się prezentował, i przypominała mu, że po linii matki nosi nazwisko, które było najszlachetniejsze i najznakomitsze w wicekrólestwie Limy. Trueba był tylko żałosnym przypadkiem w życiu doni Ester, której przeznaczeniem było wyjście za kogoś należącego do tej samej co ona klasy, ale zakochała się bez opamiętania w tym postrzeleńcu, imigrancie w pierwszym pokoleniu, który w ciągu paru lat roztrwonił posag, a następnie spadek. Lecz Estebanowi na nic nie zdawała się błękitna krew przodków, gdy nie było czym uregulować rachunków w sklepie i musiał chodzić pieszo do szkoły, ponieważ nie miał na tramwaj. Pamiętał, że kiedy szedł na lekcje, wpychano mu pod koszulę stare gazety, gdyż nie miał wełnianej bielizny, a płaszcz był w żałosnym stanie, i że cierpiał wyobrażając sobie, iż koledzy mogą usłyszeć szelest papieru ocierającego się o jego ciało. Zimą jedynym źródłem ciepła był żarownik w pokoju matki, w którym zbierali się we trójkę, aby zaoszczędzić świece i węgiel. Jego dzieciństwo upłynęło pośród niedostatków, niewygód, oschłości, nie kończących się nocnych różańców, lęku i winy. Z tego wszystkiego nie pozostało mu nic poza złością i bezgraniczną dumą.

W dwa dni później Esteban Trueba wyjechał na wieś. Ferula odprowadziła go na stację. Na pożegnanie pocałowała go ozięble w policzek i odczekała, aż wsiądzie do pociągu objuczony dwiema skórzanymi walizkami z zamkami z brązu - tymi samymi,

które kupił, gdy wyjeżdżał do kopalni, i które, jak zapewnił sprzedawca, miały mu służyć do końca życia. Poprosiła, żeby uważał na siebie i postarał się od czasu do czasu odwiedzać ją i matkę; powiedziała, że będzie za nim tęsknić, ale oboje wiedzieli, że ich przeznaczeniem jest nie widzieć się przez wiele lat, i w głębi duszy czuli z tego powodu pewną ulgę.

- Zawiadom mnie, jeśli stan zdrowia mamy się pogorszy!

- zawołał Esteban przez okno, gdy ruszał pociąg.

- Nie martw się! - odkrzyknęła mu Ferula, machając z peronu chusteczką.

Esteban Trueba osunął się na siedzenie pokryte czerwonym aksamitem i podziękował Anglikom za to, że wpadli na pomysł produkcji wagonów pierwszej klasy, w których mógł podróżować, jak przystało na panicza, bez potrzeby znoszenia obecności kur, koszyków, tekturowych pudeł przewiązanych sznurkiem oraz płaczu cudzych dzieci. Pogratulował sobie decyzji wykupienia po raz pierwszy w życiu droższego biletu i stwierdził, że różnica między paniczem a wieśniakiem polega na drobiazgach. Dlatego powziął postanowienie, że choćby odtąd był w ciężkiej sytuacji materialnej, będzie ponosił wydatki na drobne wygody, dzięki którym może czuć się człowiekiem bogatym.

- Nie mam zamiaru być ponownie biedakiem! - powiedział do siebie, myśląc o złotej żyle.

Przez okno pociągu oglądał krajobraz środkowej doliny - rozległe pola u stóp kordyliery, urodzajne winnice, łany pszenicy, lucernę i nagietki. Porównał ten krajobraz z pustynnymi równinami północy, gdzie spędził dwa lata w dziurze w ziemi, w dzikim, księżycowym krajobrazie, którego przerażające piękno podziwiał niestrudzenie, zafascynowany barwami pustyni - błękitem, fioletem, żółcią minerałów leżących na powierzchni ziemi.

- Życie mnie zmienia - wymamrotał. Zamknął oczy i usnął.

Wysiadł na stacji San Lucas. Była to nędzna dziura. O tej godzinie na drewnianym peronie osłoniętym dachem, który zniszczyły niepogoda i mrówki, nie było żywej duszy. Z peronu, przez nieuchwytną mgłę wznoszącą się nad ziemią zamokłą od nocnego deszczu, można było obejrzeć całą dolinę. Odległe góry ginęły w chmurach; na zamazanym tle krajobrazu wyróżniał się tylko ośnieżony czubek wulkanu, oświetlony nieśmiało przez promienie zimowego słońca. Rozejrzał się wokół. W dzieciństwie, jedynym szczęśliwym okresie życia, który utkwił mu w pamięci, nim ojciec doprowadził się do zupełnej ruiny, popadł w alkoholizm i zaczął wstydzić się samego siebie - jeździł z nim po okolicy na koniu. Pamiętał, że w miesiącach letnich bawił się w Las Tres Marias, lecz upłynęło tyle lat, że szczegóły zatarły mu się w pamięci i nie rozpoznawał już okolicy. Odszukał wzrokiem osadę San Lucas i w dali dostrzegł zabudowania rozmazane w porannej mgle. Obszedł stację. Drzwi jedynego biura były zamknięte na kłódkę. Wisiało na nich jakieś ogłoszenie napisane ołówkiem, ale tak niewyraźnie, że nie mógł go odczytać. Usłyszał, jak za jego plecami rusza pociąg; oddalał się pozostawiając za sobą słup białego dymu. Był sam na tym cichym odludziu.

Podniósł walizki i ruszył przed siebie kamienistą i gliniastą ścieżką, która prowadziła do osady. Szedł ponad dziesięć minut, wdzięczny losowi, że nie pada, ponieważ drogą tą trudno było podążać z ciężkimi walizkami, a deszcz zamieniłby ją w ciągu kilku sekund w bajoro nie do przebycia. Podchodząc do osady ujrzał dym wydobywający się z paru kominów i odetchnął z ulgą, gdyż początkowo miał wrażenie, że wioska jest opuszczona - tak była podupadła i smętna.

Zatrzymał się u wejścia do osady, nikogo nie widząc wokół. Na jedynej ulicy, wzdłuż której stały skromne domy z nie wypalonej cegły, panowała cisza i odnosił wrażenie, że maszeruje we śnie. Podszedł do najbliższego domu, w którym nie było ani jednego okna, a drzwi stały otworem. Zostawił walizki na chodniku i wszedł do środka wołając głośno. Wewnątrz było ciemno, bo światło wpadało tylko przez drzwi, tak że potrzebował paru sekund, aby wzrok przywykł do półmroku. W końcu dostrzegł dwoje dzieci, które bawiły się na klepisku i patrzyły nań z lękiem w oczach, a na tylnym podwórku kobietę, która nadchodziła wycierając dłonie w fartuch. Na jego widok instynktownym gestem próbowała uporządkować kosmyk włosów spadający na czoło. Pozdrowił ją, a ona odpowiedziała zasłaniając dłonią usta, by ukryć bezzębne dziąsła. Trueba wyjaśnił, że chce wynająć bryczkę, ale zdawała się nie rozumieć jego słów i tylko zgarnęła dzieci w fałdy fartucha, patrząc na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem. Wyszedł więc, zabrał walizki i ruszył dalej.

Gdy już obszedł prawie całą osadę nikogo nie napotykając i zaczynał się denerwować, usłyszał za plecami odgłos końskich kopyt. Rozlatującą się dwukółką nadjeżdżał drwal. Trueba stanął mu na drodze i zmusił do zatrzymania się.

- Czy możecie zawieźć mnie do Las Tres Marias? Dobrze zapłacę! - zawołał.

- Po co panicz chce tam jechać? - zapytał drwal. - To ziemia niczyja, dzika okolica.

Zgodził się jednak podwieźć go i pomógł umieścić bagaże między wiązkami drewna. Trueba usiadł obok niego na koźle. Z kilku domów wyszły dzieci i pobiegły za wozem. Trueba poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Po jedenastu kilometrach jazdy z San Lucas zdewastowaną, wyboistą drogą, na której powyrastały krzaki, pojawiła się drewniana tablica z nazwą majątku. Wisiała na zerwanym łańcuchu i przy podmuchach wiatru obijała się o słup z głuchym łoskotem, który zabrzmiał Truebie w uszach jak żałobny werbel. Wystarczył jeden rzut oka, by przekonać się, że tylko Herkules mógłby podołać zapuszczeniu. Drogę porosły chwasty i gdziekolwiek spojrzał, widział skały i zarośla. Nie było śladu pól uprawnych ani winnic, które pamiętał, i nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Wóz jechał wolno ścieżką wydeptaną wśród krzaków przez bydło i ludzi. Po chwili dostrzegł dworek, który stał jeszcze, ale wyglądał koszmarnie, gdyż wokół było pełno gruzu, resztek drucianego ogrodzenia, śmieci. Połowa dachówek była połamana, a pnącza dzikich roślin wdzierały się przez okna i pokrywały prawie wszystkie ściany. Za domem ujrzał kilka chat z nie bielonej i nie wypalonej cegły, bez okien i pokrytych czarną od sadzy słomą. Na podwórzu walczyły ze sobą zażarcie dwa psy.

Skrzypienie kół wozu i przekleństwa drwala zwabiły mieszkańców, którzy powoli wychodzili z chat. Przyglądali się przybyszom ze zdziwieniem i nieufnością. Od piętnastu lat nie widzieli na oczy właściciela i po prostu doszli do wniosku, że go nie mają. W wysokim mężczyźnie o władczym wyglądzie nie rozpoznali chłopca z

kasztanowymi kędziorami, który dawno temu bawił się tu przed domem. Esteban przyjrzał im się i też nikogo nie poznał. Była to żałosna gromadka. Ujrzał kilka kobiet w nieokreślonym wieku, pomarszczonych i suchych; niektóre wyglądały na ciężarne, wszystkie zaś były odziane w bezbarwne łachmany i bose. Dopatrzył się co najmniej tuzina dzieci w różnym wieku. Najmłodsze były nagie. Te, które nie miały odwagi wyjść, wychylały głowy zza progów. Esteban pozdrowił ludzi gestem dłoni, ale nikt mu nie odpowiedział. Kilkoro dzieci uciekło przed nim i pochowało się za plecami kobiet.

Esteban zszedł z wozu, zdjął walizki i wręczył drwalowi parę monet.

- Jeśli chcecie, panie, poczekam na was - rzekł drwal.

- Nie. Ja tu zostanę.

Ruszył w stronę domu, jednym pchnięciem otworzył drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz było dość światła, ponieważ promienie porannego słońca przenikały przez porozbijane okiennice i dziury w dachu, między porozsuwanymi dachówkami. Pełno tu było kurzu i pajęczyn, wszystko było zupełnie zapuszczone i nie ulegało wątpliwości, że przez te długie lata żaden chłop nie odważył się zamienić swojej chaty na duży a pusty dwór. Mebli, które pamiętał z dzieciństwa, nie tknięto i stały na swoim miejscu, ale były brzydsze, ponure i w porównaniu z tym, co zapamiętał, podniszczone. W całym budynku podłogę pokrywała gruba warstwa zielska, kurzu i suchych liści. Pachniało grobem. Wściekle zaszczekał wychudzony pies, ale Esteban Trueba nie zwrócił na niego uwagi i w końcu pies, zniechęcony, odszedł w kąt i zaczął się iskać. Esteban postawił walizki na stole i udał się na obchód domu, walcząc ze smutkiem, który go ogarniał. Przeszedł przez wszystkie pokoje i obejrzał zniszczenia, poczynione przez upływ czasu, ubóstwo i brud, i pomyślał sobie, że jest to dziura o wiele gorsza niż kopalnia. Kuchnia była obszerna, ale brudna, wysoka, ze ścianami pokrytymi pleśnią i sczerniałymi od dymu, ponieważ ongiś palono w niej drewnem i węglem - jednym słowem w ruinie; z paru gwoździ wbitych w ściany zwisały nadal miedziane i żelazne rondle i patelnie, których nie używano ani nie tknięto od piętnastu lat. W sypialniach stały te same łóżka i wielkie szafy z lustrami, które ojciec kupił w dawnych czasach, ale z materaców pozostała tylko kupa zgniłej wełny, w której gnieździło się kilka pokoleń insektów. Usłyszał cichą bieganinę szczurów nad kasetonowym sufitem. Nie mógł ustalić, czy podłoga jest z desek, czy Z kamiennych płyt, ponieważ nie było jej widać spod grubej warstwy brudu. Szary kurz zacierał kontury mebli. W pomieszczeniu służącym dawniej za salon stało jeszcze niemieckie pianino ze złamaną nogą i żółtymi klawiszami, które, gdy się je nacisnęło, wydawały dźwięk przypominający fałszywe tony klawesynu. Na regałach leżały książki, których tytuły na grzbietach były nieczytelne, a kartki pożarła wilgoć, na podłodze zaś poniewierały się bardzo stare czasopisma porozrzucane przez wiatr. Z foteli wychodziły sprężyny, a w tym, w którym siadywała matka i robiła na drutach, dopóki choroba nie sprawiła, że jej ręce powyginały się jak haki, było gniazdo myszy.

Esteban, obszedłszy dom, pozbierał myśli. Wiedział już, że ma do wykonania tytaniczną pracę, gdyż jeśli dom jest tak zaniedbany, to nie należało się spodziewać, że reszta posiadłości będzie w lepszym stanie. Przez chwilę miał nawet zamiar załadować walizki na wóz i wrócić tą samą drogą, którą przyjechał, lecz zdecydowanie odrzucił myśl o tym i uznał, że jeśli cokolwiek może ukoić żal i złość po stracie Rosy, to tylko znojna praca na tej zrujnowanej ziemi. Zdjął płaszcz,

odetchnął głęboko i wyszedł na podwórze, na którym stał drwal w otoczeniu parobków; trzymali się wobec Trueby na dystans z nieśmiałością właściwą ludziom ze wsi. Obserwowali się wzajemnie z zaciekawieniem. Trueba ruszył ku nim i spostrzegł, że grupa cofa się. Przyjrzał się niechlujnym i obdartym wieśniakom i usiłował uśmiechnąć się przyjaźnie do zasmarkanych dzieci, kaprawych starców i kobiet, które straciły już wszelką nadzieję, lecz uśmiech zamienił się w grymas.

- Gdzie są mężczyźni? - zapytał.

Wystąpił jedyny obecny w grupie młodzieniec. Prawdopodobnie był rówieśnikiem Estebana Trueby, choć wyglądał na starszego.

- Wyszli - odparł.

- Jak się nazywasz?

- Pedro Drugi Garcia - powiedział młody człowiek.

- Teraz ja tu jestem panem. Święto się skończyło. Bierzemy się do roboty. Komu się nie podoba, niech się zaraz stąd zabiera. Kto zostanie, ten będzie miał co jeść, ale będzie musiał się starać. Nie chcę ludzi słabych ani zuchwałych, słyszycie?

Patrzyli nań ze zdumieniem. Nie zrozumieli nawet połowy z tego, co powiedział, ale po tonie potrafili rozpoznać pana.

- Zrozumieliśmy, panie dziedzicu - rzekł Pedro Drugi Garcia. - Nie mamy dokąd pójść, zawsze tu mieszkaliśmy. Zostajemy.

Jakiś dzieciak przykucnął i zaczął srać; parszywy pies podbiegł do niego i obwąchał. Esteban, który poczuł mdłości, kazał zabrać dzieciaka, uprzątnąć podwórko i zabić psa. Tak rozpoczął nowe życie, dzięki któremu z biegiem czasu miał zapomnieć o Rosie.

Nikt mi nie powie, że nie jestem dobrym dziedzicem. Ktokolwiek widział Las Tres Marias w czasach, gdy majątek był opuszczony, i kto obejrzy go obecnie, gdy stał się wzorowym gospodarstwem, ten przyzna mi rację. Dlatego nie mogę zgodzić się na to, żeby moja wnuczka rozprawiała o walce klas i twierdziła, jakoby tak naprawdę ci biedni chłopi mieli się teraz o wiele gorzej niż przed pięćdziesięciu laty. Byłem dla nich jak ojciec. Wszystko rozpieprzyła reforma rolna.

Na to, by wydobyć Las Tres Marias z nędzy, przeznaczyłem cały kapitał zaoszczędzony na ślub z Rosą oraz wszystko, co przysyłał mi majster z kopalni, ale to nie pieniądz uratował ziemię, lecz praca i organizacja. Rozeszła się wieść, że w Las Tres Marias jest nowy dziedzic i że wołami zwozimy kamienie z pól, zaorujemy je i zasiewamy. Wkrótce zaczęli przychodzić mężczyźni i prosić, żebym zatrudnił ich jako wyrobników, ponieważ dobrze płaciłem i dawałem dobrze jeść. Kupiłem bydło. Bydło było dla mnie święte i choćbyśmy mieli nie jeść mięsa przez cały rok, nie zezwalałem na ubój. Tak powstało stado. Ludzi zorganizowałem w drużyny i po pracy na polu odbudowywaliśmy dwór. Nie było wśród nich stolarzy ani murarzy, wszystkiego musiałem ich uczyć na podstawie podręczników, które kupiłem. Wykonałem nawet razem z nimi roboty blacharskie, naprawiliśmy dachy, pomalowaliśmy wszystko wapnem, posprzątaliśmy tak, że dom błyszczał wewnątrz i

na zewnątrz. Meble rozdałem parobkom, z wyjątkiem stołu z jadalni, który był jeszcze w dobrym stanie, choć też toczyły go robaki, i łoża z kutego żelaza, które służyło moim rodzicom. Mieszkałem w pustym domu, bez żadnego umeblowania poza dwoma wspomnianymi sprzętami oraz paroma skrzyniami, na których siadywałem, dopóki Ferula nie przysłała mi ze stolicy nowych mebli, zakupionych na moje polecenie. Były to wielkie, ciężkie, wystawne meble, które miały przetrwać wiele pokoleń i były odpowiednie do życia na wsi, o czym świadczy fakt, że trzeba było trzęsienia ziemi, by uległy zniszczeniu. Porozstawiałem je pod ścianami, ponieważ chodziło mi o wygodę, a nie o estetykę, i gdy tę wygodę osiągnąłem, poczułem się zadowolony i zacząłem oswajać się z myślą, że w Las Tres Marias spędzę wiele lat, a może nawet całe życie.

Żony parobków służyły na zmianę we dworze i zajmowały się ogrodem warzywnym. Wkrótce w ogrodzie, który wytyczyłem własnoręcznie i który, z bardzo nielicznymi modyfikacjami, istnieje do dziś, ujrzałem pierwsze kwiaty. Ludzie pracowali wtedy bez szemrania. Myślę, że moja obecność przywróciła im poczucie bezpieczeństwa i że widzieli, jak ta ziemia stopniowo rozkwita. Byli to ludzie dobrzy i prości, nieskłonni do wichrzenia, lecz to prawda, że biedni i ciemni. Przed moim przyjazdem ograniczali się do uprawiania swoich małych działek przyzagrodowych, które pozwalały im nie umrzeć z głodu, o ile nie zdarzyła się jakaś klęska - susza, mróz, zaraza, inwazja mrówek lub ślimaków; w przeciwnym razie sprawy przybierały zły obrót. Ja to wszystko zmieniłem. Kolejno ugory zamieniały się w pola uprawne, odbudowaliśmy kurnik i stajnie i zaczęliśmy robić system nawadniania, aby zasiewy nie zależały od klimatu, lecz od jakiegoś mechanizmu działającego na zasadach naukowych. Ale życie nie było łatwe. Przeciwnie, było bardzo ciężkie. Czasami szedłem do osady i wracałem z weterynarzem, który badał krowy i kury i przy okazji doglądał chorych. Nie jest prawdą, iż wychodziłem z założenia, że jeśli wiedza weterynarza wystarczy do leczenia zwierząt, to wystarczy również do leczenia ludzi biednych, jak to twierdzi moja wnuczka, gdy chce mnie rozzłościć. Chodziło o to, że w tej zabitej deskami dziurze nie było lekarza. Chłopi zasięgali rady u indiańskiej znachorki, która znała moc ziół i sugestii, i mieli do niej wielkie zaufanie. O wiele większe niż do weterynarza. Położnice rodziły z pomocą sąsiadek, pacierza i jednej akuszerki, która prawie nigdy nie przyjeżdżała na czas, ponieważ musiała odbywać podróż na grzbiecie osła, ale jest faktem, że równie dobrze odbierała noworodki, jak wyciągała odwrotnie ułożonego cielaka. Ciężko chorych - to znaczy takich, których nie mogły uleczyć żadne czary znachorki ani wywary sporządzane przez weterynarza - Pedro Drugi Garcia lub ja sam odwoziliśmy do szpitala prowadzonego przez zakonnice, w którym czasami miewał dyżur jakiś lekarz i pomagał pacjentom umrzeć. Zmarłych chowano koło opuszczonej parafii, u stóp wulkanu - teraz jest tam cmentarz, jak Bóg przykazał. Raz albo dwa razy w roku sprowadzałem księdza, który udzielał ślubów, poświęcał bydło i maszyny, chrzcił dzieci i odmawiał zaległe pacierze za dusze zmarłych. Jedynymi rozrywkami były: kastrowanie wieprzy i byków, walki kogutów, gra w klasy i słuchanie niesamowitych opowieści starego Pedra Garcii - niech spoczywa w spokoju. Był ojcem Pedra Drugiego i opowiadał, że jego dziad walczył w szeregach patriotów, którzy wypędzili Hiszpanów z Ameryki. Uczył dzieci, żeby pozwalały kłuć się pająkom i piły mocz kobiet ciężarnych, gdyż wpływało to dodatnio na odporność ich organizmów. Tak samo jak znachorka znał się on prawie na wszystkich ziołach, ale mylił się, gdy przychodziło mu decydować o ich zastosowaniu, i od czasu do czasu popełniał w tej dziedzinie błędy nie do naprawienia. Jeśli chodzi jednak o usuwanie zębów, to muszę przyznać, że miał na

to najlepszy pod słońcem sposób, który przyniósł mu zasłużoną sławę w całej okolicy, a polegał na piciu czerwonego wina i odmawianiu Ojcze Nasz, co pogrążało pacjenta w hipnotycznym transie. Wyrwał mi bezboleśnie jeden ząb i gdyby żył, byłby nadal moim dentystą.

Bardzo szybko zacząłem dobrze czuć się na wsi. Moi najbliżsi sąsiedzi mieszkali dość daleko i jechało się do nich wierzchem, ale mnie nie interesowało życie towarzyskie, lubiłem samotność, a poza tym miałem dużo pracy. Zamieniałem się w dzikusa, zapominałem rozmaite słowa i ubożał mój język; zrobiłem się też bardzo despotyczny. Ponieważ przed nikim nie musiałem nic udawać, zły charakter, który zawsze miałem, stał się jeszcze gorszy. Wszystko mnie złościło: widok dzieci, które kręciły się po kuchniach i kradły chleb, kur, które hałasowały na podwórzu, wróbli, które niszczyły nam pola kukurydziane. Gdy zaś zły humor zaczynał również doskwierać mnie samemu i czułem się nieswojo we własnej skórze, chodziłem na polowanie. Wstawałem na długo przed świtem i wychodziłem z fuzją i torbą myśliwską na ramieniu oraz wyżłem. Lubiłem jazdę wierzchem po ciemku, chłód o świcie, długie stanie na czatach w cieniu, ciszę, zapach prochu i krwi; lubiłem uderzenie kolby w ramię, gdy wystrzał odrzucał fuzję, i widok padającej zwierzyny; to mnie uspokajało, czułem ulgę i byłem szczęśliwy, gdy półżywy ze zmęczenia, cały zabłocony, wracałem z polowania z czterema nędznymi zającami w torbie i paroma tak podziurawionymi kuropatwami, że w kuchni nie było Z nimi co robić.

Gdy myślę o tych czasach, ogarnia mnie wielki smutek. Życie upłynęło mi bardzo szybko. Gdybym miał wszystko zaczynać od nowa, nie popełniłbym kilku błędów, ale ogólnie rzecz biorąc niczego nie żałuję. Tak, byłem dobrym dziedzicem, to nie ulega wątpliwości.

Przez pierwsze miesiące Esteban Trueba był tak zajęty kopaniem kanałów i studni, usuwaniem kamieni, pieleniem pól i naprawianiem kurników i stajni, że nie miał czasu na rozmyślania. Zwalał się na łóżko, wstawał o świcie, zjadał w kuchni skąpe śniadanie i wyjeżdżał na koniu doglądać prac polowych. Wracał dopiero o zmierzchu. Wtedy spożywał jedyny w ciągu dnia pełny posiłek, siedząc samotnie w jadalni. W pierwszych miesiącach przyrzekł sobie, że codziennie przed kolacją będzie się kąpał i przebierał, ponieważ - jak słyszał - tak czynili osadnicy angielscy w najodleglejszych nawet zakątkach Azji i Afryki, aby nie zatracić godności i dostojeństwa. Co wieczór zakładał najlepsze ubranie, golił się i puszczał na gramofonie zawsze te same arie z najbardziej ulubionych oper. Lecz z biegiem czasu uległ prostocie życia wiejskiego i pogodził się z myślą, że nie jest zeń żaden fircyk, zwłaszcza że nie było wokół nikogo, kto doceniłby jego starania. Przestał się golić, strzygł włosy, gdy sięgały mu ramion, i kąpał się nadal tylko dlatego, że miał taki bardzo silnie zakorzeniony nawyk, natomiast przestał się troszczyć o strój i maniery. Robił się z niego barbarzyńca. Przed snem czytał trochę lub grał w szachy; zdobył umiejętność prowadzenia rozgrywek szachowych z książką w ręku, bez uciekania się do forteli, i potrafił przegrywać bez gniewu. Jednakże fatyga, jaką odczuwał po pracy, nie była w stanie zdławić jego krzepkiej i zmysłowej natury. Zaczął źle sypiać, ciążyła mu kołdra, a prześcieradła wydawały się za delikatne. Koń płatał mu figle i nagle zamieniał się we wspaniałą samicę, twardą i dziką górę mięsa, którą ujeżdżał tak długo, że w końcu kości ścierały mu się na proch. Ciepłe, pachnące melony w ogrodzie wydawały mu się ogromnymi piersiami kobiecymi i przyłapał się na tym, że wsadza twarz w derkę wierzchowca, szukając w cierpkim zapachu potu zwierzęcia podobieństwa do odległego i zakazanego aromatu pierwszych prostytutek, z którymi miał do czynienia

w młodości. W nocy gorączkował i miał koszmarne sny pełne zgniłych małży, ogromnych kawałów poćwiartowanej wołowiny, krwi, spermy i łez. Budził się napięty, z penisem twardym jak żelazo między nogami, bardziej rozwścieczony niż kiedykolwiek. Pragnąc sobie ulżyć biegł nad rzekę i nagi zanurzał się w lodowatej wodzie tak głęboko, że tracił dech, ale wtedy właśnie zdawało mu się, że czuje niewidzialne ręce, które pieszczą jego nogi. Pokonany pozwalał się znosić prądowi; czuł się wówczas pogrążony w jego uścisku, całowany przez kijanki, smagany przez nadbrzeżne trzciny. Rychło jego nagląca potrzeba stała się notoryczna, nie ustępowała ani dzięki nocnym kąpielom w rzece, piciu naparów z cynamonem, podkładaniu krzemienia pod materac, ani nawet dzięki wstydliwym manipulacjom, które chłopców w internacie doprowadzały do szaleństwa, groziły ślepotą i skazywały na wieczne potępienie. Gdy zaczął przyglądać się lubieżnie ptactwu domowemu, dzieciom bawiącym się nago w ogrodzie, a nawet surowemu ciastu na chleb, zrozumiał, że nie uśmierzy chuci stosując godne zakrystiana środki zastępcze. Zmysł praktyczny podpowiedział mu, że powinien poszukać sobie kobiety, i gdy tylko postanowił to uczynić, udręka, którą przeżywał, ustąpiła, a złość jakby osłabła. Tego dnia po raz pierwszy od dawien dawna wstał uśmiechnięty.

Stary Pedro Garcia ujrzał go, jak wychodzi z domu i pogwizdując idzie do stajni, i zaniepokojony pokręcił głową.

Dziedzic był przez cały dzień zajęty pracą na polu, które właśnie oczyszczono na jego polecenie i miano obsadzić kukurydzą. Następnie poszedł z Pedrem Drugim Garcią pomóc krowie, która o tej porze rodziła i miała odwrotnie ułożony płód. Musiał włożyć ramię aż po łokieć, żeby obrócić cielaka i pomóc mu wysunąć łeb. Krowa i tak zdechła, ale nie wprawiło go to w zły humor. Kazał nakarmić cielaka z butelki, umył się w kuble i ponownie dosiadł konia. W zasadzie była to pora kolacji, ale nie czuł głodu. Nie spieszyło mu się, bo już dokonał wyboru.

Wielokrotnie widział tę dziewczynę, gdy niosła na rękach zasmarkanego braciszka, a na plecach worek lub na głowie dzban z wodą ze studni. Podglądał, gdy prała odzież, kucając na czarnych kamieniach wypolerowanych przez wodę i trąc bezbarwne szmaty ciężkimi rękami chłopki. Miała grube kości, grube indiańskie rysy i ciemną cerę, spokojny i łagodny wyraz twarzy, mięsiste wargi i wszystkie jeszcze zęby, a uśmiechając się promieniała, lecz czyniła to bardzo rzadko. Była piękna pierwszą młodością, ale wiedział, że szybko będzie miała zmarszczki, jak to zwykle bywa z kobietami, które rodzą się, by mieć dużo dzieci, pracować bez wytchnienia i grzebać zmarłych. Nazywała się Pancha Garcia i miała piętnaście lat.

Gdy Esteban Trueba zaczął jej szukać, było już późne popołudnie i robiło się chłodniej. Stępa objechał długie aleje topolowe, które oddzielały pola, i pytał o nią przechodzących tamtędy ludzi, aż w końcu ujrzał ją na drodze prowadzącej do zagrody, w której mieszkała. Szła zgięta pod ciężarem wiązki chrustu na podpałkę, bosa i przygnębiona. Spojrzał na nią z wysokości siodła i w tej samej chwili poczuł naglące pragnienie, które gnębiło go przez tyle miesięcy. Podjechał kłusem i znalazł się obok niej; ona usłyszała go, lecz szła przed siebie nie oglądając się, zgodnie z pradawnym obyczajem, który kobiecie jej kondycji każe spuszczać oczy na widok samca. Esteban schylił się i wyrwał jej chrust z rąk, przez chwilę przytrzymał go w powietrzu, a potem rzucił gwałtownie na ziemię, chwycił dziewczynę wpół i uniósł sapiąc jak bestia, a następnie usadził przed sobą w siodle, czemu nie stawiła najmniejszego oporu. Spiął ostrogami konia i ruszyli galopem w kierunku rzeki. Tam

zsiedli bez słowa, mierząc się tylko wzrokiem. Esteban odpiął szeroki skórzany pas, na co ona cofnęła się, ale ją dopadł. Runęli objęci między liście eukaliptusa.

Esteban nie rozebrał się. Natarł drapieżnie i wbił się w nią bez żadnych zabiegów wstępnych, z niepotrzebną brutalnością. Za późno, bo dopiero na widok plam krwi na jej ubraniu zdał sobie sprawę, że była dziewicą, ale ani prosta kondycja Panchy, ani jego żądny zaspokojenia popęd nie pozwoliły mu zważać na cokolwiek. Pancha Garcia nie broniła się, nie skarżyła ani nie zamknęła oczu. Odwrócona do niego plecami wznosiła oczy do nieba z wyrazem przerażenia na twarzy, aż poczuła, że mężczyzna pada obok niej z jękiem. Wtedy zaczęła cicho płakać. Jej matka, a jeszcze wcześniej babka zaznały tego samego losu suki. Esteban Trueba poprawił spodnie, zapiął pasek, pomógł jej podnieść się i posadził na zadzie konia. Ruszyli w drogę powrotną. On pogwizdywał. Ona popłakiwała. Nim zsadził dziewczynę przy zagrodzie, pocałował ją w usta.

- Chcę, żebyś od jutra pracowała we dworze - powiedział.

Pancha skinęła głową nie podnosząc wzroku. Również jej matka i babka służyły we dworze.

Tej nocy Esteban Trueba spał jak człowiek błogosławiony, nie śniąc o Rosie. Rano czuł się pełen energii, większy i potężniejszy. Wyjechał na pole podśpiewując i gdy wrócił, zastał Panchę w kuchni, gdy w miedzianym saganie mozolnie mieszała potrawę z kurzego mięsa i mleka z mąką ryżową i cukrem. Tego wieczoru czekał na nią z niecierpliwością i gdy ucichły domowe hałasy, a zaczęła się nocna bieganina myszy, spostrzegł, że dziewczyna stoi u progu sypialni.

- Wejdź, Pancho - zawołał. Nie było to polecenie, lecz raczej błaganie.

Tym razem Esteban nie spieszył się, lecz chciał się nią nacieszyć i jej samej też sprawić przyjemność. Powoli obejrzał ją całą, zapamiętał zapach jej ciała oraz ubrania pranego popiołem i prasowanego żelazkiem na węgiel, poznał fakturę jej czarnych, gładkich włosów, skóry - delikatnej w najskrytszych zakamarkach, natomiast szorstkiej i stwardniałej gdzie indziej - świeżych ust, wilgotnego seksu i szerokiego brzucha. Pragnął jej teraz w spokoju i wprowadził w arkana najbardziej tajemnej i najstarszej z nauk. Prawdopodobnie tej nocy, podobnie jak w ciągu paru następnych, był szczęśliwy, gdy figlowali jak dwoje szczeniąt w wielkim łożu z kutego żelaza, które należało do pierwszego Trueby i było już trochę kulawe, ale mogło jeszcze wytrzymać miłosne porywy.

Panchy Garcii urosły piersi i zaokrągliły się biodra. Estebanowi Truebie na pewien czas poprawił się humor i zaczął interesować się parobkami. Odwiedził nędzne zagrody, w których mieszkali. W jednej z chałup odkrył w półmroku wyścieloną gazetami skrzynię, a w niej karmione piersią niemowlę obok dopiero co narodzonej suczki. W innej ujrzał staruchę, która umierała od czterech lat i kości wyłaziły jej na wierzch przez rany na plecach. Na pewnym podwórku poznał wyrostka-idiotę, śliniącego się, z powrozem u szyi, przywiązanego do słupa, mówiącego rzeczy z innego świata, nagiego, z penisem jak u muła, którym tarł bez przerwy o ziemię. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że w Las Tres Marias najbardziej zaniedbane nie są pola i zwierzęta, lecz istoty ludzkie, pozostawione na łasce losu, odkąd jego ojciec

przegrał posag i spadek po matce. Uznał, że nadszedł czas, by wnieść nieco cywilizacji do tego zakątka, zagubionego między kordylierą a morzem.

W Las Tres Marias rozpoczęła się gorączkowa działalność, która zbudziła ludzi z letargu. Esteban Trueba zaprzągł chłopów do pracy w taki sposób, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczyli. Każdy - bez względu na to, czy był mężczyzną, kobietą, starcem czy dzieckiem - kto mógł utrzymać się na nogach, został zatrudniony przez pana, żądnego odzyskania w kilka miesięcy tego wszystkiego, co uległo zatracie w ciągu wielu lat. Nakazał zbudować spichlerz i spiżarnie, w których miano przechowywać żywność na zimę, zapeklować koninę i uwędzić wieprzowinę, a kobietom zrobić konfitury i konserwy. Zmodernizował mleczarnię - dotychczas była to jedynie szopa, w której leżał gnój i zlatywały się muchy - i zmusił krowy, żeby dawały więcej mleka. Zaczął budowę szkoły z sześcioma klasami, gdyż miał ambicję, żeby wszystkie dzieci i wszyscy dorośli z Las Tres Marias nauczyli się czytać, pisać i rachować, choć wcale mu nie zależało na tym, aby nabyli również inną wiedzę - nie chciał, żeby zaprzątali sobie głowy ideami niestosownymi w ich położeniu i kondycji. Nie mógł jednak znaleźć nauczyciela, który chciałby pracować na takim odludziu, a mając trudności z przyciągnięciem maluchów groźbą bata lub obietnicą cukierków, zrezygnował z pomysłu, by samemu nauczyć ich czytać i pisać, porzucił złudzenia związane ze szkołą i postanowił wykorzystać budynek w inny sposób. Ferula przysyłała mu ze stolicy książki, które u niej zamawiał. Była to literatura praktyczna. Nauczył się na jej podstawie robić zastrzyki, wbijając sobie igły w nogi, oraz skonstruował radio detektorowe. Pierwsze zyski wydał na zgrzebne płótno, maszynę do szycia, pudełko z pigułkami homeopatycznymi i odpowiedni podręcznik, encyklopedię i dużą liczbę elementarzy, zeszytów i ołówków. Pieścił w myślach projekt budowy stołówki, w której wszystkie dzieci otrzymywałyby jeden pełny posiłek dziennie, aby dzięki temu były silne i zdrowe i mogły pracować od najmłodszych lat, ale zrozumiał, że to szalony pomysł - po miskę strawy dzieci musiałyby przychodzić z najdalszych krańców posiadłości - toteż porzucił ten projekt na rzecz warsztatu krawieckiego. Pancha Garcia otrzymała zadanie opanowania tajników maszyny do szycia. Początkowo uważała ją za diabelskie narzędzie i żywe stworzenie i nie chciała się do niej zbliżyć, lecz on był nieugięty i w końcu nauczyła się szyć. Otworzył też pulperię. [- sklep na terenie wielkiego gospodarstwa rolnego, należący do jego właściciela i będący jedynym punktem handlowym w okolicy; parobcy dokonywali w nim zakupów na kredyt, a należność potrącano im z zarobków, wskutek czego popadali, często na całe życie, w zadłużenie, które przywiązywało ich do danego majątku ziemskiego, gdyż nie mogli go opuścić, dopóki nie spłacili długu - wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza] Był to skromny sklep, w którym parobcy mogli kupować niezbędne rzeczy bez potrzeby jeżdżenia wozami do San Lucas. Dziedzic kupował towary po cenach hurtowych i sprzedawał po tej samej cenie swoim pracownikom. Narzucił system bonów, który najpierw funkcjonował jako forma kredytu, a z biegiem czasu zastąpił oficjalny pieniądz. W pulperii wszystko można było kupić za różowe papierki i wypłacano w nich zarobki. Poza tymi osławionymi papierkami każdy pracownik miał prawo do działki ziemi, którą uprawiał w wolnym czasie, sześciu kur na rodzinę rocznie, pewnej ilości nasion, części zbiorów, która pokrywała jego potrzeby, a ponadto otrzymywał codziennie chleb i mleko, zaś dwa razy w roku - na Boże Narodzenie i święta narodowe - sumę pięćdziesięciu pesos, która przysługiwała tylko mężczyznom. Kobiety nie miały prawa do tej premii, nawet jeśli pracowały na równi z mężczyznami, ponieważ z wyjątkiem wdów nie uważano ich za głowy rodzin. Mydło do prania, wełnę do tkania i syrop na wzmocnienie płuc

rozdawano za darmo, gdyż Trueba nie chciał mieć wokół siebie ludzi brudnych, zziębniętych lub chorych. Pewnego dnia przeczytał w encyklopedii o korzyściach płynących ze zrównoważonej diety i na punkcie witamin popadł w manię, która miała mu pozostać na całe życie. Wybuchał gniewem, ilekroć stwierdzał, że chłopi dają dzieciom do jedzenia tylko chleb, a wieprze żywią mlekiem i jajami. W szkole zaczął robić obowiązkowe zebrania; mówił na nich o witaminach, a przy okazji przekazywał wiadomości, które udawało mu się złapać przez radio. Wkrótce znudziło mu się łapanie fal za pomocą drutu i zamówił w stolicy radioodbiornik transoceaniczny, zaopatrzony w dwie ogromne baterie. Wśród ogłuszającej mieszaniny zamorskich dźwięków mógł teraz wychwycić nieco spójnych komunikatów. Dowiedział się w ten sposób o wojnie w Europie i śledził ruchy wojsk na mapie, którą powiesił na tablicy szkolnej, zaznaczając je szpilkami. Chłopi obserwowali z osłupieniem jego poczynania, gdyż zupełnie nie mogli pojąć, po co jednego dnia wbija szpilki na plamie niebieskiej, a następnego dnia przenosi je na plamę zieloną. Nie wyobrażali sobie świata o rozmiarach płachty papieru wiszącej na tablicy ani wojsk zredukowanych do główek od szpilki. W rzeczywistości wojna, wynalazki naukowe, rozwój przemysłu, cena złota i ekstrawagancje mody nic ich nie obchodziły. Jak opowieści czarodziejek, w niczym nie zmieniały ciasnoty ich egzystencji. Dla tego niewzruszonego audytorium wiadomości radiowe były czymś dalekim i obcym, a odbiornik zdyskredytował się szybko w ich oczach, gdy okazało się, że nie może dostarczyć prognoz pogody. Jedynym człowiekiem, który okazywał zainteresowanie dla wiadomości nadawanych na falach radiowych, był Pedro Drugi Garcia.

Esteban Trueba spędził z nim wiele godzin, najpierw przy radiu detektorowym, a następnie przy radiu na baterie, czekając na cud w postaci anonimowego i płynącego z oddali głosu, który pozwalał nawiązać łączność z cywilizacją. Lecz nie zbliżyło ich to do siebie. Trueba wiedział, że ten prosty chłop jest bardziej inteligentny od innych. Jako jedyny umiał czytać i potrafił podtrzymać konwersację dłuższą niż trzy zdania. Był w promieniu stu kilometrów kimś na podobieństwo przyjaciela, ale monumentalna duma nie pozwalała Truebie dostrzec w nim jakichkolwiek zalet z wyjątkiem tych, które były właściwe jego kondycji wiejskiego peona. Poza tym nie był zwolennikiem spoufalania się z podwładnymi. Jeśli zaś chodzi o Pedra Drugiego, to ten nienawidził Trueby, chociaż nigdy nie określał tym mianem burzliwego uczucia, którym pałał i które wprawiało go w konfuzję. Była to mieszanina strachu, urazy i podziwu. Czuł, że nigdy nie odważyłby się stawić czoła Truebie, ponieważ był on panem. Miał do końca życia znosić jego wybuchy gniewu, nierozważne rozkazy i władcze usposobienie. W czasach, gdy majątek Las Tres Marias był opuszczony, dowodził w sposób naturalny niewielkim plemieniem, które przeżyło na tych zapomnianych ziemiach. Przywykł, że się go szanuje, że to on kieruje i podejmuje decyzje i że nad nim jest tylko niebo. Przyjazd dziedzica zmienił jego życie, ale musiał przyznać, że teraz żyje im się lepiej, nie głodują, mają lepszą ochronę i czują się bezpieczniejsi. Czasami Truebie wydawało się, że dostrzega w jego oczach morderczy błysk, ale nigdy nie mógł zarzucić mu zuchwałości. Pedro Drugi okazywał posłuszeństwo bez zmrużenia oka, pracował nie skarżąc się, był uczciwy i wyglądał na człowieka lojalnego. Na widok swojej siostry Panchy, z ociężałością zadowolonej samicy poruszającej się po dworskich korytarzach, spuszczał głowę i milczał.

Pancha Garcia była młoda, a dziedzic był silny. Dający się z góry przewidzieć rezultat ich związku zaczęto dostrzegać po paru miesiącach. Żyły na ciemnych nogach dziewczyny wyglądały teraz jak dżdżownice, ruchy jej spowolniały, a spojrzenie stało się odległe; straciła zainteresowanie dla bezwstydnych wybryków w łóżku z kutego

żelaza i szybko przytyła w pasie, piersi zaś opadły pod ciężarem nowego życia, które narastało w jej łonie. Esteban zdał sobie z tego sprawę dość późno, ponieważ prawie nigdy nie przyglądał się jej, a gdy minął entuzjazm pierwszych chwil, również jej nie pieścił. Używał jej tylko jako środka higienicznego, który pozwalał rozładować napięcie nagromadzone w ciągu dnia i przynosił noc wolną od snów. Nadeszła jednak chwila, gdy i dla niego samego ciąża Panchy stała się oczywista. Poczuł do niej odrazę. Zaczął widzieć w niej ogromne naczynie zawierające bezkształtną i galaretowatą substancję, której nie mógł uznać za swoje dziecko. Pancha opuściła dwór i wróciła do zagrody swoich rodziców, gdzie nie zadawano jej pytań. Nadal pracowała w kuchni we dworze, wyrabiała ciasto i szyła na maszynie, z każdym dniem coraz bardziej zniekształcona przez macierzyństwo. Przestała usługiwać Estebanowi do stołu i unikała spotkań z nim, gdyż niczego już z nim nie dzieliła. W tydzień po tym, jak opuściła jego łoże, zaczął ponownie śnić o Rosie i budzić się w wilgotnych prześcieradłach. Wyjrzał przez okno i zobaczył szczupłą dziewczynkę, która rozwieszała na drucie dopiero co wypraną odzież. Wyglądała co najwyżej na trzynaście lub czternaście lat, ale była zupełnie rozwinięta. W tej samej chwili odwróciła się i popatrzyła na niego; miała spojrzenie kobiety.

Pedro Garcia ujrzał, jak dziedzic wychodzi z domu i pogwizdując idzie do stajni, i zaniepokojony pokręcił głową.

W ciągu dziesięciu następnych lat Esteban Trueba stał się najbardziej szanowanym dziedzicem w regionie, zbudował dla swoich pracowników domy z cegły, znalazł nauczyciela, który zgodził się pracować w szkole, i podniósł stopę życiową wszystkich mieszkańców swoich ziem. Posiadłość Las Tres Marias okazała się dobrym interesem, któremu nie było potrzeba złotej żyły - przeciwnie, to ona posłużyła za gwarancję, gdy przyszło przedłużyć koncesję górniczą. Zły charakter Trueby był rzeczą powszechnie znaną, przy czym uległ pogorszeniu do tego stopnia, że dokuczał nawet jemu samemu. Trueba nie pozwalał, żeby ktokolwiek sprzeczał się z nim, i nie znosił sprzeciwu, a najmniejszą niezgodność poglądów uważał za prowokację. Wzrosła też jego pożądliwość. Żadna dziewczyna nie mogła osiągnąć dojrzałości płciowej i stać się dorosłą kobietą nie wystawiwszy mu się na próbę w lesie, nad rzeką lub w łożu z kutego żelaza. Gdy nie było już do dyspozycji kobiet w Las Tres Marias, zajął się prześladowaniem ich w innych hacjendach i gwałcił w mgnieniu oka, gdziekolwiek dopadł w polu; czynił to na ogół o zmierzchu. Nie krył się z tym, ponieważ nikogo się nie bał. Wielokrotnie czyjś brat, ojciec, mąż czy pan przychodził do Las Tres Marias, żeby się z nim porachować, ale wobec jego gwałtowności, która wymykała się spod wszelkiej kontroli, te odwiedziny w poszukiwaniu sprawiedliwości lub zemsty stawały się coraz rzadsze. Fama o jego brutalności rozeszła się po całej okolicy i wywoływała zawistny podziw samców z jego klasy. Chłopi ukrywali dziewczęta i zaciskali bezsilnie pięści, gdyż nie mogli mu stawić czoła. Esteban Trueba był silniejszy i bezkarny. Dwukrotnie znajdowano zwłoki chłopów z innych hacjend, podziurawione ołowiem z fuzji, i nikt nie miał wątpliwości, że winowajcy należy szukać w Las Tres Marias, ale wiejscy żandarmi ograniczyli się do odnotowania tych faktów w swoich raportach, kaligrafując je z trudem, jak przystało na półanalfabetów, i zaznaczając, że ofiary przyłapano na gorącym uczynku kradzieży. Sprawom tym nie nadano biegu. Trueba nadal robił wszystko, żeby zasłużyć sobie na miano drania i rozpustnika, rozsiewał po całym regionie bękarty, a zbierał nienawiść i gromadził winy, które nie robiły na nim wrażenia, gdyż pod pretekstem walki o postęp dusza jego się zahartowała, a sumienie zamilkło. Pedro Drugi Garcia i stary ksiądz ze szpitala prowadzonego przez

zakonnice na próżno usiłowali zasugerować mu, że dobrym gospodarzem lub dobrym chrześcijaninem nie czynią człowieka domki z cegły ani litry mleka, lecz godziwe zarobki wypłacane ludziom, zamiast różowych świstków papieru, długość dnia roboczego, po którym nie bolą grzbiety, odrobina szacunku dla innych i poczucie własnej godności. Trueba nie chciał o tym słyszeć, gdyż wszystko to jego zdaniem pachniało komunizmem.

- To zwyrodniałe idee - pomrukiwał. - Bolszewickie pomysły, które służą podburzaniu parobków. Nie zdajecie sobie sprawy, że ci biedni ludzie nie mają kultury ani wykształcenia, nie mogą brać na siebie odpowiedzialności i są dziećmi. Skąd mogą wiedzieć, co jest dla nich dobre? Beze mnie byliby zagubieni, czego dowodzi fakt, że ledwie się odwrócę, wszystko idzie w cholerę, a oni sami zamieniają się w stado osłów. Są bardzo ciemni. Moim ludziom jest bardzo dobrze, więc czego jeszcze chcecie? Niczego im nie brakuje. Jeśli się skarżą, to tylko dlatego, że są zwykłymi niewdzięcznikami. Mają murowane domy, troszczę się, żeby swoim dzieciakom obcierali smarki pod nosem i usuwali pasożyty, dostarczam im szczepionek i uczę czytać. Czy w którymkolwiek innym majątku w okolicy jest szkoła? Nie ma! Gdy tylko mam okazję, prowadzę ich do księdza, żeby im odprawił parę mszy, toteż nie wiem, dlaczego ksiądz przychodzi tu mówić mi o sprawiedliwości. Niech nie wtrąca się do tego, na czym się nie zna i co nie należy do jego obowiązków. Chciałbym zobaczyć, jak zarządzałby tą posiadłością. Czyby się im przymilał! To diabelskie nasienie trzeba trzymać twardą ręką; jest to jedyna mowa, którą rozumie. Jeśli człowiek im popuszcza, to go nie szanują. Nie przeczę, że wiele razy byłem bardzo surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Musiałem wszystkiego ich nauczyć, nawet tego, co mają jeść, bo sami żywili się tylko chlebem. Gdy nie patrzę, dają mleko i jaja świniom. Nie umieją podetrzeć sobie tyłka, a chcieliby prawa wyborczego! Jeśli nie wiedzą, na czym stoją, to jakże mają znać się na polityce? Byliby zdolni głosować na komunistów, jak górnicy na północy kraju, którzy swoimi strajkami wyrządzają szkodę całemu krajowi, i to akurat wtedy, gdy cena kruszcu osiągnęła szczytowy poziom. Jeśli o mnie chodzi, to na północ posłałbym wojsko, niechby ich rozgoniło kulami i raz na zawsze dało nauczkę. Niestety, w tym kraju można coś zrobić tylko kijem. Nie jesteśmy w Europie. Tutaj trzeba silnego rządu i silnego pana. Byłoby ładnie, gdybyśmy wszyscy byli równi, ale nie jesteśmy. To widać gołym okiem. Tu ja tylko umiem pracować i niech mi ktoś powie, że tak nie jest. To ja pierwszy wstaję na tej przeklętej ziemi i ostatni się kładę. Gdyby chodziło o mnie, to posłałbym to wszystko do diabła i żyłbym sobie w mieście jak książę, ale muszę być tutaj, ponieważ jeśli wyjadę choćby na tydzień, to wszystko się zawali i ci nieszczęśnicy zaczną zdychać z głodu. Przypomnijcie sobie, co się tu działo, gdy przyjechałem dziewięć czy dziesięć lat temu: rozpacz ogarniała człowieka. Ruina, kamienie i sępy. Ziemia niczyja. Wszystkie pola zapuszczone. Nikomu nie przyszło na myśl, żeby zbudować kanały. Każdy posadził sobie koło domu cztery zafajdane główki sałaty, a wszystko inne miał gdzieś. Trzeba mi było tu przyjechać, by zapanowały porządek, prawo i praca. Dlaczego nie miałbym być dumny z siebie? Tak harowałem, że wykupiłem już dwa sąsiednie majątki, i teraz moja posiadłość jest największa i najbogatsza w okolicy, wszyscy mi jej zazdroszczą, gdyż świeci przykładem, uchodzi za wzorowe gospodarstwo. Teraz, gdy biegnie obok niej szosa, podwoiła się jej wartość, toteż gdybym chciał ją sprzedać, mógłbym wyjechać do Europy i żyć tam sobie jako rentier, ale nie wyjadę, tu zostanę i będę wypruwał z siebie żyły. Robię to dla tych ludzi. Beze mnie byliby spisani na straty. W istocie rzeczy nie nadają się nawet do tego, żeby załatwić sprawunki, zawsze mówię, że są jak dzieci. Ani jeden nie potrafi

zrobić, co należy, jeśli nie stoję nad nim i go nie poganiam. A potem przychodzą tacy jedni i mówią, że wszyscy jesteśmy równi! Cholera jasna, można umrzeć ze śmiechu...

Matce i siostrze wysyłał skrzynie z owocami, solone mięso, świeże jaja, kury żywe i marynowane, mąkę, ryż, ziarno w workach, sery wiejskie i wszystkie pieniądze, których mogłyby potrzebować, ponieważ jemu ich nie brakowało. Las Tres Marias i kopalnia produkują jak należy po raz pierwszy od czasu, gdy Bóg stworzył je na tej ziemi - lubił mawiać tym, którzy chcieli go słuchać. Doni Ester i Feruli dawał to, czego dotychczas nawet nie pożądały, ale przez wszystkie te lata nie miał czasu ich odwiedzić, choćby przejazdem podczas jednej ze swoich podróży na północ. Był tak zajęty wsią, nowymi gruntami, które kupił, i innymi interesami, które zaczynał uruchamiać, że nie stać go było na tracenie czasu przy łożu chorej matki. Poza tym działała przecież poczta, dzięki której pozostawali w kontakcie, i istniała kolej żelazna, która pozwalała posyłać im wszystko, co zechciał. Nie miał potrzeby widywać się z nimi. Wszystko można było powiedzieć sobie listownie. Wszystko poza tym, o czym nie powinny były się dowiedzieć, na przykład o niezliczonych bękartach, które rodziły się jak za sprawą sztuki magicznej. Wystarczyło przewrócić jakąś dziewczynę na polu, by zaraz zaszła w ciążę; musiała to być sprawka diabelska - taka płodność nie była rzeczą normalną, toteż miał pewność, że połowę tych bachorów nie on spłodził. Dlatego postanowił, że ponieważ poza synem Panchy Garcii, który tak jak on miał na imię Esteban i którego matka - co nie ulegało wątpliwości - była dziewicą, gdy ją posiadł, wszystkie inne mogą, ale wcale nie muszą być jego dziećmi, więc lepiej będzie uważać, że nie są. Gdy do dworu przychodziła jakaś kobieta z niemowlęciem na ręku, by prosić go o nadanie mu nazwiska lub o jakąś pomoc, odprawiał ją z paroma banknotami i pogróżką, że jeśli raz jeszcze zechce mu się naprzykrzać, to przepędzi ją szpicrutą, aby więcej nie miała ochoty kręcić kuprem na widok pierwszego napotkanego mężczyzny, a potem obwiniać go o skutki. W ten oto sposób nie poznał nigdy dokładnej liczby swoich dzieci; tak naprawdę wcale go to nie interesowało. Uważał, że jeśli będzie chciał mieć dzieci, to poszuka sobie żony należącej do tej samej co on klasy i pojmie ją z błogosławieństwem Kościoła, ponieważ liczy się jedynie potomstwo, które nosi nazwisko ojca, a wszelkie inne należy traktować tak, jakby go nie było. Niech nikt mu nie wmawia, że wszyscy rodzą się z tymi samymi prawami i tak samo dziedziczą, ponieważ gdyby tak było, to wszystko poszłoby w cholerę, a cywilizacja cofnęłaby się do poziomu epoki kamiennej. Przypominała mu się Nivea, matka Rosy, która po tym, jak jej mąż, zastraszony trucizną podaną w wódce, zrezygnował z działalności politycznej, zaczęła swoją własną kampanię polityczną. Wraz z innymi damami przykuwała się łańcuchem do krat w bramach Kongresu i Sądu Najwyższego, urządzając gorszące sceny, które ośmieszały mężów. Wiedział, że Nivea wychodzi w nocy rozlepiać plakaty sufrażystek na murach miasta i że w niedziele w samo południe potrafi przechadzać się po śródmieściu ze szczotką w ręku i w birecie na głowie, domagając się, żeby kobiety miały te same prawa co mężczyźni: żeby mogły głosować i wstępować na uniwersytet oraz żeby wszystkie dzieci były pod ochroną prawa - nawet bękarty.

- Ta kobieta jest chora na umyśle! - mawiał Trueba. - To byłoby niezgodne z naturą. Jeśli kobiety nie wiedzą, ile jest dwa plus dwa, to tym bardziej nie potrafią trzymać lancetu w ręku. Ich rolą jest macierzyństwo, a miejscem ognisko domowe. Jak tak dalej pójdzie, to wkrótce będą chciały być posłami, sędziami, a nawet prezydentem republiki! Tymczasem wywołują zamieszanie i nieporządek, co może doprowadzić do

katastrofy. Wydają nieprzyzwoite broszury, występują w radiu, przykuwają się łańcuchami w miejscach publicznych i policja musi przychodzić z kowalem, żeby przeciąć kłódki i zabrać je do więzienia, gdzie właśnie powinny się znaleźć. Szkoda, że zawsze znajdzie się jakiś wpływowy małżonek, mało energiczny sędzia lub parlamentarzysta wyznający wichrzycielskie poglądy, któremu udaje się uzyskać ich zwolnienie... Także na tym polu potrzeba twardej ręki!

Wojna w Europie dobiegła końca i z daleka dochodziły wieści o pociągach zapełnionych trupami, ale pożoga nie wygasała. Dochodziły stamtąd wywrotowe idee, które roznosiły wymykające się spod kontroli wiatry za pośrednictwem radia, telegrafu i statków z imigrantami; przybywali tłumnie, oszołomieni, uchodząc przed głodem w swoich krajach, ogłuszeni hukiem bomb i przerażeni trupami, które gniły w bruzdach na zaoranych polach. Był to rok wyborów prezydenckich i sprawy przybierały niepokojący obrót. Kraj budził się. Fala niezadowolenia, która kołysała ludem, uderzała w solidną strukturę społeczeństwa oligarchicznego. Na polach panoszyło się zło - susza, ślimaki, pryszczyca. Na północy kraju szerzyło się bezrobocie, a w stolicy odczuwało się skutki dalekiej wojny. Był to rok nędzy, w którym do zupełnej katastrofy brakowało tylko trzęsienia ziemi.

Lecz klasa wyższa, posiadająca władzę i bogactwo, nie zdała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które zagrażało kruchej równowadze jej położenia. Bogacze bawili się tańcząc charlestona i nowe rytmy - jazz, fokstrota i murzyńskie cumbias, które były cudownie nieprzyzwoite. Wznowiono podróże do Europy, które zostały przerwane w ciągu czterech lat wojny, a ponadto modne stały się również podróże do Ameryki Północnej. Nowością była gra w golfa, która skupiała najlepsze towarzystwo; uderzano kijem w piłeczkę tak samo, jak dwieście lat wcześniej czynili w tym samym miejscu Indianie. Damy zakładały naszyjniki ze sztucznych pereł, które sięgały im do kolan, i kapelusze w kształcie miednic, które naciągały aż do brwi, ścinały sobie włosy jak mężczyźni i malowały się jak ulicznice, nie nosiły gorsetów i bezwstydnie paliły papierosy. Młodzieńcy, oczarowani najnowszym wynalazkiem - północnoamerykańskimi automobilami, które przywożono do kraju w godzinach rannych, a wyprzedawano tego samego dnia po południu, chociaż kosztowały niemałą fortunę i wydawały z siebie jedynie dym i hałas odpadających śrub - pędzili z samobójczą prędkością drogami, które były przewidziane dla koni i innych zwierząt, a już na pewno nie dla fantazyjnych maszyn. W domach gier przegrywano spadki i łatwo nagromadzone bogactwa lat powojennych, odkorkowywano butelki szampana i pojawiła się nowa używka dla osób najbardziej wyrafinowanych i zepsutych: kokaina. Zbiorowe szaleństwo zdawało się nie mieć końca.

Na wsi jednak automobile były równie egzotyczne jak krótkie sukienki i kto poradził sobie ze ślimakami i pryszczycą, ten uważał rok za pomyślny. Esteban Trueba i inni okoliczni obszarnicy zbierali się w klubie w osadzie i planowali przedwyborczą akcję polityczną. Chłopi żyli jeszcze jak w czasach kolonii i nie słyszeli o związkach zawodowych ani o wolnych od pracy niedzielach, ani o płacy minimalnej, ale na teren majątków zaczęli już przenikać emisariusze nowych partii lewicowych, którzy chodzili przebrani za pastorów protestanckich, z Biblią pod jedną pachą i broszurami marksistowskimi pod drugą; jednym tchem nawoływali chłopów, aby byli gotowi żyć we wstrzemięźliwości i umrzeć za sprawę rewolucji. Zmowy dziedziców przy obiedzie kończyły się rzymskimi pijaństwami lub walkami kogutów, a o zmierzchu szturmem domu „Pod Czerwonym Lampionem", gdzie dwunastoletnie prostytutki wraz z Carmelo, jedynym pedałem na ten cały burdel i na całą osadę, tańczyły przy

dźwiękach przedpotopowego gramofonu pod czujnym okiem Sofii, która była już za stara, by kłusować razem z nimi, ale miała dość energii, aby rządzić tu żelazną ręką; zapobiegała zbyt dokuczliwym najściom żandarmów i przebieraniu miary przez panów, którzy nieraz nie byli skłonni płacić za uciechy. Najlepiej ze wszystkich tańczyła Transito Soto, a przy tym była niezmordowana, najbardziej wytrzymała na wybryki pijaków i nigdy na nic się nie skarżyła, jakby posiadła tybetańską umiejętność przenoszenia duszy w odległe okolice, oddając w ręce klienta swój nędzny dziewczęcy szkielet. Podobała się Estebanowi Truebie, gdyż nie krygowała się w obliczu miłosnych innowacji i brutalności, umiała śpiewać głosem zachrypniętego ptaka i powiedziała mu pewnego razu, że ma zamiar zajść bardzo wysoko, co przypadło mu do gustu.

- Nie zostanę na całe życie w domu „Pod Czerwonym Lampionem", proszę pana. Pojadę do stolicy, gdyż chcę być bogata i sławna - powiedziała.

Esteban chodził do lupanaru, ponieważ było to jedyne miejsce w osadzie, gdzie można było się rozerwać; nie był dziwkarzem. Nie lubił płacić za to, co mógł uzyskać inaczej. Cenił sobie jednak Transito Soto. Dziewczyna potrafiła go rozbawić.

Pewnego dnia, gdy skończyli uprawiać miłość, postanowił być hojny, co niemal nigdy mu się nie przytrafiało, i zapytał Transito Soto, Czy chciałaby otrzymać coś w prezencie.

- Niech mi pan pożyczy pięćdziesiąt pesos! - poprosiła bez wahania.

- To dużo forsy. Po co ci ona?

- Na bilet na pociąg, czerwoną suknię, buty na wysokim obcasie, flakon perfum i trwałą ondulację. Tylko tyle potrzebuję, żeby zacząć. Oddam je panu pewnego dnia. Z procentem.

Esteban dał jej pięćdziesiąt pesos, dlatego że tego dnia sprzedał pięć buhajów i miał kieszenie wypchane banknotami, a także dlatego, że zmęczenie, które go ogarnęło, połączone z zadowoleniem po przeżytej rozkoszy, uczyniło go nieco sentymentalnym.

- Żałuję tylko, że więcej cię nie zobaczę, Transito. Przyzwyczaiłem się do ciebie.

- Ależ na pewno się zobaczymy, proszę pana. Życie jest długie i pełne niespodzianek.

Kulminacją biesiad w klubie, walk kogutów i wieczorów w burdelu był inteligentny, choć nie całkiem oryginalny pomysł na to, jak nakłonić chłopów do głosowania. Urządzono dla nich przyjęcie z pasztecikami i dużą ilością wina, zarżnięto kilka sztuk bydła na pieczyste, zorganizowano śpiewy przy gitarze, wygłoszono parę mów patriotycznych i obiecano, że jeśli zostanie wybrany kandydat konserwatystów, dostaną bonifikatę, lecz jeśli zwycięstwo odniesie ktokolwiek inny, to stracą pracę. Ponadto panowie kontrolowali urny i przekupili policję. Chłopów wsadzili potem na wozy i zwieźli na głosowanie, dobrze ich pilnując pośród żartów i śmiechów; była to jedyna okazja, przy której spoufalali się z nimi, kum tu, kum tam, dziedzic może liczyć na mnie, na pewno go nie zawiodę, podoba mi się, chłopie, że masz świadomość

patriotyczną, bo widzisz, wszyscy liberałowie i radykałowie to durnie, a komuniści to bezbożnicy, skurwysyny i dzieciożercy.

W dniu wyborów wszystko przebiegło zgodnie z przewidywaniami i w całkowitym spokoju. Gwarantem procesu demokratycznego były siły zbrojne. Ten wiosenny dzień był radośniejszy i bardziej słoneczny niż inne.

- Jest to przykład dla tego kontynentu pełnego Indian i Murzynów, którzy spędzają życie na wywoływaniu rewolucji, po to, żeby obalić jednego dyktatora i wynieść do władzy innego. U nas jest inaczej, mamy prawdziwą republikę, mamy dumę obywatelską, tutaj partia konserwatywna wygrywa w uczciwych wyborach i nie potrzeba żadnego generała, żeby był ład i spokój; w tym kraju nie jest tak jak pod dyktaturami w krajach ościennych, gdzie jedni zabijają innych, a gringos wywożą wszystkie surowce - oświadczył Trueba w klubowej jadalni, wznosząc toast w chwili, gdy nadeszła wiadomość o wynikach głosowania.

Trzy dni później, gdy wróciła rutyna życia codziennego, do Las Tres Marias przyszedł list od Feruli. Tej nocy Esteban Trueba śnił o Rosie. Nie zdarzało mu się to już od dawna. We śnie ujrzał ją z włosami spadającymi na plecy, aż do pasa, jak peleryna z roślin; miała twardą i lodowatą skórę o barwie i fakturze alabastru. Była naga i trzymała w rękach paczkę, szła, jak chodzi się w snach, z aureolą zielonego blasku wokół ciała. Zbliżała się powoli i gdy chciał jej dotknąć, rzuciła mu paczkę pod nogi. Pochylił się, podniósł ją i zobaczył dziewczynkę bez oczu, która nazywała go tatą. Obudził się przestraszony i przez cały ranek był nie w humorze. Z powodu tego snu był niespokojny już na kilka godzin przed nadejściem listu od Feruli. Wszedł do kuchni, by jak co dzień zjeść śniadanie, i nadział się na kurę, która dziobała okruchy leżące na podłodze. Dał kurze takiego kopniaka, że otworzył się jej brzuch i trzepocząc skrzydłami skonała na samym środku kuchni w kałuży krwi, w której topiły się flaki i pióra. Nie uspokoiło go to, lecz przeciwnie, wzmogło gniew i poczuł, że zaczyna się dusić. Wsiadł na konia i pogalopował dojrzeć bydło, które właśnie znakowano. Wtedy zaszedł do dworu Pedro Drugi Garcia, który zawiózł przesyłkę na stację w San Lucas i w osadzie odebrał pocztę. Przywiózł list od Feruli.

Aż do obiadu koperta leżała na stole przy wejściu. Po powrocie do domu Esteban Trueba poszedł prosto do łazienki, ponieważ był spocony, zakurzony i nasycony nieomylnym zapachem zastraszonego bydła. Potem usiadł w gabinecie, żeby sporządzić rachunki, i kazał podać sobie obiad na tacy. List siostry zauważył dopiero wieczorem, gdy obszedł dom, jak czynił to zawsze przed pójściem do łóżka, by sprawdzić, czy światła są pogaszone, a drzwi pozamykane. List Feruli wyglądał tak samo jak wszystkie inne, które otrzymał od niej, ale gdy tylko wziął go do ręki i nim jeszcze otworzył, poczuł, że treść tego listu zmieni jego życie. Miał to samo uczucie jak wtedy, przed laty, gdy wziął do ręki telegram od siostry z wiadomością o śmierci Rosy.

Gdy otwierał kopertę, pod wpływem przeczucia, które go ogarnęło, zatętniła mu krew w skroniach. Siostra donosiła pokrótce, że dońa Ester Trueba jest umierająca i że po tylu latach opiekowania się nią i usługiwania jej jak niewolnica musi na dodatek znosić to, że matka już jej nie poznaje, natomiast całymi dniami i nocami wzywa swojego syna Estebana, gdyż nie chce umrzeć nie ujrzawszy go. Esteban nigdy nie kochał naprawdę matki i czuł się nieswojo w jej obecności, lecz wiadomość wstrząsnęła nim. Zrozumiał, że tym razem na nic nie zdadzą się coraz to

wymyślniejsze preteksty, by jej nie odwiedzić, i że nadeszła chwila, w której musi pojechać do stolicy i po raz ostatni stanąć oko w oko z tą kobietą - obecną w jego koszmarach, pachnącą stęchłymi lekarstwami, cicho pojękującą, wygłaszającą nie kończące się przemowy; kobietą cierpiącą, która zakazami i lękami zaludniła jego dzieciństwo, a poczuciem odpowiedzialności i winy obciążyła jego wiek męski.

Wezwał Pedra Drugiego Garcię i wyjaśnił mu sytuację. Zaprowadził go do biura i pokazał księgę buchalteryjną, a także rachunki ze sklepu. Wręczył mu wszystkie klucze z wyjątkiem kluczy do piwnicy, w której przechowywano wina, i oświadczył, że od tej chwili aż do jego powrotu jest on odpowiedzialny za wszystko w Las Tres Marias i że za wszelkie głupstwo, które popełni, zapłaci bardzo wysoką cenę. Pedro Drugi Garcia wziął klucze, wsadził księgę pod pachę i uśmiechnął się, choć wcale nie był uradowany.

- Człowiek robi, co może, nie więcej, panie dziedzicu - rzekł wzruszając ramionami.

Następnego dnia Esteban Trueba odbył po raz pierwszy od wielu lat drogę, którą przebył, gdy opuściwszy dom matki wyjechał na wieś. Ze skórzaną walizką pojechał wozem na stację w San Lucas, wsiadł do wagonu pierwszej klasy z czasów, gdy koleje należały do kompanii angielskiej, i po raz drugi w życiu przejechał pociągiem wśród pól rozciągających się u stóp kordyliery.

Zamknął oczy i usiłował zasnąć, ale obraz matki, który ukazał mu się przed oczyma, odegnał senność.

CLARA JASNOWIDZĄCA

Clara miała dziesięć lat, gdy uznała, że nie warto mówić, i zasklepiła się w niemocie. Jej życie uległo istotnym zmianom. Lekarz rodziny del Valle, gruby i miły doktor Cuevas, starał się wyleczyć ją z niemoty pigułkami, które sam wynalazł, witaminami w syropie i okładami z miodu boraksowego na gardło, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Uświadomił sobie, że lekarstwa nie są skuteczne, a sama jego obecność wywołuje u dziewczynki lęk. Na widok doktora Clara zaczynała piszczeć i ukrywała się w najdalszym zakątku domu, skulona jak zaszczute zwierzę, toteż zrezygnował z kuracji i doradził Severowi i Nivei, żeby zaprowadzili ją do Rumuna nazwiskiem Rostipow, który był sensacją sezonu. Rostipow zarabiał na życie sztuczkami iluzjonisty w teatrach rozmaitości i dokonał niesamowitego wyczynu: przeciągnął stalową linę ze szczytu wieży katedry do kopuły budynku Bractwa Galisyjskiego po drugiej stronie placu i przechadzał się po niej podpierając się jedynie tyczką. Mimo frywolnego usposobienia wywołał wrzawę w kołach naukowych, ponieważ w wolnym czasie leczył histerię za pomocą różdżki magnetycznej i transów hipnotycznych. Nivea i Severo zaprowadzili Clarę do zaimprowizowanej poradni, którą Rumun założył w hotelu. Rostipow zbadał ją dokładnie i na koniec orzekł, że przypadek ten to nie jego specjalność, gdyż dziewczynka nie mówi dlatego, że nie ma ochoty, a nie dlatego, że nie może. Mimo wszystko, wobec nalegań rodziców, sfabrykował z cukru pigułki pomalowane na kolor fioletowy i przepisał je twierdząc, że jest to syberyjskie lekarstwo dla głuchoniemych. Lecz tym razem sugestia nie zadziałała i wskutek nieuwagi domowników zawartość drugiego flakonu zjadł Barrabas, co nie wywołało u niego żadnych widocznych skutków. Severo i Nivea starali się domowymi sposobami, za pomocą próśb i gróźb nakłonić Clarę do mówienia, nawet nie dając jej jeść, gdyż

mieli nadzieję, że gdy poczuje głód, otworzy usta i poprosi o kolację, ale te wszystkie zabiegi również okazały się bezskuteczne.

Nana wpadła na pomysł, że, być może, dziewczynka zacznie mówić, gdy się ją ciężko przestraszy, i przez dziewięć lat rozpaczliwie wymyślała rozmaite wybiegi, lecz osiągnęła tylko jedno: Clara uodporniła się na zaskoczenie i zgrozę. Wkrótce przestała bać się czegokolwiek, nie wzruszał jej widok sinych, wygłodzonych potworów, które pojawiały się w jej pokoju, ani dobijanie się wampirów i demonów do okna. Nana przebierała się za flibustiera bez głowy, kata z londyńskiej Tower, wilczura i rogatego diabła, zależnie od natchnienia, które miała w danej chwili, i pomysłów, które czerpała z powieści grozy; kupowała je w zeszytach, a ponieważ nie umiała czytać, korzystała z ilustracji. Nawykła do prześlizgiwania się dyskretnie korytarzami i napadania na Clarę w ciemnościach, wycia za drzwiami i wkładania żywych robaków do łóżka dziewczynki, ale z ust dziewczynki nigdy nie wyrwało się ani jedno słowo. Czasami Clara traciła cierpliwość, rzucała się na ziemię, wierzgała i krzyczała, lecz nie czyniła tego w żadnym znanym języku. Kiedy indziej na tabliczce, którą zawsze nosiła ze sobą, wypisywała najgorsze obelgi pod adresem biednej kobiety, która szła wtedy do kuchni i płakała tam rozżalona, że Clara jej nie rozumie.

- Robię to dla twojego dobra, aniołku - szlochała Nana zawinięta w zakrwawione prześcieradło, z twarzą zaczernioną spalonym korkiem.

Wreszcie Nivea zakazała jej straszenia Clary. Zdała sobie sprawę, że stan niepokoju potęguje moce umysłowe córki i wywołuje nieład wśród zjaw, które ją otaczają. Ponadto defilada krwiożerczych osobników niszczyła system nerwowy Barrabasa, który nigdy nie miał dobrego węchu i nie był w stanie rozpoznać Nany, gdy się przebierała. Pies zaczął oddawać mocz na siedząco, robiąc wokół siebie ogromną kałużę, i często zgrzytał zębami. Lecz Nana wykorzystywała każdą chwilę nieuwagi matki i uporczywie ponawiała próby wyleczenia Clary z niemoty w taki sam sposób, w jaki likwiduje się czkawkę.

Clarę odebrano ze szkoły prowadzonej przez zakonnice, w której pobierały nauki wszystkie siostry del Valle, i zapewniono jej prywatnych nauczycieli. Severo sprowadził z Anglii nauczycielkę, miss Agathę, kobietę wysoką, całą w kolorze bursztynu i z wielkimi dłońmi murarza, ale nie wytrzymała zmiany klimatu, pikantnego pożywienia i widoku solniczki samoczynnie jeżdżącej po stole kuchennym i musiała wrócić do Liverpoolu. Następną nauczycielką była Szwajcarka, której też się nie powiodło, a potem Francuzka, która przyjechała dzięki kontaktom ambasadora Francji z rodziną del Valle. Była tak różowa, okrągła i słodka, że po kilku miesiącach zaszła w ciążę i gdy zbadano sprawę, okazało się, że ojcem jest Luis, starszy brat Clary. Severo kazał im pobrać się, nie pytając zainteresowanych o zdanie w tej sprawie i – wbrew przewidywaniom Nivei i jej przyjaciółek - byli bardzo szczęśliwi. Nivea, mając na względzie wszystkie te doświadczenia, przekonała męża, że nauka języków obcych nie jest ważna w przypadku dziecka, które posiada zdolności telepatyczne, i że lepiej będzie, jeśli Clara nauczy się gry na pianinie i haftu.

Mała Clara dużo czytała. Nie przebierała w lekturach - czytała z równym zainteresowaniem magiczne książki z zaczarowanych kufrów wuja Marcosa, jak dokumenty partii liberalnej, które ojciec trzymał w kancelarii. Zapełniała niezliczone zeszyty osobistymi notatkami i zapisywała bieżące wydarzenia; dzięki temu nie zaszły mgłą zapomnienia i mogę je teraz odtworzyć. Clara jasnowidząca znała

znaczenie snów. Była to u niej naturalna umiejętność i nie wymagała uciążliwych studiów kabalistycznych, które odbywał wuj Marcos; wkładał w nie więcej wysiłku niż Clara, ale z mniejszym skutkiem. Pierwszy zdał sobie z tego sprawę Honorio, ogrodnik, który u nich pracował; pewnego dnia przyśniło mu się, że między jego nogami snują się węże i że chcąc się ich pozbyć depcze je, aż zadeptał dziewiętnaście. Przycinając róże opowiedział o tym dziewczynce tylko po to, by ją zabawić, ponieważ bardzo ją lubił i było mu żal, że jest niemową. Clara wyjęła z kieszeni fartucha tabliczkę i napisała na niej interpretację snu Honoria: dostaniesz dużo pieniędzy, będą trzymały się ciebie przez krótki czas, łatwo je wygrasz, postaw na dziewiętnastkę. Honorio nie umiał czytać, ale Nivea, strojąc sobie żarty i śmiejąc się, przeczytała mu przesłanie. Ogrodnik zrobił to, co mu zasugerowała Clara, i w nielegalnej spelunce, która była za składem węgla, wygrał osiemdziesiąt pesos. Wydał je na nowy garnitur, pamiętną pijatykę ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi i fajansową lalkę dla Clary. Odtąd dziewczynka miała dużo pracy, gdyż rozszyfrowywała sny, z czym kryła się przed matką, bo gdy dowiedziano się o przygodzie Honoria, przychodzili do niej ludzie i pytali, co znaczy, gdy we śnie lata się nad wieżą z łabędzimi skrzydłami, gdy płynie się barką, którą znosi prąd, a syrena śpiewa głosem wdowy, gdy rodzi się dwoje bliźniąt zrośniętych plecami, a każde z nich trzyma w ręce szpadę, i Clara bez wahania pisała na tabliczce, że wieża to śmierć, a kto lata nad nią, ten nie zginie w wypadku, kto się topi i słyszy syrenę, ten straci pracę i popadnie w nędzę, ale pomoże mu kobieta, z którą będzie robił interesy, bliźnięta zaś to mąż i żona, skazani na ten sam los i raniący się wzajemnie ciosami szpady

Clara nie tylko tłumaczyła sny Także widziała przyszłość i znała ludzkie intencje, zdolności te miała przez całe życie, a z biegiem czasu coraz bardziej je rozwijała Przepowiedziała śmierć swojego ojca chrzestnego, don Salomona Valdesa, który był maklerem na Giełdzie Towarowej i sądząc, że wszystko stracił, powiesił się na lampie w swym eleganckim biurze Znaleziono go tam na skutek nalegań Clary, wyglądał jak stary baran, tak jak opisała go na tabliczce Przepowiedziała przepuklinę ojca, wszystkie trzęsienia ziemi i inne klęski żywiołowe w tym jedyne opady śniegu w stolicy, które sprawiły, że biedota z podmiejskich osiedli powymierała z zimna i wymarzły krzewy różane w ogrodach bogaczy Ustaliła tożsamość mordercy uczennic, nim jeszcze policja odkryła drugiego trupa, ale nikt jej nie uwierzył, Severo zaś nie chciał, by córka wypowiadała się w sprawach kryminalnych, które nie miały żadnego związku z rodziną Na widok Getuha Armanda od razu zdała sobie sprawę, że człowiek ten oszuka ojca na handlu owcami australijskimi, ponieważ wyczytała to w barwie otaczającej go aury Napisała o tym ojcu, ale ten zignorował przestrogę i gdy przypomniał sobie przepowiednię najmłodszej córki, stracił już połowę majątku, a jego wspólnik włóczył się po Karaibach jako bogacz, mający harem dupiastych Murzynek i własny statek, na którym się opalał

Zdolność poruszania przedmiotami bez dotykania ich nie przeszła Clarze wraz z menstruacją, wbrew temu, co zapowiadała Nana Przeciwnie, Clara czyniła to z coraz większą wprawą i nabrała w tej dziedzinie takiego doświadczenia, że mogła poruszać klawisze pianina, gdy było zamknięte, choć nigdy nie udało się jej przesunąć samego pianina, czego bardzo pragnęła Ekstrawagancjom tym poświęcała większość energii i czasu Rozwinęła zdolność odgadywania zdumiewająco wysokiego odsetka kart i wymyśliła dla swojego rodzeństwa sztuczki karciane Ojciec zakazał jej wróżyć przyszłość z kart i wywoływać figlarne zjawy i duchy, które molestowały resztę rodziny i straszyły służbę, ale Nivea zrozumiała, że im więcej ograniczeń nakłada się

na najmłodszą córkę i im częściej się ją straszy, tym bardziej staje się zwariowana, toteż postanowiła zostawić w spokoju zarówno ją samą, jak i jej sztuczki spirytystyczne, zabawy w Pytię i jaskiniowe milczenie, starała się kochać ją bez względu na to wszystko i akceptować taką, jaka była Clara rosła jak dzika roślina, wbrew zaleceniom doktora Cuevasa, który przywiózł z Europy wieść, że wariatów leczy się teraz zimnymi kąpielami i elektrowstrząsami

Barrabas towarzyszył dziewczynce dzień i noc, z wyjątkiem okresów aktywności seksualnej Zawsze snuł się za nią jak ogromny cień, milczący jak ona, kładł się u jej stóp, gdy siadała, a w nocy sypiał u jej boku sapiąc jak lokomotywa Rozumiał się ze swoją panią tak dobrze, że gdy chodziła we śnie po domu, czynił to samo Przy pełni księżyca widywano ich razem, płynących w bladej poświacie po korytarzach jak dwie zjawy W miarę jak pies rósł, był coraz bardziej roztargniony Nigdy nie zrozumiał, że szyby są przezroczyste, i w chwilach emocji miał zwyczaj nacierać na okna z niewinnym zamiarem schwytania jakiejś muchy. Padał po drugiej stronie w trzasku potłuczonych szyb, zaskoczony i smutny. W tamtych czasach szyby przywożono z Francji i psia mania rzucania się na nie zaczęła być kłopotliwa, aż w końcu Clara sięgnęła po środek ostateczny: wymalowała na szybach koty. Barrabas, osiągnąwszy wiek dojrzały, przestał spółkować z nogami fortepianu, jak to czynił w dzieciństwie, i jego instynkt reprodukcyjny objawiał się tylko wtedy, gdy zwęszył w pobliżu jakąś sukę mającą cieczkę. W takich razach na nic nie zdawały się łańcuchy ani drzwi; wypadał na ulicę pokonując wszelkie napotkane po drodze przeszkody i znikał na dwa czy trzy dni. Wracał zawsze z biedną suką wiszącą mu z tyłu i przeszytą jego ogromną męskością. Trzeba było zamykać w domu dzieci, żeby nie oglądały tego horrendalnego widowiska: oto bowiem ogrodnik polewał ich dopóty, dopóki dzięki dużej ilości zimnej wody, kopniakom i innym nikczemnym zabiegom Barrabas nie oderwał się od ukochanej, która dogorywała na patio, gdzie Severo musiał ją dobić z litości.

Młodość upłynęła Clarze spokojnie, w wielkim domu rodzinnym z trzema patiami; była rozpieszczana przez starsze rodzeństwo, Severa, który kochał ją najbardziej spośród wszystkich dzieci, Niveę i Nanę, która przeplatała najczulszą troskliwością swoje złowieszcze wypady w przebraniu poczwary. Prawie całe rodzeństwo powstępowało w związki małżeńskie lub wyjechało, jedni w podróż, inni do pracy na prowincji, i wielki dom, w którym dawniej mieszkała liczna rodzina, niemal opustoszał i pozamykano wiele pokojów. Dziewczynka spędzała czas wolny od nauki na czytaniu, przesuwaniu przedmiotów bez dotykania, bieganiu z Barrabasem, a poza tym zabawiała się we wróżby i robiła na drutach, co było jedynym zajęciem domowym, jakie opanowała. Odkąd w pamiętny Wielki Czwartek ojciec Restrepo oskarżył ją, że jest opętana przez diabła, nad jej głową wisiał cień, który neutralizowała miłość rodziców i dyskrecja rodzeństwa, lecz mimo to krążyły plotki o jej dziwnych zdolnościach; damy przekazywały je sobie szeptem na spotkaniach towarzyskich. Nivea zauważyła, że nikt nie zaprasza córki i że unikają jej nawet kuzyni. Starała się zrekompensować Clarze brak przyjaciół całkowitym poświęceniem dla niej, co czyniła z tak dużym powodzeniem, że córka rosła radosna, a po latach wspominała dzieciństwo jako szczęśliwy okres w swym życiu, na którym nie ciążyła ani samotność, ani niemota. Przez całe życie zachowywała w pamięci popołudnia spędzane z matką w pokoiku służącym za pracownię krawiecką, gdzie Nivea szyła na maszynie odzież dla ubogich i opowiadała jej baśnie i anegdoty z życia rodzinnego. Pokazywała dagerotypy wiszące na ścianach i opowiadała o przeszłości.

- Widzisz tego tak poważnego pana z brodą korsarza? To wuj Mateo, który wyjechał do Brazylii na handel szmaragdami, lecz pewna ognista Mulatka rzuciła na niego urok. Powypadały mu włosy, paznokcie i zęby. Musiał pójść do czarownika wudu, [wśród potomków dawnych niewolników, głównie na Haiti i w niektórych innych krajach półkuli zachodniej, zespół wierzeń i obrzędów pochodzenia afrykańskiego z domieszką elementów chrześcijańskich oraz rodzaj muzyki na bębnach i tańca, będący integralną częścią tych obrzędów] ciemnobrunatnego Murzyna, który dał mu amulet, i wzmocniły mu się zęby i odrosły paznokcie i włosy. Popatrz, córeczko, ma więcej włosów niż Indianin, to jedyny łysy mężczyzna na świecie, któremu odrosły włosy.

Clara uśmiechała się milcząc, a Nivea mówiła dalej, ponieważ przyzwyczaiła się do milczenia córki. Miała jednak nadzieję, że wbijając jej tyle pojęć do głowy sprawi, iż prędzej czy później zada jakieś pytanie i odzyska mowę.

- A ten - mówiła - to wuj Juan Bardzo go kochałam. Pewnego razu pierdnął i był to dla niego wyrok śmierci, wielkie nieszczęście Zdarzyło się to podczas pikniku, w wonny dzień wiosenny Byłam tam ze wszystkimi kuzynkami, miałyśmy na sobie muślinowe sukienki i kapelusze z kwiatami i wstążkami, a chłopcy zjawili się w najlepszych odświętnych strojach Juan zdjął biały surdut - zupełnie jakbym go widziała w tej chwili. Zakasał rękawy koszuli i wdzięcznie zawisł na gałęzi, by wzbudzić podziw Constanzy Andrade, która była Królową Winobrania i z powodu której od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, stracił spokój, gdyż zżerała go miłość Juan zrobił dwa nienaganne wygięcia, pełny obrót i przy kolejnym ruchu puścił głośno bąka Nie śmiej się, Canto. To było straszne Zapanowała pełna zażenowania cisza i Królowa Winobrania zaczęła śmiać się do rozpuku Juan założył surdut, był bardzo blady, odszedł niespiesznym krokiem i nigdy więcej go nie ujrzeliśmy Poszukiwano go nawet w Legii Cudzoziemskiej, pytano we wszystkich konsulatach, ale przepadł na zawsze bez wieści Myślę, że został misjonarzem i pojechał opiekować się trędowatymi na wyspie Wielkanocnej, bo to najdalsze miejsce, do którego można dotrzeć, gdy chce się zapomnieć i zostać zapomnianym, ponieważ wyspa ta leży z dala od szlaków żeglugowych i nie figuruje nawet na mapach Holendrów Odtąd ludzie pamiętają go jako Juana Pierdziel.

Nivea prowadziła córkę do okna i pokazywała jej suchy pień topoli.

- To było ogromne drzewo - mówiła. - Kazałam je ściąć przed urodzeniem mojego najstarszego syna Podobno było tak wysokie, iż z jego wierzchołka widać było całe miasto, ale jedyny człowiek, który wszedł tak wysoko, był niewidomy i nie mógł go obejrzeć W rodzinie del Valle każdy mężczyzna, chcąc włożyć długie spodnie, musiał wspiąć się na to drzewo i dowieść swego męstwa Było to coś w rodzaju obrzędu inicjacji Drzewo było pokryte znakami Sama mogłam przekonać się o tym, gdy je ścięto Poczynając od pierwszych konarów pośrednich, grubych jak kominy, widać było znaki pozostawione przez dziadków, którzy wspinali się na nie w młodości Dzięki wyrytym w pniu inicjałom było wiadomo, kto wszedł najwyżej, a więc był najodważniejszy, oraz kto się przestraszył i zatrzymał Pewnego dnia wypadło na Jeronima, niewidomego kuzyna Sprawdzając stopami wytrzymałość gałęzi wszedł bez wahania, ponieważ nie miał lęku wysokości ani uczucia pustki Doszedł do wierzchołka, lecz nie mógł wyciąć do końca litery jot, bo oderwał się jak gargulec i poleciał głową w dół, upadł u stóp ojca i braci Miał piętnaście lat. Ciało, zawinięte w prześcieradło, zaniesiono matce, biedna kobieta napluła wszystkim w twarz,

obrzuciła ich marynarskimi wyzwiskami i przeklęła rasę męską, która nakłoniła syna, żeby wszedł na drzewo, aż w końcu siostry miłosierdzia zabrały ją w kaftanie bezpieczeństwa. Wiedziałam, że pewnego dnia moi synowie będą musieli kontynuować tę barbarzyńską tradycję. Dlatego kazałam ściąć drzewo Nie chciałam, by Luis i inni chłopcy rośli w cieniu tego szafotu, który zasłaniał okno.

Czasami Clara towarzyszyła matce i jej dwóm czy trzem przyjaciółkom sufrażystkom w wyprawach do fabryk, gdzie wchodziły na skrzynie i przemawiały do robotnic, podczas gdy majstrowie i pracodawcy obserwowali je z bezpiecznej odległości nie szczędząc kpin i zaczepek Mimo bardzo młodego wieku i zupełnej ignorancji spraw tego świata Clara dostrzegała absurdalność sytuacji i w swoich zapiskach uwidoczniła kontrast między matką i jej przyjaciółkami, które, w futrach i zamszowych botkach, rozprawiały o ucisku i równouprawnieniu, a smętną i zrezygnowaną rzeszą robotnic z czerwonymi od mrozu dłońmi i w grubych drelichowych fartuchach. Z fabryki sufrażystki szły do cukierni przy Placu Broni na herbatę z ciasteczkami i komentowały tam postępy kampanii, przy czym ta frywolna rozrywka nie oddalała ich ani trochę od płomiennych ideałów. Innymi razy matka zabierała ją do dzielnic peryferyjnych i slumsów, gdzie przyjeżdżały bryczką wypełnioną żywnością i odzieżą, którą Nivea i jej przyjaciółki szyły dla ubogich. Także przy tych okazjach dziewczynka wykazywała zdumiewającą intuicję, gdyż pisała, że miłosierdzie nie może złagodzić monumentalnej niesprawiedliwości. Jej stosunki z matką były radosne i serdeczne; choć Nivea wydała na świat piętnaścioro dzieci, traktowała ją tak, jakby była jej jedynym dzieckiem; więź, która istniała między nimi, była tak silna, że w następnych pokoleniach stała się tradycją rodzinną.

Nana była kobietą, której wiek zdawał się nie imać; była nadal tak silna jak za młodu i z taką samą energią, z jaką potrafiła wyskoczyć z kąta, by przestraszyć Clarę, mogła stać przez cały dzień na środku trzeciego patio i mieszać w miedzianym garnku, podczas gdy na piekielnym ogniu bulgotały konfitury z pigwy - gęsty płyn o barwie topazu, który, gdy wystygł, wlewała do foremek różnych rozmiarów; potem Nivea rozdawała je biedakom. Nana była przyzwyczajona do tego, że otaczają ją dzieci, więc gdy starsze urosły i się powyprowadzały, całą swoją czułością obdarzyła Clarę. Chociaż dziewczynka była już na to za duża, kąpała ją jak niemowlę w emaliowanej wanience z wodą perfumowaną bazylią i jaśminem, myła gąbką, skrupulatnie mydliła nie zapominając o żadnej szparce w uszach czy między palcami stóp, nacierała wodą kolońską, pudrowała pędzelkiem z łabędzich piór i szczotkowała włosy z bezgraniczną cierpliwością, aż uzyskiwały połysk i miękkość wodorostów. Ubierała ją, ścieliła jej łóżko, przynosiła na tacy śniadanie, zmuszała do picia kwiatu lipowego na nerwy, rumianku na żołądek, soku cytrynowego na cerę, naparu z ruty na zły humor i z mięty na świeżość oddechu, tak że dziewczynka stała się anielską i czarującą istotą, która snuła się po patiach i korytarzach spowita w zapach kwiatów, szeleszcząca krochmalonymi haleczkami, z głową w lokach i wstążkach.

Clara spędziła dzieciństwo i młodość wśród straszydeł i w spokoju milczenia w domu, w którym czasu nie odmierzały zegary i gdzie przedmioty żyły własnym życiem, zjawy siadały przy stole i rozmawiały z ludźmi, przeszłość i przyszłość stapiały się w jedną całość, a rzeczywistość teraźniejszości była kalejdoskopem z bezładnych lusterek, w którym wszystko mogło się zdarzyć. Czytam z rozkoszą zeszyty z tamtych czasów z opisami magicznego świata, którego już nie ma. Clara żyła w świecie wymyślonym dla niej, chroniona przed surowością świata realnego; w jej świecie prozaiczna prawda rzeczy materialnych mieszała się z bezładną prawdą

snów i nie zawsze działały w nim prawa fizyki i logiki. W tym okresie Clara była zajęta swoimi fantazjami, obracała się w towarzystwie duchów powietrza, wody i ziemi, tak szczęśliwa, że przez dziewięć lat nie czuła potrzeby mówienia. Wszyscy stracili nadzieję, że kiedykolwiek ją usłyszą, a tymczasem w dniu urodzin, po zdmuchnięciu dziewiętnastu świec na czekoladowym torcie, zrobiła użytek z głosu, który ukrywała przez ten cały czas i który teraz zadźwięczał jak rozstrojony instrument.

- Wkrótce wyjdę za mąż - powiedziała.

- Za kogo? - zapytał Severo.

- Za narzeczonego Rosy.

I oto nagle zdali sobie sprawę, że przemówiła po raz pierwszy od lat, i cud ten wstrząsnął domem od podstaw i wywołał płacz całej rodziny Rozdzwoniły się telefony, wiadomość rozeszła się po mieście, zasięgnięto opinii doktora Cuevasa, który nie chciał w to uwierzyć, i w zamieszaniu, jakie wywołał fakt, że Clara przemówiła, wszyscy zapomnieli o tym, co powiedziała - przypomnieli sobie dopiero po dwóch miesiącach, gdy zjawił się Esteban Trueba, którego nie widziano od pogrzebu Rosy, i poprosił o rękę Clary.

Esteban Trueba wysiadł z pociągu Sam niósł dwie walizki.

Żelazna kopuła, którą - imitując dworzec Victoria - zbudowali Anglicy w czasach, gdy mieli koncesję na krajowe koleje, nie zmieniła się, odkąd był tu poprzednio przed laty te same brudne szyby, dzieci-pucybuty, sprzedawcy bułek maślanych i ciastek, tragarze w ciemnych czapkach z odznaką o barwach korony brytyjskiej, których nikomu nie przyszło do głowy zastąpić barwami narodowymi.

Wynajął bryczkę i podał adres matki Miasto wydawało mu się nie znane, panował w nim nieład modernizmu, kobiety pokazywały łydki, a mężczyźni chodzili w kamizelkach i spodniach z zakładkami, robotnicy robili wiele hałasu o nic, wiercąc dziury w chodnikach, ścinając drzewa i na ich miejsce stawiając słupy, obalając słupy i stawiając domy, burząc domy i sadząc drzewa, domokrążcy powodowali zatory, zachwalając cudowne osełki, prażone orzeszki ziemne, lalki, które same tańczą na linie, bez drutu i sznurków, proszę sprawdzić, dotknąć, wiatr roznosił zapachy śmietników, smażeniny, fabryk, automobilów, którym co rusz zajeżdżały drogę bryczki i tramwaje konne, wszędzie tłum, bieganina i pośpiech, niecierpliwość i atmosfera stałego rozkładu zajęć.

Esteban był przytłoczony. Stwierdził, że nienawidzi tego miasta bardziej, niż mu się to wydawało, przypomniał sobie zagajniki topolowe na wsi, czas odmierzany deszczami, samotność rozległych pól, chłodny spokój rzeki i cichy dom

- To miasto to jedno wielkie gówno - orzekł.

Bryczka podwiozła go truchtem pod dom, w którym się wychował Wstrząsnął nim obraz degradacji, jakiej w ciągu tych lat uległa dzielnica, odkąd ludzie bogaci zechcieli mieszkać wyżej niż inni, a miasto rozrosło się aż po podnóża kordyliery Nic nie zostało z placu, na którym bawił się jako dziecko, był to teraz teren zapuszczony, pełen wozów targowych, stojących pośród śmietniska, w którym grzebały bezpańskie psy Dom rodzinny był zdewastowany Na jego fasadzie Esteban ujrzał wszystkie

znaki upływu czasu Na oszklonych drzwiach, niemodnych i wychodzących z futryny, z motywami egzotycznych ptaków wy szlifowanymi w krysztale, znajdowała się kołatka z brązu w formie kobiecej ręki trzymającej kulę Zastukał i musiał odczekać chwilę, która wydawała mu się trwać w nieskończoność, po czym drzwi otworzyły się, szarpnięte sznurem, który łączył zatrzask drzwiowy z górną częścią schodów Matka mieszkała na drugim piętrze, a parter wynajmowała fabryce guzików Zaczął wchodzić po skrzypiących stopniach, których od dawna nie woskowano Bardzo stara służąca - zupełnie zapomniał o jej istnieniu - czekała na niego na górze i przywitała z łzawymi objawami afektu, tak samo jak witała go, gdy miał piętnaście lat i wracał od notariusza, gdzie zarabiał na życie przepisując akty przekazania własności i pełnomocnictwa nie znanych mu osób Nic się nie zmieniło, nawet ustawienie mebli, ale wszystko wydało się Estebanowi odmienne - korytarz z drewnianą zużytą podłogą, kilka potłuczonych szyb, w miejsce których niedbale pozatykano kawałki kartonu, kilka zakurzonych paproci w zardzewiałych dzbanach i obtłuczonych fajansowych donicach, fetor jedzenia i uryny, który wywoływał skurcze żołądka „Co za ubóstwo!” – pomyślał Esteban nie pojmując, na co szły te wszystkie pieniądze, które wysyłał siostrze, by wraz z matką mogły żyć przyzwoicie.

Ferula wyszła mu na powitanie z grymasem smutku na twarzy. Bardzo się zmieniła, nie była już kobietą o obfitych kształtach, z którą rozstał się przed laty, schudła i na tle kanciastych rysów jej nos wydawał się ogromny, miała wygląd osoby melancholijnej i przygaszonej, czuło się wokół niej mocną woń lawendy i starej odzieży. Uścisnęli się w milczeniu.

- Jak się czuje mama? - zapytał Esteban.

- Chodź, ona czeka na ciebie - odparła.

Minęli ciąg jednakowych ciemnych pokojów w amfiladzie, o ponurych ścianach, wysokich sufitach i wąskich oknach; wszystkie pomieszczenia były pokryte tapetą w wyblakłe kwiaty i zwiędłe dziewice, poplamioną sadzą z żarowników i pokrytą patyną czasu i biedy. Z daleka dochodził głos spikera radiowego, reklamującego pigułki doktora Rossa, maleńkie, ale skuteczne na zaparcie, bezsenność i brzydki zapach z ust. Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami sypialni doni Ester Trueby.

- Ona jest tutaj - powiedziała Ferula.

Esteban otworzył drzwi i potrzebował paru sekund, żeby dostrzec cokolwiek w ciemnościach. W twarz uderzył go zapach lekarstw i zgnilizny - słodkawy odór potu, wilgoci, zamknięcia i czegoś, czego początkowo nie zidentyfikował, a co szybko przylgnęło doń jak zaraza: woń rozkładającego się ciała. Światło padało wąską smugą przez nie domknięte okno; zobaczył szerokie łóżko z czarnego drewna, na którym zmarł ojciec i od dnia ślubu sypiała matka, oraz drewniany baldachim rzeźbiony w aniołki i zniszczone zasłony z czerwonego brokatu. Matka spoczywała na łóżku półleżąc. Był to blok zbitego mięsa, monstrualna piramida tłuszczu i szmat, nad którą sterczała łysa główka z błękitnymi, łagodnymi oczyma, które zadziwiały swoją żywością i niewinnością. Zapalenie stawów uczyniło z niej istotę monolityczną, nie mogła zginać kończyn ani kręcić głową, miała haczykowate palce, jak zwierzęta kopalne, i aby utrzymać się w tej pozycji musiała opierać się plecami o pudło podtrzymywane belką, która z kolei opierała się o ścianę. Po śladach, które belka pozostawiła w murze, widać było upływ czasu, blizny cierpienia, znamiona bólu.

- Mamo... - szepnął Esteban i głos załamał mu się w piersi w zdławionym płaczu, zacierając w jednej chwili smutne wspomnienia o nędznym dzieciństwie, zapachach stęchlizny, mroźnych porankach i tłustej zupie, chorej matce, nieobecnym ojcu i tej złości, która zżerała mu trzewia, odkąd zaczął myśleć; zapomniał o wszystkim poza tymi jedynymi świetlanymi chwilami, w których owa nie znana kobieta, która leżała teraz w łóżku, kołysała go w ramionach, dotykała jego czoła sprawdzając, czy nie ma gorączki, śpiewała mu kołysanki, pochylała się razem z nim nad książką, szlochała z żalu, gdy wstawał o świcie i szedł do pracy będąc jeszcze dzieckiem, szlochała z radości, gdy wracał wieczorem, szlochałaś, matko, z mojego powodu.

Dona Ester wyciągnęła rękę, lecz nie było to pozdrowienie, tylko gest, którym chciała go powstrzymać.

- Synu, nie zbliżaj się - mówiła pełnym głosem, takim, jaki zapamiętał, śpiewnym i zdrowym głosem młodej dziewczyny.

- To z powodu zapachu - wyjaśniła sucho Ferula. - Przesiąka się nim.

Esteban odrzucił postrzępioną kapę z adamaszku i ujrzał nogi matki. Były to dwie zsiniałe kolumny, zniekształcone przez elefantiazę, pokryte wrzodami, w których roiły się i gnieździły larwy much i robaki, dwie nogi gnijące za życia, z ogromnymi stopami w kolorze bladobłękitnym, bez paznokci u palców, rozrywające się pod naporem ropy, czarnej krwi, obrzydliwej fauny, która żywiła się jej ciałem, matko, na Boga, moim ciałem

- Doktor chce mi je amputować, synu - powiedziała dońa Ester spokojnym dziewczęcym głosem - ale jestem na to za stara, za bardzo zmęczona cierpieniem, więc będzie lepiej, jeśli umrę Nie chciałam jednak umierać nie zobaczywszy się z tobą, ponieważ przez te wszystkie lata doszłam do wniosku, że umarłeś i że listy od ciebie pisze twoja siostra, aby nie sprawiać mi bólu Stań w świetle, synu, żebym mogła dobrze ci się przyjrzeć Na Boga! Wyglądasz jak dzikus!

- Tak się żyje na wsi, mamo - wyszeptał

- Mniejsza z tym. Jeszcze wyglądasz na silnego mężczyznę Ile masz lat?

- Trzydzieści pięć

- Odpowiedni to wiek, żeby się ożenić i ustatkować i żebym mogła umrzeć w spokoju

- Nie umieraj, mamo! - błagał Esteban

- Chcę być pewna, że będę miała wnuki, kogoś, w kim będzie płynęła moja krew, kto będzie nosił nasze nazwisko Ferula straciła nadzieję na zamążpójście, ale ty musisz poszukać sobie żony Kobiety przyzwoitej i chrześcijanki Lecz najpierw musisz ściąć te włosy i tę brodę, słyszysz!

Esteban przytaknął Ukląkł przy matce i schował twarz w jej obrzękłej dłoni, lecz zapach kazał mu się cofnąć Ferula wzięła go pod ramię i wyprowadziła z pokoju udręki Na zewnątrz odetchnął głęboko, lecz zapach przylgnął mu do dziurek w nosie i poczuł gniew, ten swój tak dobrze znany gniew, podchodzący jak gorąca fala do głowy, zalewający oczy, wkładający do ust korsarskie bluźnierstwa - gniew, bo przez

tak długi czas nie myślałem o tobie, matko, gniew, że cię zaniedbałem, że cię nie dość kochałem i nie dość się tobą opiekowałem, że jestem nędznym skurwysynem, nie, przepraszam cię, matko, nie to chciałem powiedzieć, do cholery, ona umiera, jest stara, a ja nic na to nie mogę poradzić, nawet uśmierzyć jej bólu, złagodzić cierpień, usunąć tego straszliwego zapachu, tego rosołu śmierci, w którym się gotujesz, mamo

W dwa dni później doña Ester Trueba zmarła na łożu boleści, na którym spędziła ostatnie lata życia Była sama, gdyż Ferula poszła jak w każdy piątek do slumsów w dzielnicy Misericordia, by odmówić różaniec za nędzarzy, ateistów, prostytutki i sieroty, rzucali w nią odpadkami, wylewali na nią urynę z nocników i opluwali, podczas gdy ona, klęcząca w uliczce, wykrzykiwała w niestrudzonej litanii ojczenasze i zdrowaśki, upaprana jakimś świństwem przez nędzarza, plwociną przez ateistę, odpadkami przez prostytutkę i śmieciami przez sierotę, płacząc i lamentując z powodu poniżenia, błagając o przebaczenie dla tych, którzy nie wiedzą, co czynią, i czując, że miękną jej kości, że śmiertelne zwiotczenie zamienia jej nogi w watę, że letni upał, tam w głębi, między udami, przyprawia ją o grzech, zabierz, Panie, ode mnie ten kielich, bo brzuch jej bucha płomieniami piekielnymi, och, świętość, och strach, ojczenasz, Jezu Chryste, nie pozwól mi ulec pokusie

Estebana też nie było u boku doñi Ester, gdy zmarła w milczeniu Poszedł w odwiedziny do państwa del Valle, by sprawdzić, czy nie mają jeszcze jakiejś córki na wydaniu, ponieważ po tylu latach nieobecności i tylu latach barbarzyńskiego żywota nie wiedział, od czego zacząć spełnienie obietnicy złożonej matce, że da jej prawowitych wnuków, i doszedł do wniosku, że jeśli Severo i Nivea zaakceptowali go jako zięcia pięknej Rosy, to nie ma powodu, aby nie zaakceptowali go ponownie, szczególnie teraz, gdy jest człowiekiem bogatym i nie musi ryć ziemi i wyrywać z niej złota, gdyż wszystko, co trzeba, ma na koncie w banku.

Tej nocy Esteban i Ferula zastali matkę martwą Uśmiechała się pogodnie, jak gdyby w ostatniej sekundzie życia choroba chciała oszczędzić jej codziennej tortury

W dniu, w którym Esteban Trueba przyszedł z wizytą, Severo i Nivea del Valle przypomnieli sobie słowa wypowiedziane przez Clarę, gdy przerwała długotrwałą niemotę, toteż nie okazali najmniejszego zdziwienia, gdy gość zapytał, czy nie mają jakiejś córki na wydaniu Dokonali przeglądu sytuacji i poinformowali go, że Ana poszła do klasztoru, Teresa jest bardzo chora, a wszystkie pozostałe powychodziły za mąż, z wyjątkiem najmłodszej, Clary, która jest jeszcze wolna, ale jest to istota dość cudaczna i nie bardzo nadaje się do dźwigania ciężaru obowiązków małżeńskich i do życia rodzinnego Całkiem szczerze opowiedzieli mu o dziwactwach najmłodszej córki, nie tając, że nie mówiła przez pół życia, gdyż nie miała na to ochoty, a nie dlatego, że nie mogła, jak to bardzo dobrze wyjaśnił Rumun Rostipow, a doktor Cuevas potwierdził na podstawie niezliczonych badań Lecz Esteban Trueba nie był człowiekiem, który daje się odstraszyć opowieściami o zjawach snujących się po korytarzach, o przedmiotach zdalnie poruszanych siłą umysłu czy o przepowiadaniu nieszczęść, a już tym bardziej o długotrwałej niemocie, którą uważał za zaletę Uznał, że żadna z tych okoliczności nie stoi na przeszkodzie wydaniu na świat prawowitych, zdrowych dzieci, i poprosił o przedstawienie mu Clary Nivea poszła po córkę, a mężczyźni zostali sami w salonie i Trueba skorzystał z okazji, by ze zwykłą dlań szczerością i bez ogródek wyjaśnić swoją sytuację materialną

- Proszę, niech pan nie wybiega naprzód, Estebanie! - przerwał mu Severo - Najpierw musi pan zobaczyć dziewczynkę i poznać ją lepiej, a my musimy również wziąć pod uwagę życzenia Clary Czyż nie tak?

Nivea wróciła z Clarą Dziewczynka weszła do salonu z zarumienionymi policzkami i czarnymi od brudu paznokciami, ponieważ pomagała ogrodnikowi sadzić georginie, i akurat w tym przypadku nie dopisał jej dar jasnowidzenia, i nie zdołała zadbać o swój wygląd w oczekiwaniu na przyszłego narzeczonego Na jej widok Esteban zerwał się zdumiony. Pamiętał ją jako istotę chudą i astmatyczną, zupełnie pozbawioną wdzięku, a tymczasem dziewczyna, którą miał przed sobą, była delikatnym medalionem z kości słoniowej, o słodkiej twarzy otoczonej gęstwą kasztanowych loków i o melancholijnych oczach, które nabierały szyderczego wyrazu i sypały iskry, gdy się śmiała z głową lekko odchyloną do tyłu. Pozdrowiła go uściskiem ręki, nie okazując nieśmiałości.

- Oczekiwałam pana - powiedziała po prostu.

Parę godzin kurtuazyjnej wizyty upłynęło na rozmowach o lirycznej porze roku, podróżach do Europy, sytuacji politycznej i zimowych przeziębieniach, na popijaniu wina gronowego i jedzeniu ciastek francuskich. Esteban obserwował Clarę, choć czynił to możliwie dyskretnie, i był nią coraz bardziej oczarowany. Nie przypominał sobie, by ktoś wzbudzał w nim takie zainteresowanie od owego pamiętnego dnia, w którym ujrzał piękną Rosę, kupującą anyżkowe karmelki w cukierni na Placu Broni. Porównał obie siostry i doszedł do wniosku, że Clara jest bardziej sympatyczna, choć Rosa była niewątpliwie o wiele bardziej urodziwa. Zapadła noc i weszło dwoje służących, którzy pozaciągali zasłony i pozapalali światła, wówczas Esteban zdał sobie sprawę, że wizyta trwa za długo. Jego maniery pozostawiały wiele do życzenia. Pożegnał się sztywno z Severem i Niveą i poprosił o pozwolenie na ponowne odwiedziny.

- Mam nadzieję, że pani nie nudzę, Claro - rzekł, rumieniąc się ze wstydu. - Jestem prostym człowiekiem ze wsi, co najmniej o piętnaście lat starszym. Nie umiem obcować z tak młodą jak pani osobą.

- Czy chce pan ożenić się ze mną? - zapytała Clara, a on zauważył ironiczny błysk w jej orzechowych źrenicach.

- Na Boga, Claro! - zawołała przerażona matka. - Proszę wybaczyć, Estebanie, ta dziewczyna zawsze była bardzo zuchwała.

- Chcę to wiedzieć, mamo, żeby nie tracić czasu - powiedziała Clara.

- Ja też lubię stawiać sprawy otwarcie - oświadczył Esteban i uśmiechnął się uszczęśliwiony. - Tak, Claro, w tym celu przyszedłem.

Clara wzięła go pod rękę i odprowadziła do drzwi. Gdy po raz ostatni wymienili spojrzenia, Esteban zrozumiał, że został przez nią zaakceptowany, i ogarnęła go radość. Wsiadając do bryczki uśmiechał się nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście i nie rozumiejąc, dlaczego przyjęła go tak czarująca dziewczyna jak Clara, choć przecież go nie znała. Nie wiedział, że wcześniej ujrzała swoje przeznaczenie, że

dlatego przywołała go swoimi myślami i była gotowa wyjść za niego za mąż bez miłości.

Z powodu żałoby Estebana Trueby odczekano kilka miesięcy, podczas których zalecał się on do Clary po staroświecku - tak samo, jak do jej siostry Rosy, nie wiedząc, że Clara nie znosi anyżkowych cukierków, a akrostychy ją śmieszą. Pod koniec roku, około Bożego Narodzenia, oficjalnie ogłosili w prasie zaręczyny i w obecności rodziców i najbliższych przyjaciół - w sumie ponad setki osób - wymienili się pierścionkami. Wydano z tej okazji przyjęcie jak u Pantagruela: przed gośćmi przesuwały się tace z faszerowanymi indykami i wieprzami w karmelu, węgorze morskie, zapiekane langusty, żywe ostrygi, ciasta pomarańczowe i cytrynowe od karmelitanek, migdałowe i orzechowe od dominikanek, czekoladowe i z kremem jajecznym od klarysek oraz skrzynki szampana sprowadzone z Francji za pośrednictwem konsula, który pod osłoną swoich przywilejów dyplomatycznych uprawiał kontrabandę, ale wszystko to było przyrządzone i podane z wielką prostotą przez stare służące w czarnych, codziennych fartuchach, aby nadać przyjęciu pozory skromnego spotkania w gronie rodzinnym, ponieważ wszelka ekstrawagancja uchodziła za trywialną i była potępiana jako grzech wielkopańskiej próżności i oznaka złego gustu, a to ze względu na surowe i nieco ponure obyczaje tego społeczeństwa, mającego za przodków dzielnych imigrantów kastylijskich i baskijskich. Clara w białej koronce z Chantilly przybranej świeżymi kameliami była szczęśliwa i nie omieszkała powetować sobie dziewięciu lat milczenia nieustannym trajkotem, tańczyła z narzeczonym pod markizami i lampionami, nie zważając zupełnie na ostrzeżenia duchów, które dawały jej rozpaczliwe znaki zza kotar, a których nie dostrzegała w ciżbie i zgiełku. Ceremonia zaręczyn utrzymywała się w niezmienionej formie od czasów kolonialnych. O dziesiątej wieczorem wkroczył służący dzwoniąc kryształowym dzwoneczkiem, ucichła muzyka, ustały tańce i goście zebrali się w głównym salonie. Mały i niewinnie wyglądający kapłan, w kościelnych szatach jak podczas mszy, odczytał bardzo zawiłą mowę, którą przygotował na tę okazję, wychwalając w niej niejasne i nieosiągalne cnoty. Clara nie słuchała, ponieważ gdy ucichł łoskot muzyki, a tancerze przestali się szamotać, zaczęła wsłuchiwać się w szepty duchów, które chowały się między kotarami, i uświadomiła sobie, że od wielu godzin nie widziała Barrabasa. Szukała go wzrokiem natężając zmysły, lecz kuksaniec matki przywołał ją do porządku i kazał skupić się na wymogach ceremonii. Kapłan skończył przemówienie, poświęcił złote pierścionki i natychmiast Esteban założył jeden narzeczonej, a drugi sam włożył sobie na palec.

W tej chwili zgromadzeniem wstrząsnął krzyk zgrozy. Ludzie rozstąpili się przed Barrabasem, czarniejszym i ogromniejszym niż zazwyczaj, w którego grzbiecie tkwił po rękojeść nóż masarski; krwawił jak wół, jego duże jak u źrebaka nogi drżały, z pyska sączyła się krwawa piana, oczy miał zamglone i posuwał się zygzakiem, krok za krokiem, ciągnąc za sobą łapy niczym ranny dinozaur. Clara opadła na sofę pokrytą francuskim jedwabiem. Psisko podeszło do niej, położyło na sukience wielki łeb prastarego drapieżnika i patrzyło na nią zakochanymi oczyma, które ćmiły się i ślepły, podczas gdy biała koronka z Chantilly, francuski jedwab sofy, perski dywan i parkiet nasiąkały krwią. Barrabas umierał bez pośpiechu, ze wzrokiem utkwionym w Clarę, która pieściła jego uszy i szeptała słowa pocieszenia, aż w końcu upadł, raz jeden zacharczał i zesztywniał. Wtedy wszyscy otrząsnęli się z koszmarnego snu i lękliwy szum przeszedł przez salon, goście zaczęli żegnać się w pośpiechu, uciekać omijając kałuże krwi, chwytając w locie etole, cylindry, laski, parasole, torebki wyszywane paciorkami. W salonie pozostali tylko Clara z psem na łonie, rodzice,

którzy obejmowali się sparaliżowani przez zły omen, i narzeczony, który nie rozumiał, po co tyle zamieszania z powodu śmierci psa, lecz gdy zauważył, że Clara wygląda tak, jakby zapadła w drzemkę, podniósł ją i półprzytomną zaniósł na rękach do sypialni, gdzie opieka Nany i sole doktora Cuevasa uchroniły ją przed ponownym popadnięciem w otępienie i niemotę. Esteban Trueba poprosił ogrodnika o pomoc i razem rzucili na wóz zewłok Barrabasa, który po śmierci przybrał tak bardzo na wadze, że niemal nie można go było podnieść.

Rok minął na przygotowaniach do ślubu. Nivea zajęła się wianem Clary, która nie wykazywała najmniejszego zainteresowania zawartością kufrów z drzewa sandałowego i nadal eksperymentowała ze stolikiem na trzech nogach i kartami do wróżenia. Dziesięć lat wcześniej zakonnice przygotowały dla Rosy wspaniale haftowane prześcieradła, lniane obrusy i bieliznę osobistą ze splecionymi inicjałami nazwisk Trueba i del Valle; teraz wszystko to przydało się na wyprawę Clary. Nivea zamówiła w Buenos Aires, w Paryżu i Londynie kostiumy i suknie podróżne, odzież na wieś, stroje świąteczne, modne kapelusze, buty i torebki ze skóry krokodyla i inne rzeczy, które zawinięto w bibułkę i poprzekładano lawendą i kamforą, narzeczona zaś, jak zwykle roztargniona, ledwie rzuciła na to wszystko okiem.

Esteban Trueba, objąwszy dowództwo nad brygadą murarzy, stolarzy i blacharzy, przystąpił do budowy najsolidniejszego, najobszerniejszego i najbardziej nasłonecznionego domu, jaki mógł sobie wyobrazić; miał on stać tysiąc lat i pomieścić kilka pokoleń licznej rodziny prawowitych Truebów. Plany zamówił u francuskiego architekta i sprowadził z zagranicy część materiałów - tak, aby był to dom jedyny w swoim rodzaju, z niemieckimi witrażami, rzeźbioną boazerią z Austrii, angielskimi kranami z brązu, podłogami z włoskiego marmuru i zamkami zamówionymi według katalogu w Stanach Zjednoczonych, które to zamki przyszły z nieodpowiednimi instrukcjami i bez kluczy. Ferula, przerażona wydatkami, starała się zapobiec jego dalszym szaleństwom - zakupowi francuskich mebli, tureckich żyrandoli i dywanów - argumentując, że doprowadzą się do ruiny i podzielą los ekstrawaganckiego Trueby, który ich spłodził, lecz Esteban wykazał jej, że jest dość bogaty, by pozwolić sobie na te wszystkie luksusy, i zagroził, że jeśli nadal będzie go drażnić, każe poobijać drzwi srebrem. Wtedy ona oświadczyła, że takie marnotrawstwo jest na pewno grzechem śmiertelnym i że Bóg ukarze ich wszystkich za to, że pieniędzmi, które lepiej byłoby wydać na pomoc dla biednych, szasta na takie pozbawione gustu, godne dorobkiewicza zachcianki.

Choć Esteban Trueba nie był amatorem innowacji, lecz przeciwnie, żywił ogromną nieufność do modernistycznego zamętu, postanowił, że dom zbuduje na podobieństwo nowych pałacyków wznoszonych w Europie i Ameryce Północnej, ze wszystkimi wygodami, choć przy zachowaniu stylu klasycznego. Pragnął, by ten dom różnił się maksymalnie od tubylczej architektury. Nie chciał trzech patiów, korytarzy, pokrytych brudną rzęsą baseników z fontannami, ciemnych pokojów, bielonych wapnem ścian z niewypalonej cegły ani zakurzonych dachówek, lecz dwa lub trzy bohaterskie piętra, rzędy białych kolumn, wielkopańskie schody, które opadając półkoliście prowadziłyby do holu z białego marmuru, duże oświetlone okna; w ogóle dom miał sprawiać wrażenie ładu i harmonii, schludności i cywilizacji, tak jak u innych narodów, a zarazem pozostawać w zgodzie z nowym życiem, które rozpoczynał. Dom ten miał świadczyć o nim, jego rodzinie i prestiżu, które zamierzał przywrócić nazwisku zhańbionemu przez ojca. Pragnął, aby splendor rzucał się w oczy z ulicy, i dlatego kazał zaprojektować francuski ogród z wersalską pergolą, klombami,

doskonale wystrzyżonymi trawnikami, rowami odprowadzającymi wodę oraz kilkoma posągami przedstawiającymi bogów Olimpu i ewentualnie dzikiego, nagiego Indianina, wyłaniającego się w pióropuszu z otchłani dziejów Ameryki - na zasadzie ustępstwa wobec wymogów patriotyzmu. Nie mógł wiedzieć, że ta majestatyczna, sześcienna, zwarta i napuszona budowla, wyglądająca jak kapelusz w zielonym, geometrycznym otoczeniu, miała wypełnić się naroślami i przyległościami, licznymi krętymi schodami prowadzącymi donikąd, drzwiami zawieszonymi w próżni, basztami, brzydkimi okienkami, które się nie otwierały, krętymi korytarzami i amfiladami pokojów, aby można było rozmawiać ze sobą w czasie sjesty, zgodnie z natchnieniem Clary, która gdy tylko potrzebowała ulokować nowego gościa, kazała zrobić gdziekolwiek kolejny pokój, a jeśli duchy wskazywały, że w fundamentach znajduje się ukryty skarb lub nie pogrzebany trup, polecała zburzyć jakąś ścianę, aż wreszcie budynek zamienił się w zaczarowany labirynt, nie dający się posprzątać i rzucający wyzwanie licznym prawom urbanistycznym i municypalnym. Lecz gdy zbudowano „wielki narożny dom” - tak go wszyscy nazywali - miał on wygląd majestatyczny, który Trueba starał się narzucić wszystkiemu, co go otaczało, a to dla upamiętnienia wyrzeczeń poniesionych w dzieciństwie. Clara nigdy nie pofatygowała się obejrzeć domu, gdy był w budowie. Wyglądało na to, że interesuje ją w tak niewielkim stopniu jak własne wiano; całkowicie zdała się w tej sprawie na narzeczonego i przyszłą szwagierkę.

Po śmierci matki Ferula została sama i nie wiedziała, czemu się poświęcić, a była już w takim wieku, że nie łudziła się, iż może wyjść za mąż. Przez pewien czas odwiedzała codziennie slumsy, prowadząc frenetyczną działalność charytatywną, która wywołała u niej chroniczny bronchit i wcale nie przyniosła ukojenia udręczonej duszy. Esteban chciał, żeby udała się w podróż, kupiła sobie stroje i zabawiła się po raz pierwszy w swojej melancholijnej egzystencji, ale ona była przyzwyczajona do surowego trybu życia i siedzenia w domu. Wszystkiego się bała. Małżeństwo brata pogrążało ją w niepewności, ponieważ uważała, że będzie to jeszcze jedną przyczyną oddalenia się od niej Estebana - jedynej podpory. Bała się, że skończy robiąc na drutach w przytułku dla starych panien z dobrych rodzin, toteż była bardzo szczęśliwa, gdy okazało się, że Clara zupełnie się nie zna na prowadzeniu gospodarstwa domowego i że ilekroć ma podjąć jakąś decyzję, okazuje roztargnienie i niepewność. „Ona jest głupawa”, stwierdziła z zadowoleniem Ferula. Było oczywiste, że Clara nie poradzi sobie z administracją wielkiego domu, który budował brat, i że będzie jej potrzebna duża pomoc. Postarała się zasugerować delikatnie Estebanowi, że jego przyszła żona jest osobą nieudolną i że ona, Ferula, że swoim duchem poświęcenia, którego dała rozliczne dowody, mogłaby jej pomóc i jest do tego gotowa. Esteban nie podtrzymywał tematu, gdy rozmowa na to schodziła. Im bliższa była data ślubu i pilniejsza stawała się potrzeba podjęcia decyzji o jej losie, Ferula popadała w tym większą desperację. Przekonana, że nic nie wskóra u brata, szukała okazji, by porozmawiać w cztery oczy z Clarą; w końcu spotkała ją kiedyś o piątej po południu, spacerującą po ulicy. Zaprosiła Clarę na herbatę do Hotelu Francuskiego. Usiadły przy stoliku nad ciasteczkami z kremem i bawarską porcelaną, podczas gdy w głębi salonu panieńska orkiestra grała melancholijny kwartet smyczkowy. Ferula nie wiedząc, jak poruszyć sprawę, obserwowała dyskretnie przyszłą bratową, która wyglądała na piętnaście lat i na skutek wielu lat milczenia miała jeszcze źle ustawiony głos. Po bardzo długiej pauzie, podczas której zjadły cały talerz ciastek i każda wypiła dwie filiżanki herbaty z jaśminu, Clara poprawiła kosmyk

włosów, który spadał jej na oczy, uśmiechnęła się i pieszczotliwie poklepała Ferulę po ręce.

- Nie martw się. Zamieszkasz z nami i będziemy jak siostry - powiedziała.

Ferula podskoczyła i zadała sobie pytanie, czy prawdziwe są pogłoski o tym, że Clara potrafi czytać w cudzych myślach. Pierwszą reakcją było okazanie dumy i miała zamiar odrzucić ofertę dla piękna samego gestu, lecz Clara nie dała jej na to czasu. Pochyliła się i pocałowała Ferulę w policzek z taką prostotą, że ta straciła panowanie nad sobą i zaczęła płakać. Od dawna nie uroniła łzy i zaskoczona uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej czyjejś czułości. Nie przypominała sobie, kiedy po raz ostatni ktoś pogłaskał ją z porywu serca. Długo płakała, czym ulżyła sobie po ciężkich chwilach smutku i samotności, podczas gdy Clara pomagała jej wytrzeć nos i między jednym a drugim szlochem częstowała ciastkami i herbatą. Płakały i rozmawiały do ósmej; tego wieczoru zawarły w Hotelu Francuskim pakt o przyjaźni, która przetrwała wiele lat.

Gdy tylko skończyła się żałoba po śmierci doni Ester, a wielki dom narożny był gotów, Esteban Trueba i Clara del Valle pobrali się dyskretnie, acz uroczyście. Esteban podarował pannie młodej garnitur brylantów, który Clara uznała za bardzo ładny, po czym schowała go w skrzyni na buty i natychmiast zapomniała, gdzie go położyła. Udali się do Włoch i w trzecim dniu podróży statkiem Esteban poczuł się zakochany jak młodzieniaszek, choć kołysanie się statku spowodowało u Clary nieopanowane mdłości, a przebywanie w zamknięciu astmę. Siedząc obok niej w wąskiej kajucie, robiąc jej mokre okłady i podtrzymując, gdy wymiotowała, czuł się bardzo szczęśliwy; pragnął Clary z nieuzasadnioną w jej żałosnym stanie intensywnością. Czwartego dnia rano obudziła się z lepszym samopoczuciem i wyszli na pokład popatrzeć na morze. Esteban, widząc ją z nosem poczerwieniałym od wiatru i śmiejącą się z byle powodu, poprzysiągł sobie, że prędzej czy później Clara pokocha go tak, jak tego potrzebował, choćby miał w tym celu sięgnąć po najskrajniejsze środki. Miał świadomość, że Clara nie należy do niego i że jeśli będzie nadal żyła w świecie zjaw, stolików na trzech nogach, które same się poruszają, i kart, z których wróży się przyszłość, najprawdopodobniej nigdy należeć doń nie będzie. Nie wystarczała mu też beztroska i nieskromna zmysłowość Clary. Pragnął czegoś więcej niż jej ciała, chciał zawładnąć niejasną i świetlaną materią jej wnętrza, która wymykała mu się nawet wtedy, gdy wyglądało, że kona z rozkoszy. Czuł, że jego ręce są bardzo ciężkie, stopy bardzo duże, głos bardzo twardy, broda bardzo ostra i że nawyk gwałcenia kobiet i obcowania z prostytutkami jest w nim głęboko zakorzeniony, lecz choćby miał stanąć na głowie, był zdecydowany ją uwieść.

Podróż poślubna dobiegła końca i po trzech miesiącach wrócili do kraju. Ferula oczekiwała ich w nowym domu, pachnącym jeszcze świeżą farbą i cementem i - zgodnie z poleceniami wydanymi przez Estebana - pełnym kwiatów i półmisków z owocami. Esteban, przekraczając po raz pierwszy próg, wziął żonę na ręce. Siostra była zaskoczona, że nie ogarnia jej zazdrość, i zauważyła, że Esteban odmłodniał.

- Małżeństwo dobrze ci zrobiło - powiedziała.

Zwiedził z Clarą dom, Patrzyła i mówiła, że wszystko jest bardzo ładne, z taką samą kurtuazją, z jaką celebrowała zachód słońca na morzu, plac św. Marka lub garnitur

brylantów. W drzwiach pokoju, który był przeznaczony dla niej, Esteban poprosił, żeby zamknęła oczy, i wprowadził ją za rękę do środka.

- Już możesz je otworzyć - rzekł oczarowany.

Clara rozejrzała się wokół. Pokój był duży, że ścianami wytapetowanymi błękitnym jedwabiem, z angielskimi meblami, dużymi oknami i balkonami wychodzącymi na ogród; stało w nim łóżko z baldachimem i zasłonami z gazy, które wyglądało jak żaglowiec płynący pośród jedwabnego błękitu cichych wód.

- Bardzo ładnie - powiedziała Clara.

Wtedy Esteban wskazał jej, na czym stoi. Była to niezwykła niespodzianka, którą przygotował dla niej. Clara spuściła oczy i krzyknęła przeraźliwie; stała na czarnym grzbiecie Barrabasa, który leżał z rozłożonymi nogami, zamieniony w dywan, miał całą głowę i dwoje szklanych oczu, którymi jak wszystkie wypchane zwierzęta spoglądał na nią z wyrazem bezbronności. Mąż zdążył ją podtrzymać, by, żemdlona, nie upadła na ziemię.

- Już ci mówiłam, Estebanie, że to się jej nie spodoba - rzekła Ferula.

Wyprawioną skórę Barrabasa wyniesiono szybko z pokoju i porzucono w kącie w piwnicy, obok magicznych książek z zaczarowanych kufrów wuja Marcosa i innych skarbów; tam, z uporem godnym lepszej sprawy, broniła się przed robakami i samotnością, dopóki nie wyciągnęły jej na światło dzienne przyszłe pokolenia.

Bardzo szybko okazało się, że Clara jest w ciąży. Czułość, jaką Ferula darzyła bratową, zamieniła się w pasję opiekuńczą; była gotowa służyć jej i okazywała bezgraniczną tolerancję wobec dystrakcji i dziwactw. Ferula, która poświęciła życie opiece nad gnijącą nieubłaganie staruszką, czuła się teraz, gdy przyszło jej opiekować się Clarą, tak jakby dostąpiła chwały. Kąpała ją w wodzie z bazylią i jaśminem, pudrowała pędzelkiem z łabędzich piór i szczotkowała włosy, aż uzyskiwały połysk i miękkość wodorostów - tak jak to dawniej czyniła Nana.

Nim u Estebana Trueby ostygła niecierpliwość świeżo upieczonego małżonka, musiał wrócić do Las Tres Marias, gdzie nie zaglądał od ponad roku, bowiem mimo starań Pedra Drugiego Garcii posiadłość wymagała obecności dziedzica. Gospodarstwo, które dawniej wydawało mu się rajem i było jego dumą, teraz budziło w nim odrazę. Przyglądał się pozbawionym wyrazu krowom żującym trawę na pastwiskach, powolnej pracy chłopów powtarzających codziennie, przez całe życie, te same gesty, nieruchomemu zarysowi ośnieżonej kordyliery i wątłemu słupowi dymu z wulkanu - i czuł się jak więzień.

Podczas gdy on przebywał na wsi, życie w wielkim domu narożnym podlegało zmianom, zamieniając się w spokojną rutynę, jaka panuje pod nieobecność mężczyzn. Pierwsza budziła się Ferula, ponieważ z czasów, gdy czuwała nad chorą matką, pozostał jej nawyk wstawania wczesnym rankiem, ale bratowej pozwalała spać dłużej. Koło godziny dziewiątej zanosiła jej osobiście do łóżka śniadanie, rozsuwała zasłony z błękitnego jedwabiu, aby przez okno mogły przeniknąć promienie słońca, i napełniała wodą wannę z francuskiej porcelany malowanej w nenufary, podczas gdy Clara budziła się ze snu, pozdrawiała obecne w pokoju

duchy, przysuwała sobie tacę i maczała grzanki w gęstej czekoladzie. Następnie Ferula wyciągała Clarę z łóżka pieszcząc ją z matczyną troskliwością i komentując pomyślne wieści przeczytane w gazecie, a ponieważ takich było z każdym dniem coraz mniej, wypełniała luki plotkami o sąsiadach, domowymi drobiazgami i wymyślonymi przez nią samą anegdotami; Clara mówiła, że są one bardzo ładne, i po pięciu minutach już ich nie pamiętała, toteż można było powtarzać to samo po kilka razy, a ona cieszyła się, jakby słyszała rzecz po raz pierwszy.

Ferula zabierała ją na spacery, aby zażyła słońca, bo to dziecku dobrze zrobi, na zakupy, aby nic mu nie brakowało, gdy się urodzi, i miało najładniejsze na świecie ubranka, na obiad do klubu golfowego, aby wszyscy widzieli, jak wyładniałaś od czasu, gdy wyszłaś za mojego brata, w odwiedziny do rodziców, aby nie sądzili, że o nich zapomniałaś, do teatru, abyś nie siedziała przez cały dzień w domu. Clara pozwalała prowadzać się z uległością, która nie wynikała z matołectwa, lecz z roztargnienia, i skupiała całą swoją zdolność koncentracji na bezskutecznych próbach porozumienia się przez telepatię z Estebanem, który nie odbierał przesłań, oraz doskonaleniu jasnowidztwa.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Ferula była szczęśliwa. Czuła się związana z Clarą bardziej niż z kimkolwiek innym w ciągu całego swojego życia - nawet bardziej niż z matką. Osoba mniej oryginalna niż Clara byłaby zażenowana nadmiarem pieszczot i nieustanną troskliwością szwagierki lub uległaby jej władczemu i pedantycznemu charakterowi. Lecz Clara żyła w innym świecie. Ferula przeklinała chwile, w których brat wracał ze wsi i swoją obecnością wypełniał cały dom, zakłócając harmonię panującą pod jego nieobecność. Gdy był w domu, musiała pozostawać w cieniu i uważać, jak zwraca się do służby, oraz zachowywać ostrożność w okazywaniu względów Clarze. Co wieczór, gdy małżonkowie szli do swoich pokojów, Ferulę ogarniała nieznana nienawiść, której nie potrafiła sobie wytłumaczyć i która napełniała jej duszę złymi uczuciami. Pragnąc odwrócić od nich uwagę, popadła ponownie w nałóg odmawiania różańca w slumsach i spowiadania się ojcu Antonio.

- Niech będzie pochwalony.

- Na wieki wieków.

- Słucham cię, córko.

- Ojcze, nie wiem, jak zacząć. Myślę, że popełniłam grzech...

- Cielesny, córko?

- Oj! Ciało jest zwiędłe, ojcze, ale nie dusza. Dręczy mnie demon.

- Łaska pańska jest nieskończona.

- Ojciec nie wie, jakie myśli mogą nachodzić kobietę samotną, dziewicę, która nie zaznała mężczyzny, i to nie z powodu braku okazji, ale dlatego, że Bóg zesłał na jej matkę przewlekłą chorobę i że musiała się nią opiekować.

- Poświęcenie to zapisane jest w niebie, moja córko.

- Nawet jeśli zgrzeszyłam myślą, ojcze?

- No cóż, zależy, jaka była to myśl...

- W nocy nie mogę spać, duszę się. Wstaję, by się uspokoić, i spaceruję po ogrodzie, włóczę się po domu, idę do pokoju bratowej, przykładam ucho do drzwi, czasami wchodzę na palcach i przyglądam się, jak śpi, wygląda jak anioł, mam pokusę, by wsunąć się do łóżka i czuć ciepło jej ciała i jej oddech.

- Módl się, córko. Modlitwa pomaga.

- Proszę poczekać, jeszcze nie powiedziałam wszystkiego. Wstydzę się.

- Nie powinnaś się wstydzić przede mną, bo jestem tylko narzędziem Boga.

- Gdy brat wraca ze wsi, jest o wiele gorzej, ojcze. Na nic nie zdaje się modlitwa, nie mogę spać, pocę się, drżę, w końcu wstaję i idę po ciemku przez cały dom, prześlizgując się ostrożnie korytarzami, by nie zaskrzypiała podłoga. Słyszę ich przez drzwi sypialni, a raz ich podejrzałam, bo drzwi były nie domknięte. Nie mogę opowiedzieć ojcu, co widziałam, ale musi to być straszny grzech. To nie wina Clary, ona jest niewinna jak dziecko. To mój brat ją do tego namawia. Na pewno skaże się na potępienie.

- Tylko Bóg może sądzić i potępiać, moja córko. Cóż więc oni czynili?

Ferula potrafiła wówczas przez pół godziny opowiadać o tym ze wszystkimi szczegółami. Jako narratorka była wirtuozem, umiała robić pauzy, zmieniać intonację, wyjaśniać bez gestów, malując żywy obraz w taki sposób, że słuchaczowi zdawało się, iż sam go przeżywa; było rzeczą niewiarygodną, jak przez niedomknięte drzwi mogła postrzec rodzaj dreszczy i obfitość wydzielin, usłyszeć słowa szeptane na ucho, czuć najintymniejsze zapachy - był to prawdziwy cud. Gdy już dała upust swojemu wzburzeniu, wracała do domu w masce bóstwa, obojętna i surowa wydawała polecenia, liczyła nakrycia, zarządzała posiłek, rzucała kluczami, żądała niech mi tu to położą, kładli, niech zmienią kwiaty w dzbanach, zmieniali, niech umyją okna, niech uciszą, do diabła, te ptaki, bo nie dają spać pani Clarze i jeśli będą tak hałasować, to przestraszą dziecko i urodzi się niedojda. Nana schodziła jej z czujnych oczu i była cały czas w ruchu, w przeciwieństwie do Clary, dla której wszystko było bardzo ładne i nie sprawiało jej różnicy, czy je nadziewane trufle, czy zupę z resztek, śpi leżąc na materacu z pierza czy na siedząco na krześle, kąpie się w perfumowanej wodzie czy się nie kąpie. Im ciąża była bardziej zaawansowana, tym bardziej Clara obojętniała na świat zewnętrzny i zamykała się w sobie, prowadząc bez ustanku sekretny dialog z dzieckiem.

Esteban chciał syna, który nosiłby jego imię i przekazał potomkom nazwisko Trueba.

- To dziewczynka i nazywa się Blanca - powiedziała Clara w dniu, w którym go powiadomiła, że jest w ciąży.

Stało się tak, jak powiedziała.

Doktor Cuevas, którego Clara wreszcie przestała się bać, oceniał, że poród nastąpi w połowie października, lecz na początku listopada nadal taszczyła przed sobą

ogromny brzuch, w stanie na wpół somnambulicznym, coraz bardziej roztargniona i zmęczona, astmatyczna, obojętna na wszystko, co ją otaczało, nawet wobec męża, którego czasami wręcz nie poznawała i pytała czego pan sobie życzy, gdy widziała go obok. Gdy lekarz odrzucił bezwzględnie myśl, że mógłby się pomylić w swoich rachubach, i stało się oczywiste, że Clara nie ma zamiaru rodzić w sposób naturalny, otworzył jej brzuch i wyjął Blankę, która okazała się bardziej owłosiona i brzydsza, niż to zwykle bywa. Na jej widok Estebana przeszedł dreszcz, gdyż był przekonany, że los zakpił zeń i zamiast prawowitego Trueby, którego obiecał matce, gdy umierała, spłodził potwora, i to jeszcze płci żeńskiej. Osobiście obejrzał dziecko i stwierdził, że wszystko ma na swoim miejscu - przynajmniej to, co widać gołym okiem. Doktor Cuevas pocieszył go, że odrażający wygląd dziecka bierze się po pierwsze stąd, iż było w łonie matki dłużej, niż powinno, i ucierpiało na skutek cesarskiego cięcia, a po drugie stąd, że jest małe, chude, śniade i nieco owłosione. Natomiast Clara była zachwycona córką. Wyglądała tak, jakby zbudziła się z długiej śpiączki i odkrywała radość życia. Wzięła dziewczynkę w ramiona i nie chciała wypuścić, chodziła z nią, a mała chwytała się piersi, którą matka dawała jej w każdej chwili, nie przestrzegając stałych godzin i nie bacząc na dobre maniery ani nie dbając o skromność - zupełnie jak Indianka. Nie chciała jej zawijać, ścinać włosów, przekłuwać uszu ani przyjmować do niej niani, a już tym bardziej dawać mleka z jakiegoś laboratorium, jak to czyniły wszystkie panie, które mogły sobie na to pozwolić. Nie przyjęła również propozycji Nany, by dawać dziecku kleik ryżowy na mleku, ponieważ doszła do wniosku, że gdyby natura chciała, by tak karmić niemowlęta, to kobiece piersi wydzielałyby tego rodzaju produkt. Clara mówiła cały czas do dziewczynki nie używając słów pieszczotliwych i zdrobnień, lecz poprawnie po hiszpańsku, jakby rozmawiała z dorosłą osobą, równie powoli i rozumnie, jak mówiła do zwierząt i roślin, gdyż była przekonana, że jeśli przyniosło to rezultaty w stosunku do flory i fauny, to nie ma powodu, by nie okazało się również wskazane w stosunku do dziecka. Połączenie matczynego mleka z konwersacją miało tę zaletę, że uczyniło z Blanki zdrową i dość ładną dziewczynkę, w niczym nie przypominającą pancernika, którym była w chwili przyjścia na świat.

W kilka tygodni po urodzeniu Blanki, podczas igraszek z żoną na żaglowcu stojącym na cichych wodach z błękitnego jedwabiu, Esteban Trueba stwierdził, że na skutek macierzyństwa Clara nie straciła powabu ani chęci kochania się, lecz przeciwnie. Z kolei Ferula, zbyt zajęta chowaniem dziewczynki, która miała potężne płuca, impulsywny charakter i nienasycony apetyt, nie miała czasu na odmawianie różańca w slumsach i spowiadanie się ojcu Antonio, a już tym bardziej na podglądanie przez nie domknięte drzwi.

CZAS DUCHÓW

W wieku, w którym większość dzieci chodzi w pieluchach i na czworakach, gaworząc niespójnie i śliniąc się, Blanca wyglądała na dziecko rozsądne, chodziła potykając się, ale na dwóch nogach, prawidłowo się wysławiała i sama jadła, a to dzięki temu, że matka traktowała ją jak osobę dorosłą. Miała już wszystkie zęby i zaczynała otwierać szafy i robić w nich bałagan, gdy rodzina postanowiła spędzić lato w Las Tres Marias, które Clara znała jedynie z opowiadań. W tym okresie ciekawość Blanki była silniejsza niż instynkt samozachowawczy i Ferula miała z dziewczynką utrapienie, biegając za nią i pilnując, aby nie spadła z drugiego piętra, nie weszła do pieca lub nie połknęła mydła. Pomysł wyjazdu z dzieckiem na wieś uznała za ryzykowny, uciążliwy i bezsensowny, ponieważ Esteban sam mógł sobie poradzić w

Las Tres Marias, podczas gdy one korzystałyby z rozkoszy cywilizowanego życia w stolicy. Lecz w Clarze pomysł ten wzbudził entuzjazm. Wieś wydawała się jej czymś romantycznym, gdyż - jak mawiała Ferula - nigdy nie była w stajni.

Przygotowania do podróży zajęły całej rodzinie dwa tygodnie i dom wypełnił się kuframi, koszami i walizami. W pociągu wynajęli wagon specjalny, by zmieścić się z ogromnymi bagażami i służbą, którą Ferula uznała za konieczne zabrać ze sobą, nie mówiąc o klatkach z ptakami, których Clara nie chciała zostawić, i pudłach z zabawkami Blanki, w których były nakręcane pajace, figurki z fajansu, szmaciane zwierzęta, baletnice na sznurkach i lalki z prawdziwymi włosami i ruchomymi kończynami, podróżujące ze swoimi ubrankami, wózeczkami i serwisami stołowymi. Esteban, widząc ten bezładny tłum i stos gratów, po raz pierwszy w życiu poczuł się pokonany, zwłaszcza gdy wśród bagaży odkrył św Antoniego naturalnych rozmiarów, zezowatego i w sandałach z wytłaczanej skóry Widząc chaos, który go otaczał, żałował decyzji o wyjeździe z żoną i córką i zastanawiał się, jak to jest możliwe, że do podróży po świecie jemu wystarczą dwie walizki, a one muszą mieć ze sobą tę całą graciarnię i procesję służących, choć nie ma to nic wspólnego z celem wyjazdu.

W San Lucas zabrali się trzema wozami do Las Tres Marias, dokąd przyjechali w chmurze pyłu, jak Cyganie. Na dziedziniec we dworze wyszli im na powitanie wszyscy parobcy z zarządcą Pedrem Drugim Garcią na czele Rozdziawili gęby na widok tego wędrownego cyrku. Na rozkaz Feruli zaczęli rozładowywać wozy i wnosić rzeczy do domu. Nikt nie zwrócił uwagi na chłopca w tym samym mniej więcej wieku co Blanca - nagiego, zasmarkanego, z brzuchem rozdętym od pasożytów, którego urocze czarne oczy miały starczy wyraz Był to syn zarządcy i - by można go było odróżnić od ojca i dziada - nazywał się Pedro Trzeci Garcia. Blanca, korzystając z zamieszania, wnoszenia bagaży, oglądania domu, wąchania sadu, witania się ze wszystkimi, montowania ołtarza św Antoniego i płoszenia kur z łóżek i myszy z bieliźniarek, rozebrała się i naga pobiegła z Pedrem Trzecim. Bawili się między kuframi, wchodzili pod meble, ślinili się całując, żuli ten sam chleb, wciągali te same smarki, smarowali się tą samą kupką, aż w końcu zasnęli obejmując się pod stołem w jadalni. Clara znalazła ich tam o dziesiątej wieczorem. Szukano ich przez kilka godzin z pochodniami, parobcy podzieleni na drużyny obeszli brzeg rzeki, spichlerze, pastwiska i stajnie, Ferula na klęczkach błagała św. Antoniego, Esteban był wyczerpany nawoływaniem, a sama Clara na próżno odwoływała się do swojego daru jasnowidztwa. Gdy ich znaleziono, chłopak leżał na podłodze na plecach, Blanca zaś, zwinięta w kłębek, trzymała głowę na pękatym brzuchu nowego przyjaciela. W tej samej pozycji mieli zostać zaskoczeni w wiele lat później, na nieszczęście dla obojga, i nie starczyło im życia, by za to zapłacić.

Już w pierwszym dniu pobytu Clara zrozumiała, że w Las Tres Marias jest miejsce dla niej i - jak zapisała w pamiętnikach - poczuła, że nareszcie odkryła swoje powołanie na tym świecie. Nie zrobiły na niej wrażenia domy z cegły, szkoła i obfitość pożywienia, ponieważ zdolność widzenia tego, co niewidzialne, natychmiast pozwoliła jej dostrzec nieufność, strach i urazę pracowników i nieuchwytny szmer, który cichł, gdy oglądała się za siebie - wszystko to pozwoliło jej domyślić się niektórych spraw związanych z charakterem i przeszłością męża. Dziedzic zmienił się jednak. Wszyscy zauważyli, że przestał chodzić do domu „Pod Czerwonym Lampionem”, skończyły się wieczorne hulanki, walki kogutów, zakłady, gwałtowne wybuchy gniewu, a przede wszystkim brzydki zwyczaj przewracania dziewczyn wśród łanów pszenicznych. Zasługę przypisano Clarze. Ona też się zmieniła. Z dnia

na dzień przestała być apatyczna i mówić o wszystkim, że jest bardzo ładne, i wyglądało na to, że wyzbyła się nałogu prowadzenia rozmów z niewidzialnymi istotami i przestawiania mebli przy pomocy sił nadprzyrodzonych. Wstawała z mężem o świcie, już ubrani spożywali razem śniadanie i on szedł doglądać znojnych prac polowych, podczas gdy Ferula brała się za dom, za służbę, która przyjechała ze stolicy i nie mogła przywyknąć do wiejskich niewygód i much, i za Blankę. Clara spędzała po części czas w pracowni krawieckiej, a po części w pulperii i w szkole, gdzie ustanowiła swoją kwaterę główną i aplikowała leki na świerzb i parafinę na wszy, odsłaniała tajemnice elementarza, uczyła dzieci śpiewać mam dojną krowę, nie byle jaka to krowa, a kobiety gotować mleko, leczyć biegunkę i wybielać bieliznę. Pod wieczór, nim mężczyźni wrócili z pola, Ferula zbierała chłopki i dzieci i odmawiała z nimi różaniec. Kobiety przychodziły raczej z sympatii niż z nakazu wiary, ale stara panna miała okazję przypomnieć sobie dobre czasy, gdy odwiedzała slumsy. Clara czekała, aż szwagierka skończy mistyczne litanie, ojczenasze i zdrowaśki, i korzystając z sytuacji powtarzała hasła, które słyszała z ust matki, gdy ta przykuwała się w jej obecności łańcuchami do krat przed budynkiem Kongresu. Kobiety słuchały jej, uśmiechnięte i zawstydzone, z tego samego powodu, dla którego modliły się razem z Ferulą: aby nie sprawiać zawodu dziedziczce. Lecz jej płomienne słowa wydawały im się szalone. „Ależ doña Clarita, kto to widział, żeby mężczyzna nie mógł bić żony, jeśli nie bije, to dlatego, że jej nie kocha albo nie jest prawdziwym mężczyzną; kto to widział, żeby to, co zarabia mężczyzna albo co wytwarza ziemia, albo co znoszą kury, należało do obojga, przecież to on rządzi; kto to widział, żeby kobieta mogła robić to samo co mężczyzna, jeśli urodziła się z cyckami i bez jaj” - argumentowały. Doprowadzały tym Clarę do rozpaczy, a same szturchały się i uśmiechały nieśmiało, szczerbate, z mnóstwem zmarszczek pod oczyma, zahartowane przez słońce i trudny żywot, wiedząc z góry, że gdyby przyszło im przez chwilę na myśl zastosować w praktyce rady dziedziczki, wzięłyby od mężów cięgi. Zresztą całkiem zasłużone, jak stwierdzała sama Ferula. Wkrótce Esteban dowiedział się, na czym polega druga część zebrań poświęconych modlitwie, i wpadł w złość. Po raz pierwszy rozgniewał się na Clarę, a ona była po raz pierwszy świadkiem jednego z jego osławionych ataków złości. Esteban, chodząc długimi krokami po salonie i bijąc pięściami w meble, wrzeszczał jak opętany, że jeśli Clara ma zamiar iść w ślady swojej matki, to jakiś chłop na schwał spuści jej majtki i wysmaga, żeby odechciało się jej wichrzyć, że zakazuje bezwzględnie zwoływania zebrań, nieważne, czy po to, by się modlić, czy w innym celu, i że on nie jest kukłą, którą żona może ośmieszać. Clara pozwoliła mu się wykrzyczeć i powalić pięściami w meble, dopóki się nie zmęczył, a potem, jak zwykle roztargniona, zapytała, czy umie ruszać uszami.

Wakacje przedłużyły się, a zebrania w szkole trwały nadal. Skończyło się lato i jesień pokryła pola ogniem i złotem zmieniając krajobraz. Nadeszły pierwsze chłodne dni, deszcze i błoto, a Clara nie okazywała chęci powrotu do stolicy, mimo nacisków wywieranych uporczywie przez Ferulę, która czuła odrazę do wsi. Latem, płosząc muchy, skarżyła się na popołudniowe upały, na wiatr na podwórzu, od którego kurzyło się w domu tak, jakby mieszkali w szybie kopalni, na brudną wodę w wannie, w której perfumowane sole zamieniały się w chińską zupę, na latające karaluchy, które właziły między prześcieradła, na myszy i mrówki, pająki, które rano wierzgały w szklance wody na nocnym stoliku, na bezczelne kury, które znosiły jajka w butach i srały na bieliznę w szafie. Gdy zmienił się klimat, narzekała na inne klęski żywiołowe, na błoto na podwórzu, krótsze dni - o piątej zapadał zmierzch i miała przed sobą

jedynie samotną noc - na wiatr i katar, z którym walczyła za pomocą okładów z eukaliptusa, ale nie udawało się zapobiec zarażeniom i przerwać ich nie kończącego się łańcucha. Miała dość walki z żywiołami i braku jakiejkolwiek rozrywki poza widokiem Blanki, która rosła, wyglądała zdaniem Feruli jak ludożerca, bawiła się z tym brudnym malcem Pedrem Trzecim, coś podobnego, żeby dziewczynka nie mogła zadawać się z kimś ze swojej klasy, nabiera złych manier, chodzi z podrapanymi policzkami i strupami na kolanach, patrzcie, jak ona mówi, wygląda jak Indianka, mam dość wyjmowania jej wszy z włosów i smarowania denaturatem miejsc pokrytych świerzbem. Ferula, choć szemrała, zachowywała sztywną godność, na twarzy miała zawsze ten sam grymas, nadal chodziła w krochmalonej bluzce i nosiła u pasa pęk kluczy, nigdy się nie pociła, nie drapała się i zawsze pachniała delikatnie lawendą i cytryną. Nikt nie sądził, że kiedykolwiek mogłaby stracić panowanie nad sobą, dopóki pewnego dnia nie poczuła ukłucia w plecy. Było tak silne, że musiała podrapać się dyskretnie, lecz nie przyniosło to ulgi. W końcu poszła do łazienki i zdjęła gorset, który nosiła nawet w dniach najcięższej pracy. Gdy rozwiązała sznurki, na podłogę wypadła oszołomiona mysz, która była tam przez całe przedpołudnie i bezskutecznie usiłowała przedostać się do wyjścia, między ostrymi fiszbinami a skrępowanym ciałem. Ferula miała pierwszy w życiu kryzys nerwowy. Wszyscy zbiegli się słysząc jej krzyki i zastali ją w wannie, siną ze strachu i półnagą, lamentującą jak maniaczka i wskazującą drżącym palcem małego gryzonia, który z trudem stawał na łapach i usiłował pomaszerować w bezpieczne miejsce. Esteban powiedział, że to menopauza i że nie należy zwracać na Ferulę uwagi. Nie zwrócono więc uwagi, gdy miała drugi atak. Stało się to w urodziny Estebana. Niedziela była od samego rana słoneczna i w domu panował duży ruch, ponieważ po raz pierwszy od czasu, gdy doña Ester była małą dziewczynką, czego już nikt nie pamiętał, w Las Tres Marias szykowano fiestę. Zaproszono kilku krewnych i przyjaciół, którzy przyjechali pociągiem ze stolicy, i wszystkich okolicznych ziemian, nie zapominając o notablach z osady. Przyjęcie przygotowywano przez tydzień: pół jałówki upieczonej na podwórzu, pasztet z nerek, potrawkę z kury, gotowaną kukurydzę z mięsem, ciasto z mąki ryżowej z migdałami, owoce lucuma i najlepsze wina z ostatniego winobrania. W południe, powozami lub konno, zaczęli zjeżdżać się goście i wielki dom z nie wypalonej cegły wypełnił się rozmową i śmiechem. Ferula ulotniła się na chwilę i poszła do jednej z ogromnych łazienek, które były w tym domu, z klozetem na środku, otoczonym przez pustynię z białej ceramiki. Właśnie rozsiadła się jak na tronie, gdy otworzyły się drzwi i wszedł jeden z gości rozpinając rozporek; był to ni mniej, ni więcej, tylko alkad z osady, lekko podchmielony pod wpływem aperitifu. Zdrętwiał na widok panny Feruli, zmieszany i zaskoczony, i gdy był w stanie zareagować, nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak ruszyć przed siebie z krzywym uśmiechem, przejść całe pomieszczenie, wyciągnąć dłoń i lekko się ukłonić na powitanie. Przedstawił się:

- Zorobabel Blanco Jamasmie.

„Na Boga! Jak można żyć z takimi prostakami! Jeśli chcecie, to zostańcie w tym czyśćcu dla ludzi niecywilizowanych, bo jeśli o mnie chodzi, to wracam do miasta, chcę żyć jak chrześcijanka, tak jak zawsze żyłam”, zawołała Ferula, gdy już była w stanie mówić o tym wydarzeniu nie płacząc. Lecz nie wyjechała. Nie chciała rozłąki z Clarą, gdyż doszło do tego, że zaczęła adorować nawet powietrze, którym ona oddychała, i choć nie miała już okazji kąpać jej i spać z nią, starała się okazywać czułość tysiącem drobiazgów, którym poświęcała całe swoje życie. Ta kobieta, tak przecież surowa i mało wyrozumiała dla samej siebie i dla innych, potrafiła być

słodka i miła dla Clary, a co za tym idzie czasami nawet dla Blanki. Tylko obcując z Clarą pozwalała sobie na luksus ulegania nieprzepartemu pragnieniu, by służyć i być kochaną, tylko jej mogła ujawnić, choćby w sposób przewrotny, swe najskrytsze i najsubtelniejsze żądze. W ciągu długich lat samotności i smutku jej emocje i uczucia wyklarowały się i zredukowały do kilku strasznych i wspaniałych namiętności, które wypełniały ją całkowicie. Nie była zdolna do drobnych niepokojów, małostkowych urazów, skrytych zazdrości, aktów litości, chłodnych pieszczot, uprzejmej grzeczności czy powszedniej troskliwości. Należała do istot, które rodzą się dla jednej wielkiej miłości, przesadnej nienawiści, apokaliptycznej zemsty i najwznioślejszego bohaterstwa, lecz nie mogła zrealizować swojego przeznaczenia na miarę tego romantycznego powołania i spędziła swe płaskie i szare życie w czterech ścianach pokoju chorej matki, w nędznych slumsach, na pokrętnych spowiedziach tak spalała się ta rosła kobieta o bujnych kształtach, gorącokrwista, stworzona do macierzyństwa, zbytku, działania i żarliwości. W tym czasie miała około czterdziestu pięciu lat, przy czym znakomita rasa i krew odległych przodków mauretańskich sprawiały, że nadal miała gładką skórę, czarne i jedwabiste włosy i tylko jeden siwy kosmyk nad czołem, silne ciało i zdecydowany krok ludzi zdrowych. Lecz zarazem z powodu pustki panującej w jej życiu wyglądała na dużo starszą. Mam portret Feruli zrobiony w tych czasach, podczas którychś urodzin Blanki. Jest to stare zdjęcie w kolorze sepii, wyblakłe wskutek upływu czasu, na którym widać ją jednak wyraźnie. Była to wspaniała matrona, ale gorzki grymas na jej twarzy zdradzał wewnętrzną tragedię. Prawdopodobnie lata spędzone z Clarą były jedynym szczęśliwym okresem w jej życiu, gdyż tylko z nią mogła pozostawać w zażyłych stosunkach. Clara była powiernicą jej najsubtelniejszych wzruszeń i tylko jej okazywała Ferula swą ogromną zdolność do poświęcenia i uwielbienie. Pewnego razu odważyła się powiedzieć o tym Clarze, która zapisała w pamiętniku, że Ferula kocha ją bardziej, niż ona na to zasługuje i może odwzajemnić. Z powodu tej niepohamowanej miłości Ferula nie chciała wyjechać z Las Tres Marias nawet wtedy, gdy nadeszła plaga mrówek, która zaczęła się od szmeru na polach; prześlizgiwał się po nich szybko mroczny cień zżerając wszystko - kolby kukurydzy, łany pszenicy, lucernę i nagietki. Oblewano je benzyną i podpalano, ale pojawiały się ponownie i nacierały z jeszcze większą werwą. Bielono pnie drzew niegaszonym wapnem, ale wspinały się na nie jak gdyby nigdy nic i nie przepuszczały gruszkom, jabłkom ani pomarańczom, wdzierały się do ogrodu warzywnego i pochłaniały melony, wchodziły do mleczarni i rano mleko było kwaśne i pełne maleńkich trupów, przenikały do kurników i pożerały żywe kurczaki, po których pozostawały tylko pióra i żałosne kosteczki. Robiły sobie ścieżki w domu, wchodziły przez rury, zagarniały żywność, wszystko, co ugotowano, należało zaraz zjeść, bo jeśli posiłek stał przez kilka minut na stole, nadchodziły całą procesją i rzucały się nań. Pedro Drugi Garcia walczył z nimi za pomocą wody i ognia i zakopywał w ziemi gąbki nasycone pszczelim miodem, by przyciągać je w jedno miejsce i zabijać masowo, lecz to wszystko na nic się nie zdało. Esteban Trueba wybrał się do osady i wrócił objuczony pestycydami wszelkich znanych marek, w proszku, płynie i pigułkach, i rozrzucił je wszędzie, tak że nie można było jeść zieleniny, bo powodowała skręt kiszek. Lecz mrówki panoszyły się nadal i mnożyły, coraz bardziej bezczelne i zdeterminowane. Esteban wybrał się ponownie do osady i wysłał telegram do stolicy. W trzy dni później na stacji wysiadł z tajemniczą walizką mister Brown, karłowaty gringo, którego Esteban przedstawił jako agronoma - eksperta w dziedzinie środków owadobójczych. Orzeźwiwszy się dzbanem sangrii rozłożył walizkę na stole. Wyjął z niej cały arsenał

przyrządów, których nigdy tu nie widziano, wziął mrówkę i zaczął przyglądać się jej uważnie przez mikroskop.

- Po co mister tak ją ogląda, jeśli wszystkie są jednakowe? - zapytał Pedro Drugi Garcia.

Gringo nie odpowiedział. Gdy ustalił rasę i styl życia, legowiska, nawyki, a nawet najskrytsze intencje mrówek, minął tydzień i mrówki właziły dzieciom do łóżek, zjadły już zapasy żywności na zimę i zaczynały atakować konie i krowy. Wówczas mister Brown wyjaśnił, że należy dokonać fumigacji, posługując się produktem, który wynalazł, a który sterylizuje samce, dzięki czemu przestają się rozmnażać, po czym spryskać inną trucizną, również będącą jego wynalazkiem, która wywołuje śmiertelną chorobę u samic, i w ten sposób, jak zapewnił, problem zostanie rozwiązany.

- Ile czasu to zajmie? - zapytał Esteban Trueba, którego zniecierpliwienie przeradzało się we wściekłość.

- Miesiąc - odparł mister Brown.

- Przez ten czas one zjedzą nawet ludzi, mister - powiedział Pedro Drugi Garcia. - Jeśli pozwolicie, panie, zawołam mojego ojca. Od trzech tygodni mówi, że zna lekarstwo na tę plagę. Myślę, że to gadanina starego człowieka, ale przecież nic na tym nie stracimy.

Przywołano starego Pedra Garcię, który przyszedł powłócząc nogami, tak sczerniały, skurczony i bezzębny, że Esteban przestraszył się ujrzawszy te symptomy upływu czasu. Stary słuchał stojąc z kapeluszem w ręku, patrząc w ziemię i przeżuwając powietrze gołymi dziąsłami. Następnie poprosił o białą chustkę, którą Ferula przyniosła z szafy Estebana, i wyszedł z domu, minął podwórze i ruszył prosto do ogrodu warzywnego, a w ślad za nim ruszyli wszyscy domownicy i karzeł-cudzoziemiec, który uśmiechał się pogardliwie, co za barbarzyńcy, oh God! Starzec ukucnął z trudem i zaczął zbierać mrówki. Zebrawszy garść położył je na chustce, którą zawiązał i włożył do kapelusza.

- Pokażę wam drogę, którą macie odejść, mrówki, i wyprowadzić za sobą pozostałe - powiedział.

Dosiadł konia i odjechał stępa szepcząc rady i zalecenia dla mrówek, słowa Boże i mądre formułki. Widzieli, jak jedzie prosto ku granicy posiadłości. Gringo usiadł na ziemi i śmiał się jak szalony, dopóki nie potrząsnął nim Pedro Drugi Garcia.

- Śmiejcie się ze swojej babki, mister, bo ten stary to mój ojciec - ostrzegł.

Pedro Garcia wrócił pod wieczór. Zsiadł powoli z konia, powiedział dziedzicowi, że mrówki zostawił na drodze, i poszedł do domu. Był zmęczony. Rankiem następnego dnia stwierdzono, że mrówek nie ma w kuchni, w spiżarni też nie, szukano ich w spichlerzu, w stajni, kurnikach, ludzie wyszli na pola, pobiegli nad rzekę, rozejrzeli się wszędzie i nie znaleźli ani jednej, nawet na pokaz. Agronom był wściekły.

- Musicie mi powiedzieć, jak to robić! - błagał.

- Po prostu trzeba do nich przemówić, mister. Powiedzieć, żeby sobie poszły, że tu są dokuczliwe, i one to zrozumieją - wyjaśnił stary Pedro Garcia.

Jedynie Clara uznała tę procedurę za całkiem naturalną. Ferula uczepiła się tego i twierdziła, że siedzą w dziurze zabitej deskami, w nieludzkiej okolicy, gdzie nie obowiązują prawa boskie ani zasady postępu naukowego, że któregoś dnia zaczną latać na miotłach, ale Esteban Trueba kazał jej zamilknąć; nie chciał, by jego żonie podsuwano nowe pomysły. W ciągu minionych dni Clara wróciła do swych lunatycznych zajęć i rozmów ze zjawami i spędzała wiele godzin na pisaniu pamiętnika. Gdy straciła zainteresowanie dla szkoły, pracowni krawieckiej i wieców feministycznych i ponownie zaczęła mówić, że wszystko jest bardzo ładne, zrozumiano, że znów jest w ciąży.

- Z twojej winy! - krzyczała Ferula na brata.

- Mam nadzieję - odpowiadał.

Wkrótce okazało się, że Clara nie jest w stanie donosić ciąży na wsi i rodzić w osadzie, więc zorganizowano powrót do stolicy. Pocieszyło to nieco Ferulę, która odczuwała ciążę Clary jako osobisty afront. Wyjechała pierwsza z większością bagaży i służbą, aby otworzyć wielki narożny dom i przygotować go na powrót Clary. W kilka dni później Esteban towarzyszył żonie i córce w podróży powrotnej do miasta i ponownie zostawił Las Tres Marias w rękach Pedra Drugiego Garcii, który został zarządcą majątku, choć z tej racji nie miał większych przywilejów, lecz więcej pracy.

Podróż z Las Tres Marias do stolicy wyczerpała Clarę. Na moich oczach stawała się coraz bledsza, była astmatyczna i miała podkrążone oczy. Kołyszący się powóz, a potem pociąg, kurz na drodze i jej naturalna skłonność do mdłości sprawiły, że traciła energię, co było widać gołym okiem, a ja nie za bardzo mogłem jej pomóc, ponieważ gdy czuła się źle, wolała, by z nią nie rozmawiać. Gdy wysiadała z pociągu, musiałem ją podtrzymać, gdyż osłabły jej nogi.

- Myślę, że się poderwę - powiedziała.

- Nie tutaj! - krzyknąłem przerażony, wyobrażając sobie że może pofrunąć nad głowami pasażerów stojących na peronie.

Lecz ona nie miała konkretnie na myśli lewitacji; chodziło jej o to, by wznieść się na poziom, na którym mogłaby uwolnić się od niewygody, ciąży i przemożnego zmęczenia, które czuła w kościach. Znów zaczął się jeden z jej długich okresów milczenia; trwał on chyba kilka miesięcy, w ciągu których posługiwała się tabliczką, jak w czasach niemoty. Tym razem nie wpadłem w panikę, ponieważ zakładałem, że stanie się normalna, jak po urodzeniu Blanki, a zarazem zrozumiałem, że milczenie jest azylem mojej żony, nie zaś chorobą umysłową, jak twierdził doktor Cuevas. Ferula opiekowała się Clarą w ten sam obsesyjny sposób, jak poprzednio opiekowała się matką, traktowała ją tak, jakby była inwalidką, nigdy nie chciała zostawiać jej samej i zaniedbała Blankę, która płakała całymi dniami, gdyż chciała wrócić do Las Tres Marias. Clara snuła się po domu jak gruby, milczący cień, okazując iście buddyjski brak zainteresowania dla wszystkiego, co ją otaczało. Na mnie nawet nie spoglądała, przechodziła obok, jakbym był meblem, i gdy odzywałem się do niej, ona wciąż bujała w obłokach i zdawała się mnie nie słyszeć i nie znać. Nie sypialiśmy ze

sobą. Bezczynność, na którą byłem skazany w mieście, i irracjonalna atmosfera w domu wyczerpywały mnie nerwowo. Starałem się znaleźć dla siebie zajęcie, ale to nie pomogło; byłem ciągle w złym humorze. Wychodziłem codziennie i pilnowałem interesów. W tym okresie zacząłem spekulować na Giełdzie Towarowej i całymi godzinami studiowałem wzloty i upadki kursów walut na świecie, inwestowałem, zakładałem spółki, zajmowałem się importem. Wiele godzin spędzałem w klubie. Zacząłem również interesować się polityką, a nawet zapisałem się na gimnastykę - trener, istny olbrzym, zmuszał mnie do ćwiczenia mięśni, o których istnieniu w ogóle nie wiedziałem. Zalecono mi masaże, ale nie gustowałem w nich: nie znoszę, gdy dotykają mnie najemne ręce. Lecz to wszystko nie było w stanie wypełnić mi dnia, czułem się nieswojo, byłem znudzony, chciałem wrócić na wieś, ale nie miałem odwagi zostawić domu, gdyż, jak wiele na to wskazywało, rozhisteryzowanym kobietom potrzebna była obecność rozsądnego mężczyzny. Ponadto Clara tyła nadmiernie, a jej kruchy szkielet z trudem mógł unieść brzuch niesamowitych rozmiarów. Wstydziła się obnażać na moich oczach, a ponieważ była moją żoną, nie mogłem się z tym pogodzić. Pomagałem jej kąpać się i ubierać, gdy Ferula mnie nie uprzedzała, i było mi ogromnie żal Clary, tak małej i szczupłej, a obciążonej tym monstrualnym brzuchem. Tymczasem nadchodziła niebezpieczna chwila porodu. Wiele razy budziłem się z myślą, że może umrzeć przy porodzie; zamykałem się z doktorem Cuevasem i dyskutowaliśmy, jak jej pomóc. Uzgodniliśmy, że jeśli sprawy źle się potoczą, lepiej będzie znów zrobić cesarskie cięcie, ale nie chciałem, by zabrano ją do kliniki, a on odmawiał przeprowadzenia zabiegu tak jak za pierwszym razem - w kuchni. Mówiłem, że w klinikach nie ma wygód, że są to wylęgarnie zarazków i że więcej ludzi tam umiera, niż wraca do zdrowia.

Pewnego dnia, gdy bliska była data porodu, Clara opuściła swój bramiński azyl i zaczęła mówić. Chciała filiżanki czekolady i poprosiła, żebym zabrał ją na spacer. Serce mi zabiło. Cały dom wypełnił się radością, otworzyliśmy szampana, kazałem wstawić do wszystkich dzbanów świeże kwiaty, zamówiłem kamelie, które lubiła, i wstawiłem do jej pokoju, ale zaczęły powodować u niej astmę i szybko musieliśmy je wynieść. Pobiegłem na ulicę żydowskich jubilerów po diamentową broszkę. Clara podziękowała mi za nią serdecznie, powiedziała, że jest bardzo ładna, ale nigdy nie widziałem, by ją nosiła. Sądzę, że leży gdzieś, gdzie jej obecność nie przyszłaby nikomu na myśl - schowała ją tam, po czym zapomniała, podobnie jak niemal o wszystkich klejnotach, które jej kupiłem w ciągu całego naszego pożycia. Wezwałem doktora Cuevasa, który przyszedł rzekomo na herbatę, a w rzeczywistości miał zbadać Clarę. Zabrał ją do pokoju, a następnie powiedział Feruli i mnie, że o ile wygląda na to, iż wyszła z kryzysu umysłowego, o tyle należy spodziewać się trudnego porodu, ponieważ dziecko jest bardzo duże. W tej samej chwili do salonu weszła Clara i zapewne usłyszała ostatnie słowa doktora.

- Wszystko pójdzie dobrze, nie martwcie się - powiedziała.

- Mam nadzieję, że tym razem będzie to mężczyzna i że będzie nosił moje imię - zażartowałem.

- Nie jeden, lecz dwóch - odparła Clara. - Bliźniaki będą nazywały się Jaime i Nicolas.

Tego było dla mnie za wiele. Przypuszczam, że wybuchłem na skutek napięcia, które nagromadziło się we mnie w ciągu minionych miesięcy. Rozzłościłem się, oświadczyłem, że są to imiona zagranicznych kupców, że nikt nie nazywał się tak ani

w mojej, ani w jej rodzinie, że przynajmniej jeden musi nazywać się Esteban, tak samo jak ja i mój ojciec, ale Clara wyjaśniła, że powtarzające się imiona wywołują zamieszanie w pamiętnikach, i pozostała niewzruszona przy swoim postanowieniu. Chcąc ją przestraszyć rozbiłem ręką porcelanowy dzban, który, jak się zdaje, był ostatnim świadectwem splendoru mojego pradziada, lecz nie zrobiło to na niej wrażenia, a doktor Cuevas uśmiechał się zza filiżanki herbaty, co jeszcze bardziej mnie rozzłościło. Wyszedłem trzaskając drzwiami i udałem się do klubu.

Upiłem się tej nocy. Po części dlatego, że miałem taką potrzebę, a po części z chęci zemsty, poszedłem do najbardziej znanego w mieście burdelu, który nosił imię pewnej postaci historycznej. Chcę wyjaśnić, że nie gustuję w prostytutkach i że zadawałem się z nimi tylko w okresach, w których przychodziło mi żyć przez długi czas w samotności. Nie wiem, co się stało ze mną tego dnia, pogniewałem się na Clarę, byłem zirytowany, rozpierała mnie energia i uległem pokusie. W tych latach interes prowadzony pod patronatem Krzysztofa Kolumba kwitł, ale nie cieszył się jeszcze międzynarodową renomą - uzyskał ją później, gdy znalazł się na mapach angielskich towarzystw żeglugowych i w przewodnikach turystycznych i gdy sfilmowano go dla telewizji. Wszedłem do salonu z francuskimi meblami o krzywych nóżkach. Przywitała mnie matrona, rodaczka, która doskonale imitowała akcent paryski, i zaczęła zapoznawać z cennikiem usług, a następnie zapytała, czy mam kogoś konkretnego na myśli. Powiedziałem, że moje doświadczenia ograniczają się do domu „Pod Czerwonym Lampionem” i paru nędznych lupanarów dla górników na północy, toteż zadowolę się jakąkolwiek młodą i schludną kobietą.

- Pan wydaje mi się sympatyczny, mesju - powiedziała.

- Przyprowadzę panu to, co najlepsze w tym domu.

Na jej wezwanie stawiła się kobieta wbita w obcisłą suknię z czarnej satyny, która z trudem krępowała obfitość jej kobiecych kształtów. Włosy miała zaczesane na jedno ucho - ta fryzura nigdy mi się nie podobała - i przechodząc roztaczała straszną woń piżma, która uporczywie unosiła się w powietrzu.

- Miło mi zobaczyć pana dziedzica - powiedziała na powitanie i wówczas rozpoznałem ją, bo tylko głos Transito Soto się nie zmienił.

Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do pokoju zamkniętego jak grób, o oknach zasłoniętych ciemnymi kotarami, przez które nie wiadomo od jak dawna nie przeniknął ani jeden promień słońca. Tak czy inaczej, w porównaniu z plugawymi urządzeniami w domu „Pod Czerwonym Lampionem”, pokój ten wyglądał na pałacową komnatę. Własnoręcznie zdjąłem z Transito satynową suknię, rozpuściłem jej włosy, burząc horrendalną fryzurę i stwierdziłem, że przez te lata urosła, przytyła i wyładniała.

- Widzę, że zrobiłaś duże postępy - powiedziałem.

- Dzięki pięćdziesięciu pesos od pana dziedzica. Przydały mi się na początek - odparła. - Teraz mogę je zwrócić, oczywiście zwaloryzowane, ponieważ wskutek inflacji nie są warte tyle co dawniej.

- Wolę, żebyś mi była winna przysługę, Transito! - zaśmiałem się.

Zdjąłem z niej halkę i przekonałem się, że nie ma prawie nic wspólnego z chudą dziewczynką o sterczących łokciach i kolanach pracującą w domu „Pod Czerwonym Lampionem”, poza niestrudzoną gotowością do zmysłowych zabaw i głosem zachrypniętego ptaka. Skórę miała zdepilowaną; natarto ją cytryną i miodem z nieszpułki aż - jak mi sama wyjaśniła - stała się delikatna i biała jak u niemowlęcia. Paznokcie miała pomalowane na czerwono, a wokół pępka wytatuowanego węża, którym mogła poruszać, podczas gdy reszta ciała pozostawała zupełnie nieruchoma. Demonstrując umiejętność wprawiania węża w ruch falujący, opowiedziała mi o swoim życiu.

- Co by było ze mną, panie dziedzicu, gdybym pozostała w domu „Pod Czerwonym Lampionem”? Nie miałabym już zębów i byłabym stara. W tym zawodzie kobieta szybko się zużywa, trzeba uważać na siebie. No i to, że nie chodzę po ulicy! Nigdy tego nie lubiłam, to bardzo niebezpieczne. Na ulicy trzeba mieć alfonsa, bo jak nie, to ryzyko jest bardzo duże. Nikt takiej nie szanuje. A po co oddawać mężczyźnie to, co się zarobi z takim trudem? Pod tym względem kobiety są bardzo głupie. Tak je wychowano. Potrzebują mężczyzny, by czuć się bezpiecznie, a nie zdają sobie sprawy, że najbardziej powinny bać się takich właśnie mężczyzn. Nie umieją administrować swoimi sprawami, muszą poświęcać się dla kogoś. Kurwy są najgorsze, proszę mi wierzyć, panie. Życie schodzi im na pracy dla alfonsa, cieszą się, gdy je bije, są dumne, gdy widzą go dobrze ubranego, że złotymi zębami, pierścieniami, i gdy je porzuca i odchodzi z inną, młodszą, wybaczają mu, bo „jest mężczyzną”. Nie, panie dziedzicu, ja taka nie jestem. Mnie nikt nie utrzymywał, więc musiałabym być wariatką, żebym ja kogoś utrzymywała. Pracuję dla siebie, co zarobię, to wydaję wedle własnego uznania. Wiele mnie to kosztowało, nie myślcie, panie, że to było łatwe, gdyż właścicielki domów publicznych nie lubią układać się z kobietami, wolą dogadać się z alfonsem. Nie pomagają kobiecie. Nie szanują jej.

- Jednak wygląda na to, że tu cię szanują, Transito. Powiedziano mi, że jesteś najlepsza w tym domu.

- Bo jestem. Ten interes by upadł, gdyby nie ja, gdyż haruję jak wół - rzekła. - Reszta jest już za bardzo zdarta, proszę pana. Tu przychodzą sami starzy, nie tak jak dawniej. Trzeba to zmodernizować, żeby przyciągnąć urzędników państwowych, którzy nie mają co robić w południe, młodzież, studentów. Trzeba to rozbudować, uczynić lokal weselszym i posprzątać. Dokładnie posprzątać! Wtedy klientela miałaby zaufanie i nie bałaby się, że złapie chorobę weneryczną, nieprawdaż? Tu jest brudno jak w chlewie. Nigdy się nie sprząta. Zajrzyjcie, panie, pod poduszkę, a na pewno wyskoczy karaluch. Powiedziałam o tym madame, ale nie słucha. Nie ma zmysłu do interesów.

- A ty masz?

- Pewnie, panie dziedzicu! Mam milion pomysłów, jak ulepszyć Krzysztofa Kolumba. Ja do tego zawodu podchodzę z entuzjazmem. Nie należę do tych, które się skarżą i zrzucają winę na zły los, gdy się im nie wiedzie. Nie widzicie, panie, do czego doszłam? Już jestem najlepsza. Staram się, mogę mieć najlepszy dom publiczny w tym kraju, przysięgam.

Dobrze się bawiłem. Potrafiłem ją docenić, ponieważ oglądając tyle razy własną ambicję w lusterku przy goleniu, nauczyłem się cenić ją u innych.

- Pomysł wydaje mi się znakomity, Transito. Dlaczego nie miałabyś poprowadzić własnego interesu? Ja wyłożę kapitał - zaproponowałem zafascynowany myślą o rozszerzeniu moich interesów w tym kierunku. Musiałem być bardzo pijany!

- Nie, dziękuję wam, panie - odparła Transito, pieszcząc swojego węża paznokciem pomalowanym chińską laką. - Nie odpowiada mi zamiana jednego kapitalisty na innego. Trzeba założyć spółdzielnię, a madame posłać do diabła. Nie słyszeliście o tym, panie? Uważajcie, bo gdy wasi parobcy założą spółdzielnię, to będziecie mieć się z pyszna. Chcę założyć kurewską spółdzielnię. Będą mogły należeć do niej kurwy i pedały, żeby był to interes z rozmachem. My wniesiemy wszystko, kapitał i pracę. Po co nam właściciel?

Kochaliśmy się gwałtownie i okrutnie - zapomniałem już, że tak można, wskutek długiego pływania żaglowcem po cichych wodach z błękitnego jedwabiu. W nieładzie poduszek i prześcieradeł, gdy byliśmy zwinięci w żywy kłębek pragnień i wierciliśmy się do utraty tchu, poczułem się tak, jakbym znów miał dwadzieścia lat; byłem zadowolony, że mam w ramionach tę dzielną, ciemnoskórą samicę, która nie rozłaziła się w szwach, gdy jej dosiadałem; mogłem ujeżdżać ją bezlitośnie jak mocną kobyłę, nie czując, że mam za ciężkie ręce, za twardy głos, za duże stopy, za ostrą brodę; znosiła stek nieprzyzwoitych słów i nie trzeba jej było koić czułościami ani oszukiwać zalotami. Potem, senny i szczęśliwy, odpocząłem przez chwilę u jej boku, podziwiając solidną krzywiznę jej biodra i falowanie węża.

- Zobaczymy się jeszcze, Transito - powiedziałem, dając jej napiwek.

- To samo ja wam kiedyś powiedziałam, panie. Pamiętacie? - odparła, po raz ostatni wprawiając węża w ruch.

W rzeczywistości nie miałem zamiaru widzieć jej więcej. Raczej wolałem o niej zapomnieć.

Nie wspominałbym o tym epizodzie, gdyby wiele lat później Transito Soto nie odegrała ważnej roli w moim życiu, ponieważ, jak powiedziałem, nie gustuję w prostytutkach. Lecz ta historia nie mogłaby zostać spisana, gdyby pewnego dnia ona nie uratowała nam życia, a przy okazji nie ocaliła naszych wspomnień.

W kilka dni później, gdy doktor Cuevas przygotowywał się duchowo do ponownego otwarcia brzucha Clary, zmarli Severo i Nivea del Valle, którzy pozostawili dużo dzieci i czterdzieścioro siedmioro wnucząt. Clara dowiedziała się o tym wcześniej od innych przez sen, ale nic nie powiedziała nikomu poza Ferulą, która starała się ją uspokoić i tłumaczyła, że ciąża powoduje stan trwogi, w którym często zdarzają się złe sny. Podwoiła swoją troskę o Clarę, nacierała ją słodkimi migdałami, by nie miała rozstępów na brzuchu, smarowała sutki pszczelim miodem, by nie popękały, kazała jeść zmieloną skorupkę jajka, by miała dobre mleko i nie psuły się jej zęby, i odmawiała pacierze betlejemskie, by poród dobrze wypadł. W dwa dni po tym, jak Clara miała sen, Esteban Trueba wrócił do domu wcześniej niż zwykle, blady i roztrzęsiony. Zaciągnął Ferulę za ramię do biblioteki i zamknął się z nią.

- Teściowie zginęli w wypadku - powiedział krótko. - Nie chcę, żeby Clara dowiedziała się o tym, dopóki nie urodzi. Trzeba wznieść wokół niej mur cenzury,

żadnych gazet, żadnego radia, żadnych wizyt, niczego! Przypilnuj służbę, żeby nikt jej o tym nie powiedział.

Lecz jego dobre intencje rozbiły się o moc jasnowidzenia Clary. Tej nocy ponownie przyśniło się jej, że rodzice szli przez pole cebulowe i że Nivea była bez głowy, tak że dowiedziała się o wszystkim bez potrzeby czytania gazet czy słuchania radia. Obudziła się bardzo podniecona i poprosiła Ferulę, żeby pomogła jej ubrać się, ponieważ musi wyjść i poszukać głowy matki. Ferula pobiegła do Estebana, ten zaś wezwał doktora Cuevasa, który - ryzykując zdrowie bliźniaków - dał jej napój leczniczy dla szaleńców, po którym pacjent śpi przez dwa dni, lecz nie odniosło to żadnego skutku.

Małżonkowie del Valle umarli tak, jak przyśniło się to Clarze, i tak, jak często zapowiadała żartem Nivea.

- Któregoś dnia zabijemy się w tej piekielnej maszynie - mawiała Nivea, wskazując na stary automobil męża.

Severo del Valle, miał od lat młodzieńczych słabość do wynalazków. Automobil nie był wyjątkiem od tej reguły. W czasach, gdy wszyscy chodzili pieszo, jeździli bryczkami czy powozami zaprzężonymi w konie lub na welocypedach, on kupił pierwszy automobil, który dotarł do kraju, i jako kuriozum był wystawiony w witrynie pewnego sklepu w śródmieściu. Był to cud mechaniki, który poruszał się z zawrotną szybkością piętnastu, a nawet dwudziestu kilometrów na godzinę, na oczach zdumionych przechodniów i pośród złorzeczeń tych, których po drodze ochlapał błotem lub owiał kurzem. Początkowo piętnowano wehikuł jako zagrożenie dla porządku publicznego. Wybitni naukowcy wyjaśniali w prasie, że ludzki organizm nie jest stworzony do jazdy z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę i że nowy produkt zwany benzyną jest łatwopalny i gdyby się zapalił, mógłby wywołać reakcję łańcuchową, która zmiotłaby miasto z powierzchni ziemi. Wtrącił się nawet Kościół. Ojciec Restrepo, który od czasu przykrego wyczynu Clary na sumie w Wielki Czwartek miał rodzinę del Valle na oku, wystąpił w roli strażnika dobrych obyczajów i jego galisyjski głos zabrzmiał donośnie - potępił amicos rerum novarum, przyjaciół nowości, takich jak ten szatański aparat; porównał go do ognistego rydwanu, w którym zginął prorok Eliasz lecąc do nieba. Lecz Severo zignorował skandal i wkrótce inni kawalerowie poszli w jego ślady, aż w końcu automobile przestały być nowością. Severo jeździł swoim przez dziesięć lat, odmawiając zmiany modelu, gdy miasto zapełniło się nowoczesnymi samochodami, które były szybsze i bezpieczniejsze, a odmawiał z tego samego powodu, z jakiego jego żona nie chciała pozbyć się koni pociągowych, dopóki nie umarły spokojnie ze starości. Sunbeam miał po bokach koronkowe firanki i dwa szklane wazony, w których Nivea trzymała świeże kwiaty, cały pokryty był polerowanym drewnem i rosyjską skórą, a jego części z brązu błyszczały jak złoto. Choć był pochodzenia brytyjskiego, nadano mu indiańskie imię Covadonga. Był w doskonałym stanie, to prawda, ale z jednym wyjątkiem - nigdy nie działały dobrze hamulce. Severo był dumny ze swoich umiejętności w dziedzinie mechaniki. Kilkakrotnie rozbierał automobil i kilkakrotnie powierzał go też Wielkiemu Rogaczowi, włoskiemu mechanikowi, najlepszemu w całym kraju. Przezwisko zawdzięczał tragedii, która rzuciła cień na jego życie. Mówiono, że jego żona, mając już dość tego, że nie zwraca uwagi na przyprawiane mu rogi, porzuciła go pewnej burzliwej nocy, ale nim sobie poszła, przywiązała nabyte u rzeźnika baranie rogi na kracie przed warsztatem mechanicznym. Następnego dnia, gdy Włoch przyszedł do

pracy, zastał przed bramą gromadę wyśmiewających się z niego dzieciaków i gapiów z całej okolicy. Dramat ten w niczym nie podważył jednak jego prestiżu zawodowego, ale nawet on nie zdołał uregulować hamulców Covadongi. Severo postanowił wozić w automobilu wielki kamień i gdy parkował na stoku, jeden pasażer naciskał nogą hamulec, a inny wysiadał szybko i podkładał kamień pod przednie koła. System ten zdawał na ogół egzamin, lecz tej fatalnej niedzieli, która zrządzeniem losu była ostatnia w ich życiu, stało się inaczej. Małżonkowie del Valle wyjechali na spacer za miasto, jak to mieli zwyczaj czynić w dni słoneczne. Nagle zupełnie przestały działać hamulce, nim Nivea zdążyła wyskoczyć z wozu i podłożyć kamień i nim Severo zdążył wykonać jakiś manewr, automobil zaczął zjeżdżać ze wzgórza Severo usiłował skręcić lub zatrzymać maszynę, lecz tą zawładnął diabeł, wymknęła się spod kontroli i pomknęła w dół, gdzie wpadła na wóz wypełniony żelastwem budowlanym. Jedna z blach przebiła przednią szybę i po prostu obcięła Nivei głowę. Głowa poleciała jak pocisk i mimo poszukiwań policji, gajowych i ochotników spośród okolicznych mieszkańców, którzy chcieli wytropić ją przy pomocy psów, nie odnaleziono jej w ciągu dwóch dni. Trzeciego dnia ciała zaczęły cuchnąć i choć były niekompletne, należało je pochować Odbył się wspaniały pogrzeb, w którym wziął udział ród del Valle wraz z niezliczonymi przyjaciółmi i znajomymi, nie mówiąc już o delegacjach kobiet, które przyszły pożegnać zmarłą, uchodzącą wówczas za pierwszą krajową feministkę, o której przeciwnicy ideologiczni mówili, że jeśli straciła głowę za życia, to nie było powodów, żeby ją miała na karku po śmierci. Clara, zamknięta w domu w otoczeniu służby, która nad nią czuwała, pilnowana przez Ferulę, nakarmiona przez doktora Cuevasa środkami oszołomiającymi, nie była na pogrzebie Z uwagi na tych wszystkich, którzy usiłowali oszczędzić jej dodatkowego bólu, nie zrobiła żadnego komentarza, który wskazywałby, że wie o przerażającej sprawie zagubionej głowy, gdy jednak uroczystości pogrzebowe dobiegły końca i życie zdawało się wracać do normy, przekonała Ferulę, by towarzyszyła jej w poszukiwaniach. Na nic nie zdały się napoje lecznicze i pigułki, które dawała jej szwagierka, ponieważ nie odstąpiła od swoich zamiarów Ferula uznała się za pokonaną, zrozumiała, że nie można dalej utrzymywać, jakoby afera z zaginioną głową była tylko złym snem, i że lepiej będzie pomóc w realizacji planów Clary, nim niepokój wytrąci ją z równowagi. Poczekały, aż Esteban Trueba wyjdzie z domu Ferula pomogła Clarze ubrać się i wezwała taksówkę Instrukcje, które Clara wydała kierowcy, były dość nieprecyzyjne.

- Proszę jechać przed siebie, ja wskażę panu drogę - powiedziała kierując się instynktem, który pozwalał jej widzieć rzeczy niewidzialne.

Wyjechali z miasta, na otwartą przestrzeń, gdzie zabudowania były coraz rzadsze i zaczynały się wzgórza i doliny, skręcili zgodnie ze wskazówkami Clary w boczną drogę i wjechali między brzozy i pole cebulowe W końcu Clara poleciła kierowcy zatrzymać się przy jakichś zaroślach.

- To tu - powiedziała

- To niemożliwe! Jesteśmy bardzo daleko od miejsca wypadku. - wątpiła Ferula

- Mówię, że to tu - nalegała Clara, wysiadając z trudem i kołysząc ogromnym brzuchem a za nią ruszyła modląca się szeptem szwagierka wraz z kierowcą, który nie miał najmniejszego pojęcia o celu podróży. Clara chciała wpełznąć między krzaki, lecz nie pozwoliły jej na to rozmiary bliźniaków.

- Niech pan będzie tak uprzejmy, wejdzie tam i poda mi leżącą tam głowę - zwróciła się do kierowcy.

Ten wśliznął się między kolczaste krzewy i znalazł głowę Nivei, która wyglądała jak samotny melon. Ujął ją za włosy i wylazł na czworakach. Podczas gdy on wymiotował oparty o pobliskie drzewo, Ferula i Clara oczyściły głowę Nivei z ziemi i żwiru, który dostał się do uszu, nosa i ust, i ułożyły włosy, które były trochę potargane, ale nie zdołały zamknąć jej oczu. Zawinęły ją w szal i wróciły do taksówki.

- Niech pan jedzie szybko, bo chyba będę rodzić! - zawołała Clara.

Przyjechały na czas i Clara zdążyła położyć się do łóżka. Ferula przystąpiła do gorączkowych przygotowań, podczas gdy jeden ze służących pobiegł po doktora Cuevasa i położną. W wyniku jazdy taksówką, emocji ostatnich dni i napojów leczniczych Clara nabrała przekonania, że ten poród będzie łatwiejszy niż wtedy, gdy rodziła pierwszą córkę, toteż trzymając się bezanmasztu i fokmasztu żaglowca wzięła się do dzieła i pośród cichych wód z błękitnego jedwabiu wydała na świat Jaime i Nicolasa; urodzili się w pośpiechu pod czujnym okiem babci, która obserwowała ich z komody. Ferula chwyciła za kosmyki wilgotnych włosów, które okalały im karki, i wyciągnęła po kolei noworodki zgodnie z doświadczeniem, jakiego nabyła przyglądając się w Las Tres Marias narodzinom źrebaków i cieląt. Nim przyszedł doktor z położną, ukryła pod łóżkiem głowę Nivei, by uniknąć kłopotliwych wyjaśnień. Gdy się zjawili, mieli niewiele do roboty, ponieważ matka odpoczywała spokojnie, a dzieci, maleńkie jak wcześniaki, ale całe i zdrowe, spały w ramionach wycieńczonej ciotki.

Z głową Nivei był kłopot, gdyż trzeba było umieścić ją gdzieś, gdzie nie rzucałaby się w oczy. W końcu Ferula zawinęła ją w szmaty i włożyła do skórzanego pudła na kapelusze. Rozważano możliwość pochowania jej jak Bóg przykazał, lecz uzyskanie zezwolenia na otwarcie trumny w celu złożenia w niej brakującej części ciała wymagałoby nie kończących się procedur biurokratycznych, a ponadto obawiano się, że wybuchnie skandal, gdy opinia publiczna dowie się, w jaki sposób Clara odnalazła głowę matki, choć nie udało się to wytrawnym szperaczom. Esteban Trueba, jak zawsze lękający się śmieszności, optował za rozwiązaniem, które nie dałoby argumentów oszczercom, ponieważ wiedział, że dziwne zachowanie żony jest przedmiotem plotek. Było wiadomo, że Clara potrafi poruszać przedmiotami nie dotykając ich i odgaduje to, co nieprawdopodobne. Ktoś ekshumował historię niemoty Clary w dzieciństwie i oskarżenia rzuconego przez ojca Restrepo, świętego człowieka, którego Kościół chciał zaliczyć jako pierwszego krajowca w poczet błogosławionych. Parę lat spędzonych w Las Tres Marias sprawiło, że szepty wycichły, a ludzie zapomnieli o tym zdarzeniu, ale Trueba wiedział, że wystarczy jeden nic nie znaczący incydent - choćby taki, jak afera z głową teściowej - by znów zaczęto plotkować. To dlatego, a nie - jak mówiono po latach - przez niedbalstwo pudło na kapelusze schowano w piwnicy, licząc, że nadarzy się jeszcze okazja do chrześcijańskiego pochówku.

Po podwójnym porodzie Clara szybko wróciła do siebie. Wychowanie dzieci powierzyła szwagierce i Nanie, która po śmierci dotychczasowych pracodawców pracowała u Truebów, by - jak mawiała - służyć nadal tej samej krwi. Była stworzona do niańczenia cudzych dzieci, do noszenia wzgardzonej przez innych odzieży, do zjadania resztek, życia cudzymi uczuciami i smutkami i starzenia się pod cudzym

dachem; jej przeznaczeniem było umrzeć pewnego dnia w pokoiku przy ostatnim patio, w łóżku, które do niej nie należało, i być pochowaną w jakimś wspólnym grobie na cmentarzu komunalnym. Miała około siedemdziesięciu lat, ale była pełna zapału do pracy, niestrudzona w krzątaninie, nietknięta przez czas; żwawo przebierała się za straszydło i napadała Clarę po kątach, gdy tę ogarniała mania niemoty i posługiwania się tabliczką; była twarda i nieustępliwa wobec bliźniaków, ale czuła i wyrozumiała wobec Blanki, podobnie jak ongiś wobec jej matki i babki. Miała nawyk nieustannego szeptania pacierzy, bo gdy sobie uświadomiła, że nikt w tej rodzinie nie jest wierzący, postanowiła modlić się za wszystkich jej członków - żywych, jak również oczywiście zmarłych, co uważała za dalszy ciąg służby, którą pełniła za ich życia. Na starość zapominała, za kogo się modli, ale podtrzymała ten zwyczaj, gdyż miała pewność, że komuś się to przyda. Dewocja była jedyną rzeczą, którą dzieliła z Ferulą. We wszystkich innych sprawach były rywalkami.

Pewnego piątkowego popołudnia do drzwi wielkiego domu narożnego zapukały trzy damy o przezroczystej cerze, szczupłych dłoniach i zamglonych oczach, w niemodnych kapeluszach z kwiatami, skąpane w intensywnym zapachu leśnych fiołków, który rozszedł się po wszystkich pokojach; dom pachniał kwiatami przez kilka dni. Były to siostry Mora. Clara znajdowała się w ogrodzie i sprawiała wrażenie, że czekała na nie przez całe popołudnie; powitała je z bliźniakami przy piersiach, podczas gdy Blanca bawiła się u jej stóp. Popatrzyły po sobie, poznały się i obdarzyły uśmiechami. Był to początek żarliwej więzi duchowej, która trwała odtąd przez całe życie i - jeśli spełniły się przepowiednie - trwa w zaświatach.

Trzy siostry Mora znały się doskonale na spirytyzmie i zjawiskach nadprzyrodzonych i jako jedyne były w posiadaniu nieodpartego dowodu na to, że dusze mogą się materializować: była to fotografia, ukazująca je razem przy stole, podczas gdy nad ich głowami unosi się niewyraźna i zwiewna ektoplazma; sceptycy twierdzili, że jest to plama na wywołanym zdjęciu lub że po prostu fotograf dopuścił się oszustwa. W sposób zagadkowy, znany tylko wtajemniczonym, siostry Mora dowiedziały się o istnieniu Clary, nawiązały z nią kontakt telepatyczny i od razu zrozumiały, że są jej siostrami astralnymi. Dzięki dyskretnym zabiegom ustaliły jej ziemski adres i stawiły się ze swoimi własnymi taliami kart nasyconych zbawiennymi fluidami, zestawami figur geometrycznych i liczb kabalistycznych własnego pomysłu, które służyły do demaskowania fałszywych parapsychologów, oraz paczką zwykłych ciasteczek, którą przyniosły Clarze w prezencie. Zostały jej serdecznymi przyjaciółkami i starały się spotykać z nią co piątek, by wywoływać duchy oraz wymieniać się kabałami i przepisami kulinarnymi. Razem odkryły sposób na przesyłanie energii mentalnej z wielkiego domu narożnego na drugi koniec miasta, gdzie siostry Mora mieszkały w starym młynie, który zamieniły w niezwykły dom, jak również na odwrót, dzięki czemu mogły wspierać się wzajemnie w trudnych sytuacjach życia codziennego. Siostry Mora miały rozległe znajomości, niemal wyłącznie wśród osób interesujących się tego rodzaju zagadnieniami; osoby te zaczęły przychodzić na piątkowe sesje, wnosząc swoją wiedzę i fluidy magnetyczne. Esteban Trueba pozwalał im kręcić się po domu pod trzema warunkami: że będą szanować jego bibliotekę, nie będą wykorzystywać dzieci do eksperymentów psychologicznych i zachowają dyskrecję, ponieważ nie chciał publicznego skandalu. Ferula odnosiła się z dezaprobatą do działalności Clary, gdyż uważała, że kłóci się ona z religią i dobrymi obyczajami. Nie brała udziału w sesjach, ale robiąc na drutach, z rozsądnej odległości śledziła kątem oka ich przebieg, gotowa interweniować, gdyby tylko Clara, będąc w transie, posunęła się za daleko. Zauważyła, że bratowa była bardzo wyczerpana po kilku

sesjach, podczas których służyła za medium i obcym głosem mówiła w pogańskich językach. Nana również czuwała pod pretekstem, że częstuje gości filiżanką kawy; straszyła wtedy duchy szelestem krochmalonej halki, szeptem odmawianych pacierzy i kłapaniem obluzowanych zębów; nie czyniła tego jednak z uwagi na Clarę, lecz po prostu pilnowała, aby nie kradziono popielniczek. Na nic nie zdały się wyjaśnienia Clary, że jej goście wcale nie są zainteresowani popielniczkami, a to głównie dlatego, iż żaden z nich nie pali, gdyż Nana uważała wszystkich, poza trzema czarującymi siostrami Mora, za bandę ewangelickich łajdaków.

Nana i Ferula były sobie bardzo niechętne. Rywalizowały o uczucia dzieci i kłóciły się o to, która ma czuwać nad ekstrawagancjami Clary; głucha, lecz nieustanna walka toczyła się między nimi w kuchniach, na podwóreczkach, w korytarzach, ale nigdy w obecności Clary, ponieważ obie zgodnie uważały, że należy oszczędzać jej przykrych sytuacji. Ferula pokochała Clarę z zazdrosną namiętnością, która bardziej przypominała uczucie wymagającego męża niż szwagierki. Z biegiem czasu przestała zachowywać ostrożność i w wielu drobiazgach zaczęła okazywać Clarze adorację, co nie umykało uwagi Estebana. Gdy wracał ze wsi, Ferula starała się przekonać go, że Clara przeżywa akurat - jak to określała - „złe chwile", więc nie powinien spać w jej łóżku i byłoby lepiej, gdyby przebywał z nią jak najrzadziej i jak najkrócej. Powoływała się przy tym na zalecenia doktora Cuevasa; później, gdy Esteban pytał o nie doktora, wychodziło na jaw, że zmyśliła je sama Ferula. Na tysiąc sposobów stawała między małżonkami, a gdy mimo wszystko ponosiła fiasko, podżegała troje dzieci do wysuwania żądań - by ojciec poszedł z nimi na spacer, by matka im poczytała, by przy nich posiedzieć, ponieważ mają gorączkę, by się z nimi pobawić. „Biedactwa, potrzebują taty i mamy, przez cały dzień są w rękach ciemnej staruchy, która mąci im w głowach swoimi zacofanymi ideami i przesądami i, nie daj Boże, jeszcze zrobi z nich głupków, Nanę należy umieścić w przytułku, podobno Służebnice Boże prowadzą przytułek dla starych służących, w którym jest cudownie, traktują je jak panie, nie muszą pracować, wyżywienie jest dobre, byłoby to najbardziej humanitarne rozwiązanie, biedna Nana, do niczego już się nie nadaje" - mawiała. Esteban, nie wiedzieć dlaczego, zaczął czuć się nieswojo we własnym domu. Miał wrażenie, że żona oddala się odeń coraz bardziej, że jest coraz dziwniejsza i coraz bardziej niedostępna, nie mógł zdobyć jej ani za pomocą prezentów, ani nieśmiałych gestów czułości, ani niepohamowanej namiętności, która ogarniała go zawsze, gdy była obok. W tym czasie jego miłość do Clary była tak silna, że stała się obsesją. Chciał, żeby Clara myślała tylko o nim, nie miała innego życia niż to, które mogła z nim dzielić, o wszystkim mu opowiadała, nie posiadała niczego, co nie pochodziłoby od niego, i była odeń zupełnie uzależniona.

Tymczasem rzeczywistość rozmijała się z jego oczekiwaniami. Clara nie chodziła po ziemi, lecz jak wuj Marcos zdawała się latać aeroplanem, szukała Boga w doktrynach tybetańskich, zasięgała rad u duchów przy stolikach na trzech nogach, a duchy stukały dwa razy na tak, trzy razy na nie, rozszyfrowywała przesłania z innych światów, z których dowiadywała się nawet, jaka będzie pogoda. Pewnego razu duchy poinformowały ją, że pod kominem ukryty jest skarb, więc najpierw kazała zburzyć ścianę, ale skarbu tam nie było, potem schody, również na nic, następnie połowę głównego salonu, z tym samym skutkiem. W końcu okazało się, że duch, zdezorientowany zmianami architektonicznymi, których ona sama dokonała, nie zauważył, że skrytka ze złotymi dublonami znajduje się nie u Truebów, lecz po drugiej stronie ulicy, u państwa Ugarte; ci odmówili zburzenia kuchni, ponieważ nie wierzyli w opowieści o hiszpańskim duchu. Clara nie była w stanie zapleść Blance

warkoczy do szkoły i musiała to robić Ferula lub Nana, ale miała z córką znakomite stosunki, oparte na tych samych zasadach, co niegdyś jej własne stosunki z Niveą, opowiadała jej baśnie, czytała magiczne książki z zaczarowanych kufrów, pokazywała portrety rodzinne, opowiadała anegdoty o wujach, którzy puszczali bąki, i ślepcach, którzy spadali z topoli jak gargulce, wychodziła z nią oglądać kordylierę i liczyć chmury. Porozumiewały się w wymyślonym przez siebie języku, opuszczając w języku hiszpańskim „t" i zastępując je przez „n", a „r" przez „l", tak, że w rezultacie mówiły jak Chińczyk z pralni. W tym czasie Jaime i Nicolas chowali się w separacji od żeńskiego dwumianu, zgodnie z ówczesną zasadą, że „na mężczyzn trzeba wyrosnąć". Natomiast kobiety rodziły się z genetycznie wbudowaną kobiecością i nie miały potrzeby jej nabywać. Bliźniacy stawali się silni i brutalni w toku zabaw właściwych ich wiekowi, najpierw polując na jaszczurki, którym kroili w plasterki ogony, na myszy, którym kazali urządzać wyścigi, i na motyle, którym usuwali pył ze skrzydeł; później bili się na pięści i dawali sobie kopniaki zgodnie ze wskazówkami Chińczyka z pralni - człowieka, który wyprzedził swoją epokę i przyniósł do tego kraju liczącą sobie tysiąc lat wiedzę o sztukach walki, ale nikt nie zwracał nań uwagi, gdy pokazywał, że potrafi rozbić cegłę kantem dłoni, i gdy chciał otworzyć własną akademię, toteż skończył na praniu cudzej odzieży. W kilka lat później bliźniacy wyrośli wreszcie na mężczyzn, wagarując ze szkoły i spędzając czas na leżącym odłogiem terenie przy śmietniku, gdzie zamieniali srebrne sztućce matki na kilka minut zakazanej miłości z ogromnym babskiem, które mogło ukołysać obu do snu na piersiach wielkich jak wymiona krowy holenderskiej, utopić obu w mięsistej wilgoci swoich pach, zmiażdżyć udami słonicy i sprawić, aby czuli się w ciemnej, soczystej i gorącej jamie płciowej jak w siódmym niebie. Zdarzyło się to jednak o wiele później, o czym Clara nie wiedziała, toteż nie wyczytałam tego z jej pamiętników, lecz dowiedziałam się z innych źródeł.

Clary nie interesowały sprawy domowe. Snuła się po pokojach i nie dziwiło jej, że wszędzie panuje absolutny porządek i jest nieskazitelnie czysto. Siadała do stołu nie zastanawiając się, kto przyrządził posiłek lub gdzie kupiono żywność, było jej obojętne, kto usługuje do stołu, zapominała imiona służących, a czasami nawet własnych synów, natomiast wydawała się zawsze obecna jako dobry i radosny duch, który gdy przechodzi, wprawia w ruch zegary. Ubierała się na biało, ponieważ doszła do wniosku, że jest to jedyny kolor, jaki nie psuje jej aury; od wykwintnych sukni z falbanami, wyszywanych szlachetnymi kamieniami, które mąż kupował po to, by ją olśnić i by modnie wyglądała, wolała proste stroje, szyte dla niej przez Ferulę na maszynie.

Esteban popadał w rozpacz, gdyż traktowała go z taką samą sympatią jak wszystkich, zwracała się do niego takim samym pieszczotliwym tonem jak do kotów, nie dostrzegała, że jest zmęczony, smutny lub w stanie euforii, że ma ochotę się kochać, natomiast mogła rozpoznać po barwie jego promieniowania, że coś knuje, lub zmitygować jego gniew paroma żartobliwymi zdaniami. Złościło go, że Clara nigdy nie była za nic wdzięczna i nie potrzebowała niczego, co mógłby jej dać. W łóżku była roztargniona i promienna jak we wszystkich innych sprawach, odprężona i prostoduszna, lecz nieobecna. Wiedział, że ma jej ciało i może uprawiać z nim wszelkie ćwiczenia gimnastyczne, których nauczył się z książek ukrytych w przegródce w bibliotece, ale nawet najbardziej odrażające grzechy popełniane z Clarą wyglądały jak swawole noworodka, gdyż nie można było ich posolić solą nieprzyzwoitej myśli lub popieprzyć pieprzem uległości. Rozeźlony tym Trueba popełniał więc od czasu do czasu stare grzechy - podczas przymusowych rozstań,

gdy Clara zostawała z dziećmi w stolicy, a on musiał zajmować się gospodarstwem wiejskim, wywracał w krzakach krzepką chłopkę, lecz czyny te, zamiast mu ulżyć, pozostawiały poczucie niesmaku i nie przynosiły żadnej trwalszej przyjemności, zwłaszcza że wiedział z góry, iż gdyby powiedział o tym żonie, wcale nie byłaby oburzona jego niewiernością, lecz tym, że zmaltretował inną kobietę. Zazdrość, podobnie jak wiele innych ludzkich uczuć, nie imała się Clary. Poszedł też dwa czy trzy razy do domu „Pod Czerwonym Lampionem", ale zaprzestał tych wizyt, gdyż nie szło mu już z prostytutkami i musiał przeżywać poniżenia, tłumacząc się mrukliwie, że wypił za dużo wina, że źle się czuje po obiedzie czy że od kilku dni jest przeziębiony. Natomiast nie odwiedził ponownie Transito Soto, gdyż przeczuwał, że nosi ona w sobie groźbę nałogu. Czuł nienasyconą żądzę kipiącą w trzewiach, ogień, którego nie można było ugasić, pragnienie, którego Clarze nie udawało się zaspokoić nawet podczas najbardziej płomiennych i przewlekłych nocy. Zasypiał wyczerpany mając wrażenie, że serce pęknie mu za chwilę w piersi, lecz nawet w snach był świadomy, że leżącej obok kobiety tam nie ma, ponieważ przebywa w nieznanym wymiarze, którego on nigdy nie osiągnie. Czasami tracił cierpliwość i gniewnie potrząsał Clarą, wykrzykiwał najbardziej nikczemne żądania pod jej adresem, a na koniec płakał na jej łonie i prosił, by mu wybaczyła brutalne zachowanie. Clara rozumiała go, ale nie mogła zaradzić jego udręce. Nieumiarkowana miłość Estebana Trueby do Clary była niewątpliwie najpotężniejszym uczuciem w jego życiu, silniejszym nawet niż złość i duma, i w pół wieku później przeżywał ją z takim samym drżeniem i taką samą popędliwością. W łożu starca wzywał ją do końca swych dni.

Interwencje Feruli wzmagały udrękę, którą przeżywał Esteban. Każda przeszkoda, którą siostra wznosiła między nim a Clarą, wyprowadzała go z równowagi. Doszło do tego, że zaczął czuć niechęć do własnych dzieci, gdyż absorbowały matkę, zabrał Clarę w podróż, która miała być drugim miesiącem miodowym, do tych samych krajów, co za pierwszym razem, uciekał z nią na koniec tygodnia do hoteli, ale to wszystko na nic się nie zdało. Nabrał przekonania, że wszystkiemu winna jest Ferula, ponieważ posiała w Clarze zgubne zarodki, które nie pozwalają kochać go, i że za pomocą zakazanych pieszczot wykrada mu to, co powinno było należeć do niego jako męża. Siniał, gdy zaskoczył Ferulę kąpiącą Clarę, wydzierał jej z ręki gąbkę, odprawiał ją gwałtownymi gestami i wyciągał Clarę z wody, tak że niemal wyfruwała, dokuczał, zakazywał kąpieli z asystą, ponieważ w jej wieku jest to występek, i w końcu sam ją wycierał, okrywał szlafrokiem i zanosił do łóżka w poczuciu, że się ośmiesza. Gdy Ferula częstowała Clarę filiżanką czekolady, zabierał jej naczynie z ręki pod pretekstem, że traktuje jego żonę jak inwalidkę. Gdy całowała Clarę na dobranoc, odciągał ją jednym gestem, mówiąc, że nie wypada się obcałowywać; gdy wybierała Clarze najlepsze kąski z półmiska, wstawał rozeźlony od stołu. Z rodzeństwa zrobiło się dwoje zdeklarowanych rywali, mierzyli się nienawistnie wzrokiem, wynajdywali rozmaite kruczki, by się wzajemnie dyskredytować w oczach Clary, szpiegowali się i byli o siebie zazdrośni. Esteban zaniedbywał wieś i wszystkie sprawy, nawet krowy z importu powierzył Pedrowi Drugiemu Garcii, przestał wychodzić z przyjaciółmi, grać w golfa, pracować, by móc dzień i noc śledzić kroki siostry i stawać jej na drodze, ilekroć zbliżała się do Clary. Atmosfera w domu stała się duszna, gęsta i mroczna i nawet Nana chodziła jak duch. Jedyną osobą, która pozostawała zupełnie wyobcowana z tego, co się działo, była Clara - w swej dystrakcji i niewinności z niczego nie zdawała sobie sprawy.

Esteban i Ferula długo kryli się ze swoją wzajemną nienawiścią. Zaczęło się od źle maskowanego złego humoru i skłonności do obrazy w drobnych sprawach, ale

nienawiść narastała i wypełniła cały dom. Tego lata Esteban musiał wyjechać do Las Tres Marias, ponieważ akurat w chwili, gdy zaczynały się zbiory, Pedro Drugi Garcia spadł z konia i z rozbitą głową trafił do szpitala prowadzonego przez zakonnice. Gdy tylko zarządca wyzdrowiał, Esteban wrócił do stolicy bez uprzedzenia. Jechał pociągiem z okrutnym przeczuciem, ze skrytym pragnieniem, by doszło do jakiegoś dramatu, nie wiedząc, że dramat zaczął się w chwili, w której go zapragnął. Do miasta przybył o północy, ale poszedł z dworca do klubu, gdzie zagrał parę partyjek mariasza i zjadł kolację, lecz nie zdołał poskromić niepokoju i niecierpliwości, choć wcale nie wiedział, czego się spodziewa. Podczas kolacji nastąpił lekki wstrząs, żyrandole zakołysały się i jak zwykle przy takich okazjach zabrzęczały szkła, ale nikt nie podniósł wzroku znad talerzy, wszyscy jedli dalej, a muzycy grali nie uroniwszy ani nuty - tylko Esteban Trueba przestraszył się, jakby to był jakiś znak. Szybko skończył jedzenie, poprosił o rachunek i wyszedł.

Ferula, która na ogół panowała nad swoimi nerwami, nigdy nie przywykła do wstrząsów tektonicznych. Przestała bać się zjaw, które wywoływała Clara, i myszy na wsi, ale wstrząsy przerażały ją do szpiku kości i drżała długo po ich ustaniu. Tej nocy nie położyła się jeszcze i pobiegła do pokoju Clary, która wypiła napar z kwiatu lipowego i spała spokojnie. Szukając odrobiny towarzystwa i ciepła położyła się obok Clary, tak by jej nie obudzić; modliła się po cichu, by wstrząs nie zamienił się w trzęsienie ziemi. Tam zastał ją Esteban Trueba. Wszedł do domu dyskretnie, jak złodziej, nie zapalając światła udał się na piętro do sypialni Clary i niczym trąba powietrzna spadł na zaspane kobiety, które myślały, że jest w Las Tres Marias. Rzucił się na siostrę z taką samą wściekłością, z jaką rzuciłby się na kochanka żony, wywlókł ją gwałtownie z łóżka, pociągnął za sobą korytarzem, zepchnął po schodach i siłą zaprowadził do biblioteki, podczas gdy Clara, stojąc w drzwiach swojego pokoju, krzyczała nie rozumiejąc, co się dzieje. Gdy znalazł się sam na sam z Ferulą, wyładował na niej gniew nienasyconego męża i wykrzyczał słowa, których nigdy nie powinien był wypowiedzieć, wyzwał od chłopa w spódnicy i od ulicznicy, oskarżył o deprawowanie żony, o sprowadzanie jej staropanieńskimi pieszczotami na manowce, o czynienie z niej lunatyczki, osoby roztargnionej, niemowy i spirytystki za pomocą lesbijskich sztuczek, o zabawianie się z nią pod jego nieobecność, o plamienie dobrego imienia dzieci, honoru domu i świętej pamięci ich matki; powiedział, że ma już dość tylu nikczemnych występków i że wyrzuca ją z domu, że ma natychmiast odejść, że nie chce widzieć jej nigdy więcej i że zakazuje jej zbliżać się do żony i dzieci, że dopóki on będzie żył, nie zabraknie jej pieniędzy na godziwe życie, zgodnie z tym, co kiedyś obiecał, ale jeśli zobaczy, że ona kręci się koło jego rodziny, to ją zabije - niech więc wbije to sobie do głowy. Przysięgam na naszą matkę, że cię zabiję!

- Przeklinam cię, Estebanie! - zawołała Ferula. - Zawsze będziesz samotny, skurczy ci się dusza i ciało i umrzesz jak pies!

I w nocnej koszuli, nic ze sobą nie zabierając, opuściła na zawsze wielki dom narożny.

Następnego dnia Esteban Trueba udał się do ojca Antonio i opowiedział mu, co zaszło, nie wdając się w szczegóły. Kapłan słuchał go wyrozumiale, patrząc nań obojętnie jak ktoś, kto już słyszał tę opowieść.

- Co mógłbym dla ciebie uczynić, mój synu? - zapytał, gdy Esteban skończył.

- Chciałbym, żeby ojciec co miesiąc dostarczał mojej siostrze kopertę, którą mu wręczę. Nie chcę, by miała kłopoty materialne. Pozwolę sobie wyjaśnić, że nie czynię tego z miłości, lecz po to, by spełnić daną obietnicę.

Ojciec Antonio przyjął pierwszą kopertę z westchnieniem i chciał pobłogosławić Estebana, lecz ten zakręcił się już na pięcie i wyszedł. W ogóle nie wytłumaczył Clarze, co zaszło między nim a siostrą. Oświadczył, że wyrzucił ją z domu, że zabrania wspominać o niej w jego obecności, i zasugerował, że jeśli żona ma odrobinę przyzwoitości, nie powinna również wspominać o niej za jego plecami. Kazał usunąć odzież Ferule i wszystkie przedmioty, które do niej należały, i zachowywał się tak, jakby umarła.

Clara zrozumiała, że zadawanie mu pytań byłoby bezcelowe. Wzięła ze stolika z przyborami do szycia wahadełko, które służyło jej do porozumiewania się z duchami i którego używała jako narzędzia koncentracji. Rozłożyła na podłodze plan miasta i trzymała wahadełko na wysokości pół metra w nadziei, że oscylacje wskażą jej adres szwagierki, ale po próbach, które trwały całe popołudnie, uświadomiła sobie, że sposób ten nie przyniesie rezultatu, jeśli Ferula nie ma stałego miejsca zamieszkania. Wobec fiaska poczynań z wahadełkiem wyszła z domu i pojechała na spacer taksówką licząc, że instynkt posłuży jej za przewodnika, ale i to okazało się bezskuteczne. Zasięgnęła rady stolika na trzech nogach, jednakże nie pojawił się żaden duch-przewodnik, który przez miejskie wertepy mógłby ją zaprowadzić do Feruli, wzywała ją myślami i nie uzyskiwała odpowiedzi; nie oświeciły jej również karty do gry w taroka. Postanowiła wówczas uciec się do tradycyjnych metod i zaczęła rozpytywać przyjaciółki, dostawców i w ogóle wszystkich, którzy obcowali z Ferulą, lecz nikt jej nie widział. Poszukiwania zawiodły ją w końcu do ojca Antonio.

- Niech pani nie szuka jej dłużej - rzekł kapłan. - Ona nie chce widzieć się z panią.

Clara zrozumiała, że to dlatego zawiodły wszystkie niezawodne metody, które zastosowała.

- Siostry Mora mają rację - powiedziała sobie. - Nie można znaleźć kogoś, kto nie chce, by go znaleziono.

Interesy Estebana Trueby zaczęły prosperować jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Był zadowolony z życia. Był bogaty, jak to sobie kiedyś postanowił. Uzyskał koncesje na kolejne kopalnie, eksportował owoce, założył przedsiębiorstwo budowlane, a posiadłość Las Tres Marias, która bardzo się rozrosła, stała się najlepszym gospodarstwem w okolicy. Nie ugodził w nią kryzys gospodarczy, który wstrząsnął całym krajem. W północnych prowincjach bankructwo producentów saletry wtrąciło w nędzę tysiące robotników. Wygłodniałe gromady bezrobotnych, wraz z kobietami, dziećmi i starcami, szukając po drodze pracy ściągnęły pod stolicę i powoli tworzyły wokół miasta kordon nędzy, lokując się byle jak w budach skleconych z desek i kartonu, pośród śmieci i ogólnego zaniedbania. Włóczyły się po ulicach prosząc, by dano im szansę popracować, ale nie było pracy dla wszystkich i stopniowo nieokrzesani robotnicy, wychudzeni z głodu, skuleni z zimna, obdarci, zrozpaczeni, przestali prosić o pracę i zaczęli po prostu prosić o jałmużnę. Pełno było żebraków, a następnie złodziei. Mrozy nigdy nie były tak straszne jak owego roku. W stolicy leżał śnieg i to niezwykłe wydarzenie długo utrzymywało się na pierwszych stronach gazet, celebrowane jak radosna wiadomość, podczas gdy w dzielnicach

peryferyjnych znajdowano rano sine, zamarznięte dzieci. Zasobów instytucji dobroczynnych nie starczało dla wszystkich potrzebujących.

Był to rok epidemii tyfusu plamistego. Zaczęła się ona tak jak inne katastrofy spadające na ubogich i rychło osiągnęła rozmiary kary boskiej. Wybuchła w dzielnicach nędzarzy z winy zimy, niedożywienia, brudnej wody w kanałach. Połączyła się z bezrobociem i rozszerzyła na wszystkie strony. Szpitale nie radziły sobie. Chorzy wałęsali się po ulicach z zamglonymi oczyma, łapali na sobie wszy i rzucali je na ludzi zdrowych. Epidemia rozlała się, wkroczyła do wszystkich ognisk domowych, zaraziła szkoły i fabryki i nikt nie mógł czuć się bezpieczny. Wszyscy żyli w strachu, śledząc objawy, które zapowiadały straszną chorobę. Zarażeni zaczynali trząść się z grobowego zimna w kościach i szybko popadali w otępienie. Zachowywali się jak niedorozwinięci umysłowo, słabli z gorączki pokryci plamami, srali krwią, majaczyli o ogniu i topieli, padali na ziemię, kości mieli jak z waty, nogi jak szmaty, a w ustach smak żółci, ciała w ranach, czerwona krosta koło niebieskiej, żółtej i czarnej, wymiotowali nawet własnymi flakami i błagali Boga, żeby się zlitował i wreszcie pozwolił im umrzeć, bo już nie mogą wytrzymać, pęka im głowa i dusza uchodzi z nich w gównie i lęku.

Esteban zaproponował, że zabierze całą rodzinę na wieś, aby ochronić ją przed zarazą, lecz Clara nie chciała o tym słyszeć. Była bardzo zajęta udzielaniem pomocy ubogim, a zajęcie to nie miało początku ani końca. Wychodziła bardzo wcześnie i czasami wracała o północy. Opróżniła szafy w domu, pozabierała odzież dzieciom, pościągała kapy z łóżek, powynosiła surduty męża. Zabierała żywność ze spiżarni i porozumiała się z Pedrem Drugim Garcią, który wysyłał z Las Tres Marias sery, jaja, suszone mięso, owoce, kury, ona zaś rozdzielała to wszystko między potrzebujących. Schudła i wyglądała mizernie. Znów zaczęła odbywać po nocach lunatyczne wędrówki.

Nieobecność Feruli odczuwano w domu jak kataklizm i nawet Nana, która zawsze pragnęła jej odejścia, była wstrząśnięta. Gdy nadeszła wiosna i Clara mogła trochę odpocząć, wzmogła się jej skłonność do uciekania od rzeczywistości i zatracania się w marzeniach. Choć nie mogła już liczyć na bezbłędną organizację, którą zapewniała szwagierka i która pozwalała sprostać chaosowi panującemu w wielkim domu narożnym, zupełnie nie troszczyła się o sprawy domowe. Wszystko przekazała Nanie i innym służącym i pogrążyła się w świecie zjaw i eksperymentów psychologicznych. Jej pamiętniki stały się zagmatwane, pismo straciło klasztorną elegancję, która zawsze je cechowała, i zwyrodniało w bazgraninę

- jedne litery były tak maleńkie, że nie można było ich odczytać, a inne tak wielkie, że trzy słowa zajmowały całą stronę.

W następnych latach wokół Clary i trzech sióstr Mora skupiła się grupa wyznawców Gurdiewa, różokrzyżowców i spirytystów oraz zwiędła cyganeria; w ciągu dnia przyrządzali w domu trzy posiłki i spędzali czas na nie cierpiących zwłoki naradach z duchami wokół stolika na trzech nogach oraz lekturze wierszy kolejnego nawiedzonego poety, który właśnie wylądował na łonie Clary. Esteban zezwalał na ten najazd cudaków, ponieważ dawno zdał sobie sprawę, że wtrącanie się do stylu życia żony jest bezcelowe. Uważał jednak, że przynajmniej chłopców należy trzymać z dala od magii, toteż Jaime i Nicolas poszli do wiktoriańskiej szkoły angielskiej z internatem, gdzie każdy pretekst był dobry, by spuścić im spodnie i zbić rózgą po

tyłku, co przytrafiało się szczególnie często Jaime, który kpił z brytyjskiej rodziny królewskiej i w wieku lat dwunastu okazywał zainteresowanie pismami Marksa, Żyda wywołującego rewolucje na całym świecie. Nicolas odziedziczył po bracie babki Marcosie ducha przygody, a po matce skłonność do układania horoskopów i rozszyfrowywania przyszłości, lecz to nie stanowiło poważnego przewinienia w świetle sztywnych zasad wychowawczych panujących w szkole, a tylko dziwactwo, więc karano go o wiele rzadziej.

Przypadek Blanki był odmienny, ponieważ ojciec nie wtrącał się do jej wychowania. Uważał, że jej przeznaczeniem jest wyjście za mąż i brylowanie w towarzystwie, gdzie zdolność porozumiewania się ze zmarłymi, o ile pozostawała na poziomie lekkiej rozrywki, mogła uchodzić za atrakcję. Twierdził, że magia, podobnie jak religia i kuchnia, jest rzeczą naturalną u kobiet i być może dlatego czuł sympatię do trzech sióstr Mora, natomiast spirytystów płci męskiej nie cierpiał tak samo jak księży. Clara zaś chodziła wszędzie z córką uczepioną spódnicy, pozwalała jej uczestniczyć w piątkowych sesjach i wychowywała w poufałości z duchami, członkami tajnych związków i najnędzniejszymi artystami, nad którymi roztaczała mecenat. Podobnie jak czyniła to matka w czasach, gdy ona była niemową, zabierała Blankę w odwiedziny do ubogich, zanosząc im prezenty i słowa pocieszenia.

- To służy ukojeniu naszego sumienia, córko - tłumaczyła Blance - ale nie pomaga biednym. Oni nie potrzebują miłosierdzia, lecz sprawiedliwości.

Na tym właśnie tle miała najostrzejsze dyskusje z Estebanem, który był innego zdania.

- Sprawiedliwości! Czy jest sprawiedliwe, żeby wszyscy mieli tyle samo? Leniwi tyle samo co pracujący? Głupi tyle samo co inteligentni? Tego nie ma nawet wśród zwierząt! To nie problem bogatych i biednych, ale silnych i słabych. Zgadzam się, że wszyscy powinniśmy mieć takie same szansę, ale ci ludzie nie czynią żadnego wysiłku. Bardzo łatwo wyciągnąć rękę i prosić o jałmużnę! Ja wierzę w wysiłek i w nagrodę. Dzięki tej filozofii osiągnąłem to, co mam. Nigdy nie prosiłem nikogo o łaskę i nie popełniłem żadnej nieuczciwości, co świadczy, że każdy może tak postępować. Moim przeznaczeniem było zostać biednym, nieszczęsnym skrybą u notariusza. Dlatego nie zgodzę się na głoszenie idei bolszewickich w moim własnym domu. Uprawiajcie sobie dobroczynność w slumsach, jeśli taka wasza wola! To bardzo dobra rzecz, dobra dla wychowania panienek. Lecz nie przychodźcie mi tu z tymi samymi idiotyzmami, które rozpowiada Pedro Trzeci Garcia, bo tego nie zniosę!

To prawda, w Las Tres Marias Pedro Trzeci Garcia mówił o sprawiedliwości. Jako jedyny miał odwagę rzucać wyzwanie dziedzicowi, mimo lania, które dawał mu ojciec, Pedro Drugi Garcia, ilekroć przyłapał go na tym. Od bardzo młodych lat chłopiec ten jeździł bez pozwolenia do osady i pożyczał tam książki, czytał gazety i rozmawiał z nauczycielem, płomiennym komunistą, którego w wiele lat później zabito strzałem między oczy. Urządzał też nocne eskapady do baru w San Lucas, gdzie spotykał się z kilkoma związkowcami, którzy mieli manię przebudowywania świata między jednym a drugim łykiem piwa, lub z ogromnym i wspaniałym ojcem Jose Dulce Marią, hiszpańskim kapłanem, mającym głowę pełną rewolucyjnych idei, za które Towarzystwo Jezusowe zesłało go do tej zabitej deskami okolicy, co zresztą nie odwiodło go od przekształcania biblijnych przypowieści w socjalistyczne pamflety. W dniu, w którym Esteban Trueba odkrył, że syn zarządcy kolportuje wśród parobków

literaturę wywrotową, wezwał go do gabinetu i w obecności ojca wychłostał biczem z wężowej skóry.

- To pierwsze ostrzeżenie, gówniarzu! - rzekł nie podnosząc głosu i patrząc nań z ogniem w oczach. - Następnym razem, jeśli przyłapię cię na molestowaniu ludzi, wtrącę do więzienia. W mojej posiadłości nie chcę wichrzycieli, bo ja tu rządzę i mam prawo otaczać się ludźmi, którzy przypadają mi do gustu. Ty mi się nie podobasz, więc już wiesz co i jak. Toleruję cię przez wzgląd na twojego ojca, który służy mi lojalnie od wielu lat, ale uważaj, bo możesz źle skończyć. Wynocha!

Pedro Trzeci Garcia był podobny do ojca, ciemnoskóry, o ostrych rysach jak wyrzeźbionych w kamieniu, wielkich smutnych oczach i czarnych sztywnych włosach ściętych tak, że przypominały szczotkę. Miał tylko dwie miłości: własnego ojca i córkę dziedzica; tę pokochał od dnia, w którym usnęli nadzy pod stołem w jadalni, we wczesnym dzieciństwie. Blanca również nie uniknęła tego, co było jej przeznaczone. Ilekroć wyjeżdżała na wakacje na wieś i zjawiała się w Las Tres Marias spowita w kurzawę, którą wznosiły wozy wyładowane ogromnymi bagażami, czuła, że serce bije jej z niecierpliwości i trwogi jak afrykański bęben. Pierwsza wyskakiwała z pojazdu i biegła do domu, i zawsze zastawała Pedra Trzeciego Garcię w tym samym miejscu, w którym ujrzeli się po raz pierwszy, stojącego na progu, na wpół ukrytego w cieniu drzwi, nieśmiałego i posępnego, w wyświechtanych spodniach, bosego, oczyma starca wypatrującego jej na drodze. Rzucali się ku sobie, całowali się, śmiali, szturchali czule i padali na ziemię ciągnąc się za włosy i wrzeszcząc z radości.

- Stój, mała! Zostaw tego oberwańca! - piszczała Nana starając się ich rozdzielić.

- Niech Nana da im spokój, to jeszcze dzieci i one się tak lubią - mówiła Clara, która więcej wiedziała.

Uciekali, chowali się i opowiadali sobie o wszystkim, co nagromadziło się w ich pamięci w ciągu wielu miesięcy rozłąki. Pedro, zawstydzony, wręczał jej wyrzeźbione w drzewie zwierzątka, które zrobił dla niej, a Blanca dawała mu prezenty, które przygotowała dla niego: scyzoryk, który otwierał się jak kwiat, mały magnes, który w sposób magiczny wyciągał z podłogi zardzewiałe gwoździe. Gdy pewnego razu przyjechała z częścią magicznych książek, które wyjęła z kufra wuja Marcosa, on miał około dziesięciu lat i ciągle jeszcze czytał z trudem, ale ciekawość i gorące pragnienie poznania uczyniły to, czego nauczycielka nie mogła osiągnąć za pomocą rózgi. Spędzili wakacje na czytaniu, leżąc w szuwarach nad rzeką, pod sosnami w lesie, pośród kłosów pszenicy, dyskutując o cnotach Sandokana i Robin Hooda, pechu Czarnego Pirata, prawdziwej i budującej historii Skarbu Młodości, przewrotnym znaczeniu zakazanych słów, których szukali w słowniku Królewskiej Akademii Języka Hiszpańskiego, rycinach systemu sercowo-naczyniowego, na których widniał jakiś facet bez skóry, ze wszystkimi żyłami i sercem na wierzchu, ale w majtkach. Po paru tygodniach chłopiec zaczął zachłannie czytać. Wkroczyli w szeroki i głęboki świat niesamowitych zdarzeń, skrzatów, czarownic, rozbitków zjadających się wzajemnie, tygrysów dających się tresować z miłości, fascynujących wynalazków, ciekawostek geograficznych i zoologicznych, krajów orientalnych, w których duchy siedzą w butelkach, smoków w jamach i księżniczek uwięzionych w wieżach. Często odwiedzali starego Pedra Garcię, któremu czas przytępił zmysły. Powoli ślepł, błękitna błona pokrywała mu źrenice, „to chmury, które wchodzą mi na wzrok”, mawiał. Był bardzo wdzięczny za wizyty Blanki i Pedra Trzeciego, który był

jego wnukiem, o czym starzec już nie pamiętał. Słuchał baśni, które oni wybierali z magicznych książek i musieli mu opowiadać krzycząc do ucha, gdyż mawiał, że wiatr wchodzi mu uszami i dlatego jest głuchy. W zamian uczył ich, jak uodpornić się na ukłucia złośliwych insektów, i demonstrował skuteczność swojego antidotum, kładąc sobie na ramieniu żywego skorpiona. Uczył ich też, jak szukać wody. Należało trzymać dwiema rękami suchy kij i iść dotykając nim ziemi, zachowywać milczenie i myśleć o wodzie i pragnieniu, które ma kij, aż nagle, czując wilgoć, zaczynał drżeć. W tym miejscu należy wykopać studnię, mówił starzec, ale wyjaśniał, że to nie jest metoda, której on używał, gdy trzeba było znaleźć wodę w Las Tres Marias, ponieważ jemu kij nie był do tego potrzebny. Jego kości miały tak wielkie pragnienie, że gdy trafiał na wodę, choćby znajdowała się głęboko pod ziemią, zawiadamiał go o tym własny szkielet. Pokazywał im polne trawy i kazał je wąchać, smakować, pieścić, dzięki czemu poznawali ich naturalny zapach, smak, budowę i mogli je identyfikować z punktu widzenia własności leczniczych: jedne uspokajały umysł, inne wypędzały diabła, wyostrzały wzrok, wzmacniały brzuch, pobudzały krążenie krwi. W tej dziedzinie jego wiedza była tak ogromna, że po rady przychodził do niego lekarz ze szpitala prowadzonego przez zakonnice. Jednakże cała ta wiedza na nic się nie zdała, gdy trzeba było wyleczyć jego córkę Panchę z gorączki wahającej połączonej z bólami kurczowymi, która wysłała ją na tamten świat. Dał jej do zjedzenia nawóz krowi, a gdy to nie pomogło, nawóz koński, zawinął ją w koce, by wypociła dolegliwość, aż zostały z niej same kości, natarł całe ciało wódką z prochem, ale nie odniosło to skutku; Pancha miała bez końca biegunkę, która odwadniała jej ciało i powodowała nienasycone pragnienie. Pedro Garcia uznał się za pokonanego i poprosił dziedzica o pozwolenie na przewiezienie jej wozem dwukołowym do osady. Blanca i Pedro Trzeci pojechali razem z nim. W szpitalu prowadzonym przez zakonnice lekarz zbadał dokładnie Panchę i powiedział staremu, że nie ma dla niej ratunku, że gdyby przywiózł ją wcześniej i nie wywołał u niej potów, to mógłby coś dla niej uczynić, ale teraz jej ciało nie potrafi już zatrzymać żadnego płynu i Pancha jest jak roślina z wyschniętymi korzeniami. Pedro Garcia obraził się i nie chciał uznać swojego fiaska nawet wtedy, gdy razem z dwojgiem przestraszonych dzieci przywiózł do domu zwłoki córki zawinięte w koc i wyładował je na patio w Las Tres Marias, zrzędząc na ignorancję doktora. Pochowano ją na eksponowanym miejscu na cmentarzyku koło opuszczonego kościoła, u stóp wulkanu, ponieważ w pewnej mierze była kobietą dziedzica - urodziła mu jedynego noszącego jego imię syna, który jednak nigdy nie nosił jego nazwiska, oraz miała wnuka, dziwnego osobnika, który nazywał się Esteban Garcia i w dziejach rodziny Truebów miał odegrać straszną rolę.

Pewnego dnia stary Pedro Garcia opowiedział Blance i Pedrowi Trzeciemu baśń o kurach, które sprzymierzyły się przeciwko lisowi, co noc wpadającemu do kurnika i pożerającemu jaja i kurczęta. Kury uznały, że mają dość wyczynów lisa, zorganizowały się i zaczaiły, i gdy wszedł do kurnika, zagrodziły mu drogę, otoczyły, rzuciły się nań i dziobały go tak długo, że niemal wyzionął ducha.

- Widziano wtedy, jak lis uciekał z podwiniętym ogonem ścigany przez kury - tymi słowami starzec zakończył opowieść.

Blanca uśmiała się z tej opowieści i powiedziała, że to niemożliwe, ponieważ kury rodzą się głupie i słabe, a lisy sprytne i silne, lecz Pedro Trzeci się nie śmiał. Przez całe popołudnie był zamyślony, przetrawiał opowieść o lisie i kurach i być może tego właśnie dnia poczuł się mężczyzną.

KOCHANKOWIE

Dzieciństwo Blanki upłynęło bez wielkich wstrząsów. Gorące miesiące letnie spędzała w Las Tres Marias, gdzie odkrywała siłę narastającego w niej uczucia, a pozostałe - podobnie jak inne dziewczynki, które były w jej wieku i pochodziły z tego samego środowiska - w stolicy, gdzie panowała rutyna życia codziennego, choć obecność Clary wnosiła do niego nieco ekstrawagancji. Codziennie rano zjawiała się Nana ze śniadaniem, wyrywała ją ze snu i sprawdzała, czy mundurek jest w porządku, naciągała jej skarpetki, zakładała kapelusz, rękawiczki i chustkę, układała książki w tornistrze, przeplatając te wszystkie czynności szeptem modlitw za dusze zmarłych i głośnymi zaleceniami dla Blanki, aby nie dała się otumanić zakonnicom.

- Te kobiety są zupełnie zdeprawowane - ostrzegała - bo wybierają najładniejsze i najbardziej inteligentne uczennice z dobrych rodzin, posyłają je do klasztoru i golą głowy biednym nowicjuszkom, które przez całe życie są skazane na pieczenie ciast i opiekowanie się starcami.

Kierowca zawoził dziewczynkę do szkoły, gdzie dzień zaczynał się od mszy i obowiązkowej komunii. Blanca, klęcząc w swojej ławce, wdychała intensywny zapach kadzidła i lilii maryjnych i przeżywała męki, gdyż ogarniało ją obrzydzenie, miała poczucie winy i nudziła się. W szkole była to jedyna rzecz, która nie przypadała jej do gustu. Lubiła wysokie kamienne korytarze, nieskalaną czystość marmurowych schodów, białe gołe mury, Chrystusa z żelaza, który pilnował wejścia. Była stworzeniem romantycznym i sentymentalnym, lubiła samotność; miała niewiele przyjaciółek, potrafiła wzruszać się do łez, gdy w ogrodzie kwitły róże lub gdy wdychała lekki zapach ścierek i mydła, który wionął od zakonnic pochylonych przy pracy, czy gdy umyślnie zwlekała z wyjściem, aby wczuć się w smętną ciszę pustych auli. Uchodziła za nieśmiałą i melancholijną. Śmiała się i radowała tylko na wsi, gdy pozłocona przez słońce, z brzuchem pełnym ciepłych owoców, biegała z Pedrem Trzecim po polach. Matka mówiła, że to jest prawdziwa Blanca, a ta druga, z miasta, to Blanca, która zapadła w zimowy sen.

Z powodu nieustannego zamieszania, które panowało w wielkim domu narożnym, nikt poza Naną nie zdawał sobie sprawy, że Blanca staje się kobietą. Nagle weszła w wiek młodzieńczy. Odziedziczyła po Truebach krew hiszpańską i arabską, pański wygląd, wyniosły grymas, oliwkową cerę i oczy - ciemne od śródziemnomorskich genów, lecz po matce dość miękkie w wyrazie; po niej bowiem miała w sobie słodycz, która zawsze była obca Truebom. Była dzieckiem spokojnym, zajmowała się sobą, uczyła, bawiła się lalkami i w przeciwieństwie do matki nie wykazywała w najmniejszym stopniu naturalnej skłonności do spirytyzmu, a w przeciwieństwie do ojca - skłonności do wybuchów gniewu. W rodzinie mówiło się żartem, że od kilku pokoleń jest pierwszą normalną osobą; wydawała się naprawdę uosobieniem równowagi i pogody ducha. W wieku trzynastu lat zaczęły rozwijać się jej piersi, stała się cienka w talii, zeszczuplała i wyciągnęła się jak roślina na żyznej glebie. Nana zebrała jej włosy w kok, poszła z nią kupić pierwszy gorset, pierwszą parę jedwabnych pończoch, pierwszą sukienkę i kolekcję ręczniczków, które miały jej służyć przy - jak to nazywała - demonstracji. Tymczasem matka nadal kazała krzesłom tańczyć po całym domu, grając Chopina na zamkniętym pianinie i deklamując przepiękne wiersze bez rymów, treści i logiki, pisane przez młodego poetę, którego przygarnęła do domu i o którym wszędzie zaczynało się mówić. Nie zauważano natomiast zmian, jakie zachodziły w córce, nie dostrzegano, że szkolny

mundurek pęka w szwach i że buzia okrągła jak jabłuszko zamieniła się w twarz kobiety, bo Clara bardziej zwracała uwagę na aurę i fluidy niż na kilogramy czy centymetry. Pewnego dnia zobaczyła, jak córka idzie z wyjściową sukienką do krawca, i zdziwiła się, że ta panienka, wysoka brunetka, to jej mała Blanca. Wyściskała ją, wycałowała i uprzedziła, że wkrótce będzie miała menstruację.

- Usiądź, bo chcę ci wytłumaczyć, co to takiego - powiedziała Clara.

- Nie trudź się, mamo, już wkrótce będzie rok, jak mam to. co miesiąc - roześmiała się Blanca.

W okresie, gdy dziewczyna dorastała, stosunki między nimi nie ulegały większym zmianom, bo były oparte na 1 solidnych zasadach całkowitej akceptacji wzajemnej i wspólnej umiejętności pokpiwania z niemal wszystkiego w życiu.

Tego roku lato nadeszło wcześnie, suche i upalne, i okryło miasto złowieszczym odblaskiem, więc podróż do Las Tres Marias przyspieszono o parę tygodni. Jak co roku, Blanca czekała w udręce na chwilę, w której ujrzy Pedra Trzeciego. Jak co roku, pierwszą rzeczą, którą uczyniła, wysiadając z samochodu, było odszukanie go wzrokiem tam, gdzie zawsze na nią czekał. Dostrzegła jego cień na progu drzwi i wyskoczywszy z samochodu pospieszyła na wymarzone od wielu miesięcy spotkanie, lecz ku swojemu zaskoczeniu ujrzała, że chłopak odwraca się i ucieka.

Przez całe popołudnie Blanca szukała go wszędzie tam, gdzie się dawniej spotykali, pytała o niego, nawoływała, poszła do domu starego Pedra Garcii, aż w końcu, gdy zapadła noc, dała za wygraną i nie zjadłszy kolacji położyła się spać. W ogromnym łóżku z brązu, obolała i zdumiona, wtuliła twarz w poduszkę i niepocieszona płakała. Nana przyniosła jej szklankę mleka z miodem i od razu domyśliła się przyczyny udręki.

- Dobrze ci tak! - rzekła, uśmiechając się krzywo. - Jesteś już za duża, by bawić się z tym zapchlonym młokosem!

W pół godziny później weszła matka, aby ucałować Blankę na dobranoc, i zastała ją wstrząsaną ostatnim szlochem po melodramatycznym płaczu. Na chwilę Clara przestała być roztargnionym aniołem i zniżyła się do poziomu zwykłych śmiertelników, którzy w wieku czternastu lat przeżywają cierpienia pierwszej miłości. Chciała zagadnąć córkę, lecz ta była zbyt dumna, a może już za dorosła, by się zwierzać, więc Clara usiadła bez słowa na łóżku i pieściła ją, dopóki się nie uspokoiła.

Tej nocy Blanca źle spała i obudziła się o świcie otoczona cieniami obszernego pokoju. Leżała w łóżku patrząc w kasetonowy sufit do chwili, w której usłyszała pianie koguta; wtedy wstała, rozsunęła zasłony i wpuściła łagodny brzask poranny i pierwsze odgłosy dnia. Podeszła do lustra w szafie i przyjrzała się sobie uważnie. Zdjęła koszulę i po raz pierwszy obejrzała szczegółowo swoje ciało; zrozumiała, że to te wszystkie zmiany były przyczyną ucieczki przyjaciela. Uśmiechnęła się nowym i delikatnym uśmiechem kobiety. Założyła stare ubranie, które nosiła zeszłego lata, prawie już na nią nie pasujące, okryła się płaszczem i wyszła na palcach. Na zewnątrz pola budziły się z nocnego snu, a pierwsze promienie słońca jak cięcia szabli ścinały szczyty gór, ogrzewając ziemię i odparowując rosę; lekka biała piana

zamazywała kontury rzeczy i zamieniała pejzaż w widok z marzenia sennego. Blanca skierowała się ku rzece. Wszędzie panował jeszcze spokój, jej stopy rozgniatały opadłe liście i suche gałęzie, które chrzęściły lekko; z całej tej rozległej, uśpionej przestrzeni nie dochodził żaden inny dźwięk. Odnosiła wrażenie, że ledwie widoczne zagajniki topolowe, złociste łany pszenicy i odległe fioletowe wzgórza, które zacierały się na tle porannego, niemal przezroczystego nieba, tkwią w jej pamięci od bardzo dawna, że widziała je kiedyś dokładnie tak samo jak teraz i że przeżyła już tę chwilę. W nocy drobna mżawka zmoczyła ziemię i drzewa. Ubranie przesiąkło trochę wilgocią, a buty były zimne. Zapach mokrej ziemi, zgniłych liści, próchnicy, który wdychała, powodował nie znane uczucie rozkoszy.

Blanca poszła aż nad samą rzekę i ujrzała przyjaciela z dzieciństwa, który siedział tam, gdzie tyle razy wyznaczali sobie spotkania. Tego roku Pedro Trzeci nie urósł jak ona, lecz był tym samym co zawsze, chudym, ale brzuchatym śniadym chłopcem z mądrym, starczym wyrazem czarnych oczu. Na jej widok wstał, a wtedy stwierdziła, że jest wyższa od niego o pół głowy. Popatrzyli na siebie speszeni, czując po raz pierwszy, że są dwojgiem niemal obcych sobie ludzi. Przez chwilę, która zdawała się trwać w nieskończoność, stali nieruchomo, przyzwyczajając się do zmian, które zaszły w nich, i do nowego dystansu, który dzielił ich od siebie, lecz nagle zaćwierkał wróbel i wszystko stało się takie samo jak zeszłego lata. Zamienili się w dwoje dzieci, które biegają, obejmują się i śmieją, padają na ziemię, tarzają się, rozbijają o otoczaki, szepcząc niezmordowanie swoje imiona, szczęśliwe, że znów są razem. W końcu się uspokoili. Miała we włosach pełno suchych liści, które on wyjmował jeden po drugim.

- Chodź, chcę ci coś pokazać - rzekł Pedro Trzeci.

Wziął ją za rękę. Szli rozkoszując się świtem świata, powłócząc nogami w błocie, zbierając młode pędy i ssąc ich soki, patrząc sobie w oczy i śmiejąc się bez słów, aż dotarli na odległy ugór. Słońce wyjrzało znad wulkanu, lecz dzień nie nastał jeszcze w pełni i ziemia ziewała. Pedro dał znak dziewczynie, żeby przypadła do ziemi i była cicho. Podpełzli pod krzaki, okrążyli je i wówczas Blanca ujrzała cudowną bułankę, która rodziła samotna na wzgórzu. Dzieci, nieruchome, starając się wstrzymać oddech, widziały, jak kobyłka dyszy z wysiłku, aż wreszcie ukazała się głowa źrebaka, a po długim czasie reszta. Zwierzątko upadło na trawę i matka zaczęła je lizać, tak że wkrótce było czyste i błyszczało jak natarte woskiem drewno. Zachęcała je pyskiem, żeby spróbowało wstać. Źrebak usiłował się podnieść, lecz uginały się pod nim słabe nogi nowo narodzonej istoty, więc pozostał w pozycji leżącej, patrząc na matkę bezradnie, podczas gdy ona rżała pozdrawiając słońce poranka. Blanca poczuła wybuch szczęścia w piersi i łzy trysnęły jej z oczu.

- Gdy dorosnę, wyjdę za ciebie i będziemy tu mieszkać, w Las Tres Marias - powiedziała szeptem.

Pedro popatrzył na nią z wyrazem twarzy smutnego starca i pokręcił głową. Był o wiele bardziej dziecinny od niej, lecz znał już swoje miejsce na świecie. Wiedział też, że będzie kochał tę dziewczynkę przez całe życie, że ten poranek pozostanie w jego pamięci i że będzie to ostatnia rzecz, która stanie mu przed oczyma w chwili śmierci.

Przez całe lato oscylowali między dzieciństwem, które jeszcze ich powstrzymywało, a budzącą się męskością i kobiecością. Raz biegali jak niedorostki, rozganiając kury i

strasząc krowy, opijali się ciepłym mlekiem prosto z udoju, po którym pozostawały im wąsy z piany, podkradali chleb dopiero co wyjęty z pieca, wdrapywali się na drzewa i klecili budki z gałęzi. Innymi razy chowali się w gęstwinach leśnych, układali posłania z liści i zabawiali w męża i żonę, wymieniając pieszczoty, dopóki starczało im sił. Nie zatracili niewinności, więc tak jak dawniej z rozbrajającą swobodą zrzucali z siebie ubrania i kąpali się nago w rzece, nurkując w zimnej wodzie i pozwalając, by prąd ściągał ich ku gładkim kamieniom dna. Były jednak sprawy, którymi nie dzielili się jak dawniej. Nauczyli się wstydzić. Nie rywalizowali, kto zrobi większą kałużę moczu, a Blanca nie powiedziała mu o ciemnej cieczy, która raz na miesiąc plamiła jej majtki. Choć nikt nie powiedział im o tym, zdali sobie sprawę, że nie mogą spoufalać się zanadto w obecności innych osób. Gdy Blanca ubierała się jak panienka i siadywała po południu na tarasie, popijając z rodziną lemoniadę, Pedro Trzeci nie podchodził, lecz obserwował ją z daleka. Zaczęli kryć się ze swoimi zabawami. Przestali trzymać się za ręce na oczach dorosłych i udawali, że się nie widzą, by nie zwracać na siebie uwagi. Nana odetchnęła z ulgą, ponieważ była teraz spokojniejsza, ale Clara zaczęła przyglądać im się baczniej.

Wakacje dobiegły końca i Truebowie wrócili do stolicy objuczeni słoikami konfitur i kompotów, skrzyniami owoców, serami, peklowanym mięsem kurzym i króliczym, koszami jaj. Gdy układali wszystko w samochodach, które miały zawieźć ich na stację, Blanca i Pedro Trzeci schowali się w spichlerzu, żeby się pożegnać. W ciągu tych trzech miesięcy pokochali się z żarliwą namiętnością, która doprowadzała ich do szaleństwa przez całe życie. Z biegiem czasu miłość ta stała się odporniejsza i trwalsza, lecz już wówczas osiągnęła głębię i stałość, które cechowały ją później. Na kupce ziarna, wdychając aromatyczną kurzawkę spichlerza w złocistym i rozproszonym świetle poranka, które przenikało przez szpary w deskach, całowali się wszędzie, lizali, kąsali, ssali, szlochali i spijali swoje łzy, przysięgali sobie wierność po wsze czasy i ustalali sekretny kod, który miał im służyć do komunikowania się w ciągu długich miesięcy rozstania.

Wszyscy, którzy byli świadkami tego wydarzenia, potwierdzają, że Ferula zjawiła się koło ósmej wieczorem, choć nic nie zapowiadało jej przybycia. Miała na sobie wykrochmaloną bluzkę, pęk kluczy u pasa i staropanieński kok na głowie; ujrzeli ją taką, jaką zawsze widywali, gdy mieszkała z nimi. Weszła drzwiami kuchennymi w chwili, gdy Esteban zaczynał kroić pieczeń, i poznali ją natychmiast, chociaż nie widzieli jej od sześciu lat; była bardzo blada i bardzo się postarzała. Jak każdej soboty, bliźniacy Jaime i Nicolas wyszli z internatu, by spędzić koniec tygodnia z rodziną, toteż i oni siedzieli teraz przy stole. Ich świadectwo jest bardzo istotne, bo jako jedyni w rodzinie żyli z dala od stolika na trzech nogach, chronieni przed magią i spirytyzmem przez surowe obyczaje angielskiej szkoły, do której uczęszczali. W jadalni najpierw oziębiło się nagle i Clara kazała zamknąć okna, ponieważ myślała, że to prąd powietrza. Potem usłyszeli brzęk kluczy, prawie natychmiast otworzyły się drzwi i stanęła w nich Ferula, milcząca i nieobecna; nastąpiło to w tej samej chwili, w której Nana wchodziła z kuchni z półmiskiem sałaty. Esteban Trueba zastygł z nożem i widelcem w powietrzu, sparaliżowany niespodziewanym wydarzeniem, a trójka dzieci krzyknęła niemal jednogłośnie: ciotka Ferula! Blanca zdążyła podnieść się, gdyż chciała wyjść jej naprzeciw, lecz Clara, która siedziała obok, powstrzymała ją chwytając za ramię. Choć w wyglądzie szwagierki nic nie zdradzało jej prawdziwego stanu, Clara - jako jedyna - pojęła od razu, co się dzieje, a to ze względu na długotrwałe obycie ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. Ferula zatrzymała się o metr od stołu, popatrzyła na wszystkich pustym i obojętnym wzrokiem, po czym skierowała

się w stronę Clary, która wstała, ale nie wykonała żadnego gestu mogącego świadczyć, że ma zamiar podejść do niej, lecz zamknęła oczy i zaczęła oddychać gwałtownie, jakby nachodził ją znowu atak astmy. Ferula zbliżyła się do niej, położyła ręce na jej ramionach i złożyła na czole krótki pocałunek. W jadalni słychać było jedynie dyszenie Clary i metaliczny brzęk kluczy, wiszących u pasa Feruli. Ta, pocałowawszy szwagierkę, oddaliła się i wyszła drzwiami, którymi weszła, zamykając je za sobą bezszelestnie. W jadalni pozostała rodzina znieruchomiała jak w koszmarnym śnie. Nagle Nana zaczęła drżeć tak silnie, że z rąk wypadły jej łyżki do sałaty i wszystkimi wstrząsnął brzęk sreber spadających na parkiet. Clara otworzyła oczy. Nadal oddychała z trudem i łzy spływały jej w ciszy po policzkach i szyi plamiąc bluzkę.

- Ferula nie żyje - powiadomiła zebranych.

Esteban Trueba rzucił na obrus sztućce do krojenia pieczeni i wybiegł z jadalni aż na ulicę wołając siostrę, lecz ta przepadła bez śladu. Tymczasem Clara poleciła służącej przynieść płaszcze i gdy mąż wrócił, już się ubierała trzymając w ręku kluczyki do samochodu.

- Jedźmy do ojca Antonia - rzekła.

Jechali w milczeniu. Esteban prowadził samochód ze ściśniętym sercem, szukając dawnej parafii ojca Antonia w dzielnicach biedoty, w których nie bywał od wielu lat. Ksiądz przyszywał właśnie guzik do wytartej sutanny, gdy przybyli Z wieścią, że zmarła Ferula.

- To niemożliwe! - zawołał. - Widziałem ją przed dwoma dniami, była zdrowa i czuła się całkiem dobrze.

- Proszę nas do niej zaprowadzić, ojcze - błagała Clara. - Wiem, o czym mówię. Ona nie żyje.

Wobec nalegań Clary ojciec Antonio wsiadł do samochodu. Pokazał Estebanowi drogę i wąskimi ulicami dotarli do domu Feruli. W ciągu tych lat spędzonych w samotności mieszkała w jednej z ruder, do których w młodości, wbrew woli użytkowników, przychodziła odmawiać różaniec. Musieli wysiąść o kilka przecznic bliżej, ponieważ ulice stawały się coraz węższe i w końcu pojęli, że są one tylko dla pieszych i rowerzystów. Szli omijając kałuże brudnej wody, która wylewała się z rynsztoków, i sterty śmieci, w których szperały koty przemykając jak bezgłośne cienie. Slumsy rozciągały się po obu stronach długiego pasażu; stały tam podniszczone domy - wszystkie jednakowe, betonowe, małe i skromne. Miały jedne drzwi i dwa okna, były pomalowane na szaro i podeszły wilgocią. Nad pasażem wisiały druty, na których za dnia, gdy świeciło słońce, suszono odzież, ale teraz, o wieczornej porze, nic na nich nie wisiało i kołysały się niepostrzeżenie na wietrze. Na środku uliczki stał jedyny hydrant, który zaopatrywał wszystkie mieszkające tam rodziny; pasaż między domami oświetlały tylko dwie latarnie. Ojciec Antonio pozdrowił starą kobietę, która stała przy hydrancie czekając, aż mizerny strumień płynący z kranu napełni wiadro.

- Czy pani widziała pannę Ferulę? - zapytał,

- Powinna być w domu, ojcze. Nie widziałam jej ostatnio - odparła stara kobieta.

Ojciec Antonio wskazał jeden z domów, taki sam jak inne, o ścianach smutnych i brudnych, z których odpadał tynk, ale jedyny, na którym przy drzwiach wisiały dwie doniczki z małym geranium, kwiatem ubogich. Ksiądz zapukał do drzwi.

- Wejdźcie, nie czekajcie! - zawołała stara kobieta stojąca przy hydrancie. - Panna Ferula nigdy nie zamyka się na klucz. Tam nie ma co ukraść!

Esteban Trueba otworzył drzwi i zawołał siostrę, lecz nie odważył się wejść do środka. Clara pierwsza przekroczyła próg. Wewnątrz było ciemno i na spotkanie ich wyszedł dający się łatwo zidentyfikować aromat lawendy i cytryny. Ojciec Antonio zapalił zapałkę. Słaby płomyk stworzył w mroku krąg świetlny, lecz nim ruszyli naprzód lub zorientowali się, co ich otacza, zapałka zgasła.

- Proszę tu poczekać - powiedział ksiądz. - Znam ten dom.

Posunął się po omacku i po chwili zapalił świecę. Postać księdza uwydatniła się groteskowo i ujrzeli jego twarz zniekształconą przez światło, które padało na nią z dołu, podczas gdy ogromny cień podrygiwał na ścianach. Clara opisała skrupulatnie tę scenę w swoim dzienniku. Były tam dwa ciemne pokoje, brudna łazienka bez wody bieżącej, kuchnia, w której pozostały tylko resztki starego chleba i słoik po herbacie. W oczach Clary mieszkanie Feruli pasowało do koszmaru, który zaczął się wtedy, gdy szwagierka przyszła do jadalni wielkiego narożnego domu, aby się pożegnać. Wnętrze zrobiło na niej wrażenie zaplecza sklepu ze starą odzieżą lub kulis nędznego teatrzyku jakiejś trupy wędrownej. Z paru gwoździ w ścianach zwisały niemodne stroje, boa z piór, brudne kawałki skóry, naszyjniki ze sztucznych kamieni, kapelusze, których nie nosiło się od pół wieku, wyblakłe halki ze znoszonymi koronkami, suknie rzucające się ongiś w oczy, a teraz pozbawione wszelkiego blasku, mundury admiralskie i ornaty biskupie, które nie wiadomo skąd się tu wzięły - wszystko to splątane w groteskowym braterstwie, w którym gnieździł się wieloletni kurz. Na podłodze walały się satynowe pantofle, torby nowicjuszek, ozdobne paski, biustonosze, a nawet błyszcząca szabla, jaką noszą kadeci. Ujrzała smętne peruki, kosmetyczki, puste flakony oraz mnóstwo innych nie wiadomo po co nagromadzonych i wszędzie porozrzucanych przedmiotów.

Z jednego pokoju do drugiego prowadziły wąskie drzwi. W drugim pokoju na łóżku leżała Ferula. Wystrojona jak królowa austriacka, miała na sobie kostium ze zjedzonego przez mole aksamitu i halki z żółtej tafty, a na głowie mocno naciągniętą, niezwykłą kędzierzawą perukę śpiewaczki operowej. Nikt z nią nie mieszkał, nikt nie wiedział o jej agonii; uznali, że umarła przed wieloma godzinami, bo myszy zaczynały już gryźć jej stopy i pożerać palce. Była przepyszna w tej swojej królewskiej beznadziei; wyraz twarzy miała słodki i pogodny, jak nigdy za życia pełnego udręki.

- Lubiła ubierać się w używaną odzież, którą kupowała z drugiej ręki lub zbierała na śmietnikach, malowała się i zakładała te peruki, ale nigdy nie wyrządziła nikomu krzywdy. Przeciwnie, do końca swoich dni odmawiała różaniec, prosząc o zbawienie dla grzeszników - wyjaśnił ojciec Antonio.

- Chcę zostać z nią sama - powiedziała stanowczo Clara.

Obaj mężczyźni wyszli na pasaż, gdzie już zaczynali zbierać się sąsiedzi. Clara zrzuciła płaszcz z białej wełny i podciągnęła rękawy, podeszła do szwagierki, zdjęła jej ostrożnie perukę i zobaczyła, że jest prawie łysa, stara i zaniedbana. Pocałowała ją w czoło tak, jak ona to zrobiła kilka godzin wcześniej, gdy pojawiła się u Truebów, i zaraz, w zupełnym spokoju, przystąpiła do improwizowania rytuału śmierci. Rozebrała ją, umyła, bardzo dokładnie namydliła nie zapominając o żadnym zakamarku, natarła wodą kolońską, upudrowała, wyszczotkowała z miłością jej cztery włosy, odziała w najcudaczniejsze i najelegantsze łachmany, jakie znalazła, nałożyła perukę sopranistki, odpłacając się za wszystkie przysługi, które zmarła wyświadczyła jej za życia. W trakcie tych czynności, walcząc z astmą, opowiadała o Blance, która jest już dorastającą panienką, o bliźniakach, o dużym domu narożnym, o wsi i „gdybyś wiedziała, jak tęsknimy za tobą, szwagierko, jak mi ciebie brakuje, gdy muszę troszczyć się o rodzinę, wiesz przecież, że nie nadaję się do prac domowych, chłopcy są nieznośni, natomiast Blanca jest cudownym dzieckiem, a hortensje, które zasadziłaś własnoręcznie w Las Tres Marias, są wspaniałe, niektóre niebieskie, bo włożyłam do ziemi miedziaki, aby kwiaty rozkwitły tą barwą, to sekret przyrody i za każdym razem gdy wkładam je w donice, myślę o tobie, a także wtedy, gdy nie kwitną hortensje, myślę o tobie zawsze, Ferulo, ponieważ prawda jest taka, że odkąd odeszłaś ode mnie, nikt nie okazał mi tyle miłości co ty”.

Skończyła przygotowania, pozostała chwilę mówiąc do niej i pieszcząc ją, a potem zawołała męża i ojca Antonia, którym poleciła zająć się pogrzebem. W pudełku po biszkoptach znaleźli nietknięte koperty, które przez wszystkie te lata Esteban wysyłał co miesiąc siostrze. Clara dała je księdzu na nabożne cele, pewna, że Ferula tak właśnie by postąpiła.

Ksiądz pozostał ze zmarłą, aby myszy nie uchybiły w niczym jej godności. Wyszli koło północy. Przy drzwiach zebrali się ludzie mieszkający w sąsiedztwie i komentowali wydarzenie. Truebowie musieli torować sobie drogę odpychając gapiów i przeganiając psy, które węszyły w tłumie. Esteban oddalił się szybkim krokiem, niemal ciągnąc Clarę za ramię i nie zwracając uwagi na brudną wodę, która bryzgała na jego nieskazitelne szare spodnie od angielskiego krawca. Był wściekły, ponieważ nawet po śmierci siostra potrafiła sprawić, żeby czuł się winny tak samo jak w czasach, gdy był dzieckiem. Przypomniał sobie dzieciństwo, gdy otaczała go swoją mroczną troskliwością i omotała tak wielkimi długami wdzięczności, że nie mógł ich spłacić przez całe życie. Czuł, że jest niegodziwcem; uczucie to często dręczyło go w jej obecności. Żywił odrazę do jej ducha poświęcenia, surowości, powołania do życia w ubóstwie i niewzruszonej cnotliwości, gdyż dostrzegał w tym wszystkim wyrzuty, skargę na jego egoizm, zmysłowość i zachłanność. Idź do diabła i bądź przeklęta! - wymamrotał nie chcąc przyznać w głębi duszy, że choć wypędził Ferulę, nawet własna żona do niego nie należy.

- Dlaczego tak żyła, jeśli zostawało jej tyle pieniędzy? - krzyknął Esteban.

- Bo brakowało jej wszystkiego innego - odparła łagodnym tonem Clara.

W ciągu miesięcy rozłąki Blanca i Pedro Trzeci wymieniali listy płomiennej treści, które on podpisywał imieniem żeńskim, a ona chowała, gdy tylko nadeszły. Nana zdołała przechwycić jeden czy dwa, ale nie umiała czytać, a nawet gdyby umiała, sekretny kod uniemożliwiłby zapoznanie się z ich treścią - zresztą na całe szczęście, bo w przeciwnym razie serce by jej pękło. Zimą, na lekcjach prac ręcznych, Blanca

robiła na drutach kamizelkę ze szkockiej wełny na jego miarę. Nocami tuliła się we śnie do kamizelki, wdychała zapach wełny i śniła, że to on śpi w jej łóżku. Natomiast Pedro Trzeci przez całą zimę komponował piosenki, które miał śpiewać Blance, a gdy tylko wpadał mu w ręce kawałek drewna, rzeźbił jej wizerunek; nie mógł oddzielić anielskiego wspomnienia o dziewczynie od burzliwych popędów, od których gotowała się w nim krew, miękły kości, zmieniał się głos i sypał się zarost na twarzy. Niespokojny, szarpał się między potrzebami ciała, które nabierało cech męskich, a słodyczą uczucia, ożywianego jeszcze wspomnieniami niewinnych zabaw dziecięcych. Oboje z bolesną niecierpliwością oczekiwali na nadejście lata. Gdy w końcu nadeszło i spotkali się ponownie, okazało się, że kamizelka, którą zrobiła Blanca, nie przechodzi Pedrowi Trzeciemu przez głowę, gdyż w ciągu minionych miesięcy dzieciństwo odeszło w przeszłość i osiągnął wymiary dorosłego mężczyzny, a tkliwe pieśni o kwiatach i porankach, które skomponował dla niej, zabrzmiały śmiesznie, bo miała już wygląd i potrzeby kobiety.

Pedro Trzeci był nadal szczupły, włosy miał sztywne, a oczy smutne, ale po mutacji jego głos stał się chrapliwy i namiętny - taki, po jakim ludzie poznawali go później, gdy śpiewał ku chwale rewolucji. Był małomówny, w obejściu arogancki i nieokrzesany, lecz miał ręce czułe i delikatne i długie palce artysty, którymi rzeźbił, wydzierał lamenty ze strun gitary i rysował z taką samą łatwością, z jaką dzierżył cugle konia, wywijał siekierą rąbiąc drzewo lub prowadził pług. Był jedyną osobą w Las Tres Marias, która stawiała czoło gospodarzowi. Jego ojciec, Pedro Drugi, mówił mu tysiąc razy, że ma nie patrzeć panu w oczy, nie odpowiadać, nie zadzierać z nim, i dla jego dobra dawał mu nieraz tęgie lanie, aby zgiął kark. Lecz syn był buntownikiem. W wieku dziesięciu lat wiedział już tyle co nauczycielka w szkole w Las Tres Marias, a gdy miał dwanaście, uparł się, żeby chodzić do liceum w osadzie, i o piątej rano ruszał w drogę pieszo lub konno, choćby padało i grzmiało. Przeczytał raz, drugi i tysięczny magiczne książki z zaczarowanych kufrów wuja Marcosa, a potem karmił się inną literaturą, pożyczaną od związkowców z baru i od księdza Josego Dulce Maria, który nauczył go też, jak kultywować naturalną umiejętność wierszowania myśli i układania z nich piosenek.

- Synu mój, Kościół święty jest na prawicy, lecz Jezus Chrystus był zawsze na lewicy - mówił enigmatycznie, między jednym a drugim łykiem mszalnego wina, którym celebrował wizyty Pedra Trzeciego.

Pewnego dnia Esteban Trueba, który po obiedzie odpoczywał na tarasie, usłyszał go śpiewającego coś o zorganizowanych kurach, które się połączyły, aby stawić czoło lisowi, i go pokonały. Zawołał chłopaka.

- Chcę cię posłuchać. Śpiewaj! - nakazał.

Pedro Trzeci chwycił gitarę w czułym geście, postawił nogę na krześle i uderzył w struny. Stał tak ze wzrokiem utkwionym w pana, podczas gdy jego aksamitny, pełen pasji głos rozbrzmiewał w sennej atmosferze sjesty. Esteban Trueba nie był durniem i zrozumiał wyzwanie.

- Aha! Widzę, że nawet najgłupszą rzecz można powiedzieć, gdy się śpiewa - warknął. - Lepiej naucz się śpiewać piosenki o miłości!

- Ja to lubię, proszę pana. Jedność daje siłę, jak mówi ojciec Jose Dulce Maria. Jeśli kury mogą sprostać lisowi, to dlaczego ludzie nie mogliby sobie poradzić?

I odszedł z gitarą powłócząc nogami, nim tamten zdążył pomyśleć, co odpowiedzieć, choć z wściekłości piana wypłynęła mu już na usta i zaczynało podnosić się ciśnienie. Od tego dnia Esteban Trueba miał go na oku i obserwował nieufnie. Usiłował uniemożliwić mu chodzenie do liceum, wynajdując zajęcia na miarę dorosłego mężczyzny, lecz chłopak wywiązywał się ze wszystkiego, wstając wcześnie i chodząc późno spać. Owego roku Esteban wychłostał go batem w obecności ojca, ponieważ rozpuścił między parobkami wieści, które krążyły wśród związkowców z osady, o takich pomysłach jak wolne od pracy niedziele, płace minimalne, emerytury i opieka zdrowotna, urlopy macierzyńskie dla kobiet w ciąży, głosowanie bez przymusu, a co najgorsze, o pomyśle utworzenia organizacji chłopskiej, która stawiałaby opór właścicielom ziemskim.

Tego roku, gdy Blanca przyjechała na wakacje do Las Tres Marias, o mało co by go nie poznała, ponieważ przybyło mu piętnaście centymetrów wzrostu i w niczym nie przypominał brzuchatego dzieciaka, który w dzieciństwie bawił się z nią każdego lata. Wysiadła z samochodu, obciągnęła spódnicę i po raz pierwszy nie pobiegła, by go uściskać, lecz skinęła głową na powitanie, choć oczyma przekazała mu to, czego inni nie powinni byli słyszeć; zresztą powiedziała to samo już wcześniej w nieprzyzwoitej a szyfrowanej korespondencji. Nana obserwowała tę scenę kątem oka i uśmiechała się szyderczo. Mijając Pedra Trzeciego zrobiła minę.

- Naucz się, młokosie, zadawać z ludźmi z twojej klasy, a nie z panienkami - zadrwiła.

Wieczorem wraz z całą rodziną Blanca spożyła w jadalni potrawkę z kury, którą zawsze witano ich w Las Tres Marias; po posiłku, podczas przedłużającej się konwersacji przy stole, gdy ojciec popijał koniak i rozprawiał o imporcie krów i kopalniach złota, nikt nie zauważył u niej żadnego napięcia. Poczekała, aż matka da znak, że czas się rozejść, wstała spokojnie, każdemu życzyła dobrej nocy i poszła do swojego pokoju. Po raz pierwszy w życiu zamknęła drzwi na klucz. Usiadła na łóżku nie rozbierając się i odczekała w ciemności do chwili, w której umilkły głosy bliźniaków hałasujących w sąsiednim pokoju, kroki służących, skrzypienie drzwi i zgrzyt zamków, a dom pogrążył się we śnie. Wtedy otworzyła okno i skoczyła na krzaki hortensji, które dawno temu zasadziła ciotka Ferula. Noc była jasna, słychać było świerszcze i ropuchy. Odetchnęła głęboko i wchłonęła mdły zapach suszących się na podwórku moreli. Poczekała, aż oczy przywykną do ciemności, po czym ruszyła przed siebie, lecz nie zaszła daleko, ponieważ usłyszała wściekłe ujadanie psów, które spuszczono na noc. Były to cztery brytany, które wychowały się na łańcuchu, a w ciągu dnia przebywały w zamknięciu; nigdy nie widziały jej z bliska i mogły nie poznać. Przez chwilę czuła, że ogarnia ją panika i traci głowę, i już miała zacząć krzyczeć, gdy przypomniała sobie, że stary Pedro Garcia powiedział jej, iż złodzieje chodzą nago, aby nie atakowały ich psy. Choć roztrzęsiona, bez wahania zrzuciła z siebie ubranie, wsadziła je pod pachę i poszła dalej udając spokój. Modliła się, żeby bestie nie wyczuły jej lęku. Widziała, jak miotają się szczekając i szła przed siebie utrzymując miarowy krok. Psy zbliżyły się i warczały zbite z tropu, ale się nie zatrzymywała. Jeden, odważniejszy, podszedł i obwąchał ją. Poczuła ciepły oddech na plecach, lecz nie zwróciła na to uwagi. Warczały i szczekały przez jakiś czas, towarzyszyły jej kawałek drogi, w końcu jednak zawróciły znudzone. Blanca

odetchnęła z ulgą i zdała sobie sprawę, że drży i spływa potem. Musiała oprzeć się o drzewo i poczekać, aż ustąpi trwoga, bo miała kolana jak z waty. Potem ubrała się pospiesznie i pobiegła w stronę rzeki.

Pedro Trzeci czekał na nią w tym samym miejscu, w którym spotykali się zeszłego lata i gdzie przed wielu laty Esteban Trueba posiadł Panchę Garcię. Blanca ujrzawszy chłopca zarumieniła się gwałtownie. W ciągu miesięcy rozłąki on zahartował się w znojnej pracy i zmężniał, natomiast ona była w tym czasie zamknięta w czterech ścianach domu rodzinnego i szkoły prowadzonej przez zakonnice, nie obcowała z ludźmi, lecz pogrążona w romantycznych marzeniach robiła na drutach kamizelkę ze szkockiej wełny, toteż obraz ukształtowany w marzeniach nie współgrał z wizerunkiem tego wysokiego młodzieńca, który nadchodził szepcząc jej imię. Pedro Trzeci wyciągnął rękę i dotknął jej szyi na wysokości ucha. Blanca poczuła, jak coś gorącego rozchodzi się po jej kościach i słabość ogarnia nogi, zamknęła oczy i się poddała. Przyciągnął ją delikatnie i otoczył ramionami, ona zaś wtuliła nos w pierś tego mężczyzny, którego nie znała, tak odmiennego od chudego dziecka, z którym kilka miesięcy wcześniej pieściła się do utraty sił. Wciągnęła jego nowy zapach, otarła się o szorstką skórę, dotknęła suchego i silnego ciała i poczuła ogromny i zupełny spokój, w niczym niepodobny do wrzenia, które go ogarnęło. Szukali się językami, jak to czynili dawniej, lecz wydawało się to dopiero co wynalezioną pieszczotą, upadli na kolana całując się rozpaczliwie, a następnie potoczyli się po miękkim łożu z wilgotnej ziemi. Dopiero się odkrywali i nie mieli sobie jeszcze nic do powiedzenia. Księżyc obszedł cały widnokrąg, lecz oni go nie widzieli, gdyż w tym czasie poznawali wzajemnie swoją najgłębszą intymność tak, jakby jedno chciało wejść w skórę drugiego.

Odtąd Blanca i Pedro Trzeci spotykali się zawsze w tym samym miejscu i o tej samej godzinie. W ciągu dnia ona haftowała, czytała i malowała banalne akwarele w pobliżu domu, na oczach szczęśliwej Nany, która mogła w końcu spać spokojnie. Natomiast Clara przeczuwała, że dzieje się coś dziwnego, bo dostrzegała nowe tony w nastrojach córki i zdawało się jej, że odgaduje przyczynę. Jak zazwyczaj, Pedro Trzeci pracował na polu, a potem chodził do osady na spotkania z przyjaciółmi. O zmierzchu padał z nóg, lecz perspektywa spotkania z Blancą przywracała mu siły. Nie na próżno miał piętnaście lat. Tak spędzili całe lato i w wiele lat później oboje wspominali te nocne porywy jako najlepszy okres w swoim życiu.

Tymczasem Jaime i Nicolas korzystali z wakacji pozwalając sobie na to wszystko, co było zakazane w brytyjskim internacie: wrzeszczeli jak opętani, aż w końcu dostawali chrypki, bili się pod jakimkolwiek pretekstem, wyglądali na zaniedbanych smarkaczy, oberwańców ze strupami na kolanach i wszami we włosach, sycili się ciepłymi, dopiero co pozrywanymi owocami, słońcem i swobodą. Wychodzili o świcie i wracali do domu o zmierzchu, zajęci rzucaniem kamieniami w króliki, jazdą na koniach aż do utraty tchu i podglądaniem kobiet piorących odzież w rzece.

Tak minęły trzy lata, aż do chwili, gdy trzęsienie ziemi zmieniło bieg rzeczy. Pod koniec wakacji bliźniacy wraz z Naną, służącymi z miasta i dużą częścią bagaży wrócili do stolicy wcześniej niż reszta rodziny. Chłopcy poszli od razu do szkoły, podczas gdy Nana wraz ze służbą przygotowywała wielki dom narożny na przyjazd państwa.

Blanca pozostała kilka dni dłużej na wsi z rodzicami. To wtedy Clara zaczęła miewać koszmary, chodzić jak lunatyczka po korytarzach i budzić się z krzykiem. W ciągu dnia snuła się jak ogłupiała, w zachowaniu zwierząt upatrując znaki ostrzegawcze: a to kury nie znosiły codziennie jajek, a to krowy były zastraszone, psy wyły tak jak wtedy, gdy zbliża się śmierć, z kryjówek wychodziły myszy, pająki i glisty, ptaki opuszczały gniazda i odlatywały gromadnie, podczas gdy pisklęta piszczały z głodu na drzewach. Wpatrywała się obsesyjnie w cienki słup białego dymu, wydobywający się z wulkanu, i studiowała zmiany barwy nieba. Blanca przygotowywała dla niej wywary uspokajające i ciepłe kąpiele, a Esteban wyciągnął stare pudełko z pigułkami homeopatycznymi, też na uspokojenie, lecz koszmary nie mijały.

- Będzie trzęsienie ziemi - mówiła Clara, coraz bledsza i podniecona.

- Ziemia zawsze się trzęsie, Claro, na miłość boską! - odpowiadał Esteban.

- Tym razem będzie inaczej. Zginie dziesięć tysięcy ludzi.

- Tylu nie ma w całym kraju - kpił.

Kataklizm zaczął się o czwartej nad ranem. Clara obudziła się nieco wcześniej z apokaliptycznego koszmaru, w którym coś rozrywało konie, morze pochłaniało krowy, ludzie pełzali przytłoczeni kamieniami, a w ziemi otwierały się przepaście i pochłaniały całe domy. Wstała sina ze strachu i pobiegła do pokoju Blanki. Lecz, jak co noc, Blanca zamknęła drzwi na klucz i wymknęła się przez okno nad rzekę. W ciągu tych ostatnich dni, które pozostały do wyjazdu, letnia namiętność nabierała cech dramatycznych, gdyż wobec nowej nieuniknionej rozłąki młodzi korzystali z każdej okazji, aby kochać się niepohamowanie. Spędzali noc nad rzeką, odporni na zimno i zmęczenie, swawoląc z całych sił, i Blanca wracała do domu dopiero wtedy, gdy pojawiały się pierwsze promienie słońca. Wchodziła przez okno tuż przed pianiem kogutów. Clara dobiegła do drzwi i usiłowała je otworzyć, lecz były zaryglowane. Zastukała, a ponieważ nikt nie odpowiedział, wypadła na zewnątrz, obeszła dom i wtedy zobaczyła otwarte na oścież okno i podeptane hortensje, które zasadziła Ferula. Od razu zrozumiała, skąd ta cera u Blanki, podkrążone oczy, brak apetytu i milczenie, skąd ta senność poranna i popołudniowe akwarele. W tej samej chwili zaczęło się trzęsienie ziemi.

Clara poczuła wstrząsy pod stopami i nie mogła ustać. Upadła na kolana. Pozrywało dachówki, które sypały się wokół z ogłuszającym hukiem. Ujrzała, jak rozłupuje się ściana z niewypalonej cegły, jakby ugodzono ją z przodu siekierą, ziemia otworzyła się tak, jak to widziała w snach, i ukazała się przed nią ogromna szczelina, która posuwając się naprzód zagarnęła kurniki, balie i część stajni. Zbiornik z wodą zachwiał się i spadł rozlewając tysiąc litrów wody na kury, które, ratując się, zrozpaczone machały skrzydłami. W oddali wulkan, jak rozwścieczony smok, ział ogniem i dymem. Psy pozrywały się z łańcuchów i biegały oszalałe, konie, które uciekły z walącej się stajni, wciągały nozdrzami powietrze i rżały ze strachu, po czym spłoszone uchodziły w otwarte pole, topole chwiały się jak pijane, a niektóre wywracały się do góry korzeniami miażdżąc gniazda wróbli. Straszny był ten ryk z głębi ziemi, to sapanie giganta, które czuło się wszędzie i które wypełniało zgrozą powietrze. Clara, wołając Blankę, usiłowała dotrzeć do domu, lecz targnięcia ziemi nie pozwalały jej na to. Widziała przerażonych chłopów wybiegających z domów, błagających niebo, obejmujących się, ciągnących za sobą dzieci, rozdających

kopniaki psom, potrącających starców, usiłujących ratować skromny dobytek pośród łoskotu cegieł i dachówek, który odbijał się echem we wnętrzu ziemi jak nieustający rumor końca świata.

Esteban Trueba pojawił się na progu w tej samej chwili, w której dom rozleciał się jak skorupka jajka; waląc się w chmurze pyłu, przygniótł go pod kupą gruzu. Clara podpełzła i nawoływała krzycząc z całej siły, lecz nie otrzymywała odpowiedzi.

Pierwszy wstrząs trwał prawie minutę i był najsilniejszy ze wszystkich, jakie zarejestrowano dotąd w tym kraju katastrof. Powalił na ziemię niemal wszystko, co stało, resztę zaś zburzyła seria mniejszych drżeń, które wstrząsały światem aż do świtu. W Las Tres Marias poczekano, aż wzejdzie słońce, aby policzyć zabitych i odgrzebać zasypanych, którzy jeszcze jęczeli pod gruzami, a wśród nich Estebana Truebę, o którym było wiadomo, gdzie leży, lecz nikt nie miał nadziei, że jeszcze żyje. Do rozkopania kupy piachu, dachówek i niewypalonej cegły, pod którą leżał, wzięło się czterech mężczyzn pod wodzą Pedra Drugiego. Clara zrezygnowała z anielskiego roztargnienia i pomogła odrzucać kamienie z prawdziwie męską siłą.

- Musimy go wyciągnąć! On żyje i słyszy nas! - zapewniała, a to dodawało im animuszu.

Z pierwszym brzaskiem słońca zjawili się Blanca i Pedro Trzeci, cali i zdrowi. Clara rzuciła się na córkę i wymierzyła jej parę policzków, ale następnie uściskała ją płacząc, gdyż przyniosła jej ulgę świadomość, że córka się uratowała i jest u jej boku.

- Tam jest twój ojciec! - wskazała Clara.

Młodzi wzięli się do dzieła wraz z innymi i po godzinie, gdy słońce wzeszło już nad udręczonym światem, dziedzica wyciągnięto z grobu. Miał tak bardzo pogruchotane kości, że nie można było zliczyć wszystkich obrażeń, ale żył i miał otwarte oczy.

- Trzeba zanieść go do osady, muszą go obejrzeć lekarze - powiedział Pedro Drugi.

Dyskutowali, jak go przenieść, by kości nie powychodziły mu wszędzie na wierzch jak z dziurawego worka, gdy nadszedł stary Pedro Garcia, który dzięki ślepocie i podeszłemu wiekowi zachował spokój podczas trzęsienia ziemi. Przykucnął obok rannego i z wielką ostrożnością obmacał jego ciało, zbadał dłońmi, obszukał starymi palcami, aż w końcu nie było rany, której by nie policzył, ani złamania, którego by nie wziął pod uwagę.

- Jeśli go ruszycie, umrze - orzekł.

Esteban Trueba był przytomny i dobrze zrozumiał jego słowa, przypomniał sobie o pladze mrówek i uznał, że stary jest jego jedyną nadzieją.

- Zostawcie go, on wie, co robi - wymamrotał.

Pedro Garcia kazał przynieść płaszcz, po czym jego syn i wnuk położyli na nim pana, unieśli ostrożnie i rozłożyli na stole zbitym naprędce na środku dawnego podwórka, które teraz było już tylko małym prześwitem pośród koszmaru gruzów, trupów koni, płaczu dzieci, psiego skowytu i kobiecych modlitw. Z ruin wydobyli bukłak z winem, którego zawartość Pedro Garcia podzielił na trzy części: jedną obmył ciało rannego,

drugą dał mu do popicia, a trzecią sam wypił powściągliwymi łykami, po czym zaczął składać kości, jedną za drugą, cierpliwie i w spokoju, tę naciągając, tamtą dopasowując, każdą umieszczając na swoim miejscu, usztywniając łupkami, unieruchamiając pasami z prześcieradeł, mrucząc litanie świętych znachorów, błagając o powodzenie swoich zabiegów i wzywając na pomoc dobry los i Matkę Boską oraz znosząc krzyki i bluźnierstwa Estebana Trueby z niewzruszonym, błogim wyrazem twarzy, który cechuje ślepców. Tak dobrze odtworzył po omacku ciało pana, że lekarze, którzy badali go później, nie mogli uwierzyć, iż było to możliwe.

- Ja bym do tego się nawet nie zabierał - przyznał doktor Cuevas, gdy dowiedział się o wszystkim.

Spustoszenia spowodowane przez trzęsienie ziemi pogrążyły kraj w długiej żałobie. Były to nie tylko wstrząsy podziemne, obracające wszystko w perzynę, ale na dodatek morze cofnęło się o kilka mil, a następnie powróciło jedną ogromną falą, która rzuciła statki na wzgórza położone daleko od wybrzeża, zabrała ze sobą przysiółki, drogi i bydło, a kilka wysp na południu zalała przeszło metrową warstwą wody. Wiele budynków padło jak ranne dinozaury, wiele innych rozsypało się jak domki z kart, zabitych były tysiące i w każdej rodzinie kogoś opłakiwano. Słona woda morska zrujnowała zbiory, pożary spustoszyły całe dzielnice w miastach i miasteczkach i w końcu, jako uwieńczenie kary boskiej, na wsie położone w okolicach wulkanów popłynęła lawa i spadł popiół. Ludzie przestali nocować w domach; zdjęci strachem, że kataklizm się powtórzy, rozbijali zaimprowizowane namioty na pustkowiach, sypiali na placach i na ulicach. Żołnierze musieli zająć się utrzymaniem porządku i rozstrzeliwali na miejscu osoby przyłapane na kradzieżach, bo podczas gdy najwierniejsi chrześcijanie wypełniali kościoły, błagając o przebaczenie za grzechy i zaklinając Boga, by wyciszył swój gniew, wśród ruin grasowali złodzieje i gdzie tylko dostrzegli czyjeś uszy z kolczykami lub palce z pierścieniami, obcinali je nożami bez względu na to, czy ofiara była martwa, czy tylko uwięziona pod gruzami. Rozpleniły się zarazki, które spowodowały epidemie w całym kraju. Reszta świata, zbyt zajęta kolejną wojną, w niewielkim stopniu była świadoma, że przyroda oszalała w tym odległym zakątku kuli ziemskiej, lecz mimo wszystko przypłynęły statki z lekarstwami, kocami, żywnością i materiałami budowlanymi, które jednak zaginęły w przepastnych czeluściach administracji publicznej. Jeszcze po latach można było kupić konserwy z Ameryki Północnej i mleko w proszku z Europy po cenach wykwintnych potraw w ekskluzywnych sklepach.

Esteban Trueba przeleżał cztery miesiące w bandażach, usztywniony łupkami, oblepiony plastrami i porozciągany hakami, cierpiąc straszliwie wskutek swędzenia i bezruchu i pożerany przez niecierpliwość. Jego charakter pogorszył się do tego stopnia, że nikt nie mógł go znieść. Clara pozostała na wsi, aby opiekować się nim, i gdy przywrócono łączność i ład, umieścili Blankę w przyszkolnym internacie, ponieważ matka nie mogła się nią zajmować.

W stolicy trzęsienie ziemi zaskoczyło Nanę w łóżku i chociaż tu dało się we znaki w mniejszym stopniu niż na południu, umarła ze strachu. Wielki dom narożny zatrzeszczał jak pękający orzech, zarysowały się ściany, a ogromna lampa z kryształowych łez, wisząca w jadalni, spadła z brzękiem tysiąca dzwonów i rozbiła się na kawałki. Poza tym jedynym poważnym skutkiem wstrząsu była śmierć Nany. Gdy minęła trwoga pierwszych chwil, służba zdała sobie sprawę, że staruszka nie wybiegła z innymi na ulicę. Ludzie poszli jej szukać i znaleźli Nanę w pościeli z

oczyma wychodzącymi z orbit i resztką włosów zjeżoną ze strachu. W chaosie tych dni nie mogli zapewnić jej godnego pogrzebu, lecz pochowali pospiesznie, bez przemówień i łez. W pogrzebie nie wzięło udziału żadne z cudzych dzieci, które chowała z taką miłością.

Trzęsienie ziemi spowodowało wielką zmianę w życiu rodziny Truebów. Odtąd dzielili wszelkie wydarzenia na te, które rozegrały się przed nim i te, które nastąpiły po nim. Ponieważ pan nie mógł ruszać się z łóżka, Pedro Drugi Garcia objął ponownie stanowisko zarządcy Las Tres Marias. Musiał zorganizować pracowników, przywrócić spokój i odbudować majątek z ruin, w których legł. Zaczęli od pochowania ofiar u stóp wulkanu, na cmentarzu, który cudem ocalał, gdyż rzeka lawy, wydobywającej się z przeklętej góry, przepłynęła bokiem. Nowe groby nadały skromnemu cmentarzowi odświętny wygląd; zasadzono rzędy brzóz, aby odwiedzający mogli siadywać w cieniu. Odbudowano po kolei domki z cegły, takie same jak dawniej, stajnie, fermę mleczarską i spichlerz i przygotowano ziemię pod zasiewy, dziękując losowi, że majątek ocalał od lawy i popiołu, które spadły na inne okolice. Pedro Trzeci musiał zrezygnować z wypraw do osady, gdyż ojciec wymagał jego obecności u swego boku. Pomagał ojcu, ale będąc w złym humorze dawał mu do zrozumienia, że łamią sobie krzyże tylko po to, by postawić na nogi majątek pana, podczas gdy oni pozostaną tak samo biedni jak dawniej.

- Zawsze tak było, synu. Nie można zmienić praw boskich - odpowiadał mu ojciec.

- Owszem, można, ojcze. Są ludzie, którzy to czynią, a my tutaj nawet o tym nie wiemy. Na świecie dzieją się ważne rzeczy - argumentował Pedro Trzeci i recytował bez przerwy przemówienia zasłyszane od nauczyciela komunisty lub ojca Josego Dulce Maria.

Pedro Drugi nie odpowiadał i nadal gorliwie pracował. Przymykał oczy, gdy syn, korzystając z tego, że choroba osłabiła pańską czujność, rozpowszechniał w Las Tres Marias zakazane broszury związkowców, czasopisma polityczne nauczyciela i dziwne interpretacje Biblii, którym hołdował hiszpański ksiądz.

Na polecenie Estebana Trueby administrator zaczął odbudowywać dwór podług tego samego planu co poprzednio. Nawet nie zastąpili nie wypalonej cegły nowoczesnym materiałem budowlanym ani nie poszerzyli wąziutkich okien. Jedyne ulepszenia polegały na doprowadzeniu ciepłej wody do łazienek i zamianie opalanego drewnem pieca kuchennego na urządzenie opalane parafiną, do którego jednak nie przyzwyczaiła się żadna kucharka i w końcu wystawiono je na podwórko, gdzie kury robiły z nim, co chciały. Na czas odbudowy domu zbito z desek prowizoryczne schronienie, które pokryto cynkowym dachem; Esteban spoczywał tam w swoim łożu inwalidzkim i mógł stamtąd obserwować przez okno postępy robót i wykrzykiwać polecenia, wściekły na swój przymusowy bezruch.

W ciągu tych miesięcy Clara bardzo się zmieniła. Musiała wraz z Pedrem Drugim Garcią poświęcić się dziełu ratowania tego, co można było uratować. Po raz pierwszy w życiu bez niczyjej pomocy zajęła się sprawami materialnymi, ponieważ nie mogła już liczyć na męża, Ferulę lub Nanę. Przebudziła się z długiego dzieciństwa, podczas którego była zawsze otoczona opieką i wygodami i nie miała żadnych obowiązków. Estebanowi Truebie szkodziło teraz rzekomo wszystko, co jadł, z wyjątkiem potraw, które ona przyrządzała, toteż dzień spędzała w dużej mierze w kuchni, skubiąc kury

na rosołki dla chorego i wyrabiając ciasto na chleb. Musiała pełnić rolę pielęgniarki, myć go gąbką, zmieniać bandaże, wyjmować basen. On stawał się z dnia na dzień coraz bardziej wybuchowy i despotyczny i żądał: „podłóż mi tu poduszkę, nie, wyżej, przynieś mi wino, nie, powiedziałem, że chcę białego wina, otwórz okno, zamknij je, tu mnie boli, jestem głodny, gorąco mi, podrap mnie po plecach, tu, nie tu, niżej". Doszło do tego, że Clara zaczęła bać się go bardziej niż wtedy, gdy był zdrowym i silnym mężczyzną, który wtargnął w spokój jej życia z zapachem pożądliwego samca, donośnym jak huragan głosem, wojną na śmierć i życie i wielkopańską władczością, narzucając swoją wolę i rozbijając swoje kaprysy o delikatną równowagę, którą ona zachowywała między duchami z zaświatów a będącymi w potrzebie duszami z życia doczesnego. Zaczęła go nienawidzić. Gdy tylko kości mu się pozrastały i mógł się nieco poruszać, wróciło mu nieodparte pragnienie, aby ją brać w ramiona, i za każdym razem, gdy przechodziła obok, poklepywał ją, biorąc ją w swym chorobliwym pomieszaniu za krzepkie chłopki, które usługiwały mu w kuchni i w łóżku w czasach kawalerskich. Clara czuła, że nie nadaje się już do takich zalotów. Nieszczęścia uduchowiły ją, a wiek i brak miłości do męża sprawiły, że uważała seks za nieco brutalną rozrywkę, po której miała obolałe stawy i bałagan w pokoju. W ciągu paru zaledwie godzin trzęsienie ziemi sprawiło, że znalazła się w odmętach przemocy, śmierci i pospolitości i musiała wejść w kontakt z podstawowymi potrzebami, które przedtem ignorowała. W obliczu konieczności obrony parobków przed zarazą i rozprzężeniem, ziemi przed suszą i ślimakami, krów przed pryszczycą, kur pr^ed pypciem, odzieży przed molami, dzieci przed zaniedbaniem, a męża przed śmiercią i jego własnym niepohamowanym gniewem, na nic już nie zdawały się ani stół na trzech nogach, ani umiejętność wróżenia przyszłości z liści herbaty. Clara była bardzo zmęczona. Czuła się samotna, miała zamęt w głowie i w chwili podejmowania decyzji jedyną osobą, u której mogła szukać pomocy, był Pedro Drugi Garcia. Ten człowiek lojalny i cichy był zawsze obecny w zasięgu jej głosu i zapewniał pewną stabilność pośród burzliwego rozchwiania, które zapanowało w jej życiu. Często pod koniec dnia Clara szukała go i częstowała filiżanką herbaty. Siadywali pod okapem na fotelach z wikliny i czekali, aż zapadnie noc i rozładuje się ciśnienie dnia. Oglądali ciemność, która zapadała łagodnie, i pierwsze gwiazdy, które zaczynały świecić na niebie, słuchali rechotu żab i milczeli. Mieli wiele spraw do omówienia, wiele problemów do rozwiązania, wiele ustaleń do poczynienia, lecz oboje rozumieli, że te pół godziny ciszy to zasłużona nagroda, popijali herbatę bez pośpiechu i jedno myślało o życiu drugiego. Znali się od ponad piętnastu lat, obcowali ze sobą każdego lata, ale dotychczas zamienili zaledwie kilka słów. On widział w dziedziczce świetlistą zjawę letnią, której były obce brutalne znoje życia, gatunek odmienny od wszystkich znanych mu kobiet. Nawet wtedy, gdy miała ręce unurzane w cieście lub fartuch poplamiony krwią kury przygotowywanej na obiad, wydawała mu się złudzeniem w odblasku dnia. Dopiero pod wieczór, w spokoju chwil, które spędzali przy herbacie, mógł ujrzeć ją w wymiarze ludzkim. Potajemnie poprzysiągł jej lojalność i czasem, jak wyrostek, fantazjował, że odda za nią życie. Cenił ją tak, jak nienawidził Estebana Trueby. Gdy przyszli założyć im telefon, dom nie nadawał się jeszcze do zamieszkania. Od czterech lat Esteban Trueba walczył o telefon, a założono go akurat wtedy, gdy nie było nawet dachu, który chroniłby aparat przed niepogodą. Nie działał długo, ale można było zadzwonić do bliźniaków i usłyszeć ich głosy, które brzmiały tak, jakby przebywali w innej galaktyce; ogłuszające pomruki na linii przerywała telefonistka z osady, która włączała się do rozmów. Przez telefon dowiedzieli się, że Blanca jest chora, a zakonnice nie chcą się nią opiekować. Dziewczynka miała uporczywy kaszel i często

gorączkowała. We wszystkich domach panował lęk przed gruźlicą, gdyż nie było rodziny, w której nie opłakiwano by suchotnika, toteż Clara postanowiła pojechać po nią. Tego samego dnia, w którym Clara wyjechała, Esteban Trueba rozbił laską telefon, ponieważ ten zaczął dzwonić i nie ucichł, choć Esteban zawołał, że już idzie. W ataku szału rzucił się nań i zaczął tłuc aparat. Zwichnął sobie przy tym obojczyk, którego nastawienie tyle kosztowało starego Pedra Garcię.

Clara podróżowała samotnie po raz pierwszy. Tę samą trasę przebywała od lat, lecz dawniej była zawsze roztargniona, gdyż mogła liczyć na kogoś, kto zajmował się sprawami prozaicznymi, podczas gdy ona marzyła oglądając krajobraz przez okno. Pedro Drugi Garcia zawiózł ją na stację i posadził w pociągu. Na pożegnanie pochyliła się, pocałowała go lekko w policzek i uśmiechnęła się. On podniósł rękę, aby dłonią osłonić ten przelotny pocałunek przed wiatrem i nie uśmiechnął się nawet, bo ogarnął go smutek.

Clara, kierując się bardziej intuicją niż znajomością rzeczy lub logiką, dotarła bez trudu do szkoły córki. Matka przełożona przyjęła ją w spartańskim biurze z ogromnym krwawiącym Chrystusem na ścianie i niestosownym pękiem czerwonych róż na stole.

- Wezwaliśmy lekarza, proszę pani - powiedziała. - Córka nie ma nic w płucach, ale będzie lepiej, jeśli pani ją zabierze, wieś dobrze jej zrobi. Nie możemy brać na siebie takiej odpowiedzialności, proszę nas zrozumieć.

Zakonnica zadzwoniła i weszła Blanca. Była szczuplejsza i bledsza, z fioletowymi cieniami pod oczyma, które wywarłyby wrażenie na każdej matce, ale Clara zrozumiała natychmiast, że córka nie cierpi na chorobę ciała, lecz duszy. Okropny szary mundurek czynił ją o wiele młodszą, niż była, chociaż kobiece kształty rozsadzały szwy ubrania. Blanca była zaskoczona wyglądem matki, którą pamiętała jako odzianego na biało, radosnego i roztargnionego anioła, a która w ciągu niewielu miesięcy zamieniła się w kobietę praktyczną, o stwardniałych dłoniach i z głębokimi bruzdami w kącikach ust.

Poszły odwiedzić bliźniaków w szkole. Było to ich pierwsze spotkanie od czasu trzęsienia ziemi i ku swojemu zaskoczeniu stwierdziły, że ta stara szkoła była jedynym miejscem na obszarze całego kraju, którego nie tknął kataklizm, i że zupełnie go tu ignorowano. Śmierć dziesięciu tysięcy ludzi przeszła tu bez echa, ponieważ w tym czasie śpiewano po angielsku i grano w krykieta, podniecając się jedynie wieściami z Wielkiej Brytanii, które docierały z trzytygodniowym opóźnieniem. Zdumione kobiety stwierdziły, że obaj chłopcy, w żyłach których płynęła krew mauretańska i hiszpańska i którzy urodzili się w najdalszym zakątku Ameryki, mówią po hiszpańsku z akcentem oksfordzkim, a jedyną emocją, którą są w stanie wyrazić, jest zdziwienie; okazywali je unosząc lewą brew. Zupełnie nie przypominali rozhukanych i zawszonych łobuziaków, którzy spędzali wakacje na wsi. „Mam nadzieję, że nadmiar flegmy anglosaskiej nie uczyni z nich idiotów”, mruknęła Clara, pożegnawszy się z synami.

Śmierć Nany, która mimo swojego wieku zarządzała wielkim domem narożnym pod nieobecność państwa, spowodowała, że służba poszła w rozsypkę. Przez nikogo nie pilnowana, nie wywiązywała się ze swoich powinności i spędzała dzień za dniem na sjestach i plotkach, podczas gdy rośliny usychały, bo ich nie podlewano, a pająki przechadzały się po kątach. Sytuacja była tak zła, że Clara postanowiła zamknąć

dom i odprawić całą służbę. Potem wraz z Blanką wzięły się do pracy, poprzykrywały meble prześcieradłami i poumieszczały wszędzie naftalinę. Otworzyły kolejno wszystkie klatki z ptakami i niebo przesłoniły papugi, kanarki, szczygły i cristofue, które fruwały oślepione odzyskaną wolnością, a w końcu odleciały we wszystkich kierunkach. Blanca zauważyła, że w trakcie tych robót nie ukazała się za zasłonami żadna zjawa, nie przyszedł żaden różokrzyżowiec kierujący się szóstym zmysłem ani wygłodzony poeta w potrzebie. Wyglądało na to, że matka stała się zwykłą, prostą kobietą.

- Bardzo się zmieniłaś, mamo - rzekła Blanca.

- To nie ja, córko. To świat się zmienił - odparła Clara.

Przed wyjściem udały się do pokoju Nany w patio dla służby. Clara otworzyła skrzynie, wyjęła tekturową walizkę, której ta poczciwina używała przez pół wieku, i obejrzała bieliźniarkę. Było tam niewiele odzieży, stare espadryle i pu-dełka wszelkich rozmiarów, przewiązane tasiemkami i gumkami, w których przechowywała obrazki od pierwszej komunii i chrztu, kosmyki włosów, ścinki paznokci, wyblakłe portrety i zużyte buciki niemowlęce. Były to pamiątki po wszystkich dzieciach rodziny del Valle, a potem Truebów, które nosiła w swoich ramionach i kołysała do snu. Pod łóżkiem Clara znalazła węzełek z przebraniami, które Nana przywdziewała chcąc ją nastraszyć i skłonić do mówienia. Siedząc na pryczy ze wszystkimi tymi skarbami, długo opłakiwała kobietę, która poświęciła swoje życie temu, żeby inni mieli wygodę, sama zaś zmarła w samotności.

- Tyle razy chciała mnie nastraszyć, a w końcu umarła ze strachu - zauważyła Clara.

Kazała przenieść ciało do grobowca rodziny del Valle na cmentarzu katolickim, ponieważ przypuszczała, że Nana nie byłaby zadowolona, gdyby pochowano ją z ewangelikami i Żydami, i wolałaby pozostać po śmierci z tymi, którym służyła całe życie. Położyła wiązankę kwiatów koło płyty nagrobkowej i udała się wraz z Blanką na dworzec, skąd wyjechały do Las Tres Marfas.

W pociągu Clara poinformowała Blankę o wszystkim, co wydarzyło się w domu rodzinnym, i o stanie zdrowia ojca. Miała nadzieję, że Blanca zada jedyne pytanie, które - jak dobrze o tym wiedziała - pragnęła zadać, lecz ona nie wspomniała o Pedrze Trzecim Garcii, a Clara też nie odważyła się tego uczynić. Uważała, że jeśli nazywa się rzeczy po imieniu, to się materializują i już nie można ich ignorować; jeśli natomiast pozostają w sferze słów nie wypowiedzianych, to z biegiem czasu mogą się same ulotnić. Na stację przyjechał po nie samochodem Pedro Drugi i Blanca była zaskoczona słysząc, że pogwizduje przez całą drogę do Las Tres Marias, gdyż administrator był znany z milczącego usposobienia.

Zastały Estebana Truebę w fotelu obitym niebieskim pluszem, do którego przymocowano koła rowerowe, ponieważ czekano na nadejście ze stolicy wózka inwalidzkiego, który zamówił; Clara przywiozła go w bagażach. Kierował odbudową domu, energicznie bijąc laską i złorzecząc, a był tak zaabsorbowany, że powitał je roztargnionym pocałunkiem i zapomniał zapytać o zdrowie córki.

Tego wieczoru zjedli kolację w świetle lampy naftowej, przy prostym stole zbitym z desek. Blanca przypatrywała się, jak matka podaje posiłek na glinianych talerzach

zrobionych ręcznie, podobnie jak cegły, gdyż cały serwis stołowy uległ zniszczeniu podczas trzęsienia ziemi. Bez Nany, która dawniej kierowała sprawami kuchennymi, uproszczono posiłki i były one skromne, toteż spożyli jedynie gęstą zupę z soczewicy, chleb, ser i konfitury z pigwy - w sumie mniej, niż ona jadała w internacie w postne piątki. Esteban mówił, że gdy tylko stanie na nogach, pojedzie do stolicy na zakupy i przywiezie bardziej eleganckie i kosztowniejsze wyposażenie domu, gdyż ma już dość życia jak wieśniak z winy przeklętej i histerycznej przyrody w tym cholernym kraju. Ze wszystkiego, o czym mówił przy stole, Blanca zapamiętała tylko to, że zwolnił Pedra Trzeciego Garcię, zakazując mu wstępu na teren majątku, ponieważ przyłapał go na rozpowszechnianiu wśród chłopów idei komunistycznych. Dziewczyna zbladła, gdy to usłyszała, i zawartość łyżki wylała się jej na obrus. Tylko Clara dostrzegła wzburzenie córki, ponieważ Estebana całkowicie pochłonęło wygłaszanie ulubionego monologu o chamstwie kąsającym rękę, która daje mu jeść, „a wszystko to z winy przeklętych politykierów, takich jak ten nowy kandydat socjalistów, pajac, który ma czelność jeździć po kraju z północy na południe tandetnie przystrojonym pociągiem i podburzać spokojnych ludzi za pomocą bolszewickiej fanfaronady, ale lepiej, żeby tu się nie pokazywał, bo jeśli wysiądzie z pociągu, to zrobimy z niego sieczkę, jesteśmy już na to przygotowani, nie ma w całej okolicy gospodarza, który by do nas nie przystał, nie pozwolimy, żeby tu przyjeżdżali i gardłowali przeciwko uczciwej pracy i sprawiedliwej nagrodzie dla tych, których stać na wysiłek i którzy wychodzą na swoje, gdyż jest nie do pomyślenia, żeby lenie miały to samo co my, którzy uprawiamy ziemię od świtu do późnej nocy i umiemy inwestować nasz kapitał, ponosić ryzyko, podejmować odpowiedzialność, jeśli zaś chodzi o sedno sprawy, to gadanie, że ziemia należy się temu, kto na niej pracuje, obróci się przeciwko nim, ponieważ ja tu jestem jedynym człowiekiem, który umie pracować, beze mnie tu była i będzie ruina, nawet Chrystus nie mówił, że należy dzielić się owocem naszego wysiłku z leniami, a ten gówniarz Pedro Trzeci pozwala sobie wygłaszać takie dyrdymały w moim majątku, nie wpakowałem mu kuli w łeb, bo bardzo szanuję jego ojca i do pewnego stopnia zawdzięczam życie jego dziadowi, ale ostrzegłem go, że jeśli zobaczę, iż się tu włóczy, to śrutem z fuzji podziurawię go jak sito”.

Clara nie brała udziału w rozmowie. Była zajęta podawaniem jedzenia i sprzątaniem ze stołu, a kątem oka spoglądała na córkę, ale odnosząc do kuchni wazę z resztką soczewicy usłyszała ostatnie słowa perory męża.

- Nie zdołasz przeszkodzić zmianom, które zachodzą na świecie, Estebanie. Jeśli nie Pedro Trzeci Garcia, to ktoś inny przyniesie nowe idee do Las Tres Marias - powiedziała.

Esteban Trueba uderzył laską w wazę, którą żona trzymała w rękach, i odrzucił ją daleko, a zawartość rozlała się po podłodze. Blanca zerwała się przerażona. Po raz pierwszy była świadkiem, jak zły humor ojca obraca się przeciwko Clarze, i pomyślała, że matka znowu popadnie w lunatyczny trans i wyfrunie przez okno, lecz nic takiego się nie stało. Clara z takim samym spokojem jak zawsze zebrała okruchy rozbitej wazy, zdając się nie słyszeć marynarskich grubiaństw, którymi pluł Esteban. Odczekała, aż przestanie zrzędzić, pocałowała go oziębłe w policzek na dobranoc i wyszła ciągnąc za rękę Blankę.

Blanca nie straciła pogody ducha z powodu nieobecności Pedra Trzeciego. Wychodziła codziennie nad rzekę i czekała. Wiedziała, że wieść o jej powrocie na

wieś dotrze prędzej czy później do chłopca i że usłyszy on miłosne wezwanie, gdziekolwiek by był. Tak też się stało. Piątego dnia zjawił się oberwaniec w zimowym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, ciągnący za sobą osła objuczonego kuchennymi utensyliami, saganami ze stopu cynku, ołowiu i cyny, miedzianymi imbrykami, emaliowanymi garnkami, chochlami wszelkich rozmiarów i grzechotką z blaszanych puszek, która z dziesięciominutowym wyprzedzeniem zapowiadała jego nadejście. Nie poznała go. Wyglądał na nędznego starca, jednego z tych smutnych wędrowców, którzy chodzą po prowincji od drzwi do drzwi. Stanął przed nią i zdjął kapelusz, a wówczas ujrzała jego piękne czarne oczy błyszczące między grzywą a szczeciniastą brodą. Osioł zaczął skubać trawę uginając się pod ciężarem brzęczących garnków, podczas gdy Blanca i Pedro Trzeci sycili głód i pragnienie nagromadzone przez wiele miesięcy milczenia i rozłąki, tarzając się po kamieniach i chaszczach i jęcząc jak desperaci. Potem, obejmując się, siedli w trzcinach nad rzeką. Pośród brzęczenia ważek i skrzeku żab opowiedziała mu, że wsadzała sobie do butów skórki banana i bibułę, by dostać gorączki, i łykała zmieloną kredę, aż naprawdę zaczęła kasłać i przekonała zakonnice, że brak apetytu i bladość są na pewno objawami suchot.

- Chciałam być z tobą! - powiedziała całując go w szyję.

Pedro Trzeci opowiedział jej, co dzieje się na świecie i w kraju, o odległej wojnie, która pogrążyła połowę ludzkości we wzajemnych rzeziach, w agonii obozów koncentracyjnych i w rozpaczy wdów i sierot, o ludziach pracy w Europie i Ameryce Północnej, których prawa się szanuje, ponieważ ofiara złożona z życia w ciągu minionych dziesięcioleci przez wielu związkowców i socjalistów zaowocowała sprawiedliwszymi prawami i republikami jak Bóg przykazał, w których rządzący nie rozkradają mleka w proszku przeznaczonego dla poszkodowanych przez trzęsienie ziemi.

- My, chłopi, zawsze dowiadujemy się o wszystkim na końcu, bo nie dochodzą do nas wieści o tym, co się dzieje gdzie indziej. Tutejsi ludzie nienawidzą twojego ojca. Lecz tak bardzo się go boją, że nie potrafią się zorganizować i stawić mu czoła. Rozumiesz, Blanko?

Rozumiała, ale w tej chwili interesowało ją tylko wciąganie zapachu świeżego ziarna, którym pachniał, lizanie jego uszu, zatapianie palców w gęstej brodzie, wsłuchiwanie się w jego miłosne westchnienia. Zarazem bała się o niego. Wiedziała, że nie tylko ojciec wpakowałby mu kulę w łeb, jak to obiecał, ale że chętnie uczyniłby to samo każdy inny ziemianin z okolicy. Blanca przypomniała Pedrowi Trzeciemu o losie działacza socjalistycznego, który przed paru laty objeżdżał region na rowerze, rozdając broszury po majątkach i organizując parobków, aż w końcu schwytali go bracia Sanchezowie, zatłukli kijami na śmierć i powiesili na słupie telegraficznym na skrzyżowaniu dróg, aby wszyscy mogli go obejrzeć. Wisiał tak dzień i noc, kołysząc się na tle nieba, dopóki nie przyjechali na koniach żandarmi i go nie zdjęli. W celu ukrycia rzeczywistych sprawców zrzucono winę na Indian z rezerwatu, chociaż wszyscy wiedzieli, że są to ludzie nastawieni pokojowo i że jeśli boją się zabić kurę, to tym bardziej nie zabiją człowieka. Lecz bracia Sanchezowie wyciągnęli go z grobu i ponownie wystawili zwłoki na widok publiczny; tego było już za wiele, ponieważ teraz odpowiedzialnością nie można było obciążyć Indian. Jednak nawet wówczas wymiar sprawiedliwości nie odważył się interweniować i szybko zapomniano o śmierci socjalisty.

- Mogą cię zabić - mówiła Blanca, obejmując go.

- Uważam na siebie - uspokajał ją Pedro Trzeci. - Nie będę przebywał przez dłuższy czas w tych samych miejscach. Dlatego nie mogę widywać się z tobą codziennie. Przyjdę, ilekroć będzie to możliwe.

- Kocham cię - powiedziała szlochając.

- Ja ciebie też.

Ponownie uścisnęli się z nienasyconym żarem, właściwym ich wiekowi, podczas gdy osioł przeżuwał trawę.

Blanca zrobiła wszystko, by nie wrócić do szkoły: gorącym roztworem soli wywoływała u siebie wymioty, zielonymi śliwkami biegunkę, a duszności ściskając się w pasie poprzegiem, aż w końcu uznano ją za osobę słabego zdrowia, o co właśnie jej chodziło. Tak dobrze imitowała objawy różnych chorób, że mogłaby oszukać konsylium lekarskie; wreszcie udało się jej przekonać samą siebie, że jest bardzo chorowita. Codziennie rano po przebudzeniu dokonywała w umyśle przeglądu swojego organizmu sprawdzając, gdzie ją boli i co nowego jej dolega. Nauczyła się, jak chorować korzystając z każdej nadarzającej się okazji - na skutek zmiany temperatury czy pod wpływem pyłków kwiatowych, i jak wszelką dolegliwość zamieniać w agonię. Clara uważała, że dla zdrowia najlepiej jest mieć zajęte ręce, więc, nie przejmując się zbytnio niedyspozycjami córki, ciągle dawała jej coś do roboty. Dziewczyna musiała wstawać wcześnie, razem ze wszystkimi, i kąpać się w zimnej wodzie, a następnie wypełniać swoje obowiązki, do których należało nauczanie w szkole, szycie w pracowni i spełnianie funkcji pielęgniarki - od robienia lewatywy po zszywanie ran igłą i nitką krawiecką. Na nic nie zdawały się omdlenia na widok krwi ani zimne poty, gdy trzeba było zmywać rzygowiny. Stary Pedro Garcia, który miał już prawie dziewięćdziesiąt lat i z wielkim trudem ciągnął za sobą kości, podzielał pogląd Clary, że ręce ma się po to, by ich używać. Tak więc pewnego dnia, gdy Blanca snuła się narzekając na straszną migrenę, przywołał ją i bez ceregieli położył jej na spódnicy kulę gliny. Przez całe popołudnie uczył ją, jak robić gliniane garnki, a ona zapomniała o dolegliwości. Starzec nie wiedział, że daje Blance coś, co w przyszłości stanie się jej jedynym środkiem utrzymania i źródłem pociechy w godzinach największego smutku. Pokazał, jak obracać stopą koło garncarskie, gdy dłonie formują miękką glinę i lepią z niej garnki i dzbany. Lecz Blanca odkryła szybko, że strona użytkowa takiego zajęcia jest nudna i że bardziej bawi ją wyrabianie miniatur zwierząt domowych i ludzi wykonujących najrozmaitsze zawody - stolarzy, praczek, kucharek, wyposażonych w narzędzia pracy i inne przedmioty.

- To nie nadaje się do niczego! - powiedział Esteban Trueba, gdy zobaczył dzieło córki.

- Więc wymyślmy coś, żeby się nadawało - zasugerowała Clara.

Tak powstał pomysł szopki. Blanca zaczęła robić jasełkowe figurki, nie tylko Trzech Króli i pasterzy, ale istoty ludzkie wszelkiego pokroju i najrozmaitsze zwierzęta - wielbłądy i zebry z Afryki, iguany z Ameryki, tygrysy z Azji, nie mówiąc już o samym zwierzyńcu betlejemskim. Potem doszły do tego zwierzęta, które sama wymyślała, łącząc połówkę słonia z połówką krokodyla; nie wiedziała, że czyni z gliną to samo,

co nie znana jej ciotka Rosa czyniła za pomocą nici, haftując swój ogromny obrus, a tymczasem Clara spekulowała, że jeśli w rodzinie powtarzają się przypadki szaleństwa, to znaczy, że musi istnieć pamięć genetyczna, która nie pozwala im pójść w zapomnienie. Szopki produkowane przez Blankę stały się dla ludzi atrakcją. Musiała wyszkolić dwie pomocnice, bo nie mogła nadążyć z realizacją zamówień; tego roku wszyscy chcieli mieć szopkę na Boże Narodzenie, tym bardziej że była za darmo. Esteban Trueba zgodził się, żeby to była rozrywka dla panienki, ale nie interes, ponieważ w przeciwnym razie nazwisko Truebów znalazłoby się obok nazwisk kupców handlujących gwoździami w sklepach żelaznych i smażonymi rybami na targach.

Spotkania Blanki z Pedrem Trzecim były nieczęste i nieregularne, ale wskutek tego bardziej intensywne. W ciągu tych lat przywykła do zrywów i oczekiwań, pogodziła się z myślą, że będą się kochać w ukryciu i przestała marzyć o ślubie i wspólnym życiu w jednym z ceglanych domków, które należały do ojca. Często mijały tygodnie bez wieści o nim, po czym nagle na terenie majątku pojawiał się listonosz na rowerze, ewangelik z Biblią pod pachą głoszący słowo Boże, Cygan mówiący na wpół pogańskim językiem - wszyscy tak nieszkodliwi, że nie wzbudzali podejrzeń u gospodarza. Poznawała go po czarnych źrenicach. Nie tylko ona: czekali nań również wszyscy parobcy z Las Tres Marias i wielu chłopów z innych majątków. Odkąd młodego Garcię zaczęto prześladować, zyskał sobie sławę bohatera. Wszyscy chcieli go ukryć na noc, kobiety tkały mu poncza i skarpety na zimę, a mężczyźni trzymali dla niego najlepszą wódkę i najlepsze suszone mięso. Ojciec, Pedro Drugi Garcia, podejrzewał, że syn gwałci zakaz wydany przez Truebę, i domyślał się jego odwiedzin. Był rozdarty między miłością do syna a rolą strażnika majątku. Co więcej, radował się skrycie przypisując działalności syna pewne niezwykłe rzeczy, które działy się na wsi. Bał się jednak do tego przyznać i nie chciał, żeby Esteban Trueba wyczytał to z jego twarzy. Tylko jedno nie przyszło mu do głowy: że odwiedziny syna mają coś wspólnego ze spacerami Blanki Trueby nad rzekę, bo taka możliwość nie mieściła się w naturalnym porządku rzeczy. Nigdy nie mówił o synu poza gronem rodzinnym, lecz był dumny z niego i wolał, aby był zbiegiem niż jednym z ludzi sadzących ziemniaki i zbierających biedę. Słysząc, jak ktoś nuci piosenkę o kurach i lisach, uśmiechał się na myśl, że swoimi wywrotowymi balladami syn pozyskał więcej zwolenników niż za pomocą broszur partii socjalistycznej, które rozdawał niezmordowanie.

ZEMSTA

W półtora roku po trzęsieniu ziemi majątek Las Tres Marias stał się, tak jak dawniej, wzorowym gospodarstwem. Znów był tam dwór, taki sam jak poprzedni, ale solidniejszy i z ciepłą wodą w łazienkach. Woda wyglądała jak jasna czekolada i czasami pojawiały się w niej nawet kijanki, ale płynęła radosnym i silnym strumieniem. Niemiecka pompa była świetna. Chodziłem wszędzie podpierając się jedynie grubą srebrną laską, tą samą, którą mam obecnie; wnuczka mówi, że używam jej nie dlatego, iż utykam, lecz by przysporzyć siły moim słowom, potrząsając nią jak miażdżącym argumentem. Długa choroba nadszarpnęła mi zdrowie i pogorszyła charakter. Muszę przyznać, że w końcu nawet Clara nie mogła pohamować moich wybuchów złości. Po wypadku, którego doznałem, ktoś inny pozostałby na zawsze kaleką, lecz mnie pomogła siła rozpaczy. Myślałem o matce, siedzącej w fotelu na kółkach i gnijącej za życia, i to sprawiło, że wykrzesałem z siebie upór, wstałem i zacząłem chodzić, co prawda klnąc przy tym jak szewc.

Sądzę, że ludzie się mnie bali. Nawet Clara, która nigdy nie bała się mojego złego humoru, po części dlatego, że wystrzegałem się obracać go przeciwko niej, była wystraszona. Gdy widziałem, że się mnie lęka, ogarniała mnie wściekłość.

Clara zmieniała się stopniowo. Wyglądała na zmęczoną i zauważyłem, że oddala się ode mnie. Już nie miała do mnie sympatii, moje dolegliwości nie wywoływały u niej współczucia, lecz niechęć, i zdałem sobie sprawę, że mnie unika. Śmiem twierdzić, że w tym czasie czułem się lepiej dojąc krowy z Pedrem Drugim niż dotrzymując jej towarzystwa w salonie. Im bardziej Clara stroniła ode mnie, tym większą odczuwałem potrzebę jej miłości. Żeniąc się nie ukrywałem, że jej pragnę, chciałem posiąść ją całkowicie, aż do ostatniej myśli w jej głowie, lecz ta przezroczysta kobieta przechodziła obok mnie jak powiew wiatru i choćbym chwycił ją obiema rękami i uścisnął brutalnie, nie mogłem jej uwięzić. Jej dusza nie była przy mnie. Gdy się mnie bała, nasze życie zamieniało się w czyściec. W ciągu dnia każde z nas zajmowało się swoimi sprawami. Oboje mieliśmy dużo roboty. Spotykaliśmy się jedynie przy kolacji, a wtedy tylko ja prowadziłem rozmowę, ponieważ ona zdawała się bujać w obłokach. Mówiła niewiele i zatraciła świeży i śmiały uśmiech - tę pierwszą zaletę, która mi się w niej spodobała, nie odrzucała już głowy do tyłu i nie śmiała się pokazując wszystkie zęby. Ledwie się uśmiechała. Myślałem, że dzieli nas wiek i moje niedołęstwo po wypadku, że nudzi ją życie małżeńskie, to przytrafia się wszystkim parom, a ja nie byłem delikatnym kochankiem, z tych, którzy co chwilę dają kwiaty i ładnie mówią. Starałem się jednak zbliżyć do niej. Mój Boże, jak się starałem! Zjawiałem się w jej pokoju, gdy była zajęta swoimi pamiętnikami lub trójnożnym stoliczkiem. Nawet usiłowałem dzielić z nią te strony jej egzystencji, lecz nie lubiła, by czytano jej zapiski, a moja obecność odbierała jej natchnienie, gdy rozmawiała z duchami, toteż musiałem zrezygnować z moich zabiegów. Zrezygnowałem również z zamiaru ułożenia sobie dobrych stosunków z Blanką. Moja córka od małości była dziwna, nigdy nie była czułą i tkliwą dziewczynką, jak tego pragnąłem. W rzeczywistości wyglądała na dzikie zwierzątko. Odkąd pamiętam, była szorstka w stosunku do mnie i nie musiała przezwyciężać kompleksu Edypa, ponieważ nigdy go nie miała. Lecz była już panienką, na swój wiek wydawała się inteligentna i dojrzała i była bardzo przywiązana do matki. Sądziłem, że może mi pomóc, i usiłowałem pozyskać w niej sojuszniczkę, robiłem jej prezenty, starałem się żartować z nią, ale i ona mnie unikała. Teraz, gdy jestem bardzo stary i mogę mówić o tym nie tracąc głowy z gniewu, uważam, że temu wszystkiemu była winna jej miłość do Pedra Trzeciego Garcii. Blanca była nieprzekupna. Nigdy o nic nie prosiła, mówiła jeszcze mniej niż matka i gdy zmuszałem ją, by mnie pocałowała na powitanie lub pożegnanie, czyniła to z taką niechęcią, że bolało mnie to jak policzek. „Wszystko się zmieni, gdy wrócimy do stolicy i zaczniemy znów żyć w sposób cywilizowany” - mawiałem wówczas, lecz ani Clara, ani Blanca nie okazywały żadnego zainteresowania wyjazdem Z Las Tres Marias. Przeciwnie, ilekroć napomykałem o tym, Blanca mówiła, że życie na wsi przywróciło jej zdrowie, ale jeszcze nie czuje się dość silna, a Clara przypominała mi, że na wsi jest wiele do zrobienia, że nie zostawia się połowicznie załatwionych spraw. Nie tęskniła za wyrafinowanymi manierami, do których była przyzwyczajona, i gdy do Las Tres Marias przyszedł ładunek mebli i sprzętów gospodarstwa domowego, które zamówiłem, by sprawić jej niespodziankę, ograniczyła się do stwierdzenia, że wszystko jest bardzo ładne. Sam musiałem zdecydować, gdzie ustawić meble, ponieważ zdawała się nie przywiązywać do tego najmniejszej wagi. Nowy dom obrósł w luksusy, których stary nigdy nie posiadał, nawet w dawnych czasach splendoru,

nim ojciec doprowadził go do ruiny. Sprowadziłem wielkie meble kolonialne ze złocistego, ręcznie ciosanego dębu i drzewa orzechowego, ciężkie wełniane kobierce, lampy z żelaza i kutej miedzi. Zamówiłem w stolicy serwis z angielskiej ręcznie malowanej porcelany, godnej wyposażenia jakiejś ambasady, wyroby kryształowe, cztery skrzynie wypełnione ozdobami, bielizną pościelową i lnianymi obrusami, kolekcją płyt z muzyką klasyczną i lekką i nowoczesnym gramofonem. Każda kobieta byłaby tym wszystkim zachwycona i przez kilka miesięcy miałaby zajęcie, gdyż organizowałaby dom, ale nie Clara, która była nieczuła na takie rzeczy. Przyuczyła jedynie parę kucharek i przeszkoliła parę dziewcząt, córek parobków, które były na służbie we dworze, i ledwie uwolniła się od rondli i miotły, wróciła do swoich pamiętników i kart do gry w taroka. Większość dnia spędzała w pracowni krawieckiej, ambulatorium i szkole. Zostawiałem ją w spokoju, ponieważ zajęcia te stanowiły uzasadnienie jej życia. Była to kobieta oddana dobroczynności i szczodra, pragnąca uszczęśliwiać otoczenie - wszystkich poza mną. Po trzęsieniu ziemi odbudowaliśmy pulperię i aby się przypodobać Clarze, zniosłem system różowych papierków i zacząłem płacić ludziom w gotówce, gdyż mówiła, że to pozwoli im załatwiać sprawunki w osadzie i robić oszczędności. Nie było to prawdą. Nowy system służył jedynie temu, że mężczyźni chodzili upijać się w tawernie w San Lucas, a kobiety i dzieci cierpiały niedostatek. Często kłóciliśmy się w takich sprawach. Parobcy byli przedmiotem wszystkich naszych dyskusji. No, nie wszystkich. Dyskutowaliśmy również o wojnie światowej. Śledziłem postępy wojsk hitlerowskich na mapie, którą zawiesiłem na ścianie w salonie, podczas gdy Clara robiła na drutach skarpetki dla żołnierzy alianckich. Blanca łapała się za głowę nie rozumiejąc, dlaczego tak pasjonujemy się tą wojną, która nie ma z nami nic wspólnego i toczy się za oceanem. Przypuszczam, że dochodziło między nami do nieporozumień także z innych powodów. Faktycznie rzadko się w czymś zgadzaliśmy. Nie uważam, że wszystkiemu był winien mój zły humor, ponieważ byłem dobrym mężem, nie pozostało we mnie nic z pędziwiatra, którym byłem w czasach kawalerskich. Clara była dla mnie jedyną kobietą. Jest nią nadal.

Pewnego dnia kazała założyć rygiel na drzwiach swojego pokoju i przestała akceptować mnie w łóżku, z wyjątkiem sytuacji, w których tak bardzo się narzucałem, iż odmowa oznaczałaby ostateczne zerwanie. Najpierw myślałem, że ma jedną z tych tajemniczych niedyspozycji, które od czasu do czasu nawiedzają kobiety, lub menopauzę, lecz gdy trwało to już kilka tygodni, postanowiłem z nią porozmawiać. Wytłumaczyła mi spokojnie, że nasze stosunki małżeńskie się popsuły i że z tego powodu straciła ochotę na igraszki cielesne. Wyciągnęła z tego naturalnie wniosek, że jeśli nie mamy sobie nic do powiedzenia, to nie powinniśmy dzielić łoża, i wydawała się zaskoczona, że ja w ciągu całego dnia chodzę zły, a wieczorem pragnę jej pieszczot. Usiłowałem jej uzmysłowić, że w tej dziedzinie mężczyźni i kobiety różnią się nieco i że uwielbiam ją mimo wszystkich moich nawyków, ale okazało się to bezcelowe. W tym czasie, mimo przebytego wypadku i dużej różnicy wieku, byłem od niej zdrowszy i silniejszy. Z wiekiem schudłem. Nie miałem ani grama tłuszczu i zachowywałem młodzieńczą odporność i siłę. Potrafiłem spędzać cały dzień w siodle, spać gdziekolwiek, jeść, co popadło, nie cierpiąc na woreczek żółciowy, wątrobę i inne organy wewnętrzne, o których ludzie mówią bez przerwy. Bolały mnie natomiast kości. W chłodne wieczory lub wilgotne noce ból kości, zgniecionych podczas trzęsienia ziemi, był tak intensywny, że gryzłem poduszkę, by nie było słychać moich jęków. Gdy już nie mogłem wytrzymać, wypijałem duży łyk wódki i brałem dwie aspiryny, ale nie przynosiło mi to ulgi. Rzecz dziwna: moja zmysłowość stała się z

wiekiem bardziej selektywna, lecz była nadal prawie tak łatwopalna jak w młodości. Lubiłem - i nadal lubię - oglądać kobiety. Jest to przyjemność estetyczna, niemal duchowa. Jednakże tylko Clara wzbudzała we mnie konkretne i bezpośrednie pożądanie, ponieważ w ciągu naszego długiego pożycia małżeńskiego dobrze się poznaliśmy i każde z nas miało w małym palcu dokładną geografię partnera. Clara znała moje najczulsze strony i potrafiła powiedzieć mi dokładnie to, co chciałem usłyszeć. W wieku, w którym większość mężczyzn jest znudzona własną żoną i potrzebuje bodźca ze strony innych kobiet, by wykrzesać z siebie iskrę pożądania, byłem przekonany, że tylko z Clarą mogę kochać się niestrudzenie, jak podczas miodowego miesiąca. Nie miałem pokusy szukania innych.

Pamiętam, że zaczynałem oblegać ją, gdy zapadał zmierzch. W godzinach wieczornych siadała do pisania, a ja udawałem, że delektuję się fajką, lecz w rzeczywistości szpiegowałem ją kątem oka. Gdy tylko dochodziłem do wniosku, że wkrótce pójdzie spać - ponieważ zaczynała czyścić pióro i składać zeszyty - wycofywałem się pierwszy. Utykając szedłem do łazienki, szykowałem się tam, zakładałem szlafrok z biskupiego pluszu, który kupiłem, by ją uwieść, ale ona nigdy nie okazała, że go dostrzega, przykładałem ucho do drzwi i czekałem na nią. Usłyszawszy, że idzie korytarzem, zrywałem się do natarcia. Spróbowałem wszystkiego, od obsypywania jej pochlebstwami i prezentami aż po groźby, że wywalę drzwi i zbiję ją na kwaśne jabłko, ale ani jeden, ani drugi sposób nie był w stanie zasypać dzielącej nas przepaści. Przypuszczam, że bezcelowe były starania, by w rezultacie nocnych zapędów miłosnych zapomniała o złym humorze, którym przytłaczałem ją w ciągu dnia. Clara unikała mnie z roztargnieniem, które w końcu znienawidziłem. Nie mogę zrozumieć, co mnie tak w niej pociągało. Była kobietą dojrzałą, pozbawioną wszelkiej kokieterii, chodziła lekko powłócząc nogami i zatraciła nieuzasadnioną radość życia, która w młodości czyniła ją tak pociągającą. Nie była wobec mnie ani czuła, ani uwodzicielska. Jestem pewien, że mnie nie kochała. Nie było powodu, by pożądać jej w sposób tak zuchwały i brutalny, który wtrącał mnie w rozpacz i wystawiał na pośmiewisko. Lecz nie mogłem tego uniknąć. Wszystko mi się w niej podobało - drobne gesty, subtelny zapach czystej odzieży i mydła, światło oczu, wdzięk szczupłego karku, który wieńczyły nieposłuszne kędziory. Jej wiotkość wywoływała we mnie nieznośną czułość. Chciałem ją chronić, obejmować, rozśmieszać jak za dawnych czasów, znów spać mając ją obok, czuć jej głowę na moim ramieniu, jej nogi zwinięte pod moimi, mieć ją małą i ciepłą, z ręką na mojej piersi, wrażliwą i śliczną. Czasami zamierzałem ukarać ją pozorując obojętność, ale po paru dniach poddawałem się, ponieważ wydawała się o wiele spokojniejsza i szczęśliwsza, gdy ją ignorowałem. Wywierciłem dziurę w ścianie łazienki, by podglądać ją nagą, ale wprawiało mnie to w taki niepokój, że w końcu zatynkowałem tę dziurę. Chcąc ją zranić, ostentacyjnie wychodziłem do domu „Pod Czerwonym Lampionem”, lecz jedynym komentarzem było stwierdzenie, że to lepsze niż branie siłą chłopek, co mnie zaskoczyło, gdyż nie przypuszczałem, że o tym wie. Z powodu tego komentarza znów próbowałem gwałtów, ni mniej, ni więcej, tylko po to, by ją rozdrażnić. Okazało się, że czas i trzęsienie ziemi spowodowały spustoszenia w mojej męskości i że nie miałem już siły, by chwycić wpół krzepką dziewczynę i posadzić na zadzie konia, a już tym bardziej zerwać z niej jednym szarpnięciem ubranie i posiąść wbrew jej woli. Byłem w wieku, w którym, by się kochać, człowiek potrzebuje pomocy i czułości. Zestarzałem się, cholera.

Tylko on sam spostrzegł, że maleje. Poznał to po ubraniu. Nie polegało to tylko na tym, że aż nadto mieścił się w szwach, ale i na tym, że rękawy i nogawki robiły się za

długie. Pod pretekstem, że wyszczuplał, poprosił Blankę, by dopasowała mu odzież na maszynie do szycia, ale jednocześnie zastanawiał się z niepokojem, czy stary Pedro Garcia nie poprzestawiał mu kości i czy nie kurczy się z tego powodu. Nikomu o tym nie powiedział, podobnie jak nigdy nie mówił o swoich cierpieniach, gdyż nie pozwalała mu na to duma.

W tych dniach przygotowywano się do wyborów prezydenckich. Na wieczerzy w osadzie, na której zebrali się politycy konserwatywni, Esteban Trueba poznał hrabiego Jeana de Satigny. Hrabia nosił giemzowe buty i marynarkę z surowego lnu, nie pocił się jak inni śmiertelnicy i pachniał angielską wodą kolońską, był zawsze opalony, a to dlatego, że w samo południe miał zwyczaj grać w hokeja na trawie, oraz przeciągał ostatnie sylaby w słowach i zjadał „r". Był jedynym znanym Estebanowi mężczyzną, który malował sobie paznokcie błyszczącą emalią i wpuszczał do oczu niebieskie krople. Miał wizytówki z herbem rodowym i przestrzegał wszystkich znanych zasad uprzejmości, a także zasad wymyślonych przez samego siebie, takich jak jedzenie karczochów szczypcami, co wywoływało powszechne zdumienie. Mężczyźni kpili zeń za jego plecami, ale wkrótce okazało się, że usiłują naśladować jego elegancję, nosić giemzowe buty, małpować obojętność i cywilizowany wygląd. Tytuł hrabiowski sytuował go na innym poziomie niż pozostałych imigrantów, którzy przybyli do kraju w ubiegłym stuleciu, uchodząc przed zarazą z Europy Środkowej, a z Hiszpanii przed toczącą się tam wojną, z Bliskiego Wschodu przywożąc ze sobą tureckie czy armeńskie sklepiki, z Azji zaś ściągając po to, by handlować swoimi typowymi potrawami i drobiazgami.

Hrabia de Satigny nie miał potrzeby zarabiać na życie, co dał wszystkim do zrozumienia. Jedyną rozrywką był dlań handel szynszylami.

Esteban Trueba widywał szynszyle, gdy plądrowały posiadłość. Polował na nie z fuzją, by nie pozżerały zasiewów, ale nie przyszło mu na myśl, że z tych niewielkich gryzoni można robić damskie płaszcze.

Jean de Satigny szukał wspólnika, który zainwestowałby kapitał i pracę, założył hodowle i wziął na siebie całe ryzyko, a z nim dzielił się zyskami pół na pół. Esteban Trueba nie był awanturnikiem w żadnej dziedzinie, lecz francuski hrabia miał dość wdzięku i talentu, by go uwieść, toteż stracił wiele bezsennych nocy studiując propozycję i kalkulując. W tym czasie monsieur de Satigny spędzał wiele czasu w Las Tres Marias jako gość honorowy. Grał w piłeczkę na słońcu, wypijał ogromne ilości soku z melona bez cukru i kręcił się dyskretnie koło ceramicznych figurek Blanki. Zaproponował nawet dziewczynie ich eksport do krajów, w których istniał chłonny rynek na wyroby rzemiosła indiańskiego. Blanca usiłowała wyprowadzić go z błędu tłumacząc, że ani ona, ani jej wyroby nie mają w sobie nic indiańskiego, ale bariera językowa nie pozwoliła mu zrozumieć jej punktu widzenia.

Hrabia okazał się dla Truebów zdobyczą towarzyską, ponieważ gdy zamieszkał w ich posiadłości, posypały się zaproszenia dla nich z sąsiednich majątków na spotkania z władzami w osadzie i na wszystkie imprezy kulturalne i towarzyskie w okolicy. Wszyscy chcieli być blisko Francuza w nadziei, że udzieli się im coś z jego dystynkcji, dziewczęta wzdychały na jego widok, a matki pragnęły mieć go za zięcia i rywalizowały o zaszczyt goszczenia u siebie. Kawalerowie zazdrościli Estebanowi Truebie, że został wybrany na wspólnika w szynszylowym interesie. Jedyną osobą, która nie dała się olśnić czarem Francuza, a nawet nie zachwyciła się sposobem, w

jaki obierał pomarańcze za pomocą sztućców nie dotykając ich palcami i zostawiał na talerzu skórkę ułożoną w kwiat, ani wprawą w cytowaniu w ojczystym języku francuskich poetów i filozofów, była Clara, która ilekroć go widziała, tylekroć pytała, jak się nazywa, i była speszona, natykając się nań, gdy w jej własnym domu szedł do łazienki w jedwabnym szlafroku. Natomiast Blankę bawił i była wdzięczna, że ma okazję pokazywać mu się w najładniejszych strojach i czesać się starannie, a na stole rozstawiać angielski serwis i srebrne kandelabry.

- Przynajmniej wyciąga nas z barbarzyństwa - mówiła.

Esteban Trueba był pod mniejszym wrażeniem fanfaronady szlachcica niż szynszyli. Rozmyślał, jak to się, do diabła, stało, że nie przyszło mu na myśl wyprawiać ich skóry, zamiast przez tyle lat hodować przeklęte kury, które padały od byle sraczki zjadłszy coś, czego nie powinny, i krowy, które na każdy litr udojonego mleka konsumowały hektar paszy i skrzynkę witamin, a ponadto wszędzie zostawiały po sobie muchy i gówna. Natomiast Clara i Pedro Drugi Garcia nie podzielali jego entuzjazmu dla gryzoni, ona z powodów humanitarnych, gdyż uważała za okrutny pomysł, by hodować szynszyle i zdzierać z nich skórę, on zaś dlatego, że nigdy nie słyszał, by ktoś hodował myszy.

Pewnego wieczoru hrabia wyszedł zapalić swojego orientalnego papierosa, specjalnie sprowadzonego z Libanu - Bóg raczy wiedzieć, gdzie leży ten kraj, mawiał Trueba - i odetchnąć zapachem kwiatów, który rozchodził się z ogrodu i zalewał pokoje. Pospacerował trochę po tarasie i zmierzył wzrokiem rozmiary parku, który rozciągał się wokół dworu. Westchnął, wzruszony cudem natury, która w najbardziej zapadłym kraju świata skupiła wszystkie klimaty, jakie wynalazła, kordylierę i morze, doliny i najwyższe szczyty, rzeki z kryształową wodą i łagodną faunę, która pozwalała ufnie wychodzić na przechadzkę, z poczuciem pewności, że nie pojawią się jadowite węże ani wygłodzone drapieżniki; dla zupełnej już perfekcji nie było tu również mściwych Murzynów ani dzikich Indian. Miał dość uganiania się po egzotycznych krajach za płetwami rekinów służącymi jako afrodyzjaki, żeńszeniem jako lekarstwem na wszystkie dolegliwości, figurkami rzeźbionymi przez Eskimosów, zabalsamowanymi piraniami z Amazonki i szynszylami na damskie płaszcze. Miał trzydzieści osiem lat - przynajmniej do tylu się przyznawał - i czuł, że nareszcie znalazł raj na ziemi, w którym można spokojnie robić interesy z naiwnymi wspólnikami. Usiadł na pniu paląc w ciemnościach papierosa. Nagle dostrzegł ruchomy cień i przez chwilę myślał, że może to być złodziej, ale natychmiast odrzucił tę myśl, ponieważ na tych ziemiach bandyci byli czymś równie nieprawdopodobnym jak drapieżne zwierzęta. Podszedł ostrożnie i ujrzał Blankę, która wysunęła nogi przez okno, a następnie ześliznęła się jak kot po ścianie i bezszelestnie opadła na hortensje. Była ubrana po męsku, gdyż psy znały ją już i nie musiała przemykać się nago. Jean de Satigny widział, jak oddala się chowając w cieniu okapów i drzew; miał zamiar pójść za nią, lecz przestraszył się brytanów i pomyślał, że nie trzeba śledzić dziewczyny, by wiedzieć, po co wychodzi wyskakując w nocy przez okno. Był zatroskany, gdyż to, co przed chwilą zobaczył, zagroziło jego planom.

Następnego dnia poprosił o rękę Blanki Trueby. Esteban, który nie miał czasu dobrze poznać córki, mniemał, że jej pogodna uprzejmość i entuzjazm, z jakim ustawiała na stole srebrne kandelabry, świadczy, iż jest zakochana. Był bardzo zadowolony, że choć tak nudna i chorowita, złapała galanta, który ma największe wzięcie w okolicy. „Co on w niej widzi?” - zastanawiał się zdziwiony. Oświadczył pretendentowi, że musi

zapytać Blankę o zdanie, ale jest pewien, że nie będzie żadnych przeszkód i że ze swojej strony wita w nim z góry członka rodziny. Zawołał Blankę, która właśnie miała w szkole lekcję geografii, i zamknął się z nią w gabinecie. W pięć minut później drzwi otworzyły się gwałtownie i na oczach hrabiego dziewczyna wybiegła z zarumienionymi policzkami. W przejściu rzuciła mu mordercze spojrzenie i odwróciła się. Ktoś mniej uparty zabrałby walizki i wyniósłby się do jedynego hotelu w osadzie, lecz hrabia powiedział Estebanowi, że jest pewien, iż pozyska miłość dziewczyny, jeśli tylko da mu się dość czasu. Esteban Trueba zaproponował, by tak długo gościł w Las Tres Marias, jak długo uzna to za konieczne. Blanca nic nie powiedziała, lecz odtąd przestała jeść z nimi przy jednym stole i nie przepuszczała żadnej okazji, by dać Francuzowi do zrozumienia, że jest tu osobą niepożądaną. Schowała swoje odświętne stroje i srebrne kandelabry i unikała go starannie. Zapowiedziała ojcu, że jeśli poruszy jeszcze raz sprawę małżeństwa, to ona wróci do stolicy pierwszym pociągiem, jaki zatrzyma się na stacji, i wstąpi w szkole do nowicjatu.

- Jeszcze zmienisz zdanie! - mruknął Esteban Trueba.

- Wątpię - odparła.

Tego roku przyjazd bliźniaków do Las Tres Marias przyniósł wszystkim wielką ulgę. Wnieśli powiew świeżości i zgiełku do ciężkiej atmosfery panującej w domu. Na żadnym z braci nie zrobił wrażenia czar francuskiego szlachcica, choć ten czynił dyskretne wysiłki, by pozyskać ich sympatię. Jaime i Nicolas szydzili z jego manier, pedalskiego obuwia i obcego nazwiska, lecz Jean de Satigny nigdy nie poczuł się urażony. Jego dobry humor sprawił, że w końcu złożyli broń i spędzili z nim resztę lata w przyjacielskich stosunkach, a nawet sprzymierzyli się z nim, by złamać upór Blanki.

- Masz już dwadzieścia cztery lata, siostro. Czy chcesz zostać starą panną? - pytali.

Starali się nakłonić ją, by ścięła włosy i skopiowała suknie, które robiły furorę w czasopismach, ale ona nie okazywała żadnego zainteresowania egzotyczną modą, która nie miała szans ostać się w wiejskiej kurzawie.

Bliźniacy tak bardzo się różnili, że nie wyglądali na braci. Jaime był wysoki, krzepki, nieśmiały i pilnie się uczył. Dzięki uprawianiu sportu, do czego był zobowiązany w internacie, rozwinął muskulaturę godną atlety, choć faktycznie uważał, że jest to zajęcie męczące i bezużyteczne. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Jean de Satigny każdego ranka ugania się z takim entuzjazmem za piłką, by wepchnąć ją do dziury za pomocą kija, gdy łatwiej byłoby zrobić to po prostu ręką. Jaime miał dziwne manie, które wtedy zaczęły się ujawniać i z biegiem czasu stawały się coraz bardziej widoczne. Nie lubił czuć z bliska czyjegoś oddechu, nie lubił, gdy podawano mu rękę, zadawano osobiste pytania, pożyczano odeń książki lub pisano doń listy. Utrudniało to jego stosunki z ludźmi, ale nie izolowało, ponieważ w pięć minut po zawarciu z nim znajomości każdemu rzucało się w oczy, że mimo hipochondrii jest wspaniałomyślny, prostoduszny i zdolny do wielkiej tkliwości, co bezskutecznie usiłował ukryć, gdyż się tego wstydził. Interesował się innymi w dużo większym stopniu, niż gotów był przyznać, i łatwo było go wzruszyć. W Las Tres Marias parobcy nazywali go „paniczem” i zwracali się doń, ilekroć czegoś potrzebowali. Jaime słuchał ich bez słowa, odpowiadał monosylabami i w końcu pokazywał im plecy, ale nie spoczął, dopóki nie wybawił ich z kłopotu. Był szorstki i matka mówiła, że nawet jako mały

chłopiec nie pozwalał się pieścić. Od dziecka miał ekstrawaganckie gesty, potrafił zdjąć z siebie ubranie i dać je komuś innemu, co uczynił wielokrotnie. Afekt i emocje wydawały mu się oznakami niższości i tylko wobec zwierząt pokonywał bariery przesadnego wstydu, tarzał się z nimi po ziemi, pieścił je, podawał im jedzenie wprost do pyska i sypiał z psami w ramionach. Tak samo zachowywał się obcując z bardzo małymi dziećmi, o ile nikt go nie obserwował, ponieważ przy ludziach dorosłych wolał odgrywać rolę surowego samotnika. Dwanaście lat brytyjskiego wychowania w szkole nie zdołało rozwinąć w nim skłonności do splinu, który uchodził za najlepszy atrybut dorastającego młodzieńca. Był niepoprawnie sentymentalny. Dlatego zainteresował się polityką i postanowił, że nie będzie adwokatem, jak tego domagał się ojciec, lecz lekarzem, by pomagać potrzebującym, jak zasugerowała mu matka, która znała go lepiej. Przez całe dzieciństwo Jaime bawił się z Pedrem Trzecim Garcią, ale tego roku zaczął żywić dla niego podziw. Blanca musiała poświęcić parę randek nad rzeką, by dwaj młodzieńcy mogli się spotkać. Rozmawiali o sprawiedliwości, równości, ruchu chłopskim, socjalizmie, podczas gdy Blanca słuchała ich z niecierpliwością, gdyż pragnęła, by szybko skończyli i mogła zostać sam na sam z kochankiem. Przyjaźń ta połączyła obu chłopców aż do śmierci, czego Esteban Trueba nawet nie podejrzewał.

Nicolas był ładny jak panienka. Odziedziczył po matce delikatność i przezroczystość cery, był mały, szczupły, przebiegły i szybki jak lis. Błyskotliwie inteligentny, bez żadnego wysiłku wyprzedzał brata we wszystkim, co razem przedsiębrali. Wymyślił szczególną zabawę, by go dręczyć: w każdej sprawie, o której dyskutowali, wyrażał przeciwstawny pogląd i argumentował tak zręcznie i z taką pewnością siebie, że w końcu wmawiał Jaimemu, iż się myli, i zmuszał go do uznania swojej pomyłki.

- Czy jesteś przekonany, że mam rację? - pytał na zakończenie Nicolas.

- Tak, masz rację - mruczał Jaime, któremu prawość nie pozwalała spierać się w złej wierze.

- Ach tak? Wspaniale! - wołał Nicolas. - Teraz wykażę ci, że to ty masz rację, a ja się mylę. Podam ci argumenty, które powinieneś był wytoczyć przeciwko mnie, gdybyś był inteligentny.

Jaime tracił cierpliwość i rzucał się na niego z pięściami, ale natychmiast tego żałował, gdyż był dużo silniejszy i własna przewaga fizyczna wywoływała w nim poczucie winy. W szkole Nicolas wykorzystywał swoje umiejętności do dręczenia innych i gdy musiał stawić czoło przemocy ze strony swoich ofiar, przywoływał na pomoc brata, którego następnie dopingował kryjąc się za jego plecami. Jaime przywykł do nadstawiania głowy za Nicolasa i uważał za naturalne, że jest karany za niego, odrabia za niego lekcje i kryje jego kłamstwa. Tym, co głównie interesowało w tym czasie Nicolasa, oczywiście poza kobietami, było rozwijanie odziedziczonej po Clarze zdolności do przepowiadania przyszłości. Kupował książki o tajnych stowarzyszeniach, horoskopach i tym wszystkim, co miało cechy nadprzyrodzone. W tym roku wziął się do demaskowania cudów, kupił Żywoty świętych w popularnym wydaniu i przez całe lato wynajdywał trywialne wyjaśnienia dla najbardziej niezwykłych dokonań z dziedziny spirytualizmu. Matka kpiła zeń.

- Jeśli nie potrafisz zrozumieć, jak działa telefon, synu - mówiła - to jak możesz zrozumieć cuda?

Zainteresowanie Nicolasa dla zjawisk nadprzyrodzonych zaczęło ujawniać się kilka lat wcześniej. Pod koniec tygodnia, gdy mógł wyjść z internatu, chodził z wizytą do mieszkających w starym młynie sióstr Mora, by posiąść wiedzę okultystyczną. Wkrótce jednak okazało się, że nie ma żadnych przyrodzonych zdolności do jasnowidztwa czy telekinezy, toteż musiał zadowolić się mapami astrologicznymi, tarokiem i chińskimi pałeczkami. Ponieważ jedno pociąga za sobą drugie, u sióstr Mora poznał uroczą dziewczynę imieniem Amanda, nieco starszą odeń, która wprowadziła go w tajniki medytacji jogów i akupunktury; dzięki nabytej od niej wiedzy Nicolas zaczął leczyć reumatyzm i inne pomniejsze dolegliwości, to znaczy czynić w tej dziedzinie więcej, niż jego brat potrafiłby uczynić po siedmiu latach studiów medycyny tradycyjnej. Lecz to wszystko wydarzyło się znacznie później. Tego roku miał dwadzieścia jeden lat i nudził się na wsi. Brat pilnował go bez ustanku, by nie molestował dziewcząt, ponieważ mianował się na własną rękę obrońcą cnoty panienek z Las Tres Marias, lecz Nicolas był na tyle sprytny, że uwiódł prawie wszystkie młódki z okolicy, popisując się wobec nich taką galanterią, jakiej nigdy tu nie widziano. Resztę czasu spędzał na studiowaniu cudów, usiłował też nauczyć się sztuczek matki i poruszać solniczką siłą samego umysłu oraz pisał namiętne wiersze do Amandy, która odsyłała je pocztą po dokonaniu poprawek, co nie studziło zapału młodzieńca.

Stary Pedro Garcia zmarł na krótko przed wyborami prezydenckimi. Kraj żył w konwulsjach kampanii politycznych, pociągi zwycięstwa mknęły z północy na południe z kandydatami, którzy wychylali się z pomostów w ostatnich wagonach, i towarzyszącymi im dworami prozelitów; wszyscy oni pozdrawiali ludzi w ten sam sposób i obiecywali to samo na wiecach udekorowanych flagami, brzękadełkami i głośnikami, które płoszyły spokój krajobrazu i przerażały bydło. Stary żył tak długo, że był już tylko kupą kruchych kostek obciągniętych żółtą skórą. Twarz miał pokrytą nieprawdopodobną ilością zmarszczek. Chodząc wydawał klekot jak kastaniety, nie miał zębów i mógł jeść tylko papkę dla niemowląt; nie tylko był ślepy, ale na dodatek ogłuchł, jednak nadal doskonale znał się na wszystkim i nie zawodziła go pamięć.

Umarł pod wieczór, siedząc w swoim wiklinowym krześle. Lubił siadywać na progu chałupy i czuć, jak zapada zmierzch, co rozpoznawał po subtelnej zmianie temperatury, odgłosach z podwórka, krzątaninie w kuchni i ciszy, która zalegała w kurnikach. Tam zastała go śmierć. U jego stóp siedział prawnuk Esteban Garcia, który miał już z dziesięć lat i właśnie wykłuwał gwoździem oczy kurczakowi. Był to syn Estebana Garcii, jedynego bękarta dziedzica noszącego jego imię, ale nie nazwisko. Nikt nie pamiętał, dlaczego miał tak na imię ani skąd się ono wzięło - z wyjątkiem jego samego, ponieważ babka, Pancha Garcia, zdążyła przed śmiercią zatruć jego dzieciństwo mówiąc, że gdyby jego ojciec urodził się tam, gdzie Blanca, Jaime lub Nicolas, odziedziczyłby Las Tres Marias i mógłby, gdyby zechciał, zostać prezydentem republiki. W regionie liczącym całe gromady dzieci nieślubnych, a także ślubnych, ale nie znających ojców, był prawdopodobnie jedynym dzieckiem, które rosło nienawidząc swojego nazwiska. żył z urazą do dziedzica, uwiedzionej babki, ojca-bękarta i swojego własnego nieubłaganie chamskiego losu. Esteban Trueba nie odróżniał go od pozostałych malców, pętających się po posiadłości; był on dlań po prostu jednym z wielu dzieciaków śpiewających w szkole hymn narodowy i ustawiających się w kolejce po prezent na Boże Narodzenie. Nie pamiętał już o Panchy Garcii ani o tym, że miał z nią dziecko, a już tym bardziej nie miał pojęcia o podstępnym wnuku, który go nienawidził, ale obserwował z daleka, przedrzeźniając gesty i głos. Dzieciak nie sypiał po nocach, gdyż wyobrażał sobie straszne choroby

lub wypadki, które kładły kres istnieniu dziedzica i wszystkich jego dzieci, podczas gdy on dziedziczył posiadłość. Wówczas zamieniał Las Tres Marias w swoje królestwo. Fantazje te pieścił w myślach przez całe życie, nawet wtedy, gdy się dowiedział, że nic mu nie przypadnie w spadku. Zawsze czynił Truebie wyrzuty, że ten skazał go na ponurą egzystencję, i czuł się pokrzywdzony - nawet wtedy, gdy dostąpił szczytów władzy i miał ich wszystkich w garści.

Dzieciak zauważył, że coś stało się ze starcem. Podszedł, dotknął go i ciało starego się zachwiało. Pedro Garcia spadł z krzesła jak worek kości. Źrenice miał powleczone mleczną błoną, która przez ćwierć wieku pozbawiała go światła. Esteban Garcia wziął gwóźdź i miał zamiar wykłuć mu oczy, gdy nadeszła Blanca i odepchnęła go nie podejrzewając, że to posępne i podłe stworzenie jest jej kuzynem i że za kilka lat będzie narzędziem rodzinnej tragedii.

- Mój Boże, staruszek umarł - zaszlochała pochylając się nad skurczonym ciałem starca, który zaludnił jej dzieciństwo bajkami i osłaniał jej potajemne amory.

Starego Pedra Garcię pochowano po trzydniowym czuwaniu, podczas którego Esteban Trueba kazał nie szczędzić pieniędzy. Zwłoki, w świątecznym garniturze, tym samym, który miał na sobie, gdy się żenił, i który zakładał idąc głosować oraz pobrać na Boże Narodzenie swoje pięćdziesiąt pesos, umieszczono w prostej sosnowej skrzyni. Miał też białą koszulę, jedyną, jaką posiadał, z bardzo luźnym kołnierzykiem, ponieważ z wiekiem się skurczył, oraz żałobny krawat, a do butonierki wsadzono mu czerwony goździk, by wyglądał tak jak zawsze, gdy ubierał się odświętnie. Szczękę podwiązano mu chustką, na głowę zaś nałożono czarny kapelusz, gdyż dawno już temu powiedział, że będzie chciał go zdjąć, by pozdrowić Pana Boga. Nie miał butów, ale Clara wykradła jedną parę Estebanowi Truebie, by wszyscy widzieli, że nie idzie do raju boso.

Jean de Satigny zachwycił się pogrzebem, wyciągnął z walizki aparat fotograficzny na trójnogu i zrobił tyle zdjęć nieboszczykowi, że krewni myśleli, iż może mu wykraść duszę, i na wszelki wypadek zniszczyli klisze. Na czuwanie przy zmarłym stawili się chłopi z całego regionu, ponieważ Pedro Garcia za życia, które trwało całe stulecie, był na obszarze prowincji spokrewniony i spowinowacony z wieloma ziomkami. Przybyła znachorka, jeszcze odeń starsza, z kilkoma Indianami ze swojego plemienia, którzy na jej rozkaz zaczęli opłakiwać nieboszczyka i nie przestali, dopóki jubel nie skończył się w trzy dni później. Ludzie zgromadzili się wokół zagrody starego i pili wino, grali na gitarach i doglądali pieczeni. Przyjechało też na rowerach dwóch księży, by pobłogosławić zwłoki Pedra Garcii i pokierować obrządkiem pogrzebowym. Jednym z nich był rumiany olbrzym z silnym akcentem hiszpańskim, ojciec Jose Dulce Maria, którego Esteban Trueba znał z nazwiska. Miał zamiar zakazać mu wstępu na teren posiadłości, ale Clara przekonała go, że nie jest to chwila odpowiednia do przedkładania wrogości politycznej nad chrześcijańską żarliwość chłopów. „Przynajmniej zaprowadzi jakiś ład w sprawach duchowych” - rzekła. Esteban Trueba powitał go więc ostatecznie i zaprosił do domu razem z bratem zakonnym, który nie otwierał ust i zawsze patrzył w ziemię, siedząc z pochyloną głową i złożonymi rękami. Dziedzic był wstrząśnięty śmiercią starca, który uratował zasiewy przed mrówkami, a jemu samemu życie, i chciał, żeby wszyscy zapamiętali ten pogrzeb jako wielkie wydarzenie.

Księża zebrali parobków i gości w szkole, by odczytać zapomniane ewangelie i odprawić mszę za wieczne odpoczywanie duszy Pedra Garcii. Potem poszli do pokoju przydzielonego im we dworze, podczas gdy pozostali kontynuowali pijatykę, którą przerwało ich przybycie. Tej nocy Blanca odczekała, aż ucichną gitary i lamenty Indian, a wszyscy pójdą do łóżek, i wyskoczywszy przez okno popędziła pod osłoną cieni w tym samym co zawsze kierunku. Czyniła to przez trzy kolejne noce, aż odjechali kapłani. Wszyscy poza jej rodzicami wiedzieli, że spotyka się z jednym z księży nad rzeką. Był to Pedro Trzeci Garcia, który chciał wziąć udział w pogrzebie dziadka i w tym celu wykorzystał pożyczoną sutannę, w której chodził od domu do domu i agitował pracowników tłumacząc, że najbliższe wybory stanowią okazję, by zrzucić jarzmo, które zawsze cierpieli. Słuchali go zaskoczeni i zmieszani. Ich czas odmierzały pory roku, ich myśli przeobrażały się stopniowo, z pokolenia na pokolenie, byli powolni i ostrożni. Tylko najmłodsi, którzy mieli radia i słuchali wiadomości, byli w stanie nadążać za tokiem jego myśli. Pozostali słuchali go dlatego, że był bohaterem prześladowanym przez ziemian, ale w głębi duszy byli przekonani, że mówi głupstwa.

- Jeśli dziedzic odkryje, że głosujemy na socjalistów, to nam dopiero dopieprzy - mówili.

- Tego nie może wiedzieć! Głosowanie jest tajne - argumentował fałszywy ksiądz.

- Tak ci się tylko zdaje, synu - odpowiadał jego ojciec, Pedro Drugi. - Mówią, że jest tajne, ale i tak wiedzą, na kogo głosowaliśmy. Ponadto, jeśli wygrają ludzie z waszej partii, zostaniemy wyrzuceni za bramę, zostaniemy bez pracy. Ja zawsze tu mieszkałem. Co pocznę ze sobą?

- Wszystkich nie mogą wyrzucić, ponieważ dziedzic straci więcej od was, jeśli sobie pójdziecie! - argumentował dalej Pedro Trzeci.

- Nie ma znaczenia, na kogo głosujemy, bo i tak oni zawsze wygrywają.

- Podmieniają głosy - powiedziała Blanca, która uczestniczyła w zebraniu; siedziała wśród chłopów.

- Tym razem nie mogą - odparł Pedro Trzeci. - Wyślemy ludzi z partii, którzy będą kontrolować lokale wyborcze i doglądać, żeby zapieczętowano urny.

Lecz chłopi byli nieufni. Doświadczenie uczyło ich, że lis zawsze zjada w końcu kury, wbrew wywrotowym balladom, które krążyły z ust do ust. Dlatego, gdy przyjechał pociąg z kandydatem partii socjalistycznej, charyzmatycznym doktorem-krótkowidzem, który poruszał tłumy płomiennymi mowami, obserwowali go stojąc na stacji pod czujnym okiem ziemian, którzy otoczyli ich uzbrojeni w fuzje i pałki. Chłopi z szacunkiem wysłuchali mowy kandydata, lecz nie ośmielili się poczynić nawet powitalnego gestu, w przeciwieństwie do nielicznych wyrobników, którzy stawili się całą bandą, z drągami i kilofami, i tak głośno wznosili okrzyki na jego cześć, że zachrypli. Nie mieli nic do stracenia; byli to wiejscy koczownicy wałęsający się po regionie bez stałej pracy, bez rodziny, pana i strachu.

Wkrótce po śmierci i pamiętnym pogrzebie starego Pedra Garcii Blanca zaczęła tracić swą świeżą jak jabłuszko cerę i odczuwać zmęczenie, co nie było wywołane

zatrzymaniem oddechu, oraz wymiotować rano, co nie było spowodowane piciem gorącego roztworu soli. Myślała, że przyczyną jest nadmiar jedzenia, ponieważ był to okres złocistych brzoskwiń i moreli oraz młodej kukurydzy przygotowywanej w glinianych tygielkach i przyprawionej bazylią, a zarazem czas, w którym robiło się marmolady i marynaty na zimę. Jednakże post, rumianek, środki przeczyszczające i odpoczynek nie wykurowały Blanki. Straciła zapał do pracy w szkole i w ambulatorium, a nawet do wyrobu glinianych szopek na Boże Narodzenie, osłabła i stała się senna, mogła leżeć godzinami w cieniu i patrzeć na niebo, niczym się nie interesując. Jedyną czynnością, której nie zaniechała, były nocne eskapady przez okno, gdy nad rzeką miała randkę z Pedrem Trzecim.

Jean de Satigny, który nie dawał za wygraną i nie odstępował od romantycznego oblężenia, obserwował Blankę. Chcąc być dyskretny, zamieszkiwał od czasu do czasu w hotelu w osadzie i odbywał krótkie podróże do stolicy, skąd wracał obładowany literaturą o szynszylach, klatkach dla nich, ich pożywieniu, chorobach, metodach reprodukcji, sposobach wyprawiania skóry i w ogóle o wszystkim, co dotyczyło tych zwierzątek, które miały służyć do wyrobu etoli. Przez większą część lata hrabia gościł w Las Tres Marias. Był czarującym, dobrze wychowanym, spokojnym i wesołym gościem. Zawsze miał na końcu języka jakiś grzeczny frazes, chwalił posiłki, bawił rodzinę wieczorami, grając na pianinie w salonie i konkurując z Clarą w Szopenowskich nokturnach, i był niewyczerpanym źródłem anegdot. Wstawał późno i godzinę lub dwie poświęcał toalecie osobistej, gimnastykował się, biegał kłusem dookoła domu nie bacząc na kpiny wiejskich prostaków, wylegiwał się w wannie z gorącą wodą i długo się wahał, nim wybrał strój na daną okazję. Był to zbędny wysiłek, ponieważ nikt nie doceniał jego elegancji; często jedyną osobą, która reagowała na jego angielskie stroje do jazdy konnej, welwetowe marynarki i tyrolskie kapelusze z piórkiem bażanta, była Clara: w najlepszej wierze proponowała mu bardziej odpowiednie na wsi odzienie. Jean nie tracił dobrego humoru, akceptował ironiczne uśmiechy pana domu, niemiłe miny Blanki i wieczne roztargnienie Clary, która, choć minął rok, nadal pytała, jak się nazywa. Według francuskich przepisów potrafił ugotować kilka potraw, zawsze bardzo dobrze przyrządzonych i wspaniale się prezentujących, które były jego wkładem, gdy mieli gości. Po raz pierwszy w życiu widzieli mężczyznę zainteresowanego kuchnią, ale ponieważ przypuszczali, że jest to zwyczaj europejski, nie odważyli się żartować, nie chcąc wyglądać na ignorantów. Z podróży do stolicy, poza literaturą o szynszylach, przywoził żurnale, powieści wojenne w odcinkach, które spopularyzowały się i służyły do szerzenia mitu bohaterskiego żołnierza, i romansidła dla Blanki. Podczas poobiednich konwersacji wspominał czasami śmiertelnie znudzonym tonem o miesiącach letnich spędzanych z europejską szlachtą w zamkach Lichtensteinu lub na Lazurowym Wybrzeżu. Nigdy nie omieszkał stwierdzić, że jest szczęśliwy, iż zamienił to wszystko na czar Ameryki. Blanca pytała go, dlaczego - jeśli szuka egzotyki - nie wybrał Karaibów lub co najmniej kraju z Mulatkami, palmami kokosowymi i bębnami, ale on utrzymywał, że nie ma przyjemniejszego miejsca na ziemi od tego zapomnianego kraju na końcu świata. Nie mówił o swoim życiu osobistym, chyba że po to, by przemycić niepostrzeżenie do konwersacji parę zakamuflowanych aluzji, które przebiegłemu słuchaczowi pozwalały uświadomić sobie jego pełną splendoru przeszłość, nieobliczalną fortunę i szlacheckie pochodzenie. Nie było pewności co do jego stanu cywilnego, wieku, rodziny ani tego, z jakiej części Francji pochodzi. Clara uważała, że tyle tajemnic to rzecz niebezpieczna, i starała się przejrzeć go za pomocą kart do gry w taroka, lecz Jean

nie pozwalał, by mu wróżono ani oglądano linie jego rąk. Nie znano również jego znaku zodiaku.

Dla Estebana Trueby wszystko to nie miało znaczenia. Wystarczało, że hrabia był gotów zabawiać go partią szachów lub domina, że był pomysłowy i sympatyczny i nigdy nie prosił o pożyczkę. Odkąd Jean de Satigny gościł w domu, nuda życia na wsi, gdzie od piątej po południu nie było co robić, stała się o wiele znośniejsza. Ponadto Estebanowi podobało się, że sąsiedzi zazdroszczą, iż ma w Las Tres Marias tak dystyngowanego gościa.

Wieść o tym, że Jean stara się o rękę Blanki Trueby, rozeszła się po okolicy, ale z tego powodu nie przestał być uważany przez matki-swatki za pożądanego kandydata na zięcia. Clara też go ceniła, choć w jej przypadku w grę nie wchodziły żadne kalkulacje matrymonialne. Jeśli chodzi o Blankę, to z czasem przyzwyczaiła się do jego obecności. Był tak dyskretny i delikatny w obejściu, że stopniowo zapomniała o propozycji małżeństwa, którą złożył. Doszło do tego, że ze strony hrabiego uznała ją za coś w rodzaju żartu. Z powrotem zaczęła wyjmować z szafy srebrne kandelabry, używać angielskiego serwisu i ubierać się po miejsku na popołudniowe spotkania towarzyskie. Często Jean zabierał ją do osady lub prosił, by mu towarzyszyła, gdy gdzieś zapraszano go w celach towarzyskich. Clara musiała udawać się z nimi, ponieważ Esteban Trueba był nieugięty w tej sprawie: nie chciał, by jego córkę widywano sam na sam z Francuzem. Pozwalał im natomiast spacerować bez przy-zwoitki po terenie majątku, pod warunkiem, że nie oddalą się zbytnio i wrócą przed zmierzchem. Clara mówiła, że jeśli chce się czuwać nad dziewictwem córki, to spacery te są o wiele bardziej niebezpieczne niż wyjazdy na herbatkę do posiadłości państwa Uzcategui, lecz Esteban był pewien, że ze strony Jeana nie ma czego się obawiać, gdyż jego zamiary są szlachetne, natomiast należy wystrzegać się złych języków, ponieważ to one mogą zbezcześcić córkę. Spacery Jeana i Blanki po polach sprawiły, że stali się dobrymi przyjaciółmi. Było im dobrze ze sobą. Oboje lubili wyjeżdżać koło dziewiątej rano na konną przejażdżkę, zabierając ze sobą kosz z drugim śniadaniem oraz kilka brezentowych i skórzanych toreb podróżnych ze sprzętem Jeana. Hrabia korzystał z każdego postoju, by fotografować Blankę na tle krajobrazu, chociaż ona miała opory, ponieważ odnosiła wrażenie, że wychodzi śmiesznie na zdjęciach. Poczucie to utwierdzało się w niej, gdy oglądała wywołane już zdjęcia: na twarzy miała sztuczny uśmiech i robiła wrażenie niezgrabnej i nieszczęśliwej, a to zdaniem Jeana dlatego, że nie potrafiła pozować w sposób naturalny, natomiast według niej samej dlatego, że zmuszał ją do wyginania się i wstrzymywania oddechu przez długie sekundy, aż naświetliła się klisza. Na ogół wybierali cień pod drzewem, rozkładali na trawie koc i siadali na parę godzin. Rozmawiali o Europie, o książkach, Blanca opowiadała anegdoty rodzinne, a Jean wspominał swoje podróże. Podarowała mu książkę najwybitniejszego poety krajowego, a on zachwycił się nią do tego stopnia, że nauczył się na pamięć długich fragmentów, które potrafił recytować bez zająknienia. Mówił, że jest to najlepsza rzecz, jaką napisano w dziedzinie poezji, i że nawet po francusku, w języku sztuki, nie istnieje nic podobnego. Nie rozmawiali o swoich uczuciach. Jean zabiegał o jej względy, ale nie błagał ani nie był natarczywy - raczej zachowywał się jak przyjaciel i żartowniś. Całując ją w rękę na pożegnanie spoglądał jak uczniak, co pozbawiało ten gest wszelkiej romantyczności. Gdy zachwycał się jakimś strojem, potrawą lub figurką z szopki, ton jego głosu pobrzmiewał ironicznie, co pozwalało interpretować jego słowa na wiele sposobów. Gdy zrywał dla niej kwiaty lub pomagał zsiąść z konia, czynił to ze swobodą, która z galanterii czyniła koleżeńską atencję. Tak czy

inaczej, aby zapobiec innemu obrotowi sprawy, ilekroć nadarzała się okazja, Blanca dawała mu do zrozumienia, że za nic nie wyjdzie za niego. Jean de Satigny uśmiechał się swoim olśniewającym uśmiechem uwodziciela i nic nie odpowiadał, a Blanca musiała zauważyć, że jest o wiele bardziej wytworny niż Pedro Trzeci.

Nie wiedziała, że Jean ją szpieguje. Widział wielokrotnie, jak wyskakuje przez okno w męskim stroju. Szedł wówczas za nią, lecz po chwili zawracał, gdyż bał się, że w ciemnościach dopadną go psy. Ustalił jednak, że zawsze udaje się nad rzekę.

Tymczasem Esteban ciągle nie mógł zdecydować się na zainwestowanie w szynszyle. Na próbę zgodził się zainstalować klatkę z kilkoma parkami gryzoni, co miało być miniaturową imitacją wielkiego wzorcowego zakładu przemysłowego. Przy tej okazji widziano jedyny raz, jak Jean de Satigny pracuje z zakasanymi rękawami. Jednakże szynszyle zaraziły się chorobą, na którą zapadają szczury, i w ciągu niespełna dwóch tygodni wszystkie zdechły. Nie udało się nawet wyprawić skór, gdyż włosie zmatowiało i powychodziło jak pióra ptaka w gorącej wodzie. Jean oglądał przerażony te oskubane trupy ze sztywnymi nogami i bielmem na oczach, które zniweczyły nadzieje na przekonanie Estebana Trueby do jego pomysłu; widząc pomór stracił cały zapał dla futrzarstwa.

- Gdyby zaraza wybuchła w prawdziwym zakładzie przemysłowym, byłbym zupełnie zrujnowany - stwierdził Trueba.

Z powodu pomoru szynszyli i eskapad Blanki hrabia stracił kilka miesięcy. Miał już dość zabiegania o względy Blanki i uznał, że ona nigdy nie zwróci uwagi na jego powaby. Nie było wiadomo, kiedy skonkretyzują się plany rozwoju hodowli, toteż doszedł do wniosku, że lepiej będzie przyspieszyć bieg rzeczy, bo a nuż spadkobierczyni trafi w ręce kogoś obrotniejszego. Ponadto teraz, gdy Blanca okrzepła, a zarazem złagodniały jej chłopskie maniery, zaczynała mu się podobać. Lubił kobiety łagodne, o obfitych kształtach, a Blanca, leżąca na poduszkach i obserwująca niebo w porze sjesty, przypominała mu matkę. Czasami udawało się jej wzruszyć Jeana. Na podstawie rozmaitych mało rzucających się w oczy drobiazgów nauczył się domyślać, kiedy Blanca planuje nocną wyprawę nad rzekę. Dziewczyna nie jadała wówczas kolacji pod pretekstem bólu głowy, wcześnie mówiła dobranoc, a w źrenicach miała dziwny błysk i niecierpliwość oraz pożądliwość w gestach, których ukryty sens odczytywał. Pewnej nocy postanowił śledzić ją do końca i położyć kres sytuacji, która mogła przeciągać się w nieskończoność. Był pewien, że Blanca ma amanta, ale mniemał, że nie jest to nic poważnego. Osobiście nie przywiązywał żadnego znaczenia do dziewictwa i nie troszczył się o nie, gdy prosił o rękę Blanki. Interesowały go u niej inne walory, których nie mogła stracić za cenę chwilowej rozkoszy nad rzeką.

Gdy w ślad za Blanką cała rodzina rozeszła się po pokojach, Jean de Satigny został w salonie i siedział w ciemnościach, czujnie wsłuchując się w domowe szmery, aż do chwili, w której według jego rachub Blanca miała wyskoczyć przez okno. Wtedy wyszedł na patio i ukrył się między drzewami. Krył się tak w ciemności przez ponad pół godziny, a tymczasem nic niezwykłego nie zakłóciło spokoju. Znudzony oczekiwaniem miał już zamiar wycofać się, gdy dostrzegł, że okno w pokoju Blanki jest otwarte. Uświadomił sobie, że wyskoczyła, nim zaczaił się na nią w ogrodzie.

- Merde - mruknął po francusku.

Modląc się, by psy szczekaniem nie obudziły całego domu i nie rzuciły się nań, ruszył drogą, którą - jak to podpatrzył przy innych okazjach - Blanca biegała nad rzekę. Nie przywykł do chodzenia po zaoranej ziemi w delikatnym obuwiu ani do skakania przez kamienie i omijania kałuż, ale noc była bardzo jasna, a cudowny księżyc w pełni oświetlał niebo fantasmagorycznym blaskiem, i gdy tylko przestał obawiać się psów, mógł podziwiać piękno chwili. Szedł dobry kwadrans, nim dostrzegł pierwsze szuwary nadrzeczne; wówczas zdwoił czujność i posuwał się w sposób bardziej dyskretny, uważając, by nie deptać suchych gałęzi, których trzask mógłby go zdradzić. Księżyc odbijał się w wodzie jak w krysztale, a bryza kołysała delikatnie trzcinami i koroną drzew. Panowała zupełna cisza i przez ułamek sekundy miał fantastyczne wrażenie, że przeżywa sen lunatyka, w którym idzie i idzie nie posuwając się naprzód, ciągle stojąc jak zaczarowany w tym samym miejscu, gdzie zatrzymał się czas; usiłował dotknąć drzew, które zdawały się być w zasięgu ręki, i trafiał w próżnię. Musiał zrobić wysiłek, by odzyskać swój zwykły, realistyczny i pragmatyczny nastrój. Ujrzał ich w zakolu, między wielkimi szarymi kamieniami oświetlonymi przez księżyc; znajdowali się tak blisko, że niemal mógłby ich dotknąć. Byli nadzy. Mężczyzna leżał odwrócony doń tyłem, z twarzą wzniesioną do nieba i zamkniętymi oczyma, lecz hrabia bez trudu rozpoznał w nim księdza jezuitę, który pomagał odprawić mszę podczas pogrzebu starego Pedra Garcii. Zaskoczyło go to. Blanca spała z głową na gładkim, ciemnym brzuchu kochanka. Delikatne światło księżycowe odbijało się metalicznie od ich postaci i Jeanem de Satigny wstrząsnął widok harmonijnego ciała Blanki, które w tym momencie wydało mu się doskonałe.

Wytworny francuski hrabia potrzebował prawie minuty, by otrząsnąć się ze stanu marzenia sennego, w który wtrącił go widok zakochanych, spokój nocy, księżyc i wiejska cisza, i zdać sobie sprawę, że sytuacja jest groźniejsza, niż to sobie wyobrażał. W postawie kochanków rozpoznał oddanie się ludzi, którzy znają się od bardzo dawna. Nie wyglądało to na letnią przygodę erotyczną, którą podejrzewał, lecz raczej na małżeństwo z ciała i ducha. Jean de Satigny nie mógł wiedzieć, że Blanca i Pedro Trzeci spali tak już pierwszego dnia, w którym się poznali, i od lat, ilekroć nadarzała się okazja, lecz wyczuł to instynktownie.

Starając się nie robić najmniejszego hałasu, który mógłby ich zaalarmować, zawrócił na pięcie i ruszył w drogę powrotną zastanawiając się, jak podejść do tej sprawy. Nim dotarł do dworu, podjął decyzję, że opowie o wszystkim ojcu Blanki, ponieważ zawsze pochopny gniew Estebana Trueby wydał mu się najlepszym sposobem rozwiązania problemu. „Niech to załatwią między tubylcami” - pomyślał.

Jean de Satigny nie czekał do rana. Zapukał do drzwi pokoju gospodarza i nim ten zdążył zbudzić się na dobre ze snu, oznajmił mu, o co chodzi. Opowiedział, że nie mógł zasnąć z powodu gorąca i aby łyknąć świeżego powietrza, zawędrował roztargniony nad rzekę, gdzie trafił na deprymujące widowisko: jego przyszła narzeczona spała w ramionach brodatego jezuity, przy czym oboje leżeli nadzy w świetle księżyca. Przez chwilę zbiło to z tropu Estebana Truebę, który nie mógł sobie wyobrazić córki śpiącej z ojcem Josem Dulce Maria, lecz natychmiast uświadomił sobie, co się stało, pojął szyderstwo, którego ofiarą padł podczas pogrzebu starca, i to, że uwodzicielem nie może być nikt inny, jak Pedro Trzeci Garcia, ten przeklęty sukinsyn, który zapłaci za to życiem. Szybko wciągnął spodnie i buty, zarzucił na ramię fuzję i zdjął ze ściany bicz.

- Pan tu na mnie poczeka, don - rozkazał Francuzowi, który i tak nie miał zamiaru mu towarzyszyć.

Esteban Trueba pobiegł do stajni i na oklep dosiadł konia. Parskał z oburzenia, poskładane kości bolały go na skutek wysiłku, a serce biło w piersi. „Zabiję oboje" - mruczał, jakby odmawiał litanię. Popędził w kierunku wskazanym przez Francuza, lecz nie musiał dojechać nad rzekę, gdyż w połowie drogi natknął się na Blankę, która wracała do domu nucąc pod nosem, z rozwianym włosem i w przybrudzonej sukience; wyglądała na tak szczęśliwą, jak ktoś, kto nie prosi życia o nic. Na widok córki Esteban Trueba nie mógł powstrzymać gniewu i natarł na nią koniem wywijając biczem w powietrzu; bił ją bez litości, raz za razem, aż dziewczyna upadła i nieruchoma legła w błocie. Wtedy zeskoczył z konia, potrząsnął nią tak, że ocknęła się z omdlenia, i wykrzyczał wszystkie znane sobie przekleństwa, jak również inne, wymyślone pod wpływem chwilowej emocji.

- Kto to jest? Powiedz, jak się nazywa, bo jak nie, to cię zabiję! - żądał.

- Nigdy ci tego nie powiem - szlochała.

Esteban Trueba zrozumiał, że nie jest to sposób na uzyskanie czegokolwiek od córki, która odziedziczyła po nim upór. Stwierdził, że jak zawsze przesadził wymierzając karę. Wsadził dziewczynę na konia i oboje wrócili do domu. Instynkt lub hałas wywołany przez psy zbudził Clarę, a także służbę, i wszyscy czekali w drzwiach przy zapalonych światłach. Tylko hrabiego nie było nigdzie widać; skorzystał z zamieszania, spakował walizki, zaprzągł konie do powozu i dyskretnie wyjechał do hotelu w osadzie.

- Na Boga, coś ty uczynił, Estebanie! - zawołała Clara na widok córki pokrytej błotem i krwią.

Clara i Pedro Drugi Garcia zanieśli Blankę do łóżka. Zarządca pobladł śmiertelnie, lecz nie rzekł ani słowa. Clara umyła córkę, obłożyła stłuczenia i siniaki zimnymi kompresami i ukołysała, dzięki czemu udało się ją w końcu uspokoić. Gdy Blanca już zasypiała, poszła stawić czoło mężowi, który zamknął się w gabinecie i miotał się tam waląc biczem po ścianach, przeklinając i kopiąc meble. Na widok Clary zwrócił całą wściekłość przeciwko niej, obwiniając o to, że wychowała Blankę bez moralności, wiary i zasad, jak libertyńską ateistkę, a co gorsza bez poczucia klasowego, ponieważ byłoby rzeczą zrozumiałą, gdyby czyniła to z kimś dobrze urodzonym, ale nie z chamem, gamoniem, narwańcem, leniem, nicponiem.

- Powinienem był go zabić, gdy mu to obiecałem! Sypiać z moją córką! Przysięgam, że gdy go spotkam, to wykastruję, obetnę mu jaja, choćby miał to być ostatni uczynek w moim życiu, przysięgam na moją matkę, pożałuje, iż się urodził!

- Pedro Trzeci Garcia nie zrobił niczego, czego nie zrobiłeś ty - rzekła Clara, gdy zdołała mu przerwać. - Ty też sypiałeś z kobietami w stanie panieńskim, które nie należały do twojej klasy. Różnica polega na tym, że on uczynił to z miłości. Blanca też.

Trueba spojrzał na nią i zaskoczony znieruchomiał. Przez krótką chwilę zdawało się, że gniew mu mija i poczuł się wyszydzony, lecz zaraz fala krwi napłynęła mu do

głowy. Stracił panowanie i pięścią tak uderzył żonę w twarz, że poleciała na ścianę. Zemdlała bezgłośnie. Esteban zdawał się budzić z transu, ukląkł przy niej, zaczął płakać, bełkotać prośby o wybaczenie i tłumaczyć się, wzywając ją tkliwymi imionami, których używał tylko w chwilach intymności, nie rozumiejąc, jak mógł podnieść na nią rękę, przecież jest jedyną istotą, na której naprawdę mu zależy i której nigdy, nawet w najgorszych chwilach ich pożycia, nie przestał szanować. Wziął ją na ręce, posadził z czułością na fotelu, zmoczył chustkę, położył jej na czole i usiłował dać parę kropel wody do picia. W końcu Clara otworzyła oczy. Z nosa płynęła jej krew. Gdy otworzyła usta, wypluła kilka zębów, które upadły na podłogę, a po brodzie i szyi popłynęła strużka zakrwawionej śliny.

Ledwie Clara doszła do siebie, odepchnęła Estebana, wstała z trudem i wyszła z gabinetu starając się trzymać prosto. Za drzwiami stał Pedro Drugi Garcia, który zdążył ją podtrzymać, gdy się zachwiała. Clara, czując go u swojego boku, zdała się nań. Oparła obolałą twarz o pierś tego człowieka, który był zawsze przy niej w najcięższych chwilach, i zaczęła płakać. Koszula Pedra Drugiego Garcii zabarwiła się krwią.

Clara nigdy już nie odezwała się do męża. Przestała używać ślubnego nazwiska i zdjęła z palca finezyjny złoty pierścionek, który założył jej przeszło dwadzieścia lat wcześniej, owej pamiętnej nocy, gdy zdechł Barrabas ugodzony masarskim nożem.

W dwa dni później Clara i Blanca wyjechały z Las Tres Marias i wróciły do stolicy. Esteban został sam, upokorzony i wściekły, z poczuciem, że coś w jego życiu uległo na zawsze zniszczeniu.

Pedro Drugi zawiózł dziedziczkę z córką na stację. Od tamtej nocy nie widział ich, a teraz był milkliwy i ponury. Ulokował je w pociągu, a potem stał z kapeluszem w ręku i ze spuszczonymi oczyma, nie wiedząc, jak się pożegnać. Clara go uścisnęła. Na początku był sztywny i zmieszany, lecz zaraz pokonały go własne sentymenty i odważył się objąć ją nieśmiało ramionami i złożyć nieuchwytny pocałunek na jej włosach. Popatrzyli na siebie po raz ostatni przez okno; oboje mieli oczy pełne łez. Wierny zarządca wrócił do swojego murowanego domu, spakował skromny dobytek, zawinął w chustkę nieco pieniędzy, które udało mu się zaoszczędzić w ciągu długich lat służby, i wyjechał. Trueba widział, jak żegna się z parobkami i dosiada konia. Starał się go zatrzymać tłumacząc, że to, co się stało, nie ma z nim nic wspólnego i że nie ma powodu, by z winy syna tracił pracę, przyjaciół, dom i poczucie bezpieczeństwa.

- Nie chcę tu być, gdy spotka pan mojego syna, panie dziedzicu - tak brzmiały ostatnie słowa Pedra Drugiego Garcii, nim pokłusował w stronę drogi.

Jakże samotny czułem się wówczas! Nie wiedziałem, że samotność nigdy już mnie nie odstąpi i że jedyną osobą, którą będę miał kiedyś przy sobie, będzie moja wnuczka, dziwna, o cygańskim wyglądzie i z zielonymi jak Rosa włosami. Lecz to nastąpiło w wiele lat później.

Po wyjeździe Clary rozejrzałem się wokół i ujrzałem w Las Tres Marias dużo nowych twarzy. Dawni towarzysze mego życia powymierali lub poodchodzili. Nie miałem już żony ani córki. Moje kontakty z synami były nikłe. Matka, siostra, dobra Nana, stary Pedro Garcia - nikt z nich już nie żył. Przypomniała mi się Rosa, co wywołało u mnie

wielki ból. Nie mogłem już liczyć na Pedra Drugiego Garcię, którego miałem u mego boku przez trzydzieści pięć lat. Chciało mi się płakać. Łzy same mi ciekły i choć wycierałem je ręką, ciekły następne. Idźcie wszyscy do diabła! - wykrzykiwałem, snując się po kątach. Chodziłem po pustych pokojach, zaglądałem do pokoju Clary i szukałem w bieliźniarce i komodzie czegoś, co nosiła, a co mógłbym podsunąć sobie pod nos i odzyskać choćby przelotnie jej delikatny, nieskazitelny zapach. Kładłem się do jej łóżka, chowałem twarz w poduszkę, pieściłem przedmioty, które pozostawiła na toaletce, i czułem się zupełnie opuszczony.

Pedro Trzeci Garcia był winien temu wszystkiemu, co zaszło. To przez niego Blanca oddaliła się ode mnie, przez niego pokłóciłem się z Clarą, przez niego wyjechał z majątku Pedro Drugi, przez niego parobcy patrzyli na mnie podejrzliwie i szeptali za moimi plecami. Zawsze był wichrzycielem i od samego początku powinienem był dać mu kopniaka i wypędzić. Nie uczyniłem tego na czas ze względu na poważanie, jakie żywiłem dla jego ojca i dziada, i w rezultacie ten smarkacz i brudas zabrał mi to, co w życiu kochałem najbardziej.

Poszedłem na posterunek w osadzie i przekupiłem karabinierów, żeby pomogli mi go znaleźć. Kazałem im nie wsadzać go do więzienia, lecz po cichu oddać w moje ręce. W barze, u fryzjera, w klubie i w domu „Pod Czerwonym Lampionem” rozpuściłem wici, że tego, kto wyda mi chłopaka, czeka nagroda.

- Uważajcie, panie. Sami nie wymierzajcie sprawiedliwości, gdyż wiele zmieniło się od czasów, gdy czynili to bracia Sanchezowie - ostrzegano mnie.

Lecz ja nie chciałem tego słuchać. Co w tym przypadku zrobiłby wymiar sprawiedliwości? Nic.

Minęło z piętnaście dni, a żadnych wieści nie było. Objeżdżałem posiadłość, zaglądałem do sąsiednich majątków, szpiegowałem parobków. Byłem przekonany, że ukrywają chłopaka przede mną. Podwyższyłem nagrodę i zagroziłem karabinierom, że spowoduję ich odwołanie za nieudolność, lecz wszystko to było bezskuteczne. Z godziny na godzinę narastał we mnie gniew. Zacząłem pić jak nigdy, więcej niż w czasach kawalerskich. Źle sypiałem i śniłem o Rosie. Pewnej nocy przyśniło mi się, że biję ją jak Clarę i że jej zęby też toczą się po podłodze, obudziłem się z krzykiem, ale byłem sam i nikt nie mógł mnie usłyszeć. Byłem tak zdeprymowany, że przestałem się golić, zmieniać odzież, chyba nawet się nie kąpałem. Jedzenie wydawało mi się kwaśne, w ustach czułem żółć. Nadwerężyłem sobie stawy w palcach bijąc pięściami w drzwi i zajeździłem konia, by spłoszyć furię, która zżerała mi trzewia. W tych dniach nikt się do mnie nie zbliżał, służący podawali do stołu trzęsąc się ze strachu, co pogarszało moje samopoczucie.

Pewnego dnia, gdy przed sjestą paliłem w korytarzu cygaro, podszedł śniadoskóry dzieciak i stanął przede mną w milczeniu. Nazywał się Esteban Garcia. Był to mój wnuk, ale ja o tym nie wiedziałem i dopiero teraz, na skutek strasznych rzeczy, które zdarzyły się za jego sprawą, dowiedziałem się o łączącym nas pokrewieństwie. Był to zarazem wnuk Panchy Garcii, jednej z sióstr Pedra Drugiego, której prawdę mówiąc nie przypominam sobie.

- Czego chcesz, smarkaczu? - zapytałem.

- Wiem, gdzie jest Pedro Trzeci Garcia - odrzekł. Podskoczyłem tak gwałtownie, że aż wywrócił się wiklinowy fotel, w którym siedziałem, chwyciłem chłopaka za ramiona i potrząsnąłem nim.

- Gdzie? Gdzie jest ten przeklęty łobuz? - zawołałem.

- Czy dacie mi nagrodę, panie? - wybełkotał przestraszony dzieciak.

- Dam! Lecz najpierw chcę mieć pewność, że mnie nie okłamujesz. Chodź, zaprowadź mnie do tego drania!

Poszedłem po fuzję i wyszliśmy. Dzieciak powiedział, że musimy pojechać konno, ponieważ Pedro Trzeci ukrywa się w tartaku Lebusów, w odległości kilku mil od Las Tres Marias. Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że może tam być? Była to doskonała kryjówka. O tej porze roku tartak ten, należący do Niemców, był zamknięty, a znajdował się z dala od wszelkich dróg.

- Jak się dowiedziałeś, że tam jest Pedro Trzeci Garcia?

- Wszyscy o tym wiedzą, tylko nie wy, panie - odparł. Pojechaliśmy kłusem, gdyż na tym terenie nie można było galopować. Tartak stoi na górskim zboczu, na którym nie można za bardzo forsować koni. Pnąc się pod górę, kopytami krzesały z kamieni iskry. Odgłos ich kopyt był chyba jedynym dźwiękiem, jaki rozlegał się w skwarze i spokoju popołudnia. Wkrótce krajobraz uległ zmianie, gdyż znaleźliśmy się w zalesionej okolicy i poczuliśmy chłód, ponieważ gęste rzędy drzew zagradzały drogę promieniom słońca. Ziemia była jak czerwonawy, pulchny dywan i nogi koni zapadały się miękko. Nastała zupełna cisza. Chłopak jechał przodem na oklep, przylepiony do konia, tak jakby stanowili jedność, a ja za nimi, milcząc i przeżuwając złość. Chwilami ogarniał mnie smutek i był silniejszy od irytacji, która lęgła się we mnie tyle czasu, silniejszy nawet od nienawiści, którą żywiłem do Pedra Trzeciego Garcii. Musiało minąć parę godzin, nim ujrzałem płaskie szopy tartaku, stojące półkolem na leśnej polanie. W tym miejscu zapach drewna i sosen był tak intensywny, że na moment odwrócił moją uwagę od celu wyprawy. Wzruszył mnie krajobraz, las, spokój. Lecz słabość ta nie trwała dłużej niż sekundę.

- Czekaj tu i pilnuj koni. Nigdzie nie odchodź! Zsiadłem. Dzieciak ujął cugle, a ja ruszyłem chyłkiem z gotową do strzału fuzją w ręku. Nie czułem sześćdziesięciu lat ani bólu w starych udręczonych kościach. Szedłem ożywiany myślą o zemście. Z jednej z szop wydobywał się wątły słup dymu; ujrzałem konia przywiązanego do drzwi i wywnioskowałem, że tam znajduje się Pedro Trzeci, toteż skierowałem się ku tej właśnie szopie, zataczając łuk. Zęby dzwoniły mi z niecierpliwości, szedłem myśląc o tym, że nie zabiję go od razu, pierwszym strzałem, ponieważ byłaby to bardzo szybka śmierć i cieszyłbym się nią najwyżej i minutę; tak długo na to czekałem, że chciałem delektować się chwilą, w której zrobię z niego sieczkę, lecz jednocześnie nie mogłem mu dać szansy ucieczki. Był ode mnie dużo młodszy i gdyby nie udało mi się go zaskoczyć, spieprzyłbym sprawę. Koszulę miałem przepoconą, przylepioną do ciała, oczy zachodziły mi mgłą, ale czułem się tak, jakbym miał dwadzieścia lat i był silny jak byk. Wszedłem po cichu do szopy, a serce biło mi jak bęben. Znalazłem się w środku obszernego składu, którego podłogę pokrywały trociny. Stały tam sterty tarcicy oraz kilka maszyn przykrytych kawałkami zielonego brezentu, które chroniły je przed kurzem. Posuwałem się kryjąc za stertami

tarcicy i oto nagle ujrzałem go. Pedro Trzeci Garcia leżał na podłodze na złożonej na pół derce; spał. Obok paliło się małe ognisko - rozżarzone węgle na paru kamieniach i gliniany garnek do gotowania wody. Stanąłem jak wryty i przyjrzałem się mu do woli, z całą nienawiścią, jaką zna ten świat, starając się zapamiętać na zawsze ciemne oblicze o dziecinnych niemal rysach, przy których broda wyglądała na sztuczną, i nie mogłem zrozumieć, co moja córka mogła widzieć w tym prostym, włochatym chłopie. Miał ze dwadzieścia pięć lat, ale we śnie wyglądał na chłopca. Musiałem zrobić duży wysiłek, by opanować drżenie rąk i dzwonienie zębów. Podniosłem fuzję i podszedłem doń na parę kroków. Byłem tak blisko, że mogłem rozwalić mu głowę nie celując, ale postanowiłem poczekać jeszcze parę sekund, by uspokoiło mi się tętno. Zgubiła mnie ta chwila wahania. Myślę, że nawyk ukrywania się wyostrzył słuch Pedra Trzeciego Garcii i instynkt dał mu znać o niebezpieczeństwie. W ułamku sekundy odzyskał świadomość, lecz nie otworzył oczu, postawił w stan alertu wszystkie mięśnie, napiął ścięgna i całą energię włożył w nieprawdopodobny skok, który w jednym zrywie rzucił go o metr od miejsca uderzenia kuli. Nie zdążyłem wycelować ponownie, ponieważ pochylił się, chwycił kawał drewna i rzucił nim we mnie; trafił prosto w fuzję, która poleciała daleko. Pamiętam, że bezbronny poczułem, jak ogarnia mnie panika, ale natychmiast dostrzegłem, że on jest bardziej przestraszony ode mnie. Obserwowaliśmy się w milczeniu, dysząc, jeden czekał na pierwszy ruch drugiego, by skoczyć. Wtedy zobaczyłem siekierę. Była tak blisko, że mogłem jej dosięgnąć bez trudu, i to właśnie uczyniłem nie zastanawiając się dwa razy. Chwyciłem siekierę i z dzikim krzykiem, który wyrwał mi się z samych trzewi, rzuciłem się nań gotów jednym ciosem rozpłatać go od góry do dołu. Siekiera zabłysła w powietrzu i spadła na Pedra Trzeciego Garcię. Strumień krwi zalał mi twarz.

W ostatniej chwili uniósł ramiona, by powstrzymać cios, i ostrze siekiery obcięło mu trzy palce prawej ręki. Z wysiłkiem zrobiłem krok do przodu i padłem na kolana. On zaś przyłożył rękę do piersi i zaczął uciekać, przeskoczył sterty tarcicy i pnie leżące na podłodze, dopadł konia, dosiadł go jednym susem i krzycząc straszliwie znikł mi z oczu wśród cieni sosen. Zostawił po sobie strumień krwi.

Sapałem klęcząc i podpierając się łokciami. Minęło kilka minut, zanim się uspokoiłem i zrozumiałem, że go nie zabiłem. Moją pierwszą reakcją było uczucie ulgi, bo gdy poczułem, jak gorąca krew tryska mi na twarz, nagle przeszła mi nienawiść i musiałem zdobyć się na wysiłek, by przypomnieć sobie, dlaczego chciałem go zabić, i uzasadnić wściekłość, która mnie zalewała, rozsadzała pierś, dzwoniła w uszach i przesłaniała mgłą oczy. Zdesperowany otworzyłem usta, usiłując wypełnić powietrzem płuca, i zdołałem podnieść się, ale zacząłem drżeć, zrobiłem parę kroków i opadłem na kupę desek, dostałem mdłości i nie mogłem przywrócić rytmu oddechowi. Myślałem, że zemdleję, serce skakało mi w piersi jak oszalała maszyna. Musiało upłynąć dużo czasu; nie wiem, jak długo to trwało. W końcu podniosłem wzrok, wstałem i odszukałem fuzję.

Dzieciak, Esteban Garcia, stał obok przyglądając mi się w milczeniu. Zebrał obcięte palce i trzymał je jak pęk zakrwawionych szparagów. Nie mogłem powstrzymać wymiotów, miałem usta pełne śliny, zwymiotowałem sobie na buty, podczas gdy chłopak uśmiechał się niewzruszony.

- Wyrzuć to, gówniarzu! - krzyknąłem i uderzyłem go ręką.

Palce upadły na trociny i zabarwiły je na czerwono.

Zabrałem fuzję i chwiejąc się ruszyłem ku wyjściu. Świeże wieczorne powietrze i przytłaczający zapach sosen uderzyły mnie w twarz i przywróciły poczucie rzeczywistości. Oddychałem chciwie, haustami. Z wielkim wysiłkiem poszedłem po konia, bolało mnie wszystko i zesztywniały mi ręce. Dzieciak szedł za mną.

Wróciliśmy do Las Tres Marias, szukając drogi w ciemnościach, które zapadły szybko, gdy tylko zaszło słońce. Drzewa utrudniały jazdę, konie potykały się o kamienie i wchodziły w krzaki, biły mnie gałęzie. Czułem się tak, jakbym znalazł się na innym świecie, miałem zmącony umysł i byłem przybity własną gwałtownością, wdzięczny losowi, że Pedro Trzeci uciekł, ponieważ miałem pewność, że gdyby upadł na podłogę, zarąbałbym go na śmierć, posiekał, pociął na kawałki z taką samą zaciekłością, z jaką byłem gotów wsadzić mu kulę w łeb.

Wiem, co ludzie mówią o mnie. Mówią między innymi, że zabiłem człowieka lub nawet kilku. Przypisano mi zabójstwa kilku chłopów. To nieprawda. Gdyby tak było, bez skrupułów przyznałbym się do tego, ponieważ w moim wieku można to czynić bezkarnie. Zostało mi niewiele czasu. Nigdy nikogo nie zabiłem i najbliżej zabójstwa byłem owego dnia, w którym chwyciłem siekierę i rzuciłem się na Pedra Trzeciego Garcię.

Dotarliśmy do domu w nocy. Z trudem zsiadłem z konia i poszedłem na taras. Zapomniałem zupełnie o dzieciaku, który mi towarzyszył, ponieważ przez całą drogę nie otworzył ust, toteż byłem zaskoczony, gdy pociągnął mnie za rękaw.

- Dacie mi nagrodę, panie? - zapytał. Odprawiłem go gestem ręki.

- Nie ma nagrody dla zdrajców, którzy donoszą. Ach! I zakazuję ci rozpowiadać o tym, co zaszło! Zrozumiałeś? - mruknąłem.

Wszedłem do domu i zaraz, prosto z butelki, napiłem się koniaku. Koniak spalił mi gardło i trochę rozgrzał. Potem, sapiąc, wyciągnąłem się na kanapie. Serce biło mi jeszcze bezładnie i miałem nudności. Wierzchem dłoni wytarłem łzy, które ciekły mi po policzkach.

Na zewnątrz, przed zamkniętymi drzwiami, stał Esteban Garcia. Podobnie jak ja, płakał ze złości.

BRACIA

Gdy Clara i Blanca przyjechały do stolicy, wyglądały żałośnie, jak ofiary klęski żywiołowej. Obie miały opuchnięte twarze, oczy zaczerwienione od płaczu i odzież pomiętą na skutek długiej podróży pociągiem. Blanca, słabsza od matki, choć dużo wyższa, młoda i ociężała, wzdychała na jawie i szlochała we śnie; lamentowała nieprzerwanie od dnia, w którym dostała cięgi. Lecz Clara nie miała cierpliwości do nieszczęść, toteż gdy tylko dotarły do wielkiego domu narożnego, który stał pusty i ponury jak mauzoleum, uznała, że dość już szlochań i narzekań i że czas radować się życiem. Zmusiła córkę, by pomogła jej zatrudnić nową służbę, otworzyć lufciki, zdjąć prześcieradła z mebli, pokrowce z lamp, kłódki z drzwi, odkurzyć i wpuścić światło i powietrze. Były tym zajęte, gdy dom zalał znajomy zapach leśnych fiołków i okazało się, że z wizytą przyszły trzy siostry Mora, kierujące się telepatią lub po

prostu przeczuciem. Ich radosna paplanina, zimne kompresy, pociecha duchowa i naturalny czar sprawiły, że matka i córka przyszły do siebie po kontuzjach ciała i bolączkach ducha.

- Trzeba będzie kupić ptaki - powiedziała Clara, patrząc przez okno na puste klatki i zapuszczony ogród, w którym sterczały nagie, opaskudzone przez gołębie posągi bogów Olimpu.

- Nie rozumiem, jak mama może myśleć o ptakach, gdy brakuje jej zębów - zauważyła Blanca, która nie mogła przyzwyczaić się do nowego, bezzębnego oblicza matki.

Clara na wszystko znalazła czas. Po paru tygodniach stare klatki były pełne nowych ptaków; kazała też zrobić sobie protezę z porcelany, która dzięki pomysłowemu mechanizmowi trzymała się pozostałych zębów trzonowych, ale okazała się ona tak niewygodna, że wolała nosić sztuczną szczękę na tasiemce zawieszonej na szyi. Zakładała ją tylko podczas posiłków i czasami podczas spotkań towarzyskich. Przywróciła domowi życie. Kazała kucharce podtrzymywać przez cały czas ogień w palenisku i być zawsze przygotowaną do wyżywienia zmiennej liczby gości. Wiedziała, co mówi. Po kilku dniach zaczęli przychodzić jej przyjaciele różokrzyżowcy, spirytyści, teozofowie, specjaliści od akupunktury i telepatii, a także od sprowadzania deszczu, perypatetycy, adwentyści, artyści w potrzebie lub w niełasce i wszyscy inni, którzy zazwyczaj stanowili jej dwór. Clara królowała wśród nich jak mała, radosna i bezzębna monarchini. W tym okresie zaczęła podejmować pierwsze poważne próby porozumiewania się z istotami pozaziemskimi i - jak zapisała - ogarnęły ją po raz pierwszy wątpliwości co do pochodzenia przesłań duchowych, które otrzymywała za pośrednictwem wahadełka i stolika na trzech nogach. Często mawiała, że być może nadają je nie duchy zmarłych włóczące się w innych wymiarach, lecz po prostu istoty z innych planet, które usiłują nawiązać kontakt z mieszkańcami Ziemi, lecz ponieważ są z jakiejś nieuchwytnej materii, łatwo można pomylić je z duchami. To wyjaśnienie naukowe zachwyciło Nicolasa, ale nie znalazło uznania trzech sióstr Mora, które były bardzo konserwatywne.

Blanca żyła z dala od tego rodzaju wątpliwości. Istoty z innych planet należały w jej mniemaniu do tej samej kategorii co duchy, toteż nie mogła zrozumieć, dlaczego matka i jej przyjaciele tak pasjonują się ich identyfikacją. Była bardzo zajęta w domu, ponieważ Clara nie zwracała uwagi na sprawy domowe twierdząc, że nigdy nie miała do nich zamiłowania. Utrzymanie ładu w wielkim domu wymagało armii służących, a obsługa dworu matki byłaby niemożliwa bez stałych dyżurów w kuchni. Dla jednych trzeba było gotować ziarniste jarzyny i parzyć zioła, dla innych przyrządzać zieleninę i surowe ryby, trzem siostrom Mora podawać owoce i zsiadłe mleko, Jaime i Nicolasowi pożywne dania mięsne, słodycze i inne trucizny, gdyż mieli wiecznie niezaspokojony apetyt i nie nabrali jeszcze własnych nawyków kulinarnych. Z biegiem czasu obaj zaczęli głodować

- Jaime przez solidarność z ubogimi, a Nicolas po to, by oczyścić duszę. Lecz w tym okresie byli jeszcze krzepkimi młodzieńcami pragnącymi korzystać Z przyjemności życia.

Jaime wstąpił na uniwersytet, natomiast Nicolas wałęsał się szukając swojego przeznaczenia. Mieli prehistoryczny automobil, nabyty za zyski ze skradzionych z

domu rodzinnego srebrnych tac. Nazwali go Covadonga na cześć dziadków del Valle. Covadongę tyle razy rozbierano i składano ponownie z części od innych wehikułów, że rzadko jeździła. Czyniła to z trzaskiem silnika, który nadawał się na szmelc, wydalając rurą wydechową dym i śruby. Bracia korzystali zgodnie z samochodu - Jaime w dni parzyste, Nicolas w nieparzyste.

Clara była szczęśliwa, że mieszka z synami, i zabiegała o ich przyjaźń. Miała z nimi niewiele kontaktów, gdy byli dziećmi, i powodowana pragnieniem, by „stali się mężczyznami", straciła najlepsze godziny w życiu swoich synów, wystrzegając się okazywania im czułości. Teraz, gdy byli już fizycznie dorośli i w końcu zmężnieli, mogła sobie pozwolić na luksus pieszczenia ich w taki sposób, w jaki powinna była to czynić, gdy byli mali, lecz było na to za późno, ponieważ bliźniacy wychowali się bez jej pieszczot i teraz już ich nie potrzebowali. Uświadomiła sobie, że nie należą do niej. Nie straciła z tego powodu głowy ani pogody ducha. Zaakceptowała chłopców takimi, jakimi byli, i była gotowa cieszyć się ich obecnością nie prosząc o nic w zamian.

Blanca natomiast narzekała, gdyż czynili z domu śmietnik. Zostawiali po sobie bałagan, wszystko psuli i hałasowali. Dziewczyna grubiała w oczach, robiła się coraz bardziej apatyczna i była w coraz gorszym humorze. Jaime przyjrzał się brzuchowi siostry i poszedł do matki.

- Myślę, że Blanca jest w ciąży, mamo - powiedział bez ogródek.

- Tak przypuszczałam - westchnęła Clara.

Blanca nie zaprzeczyła i gdy fakt ten uzyskał potwierdzenie, Clara zanotowała go swym pięknym okrągłym pismem w pamiętniku. Nicolas podniósł wzrok znad chińskiego horoskopu i zasugerował, że należy powiadomić ojca, ponieważ za parę tygodni nie będzie już można dłużej tego ukrywać i wszyscy się dowiedzą.

- Nigdy nie powiem, kto jest ojcem! - oświadczyła stanowczo Blanca.

- Nie chodzi mi o ojca dziecka, lecz o naszego ojca - odparł brat. - Tata ma prawo dowiedzieć się o tym od nas, nim dowie się od innych.

- Wyślijcie telegram na wieś - zaproponowała smutnym tonem Clara. Była świadoma, że gdy Esteban Trueba dowie się o ciąży Blanki, zrobi się z tego tragedia.

Nicolas zredagował depeszę w tym samym kryptograficznym stylu, jakim pisał wiersze dla Amandy, aby telegrafista w osadzie nie zrozumiał jego treści i nie rozpuścił plotek: „Wyślijcie instrukcje na białym pasku. Stop". Podobnie jak telegrafista, Esteban Trueba nie mógł rozszyfrować treści depeszy i musiał zadzwonić do domu w stolicy. Wyjaśnienie, o co chodzi, przypadło w udziale Jaime; dodał on przy tym, że ciąża jest tak zaawansowana, iż w grę nie wchodzi żaden drastyczny zabieg. Po drugiej stronie zapanowała długa i straszna cisza, po czym ojciec odłożył słuchawkę. W Las Tres Marias Esteban Trueba, siny z zaskoczenia i wściekłości, chwycił laskę i po raz drugi rozbił nią aparat telefoniczny. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego własna córka może popełnić tak nierozważny czyn. Ponieważ zaś wiedział, kim jest ojciec, w jednej sekundzie pożałował, że nie wpakował mu kuli w łeb, gdy była okazja. Miał pewność, że skandal będzie taki sam,

gdy powije bękarta, jak gdy wyjdzie za chłopskiego syna - tak czy owak społeczeństwo skaże ją na ostracyzm.

Przez kilka godzin krążył długim krokiem po domu, waląc laską w meble i ściany, złorzecząc przez zęby i knując szalone plany - od wysłania Blanki do klasztoru w Estremadurze po zatłuczenie jej na śmierć. W końcu, gdy trochę się uspokoił, przyszła mu do głowy zbawienna myśl. Kazał osiodłać konia i pogalopował do osady.

Odnalazł Jeana de Satigny, którego nie widział od owej nieszczęsnej nocy, kiedy to wstał i poszedł położyć kres amorom Blanki. W jedynej cukierni w osadzie francuski hrabia popijał niesłodzony sok z melona w towarzystwie syna Indalecia Aguirrazabala, wystrojonego fircyka, który mówił dyszkantem i recytował Rubena Dano. Bez cienia szacunku Esteban Trueba uniósł hrabiego za klapy szkockiego surduta i na oczach zdumionych klientów wyciągnął go z cukierni niemal unosząc, po czym postawił na chodniku.

- Sprawił mi pan wiele kłopotów, młody człowieku. Najpierw tymi przeklętymi szynszylami, a potem zalecaniem się do mojej córki. Mam już tego dość. Proszę pójść po swoje klamoty, ponieważ pojedzie pan ze mną do stolicy. Ożeni się pan z Blanką.

Nie pozwolił mu otrząsnąć się z osłupienia. Poszedł z nim do hotelu, gdzie czekał z biczem w jednej i laską w drugiej ręce, podczas gdy Jean de Satigny pakował walizki. Następnie zaprowadził go prosto na stację i nie pytając o zdanie wsadził do pociągu. Podczas podróży hrabia starał się wyjaśnić, że nie ma nic wspólnego z tą sprawą i że nigdy nie tknął Blanki Trueby nawet palcem, a odpowiedzialność za to, co się stało, ponosi prawdopodobnie brodaty mnich, z którym Blanca spotykała się nocami nad rzeką. Esteban Trueba poraził go dzikim spojrzeniem.

- Nie wiem, o czym mówisz, synu. To ci się przyśniło - rzekł.

Trueba przystąpił do wyjaśnienia klauzul kontraktu małżeńskiego, co znacznie uspokoiło Francuza. Posag, miesięczna renta i możliwość odziedziczenia fortuny czyniły z Blanki dobrą partię.

- Jak pan widzi, jest to lepszy interes niż szynszyle - zamknął sprawę przyszły teść, nie zwracając uwagi na nerwowy szloch młodzieńca.

Tak oto w sobotę Esteban Trueba przybył do wielkiego domu narożnego z mężem dla zdeflorowanej córki i ojcem dla bękarta. Ze złości ciskał gromy. Jednym ruchem ręki wywrócił u wejścia kwietnik z chryzantemami, spoliczkował Nicolasa, który chciał się wtrącić i wyjaśnić sytuację, oraz wrzasnął, że nie chce widzieć Blanki i że ma ona siedzieć pod kluczem aż do dnia zaślubin. Clara nie wyszła mu na spotkanie. Została u siebie i nie otworzyła mu nawet wtedy, gdy dobijając się do jej drzwi złamał okutą srebrem laskę.

Dom pogrążył się w wirze spraw i kłótni. Atmosfera zrobiła się nieznośna i nawet ptaki zamilkły w klatkach. Służący w biegu wykonywali rozkazy popędliwego i gwałtownego pana, który domagał się, by bezzwłocznie zaspokajano każde jego życzenie. Clara żyła jak dotąd, ignorując męża i nie odzywając się doń zupełnie. Narzeczonego, a właściwie więźnia przyszłego teścia, umieszczono w jednym z

licznych pokoi gościnnych, gdzie przez cały dzień krążył tam i z powrotem, nie widując się z Blanką i nie rozumiejąc, jakim cudem stał się jednym z bohaterów tej powieści w odcinkach. Nie wiedział, czy rozpaczać, że padł ofiarą barbarzyńskich tubylców, czy cieszyć się, że może spełnić marzenie o ożenku z młodą i czarującą dziedziczką południowoamerykańską. Ponieważ był z temperamentu optymistą i miał zmysł praktyczny właściwy ludziom jego rasy, wybrał w końcu to drugie i po tygodniu się uspokoił.

Esteban Trueba postanowił, że ślub odbędzie się za piętnaście dni. Uznał, że najlepszym sposobem na uniknięcie skandalu jest wyjście mu naprzeciw ze spektakularnym weselem. Chciał, żeby ślubu udzielił córce biskup, żeby wystąpiła w białej sukni z sześciometrowym ogonem niesionym przez drużbów i druhny, żeby zdjęcia ukazały się w gazecie w kronice towarzyskiej, a wesele odbyło się jak na dworze Kaliguli - fanfary miały rozbrzmiewać tak głośno, a pieniędzy miano roztrwonić tak dużo, by nikt nie przyglądał się brzuchowi panny młodej. Jedyną osobą, która sekundowała mu w tych planach, był Jean de Satigny.

Po raz pierwszy od chwili skatowania córki Esteban Trueba ujrzał Blankę w dniu, w którym wezwał ją do siebie i nakazał pójść do krawca i przymierzyć suknię ślubną. Przestraszył się widząc, jak bardzo jest gruba i że ma plamy na twarzy.

- Nie wyjdę za mąż, ojcze - rzekła.

- Zamilcz! - ryknął. - Wyjdziesz, ponieważ nie chcę bękartów w rodzinie, słyszysz?

- Sądziłam, że mamy już kilku - odparła Blanca.

- Nie odszczekuj się! Chcę, żebyś wiedziała, że Pedro Trzeci Garcia nie żyje. Zabiłem go własnymi rękami, toteż zapomnij o nim i postaraj się być żoną godną człowieka, który zaprowadzi cię do ołtarza.

Blanca rozpłakała się i płakała niezmordowanie przez następne dni.

Ślub, którego nie chciała, odbył się w katedrze, z błogosławieństwem biskupa; wystąpiła w królewskiej sukni uszytej przez najlepszego w kraju krawca, który dokonał cudów, by wydatny brzuch panny młodej zamaskować kwiatami i grecko-rzymskimi plisami. Kulminacją zaślubin było spektakularne wesele z udziałem pięciuset gości w galowych strojach, którzy zrobili najazd na wielki dom narożny, z wynajętą orkiestrą, skandalicznie wielką liczbą sztuk zaszlachtowanego na tę okazję bydła, którego mięso wybornie przyprawiono, ze świeżymi owocami morza, z kawiorem, łososiem z Norwegii, ptakami nadziewanymi truflami, potokami egzotycznych napojów alkoholowych, nie kończącym się strumieniem szampana, zbytkiem słodyczy: bez, eklerków, ciasta francuskiego, ciasta z pudrem oraz wielkich kielichów mrożonych owoców: truskawek z Argentyny, kokosów z Brazylii, papai z Chile, ananasów z Kuby i innych delicji, które trudno nawet zapamiętać; zastawiono tym wszystkim niebywale długi stół wijący się przez cały ogród i zakończony olbrzymim trzypiętrowym tortem, wyprodukowanym przez włoskiego mistrza rodem z Neapolu, przyjaciela Jeana de Satigny, który ze skromnych surowców - jaj, mąki i cukru - stworzył replikę Akropolu uwieńczoną chmurą z bez, pośród której spoczywało dwoje mitologicznych kochanków, Wenus i Adonis, wykonanych z farbowanej masy migdałowej, tak żeby uzyskać imitację różu ciała, płowości włosów,

kobaltowego błękitu oczu, obok nich umieszczono grubiutkiego Kupidyna, też jadalnego. Dumny pan młody, któremu towarzyszyła smutna panna młoda, rozciął ten tort srebrnym nożem.

Clara, która od początku sprzeciwiała się pomysłowi wydania Blanki za mąż wbrew jej woli, postanowiła nie uczestniczyć w weselu. Została w szwalni, opracowując smutne przepowiednie dotyczące nowożeńców; wróżby te spełniły się co do joty, o czym wszyscy mogli się wkrótce przekonać. W końcu przyszedł mąż i ubłagał ją, by przebrała się i wyszła do ogrodu choćby na dziesięć minut, dając w ten sposób odpór plotkom. Clara uczyniła to niechętnie, lecz z miłości do córki założyła sztuczną szczękę i postarała się uśmiechać do wszystkich obecnych.

Jaime zjawił się pod koniec wesela, ponieważ pracował do późna w szpitalu dla ubogich, gdzie zaczął swoją pierwszą praktykę jako student medycyny. Nicolas przyszedł w towarzystwie pięknej Amandy, która właśnie odkryła Sartre'a i nabrała fatalnych manier egzystencjalistów europejskich; wystąpiła cała na czarno, blada, z mauretańskimi oczyma podczernionymi kholem, ciemnymi rozpuszczonymi włosami, długimi do pasa, oraz przystrojona brzęczącymi łańcuchami, bransoletkami i kolczykami, które, gdy przechodziła, wywoływały poruszenie wśród gości. Nicolas był natomiast ubrany na biało, jak pielęgniarz, a szyję miał obwieszoną amuletami. Na spotkanie wyszedł mu ojciec, wziął pod ramię i siłą zaprowadził do łazienki, gdzie bezceremonialnie pozrywał zeń talizmany.

- Idź do pokoju i załóż przyzwoity krawat! Wracaj na wesele i zachowuj się jak kawaler z dobrej rodziny! Niech ci nie przyjdzie do głowy propagowanie wśród gości jakiejś heretyckiej religii i powiedz tej czarownicy, która ci towarzyszy, żeby zasłoniła dekolt! - rozkazał synowi Esteban.

Nicolas uległ nie ukrywając złego humoru. W zasadzie był abstynentem, lecz ze złości wychylił parę kieliszków, stracił głowę i w ubraniu wskoczył do fontanny w ogrodzie, skąd trzeba go było wyciągnąć wraz z jego zmokłą godnością.

Blanca spędziła całą noc na siedząco, z osłupieniem na twarzy obserwując tort i płacząc, podczas gdy jej rozpromieniony mąż krążył wśród gości, tłumacząc nieobecność teściowej atakiem astmy, a płacz panny młodej weselnym wzruszeniem. Nikt mu nie uwierzył. Jean de Satigny całował Blankę w szyję, brał ją za rękę i starał się pocieszać szampanem i z miłością wybieranymi krewetkami, które podawał własnoręcznie, lecz wszystko to na nic się nie zdało, bo wciąż płakała. Mimo to wesele było takim wydarzeniem, jakie zaplanował Esteban Trueba. Goście jedli do syta i pili na umór i świt zastał ich tańczących przy dźwiękach orkiestry, podczas gdy w śródmieściu grupy bezrobotnych ogrzewały się przy małych ogniskach paląc gazety, bandy młodych ludzi w brązowych koszulach defilowały z wyciągniętymi przed siebie ramionami, tak jak to widziano na filmach o Niemczech, a w lokalach partii politycznych kończono przygotowania do kampanii wyborczej.

- Wygrają socjaliści - orzekł Jaime, zaślepiony na skutek ciągłego obcowania z proletariatem w szpitalu dla ubogich.

- Nie, synu, wygrają ci sami co zawsze - replikowała Clara, która wyczytała to z kart, a ponadto kierowała się zdrowym rozsądkiem.

Po weselu Esteban Trueba zabrał zięcia do biblioteki i wręczył mu czek. Był to prezent ślubny. Wszystko załatwił tak, żeby państwo młodzi wyjechali na północ kraju, gdzie Jean de Satigny miał zamiar osiąść na stałe i żyć z renty małżonki, z dala od komentarzy ludzi spostrzegawczych, którzy nie omieszkaliby zwrócić uwagi na jej przedwcześnie wzdęty brzuch. Planował, że zrobi interes na handlu amforami kultury Diagita [kultura przedkolumbijska na północnym zachodzie obecnej Argentyny, zachowało się po niej wiele zabytków, głównie ceramika i wyroby z miedzi, brązu, złota i srebra.] i mumiami indiańskimi.

Nim państwo młodzi opuścili gości, poszli pożegnać się z matką. Clara wzięła na stronę Blankę, która ciągle płakała, i porozmawiała z nią w sekrecie.

- Przestań płakać, córeczko. Tyle łez zaszkodzi dziecku i być może nie przyniesie szczęścia - rzekła. Blanca zareagowała na to szlochem. - Pedro Trzeci Garcia żyje, córko - dodała Clara. Blanca przełknęła czkawkę i wytarła nos.

- Skąd wiesz, mamo? - zapytała.

- Ponieważ to mi się wyśniło - odpowiedziała Clara.

To wystarczyło, by Blanca uspokoiła się zupełnie. Otarła łzy, podniosła głowę i nie zapłakała już do dnia, w którym - siedem lat później - zmarła matka, choć przez ten czas nie brakło jej cierpień, samotności i innych powodów do płaczu.

Clara, odseparowana od córki, z którą zawsze była bardzo związana, przeżyła kolejny okres konfuzji i depresji. Prowadziła ten sam co dawniej tryb życia, wielki dom był zawsze otwarty i pełen ludzi, nadal odbywały się w nim zebrania spirytystów i wieczory literackie, lecz nie potrafiła już śmiać się radośnie i często patrzyła nieruchomym wzrokiem przed siebie, zatracając się w swoich myślach. Usiłowała ustanowić system bezpośredniego porozumiewania się z Blanką, który pozwoliłby obejść opóźnienia łączności pocztowej, lecz telepatia nie zawsze funkcjonowała i nie było pewności co do prawidłowego odbioru przesłań. Stwierdziła, że łączność telepatyczna ulega niemożliwym do skontrolowania zakłóceniom i że to, co chciała przekazać, rozumiano inaczej, niż należało. Poza tym Blanca nie była skłonna do eksperymentów psychicznych i choć zawsze znajdowała się blisko matki, nigdy nie okazała najmniejszego zainteresowania tego rodzaju zjawiskami. Była kobietą praktyczną, chodzącą po ziemi i nieufną, i jej nowoczesna, pragmatyczna natura stanowiła poważną przeszkodę dla telepatii. Clara musiała zdać się na metody konwencjonalne. Matka i córka pisywały do siebie prawie codziennie i ich obfita korespondencja zastąpiła na kilka miesięcy zapisy Clary. W ten sposób Blanca dowiadywała się o wszystkim, co działo się w wielkim domu narożnym, i mogła ulegać złudzeniu, że nadal jest z rodziną, a małżeństwo to tylko zły sen.

Tego roku drogi Jaime i Nicolasa rozeszły się ostatecznie, ponieważ ich charaktery były nie do pogodzenia. Nicolasa pochłonęła w tym czasie nowość w postaci tańca flamenco, którego - jak twierdził - nauczył się od Cyganów w grotach Grenady, choć w rzeczywistości nigdy nie wyjeżdżał z kraju, lecz jego siła przekonywania była tak wielka, że nawet w jego własnej rodzinie zaczęto mieć w tej sprawie wątpliwości. Na najmniejsze słowo zachęty reagował popisem. Wskakiwał w jadalni na stół - wielki dębowy stół, na którym wiele lat wcześniej wystawiono zwłoki Rosy i który odziedziczyła Clara - i zaczynał klaskać bez opamiętania, przytupywać konwulsyjnie,

skakać i wydawać ostre okrzyki, aż w końcu przyciągał wszystkich domowników, niektórych sąsiadów, a raz nawet karabinierów, którzy przyszli z wyciągniętymi pałkami, lecz skończyli jak wszyscy klaszcząc i krzycząc ole. Stół znosił bohatersko te popisy, ale po tygodniu wyglądał tak, jakby służył rzeźnikowi do ćwiartowania byczków. W ówczesnej zamkniętej społeczności stołecznej flamenco nie reprezentowało żadnej wartości użytkowej, lecz Nicolas dał w gazecie dyskretne ogłoszenie, oferując swoje usługi w charakterze nauczyciela ognistego tańca. Następnego dnia miał jedną uczennicę, a po tygodniu rozeszła się wieść o jego uroku. Dziewczyny schodziły się tłumnie, początkowo zawstydzone i onieśmielone, lecz on zaczynał trzepotać się wokół nich, przytupywać obejmując je w pasie, uśmiechać się uwodzicielsko i po chwili udawało mu się je rozochocić. Lekcje okazały się sukcesem. Stół w jadalni omal nie poszedł w rozsypkę, Clara zaczęła skarżyć się na migrenę, a Jaime zamykał się w pokoju usiłując się uczyć z kulkami wosku w uszach. Gdy Esteban Trueba dowiedział się, co się dzieje w domu pod jego nieobecność, ogarnęła go słuszna i straszna złość i zakazał synowi czynić z domu akademię tańca flamenco lub czegokolwiek innego. Nicolas musiał zrezygnować ze swoich konwulsji, lecz doświadczenie to pozwoliło mu stać się najpopularniejszym młodzieńcem sezonu, królem zabaw i wszystkich serc niewieścich, ponieważ podczas gdy inni studiowali, nosili szare dwurzędowe garnitury i w rytmie bolera hodowali wąsy, on głosił wolną miłość, cytował Freuda, pijał pernoda i tańczył flamenco. Sukcesy towarzyskie nie osłabiły jednak jego zainteresowania dla umiejętności psychicznych matki. Bezskutecznie starał się ją naśladować. Przykładał się do tego z zapałem, praktykował do tego stopnia, że stawało się to groźne dla jego zdrowia, i uczestniczył w piątkowych spotkaniach z siostrami Mora mimo wyraźnego zakazu ojca, który obstawał przy poglądzie, że nie są to sprawy męskie. Clara usiłowała pocieszać go w obliczu porażek, które ponosił.

- Tego nie można się nauczyć ani odziedziczyć, synu - mówiła, widząc, że od zbytniej koncentracji dostaje zeza, wysilając się ponad miarę, by, nie dotykając, poruszyć solniczkę.

Trzy siostry Mora bardzo lubiły tego chłopaka. Pożyczały mu sekretne książki i pomagały rozszyfrowywać horoskopy i karty. Siadały przy nim, brały go za rękę, by przekazać mu zbawienne fluidy, lecz to też nie było w stanie obdarzyć go władzami mentalnymi. Chroniły jego amory z Amandą. Początkowo dziewczyna zdawała się zafascynowana trójnożnym stolikiem i długowłosymi artystami w domu Nicolasa, lecz wkrótce zmęczyło ją wywoływanie duchów i recytowanie poety, którego wiersze przekazywano sobie z ust do ust, i zaczęła pracować w jakiejś gazecie jako reporterka.

- To szachrajska profesja - orzekł Esteban Trueba, gdy się o tym dowiedział.

Nie czuł do niej sympatii. Nie miał ochoty jej widywać w swoim domu. Uważał, że ma zły wpływ na syna i że jej długie włosy, umalowane oczy i świecidełka są objawami ukrytej przywary, a w skłonności do zdejmowania butów i siadania na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, jak Indianin, upatrywał maniery chłopczycy.

Amanda miała bardzo pesymistyczny światopogląd i aby sprostać depresjom, paliła haszysz. Nicolas towarzyszył jej w tym. Clara zauważyła, że syn przeżywa złe chwile, lecz nawet nadzwyczajna intuicja nie pozwoliła jej skojarzyć orientalnych fajek, które palił, z obłędnym oszołomieniem, w które popadał, z okazjonalną śpiączką i atakami

nieuzasadnionej wesołości, ponieważ nigdy nie słyszała o tym ani o żadnym innym narkotyku. „To młodzieńcza choroba, to minie", mawiała, gdy zachowywał się jak lunatyk, zapominając, że Jaime urodził się tego samego dnia i nie doświadczał podobnego delirium.

Szaleństwa Jaime były zupełnie odmienne. Miał powołanie do poświęcenia i surowego trybu życia. W szafie miał tylko trzy koszule i dwie pary spodni. Clara co roku robiła skwapliwie przez całą zimę na drutach odzież ze zwykłej wełny, by chodził ciepło ubrany, ale on nosił ją tylko dopóty, dopóki ktoś bardziej potrzebujący nie stanął mu na drodze. Wszystkie pieniądze otrzymane od ojca trafiały do kieszeni nędzarzy, którymi opiekował się w szpitalu. Gdy wychudzony pies pobiegł za nim ulicą, udzielał mu schronienia w domu, a gdy dowiadywał się o porzuconym dziecku, samotnej matce lub bezradnej staruszce potrzebującej opieki, przyprowadzał ich prosząc matkę, by się nimi zajęła. Clara stała się ekspertem w dziedzinie dobroczynności, znała wszystkie schroniska państwowe i kościelne, w których można było umieścić nieszczęśników, a gdy zabiegi kończyły się fiaskiem, udzielała im gościny w domu. Przyjaciółki bały się jej, ponieważ ilekroć przychodziła do nich z wizytą, powodem była jakaś prośba. W ten sposób rozszerzała się siatka podopiecznych Clary i Jaime; nie prowadzili listy osób, którym udzielali pomocy, toteż dziwili się, gdy niespodziewanie zjawiał się ktoś, kto dziękował im za wyświadczoną przysługę, a oni nie pamiętali, co zrobili. Jaime podchodził do studiów medycznych jak do powołania religijnego. Wydawało mu się, że wszelka rozrywka, która odciągałaby go od książek lub zabierała mu czas, byłaby zdradą wobec ludzkości, której poprzysiągł służyć. „Ten chłopak powinien był zostać księdzem", mawiała Clara. W przekonaniu Jaime, któremu księże śluby skromności, ubóstwa i czystości wcale by nie przeszkadzały, religia była przyczyną połowy nieszczęść na tym świecie, toteż złościł się, gdy matka wyrażała tego rodzaju poglądy. Mówił, że chrześcijaństwo, podobnie jak prawie wszystkie przesądy, czyni człowieka słabym i zrezygnowanym i że nie należy oczekiwać nagrody w niebie, lecz walczyć o swoje prawa na ziemi.

O sprawach tych dyskutował w cztery oczy z matką, gdyż z Estebanem Truebą było to niemożliwe - ojciec szybko tracił cierpliwość i kończyło się na krzykach i trzaskaniu drzwiami, ponieważ, jak mówił, ma dość życia wśród czystych szaleńców, pragnie jedynie odrobiny normalności, lecz miał pecha i ożenił się z dziwaczką i spłodził troje narwańców i nicponi, którzy napełniają goryczą jego egzystencję. Jaime nie dyskutował z ojcem. Przechodził przez pokoje jak cień, całował w roztargnieniu matkę, gdy ją spotykał, i kierował się prosto do kuchni, gdzie na stojąco zjadał resztki posiłków, a następnie zamykał się u siebie, gdzie czytał i studiował. Jego sypialnia była tunelem pośród książek; wszystkie ściany od samej podłogi do sufitu pokrywały drewniane regały wypełnione woluminami, których nikt nie odkurzał, ponieważ Jaime wychodząc zamykał drzwi na klucz. Były to wprost idealne gniazda dla pająków i myszy. Na środku pokoju stało łóżko, a raczej żołnierska prycza, którą u wezgłowia oświetlała goła żarówka zwisająca z sufitu. Podczas pewnego trzęsienia ziemi, które Clara zapomniała przepowiedzieć, usłyszano huk wykolejonego pociągu i gdy zdołano otworzyć drzwi, okazało się, że łóżko zasypała góra książek Regały pospadały ze ścian i przytłoczyły Jaime. Gdy go wydobyto, nie miał na sobie nawet zadraśnięcia. Clara, zdejmując zeń książki, przypomniała sobie o trzęsieniu ziemi i pomyślała, że chwilę tę już kiedyś przeżyła. Przy okazji otrzepano książki z kurzu i miotłą przepędzono robactwo i owady.

Jaime ogniskował wzrok na domowych realiach tylko wtedy, gdy widział Amandę przechadzającą się pod rękę z Nicolasem. Rzadko zwracał się do niej i rumienił się gwałtownie, gdy ona to czyniła. Odnosił się nieufnie do jej egzotycznego wyglądu i był przekonany, że gdyby czesała się jak wszystkie kobiety i starła makijaż, wyglądałaby jak chuda, zielonkawa mysz. Nie mógł jednak oderwać od niej oczu. Brzęk bransoletek, który towarzyszył dziewczynie, odwracał jego uwagę od nauki i musiał czynić wielkie wysiłki, by nie chodzić za nią po domu jak zahipnotyzowana kura. Dopiero leżąc w łóżku i nie mogąc skupić się na lekturach, wyobrażał sobie Amandę nagą, spowitą w długie włosy, z hałaśliwymi ozdobami, niczym boginkę.

Jaime był samotnikiem. Był dzieckiem nietowarzyskim, a później nieśmiałym mężczyzną. Nie lubił sam siebie i być może dlatego uważał, że nie zasługuje na miłość innych. Najmniejszy przejaw troskliwości czy wdzięczności, który mu okazywano, powodował u niego zawstydzenie i sprawiał mu przykrość. Amanda stanowiła dlań esencję wszelkiej kobiecości i - jako że była towarzyszką Nicolasa - wszystkiego co zakazane. Swobodna, uczuciowa i awanturnicza osobowość tej młodej kobiety fascynowała go, a wygląd myszy w przebraniu wywoływał u niego dręczące popędy opiekuńcze. Pożądał jej boleśnie, lecz nigdy nie odważył się przyznać do tego, nawet w najtajniejszych myślach.

W tym czasie Amanda często odwiedzała Truebów. W gazecie miała nienormowany czas pracy i gdy tylko mogła, przychodziła razem ze swym bratem Miguelem do wielkiego domu narożnego; obecność obojga nie zwracała uwagi w tym budynku, w którym zawsze panował ruch i kręciło się mnóstwo gości. Miguel miał wówczas mniej więcej pięć lat, był cichy i schludny, nie wywoływał zamieszania, nie rzucał się w oczy, był jak deseń na tapecie lub jak mebel, bawił się sam w ogrodzie i chodził po całym domu za Clarą nazywając ją mamą. Ponieważ na dodatek mówił do Jaime „tato”, przypuszczano, że Amanda i Miguel są sierotami. Amanda wszędzie chodziła z bratem, zabierała go ze sobą do pracy, przyzwyczaiła jeść wszystko i o każdej porze, spać w najbardziej niewygodnych miejscach. Otaczała Miguela namiętną i gwałtowną czułością, pieściła jak pieska, krzyczała nań, gdy się gniewała, po czym biegła go uściskać. Nikomu nie pozwalała karcić brata ani wydawać mu poleceń, nie akceptowała komentarzy o dziwnym trybie życia, który dziecko musi prowadzić, i broniła go jak lwica, choćby nikt nie miał zamiaru go atakować. Jedyną osobą, której pozwalała wyrażać opinie o wychowaniu Miguela, była Clara; udało się jej przekonać Amandę, że należy posłać chłopca do szkoły, by nie wyrósł na pustelnika-analfabetę. Clara nie była zagorzałą zwolenniczką regularnej edukacji, lecz uważała, że w przypadku Miguela należy zapewnić chłopcu kilka godzin dyscypliny i współżycia z rówieśnikami. Sama zapisała go do szkoły, kupiła mu przybory szkolne i mundurek i pierwszego dnia zaprowadziła tam wraz z Amandą.

W drzwiach szkoły Amanda i Miguel tak się ściskali, płacząc przy tym, że nauczycielce nie udało się oderwać dziecka od spódnicy siostry, której trzymał się z całej siły, piszcząc i kopiąc desperacko każdego, kto się zbliżył. W końcu z pomocą Clary nauczycielka wciągnęła chłopca do środka i zamknęła za nim drzwi na klucz. Amanda przesiedziała całe przedpołudnie na chodniku. Clara towarzyszyła jej, gdyż czuła się winna cudzego bólu i zaczęła wątpić w mądrość swojej inicjatywy. W południe rozległ się dzwonek i otworzono drzwi. Wyszła gromada uczniów, a wśród nich, grzeczny, milczący, wcale nie załzawiony, z nosem usmarowanym ołówkiem, w skarpetkach połkniętych przez buty, zjawił się mały Miguel, który w ciągu tych paru godzin nauczył się obracać w świecie bez potrzeby trzymania siostry za rękę.

Amanda przycisnęła go gwałtownie do piersi i w chwilowym uniesieniu powiedziała: „Oddałabym za ciebie życie, Miguelito”. Nie wiedziała, że pewnego dnia będzie do tego zmuszona.

Tymczasem Esteban Trueba czuł się z każdym dniem coraz bardziej samotny i zły. Pogodził się z myślą, że żona nie odezwie się doń więcej, i mając dość ścigania jej po kątach, błagania wzrokiem i wiercenia dziur w ścianach łazienki, postanowił poświęcić się polityce. Zgodnie z przepowiednią Clary, wybory wygrali ci sami co zawsze, lecz tak nieznaczną większością głosów, że zaalarmowało to cały kraj. Trueba uznał, że nadeszła chwila, by wystąpić w obronie ojczyzny i partii konserwatywnej, ponieważ nikt nie mógł być lepszym od niego ucieleśnieniem polityka uczciwego i nieskalanego, jak sam mawiał, dodając, że wszystko zawdzięcza własnemu wysiłkowi, zapewnił pracę i dobre warunki bytowe swoim parobkom oraz jest właścicielem jedynego majątku, w którym ludzie mieszkają w domach z cegły. Szanował prawo, ojczyznę i tradycję i nikt nie mógł mu zarzucić, że popełnił jakiekolwiek - poważniejsze od uchylania się od podatków - przestępstwo. Na miejsce Pedra Drugiego Garcii zatrudnił nowego zarządcę i uczynił go odpowiedzialnym w Las Tres Marias za nośne kury i importowane krowy, po czym osiadł definitywnie w stolicy. W ciągu kilku miesięcy poświęcił się prowadzeniu swojej kampanii, opierając się na partii konserwatywnej, która potrzebowała ludzi godnych wystawienia w najbliższych wyborach parlamentarnych, oraz na własnej fortunie, którą oddał w służbę sprawie. Dom stał się ośrodkiem propagandy i polityki oraz skupiskiem zwolenników Trueby. Wzięli oni cały budynek szturmem i przebywali tam razem ze zjawami snującymi się po korytarzach, różokrzyżowcami i trzema siostrami Mora. Stopniowo dwór Clary został wyparty do pokojów na tyłach domu. Wytyczono niewidzialną granicę między sektorem, który okupował Esteban Trueba, a domenami jego żony. Z inspiracji Clary i w zgodzie z potrzebami chwili szlachetna wielkopańska architektura obrosła pokoikami, schodkami, wieżyczkami, daszkami. Ilekroć trzeba było zakwaterować nowego gościa, przychodzili ci sami murarze i dobudowywali nowe pomieszczenie. W rezultacie wielki dom narożny coraz bardziej przypominał labirynt.

- Pewnego dnia ten dom będzie się nadawał na hotel - mawiał Nicolas.

- Albo na szpitalik - dodawał Jaime, który zaczynał snuć plany przeniesienia swoich biedaków do Dzielnicy Górnej.

Fasada domu pozostała bez zmian. Od frontu widać było bohaterskie kolumny i ogród wersalski, ale na tyłach styl się zatracał. Tylny ogród był poplątaną dżunglą, w której namnożyło się rozmaitych odmian roślin i kwiatów i hałasowały ptaki Clary wraz z kilkoma pokoleniami psów i kotów. Wśród tej fauny domowej jedynym zwierzęciem, którego wspomnienie przetrwało w rodzinnej tradycji, był królik przyniesiony przez Miguela - biedny, prostacki królik, którego nieustannie lizały psy, aż jako jedyny w swoim gatunku wyłysiał i pokryty połyskującą skórą wyglądał jak uszaty gad.

Im bliżej było do wyborów, tym bardziej Esteban Trueba stawał się nerwowy. Dla politycznej przygody zaryzykował wszystko, co miał. Pewnej nocy nie mógł już dłużej wytrzymać i zaczął się dobijać do sypialni Clary. Otworzyła mu. Była w nocnej koszuli i założyła sztuczną szczękę, ponieważ pisząc pamiętnik lubiła pogryzać biszkopty. Estebanowi wydała się tak młoda i czarująca jak w dniu, w którym po raz pierwszy

wprowadził ją za rękę do tej sypialni obitej błękitnym jedwabiem i postawił na skórze Barrabasa. Uśmiechnął się na wspomnienie o tym.

- Wybacz, Claro - powiedział rumieniąc się jak uczniak. - Czuję się samotny i jestem strapiony. Chciałbym zostać tu przez chwilę, jeśli ci to nie przeszkadza.

Clara też się uśmiechnęła, lecz nic nie powiedziała. Wskazała mu fotel i Esteban usiadł. Przez chwilę milczeli dzieląc się biszkoptami i przyglądając sobie z ciekawością, gdyż od dawna nie widywali się żyjąc pod tym samym dachem.

- Przypuszczam, że wiesz, co mnie dręczy - rzekł w końcu Esteban Trueba.

Clara przytaknęła skinieniem głowy.

- Czy sądzisz, że zostanę wybrany?

Clara ponownie przytaknęła skinieniem głowy, a wówczas Trueba, któremu ciężar spadł zupełnie z serca, poczuł się tak, jakby otrzymał gwarancję na piśmie. Wybuchnął radosnym i głośnym śmiechem, wstał, ujął ją za ramiona i ucałował w czoło.

- Jesteś wspaniała, Claro! Jeśli ty tak mówisz, to znaczy, że zostanę senatorem - zawołał.

Od tej nocy zelżały między nimi uczucia wzajemnej wrogości. Clara nadal się doń nie odzywała, lecz on ignorował jej milczenie i mówił do niej jak gdyby nigdy nic, doszukując się odpowiedzi i reakcji w najmniejszych nawet gestach. W razie potrzeby Clara zwracała się do niego za pośrednictwem służby. Troszczyła się o męża, pomagała w pracy i towarzyszyła mu, gdy o to prosił.

W dziesięć dni później, zgodnie z przepowiednią Clary, Esteban Trueba został wybrany na senatora republiki. Uczcił to wydarzenie przyjęciem dla przyjaciół i zwolenników, premią w gotówce dla pracowników i parobków w Las Tres Marias i naszyjnikiem ze szmaragdów, który wraz z bukiecikiem fiołków położył Clarze na łóżku. Clara zaczęła uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich i imprezach politycznych, na których jej obecność była nieodzowna dla nadania mężowi wizerunku człowieka skromnego i wzorowego ojca rodziny, który lubiła publiczność i partia konserwatywna. Na te okazje Clara zakładała sztuczną szczękę i niektóre klejnoty podarowane przez Estebana. W swoim środowisku społecznym uchodziła za najelegantszą, najdyskretniejszą i najbardziej czarującą kobietę. Nikt nie podejrzewał, że ta szacowna para nigdy ze sobą nie rozmawia.

Wraz z nową pozycją społeczną Estebana Trueby wzrosła liczba osób, które trzeba było gościć w wielkim domu narożnym. Clara nie liczyła gąb, które żywiła, ani wydatków domowych. Rachunki trafiały bezpośrednio do biura senatora Trueby w Kongresie, który pokrywał je nie zadając pytań, ponieważ odkrył, że im więcej wydaje, tym bardziej rośnie jego fortuna, i doszedł do wniosku, że to nie Clara zrujnuje go swoją nieograniczoną gościnnością i działalnością dobroczynną. Początkowo traktował władzę polityczną jak nową zabawkę. Osiągnął dojrzałość, będąc człowiekiem bogatym i szanowanym - a poprzysiągł sobie, że się nim stanie, będąc ubogim wyrostkiem, nie mając protektorów ani żadnego kapitału poza dumą i ambicją. Lecz rychło zrozumiał, że jest tak samo samotny jak zawsze. Synowie

unikali go, a z Blanką nie miał żadnego kontaktu. Wiedział o niej tyle, co opowiadali bracia, i ograniczał się do wysyłania co miesiąc czeku, dotrzymując zobowiązania podjętego wobec Jeana de Satigny. Był na tyle daleko od swoich dzieci, że nie potrafił rozmawiać z nimi w taki sposób, by rozmowa nie kończyła się krzykiem. Dostrzegł szaleństwa Nicolasa, gdy było już za późno, to znaczy gdy wszyscy je komentowali. Nic też nie wiedział o życiu Jaime. Gdyby przypuszczał, że spotyka się on z Pedrem Trzecim Garcią i żywi wobec niego braterskie uczucia, na pewno dostałby apopleksji, lecz Jaime pilnie wystrzegał się rozmów na ten temat z ojcem.

Pedro Trzeci Garcia porzucił wieś. Po strasznym spotkaniu z dziedzicem znalazł schronienie na probostwie ojca Josego Dulce Maria, który wyleczył mu rękę. Chłopak był jednak pogrążony w depresji i powtarzał bez końca, że życie nie ma sensu, ponieważ stracił Blankę, a poza tym nie może grać na gitarze, która jest jego jedyną pociechą. Ojciec Jose Dulce Maria odczekał, aż silny organizm chłopaka pozwoli zagoić się jego ręce, po czym wsadził go na bryczkę i zawiózł do rezerwatu indiańskiego, gdzie przedstawił go stuletniej staruszce, która była ślepa i miała dłonie powykrzywiane reumatyzmem, ale dość silnej woli, by stopami produkować wyroby wikliniarskie. „Jeśli ona może robić kosze nogami, to ty możesz grać na gitarze bez palców”, rzekł. Następnie jezuita opowiedział mu o sobie.

- W twoim wieku też byłem zakochany, synu. Moja narzeczona była najładniejszą dziewczyną we wsi. Mieliśmy się pobrać i ona zaczęła haftować wyprawę, a ja oszczędzać na domek, gdy powołano mnie do wojska. Po moim powrocie okazało się, że wyszła za rzeźnika i się roztyła. O mało co nie rzuciłem się do rzeki z kamieniem uwiązanym u nóg, lecz wkrótce postanowiłem zostać księdzem. W rok po tym, jak przywdziałem habit, ona owdowiała i przychodziła do kościoła, by patrzeć na mnie tęsknym wzrokiem.

Szczery śmiech ogromnego jezuity podniósł Pedra Trzeciego na duchu i uśmiechnął się po raz pierwszy od trzech tygodni.

- Widzisz więc, synu - zakończył opowieść ojciec Jose Dulce Maria - że nie należy popadać w rozpacz. Ujrzysz znów Blankę w dniu, w którym będziesz się tego najmniej spodziewał.

Pedro Trzeci Garcia, wyleczony na ciele i duchu, udał się do stolicy z węzełkiem i paroma monetami, które ksiądz podebrał z niedzielnych datków na Kościół. Podał mu też adres pewnego mieszkającego w stolicy działacza socjalistycznego, który w pierwszych dniach zapewnił mu gościnę, a następnie znalazł pracę w charakterze śpiewaka w wędrownym zespole. Chłopak zamieszkał w osiedlu robotniczym, w drewnianej chałupie, która wydawała mu się pałacem, a za jedyne wyposażenie miała łoże na nogach, materac, krzesło i dwie skrzynie, które służyły za stół. Szerzył tam socjalizm i skarżył się na Blankę, która wyszła za innego; nie chciał przyjąć od Jaime wyjaśnień i słów pocieszenia. Szybko zaczął znów władać prawą ręką i posługiwać się sprawnie dwoma palcami, które mu pozostały; nadal komponował piosenki o kurach i lisach. Pewnego dnia zaproponowano mu występ w radiu, co stało się początkiem jego zawrotnej popularności, której nawet on sam się nie spodziewał. Jego głos słyszano teraz często na falach radiowych i jego nazwisko stało się znane. Lecz nie dotarło nigdy do uszu senatora Trueby, ponieważ w domu nie akceptował radioodbiorników. Uważał, że posługują się nimi tylko ludzie ciemni i że są one nośnikami szkodliwych wpływów i wulgarnych idei. Dla nikogo muzyka

ludowa nie była tak obca jak dla niego; jedynymi utworami melodycznymi, jakie mógł znieść, była w sezonie lirycznym opera oraz zarzuela, którą każdej zimy sprowadzano z Hiszpanii.

W dniu, w którym Jaime wrócił do domu i oświadczył, że chce zmienić nazwisko, ponieważ odkąd ojciec jest senatorem z ramienia partii konserwatywnej, koledzy nękają go na uniwersytecie i nie cieszy się zaufaniem w dzielnicy Misericordia, Esteban Trueba stracił cierpliwość i omal go nie spoliczkował, lecz pohamował się na czas, ponieważ zrozumiał po wyrazie jego oczu, że tym razem syn mu tego nie przepuści.

- Ożeniłem się, żeby mieć prawowite dzieci, które będą nosiły moje nazwisko, a nie bękartów, co będą mieć nazwisko po matce! - wygarnął siny z wściekłości.

W dwa tygodnie później podsłuchał w korytarzach Kongresu i w salonach klubu, że jego syn Jaime zdjął spodnie na Placu Brazylijskim, by dać je jakiemuś nędzarzowi, i przez piętnaście przecznic wracał do domu w kalesonach, ciągnąc za sobą chmarę dzieciaków i gapiów, którzy wiwatowali na jego cześć. Zmęczony obroną swojego honoru przed śmiesznością i plotkami, zezwolił synowi, by nosił nazwisko, jakie zechce, byle nie to samo co on. Tego dnia, zamknięty w gabinecie, rozpłakał się z goryczy i gniewu. Starał się wmówić sobie, że tego rodzaju dziwactwa miną synowi, gdy dorośnie, i że prędzej czy później stanie się człowiekiem zrównoważonym, który pomoże mu w interesach i będzie jego oparciem na starość. Co do drugiego natomiast syna stracił już wszelką nadzieję. Nicolas przerzucał się z jednego fantastycznego przedsięwzięcia na inne. Hołdował w tych dniach złudzeniu, że w dość niezwykłym środku transportu uda mu się przelecieć nad kordylierą, podobnie jak wiele lat wcześniej usiłował to uczynić wuj Marcos. Postanowił, że wzniesie się w sterowcu, i był przekonany, że widok gigantycznego balona zawieszonego między chmurami będzie tak nieodpartym elementem reklamowym, że przedsięwzięcie zgodzi się sponsorować każda firma produkująca napoje gazowane. Model skopiował z przedwojennego niemieckiego zeppelina, który wypełniony gorącym powietrzem unosił się z jednym lub dwoma śmiałkami. Plan zmontowania ogromnej nadmuchiwanej parówki oraz studia nad jej sekretnymi mechanizmami, wróżbami z kart i prawami aerodynamiki zapewniły mu przez długi czas zajęcie. Przez wiele tygodni zapominał o piątkowych seansach spirytystycznych z udziałem matki i trzech sióstr Mora, a nawet nie zauważył, że przestała do niego przychodzić Amanda. Gdy ukończył budowę sterowca, natknął się na przeszkodę, której nie przewidział: administrator fabryki napojów gazowanych, gringo z Arkansas, odmówił sfinansowania projektu pod pretekstem, że jeśli Nicolas zabije się w swojej machinie, spadnie sprzedaż jego napojów. Nicolas starał się znaleźć innych sponsorów, ale nikt nie był zainteresowany. Nie zrezygnował jednak ze swoich planów i postanowił, że tak czy inaczej poleci, choćby gratis. W wyznaczonym dniu Clara, niewzruszona, robiła na drutach, nie zwracając uwagi na przygotowania syna, choć członkowie rodziny, sąsiedzi i przyjaciele byli przerażeni szalonym pomysłem przelotu nad górami w ekstrawaganckim statku powietrznym.

- Mam przeczucie, że nie polecicie - powiedziała Clara, nie przerywając robótek.

Tak też się stało. W ostatniej chwili w parku publicznym, z którego Nicolas miał zamiar odlecieć, pojawiła się furgonetka z policjantami. Zażądali okazania zezwolenia władz miejskich, którego oczywiście nie miał. Przez cztery dni biegał od

urzędu do urzędu, rozpaczliwie starając się załatwić sprawę, lecz jego zabiegi rozbijały się o mur biurokratycznego niezrozumienia. Nigdy nie dowiedział się, że za policyjną ciężarówką i papierkową mitręgą stały wpływy ojca, który postanowił nie dopuścić do tej awantury. Znużony walką ze strachliwością fabrykantów napojów gazowanych i biurokracją powietrzną, uznał, że lot nie uda mu się, chyba że dokona tego potajemnie, co było niemożliwe z racji rozmiarów statku. Przeżył kryzys nerwowy, z którego wydobyła go matka sugerując, żeby - jeśli nie chce stracić wszystkiego, co zainwestował w przedsięwzięcie - wykorzystał do jakichś celów praktycznych materiał, którego użył do budowy sterowca. Wówczas Nicolas wpadł na pomysł uruchomienia wytwórni kanapek. Miały to być kanapki z kurczakiem, zawijane w pociętą na kawałeczki tkaninę ze sterowca i sprzedawane urzędnikom. Duża kuchnia, którą mieli w domu, wydała mu się idealna dla celów przemysłowych. Ogrody na tyłach wypełniły się drobiem z powiązanymi łapami, który czekał na swoją kolej; dwaj specjalnie wynajęci oprawcy seryjnie obcinali kurczakom głowy. Patio było zawalone pierzem, a posągi bogów Olimpu zbryzgane krwią, zapach rosołu przyprawiał wszystkich o mdłości, a wypatroszone podroby spowodowały nalot much na dzielnicę. Wtedy Clara położyła kres rzezi, ulegając atakowi nerwów, który o mało co nie strącił jej w czasy niemoty. Nowe niepowodzenie handlowe nie zrobiło większego wrażenia na Nicolasie, któremu rzeźnia też zaczęła ciążyć na żołądku i sumieniu. Pogodził się z utratą tego, co zainwestował, i zamknął się w swoim pokoju, gdzie snuł nowe plany, jak zdobyć pieniądze i się rozerwać.

- Od dawna nie widziałem tu Amandy - rzekł Jaime, gdy nie mógł już sprostać niecierpliwości swojego serca.

W tej samej chwili Nicolas przypomniał sobie o Amandzie i obliczył, że nie widział jej od trzech tygodni i że nie asystowała przy nieudanej próbie lotu sterowcem ani nie wzięła udziału w inauguracji domowej wytwórni kanapek z kurczakiem. Zapytał o nią Clarę, lecz matka również nic nie wiedziała o dziewczynie i zaczynała zapominać o niej, ponieważ musiała przystosować swój umysł do faktu, że do domu przychodzi masa ludzi i że, jak mawiała, nie wystarczyłoby jej duszy do opłakiwania wszystkich nieobecnych. Nicolas postanowił wówczas odszukać Amandę, gdyż spostrzegł, że odczuwa brak tego niespokojnego motyla i jego tłumionych, milczących uścisków w pustych pokojach wielkiego domu narożnego, gdzie figlowali jak szczeniaki, ilekroć czujność Clary słabła, a Miguel zajęty był zabawą lub zasypiał gdzieś w kącie.

Pensjonat, w którym Amanda mieszkała z bratem, okazał się starym domem, pół wieku wcześniej obdarzonym prawdopodobnie jakimś ostentacyjnym splendorem, który utracił, gdy miasto rozrosło się ku zboczom kordyliery. Najpierw dom ten wynajęli arabscy kupcy, którzy dodali mu fryzy z różowego gipsu, a później, gdy Arabowie przenieśli swoje sklepy do Dzielnicy Tureckiej, właściciel uczynił z niego pensjonat, dzieląc pokoje na źle oświetlone, smętne, niewygodne klitki dla lokatorów o niskich dochodach. Jego wnętrze było niewyobrażalną geografią wąskich i wilgotnych korytarzy, w których unosiły się wiecznie opary zupy kalafiorowej i gotowanej kapusty. Drzwi otworzyła osobiście właścicielka pensjonatu - ogromne babsko obdarzone potrójnym majestatycznym podbródkiem i orientalnymi oczkami zatopionymi w skamieniałych fałdach tłuszczu; miała pierścionki na wszystkich palcach i krygowała się jak dziewczątko odbywające nowicjat.

- Nie zezwala się na wizyty osób płci przeciwnej - powiedziała Nicolasowi.

Lecz Nicolas rozpostarł swój nieodparty uśmiech uwodziciela, pocałował ją w rękę, nie cofając się przed odrapanym karminem brudnych paznokci, wpadł w zachwyt na widok pierścieni i podał się za ciotecznego brata Amandy, aż w końcu, pokonana, wykrzywiając twarz w kokieteryjnych uśmieszkach i cała w słoniowatych podrygach, zaprowadziła go zakurzonymi schodami na trzecie piętro i wskazała pokój Amandy. Nicolas zastał dziewczynę w łóżku; owinięta wyblakłym szalem grała z bratem Miguelem w warcaby. Amanda spojrzała nań bez uśmiechu i nie uczyniła najmniejszego nawet gestu powitalnego. Miguel natomiast poderwał się i podbiegł doń z wyciągniętymi ramionami.

- Nareszcie przyszedłeś - powiedział dzieciak.

Nicolas zbliżył się do łóżka i usiłował przypomnieć sobie gibką i smagłą Amandę, Amandę świeżą jak owoc i giętką, z czasów spotkań w ciemnościach pozamykanych pokojów, lecz pod grubą wełną szala leżała na szarej pościeli obca osoba o wielkich zagubionych oczach, które obserwowały go z niezrozumiałą surowością. „Amando", szepnął biorąc ją za rękę. Ta ręka bez pierścionków i srebrnych bransoletek wydawała się tak bezbronna jak łapka umierającego ptaka. Amanda przywołała brata. Miguel podszedł do łóżka, a ona szepnęła mu coś do ucha. Skierował się powoli ku drzwiom, z progu rzucił ostatnie gniewne spojrzenie Nicolasowi i wyszedł bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

- Wybacz mi, Amando - wybełkotał Nicolas. - Byłem bardzo zajęty. Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, że jesteś chora?

- Nie jestem chora - odparła. - Jestem w ciąży.

Słowo to zabolało Nicolasa jak policzek. Cofnął się, aż poczuł szybę okienną na plecach. Odkąd po raz pierwszy rozebrał Amandę do naga, dotykając w ciemnościach jej ciała, plącząc się w gałganach jej egzystencjalistycznego przebrania, drżąc z góry na myśl o wypukłościach i wgłębieniach, które wielokrotnie sobie wyobrażał, lecz których nie poznał jeszcze w całej ich pysznej krasie, zakładał, że jest ona kobietą dostatecznie doświadczoną, by nie uczynić zeń ojca w wieku lat dwudziestu jeden, a z siebie samotnej matki w wieku lat dwudziestu pięciu. Amanda miała wcześniej przygody miłosne i to ona pierwsza mówiła mu o wolnej miłości. Z nieodwołalną determinacją stwierdzała, że będą razem tylko dopóty, dopóki będą żywić do siebie sympatię, bez zobowiązań i obietnic na przyszłość, jak Sartre i de Beau-voir. Układ ten, który początkowo wydał się Nicolasowi przejawem nieco szokującej oziębłości i braku przesądów, zyskał sobie później jego uznanie jako bardzo wygodny. Odprężony i radosny, podobnie jak we wszystkim, co czynił w życiu, wszedł w stosunki miłosne nie bacząc na skutki.

- Co my teraz zrobimy! - zawołał.

- Skrobankę, rzecz jasna - odpowiedziała.

Poczucie ulgi aż wstrząsnęło Nicolasem. Jeszcze raz uniknął przepaści. Jak zawsze, gdy igrał na skraju, ktoś inny, silniejszy, stanął u jego boku, biorąc rzecz na siebie - tak samo jak w czasach szkolnych, kiedy to podczas przerw prowokował chłopców, aż w końcu rzucali się na niego i w ostatniej chwili nadchodził Jaime, i stawał zamiast sparaliżowanego strachem brata do walki; wtedy panika zamieniała się w euforię i

schowany za filarami na dziedzińcu mógł miotać obelgi, podczas gdy bratu ciekła krew z nosa i z milczącym uporem maszyny rozdawał ciosy na prawo i lewo. Teraz odpowiedzialność za niego brała na siebie Amanda.

- Możemy się pobrać, Amando... jeśli zechcesz - wybełkotał, by zachować twarz.

- Nie! - odpowiedziała bez wahania. - Nie dość cię kocham, Nicolasie.

Jego uczucia natychmiast wpadły w ostry wiraż, ponieważ taka możliwość nie przyszła mu do głowy. Dotychczas nigdy nie czuł się odrzucony lub porzucony i po każdej miłostce musiał mobilizować cały swój takt, by ulotnić się nie raniąc zbytnio kolejnej dziewczyny. Myślał o trudnej sytuacji, w której znajdowała się Amanda - biedna, samotna, spodziewająca się dziecka. Myślał, że jedno słowo może zmienić jej los - uczynić z niej szanowaną małżonkę jednego z Truebów. Rachuby te przyszły mu do głowy w ułamku sekundy, ale zaraz, ogarnięty wstydem, poczerwieniał przyłapawszy się na takich myślach. Nagle Amanda wydała mu się wspaniała. Przypomniał sobie wszystkie dobre chwile, które dzielili - gdy rzucali się na podłogę paląc tę samą fajkę, by razem dostać zawrotów głowy, i śmiali się z trawy, która pachniała suchym nawozem i miała niewielkie skutki halucynogenne, lecz uruchamiała siłę sugestii; gdy ćwiczyli w parze jogę i medytację, siedząc naprzeciwko siebie, zupełnie odprężeni, patrząc sobie w oczy i szepcząc sanskryckie słowa, które mogły przenieść ich do nirwany, lecz na ogół miały wręcz przeciwny skutek i sprawiały, że w końcu unikali cudzego wzroku, chowając się między krzakami w ogrodzie i kochając jak desperaci; gdy czytali książki przy świecy, dławiąc się namiętnością i dymem; gdy uczestniczyli w nigdy nie kończących się zebraniach towarzyskich, dyskutując o pesymistycznych filozofach powojennych lub koncentrowali się usiłując poruszyć stolik na trzech nogach, dwa stuknięcia na tak, trzy stuknięcia na nie, podczas gdy Clara kpiła z nich. Ukląkł przy łóżku prosząc Amandę, by nie zostawiała go, by mu wybaczyła, by pozostali razem, jak gdyby nic się nie zdarzyło, bo jest to tylko nieszczęśliwy wypadek, który nie może zakłócić nietykalnej istoty ich związku. Lecz ona zdawała się go nie słuchać. Gładziła po głowie obojętnym macierzyńskim gestem.

- To nie ma sensu, Nicolasie. Czy nie widzisz, że ja mam bardzo starą duszę, a ty jesteś jeszcze dzieckiem? Zawsze będziesz dzieckiem - powiedziała.

Pieścili się bez pożądania i dręczyli prośbami i wspomnieniami. Doznawali goryczy rozstania, które przeczuwali, lecz które jeszcze mogło się wydawać pojednaniem. Ona wstała z łóżka, by zrobić herbatę, i Nicolas zauważył, że zamiast koszuli nocnej nosi starą halkę. Zeszczuplała i jej łydki wydały mu się dramatycznie chude. Chodziła po pokoju boso, z szalem na ramionach i potarganymi włosami, krzątała się przy piecyku na parafinę, który stał na stole pełniącym rolę biurka, stołu jadalnego i kuchennego. Spostrzegł bałagan, w którym żyła, i uświadomił sobie, że dotychczas prawie nic o niej nie wiedział. Przypuszczał, że nie ma żadnej rodziny poza bratem i żyje ze skromnej pensji, ale nie potrafił wyobrazić sobie jej prawdziwego położenia. Bieda była dla niego pojęciem abstrakcyjnym i odległym, odnoszącym się do parobków w Las Tres Marias i nędzarzy, którym spieszył z pomocą jego brat Jaime, ale z którymi on sam nigdy nie obcował. Amanda, jego Amanda, tak bliska i znana, nagle okazała się obca. Oglądał jej sukienki, które, gdy miała je na sobie, wyglądały jak strój królowej, a teraz zwisały z gwoździ wbitych w ścianę jak smętne żebracze szmaty. Oglądał jej szczoteczkę do zębów w szklance nad zardzewiałą umywalką,

buty, w których Miguel chodził do szkoły, tyle razy pastowane, że zatraciły oryginalną barwę, starą maszynę do pisania stojącą obok piecyka, książki piętrzące się wśród filiżanek, wybitą szybę w oknie, które zatkano gazetą. To był inny świat. Świat, którego istnienia nie podejrzewał. Dotychczas po jednej stronie żyli ludzie biedni jak mysz kościelna, a po drugiej tacy jak on, do których zaliczał Amandę. Nic nie wiedział o tej milczącej klasie średniej, rozdartej między ubóstwem białego kołnierzyka z krawatem a niemożliwym do spełnienia pragnieniem naśladowania złotej młodzieży, do której należał. Poczuł się speszony i zawstydzony, gdy wyobraził sobie, ile to razy musiała zapewne rzucać urok, by u Truebów nie zauważono jej nędzy, a on, zupełnie nieświadomy istoty rzeczy, nie pomógł jej. Przypomniał sobie opowieści ojca o dzieciństwie przeżytym w biedzie i o tym, że w jego wieku pracował, by utrzymać matkę i siostrę, i po raz pierwszy mógł wypełnić te dydaktyczne anegdoty realiami. Pomyślał, że takie właśnie jest życie Amandy.

Popijali herbatę siedząc na łóżku, ponieważ w pokoju było tylko jedno krzesło. Amanda opowiadała mu o swojej przeszłości, rodzinie, ojcu alkoholiku, który był nauczycielem w pewnej prowincji na północy kraju, o przygnębionej matce, która pracowała, by utrzymać sześcioro dzieci, oraz o tym, jak ona, Amanda, odeszła z domu, gdy tylko mogła poradzić sobie sama. W wieku lat piętnastu przyjechała do stolicy i zamieszkała u dobrotliwej chrzestnej, która pomagała jej przez pewien czas. Potem, gdy matka umarła, pojechała urządzić pogrzeb i zabrać Miguela, który był jeszcze w pieluchach. Odtąd zastąpiła mu matkę. O ojcu i pozostałym rodzeństwie nigdy więcej nie słyszała. Nicolas czuł, jak w jego wnętrzu narasta pragnienie otoczenia jej opieką, zrekompensowania wszystkich niedostatków. Nigdy nie kochał jej bardziej.

O zmierzchu przyszedł Miguel z zarumienionymi policzkami; zachowywał się zabawnie, usiłując ukryć za plecami prezent dla siostry. Była to torba z chlebem. Postawił ją na łóżku, czule pocałował Amandę, pogładził ją po włosach drobną dłonią, poprawił poduszki. Nicolas zadrżał, ponieważ w gestach dziecka było więcej troskliwości i czułości niż we wszystkich pieszczotach, którymi on w ciągu całego swojego życia nagrodził kobiety. Wtedy zrozumiał, co Amanda chciała mu powiedzieć. „Muszę nauczyć się wielu rzeczy”, szepnął. Oparł czoło o zatłuszczoną szybę w oknie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek potrafiłby dawać w takiej samej mierze, w jakiej pragnął dostawać.

- Jak to zrobimy? - zapytał, nie śmiejąc wypowiedzieć strasznego słowa.

- Poproś o pomoc twego brata Jaime – zasugerowała Amanda.

Jaime przyjął brata w tunelu z książek, wyciągnięty na pryczy, w świetle jedynej żarówki, która zwisała z sufitu. Czytał sonety miłosne Poety, który już wówczas cieszył się światowym rozgłosem, tak jak to przepowiedziała Clara, gdy po raz pierwszy usłyszała, jak na swoim wieczorze literackim recytował głosem magnetycznym. Zastanawiał się, czy za natchnienie przy pisaniu tych sonetów nie posłużyła obecność Amandy w ogrodzie u Truebów, w którym w czasach, gdy Poeta był stałym gościem w wielkim domu narożnym, miał zwyczaj siadywać w porze popołudniowej herbatki i opowiadać przy akompaniamencie rozpaczliwie smutnych piosenek. Zaskoczyła go wizyta brata, ponieważ odkąd skończyli szkołę, coraz bardziej oddalali się od siebie. Ostatnio nie mieli sobie nic do powiedzenia i gdy mijali się w drzwiach, co zdarzało się rzadko, witali się skinieniem głowy. Jaime

zrezygnował z zamiaru przekonania Nicolasa do transcendentalnych zagadnień egzystencji.

Odczuwał jego frywolne rozrywki jak zniewagę osobistą, gdyż nie mógł pogodzić się z tym, że brat traci czas i energię na loty sterowcem i rzezie kurczaków, gdy jest tyle do zrobienia w dzielnicy La Misericordia. Lecz nie usiłował już ściągnąć go do szpitala, by z bliska zobaczył cierpienie, nie łudził się, że cudza nędza wzruszy jego serce wędrownego ptaka, i przestał zapraszać go na zebrania socjalistów w domu Pedra Trzeciego Garcii, na ostatniej ulicy w osiedlu robotniczym, gdzie pod czujnym okiem policji zbierali się w każdy piątek. Nicolas szydził z ich trosk socjalnych mówiąc, że tylko głupiec z apostolskim powołaniem może chodzić po świecie szukając ze świecą nieszczęścia i brzydoty. Teraz Jaime miał przed sobą brata spoglądającego nań błagalnym wzrokiem winowajcy, jak czynił to wielekroć, gdy chciał wzbudzić w nim współczucie.

- Amanda jest w ciąży - powiedział Nicolas prosto z mostu.

Musiał to powtórzyć, ponieważ Jaime tkwił bez ruchu, jak zawsze onieśmielony, nie zdradzając żadnym gestem, że słyszy, co się doń mówi. Lecz w głębi duszy dławiła go frustracja. W myślach zwracał się do Amandy po imieniu, trzymając się kurczowo jego słodkiego brzmienia, by zachować panowanie nad sobą. Tak bardzo potrzebował złudzeń, że wmówił sobie, iż Amanda uprawia z Nicolasem dziecięcą miłość, ograniczoną do niewinnych przechadzek, podczas których trzymają się za ręce, dyskusji przy butelce absyntu, rzadkich i przelotnych pocałunków, na których ich przyłapywał.

Nie chciał przyjąć do wiadomości bolesnej prawdy, której teraz musiał stawić czoło.

- Nie mów mi o tym. Nie mam z tym nic wspólnego - odparł, gdy zdołał przemówić.

Nicolas siadł na łóżku i ujął twarz w dłonie.

- Pomóż jej, proszę - błagał.

Jaime zamknął oczy i oddychał z trudem, starając się opanować szalone uczucia, które popychały go do zabójstwa brata; chciał pobiec do Amandy i sam się z nią ożenić, płakać z poczucia bezradności i goryczy. Miał w pamięci obraz dziewczyny - takiej, jaka jawiła mu się, ilekroć ogarniała go miłosna zgryzota. Widział, jak wchodzi i wychodzi z domu niczym podmuch czystego powietrza, prowadząc za rękę braciszka, słyszał jej śmiech na tarasie, czuł nieuchwytny i słodki aromat jej ciała i włosów, gdy mijała go w słońcu samego południa. Widział ją taką, jaką sobie wyobrażał w godzinach wytchnienia, gdy śnił o niej. Nade wszystko zaś przypominał sobie tę jedyną chwilę, w której Amanda weszła do jego sypialni i byli sami w zaciszu jego sanktuarium. Weszła nie pukając, gdy czytał leżąc na pryczy, wypełniła tunel trzepotem długich włosów i falowaniem ramion, bezceremonialnie dotykała książek, a nawet odważyła się zdejmować je z nietykalnych regałów, zdmuchiwać z nich kurz nie okazując najmniejszego szacunku, a następnie rzucać na łóżko, przy czym szczebiotała bez przerwy, podczas gdy on drżał z pragnienia, zaskoczony, nie znajdując w swoim obszernym słowniku encyklopedycznym ani jednego słowa, którym mógłby ją zatrzymać przy sobie, aż w końcu pożegnała się składając na jego policzku pocałunek, pocałunek, który płonął potem jak oparzenie; ten jedyny i

straszny pocałunek posłużył mu do budowy labiryntu marzeń, w którym oboje odgrywali role zakochanej książęcej pary.

- Znasz się trochę na medycynie, Jaime. Musisz coś zrobić - prosił Nicolas.

- Jestem studentem, wiele mi brakuje, żeby być lekarzem. Nie znam się na tym. Lecz niejeden raz widziałem, jak kobiety umierały, ponieważ operował je jakiś ignorant - rzekł Jaime.

- Ona ci ufa. Mówi, że tylko ty możesz jej pomóc - powiedział Nicolas.

Jaime chwycił brata za poły i podniósł do góry, potrząsając jak marionetką i obrzucając wszelkimi wyzwiskami, jakie przyszły mu na myśl, aż własny szloch sprawił, że wypuścił go z rąk. Nicolas popłakiwał z ulgą. Znał Jaime i wyczuł, że jak zawsze zgadza się na rolę opiekuna.

- Dzięki, bracie!

Jaime poklepał go niechętnie po policzku i wypchnął z pokoju. Zamknął drzwi na klucz i położył się na brzuchu wstrząsany chrapliwym, strasznym szlochem, którym mężczyźni opłakują miłosne cierpienia.

Poczekali do niedzieli. Jaime umówił się z nimi w przychodni w dzielnicy La Misericordia, gdzie odbywał praktykę studencką. Miał klucz, ponieważ zawsze wychodził ostatni, toteż mógł wejść bez trudu, lecz czuł się jak złodziej, gdyż nie potrafiłby wytłumaczyć swojej obecności o tak późnej porze. Od trzech dni studiował uważnie każdą fazę operacji, której miał dokonać. Potrafił powtórzyć po kolei każde słowo z książki, lecz nie czuł się z tego powodu pewniejszy siebie. Trząsł się. Usiłował nie myśleć o kobietach, które przywożono w stanie agonii na ostry dyżur, o tych, które pomógł uratować w przychodni, i innych, które umierały na łóżkach zsiniałe, z rzeką krwi płynącą między nogami, podczas gdy nauka nie mogła uczynić nic, by zapobiec ulatnianiu się z nich życia przez ów odkręcony kran. Znał ten dramat z bliska, lecz udzielając pomocy zrozpaczonej kobiecie nie przeżywał dotychczas rozterek moralnych. Tym bardziej więc nie przeżywał ich, gdy chodziło o Amandę. Zapalił światła, założył biały fartuch, przygotował narzędzia powtarzając na głos każdy szczegół, którego nauczył się na pamięć. Pragnął, żeby zdarzyło się jakieś monumentalne nieszczęście, kataklizm, który wstrząsnąłby planetą od podstaw i pozwolił mu nie czynić tego, co miał uczynić. Lecz nic się nie zdarzyło, gdy wybiła wyznaczona godzina.

Tymczasem Nicolas pojechał po Amandę starą Covadongą, która ledwie była na chodzie i prychała śrubami spowita w chmurę czarnego dymu ze spalonego oleju, ale służyła jeszcze w pilnej potrzebie. Amanda czekała siedząc na jedynym krześle, jakie znajdowało się w pokoju, a Miguel trzymał ją za rękę; rzucała się w oczy ich wzajemna bliskość, z której Nicolas czuł się jak zwykle wykluczony. Dziewczyna była blada i mizerna ze zdenerwowania oraz na skutek niedomagań i trapiącej ją niepewności w ciągu minionych tygodni, lecz spokojniejsza od Nicolasa, który rozprawiał gwałtownie, nie mógł usiedzieć na miejscu i starał się dodać jej otuchy, udając wesołość i strojąc bezsensowne żarty. Przyniósł w prezencie stary pierścionek z granatami i brylantami, który zabrał z pokoju matki mając pewność, że ona nigdy nie odczuje jego braku i nawet gdyby dostrzegła go na palcu Amandy, nie

byłaby w stanie go poznać, ponieważ nie przywiązywała znaczenia do takich rzeczy. Amanda oddała mu go z całą słodyczą.

- No widzisz, Nicolasie, jakie dziecko z ciebie - powiedziała bez uśmiechu.

Gdy wychodzili, mały Miguel narzucił na siebie poncho i uczepił się ręki siostry. Nicolas musiał uciec się najpierw do zaklinań, a następnie do siły fizycznej, by zostawić go w ramionach właścicielki pensjonatu, która w ciągu dwóch ostatnich dni dała się ostatecznie oczarować rzekomemu kuzynowi pensjonariuszki i wbrew swoim zasadom zgodziła się zaopiekować chłopcem.

Podczas jazdy nie rozmawiali ze sobą; każde z nich było pochłonięte własnymi lękami. Nicolas odczuwał wrogość Amandy jak zapowietrzenie. W ostatnich dniach Amanda dojrzała do myśli o śmierci i obawiała się jej mniej niż bólu i poniżenia, które miała znieść tej nocy. Nicolas prowadził Covadongę po nie znanych dzielnicach, gdzie obok wysokich murów fabrycznych, wśród lasu kominów, które zagradzały drogę gorączce bijącej z nieba, gromadziły się stosy śmieci. Bezpańskie psy węszyły pośród pokładów brudu, a żebracy spali we wnękach domów okrywszy się gazetami. Zaskoczyło go, że tak wygląda codzienna sceneria działalności brata.

Jaime czekał w drzwiach przychodni. Biały fartuch i niepokój, który przeżywał, sprawiały, że wyglądał na znacznie starszego. Poprowadził ich labiryntem lodowatych korytarzy do sali, którą przygotował, starając się odwrócić uwagę Amandy od brzydoty tego miejsca; nie chciał, by oglądała pożółkłe ręczniki w miskach, oczekujące poniedziałkowego prania, grubiańskie napisy wydrapane na ścianach, poodrywane płytki podłogowe i zardzewiałe rury, z których bez ustanku kapała woda. W drzwiach pawilonu Amanda zatrzymała się z wyrazem przerażenia na twarzy: dostrzegła zestaw narzędzi i stół ginekologiczny, i to, co do tej chwili było abstrakcyjną ideą i igraniem ze śmiercią, teraz nabrało realnego kształtu. Nicolas zsiniał, lecz Jaime ujął oboje pod ręce i zmusił, żeby weszli.

- Nie rozglądaj się, Amando! Uśpię cię, żebyś nic nie czuła - rzekł.

Nigdy nie stosował środków znieczulających ani nie uczestniczył w operacji. Jako student ograniczał się do robót administracyjnych, sporządzał statystyki, wypełniał karty i pomagał przy leczeniu, zakładaniu szwów i innych pomniejszych zabiegach. Bał się bardziej niż Amanda, lecz zachowywał się władczo i naśladując lekarzy udawał, że jest odprężony, by wydawało się jej, że to wszystko jest dla niego rutyną. Chciał, by uniknęła przykrości rozbierania się, a sam pragnął uniknąć niepokoju, jaki wywołałby w nim ten widok, toteż pomógł jej położyć się na stole w ubraniu. Myjąc ręce i każąc Nicolasowi uczynić to samo, starał się zabawić ją anegdotą o hiszpańskim duchu, który pojawił się Clarze podczas piątkowego seansu i zawiadomił, że w fundamentach domu ukryty jest skarb; opowiedział o swojej rodzinie, od wielu pokoleń stanowiącej kupę szalonych dziwaków, z których kpią sobie nawet duchy. Lecz Amanda nie słuchała go, była blada jak całun i szczękała zębami.

- Po co te pasy? Nie chcę, żebyś mnie przywiązywał! - zawołała drżąc.

- Nie przywiążę cię. Nicolas poda ci eter. Oddychaj spokojnie, nie bój się, a gdy się obudzisz, będzie po wszystkim - rzekł Jaime, uśmiechając się oczami znad maseczki.

Nicolas założył dziewczynie maskę anestezyjną; ostatnim obrazem przed zapadnięciem się w ciemność był widok Jaime patrzącego na nią z miłością, lecz myślała, że śni. Nicolas rozebrał ją i przywiązał do stołu z poczuciem, że to, co robi, jest gorsze od gwałtu, podczas gdy brat czekał w rękawiczkach, starając się nie widzieć w niej kobiety, która zaprzątała wszystkie jego myśli, a tylko jedno z wielu ciał, które przechodziły codziennie przez ten sam stół w krzyku bólu. Zaczął pracować powoli i ostrożnie, wymieniając w myślach każdy gest, który miał wykonać, mamrocząc tekst książki, której nauczył się na pamięć; czuł, jak pot spływa mu do oczu, wsłuchiwał się w oddech dziewczyny i w rytm serca, kontrolował barwę skóry i wydawał bratu polecenie, by podał więcej eteru, ilekroć jęczała; modlił się, żeby nie wystąpiło jakieś powikłanie, i grzebał w jej najgłębszej intymności nie przestając przeklinać brata w myślach, ponieważ gdyby to dziecko było jego, a nie Nicolasa, urodziłoby się całe i zdrowe, zamiast spływać w kawałkach kanałem ściekowym tej nędznej przychodni, a on kołysałby je do snu i opiekował się nim, zamiast wyskrobywać z gniazda łyżką. W dwadzieścia pięć minut później skończył i nakazał bratu, żeby pomógł ją ułożyć, gdyż eter przestawał już działać, lecz spostrzegł, że Nicolas chwieje się pod ścianą w gwałtownych mdłościach.

- Durniu! - ryknął Jaime. - Idź do łazienki i gdy wyrzygasz winę, usiądź w poczekalni, bo to jeszcze długo potrwa!

Nicolas wyszedł potykając się, Jaime zaś zdjął rękawiczki i maseczkę i zaczął odpinać pasy, którymi była przywiązana Amanda, ubierać ją delikatnie, usuwać krwawe ślady swojego dzieła i chować przed nią narzędzia tortur. Następnie wziął ją na ręce rozkoszując się chwilą, w której mógł przycisnąć ją do piersi, i zaniósł do łóżka powleczonego przezeń zawczasu czystą pościelą - było to coś więcej od tego, na co mogły liczyć inne kobiety proszące o pomoc w tej przychodni. Okrył ją i usiadł obok. Po raz pierwszy w życiu mógł przyjrzeć się jej do woli. Była mniejsza i słodsza, niż na to wyglądała snując się po kątach w przebraniu pytii i pobrzękując świecidełkami; tak jak zawsze podejrzewał, w jej szczupłym ciele kości były ledwie widoczne między małymi wzgórkami a gładkimi dolinami jej kobiecości. Gdy nie widziało się jej wyzywającej grzywy i oczu sfinksa, wyglądała na piętnaście lat. Jej kruchość wydała się Jaime bardziej pożądana od wszystkiego, co dotychczas go w niej oczarowało. Czuł się dwa razy większy i cięższy od niej i tysiąc razy silniejszy, lecz zarazem pokonany z góry czułością i pragnieniem roztoczenia nad nią opieki. Przeklinał swój niezwyciężony sentymentalizm i usiłował widzieć w niej kochankę brata, której właśnie usunął ciążę, lecz zrozumiał natychmiast, że jest to bezcelowe, i oddał się rozkoszy kochania jej i cierpieniu. Gładził przezroczyste ręce, szczupłe palce, muszle uszu, szyję, słysząc nieuchwytny szmer życia w jej żyłach. Zbliżył usta do jej ust i wchłonął łakomie zapach eteru, lecz nie odważył się ich dotknąć.

Amanda budziła się powoli. Najpierw poczuła chłód, po czym wstrząsnęły nią mdłości. Jaime pocieszał ją w tym samym sekretnym języku, który rezerwował dla zwierząt i dla najmłodszych dzieci leżących w szpitalu dla ubogich, aż zaczęła się uspokajać. Rozpłakała się, a on nadal ją pieścił. Milczeli, ona oscylując między śpiączką, mdłościami, udręką i bólem, który zaczynał szarpać kleszczami jej brzuch, on natomiast pragnąc, by ta noc nigdy się nie skończyła.

- Myślisz, że będę mogła mieć dzieci? - zapytała w końcu.

- Sądzę, że tak - odpowiedział. - Ale postaraj się o odpowiedzialnego ojca dla nich.

Oboje uśmiechnęli się z ulgą. W śniadej twarzy Jaime, pochylonej tuż nad nią, Amanda szukała jakiegoś podobieństwa do Nicolasa, lecz nie mogła go znaleźć. Po raz pierwszy w swym koczowniczym życiu czuła się bezpieczna, westchnęła zadowolona i zapomniała o otaczającej ją szpetocie, odrapanych ścianach, zimnych metalowych szafach, strasznych narzędziach, zapachu środków odkażających, a także o ostrym bólu, który drążył jej wnętrzności.

- Połóż się obok, proszę, i obejmij mnie - rzekła.

Wyciągnął się nieśmiało w ciasnym łóżku i objął Amandę ramionami. Starał się nie ruszać, żeby jej nie urazić i nie zsunąć się z materaca. Jego czułość była prostacka, jak u kogoś, kto nigdy nie był kochany i musi improwizować. Amanda zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Leżeli tak oddychając jednym rytmem w zupełnej ciszy, jak rodzeństwo, aż zaczęło świtać i blask wpadający przez okno wziął górę nad światłem żarówki. Wtedy Jaime pomógł jej wstać i założyć płaszcz i zaprowadził pod rękę do poczekalni, gdzie Nicolas spał na krześle.

- Obudź się! Zabierzemy Amandę do nas, żeby zaopiekowała się nią mama. Przez kilka dni lepiej będzie nie zostawiać jej samej - powiedział Jaime.

- Wiedziałem, że możemy liczyć na ciebie, bracie - podziękował mu Nicolas.

- Nie uczyniłem tego dla ciebie, nieszczęśniku, lecz dla niej - mruknął Jaime, odwracając się doń plecami.

Clara przyjęła ich w wielkim domu narożnym nie zadając pytań, choć być może zadała je bezpośrednio kartom lub duchom. Musieli ją obudzić, ponieważ dopiero świtało i nikt jeszcze nie wstał.

- Mamo, pomóż Amandzie - poprosił śmiało Jaime; pozwalała mu na to zażyłość, jaka w podobnych sprawach łączyła go od dawna z matką. - Jest chora i zostanie tu przez kilka dni.

- A Miguelito? - zapytała Amanda.

- Pójdę po niego - powiedział Nicolas i wyszedł. Przygotowano jeden z pokojów gościnnych i Amanda się położyła. Jaime zmierzył jej temperaturę i powiedział, że powinna odpocząć. Chciał wyjść, lecz niezdecydowany zatrzymał się na progu. W tej samej chwili wróciła Clara, która przyniosła na tacy kawę dla nich trojga.

- Chyba jesteśmy ci winni wyjaśnienie, mamo - wymamrotał Jaime.

- Nie, synu - odpowiedziała wesołym tonem Clara. - Jeśli to grzech, to wolę, żebyście nie opowiadali mi o nim. Skorzystamy z sytuacji i rozpieścimy trochę Amandę, bo bardzo tego potrzebuje.

Wyszła, a za nią syn. Jaime popatrzył, jak idzie boso korytarzem, z rozpuszczonymi włosami opadającymi na plecy, w białej podomce, i pomyślał, że nie jest tak wysoka i

silna, jaką wydawała mu się w dzieciństwie. Dotknął ramienia matki i zatrzymał ją. Odwróciła głowę, uśmiechnęła się, a Jaime objął ją mocno i przycisnął do piersi drapiąc jej czoło brodą, która wymagała już ponownego golenia. Pieścił ją spontanicznie po raz pierwszy od czasu, gdy jako małe dziecko wisiał u jej piersi; Clarę zaskoczyło, że jej syn jest już taki duży, z torsem ciężarowca i ramionami jak młoty, które rozgniatały ją w trwożliwym uścisku. Wzruszona i szczęśliwa zadała sobie pytanie, czy to możliwe, że ten kawał kosmatego chłopa, silnego jak niedźwiedź i niewinnego jak nowicjuszka, był kiedyś w jej brzuchu, a do tego jeszcze razem z bratem.

Przez kilka dni Amanda miała gorączkę. Jaime, przestraszony, czuwał przy niej cały czas i podawał sulfamidy. Clara opiekowała się nią. Nie umknęło jej uwagi to, że Nicolas pytał dyskretnie o Amandę, ale nie czynił nic, by złożyć jej wizytę, podczas gdy Jaime zamykał się z nią, pożyczał swoje ulubione książki i wydawał się olśniony, a przy tym gadał od rzeczy i snuł się po domu, czego nigdy nie robił - doszło do tego, że w czwartek zapomniał o zebraniu socjalistów.

Tak oto Amanda stała się na pewien czas członkiem rodziny, a Miguelito z powodu szczególnych okoliczności, ukryty w szafie, był obecny w dniu, w którym w domu Truebów urodziła się Alba, i nigdy nie zapomniał podniosłego i strasznego widowiska przyjścia na świat dziecka, całego w krwawym śluzie, pośród krzyku matki i tumultu krzątających się wokół kobiet.

Tymczasem Esteban Trueba udał się w podróż do Ameryki Północnej. Znużony bólem kości i tajemniczą chorobą, którą tylko on dostrzegał, postanowił, że podda się badaniom lekarzy zagranicznych, ponieważ doszedł do przedwczesnego wniosku, że wszyscy lekarze latynoamerykańscy to szarlatani mający więcej wspólnego z indiańskimi czarownikami niż z ludźmi nauki. Wciąż malał, a to kurczenie się było tak dyskretne, tak powolne i podstępne, że nikt inny go nie zauważył. Musiał kupować obuwie o numer mniejsze, skracać spodnie i kazał porobić zakładki na rękawach koszul. Pewnego dnia założył kapelusz z podwiniętym rondem, którego nie nosił przez całe lato, i okazało się, że zakrywa mu on uszy, z czego wywnioskował z przerażeniem, że jeśli maleją rozmiary jego mózgu, to prawdopodobnie również kurczą się myśli. Lekarze północnoamerykańscy zmierzyli go i zważyli, przesłuchali po angielsku, wstrzyknęli jakieś płyny jedną igłą, a pobrali inną, sfotografowali, wywrócili na lewą stronę jak rękawiczkę, a nawet wsadzili lampkę do odbytnicy. W końcu doszli do wniosku, że to tylko jego wymysł, że wcale się nie kurczy, że zawsze miał taki sam wzrost i że na pewno śniło mu się, iż miał kiedyś metr osiemdziesiąt i nosił obuwie numer czterdziesty drugi. Esteban Trueba stracił w końcu cierpliwość i wrócił do kraju z postanowieniem, że nie będzie zwracał uwagi na problem swojego wzrostu, ponieważ wszyscy wielcy politycy w dziejach, od Napoleona do Hitlera, byli niscy. Po przyjeździe do domu ujrzał Miguela bawiącego się w ogrodzie i Amandę, szczuplejszą i z podkrążonymi oczyma, bez naszyjników i bransoletek, siedzącą z Jaime na tarasie. O nic nie zapytał, gdyż przywykł do widoku obcych, żyjących pod jego własnym dachem.

HRABIA

Okres ten poszedłby w niepamięć w zamęcie zamazanych i wyblakłych na skutek upływu czasu wspomnień, gdyby nie listy, które pisały do siebie Clara i Blanca. W ich obfitej korespondencji zachował się zapis wydarzeń, który uratował je przed

mgławicą faktów nieprawdopodobnych. Już na podstawie pierwszego listu, jaki otrzymała od córki po ślubie, Clara mogła przewidzieć, że rozłąka z Blanką nie będzie długotrwała. Nic nikomu nie mówiąc przygotowała dla niej jeden z najbardziej słonecznych i najobszerniejszych pokojów. Tam ustawiła kołyskę, która służyła jej trojgu dzieciom.

Blanca nigdy nie zdołała wyjaśnić matce, dlaczego zgodziła się wyjść za mąż, ponieważ sama tego nie wiedziała. Gdy już jako kobieta dojrzała analizowała przeszłość, doszła do wniosku, że głównym powodem był lęk przed ojcem. Od najwcześniejszego dzieciństwa znała irracjonalną siłę jego gniewu i była przyzwyczajona okazywać mu posłuszeństwo. Ciąża i wiadomość o śmierci Pedra Trzeciego przesądziły o jej decyzji, jednakże od chwili, gdy zgodziła się na związek z Jeanem de Satigny, postanowiła, że małżeństwo nie zostanie nigdy skonsumowane. Wynajdywała rozmaite argumenty, aby opóźnić ślub, na początku podając jako pretekst niedomagania właściwe jej stanowi, a później inne, pewna, że łatwiej będzie manipulować takim mężem jak hrabia, który nosił giemzowe obuwie, lakierował sobie paznokcie i był gotów raczej ożenić się z kobietą będącą w ciąży z innym mężczyzną, niż przeciwstawić się takiemu ojcu jak Esteban Trueba. Z dwojga złego wybrała to, które wydawało się mniejsze. Zdała sobie sprawę, że ojciec zawarł z francuskim hrabią umowę handlową, w której ona nie miała nic do powiedzenia. W zamian za nazwisko dla wnuka hrabia otrzymał obfity posag i obietnicę, że pewnego dnia coś odziedziczy. Blanca przystała na ten układ, lecz nie miała zamiaru obdarzyć męża ani miłością, ani intymnością, ponieważ kochała nadal Pedra Trzeciego, bardziej siłą przyzwyczajenia niż w nadziei, że go kiedyś zobaczy.

Spędziła z mężem noc poślubną w najlepszym hotelu stołecznym, w pokoju dla nowożeńców; Trueba kazał wypełnić go kwiatami, aby uzyskać od córki wybaczenie za akty przemocy, którymi karał ją w minionych miesiącach. Ku swojemu zaskoczeniu Blanca nie musiała symulować migreny, ponieważ gdy tylko zostali sami, Jean porzucił rolę pana młodego całującego ją w szyję i podającego do ust najlepsze, wybrane przez siebie krewetki i wyglądało na to, że zupełnie zapomniał o swoich uwodzicielskich manierach galanta z filmu niemego, a przeistoczył się w brata, którym był dla niej podczas spacerów na wsi, kiedy to jadali podwieczorek na trawie, wyposażeni w aparat fotograficzny i francuskie książki. Jean poszedł do łazienki, w której siedział tak długo, że gdy zjawił się w pokoju Blanki, ta była już na poły uśpiona. Wydawało się jej, że śni, gdy spostrzegła, że mąż zamienił ślubny garnitur na piżamę z czarnego jedwabiu i krótki szlafrok z pompejańskiego aksamitu, na głowę włożył siatkę, by zachować fryzurę, i pachniał intensywnie angielską wodą kolońską. Nie przejawiał żadnego zniecierpliwienia erotycznego. Usiadł obok niej na łóżku i pogłaskał po policzku tym samym nieco szyderczym gestem, który widywała przy innych okazjach, a następnie w swojej zmanierowanej hiszpańszczyźnie pozbawionej „r” zaczął tłumaczyć, że nie ma żadnych specjalnych inklinacji do małżeństwa, ponieważ jest człowiekiem zakochanym jedynie w sztuce, literaturze i ciekawostkach naukowych i że z tego względu nie ma zamiaru molestować jej małżeńskimi wymaganiami, toteż będą mogli żyć razem, lecz nie ze sobą, w doskonałej harmonii i jak ludzie dobrze wychowani. Przyniosło to Blance taką ulgę, że rzuciła mu się na szyję i ucałowała w oba policzki.

- Dzięki, Jeanie! - zawołała.

- Nie ma za co - odparł uprzejmie.

Ułożyli się w obszernym łożu imitującym styl empire i komentowali szczegóły wesela oraz robili plany na przyszłość.

- Czy nie interesuje cię, kto jest ojcem mojego dziecka? - zapytała Blanca.

- Ja nim jestem - odpowiedział Jean, całując ją w czoło. Usnęli każde po swojej stronie, odwróceni plecami. O piątej rano Blanca obudziła się wskutek mdłości wywołanych przez słodkawy zapach kwiatów, którymi Esteban Trueba udekorował pokój dla nowożeńców. Jean Satigny zaprowadził ją do łazienki, trzymał za głowę, gdy pochylała się nad muszlą klozetową, pomógł położyć się i wyniósł kwiaty na korytarz. Resztę nocy czuwał, czytając Filozofię buduaru markiza de Sade'a, podczas gdy Blanca wzdychała przez sen, jak to cudownie być żoną intelektualisty.

Następnego dnia Jean poszedł do banku zrealizować czek od teścia i prawie cały dzień spędził w śródmiejskich sklepach kupując sprzęty domowe, które uważał za odpowiednie dla swojej nowej pozycji materialnej. Blanca natomiast, znudzona czekaniem na niego w hotelowym holu, postanowiła odwiedzić matkę. Włożyła najładniejszy kapelusz poranny i pojechała taksówką do wielkiego domu narożnego, gdzie rodzina jadła w milczeniu obiad, jeszcze pełna wzajemnych uraz, zmęczona weselnymi przeżyciami i z kociokwikiem po niedawnych awanturach. Gdy wchodziła do jadalni, ojciec wydał na jej widok okrzyk przerażenia.

- Co tu robisz, córko? - ryknął.

- Nic... Przyszłam was odwiedzić... - odparła przestraszona Blanca.

- Zwariowałaś! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jeśli ktoś cię zobaczy, to ludzie powiedzą, że mąż odesłał cię w pełni miodowego miesiąca? Powiedzą, że nie byłaś dziewicą!

- Przecież nie byłam, tato.

Esteban był o krok od spoliczkowania córki, lecz Jaime stanął przed nim tak zdeterminowany, że ograniczył się do zwymyślania jej za głupotę. Clara, niewzruszona, posadziła Blankę na krześle i podała rybę na zimno w sosie kaparowym. Szeptały między sobą jak za dawnych czasów, podczas gdy Esteban krzyczał, a Nicolas poszedł po samochód, żeby odwieźć ją do męża.

Tego samego dnia wieczorem Blanca i Jean wyjechali pociągiem do portu. Tam wsiedli na angielski transatlantyk. On miał na sobie spodnie z białego lnu i błękitną marynarkę, co znakomicie pasowało do błękitnej spódnicy i białego żakietu małżonki. W cztery dni później zeszli z pokładu w najbardziej zabitej deskami prowincji na północy kraju, gdzie w upalnej, suchej porze sjesty ich eleganckie stroje podróżne i walizki z krokodylowej skóry nie zwróciły niczyjej uwagi. Jean de Satigny zakwaterował tymczasowo małżonkę w hotelu i udał się na poszukiwanie mieszkania godnego obecnego poziomu jego dochodów. W ciągu dwudziestu czterech godzin mała społeczność prowincjonalna dowiedziała się, że w jej gronie jest prawdziwy hrabia. Bardzo to ułatwiło zabiegi Jeana. Udało mu się wynająć starą willę; należała ona niegdyś do jednej z wielkich fortun, które powstały w czasach eksploatacji saletry - nim wynaleziono syntetyczny substytut, który posłał cały region do diabła. Dom był dość posępny i zaniedbany, jak wszystko w okolicy; wymagał remontu, ale zachował

dawną świetność i findesieclowy urok. Hrabia udekorował go zgodnie ze swoim gustem - z dwuznacznym i dekadenckim wyrafinowaniem, które zaskoczyło Blankę, przywykłą do życia na wsi i klasycznego umiaru ojca. Jean porozstawiał podejrzane wazony z chińskiej porcelany, w których zamiast kwiatów umieścił farbowane strusie pióra, porozwieszał adamaszkowe draperie z chwastami, porozkładał poduszki z frędzlami i pomponami, poustawiał meble we wszystkich stylach, złociste ścianki działowe, parawany i niesamowite stojące lampy podtrzymywane przez fajansowych Murzynów abisyńskich naturalnych rozmiarów, półnagich, ale w bamboszach i turbanach. Zasłony były zawsze zaciągnięte i zatrzymywały bezlitosną światłość pustyni, toteż w domu panował lekki półmrok. W kątach Jean umieścił orientalne kadzielnice, w których palił wonne zioła i pałeczki kadzidlane; początkowo ich woń przyprawiała Blankę o mdłości, lecz szybko się przyzwyczaiła. Na służbę przyjął kilku Indian; zatrudnił jako kucharkę monumentalnie grubą kobietę, którą wyszkolił w przyrządzaniu bardzo mocno przyprawionych sosów, gdyż takie lubił, oraz kulawą analfabetkę do opieki nad Blanką. Wszystkich ubrał w efektowne operetkowe uniformy, ale nie obuł, ponieważ byli przyzwyczajeni do chodzenia boso i nie uznawali butów. Blanca czuła się nieswojo w tym domu i była nieufna wobec Indian, którzy usługiwali jej niechętnie; odnosiła wrażenie, że kpią sobie za jej plecami. Krążyli wokół niej jak duchy, prześlizgiwali się bezszelestnie po pokojach, prawie zawsze bezczynni i znudzeni. Nie odpowiadali, gdy do nich mówiła, jakby nie rozumieli po hiszpańsku, a między sobą albo mówili szeptem, albo rozmawiali głośno w dialektach z płaskowyżu. Ilekroć Blanca wspominała mężowi o dziwnym zachowaniu służących, on twierdził, że są to zwyczaje indiańskie i że nie należy zwracać na nie uwagi. To samo napisała w liście Clara, gdy Blanca opowiedziała jej, że pewnego dnia ujrzała jednego z Indian stawiającego chwiejne kroki w dziwacznych starych butach z wykrzywionymi obcasami i aksamitnymi sznurówkami; mężczyzna ten musiał podwinąć w nich palce swoich szerokich, zrogowaciałych stóp. „Gorączka pustynna, ciąża i nie wyjawione pragnienie, by żyć jak hrabina, zgodnie z pochodzeniem męża - wszystko to sprawia, że masz wizje, córeczko”, napisała żartobliwie Clara i dodała, że najlepszym lekarstwem na trzewiki Ludwika XV jest zimny prysznic i napar z rumianku. Innym razem Blanca znalazła w jedzeniu małą martwą jaszczurkę, której omal nie wzięła do ust. Gdy tylko uspokoiła się i zdołała wydobyć z siebie głos, przywołała krzykiem kucharkę i pokazała jej drżącym palcem talerz. Kucharka podeszła kołysząc swą wielką, tłustą postacią i czarnymi warkoczami i bez słowa zabrała talerz. Lecz gdy odchodziła, Blance wydało się, że przyłapała męża i Indiankę na puszczaniu do siebie oka. Tej nocy czuwała do późna rozmyślając o tym i o świcie doszła do wniosku, że było to wytworem jej wyobraźni. Matka miała rację: upał i ciąża źle na nią działały.

Najbardziej ustronne pokoje służyły manii fotograficznej Jeana. Tam zainstalował swoje lampy, trójnogi, urządzenia. Poprosił Blankę, żeby nigdy nie wchodziła bez pozwolenia do - jak to nazywał - „laboratorium”, ponieważ światło dzienne może prześwietlić klisze. Zamykał drzwi na klucz, który nosił na złotej dewizce, co było zupełnie zbędną ostrożnością, ponieważ żona praktycznie w ogóle nie była zainteresowana tym, co ją otaczało, a już najmniej fotografiką.

Tyjąc i zaokrąglając się Blanca nabierała orientalnej łagodności, o którą rozbijały się mężowskie starania, by wprowadzić ją do towarzystwa, zabrać na tańce i przejażdżkę samochodem lub wzbudzić zachwyt dla wystroju nowego ogniska domowego. Ociężała, niezdarna, szukająca samotności i ustawicznie zmęczona, uciekała w świat robótek szydełkowych i haftu. Dużo spała w ciągu dnia, a w

godzinach bezsenności szyła maleńkie ubranka na różową wyprawkę, gdyż była pewna, że wyda na świat dziewczynkę. Podobnie jak uczyniła to matka, gdy nosiła ją w brzuchu, stworzyła system porozumiewania się z dzieckiem, które miała urodzić, i prowadziła milczący, nieprzerwany dialog do wewnątrz. W listach opisywała melancholijne życie na ustroniu i wyrażała się o mężu ze ślepą sympatią jako o człowieku subtelnym, dyskretnym i rozważnym. W ten sposób, co nie było jej zamiarem, tworzyła niemal książęcą legendę wokół Jeana de Satigny, nie wspominając, że wącha on kokainę i pali wieczorami opium, gdyż była pewna, że rodzice nie potrafiliby tego zrozumieć. Miała do swojej dyspozycji całe skrzydło willi. Ustanowiła tam swoją kwaterę główną i gromadziła wszystko, co przygotowała na urodziny córki. Jean mawiał, że pięćdziesięcioro dzieci nie zdołałoby odziać się w to wszystko ani zabawić tymi wszystkimi zabawkami, lecz jedyną rozrywką Blanki było chodzenie po nielicznych miejscowych sklepach i wykupywanie dla niemowlęcia wszystkich różowych szmatek, na jakie natrafiła. Dzień spędzała na haftowaniu kocyków, robieniu na drutach wełnianych bucików, dekorowaniu wyprawek, układaniu stosów koszulek, śliniaczków, pieluszek i prasowaniu haftowanych prześcieradeł. Po sjeście pisała listy do matki i czasami do brata Jaime, a gdy zachodziło słońce i robiło się nieco chłodniej, spacerowała wokół domu, by rozruszać zdrętwiałe nogi. Wieczorami spotykała się z mężem w wielkiej jadalni, którą fajansowi Murzyni stojący w kątach oświetlali jak dom publiczny. Siadali naprzeciwko siebie przy stole nakrytym długim obrusem i zastawionym kryształami, całym serwisem i sztucznymi kwiatami, bo żywych kwiatów nie było w tej niegościnnej okolicy. Usługiwał im zawsze ten sam niewzruszony i milczący Indianin, ciągle obracający w ustach kulkę z liści koki, którymi się odżywiał. Nie był to zwykły służący i nie spełniał żadnej konkretnej funkcji w organizacji życia domowego. Usługiwanie do stołu też nie było jego mocną stroną, gdyż nie radził sobie z półmiskami i sztućcami i byle jak podawał posiłki. Pewnego razu Blanca musiała zwrócić mu uwagę, by był łaskaw nie nakładać ręką ziemniaków na talerze. Lecz Jean de Satigny cenił go z jakichś tajemniczych względów i szkolił na asystenta w laboratorium.

- Jeśli nie potrafi mówić jak człowiek, to tym bardziej nie będzie potrafił robić zdjęć - zauważyła Blanca, gdy się o tym dowiedziała.

Blance zdawało się, że tego właśnie Indianina widziała stepującego w trzewikach Ludwika XV.

Pierwsze miesiące życia małżeńskiego minęły dla niej w spokoju i nudzie. Nasiliła się jej naturalna skłonność do izolacji i samotności. Stroniła od życia towarzyskiego i Jean de Satigny zaczął w końcu sam odpowiadać na liczne zaproszenia, które otrzymywali. Potem, po powrocie do domu, szydził z pretensjonalności staroświeckich rodzin, w których panny miały przyzwoitki, a kawalerowie nosili szkaplerze. Blanca mogła sobie pozwolić na prowadzenie próżniaczego trybu życia, do którego miała pociąg; w tym czasie mąż korzystał z drobnych przyjemności, które mogą zapewnić tylko pieniądze i z których przez wiele lat musiał rezygnować. Co wieczór wychodził do kasyna; żona uważała, że traci tam wielkie sumy, ponieważ w końcu miesiąca pod drzwiami ustawiała się długa kolejka wierzycieli. Jean miał bardzo osobliwe wyobrażenie o gospodarstwie domowym. Kupił najnowszy model samochodu z siedzeniami obitymi skórą lamparta i pozłacanymi klamkami, godny arabskiego księcia, największy i najbardziej ostentacyjny, jaki kiedykolwiek widziano w tych stronach. Stworzył sieć tajemniczych kontaktów i za ich pośrednictwem nabywał antyki, zwłaszcza barokową porcelanę francuską, do której miał słabość.

Ponadto wwoził do kraju wytworne trunki, które bez problemów przechodziły przez kontrole celne. Trunki z kontrabandy najpierw wnoszono do domu wejściem służbowym, a następnie wynoszono głównymi drzwiami; Jean konsumował je podczas hulanek lub sprzedawał po bardzo wysokich cenach. W domu nie przyjmowali gości i po paru tygodniach damy z towarzystwa przestały dzwonić do Blanki. Rozeszły się pogłoski, że jest dumna, zarozumiała i chorowita, co przysporzyło powszechnej sympatii francuskiemu hrabiemu, który zyskał sobie opinię cierpliwego i cierpiącego małżonka.

Blanca miała dobre stosunki z mężem. Do sprzeczek dochodziło między nimi tylko wtedy, gdy starała się ustalić stan finansów domowych. Nie rozumiała, jak Jean może pozwalać sobie na luksus nabywania porcelany i jeżdżenia wehikułem wyścielanym lamparcią skórą, podczas gdy nie ma pieniędzy na uregulowanie rachunków u Chińczyka ani na pensje dla licznej służby. Jean odmawiał rozmów na ten temat pod pretekstem, że są to sprawy czysto męskie i że nie ma potrzeby, żeby zaprzątała swój ptasi móżdżek problemami, których nie jest w stanie pojąć. Blanca przypuszczała, że konto, które Esteban Trueba otworzył dla Jeana de Satigny, jest nieograniczone, i w końcu przestała się tym interesować. W domu stanowiącym enklawę na piaskach wegetowała jak kwiat z innej strefy klimatycznej, otoczona niezwykłymi Indianami, którzy zdawali się przebywać w innym wymiarze; przyłapywała ich często na tak dziwnych zachowaniach, że skłonna była wątpić, czy sama jest przy zdrowych zmysłach. Rzeczywistość wydawała się jej zamazana, tak jakby bezlitosne słońce zacierające barwy zniekształciło również otaczające ją przedmioty i zamieniło istoty ludzkie w dyskretne cienie.

W sennej atmosferze tych miesięcy Blanca, chroniona przez płód, który rósł w jej wnętrzu, zapomniała, jak wielkie spotkało ją nieszczęście. Przestała odczuwać naglącą potrzebę obecności Pedra Trzeciego Garcii i szukała schronienia w słodkich i wyblakłych wspomnieniach, które mogła w każdej chwili przywołać. Jej zmysłowość była teraz uśpiona i w rzadkich chwilach medytacji nad swoim nieszczęsnym losem pocieszała się wyobrażeniem, że płynie we mgle, wolna od smutków i radości, daleko od brutalności życia, mając córkę za jedyną towarzyszkę. Zaczęła mniemać, że utraciła na zawsze zdolność kochania i że żądza cielesna wygasła w niej ostatecznie. Rozmyślała godzinami kontemplując blady krajobraz, który rozciągał się za oknem. Dom stał na skraju miasta, otoczony kilkoma rachitycznymi drzewami, które wytrzymały bezlitosny napór pustyni. Od strony północnej wiatr niszczył wszelką roślinność i widać było ogromną płaszczyznę wydm i odległych wzgórz wibrujących w odblaskach słońca. W dzień Blankę przytłaczał ciężar ołowianego słońca, a w nocy drżała w łóżku z zimna, broniąc się przed nim termoforami z gorącą wodą i wełnianymi szalami. Patrzyła na nagie, czyste niebo szukając śladu chmury w nadziei, że kiedyś spadnie kropla deszczu, która ulży przytłaczającej surowości księżycowej doliny. Mijały miesiące nie przynosząc żadnych zmian, jedyną zaś rozrywką były listy, w których matka opowiadała o kampanii politycznej ojca, szaleństwach Nicolasa, ekstrawagancjach Jaime, który żył jak ksiądz, lecz miał oczy człowieka zakochanego. W jednym z listów Clara zasugerowała Blance, żeby zapewniła zajęcie swoim rękom i wznowiła produkcję szopek. Spróbowała to uczynić. Kazała sobie przysłać specjalną glinę, której zwykła była używać w Las Tres Marias, zorganizowała pracownię na zapleczu kuchni i poleciła paru Indianom zbudować piec, który miał służyć do wypalania figur z ceramiki. Lecz Jean de Satigny kpił z jej artystycznego zapału mówiąc, że jeśli chce znaleźć zajęcie dla rąk, to byłoby lepiej, gdyby robiła getry i nauczyła się wypiekać francuskie ciastka. Skończyło się na tym,

że porzuciła zamiar wyrobu szopek, nie tyle z powodu drwin męża, co dlatego, że nie sposób było konkurować ze starą ceramiką indiańską.

Jean zorganizował swój interes z tym samym uporem, z jakim poprzednio zajął się szynszylami, ale z większym powodzeniem. Z wyjątkiem niemieckiego księdza, który od trzydziestu lat kręcił się po okolicy odgrzebując przeszłość Inków, nikt nie troszczył się o relikwie, które uchodziły za bezwartościowe z handlowego punktu widzenia. Rząd zakazał handlu indiańskimi antykami i przyznał ogólną koncesję w tej dziedzinie księdzu, który miał zezwolenie na ich rekwizycję i dostarczał je do muzeum. Jean ujrzał je po raz pierwszy w zakurzonych gablotach muzealnych. Spędził dwa dni z Niemcem, który uszczęśliwiony, że po tylu latach spotkał kogoś zainteresowanego jego pracą, bez oporu podzielił się z nim swoją rozległą wiedzą. W ten sposób Jean dowiedział się, jak ustalać ich wiek, nauczył się odróżniać epoki i style, poznał metodę lokalizacji cmentarzysk na pustyni za pośrednictwem znaków niewidocznych dla cywilizowanego oka i doszedł w końcu do wniosku, że choć te skorupy nie mają złotego splendoru grobów egipskich, posiadają co najmniej tę samą wartość historyczną. Gdy uzyskał wszystkie potrzebne informacje, zorganizował całe zastępy Indian, które odkopywały wszystko, co uszło zapałowi archeologicznemu księdza.

Do domu zaczęły napływać wspaniałe huacos, [komer-Huacos - słowo z języka keczua, oznacza przedkolumbijską ceramikę ludową o cechach antropomorficznych, a szerzej wszelkie znaleziska archeologiczne.] zielone od patyny czasu, ukryte w tobołach Indian i sakwach transportowanych przez lamy, i szybko zapełniały schowki, które dla nich przygotowano. Blanca widziała, jak gromadzą się w pokojach, i była nimi zachwycona. Brała je do rąk, pieściła jak zahipnotyzowana i gdy okładano je słomą i pakowano, by wysłać w odległe i nie znane strony, ogarniało ją przygnębienie. Ceramika ta wydawała się jej cudowna. Czuła, że potworkom z jej szopek nie godzi się przebywać pod tym samym dachem co huacos i dlatego - bardziej niż z jakiegokolwiek innego powodu - rzuciła swój warsztat.

Handel indiańską ceramiką był okryty tajemnicą, gdyż stanowiła narodowe dziedzictwo historyczne. Dla Jeana de Satigny pracowało kilka szajek Indian, którzy przekradali się nielegalnie przez granicę. Nie mieli dokumentów, które świadczyłyby, że są istotami ludzkimi, byli milczący, toporni i nieprzeniknieni. Ilekroć Blanca pytała pojawiających się nagle na patio ludzi, co oni za jedni, odpowiadali, że są kuzynami tego, który usługuje do stołu - i rzeczywiście wszyscy byli do siebie podobni. Nie pozostawali długo w domu. Większość czasu spędzali na pustyni, mając za jedyny ekwipunek łopaty, którymi kopali w piachu, i kulkę koki w ustach, by utrzymać się przy życiu. Czasami mieli szczęście trafić na wystające z ziemi ruiny osady Inków, a wówczas w krótkim czasie zapełniali domowe schowki tym, co zrabowali podczas wykopków. Poszukiwania, transport i segregacja tego towaru odbywały się przy zachowaniu tak daleko idących środków ostrożności, że Blanca nie miała najmniejszej wątpliwości, iż w działalności męża jest coś nielegalnego. Jean wytłumaczył jej, że rząd jest przewrażliwiony na punkcie tych brudnych skorup i nędznych naszyjników z pustynnych kamyków i że aby uniknąć użerania się z biurokracją państwową, woli handlować nimi po swojemu. Przy współdziałaniu opłaconych celników wywoził je z kraju w skrzyniach opatrzonych etykietami, z których wynikało, że są to jabłka.

Wszystko to było Blance obojętne. Martwiły ją tylko mumie. Była oswojona z umarłymi, ponieważ zawsze żyła w ścisłym kontakcie z nimi za pośrednictwem trójnożnego stolika, przy którym wywoływała ich matka. Była przyzwyczajona do widoku przezroczystych sylwetek spacerujących po korytarzach w domu rodziców, hałasujących w szafach i pojawiających się we snach, by przepowiedzieć nieszczęścia lub wygrane na loterii. Lecz mumie były czymś innym. Serce ściskało się jej na widok tych skulonych istot zawiniętych w szmaty, które rozpadały się w zakurzone strzępy, z obdartymi z ciała, pożółkłymi głowami, małymi pomarszczonymi dłońmi, zaszytymi powiekami, rzadkimi włosami na karku, wiecznym i strasznym, bezustnym uśmiechem, zapachem stęchlizny i smętnym, nędznym wyglądem prastarych trupów. Było ich niewiele. Indianie bardzo rzadko je przynosili. Powolni i niewzruszeni, pojawiali się w domu niosąc wielkie zapieczętowane naczynie z palonej gliny. Jean otwierał je ostrożnie w pokoju, w którym wszystkie drzwi i okna były zamknięte, by pierwszy powiew wiatru nie obrócił ich w popiół. Wewnątrz naczynia, jak pestka nie znanego owocu, tkwiła mumia skulona jak płód, w łachmanach, z nędznymi naszyjnikami z zębów i szmacianymi lalkami. Ceniono je bardziej niż wszelkie inne przedmioty wyjmowane z grobów, ponieważ prywatni kolekcjonerzy i niektóre muzea zagraniczne bardzo dobrze za nie płaciły. Blanca zastanawiała się, jacy ludzie mogą kolekcjonować umarłych i gdzie ich trzymają. Nie mogła sobie wyobrazić mumii jako elementu dekoracyjnego w salonie, lecz Jean de Satigny mówił, że umieszczona w kryształowej urnie może mieć dla europejskiego milionera większą wartość niż jakiekolwiek dzieło sztuki. Mumie było trudno przewozić, odprawiać w urzędzie celnym i upłynniać na rynku, toteż nim ruszyły w daleką zagraniczną podróż, czasami przez kilka tygodni magazynowano je w domu. Śniły się Blance, miała halucynacje, zdawało się jej, że skradają się na palcach po korytarzach. Zamykała drzwi, chowała głowę pod kołdrę i dygotała przez wiele godzin, modląc się i w myślach przywołując matkę. Opowiedziała o tym w listach Clarze, a ta odpisała, że powinna bać się nie umarłych, lecz żywych, bo choć mumie cieszą się złą sławą, nigdy nie słyszano, żeby kogoś zaatakowały; przeciwnie, są z natury raczej nieśmiałe. Podniesiona przez matkę na duchu, postanowiła je szpiegować. Czekała w ciszy na ich pojawienie się, wyglądając przez uchylone drzwi. Wkrótce nabrała pewności, że spacerują po domu, powłócząc po dywanach dziecięcymi nóżkami, szepcząc jak uczniacy, popychając się, zbierając się po nocach w małe grupki, po dwie lub trzy, i że zawsze kierują się do pracowni fotograficznej Jeana de Satigny. Czasami zdawało się jej, że słyszy dalekie, pochodzące z zaświatów jęki, i w niepohamowanym lęku wołała męża, lecz nie przychodził, a ona była za bardzo przestraszona, by szukać go po całym domu. Pierwsze promienie słońca przywracały jej rozum i panowanie nad udręczonymi nerwami; uświadamiała sobie, że nocne niepokoje są wytworem rozgorączkowanej wyobraźni, którą odziedziczyła po matce, i uspokajała się, dopóki ponownie nie wypełzły nocne cienie; wtedy wracały stany lękowe. Pewnego dnia nie wytrzymała już napięcia, które odczuwała, gdy nadchodziła noc, i postanowiła pomówić o mumiach z Jeanem. Jedli właśnie kolację. Gdy opowiedziała mu o spacerach, szeptach i stłumionych krzykach, Jean de Satigny wpadł w osłupienie i zastygł z widelcem w ręku i otwartymi ustami. Indianin, który wszedł do jadalni z tacą, potknął się, a pieczony kurczak potoczył się pod krzesło. Jean roztoczył cały swój czar, całą swoją stanowczość i zmysł logiki, by przekonać Blankę, że nie dopisują jej nerwy i że nic takiego nie dzieje się w rzeczywistości, a jest jedynie wytworem jej bujnej wyobraźni. Blanca udała, że zgadza się z jego rozumowaniem, lecz zapał, z jakim mówił mąż, który z reguły nie zwracał uwagi na jej zmartwienia, wydał się jej bardzo podejrzany, podobnie jak

wyraz twarzy służącego, który niespodziewanie stracił niewzruszony wygląd bożka i oczy wyszły mu nieco z orbit. W głębi duszy uznała, że nadszedł czas, by wyjaśnić do końca sprawę wędrujących mumii. Tego wieczoru pożegnała się wcześnie, zawiadomiwszy uprzednio męża, że ma zamiar wziąć środek nasenny. Zamiast tego wypiła dużą filiżankę czarnej kawy i stanęła na posterunku przy drzwiach, gotowa czuwać przez wiele godzin.

Szmer pierwszych drobnych kroków usłyszała około północy. Bardzo ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała akurat w chwili, gdy w głębi korytarza przemykała mała skulona postać. Tym razem była pewna, że się to jej nie przyśniło, lecz z powodu ciężaru brzucha potrzebowała prawie minuty, żeby wyjść na korytarz. Noc była zimna i z pustyni wiał wiatr, od którego trzeszczały stare kasetonowe stropy, a zasłony wydymały się jak czarne żagle na pełnym morzu. Od dzieciństwa, kiedy to słuchała opowieści Nany o straszydłach, bała się ciemności, lecz nie miała odwagi zapalić świateł, by nie wystraszyć małych błądzących mumii.

Nagle gęstą ciszę nocną rozdarł chrapliwy, stłumiony krzyk, dochodzący jakby z głębi trumny - tak przynajmniej wydało się Blance. Zaczynała padać ofiarą chorobliwej fascynacji zjawiskami życia pozagrobowego. Zastygła czując, że serce wyskoczy jej za chwilę z gardła, lecz ponowny jęk wyrwał ją z odrętwienia; odzyskała siły i ruszyła w stronę drzwi laboratorium Jeana de Satigny. Usiłowała je otworzyć, lecz były zamknięte na klucz. Przywarła twarzą do drzwi i usłyszała wyraźnie szepty, zduszone krzyki i śmiechy i nie miała już wątpliwości, że z mumiami coś się dzieje. Wróciła do pokoju przekonana, że to wcale nie jej nerwy nie dopisują, lecz że coś strasznego odbywa się w tajemnej jaskini męża.

Następnego dnia, zachowując pozory pogodnej obojętności przyszłej matki i niczym nie zdradzając nieugiętej determinacji, odczekała, aż Jean de Satigny zakończy drobiazgowe ablucje, spożyje ze zwyczajowym umiarem śniadanie, przeczyta do ostatniej strony gazetę i w końcu wyjdzie na poranny spacer. Gdy wyszedł, przywołała Indianina na wysokich obcasach i po raz pierwszy wydała mu polecenie.

- Idź do miasta i kup mi lukrowane papaje - rozkazała sucho.

Indianin oddalił się powolnym krokiem, właściwym ludziom jego rasy, a ona została w domu z innymi służącymi, których obawiała się w dużo mniejszym stopniu niż tego dziwnego osobnika o skłonnościach dworaka. Zakładała, że wróci dopiero za parę godzin, i postanowiła nie spieszyć się, lecz działać spokojnie. Poszła do laboratorium pewna, że w pełnym świetle porannym mumie nie będą miały ochoty na błazeństwa; miała nadzieję, że drzwi nie są zamknięte na klucz, lecz się zawiodła - jak zawsze, były zamknięte. Próbowała wszystkich kluczy, które posiadała, lecz żaden nie pasował. Wzięła wtedy z kuchni największy nóż i usiłowała wyważyć drzwi forsując je tak, że odłupało się wyschłe drewno futryny, zamek puścił i drzwi stanęły otworem. Uszkodzenie było widoczne gołym okiem, toteż uświadomiła sobie, że gdy mąż je zobaczy, będzie musiała podać jakieś racjonalne wyjaśnienie, lecz pocieszyła się, że jako pani domu ma prawo wiedzieć, co dzieje się pod jej dachem. Mimo zmysłu praktycznego, którego nie nadwerężyło dwadzieścia lat harców trójnożnego stolika i wysłuchiwania, jak matka przepowiada wydarzenia nie dające się przepowiedzieć, Blanca drżała przekraczając próg laboratorium.

Odszukała po omacku kontakt i zapaliła światło. Znajdowała się w przestronnym pokoju ze ścianami pomalowanymi na czarno i ciężkimi kurtynami tego samego koloru w oknach, przez które nie przenikał najmniejszy promyk słońca. Podłoga była pokryta grubymi ciemnymi dywanami i wszędzie wisiały lampy i ekrany, których po raz pierwszy Jean użył na jej oczach podczas pogrzebu starego Pedra Garcii, gdy wpadł na pomysł robienia zdjęć zmarłego i żyjących, czym rozsierdził chłopów, tak że w końcu podeptali klisze. Rozejrzała się speszona: znajdowała się pośród fantastycznej scenerii. Zajrzała do otwartych kufrów ze strojnymi w pióra szatami ze wszystkich epok, ufryzowanymi perukami i wspaniałymi kapeluszami, zatrzymała się przed złoconym trapezem zawieszonym u sufitu, z którego zwisała rozmontowana lalka ludzkich rozmiarów i płci męskiej, dostrzegła w kącie zabalsamowaną lamę, na stołach butelki z bursztynowymi trunkami, a na podłodze skóry egzotycznych zwierząt. Lecz najbardziej zaskoczyły ją fotografie. Na ich widok osłupiała. Ściany pracowni Jeana Satigny były pokryte przygnębiającymi scenami erotycznymi, które zdradzały ukrytą naturę męża.

Blanca była osobą o powolnych reakcjach i minęła dłuższa chwila, nim uświadomiła sobie, co widzi, ponieważ nie miała w tej dziedzinie doświadczenia. Znała rozkosz jako ostatni i drogocenny etap na długiej drodze, którą przebyła z Pedrem Trzecim bez pośpiechu, w dobrym humorze, pośród lasów i łanów pszenicy, nad rzeką, pod ogromnym niebem, w wiejskiej ciszy. Nie przeżyła niepokojów okresu dojrzewania. Podczas gdy szkolne koleżanki czytały potajemnie zakazane powieści o wyimaginowanych namiętnych galantach i dziewicach spragnionych utraty dziewictwa, ona siadała w cieniu śliw na dziedzińcu zakonnej szkoły, zamykała oczy i przywoływała cudownie precyzyjny obraz Pedra Trzeciego Garcii trzymającego ją w ramionach, pieszczącego całe jej ciało i wydobywającego z jej łona takie same akordy, jakie potrafił wydobywać z gitary. Jej popędy uległy zaspokojeniu, gdy tylko się rozbudziły, i nie przychodziło jej na myśl, że namiętność mogłaby mieć inne formy. Prawda tych bezładnych i dręczących scen wywołała u niej tysiąc razy większą konsternację niż skandaliczne mumie, które spodziewała się tu zastać.

Rozpoznała twarze służących. Był tam cały dwór Inków, nagi jak go Pan Bóg stworzył lub nieco tylko osłonięty teatralnymi strojami. Ujrzała niezmierzoną otchłań między udami kucharki, zabalsamowaną lamę ujeżdżającą kulawą służącą i nieustraszonego Indianina, który służył do stołu, gołego jak noworodek, gołobrodego i krótkonogiego, z niewzruszonym, kamiennym obliczem i niewspółmiernie wielkim penisem w stanie erekcji.

Na bardzo długą chwilę Blanca zastygła w niepewności, aż w końcu ogarnęło ją przerażenie. Starała się zachować przytomność umysłu. Zrozumiała, co Jean miał na myśli, gdy w noc poślubną wyjaśnił, że nie ma skłonności do życia małżeńskiego. Domyśliła się, na czym polega złowroga moc Indianina i co oznacza ukryte szyderstwo służących, i poczuła się jak więźniarka w przedsionku piekła. W tej samej chwili dziecko poruszyło się w jej wnętrzu i zadrżała, jakby zabrzmiał dzwon na trwogę.

- Moja córka! Muszę ją stąd zabrać! - zawołała, chwytając się za brzuch.

Wybiegła z laboratorium, przemknęła się przez cały dom jak wiatr i wypadła na ulicę, gdzie ołowiany upał i bezlitosne światło południa przywróciły jej poczucie rzeczywistości. Zrozumiała, że pieszo i z dziewięciomiesięcznym brzuchem nie

zajdzie daleko. Wróciła do pokoju, zabrała wszystkie pieniądze, które znalazła, zrobiła węzełek z kilkoma sztukami odzieży z okazałej wyprawki, którą przygotowała, i udała się na stację.

Czekała na pociąg wiele godzin, siedząc na peronie na topornej drewnianej ławce, z węzełkiem na łonie i strachem w oczach, modląc się przez zęby, żeby po powrocie do domu hrabia, ujrzawszy uszkodzone drzwi laboratorium, nie ruszył na poszukiwanie, nie odnalazł jej i nie kazał wrócić do zgubnego królestwa Inków, żeby pociąg przyjechał jak najszybciej i choć raz zgodnie z rozkładem, żeby zdążyła dojechać do domu rodziców, nim płód, który wysysał jej wnętrzności i kopał w żebra, powiadomi o swoim przyjściu na świat, żeby starczyło jej sił na dwudniową podróż bez odpoczynku i żeby jej pragnienie życia okazało się potężniejsze od strasznej beznadziei, która zaczynała ją ogarniać. Zacisnęła zęby i czekała.

MAŁA ALBA

Alba urodziła się nogami do przodu, co było dobrym znakiem. Babka Clara dostrzegła u niej na plecach plamę w kształcie gwiazdy; cechuje ona istoty, które rodzą się jakby stworzone dla szczęścia. „Nie trzeba się martwić o to dziecko. Los będzie mu sprzyjał i będzie szczęśliwe. Ponadto będzie miało dobrą skórę, gdyż to się dziedziczy, a ja w moim wieku nie mam zmarszczek i nigdy nie miałam pryszczy", orzekła Clara na drugi dzień po urodzeniu Alby. Z tych powodów nie troszczono się o przygotowanie jej do życia, bo przecież układ planet obdarzył ją tyloma zaletami. Urodziła się pod znakiem Lwa. Babka przestudiowała mapę astrologiczną i białym atramentem zapisała jej przeznaczenie w czarnym albumie; wkleiła do niego również zielonkawy kosmyk pierwszych włosów, paznokcie, które obcięła wkrótce po urodzeniu, i kilka zdjęć, które pozwalały stwierdzić, że była wówczas maleńką istotą, prawie łysą, pomarszczoną i bladą, bez śladów inteligencji ludzkiej poza mądrym wyrazem czarnych, błyszczących oczu, starczych od kołyski. Takie same miał jej prawdziwy ojciec.

Matka chciała dać jej na imię Clara, lecz babka nie była zwolenniczką powtarzania w rodzinie imion, gdyż powodowało to zamieszanie w pamiętnikach. Zajrzały do słownika synonimów i znalazły w nim imię, które jej nadały - ostatnie w łańcuchu słów oznaczających jasność. W wiele lat później Albę dręczyła myśl, że gdy będzie miała córkę, nie znajdzie innego słowa o tym samym znaczeniu, ale Blanca zasugerowała, że duża ich różnorodność występuje w językach obcych.

Mało brakowało, a Alba urodziłaby się w pociągu kolei wąskotorowej, w środku pustyni. Byłoby to fatalne dla jej mapy astrologicznej. Na całe szczęście pozostała w łonie matki jeszcze przez kilka godzin i przyszła na świat w domu dziadków; data, godzina i miejsce urodzenia były najodpowiedniejsze dla horoskopu. Blanca przyjechała do wielkiego domu narożnego bez zapowiedzi, rozczochrana, zakurzona, z podkrążonymi oczami, zgięta z bólu, który powodowały skurcze, gdy Alba pchała się do wyjścia; zapukała rozpaczliwie do drzwi i gdy je otworzono, wpadła jak trąba powietrzna, nie zatrzymując się, dopóki nie dotarła do pracowni krawieckiej, gdzie Clara kończyła szyć dla wnuczki wytworną sukienkę. Tam zwaliła się z nóg po długiej podróży nie zdążywszy nic wyjaśnić, ponieważ jej brzuch wybuchł głębokim płynnym westchnieniem i poczuła, że między nogami płynie z szalonym pluskiem cała woda tego świata. Krzyki Clary zwabiły służbę i Jaime, który w tych dniach siedział w domu, gdyż trzymał straż u boku Amandy. Blankę przeniesiono do pokoju Clary i gdy

układano ją na łóżku i ściągano z niej gwałtownie ubranie, Alba wyjrzała na świat ukazując zgromadzonym swoje maleńkie człowieczeństwo. Wuj Jaime, który w szpitalu asystował parę razy przy porodach, pomógł chwytając ją mocno prawą ręką za pośladki, podczas gdy palcami lewej wymacał w ciemności szyję dziecka, by oddzielić pępowinę, która je dusiła. W tym czasie Amanda, która również przybiegła słysząc zamieszanie, całym ciężarem swojego ciała gniotła brzuch Blanki, a Clara, pochylona nad cierpiącą córką, podsuwała jej pod nos sitko do herbaty przykryte ściereczką, przez które sączyły się krople eteru. Alba urodziła się szybko. Jaime zdjął jej z szyi pępowinę, przytrzymał za nogi głową do dołu i dwoma głośnymi klapsami dokonał inicjacji do życia w cierpieniu, i wprawił w ruch mechanizm oddechowy, ale Amanda, która czytała o zwyczajach plemion afrykańskich i była zwolenniczką powrotu do natury, wyrwała mu noworodka z rąk i położyła czule na ciepłym brzuchu matki, gdzie znalazł trochę pociechy pośród smutku narodzin. Matka i córka, obie nagie, odpoczywały obejmując się, podczas gdy pozostałe osoby usuwały ślady porodu i mozoliły się z nową pościelą i pierwszymi pieluchami. Na skutek emocji tych chwil nikt nie zwrócił uwagi na uchylone drzwi szafy, przez które mały Miguel, sparaliżowany strachem, obserwował poród; zapamiętał na zawsze widok ogromnego, pokrytego żyłami i uwieńczonego wystającym pępkiem balona, z którego wyszła ta sina istota owinięta okropnym niebieskim flakiem.

W aktach stanu cywilnego i w księgach parafialnych nadano Albie nazwisko francuskiego hrabiego, lecz nigdy go nie używała, ponieważ nazwisko matki było łatwiej literować. Dziadek, Esteban Trueba, nigdy nie pogodził się z tym złym zwyczajem, ponieważ - jak mawiał przy każdej okazji - zadał sobie wiele trudu, by dziewczynka miała znanego ojca i szacowne nazwisko i nie musiała używać nazwiska matki, jakby była dzieckiem wstydu i grzechu. Nie pozwalał również, by wątpiono w ojcostwo hrabiego, i wbrew wszelkiej logice oczekiwał, że prędzej czy później u cichej i niezdarnej wnuczki, która kręciła się po domu, będzie można dostrzec elegancję manier i subtelny urok Francuza. Clara wspomniała o tej sprawie dużo później. Pewnego razu widząc, jak mała bawi się w ogrodzie między zniszczonymi posągami, spostrzegła, że nie jest podobna do nikogo w rodzinie, a już najmniej do Jeana de Satigny.

- Po kim ona ma te oczy starego człowieka? - zapytała.

- Oczy są po ojcu - odpowiedziała roztargniona Blanca.

- Pewnie po Pedrze Trzecim Garcii - rzekła Clara.

- Aha - przyznała Blanca.

Tak oto, jeden jedyny raz w życiu, wspomniała w gronie rodzinnym o pochodzeniu Alby, które zresztą - jak zapisała Clara - nie miało żadnego znaczenia, gdyż i tak Jean de Satigny zniknął z ich życia. Nigdy więcej nie usłyszeli o nim i nikt nie zadał sobie trudu ustalenia jego miejsca pobytu, a nawet zalegalizowania sytuacji Blanki, która była pozbawiona swobód samotnej matki, lecz zarazem, nie mając męża, podlegała wszystkim ograniczeniom kobiety zamężnej. Alba nigdy nie widziała żadnego zdjęcia hrabiego, gdyż matka przetrząsnęła wszystkie kąty, by je odszukać, po czym zniszczyła co do jednego - nawet te, na których uwieczniono go pod rękę z nią w dniu ślubu. Postanowiła zapomnieć o człowieku, którego poślubiła, i uważać, że nigdy nie istniał. Nie mówiła o mężu i nie wyjaśniła też, czemu od niego uciekła.

Clara, która przeżyła dziewięć lat w niemocie, znała korzyści płynące z milczenia, toteż nie zadawała córce pytań i współdziałała w zacieraniu wspomnień o Jeanie de Satigny. Albie powiedziały, że jej ojciec był arystokratą, człowiekiem inteligentnym i dostojnym, i że przytrafiło mu się nieszczęście - umarł na febrę na pustyni, na północy kraju. Było to jedno z niewielu kłamstw, które musiała znosić w dzieciństwie, ponieważ we wszystkich innych sprawach żyła w ścisłym kontakcie z prozaicznymi prawdami egzystencji. Wuj Jaime rozprawił się z mitami, że dzieci wychodzą z główki kapusty lub że przynoszą je z Paryża bociany, a wuj Nicolas uczynił to samo z bajkami o Trzech Królach, czarownicach i straszydłach. Alba miewała koszmarne sny, w których widziała śmierć ojca. Śnił się jej człowiek młody, przystojny i ubrany zupełnie na biało, w lakierkach tego samego koloru i słomkowym kapeluszu, idący po pustyni w pełnym blasku słońca. We śnie wędrowiec ten stopniowo skracał krok, wahał się, szedł coraz wolniej i wolniej, potykał się i padał, podnosił się i znowu padał, zmożony upałem, gorączką i pragnieniem. Wlókł się jeszcze kawałek drogi na kolanach po rozżarzonym piasku, ale w końcu leżał już tylko wśród ogromu sinych wydm, a nad jego nieruchomym ciałem krążyły drapieżne ptaki. Śniło się to jej tyle razy, że była zaskoczona, gdy w wiele lat później musiała rozpoznać w kostnicy zwłoki osobnika, którego uważała za swojego ojca. Alba była wtedy dzielną dziewczyną z bojowym temperamentem, przywykłą do stawiania czoła przeciwnościom losu, toteż poszła tam sama. Przyjął ją sanitariusz w białym fartuchu i poprowadził długimi korytarzami starego budynku do wielkiej, zimnej sali, której ściany były pomalowane na szaro. Człowiek w białym fartuchu otworzył gigantyczną lodówkę i wyciągnął nosze, na których leżało opuchnięte, stare i zsiniałe ciało. Alba przyjrzała mu się z uwagą i nie odnalazła w nim żadnego podobieństwa do osobnika, który śnił się jej tylekroć. Wyglądał pospolicie, jak urzędnik z poczty; popatrzyła na jego dłonie: nie były to dłonie mężczyzny szlachetnego, subtelnego i inteligentnego, ale kogoś, kto nie ma nic interesującego do powiedzenia. Lecz jego dokumenty osobiste stanowiły niepodważalny dowód, że te sine, smutne zwłoki należą do Jeana de Satigny, który nie umarł na febrę na złocistych wydmach z dziecięcego koszmaru, lecz po prostu na skutek wylewu krwi do mózgu, gdy w podeszłym wieku przechodził przez ulicę. To wszystko jednak wydarzyło się o wiele później. Gdy żyła jeszcze Clara, a Alba była dzieckiem, wielki dom narożny stanowił zamknięty świat, w którym rosła chroniona nawet przed własnymi koszmarami.

Nie miała jeszcze dwóch tygodni, gdy Amanda opuściła wielki dom narożny. Odzyskała siły i bez trudu domyśliła się, jakie pragnienia nosi w sercu Jaime. Wzięła braciszka za rękę i odeszła, tak jak przyszła, bez hałasu i obietnic. Truebowie stracili ją z oczu, a ten jedyny spośród nich, który mógł ją odszukać, nie chciał tego uczynić, by nie zranić brata. Jaime spotkał ją przypadkiem po wielu latach, lecz wtedy było już dla obojga za późno. Gdy odeszła od nich, Jaime utopił rozpacz w studiach i pracy. Powrócił do starych nawyków pustelnika i prawie nigdy nie widywano go w domu. Nie wspominał o dziewczynie i na zawsze oddalił się od brata.

Obecność wnuczki złagodziła charakter Estebana Trueby. Zmiana zaszła niepostrzeżenie, ale nie uszła uwagi Clary. Zdradzały ją drobne symptomy: błysk w oczach, gdy widział dziewczynkę, kosztowne prezenty, które jej robił, udręka, jaką przeżywał, gdy płakała. Nie zbliżyło go to jednak do Blanki. Stosunki z córką nigdy nie były dobre i od czasu jej fatalnego zamążpójścia tak się pogorszyły, że tylko obowiązkowa kurtuazja, narzucona przez Clarę, pozwalała im żyć pod jednym dachem.

W tym okresie prawie wszystkie pokoje w domu Truebów były zajęte i codziennie nakrywano do stołu dla rodziny i gości, zachowując jedno dodatkowe miejsce dla kogoś, kto mógł zjawić się bez zapowiedzi. Główne drzwi były nieustannie otwarte, aby ci, którzy tu mieszkali w charakterze osób zaprzyjaźnionych, oraz goście mogli swobodnie wchodzić i wychodzić. Podczas gdy senator Trueba usiłował wpływać na losy kraju, jego żona żeglowała sprawnie po wzburzonych wodach życia towarzyskiego i wędrowała niezwykłymi drogami swojego życia duchowego. Wiek i praktyka spotęgowały u Clary zdolność do widzenia zjawisk i spraw ukrytych oraz poruszania przedmiotami na odległość. Egzaltacja doprowadzała ją z łatwością do transów, podczas których mogła przemieszczać się po całym pokoju siedząc na krześle, jak gdyby pod siedzeniem miała ukryty silnik. W tym czasie młody wygłodniały artysta, przyjęty z litości, odwzajemnił się za gościnność malując jedyny portret Clary, jaki istnieje. Później ten wynędzniały wówczas malarz został uznany za mistrza i obecnie obraz znajduje się w pewnym muzeum londyńskim, podobnie jak wiele innych dzieł sztuki wywiezionych z kraju w czasach, w których trzeba było sprzedawać meble, by wyżywić prześladowanych. Na płótnie widać kobietę dojrzałą, ubraną na biało, ze srebrzystymi włosami i słodkim jak u kuglarza wyrazem twarzy, odpoczywającą na bujaku zawieszonym nad ziemią i płynącą wśród zasłon w kwiaty, oraz dzban, który fruwa do góry dnem, i grubego czarnego kota, który obserwuje to wszystko siedząc w dostojnej pozie. „Wpływ Chagalla”, czytamy w katalogu muzealnym, ale to nieprawda. Jest to dokładne odzwierciedlenie rzeczywistości, którą artysta żył w domu Clary. Były to czasy, gdy działały w nim bezkarnie ukryte siły natury ludzkiej i panował pogodny, boski nastrój, powodując stan wyjątkowy i wstrząsy w sferze praw fizyki i logiki. Clara porozumiewała się z duszami pokutującymi i istotami pozaziemskimi za pośrednictwem telepatii, snów i wahadełka, które trzymała w tym celu nad alfabetem ułożonym na stole. Samodzielne ruchy tego przyrządu wskazywały litery i tworzyły przesłania w języku hiszpańskim i w esperanto, co świadczyło, że są to jedyne języki interesujące istoty z innych wymiarów i że nie ma wśród nich angielskiego: tak twierdziła Clara w listach do ambasadorów mocarstw anglojęzycznych, na które nigdy nie odpowiadali, podobnie jak nie uczynili tego kolejni ministrowie oświaty, do których zwróciła się ze swoją teorią, że zamiast uczyć w szkołach angielskiego i francuskiego - języków marynarzy, domokrążców i lichwiarzy - powinno uczyć się dzieci esperanta.

Alba przez całe dzieciństwo stykała się z dietami wegetariańskimi, japońskimi sztukami walki, tańcami tybetańskimi, jogą, relaksem i koncentracją zgodnie z metodą profesora Haussera oraz z wieloma innymi interesującymi technikami; do jej wychowania przyczynili się obaj wujowie, a także trzy czarujące panny Mora. Clara dawała sobie ze wszystkim radę, toteż koła wozu pełnego ludzi nawiedzonych, w który zamieniło się ognisko domowe, jakoś się kręciły, choć ona sama nie miała żadnej wprawy w prowadzeniu gospodarstwa i do tego stopnia pogardzała czterema działaniami matematycznymi, że zapominała dodawania, toteż organizacja życia domowego i księgowość przeszły w sposób naturalny w ręce Blanki, która część czasu poświęcała obowiązkom ochmistrzyni tego miniaturowego królestwa, a część warsztatowi garncarskiemu w głębi patio, ostatniemu schronieniu swoich strapień, gdzie udzielała lekcji zarówno upośledzonym umysłowo, jak i panienkom, i produkowała niesamowite szopki z potworkami, które wbrew wszelkiej logice sprzedawały się jak chleb prosto z pieca.

Od maleńkości Alba miała obowiązek wkładać do dzbanów świeże kwiaty. Otwierała okna, by zapewnić obfity dopływ światła i powietrza, ale kwiaty nie wytrzymywały do

wieczora, ponieważ donośny głos Estebana Trueby i jego zwyczaj walenia laską były postrachem dla otaczającej przyrody. Uciekały przed nim zwierzęta domowe, a rośliny więdły. Blanca hodowała fikusa przywiezionego z Brazylii, mizernego i nieśmiałego, którego jedyny wdzięk polegał na cenie: płaciło się 327 za niego od liścia. Gdy nadchodził dziadek, ten, kto był najbliżej, biegiem wynosił fikusa w bezpieczne miejsce, na taras, ponieważ ledwie stary wchodził do pokoju, roślinie opuszczały się liście i pień zaczynał płakać białawymi jak mleko łzami. Alba nie chodziła do szkoły, ponieważ babka mówiła, że ktoś, komu tak jak jej sprzyjają gwiazdy, musi tylko umieć czytać i pisać, a tego może nauczyć się w domu. Pospieszyła się tak bardzo z uczeniem Alby, że ta w wieku pięciu lat czytała gazetę w porze śniadania, by z dziadkiem komentować wiadomości, a mając lat sześć odkryła książki magiczne w zaczarowanych kufrach legendarnego pradziadka Marcosa i wstąpiła nieodwracalnie w świat fantazji. Nie troszczono się też o jej zdrowie, gdyż nie wierzono, by z witamin była jakaś korzyść, a szczepienia ochronne uważano za dobre dla kur. Poza tym babka przyjrzała się liniom jej ręki i powiedziała, że będzie miała żelazne zdrowie i czekają długie życie. Jedyną błahą troską, którą okazano Albie, było stosowanie płynu laurowego w celu złagodzenia ciemnozielonego odcienia włosów, z jakim się urodziła. Senator Trueba miał w tej sprawie inne zdanie. Uważał, że powinny takie pozostać, ponieważ jako jedyna odziedziczyła coś po pięknej Rosie - niestety, tylko morski kolor włosów. W okresie dojrzewania, pragnąc sprawić mu przyjemność, Alba porzuciła wybiegi z płynem laurowym i płukała włosy naparem z pietruszki, co pozwoliło zieleni wystąpić ponownie w całej okazałości. Była mała i nie rzucała się w oczy, w przeciwieństwie do większości kobiet w rodzinie, niemal bez wyjątku bardzo okazałych.

W rzadkich wolnych chwilach Blanca, rozmyślając o sobie i córce, żałowała, że Alba jest dzieckiem samotnym i cichym, pozbawionym towarzystwa rówieśników. W rzeczywistości Alba nie czuła się samotna, przeciwnie - czasami byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła uniknąć jasnowidztwa babki, intuicji matki i zamieszania wywoływanego przez różnych cudaków, którzy pojawiali się nieustannie w wielkim domu narożnym, znikali i znów się pojawiali. Blankę martwiło również to, że córka nie bawi się lalkami, lecz Clara popierała wnuczkę argumentując, że te fajansowe trupki z otwierającymi się i zamykającymi oczkami i perwersyjnie ściągniętymi usteczkami są odrażające. Sama robiła nieforemne lalki z resztek wełny na odzież dla ubogich. Nie miały w sobie nic ludzkiego i dlatego było dużo łatwiej kołysać je, kąpać, a potem wyrzucać na śmieci. Ulubionym miejscem zabaw dziewczynki była piwnica. Z powodu szczurów Esteban Trueba kazał zaryglować drzwi, ale Alba wślizgiwała się tam przez świetlik i lądowała bezszelestnie w raju przedmiotów zapomnianych. W piwnicy zawsze panował półmrok; czas zatrzymał się jak w zapieczętowanej piramidzie. Nagromadzono tam wzgardzone meble, nie wiadomo do czego służące narzędzia, zepsute maszyny, części Covadongi - prehistorycznego automobilu, który wujowie zdemontowali i zamienili w samochód wyścigowy; dokończył on swoich dni jako kupa złomu. Albie wszystko to służyło do budowy domków, które ustawiała w kątach. Znajdowały się tam również kufry i walizki ze starą odzieżą, której używała wystawiając w samotności swoje sztuki teatralne, oraz smutny, czarny, zjedzony przez mole dywanik z głową psa, który rozłożony na podłodze wyglądał na żałosną rozkraczoną bestię. Była to ostatnia, niesławna pozostałość po wiernym Barrabasie.

Pewnego roku na Gwiazdkę Clara zrobiła wnuczce bajeczny prezent, który odtąd mógł czasem rozproszyć fascynację piwnicą: pudło, w którym były słoiki z farbami,

pędzle i drabinka; ponadto Alba uzyskała od niej zezwolenie na swobodne wykorzystanie największej ściany w swoim pokoju.

- W ten sposób będzie mogła sobie ulżyć - powiedziała Clara widząc, jak Alba stara się utrzymać równowagę na drabinie, malując pod sufitem pociąg pełen zwierząt.

Przez całe lata Alba pokrywała tę i inne ściany sypialni ogromnym freskiem, na którym, wśród flory z planety Wenus i równie niezwykłej, wymyślonej fauny, przypominającej to, co haftowała Rosa na obrusie i wypalała Blanca w piecu garncarskim, pojawiły się pragnienia, wspomnienia, smutki i radości jej dzieciństwa.

Pozostawała w bliskich stosunkach z wujami. Jaime był jej ulubieńcem. Był to okazały mężczyzna z gęstym zarostem, golący się co prawda dwa razy na dzień, ale mimo wszystko wyglądający tak, jakby nie golił się od paru dni; miał czarne, niesforne brwi, które zaczesywał do góry, by siostrzenica mniemała, że jest spokrewniony z diabłem, i włosy sztywne jak szczotka, niepotrzebnie natarte guminą i zawsze wilgotne. Przychodził do domu i wychodził z książkami pod pachą i walizeczką ślusarza w ręku. Powiedział Albie, że z zawodu jest złodziejem kosztowności i że w tej okropnej walizce nosi wytrychy i rękawice. Dziewczynka udawała przestraszoną, ale wiedziała, że wuj jest lekarzem i ma w walizeczce narzędzia potrzebne w jego zawodzie. Wymyślili zabawy iluzyjne, które służyły im za rozrywkę w deszczowe wieczory.

- Przynieś słonia! - rozkazywał wuj Jaime.

Alba wychodziła i wracała ciągnąc na niewidzialnym sznurku wyimaginowane gruboskóre zwierzę. Przez pół godziny dawali mu do jedzenia trawę, którą żywią się słonie, myli go ziemią, by ochronić skórę przed niełaskawością pogody, i troszczyli się o połysk kości słoniowej, dyskutując gorąco o korzyściach i niedogodnościach życia w dżungli.

- To dziecko skończy w szpitalu wariatów! - mawiał senator Trueba widząc, jak mała Alba siedzi na ganku i czyta traktaty medyczne, które pożyczał jej wuj Jaime.

Była jedyną osobą w całym domu, która miała klucz do tunelu z książek wuja i zezwolenie na zabieranie ich do czytania. Blanca uważała, że należy dozować lektury, ponieważ były w nich rzeczy nieodpowiednie dla jej wieku, ale wuj Jaime twierdził, że ludzie nie czytają tego, co ich nie interesuje, a jeśli coś ich interesuje, to znaczy, że są wystarczająco dojrzali, by o tym czytać. Tę samą teorię głosił w odniesieniu do kąpieli i pożywienia. Mówił, że jeśli dziewczynka nie ma ochoty na kąpiel, to znaczy, że nie ma takiej potrzeby, a jeśli chodzi o pożywienie, to należy dawać jej do jedzenia to, na co ma ochotę, gdy jest głodna, ponieważ organizm najlepiej zna swoje własne potrzeby. W tej sprawie Blanca była nieustępliwa i zmuszała córkę do ścisłego przestrzegania pór posiłków i zasad higieny. W rezultacie obok normalnych posiłków Alba zjadała smakołyki, którymi częstował ją wuj, a niezależnie od normalnych kąpieli biegła pod sikawkę, ilekroć było jej gorąco, przy czym ani jedno, ani drugie nie szkodziło jej zdrowej naturze. Alba byłaby zadowolona, gdyby wuj Jaime ożenił się z mamą, ponieważ byłoby bezpieczniej, gdyby można było mieć go za ojca, a nie za wuja, lecz wyjaśniono jej, że z takich kazirodczych związków rodzą się dzieci dotknięte mongolizmem. Doszła więc do

wniosku, że uczniowie, których matka przyjmowała w czwartki w pracowni, są dziećmi swoich wujów.

Nicolas też był bliski sercu dziewczynki, ale było w nim coś ulotnego, zmiennego, jakaś pochopność; robił wszystko mimochodem, jakby skakał z pomysłu na pomysł, co wywoływało u Alby niepokój. Miała pięć lat, gdy wuj Nicolas wrócił z Indii. Znużony wywoływaniem Boga przy trójnożnym stoliku i w dymie z haszyszu, postanowił odszukać go w mniej surowym niż jego kraj rodzinny regionie świata. Przez dwa miesiące nie dawał Clarze spokoju, ścigając ją po kątach i szepcząc do ucha, gdy spała, aż zdołał ją namówić, by sprzedała pierścionek z brylantami i opłaciła mu podróż do ziemi Mahatmy Gandhiego. Tym razem Esteban Trueba nie oponował, ponieważ uważał, że synowi dobrze zrobi przejażdżka po tym dalekim kraju głodomorów i krów chodzących samopas.

- Mam nadzieję, że jeśli nie umrze na skutek ukąszenia przez kobrę lub jakiejś cudzoziemskiej zarazy, stanie się wreszcie mężczyzną, bo mam dosyć jego ekstrawagancji.

Nicolas żył przez rok jak żebrak wędrując pieszo drogami jogów, pieszo po Himalajach, pieszo po Katmandu, pieszo wzdłuż Gangesu, pieszo po Benares. Pod koniec tej pielgrzymki nabrał pewności, że Bóg istnieje; nauczył się nakłuwać policzki i skórę na piersi szpilkami od kapelusza i żyć prawie bez jedzenia. Któregoś dnia wrócił do domu bez uprzedzenia, ze wstydliwymi częściami ciała osłoniętymi dziecięcą pieluchą, ze skórą przyklejoną do kości i owym wyrazem twarzy istoty zagubionej, który widuje się u ludzi jedzących jedynie zieleninę. Towarzyszyło mu paru nie wierzących własnym oczom karabinierów, którzy byli gotowi zabrać go do aresztu, chyba że udowodni, iż naprawdę jest synem senatora Trueby, oraz gromada dzieci, które wyśmiewały go i obrzucały śmieciami. Tylko Clara bez trudu rozpoznała Nicolasa. Ojciec uspokoił karabinierów i rozkazał Nicolasowi wziąć kąpiel i odziać się po ludzku, jeśli chce mieszkać w jego domu, lecz Nicolas popatrzył nań tak, jakby go nie widział, i nic mu nie odpowiedział. Został wegetarianinem. Nie jadał mięsa, mleka ani jaj, żywił się jak królik i powoli jego udręczone oblicze zaczęło przypominać tego zwierzaka. Każdy kęs swojej nikłej strawy żuł pięćdziesiąt razy. Posiłki zamieniły się w trwający wieczność rytuał, Alba zasypiała przy stole z głową na pustym talerzu, a służący w kuchni z głowami na tacach, podczas gdy on żuł ceremonialnie, toteż Esteban Trueba zaczął jadać wyłącznie w klubie. Nicolas zapewniał, że może chodzić boso po rozżarzonych węglach, ale ilekroć miał to zademonstrować, tylekroć Clara dostawała ataku astmy i musiał odstąpić od swojego zamiaru. Mówił azjatyckimi parabolami, które nie zawsze rozumiano. Jego jedyne zainteresowania były natury duchowej. Materializm życia domowego dokuczał mu tak samo jak nadmierna troskliwość siostry i matki, które upierały się, żeby go nakarmić i odziać, oraz prześladowania ze strony zafascynowanej Alby, która chodziła za nim po domu jak piesek błagając, by nauczył ją stawania na głowie i nakłuwania się szpilkami. Chodził nago nawet wtedy, gdy nadeszła surowa zima. Potrafił wstrzymywać oddech przez trzy minuty i był gotów do tego wyczynu, ilekroć ktoś go o to prosił, co zdarzało się często. Jaime mawiał, że szkoda, iż powietrze jest darmowe, ponieważ obliczył, że Nicolas wdycha go o połowę mniej niż osoba normalna, co jak się zdaje zupełnie mu nie szkodziło. Przez całą zimę jadał marchew, nie skarżąc się na chłód, i zamknięty w swoim pokoju strona po stronie zapisywał zeszyty maleńkimi czarnymi literami. Gdy pojawiły się pierwsze oznaki nadchodzącej wiosny, oświadczył, że książka jest gotowa. Miała tysiąc pięćset stron. Przekonał ojca i brata, żeby

sfinansowali jej wydanie w zamian za udział w zyskach ze sprzedaży. Po korekcie i wydruku tysiącpięć-setstronicowy rękopis zmalał do sześciuset stron; wyszedł z tego opasły traktat o dziewięćdziesięciu dziewięciu imionach Boga i sposobie osiągania nirwany poprzez ćwiczenia oddechu. Dzieło nie odniosło spodziewanego sukcesu i pudła z egzemplarzami książki trafiły do piwnicy, gdzie Alba używała ich do budowy okopów; w wiele lat później spłonęły na haniebnym stosie.

Gdy tylko książka opuściła drukarnię, Nicolas wziął ją z czułością do ręki, odzyskał utracony uśmiech hieny, ubrał się przyzwoicie i ogłosił, że nadeszła chwila przekazania Prawdy współczesnym, którzy tkwią w ciemnocie. Esteban Trueba przypomniał mu o zakazie urządzania w domu uczelni i ostrzegł, że nie będzie tolerował wkładania Albie do głowy idei pogańskich ani tym bardziej uczenia jej sztuczek fakirów. Nicolas poszedł głosić swoje idee w kawiarence uniwersyteckiej, gdzie wiele osób wyraziło chęć zapisania się na kursy ćwiczeń ducha i oddechu. W wolnych chwilach jeździł motocyklem na spacery i uczył siostrzenicę, jak przezwyciężać ból i inne słabości ciała. Metoda polegała na identyfikacji tego, co wywoływało u niej lęk. Dziewczynka, mająca pewną skłonność do makabrycznych wizji, koncentrowała się zgodnie z instrukcjami wuja i potrafiła widzieć śmierć matki tak, jakby ją przeżywała. Widziała ją siną, zimną, z zamkniętymi cudownymi mauretańskimi oczami, leżącą w trumnie. Słyszała płacz rodziny. Widziała procesję przyjaciół, którzy wchodzili w milczeniu, pozostawiali na tacy wizytówki i wychodzili ze spuszczonymi głowami. Czuła zapach kwiatów, rżenie koni w pióropuszach zaprzęgniętych do karawanu. Bolały ją stopy w nowych żałobnych butach. Wyobrażała sobie swoją samotność, zaniedbanie, sieroctwo. Wuj pomagał jej przejść przez to wszystko bez płaczu, zrelaksować się i nie stawiać oporu bólowi, tak by przeszedł przez nią nie zatrzymując się. Innymi razy Alba ściskała sobie palec w drzwiach i uczyła się wytrzymywać bez skarg piekący ból. Jeśli udawało się jej spędzić cały tydzień bez płaczu znosząc próby, którym poddawał ją Nicolas, otrzymywała nagrodę, która prawie zawsze polegała na przejażdżce motocyklem z największą szybkością, co było niezapomnianym doświadczeniem. Pewnego razu, gdy Nicolas zabrał siostrzenicę w nagrodę, znaleźli się za miastem wśród stada krów, które szły do obory. Zapamiętała na zawsze ciężkie ciała zwierząt, ich tępotę, ubrudzone błotem ogony, którymi biły ją po twarzy, zapach nawozu, rogi, które ją muskały, i uczucie pustki w żołądku, cudownego zawrotu głowy, niewiarygodnego podniecenia, mieszaniny namiętnej ciekawości i strachu, której doświadczała później tylko przelotnie.

Esteban Trueba, który zawsze niechętnie przyznawał się, że potrzebuje miłości, a od czasu, gdy pogorszyły się jego stosunki małżeńskie z Clarą, nie doznawał jej wcale, przelał swoje najlepsze uczucia na Albę. Liczyła się dla niego bardziej niż kiedykolwiek jego własne dzieci. Każdego ranka szła w piżamie do pokoju dziadka, wchodziła bez pukania i wsuwała się do łóżka. Udawał, że budzi się gwałtownie, choć w rzeczywistości czekał na nią, i pomrukiwał, żeby mu nie dokuczała, poszła do siebie i dała mu spać. Alba łaskotała go, aż pozornie pokonany zezwalał, by poszukała czekolady, którą schował dla niej. Znała wszystkie skrytki, a dziadek używał ich zawsze w tej samej kolejności, lecz aby nie sprawić mu zawodu, udawała przez dłuższą chwilę, że szuka, po czym, gdy już znalazła, wydawała okrzyki radości. Esteban nigdy nie dowiedział się, że nienawidziła czekolady i jadła ją tylko z miłości do niego. Te zabawy poranne zaspokajały u senatora potrzebę kontaktu z ludźmi. Resztę dnia spędzał w Kongresie i klubie oraz na grze w golfa, interesach i tajnych naradach politycznych. Dwa razy w roku wyjeżdżał z wnuczką na dwa lub trzy

tygodnie do Las Tres Marias. Oboje wracali opaleni, grubsi i szczęśliwi. Destylowali tam bimber, nazywany pompatycznie wódką, który służył nie tylko jako napój wyskokowy, ale również do podpalania ognia w kuchni, dezynfekowania ran i tępienia karaluchów. Pod koniec życia, mając dziewięćdziesiąt lat, które uczyniły zeń pogięte i kruche drzewo, Esteban Trueba wspominał te chwile spędzone z wnuczką jako najlepsze, a ona też pamiętała zawsze o podróżach na wieś, podczas których trzymała dziadka za rękę, o spacerach na końskim zadzie, zmierzchach zapadających wśród bezmiaru pól i długich wieczorach przy kominku w salonie, gdzie opowiadali sobie bajki o duchach i rysowali.

Z biegiem czasu stosunki senatora Trueby z resztą rodziny stawały się coraz gorsze. Raz na tydzień, w soboty, zasiadali do kolacji wokół wielkiego dębowego stołu, który zawsze stał w tym domu, a przedtem należał do państwa del Valle, to znaczy był najbardziej antycznym antykiem i służył kiedyś do wystawiania zwłok, tańca flamenco i innych nieprzewidzianych celów. Albę sadzano między matką a babką podkładając jej poduszkę, aby nos sięgał wysokości talerza. Z fascynacją obserwowała dorosłych: promienną babkę, która zakładała na tę okazję sztuczną szczękę i zwracała się do męża za pośrednictwem swoich dzieci lub służących, wuja Jaime popisującego się złym wychowaniem (odbijało mu się po każdym daniu i na złość ojcu dłubał w zębach paznokciem małego palca), Nicolasa z przymkniętymi oczyma żującego pięćdziesiąt razy każdy kęs i Blankę, która paplała o czymkolwiek, by stworzyć pozory normalnej kolacji. Na ogół Trueba milczał dopóty, dopóki nie zdradził go zły charakter - wtedy zaczynał spierać się z synem Jaime o przyczyny nędzy, o wybory, o socjalistów i o zasady, obrzucać wyzwiskami Nicolasa z powodu jego pomysłów lotu balonem i praktykowania akupunktury z Albą, dręczyć Blankę brutalnymi replikami, ignorowaniem jej i zbędnymi ostrzeżeniami, że ponieważ zrujnowała mu życie, nie odziedziczy po nim ani jednego peso. Jedyną osobą, której nie stawiał czoła, była Clara, ale ona prawie się nie odzywała. Czasami Alba przyłapywała dziadka, jak wbijał wzrok w Clarę, przyglądał się jej pobladły i łagodny do tego stopnia, że zmieniał się nie do poznania. Lecz nie działo się to często; normalnie małżonkowie się ignorowali. Od czasu do czasu senator Trueba tracił panowanie nad sobą i krzyczał tak bardzo, że robił się czerwony i trzeba było chlusnąć mu w twarz zimną wodą z dzbana, by przeszła mu złość i wrócił normalny oddech.

W tym czasie Blanca osiągnęła apogeum kobiecej piękności. Urodę miała mauretańską, tęskną i bujną - zachęcającą do relaksu i wyznań. Była wysoka, jej temperament osoby bezbronnej i płaczliwej budził w mężczyznach instynkt opiekuńczy. Ojciec nie czuł do niej sympatii. Nie wybaczył jej amorów z Pedrem Trzecim Garcią i robił wszystko, by nie zapomniała, że jest na jego łasce. Trueba nie mógł zrozumieć, dlaczego tylu mężczyzn kocha się w Blance, która nie miała w sobie nic z niepokojącej wesołości i pogody ducha pociągającej go u kobiet, a ponadto uważał, że żaden normalny mężczyzna nie może pragnąć ożenku z kobietą chorowitą, której stan cywilny jest niewyraźny i ma na dodatek dziecko. Blanca natomiast nie wydawała się zaskoczona awansami mężczyzn. Była świadoma swojej urody. Lecz wobec kawalerów, którzy składali jej wizyty, zajmowała postawę pełną sprzeczności: zachęcała ich mrugając muzułmańskimi oczyma, ale trzymała na bezpieczną odległość. Gdy tylko widziała, że ktoś ma wobec niej poważne zamiary, zrywała stosunki okrutną odmową. Niektórzy, będący w lepszej sytuacji materialnej, usiłowali dotrzeć do serca Blanki uwodząc jej córkę. Obsypywali Albę drogimi prezentami, lalkami wyposażonymi w mechanizmy, które pozwalały im chodzić, płakać, jeść i wykonywać inne czynności właściwe istotom ludzkim, karmili ciastkami

z kremem i zabierali na spacery do zoo, gdzie płakała użalając się na los biednych więzionych zwierząt, zwłaszcza foki, która wywoływała w jej duszy złe przeczucia. Te wizyty w zoo z jakimiś nadętymi i nadzianymi konkurentami do ręki matki sprawiły, że przez całe życie lękała się zamknięcia, murów, krat i izolacji. Spośród wszystkich adoratorów Blanki najdalej zaszedł Król Szybkowarów. Choć miał ogromną fortunę i był człowiekiem spokojnym i rozsądnym, Esteban Trueba nie cierpiał go, ponieważ był obrzezany, miał sefardyjski nos i kręcone włosy. Wrogością i szyderstwem udało mu się wypłoszyć tego człowieka, który przeżył obóz koncentracyjny, nędzę i emigrację i odniósł sukces w bezlitosnej konkurencyjnej walce. Gdy trwał romans, Król Szybkowarów zabierał Blankę na kolacje do najbardziej ekskluzywnych lokali; przyjeżdżał po nią maleńkim samochodem z dwoma tylko siedzeniami, kołami traktora i szumem motoru przypominającym turbinę - jedynym w swoim rodzaju wehikułem wywołującym zbiegowiska gapiów i pogardliwe wzruszenia ramion rodziny Truebów. Blanca zachowywała się tak, jakby niechęć ojca i drwiny sąsiadów zupełnie jej nie dotyczyły: wsiadała do wehikułu majestatycznie jak prezes rady ministrów, ubrana w swój jedyny czarny kostium i białą jedwabną bluzkę, które zakładała na wszystkie specjalne okazje. Alba całowała ją na pożegnanie i stała w drzwiach z delikatnym jaśminowym zapachem matki w nozdrzach i lękiem kłębiącym się w piersi. Tylko treningi, którym poddawał Albę wuj Nicolas, pozwalały jej znieść bez płaczu matczyne randki, gdyż bała się, że pewnego dnia jakiś kolejny galant przekona Blankę, by z nim odeszła, a wtedy ona zostanie na zawsze bez matki. Dawno już doszła do wniosku, że nie potrzebuje ojca, ale gdyby przyszło jej utracić matkę, wsadziłaby głowę do wiadra z wodą i udusiła się, tak jak czyniła to kucharka z maleństwami, które co cztery miesiące rodziła kotka.

Alba przestała się bać, że matka ją porzuci, gdy poznała Pedra Trzeciego i wyczuła intuicyjnie, że dopóki żyje ten człowiek, żaden inny mężczyzna nie może liczyć na miłość Blanki. Stało się to pewnej letniej niedzieli. Blanca zrobiła jej loki gorącymi szczypcami, które parzyły uszy, i kazała założyć białe rękawiczki, czarne lakierki i słomkowy kapelusz ze sztucznymi czereśniami. Na jej widok babka Clara wybuchnęła śmiechem, ale matka pocieszyła Albę dwiema kroplami swoich perfum, którymi skropiła jej szyję.

- Poznasz sławnego człowieka - powiedziała tajemniczo Blanca, gdy wychodziły.

Zabrała dziewczynkę do Parku Japońskiego, gdzie kupiła jej lizaki z palonego cukru i torebeczkę kukurydzy. Usiadły na ławce w cieniu, trzymając się za ręce, otoczone gołębiami, które dziobały kukurydzę.

Zorientowała się, że chodzi o tego właśnie mężczyznę, gdy ujrzała go z daleka - nim jeszcze matka pokazała go jej. Miał na sobie kombinezon mechanika, ogromną czarną brodę, która sięgała połowy piersi, niesforne włosy, franciszkańskie sandały bez skarpetek i szeroki, olśniewający i cudowny uśmiech, na którego widok Alba zaliczyła go natychmiast do kategorii istot godnych wymalowania na gigantycznym fresku w pokoju.

Mężczyzna i dziewczynka popatrzyli na siebie i rozpoznali się po oczach.

- To jest Pedro Trzeci, piosenkarz. Słyszałaś go przez radio - powiedziała matka.

Alba wyciągnęła rękę, którą on uścisnął lewą dłonią. Zauważyła wówczas, że u prawej brakuje mu kilku palców, ale wyjaśnił, że mimo to może grać na gitarze, ponieważ zawsze jest jakiś sposób, by robić to, na co ma się ochotę. Spacerowali we trójkę po Parku Japońskim. Około trzeciej po południu pojechali jednym z nielicznych tramwajów, jakie jeszcze kursowały po mieście, na ryby do smażalni przy rynku, a gdy się ściemniło, odprowadził je aż do ulicy, przy której mieszkały. Na pożegnanie Blanca i Pedro Trzeci pocałowali się w usta. Alba zobaczyła po raz pierwszy w życiu tak całujących się ludzi, ponieważ wokół niej nie było zakochanych.

Odtąd Blanca zaczęła sama wyjeżdżać na weekendy. Mówiła, że jedzie odwiedzić jakąś daleką kuzynkę. Esteban wściekał się i groził, że ją wyrzuci, ale Blanca trwała niewzruszona w swoim postanowieniu. Córkę zostawiała z Clarą, i z pajacowatą walizeczką w kwiaty pod pachą odjeżdżała autobusem.

- Przyrzekam ci, że nie wyjdę za mąż i wrócę jutro wieczorem - mówiła, żegnając się z córką.

Alba lubiła siadywać z kucharką w porze sjesty i słuchać w radiu piosenek ludowych, zwłaszcza tych, które śpiewał człowiek poznany w Parku Japońskim. Pewnego dnia do kredensu wszedł senator Trueba i słysząc głos płynący z radia rzucił się na aparat bijąc go laską, aż została z niego jedynie kupa pogiętych drutów i rozrzuconych gałek. Uczynił to na oczach wystraszonej wnuczki, która nie mogła zrozumieć przyczyn nagłego wybuchu dziadka. Następnego dnia Clara kupiła nowy radioodbiornik, aby Alba mogła słuchać Pedra Trzeciego, kiedy zechce, a stary Trueba udawał, że nic o tym nie wie.

Był to czas Króla Szybkowarów. Pedro Trzeci dowiedział się o jego istnieniu i dostał ataku zazdrości, który był nieuzasadniony, jeśli porówna się wpływ, jaki miał on na Blankę, z nieśmiałymi zalotami żydowskiego kupca. Jak to już czynił tylekroć, starał się ubłagać Blankę, by opuściła dom Truebów, zrzuciła z siebie surową kuratelę ojcowską i ciężar pracowni pełnej mongoloidów i próżnych panien i odeszła z nim raz na zawsze, by mogli żyć niepohamowaną miłością, którą ukrywali od dzieciństwa. Lecz Blanca nie mogła się zdecydować. Wiedziała, że jeśli odejdzie z Pedrem Trzecim, zostanie wykluczona ze swojego środowiska społecznego i straci pozycję, którą zawsze miała; była świadoma tego, że nie ma najmniejszej szansy przypaść do gustu przyjaciołom Pedra Trzeciego ani przywyknąć do skromnej egzystencji w osiedlu robotniczym. W wiele lat później, gdy Alba była w wieku, w którym mogła zanalizować ten aspekt życia matki, doszła do wniosku, że nie odeszła wtedy z Pedrem Trzecim po prostu dlatego, iż nie dość go kochała, ponieważ w domu Truebów nie miała nic, czego on nie mógłby jej dać. Blanca była bardzo biedna, gdyż miała trochę pieniędzy tylko wtedy, gdy otrzymywała je od Clary lub sprzedawała szopkę. Jej pensja była nędzna i wydawała ją niemal w całości na lekarstwa, gdyż skłonność do wyimaginowanych chorób nie osłabła na skutek pracy ani w obliczu potrzeby - przeciwnie, potęgowała się z roku na rok. Starała się nie prosić o nic ojca, aby nie dawać mu okazji do upokarzania jej. Od czasu do czasu Clara i Jaime kupowali jej odzież lub dawali coś na własne potrzeby, ale zazwyczaj nie miała nawet na parę pończoch. Jej ubóstwo kontrastowało z haftowanymi sukienkami i obuwiem robionym na miarę, w które senator Trueba ubierał wnuczkę. Życie Blanki było ciężkie. W zimie i w lecie wstawała o szóstej rano. O tej porze, w gumowym fartuchu i chodakach, paliła w piecu w pracowni, przygotowywała stoły do pracy i z rękami zanurzonymi po łokcie w szorstkiej i zimnej masie wyrabiała glinę na zajęcia, które

prowadziła. Dlatego miała zawsze połamane paznokcie i popękaną skórę na rękach, a z biegiem czasu zaczęły wykrzywiać się jej palce.

O tej porze była natchniona i nikt jej nie przeszkadzał, toteż mogła rozpoczynać dzień od wyrobu monstrualnych zwierząt do szopki. Potem musiała zajmować się domem, służbą i zakupami - aż do chwili, gdy zaczynały się lekcje, których udzielała. Jej uczennice były dziewczynami z dobrych rodzin; nie mając żadnych obowiązków uległy modzie i zajęły się ceramiką, której wyrób był w ich oczach zajęciem elegantszym od babcinych robótek na drutach na cele charytatywne.

Pomysł lekcji dla mongoloidów był dziełem przypadku. Pewnego dnia do domu senatora Trueby przyszła z wnukiem pewna stara przyjaciółka Clary. Wyrostek był gruby i ospały, twarz miał okrągłą jak księżyc w pełni, a w orientalnych oczkach wyraz niewzruszonej czułości. Miał piętnaście lat, lecz Alba zdała sobie sprawę, że jest jak niemowlę. Clara poprosiła wnuczkę, żeby poszła pobawić się z chłopcem w ogrodzie i przypilnowała, by się nie ubrudził, nie utopił w fontannie, nie jadł ziemi i nie macał rozporka. Albie znudziło się szybko pilnowanie chłopaka i wobec niemożności porozumienia się z nim w żadnym spójnym języku zabrała go do pracowni ceramicznej; aby nie przeszkadzał, nie ubrudził się i nie zmoczył wodą, Blanca założyła mu fartuch i dała do ręki kulkę gliny. Chłopiec był nią zajęty przez z górą trzy godziny nie śliniąc się, nie oddając moczu ani nie bijąc głową w ścianę; lepił z gliny toporne figurki, które potem zaniósł babce w prezencie. Babka, która już zapomniała, że z nim przyszła, była zachwycona i tak zrodziła się myśl, że wyrób ceramiki jest dobrym zajęciem dla mongoloidów. Skończyło się na tym, że Blanca zaczęła udzielać lekcji grupie dzieci, które przyjeżdżały do pracowni w czwartki po południu. Przywożono je furgonetką pod opieką dwóch zakonnic w krochmalonych kornetach, które siadały w altance w ogrodzie i popijały wraz z Clarą czekoladę, dyskutując o zaletach krzyżowania oczek i hierarchii grzechów, podczas gdy Blanca i jej córka uczyły dzieci, a te lepiły robaki, piłeczki, zniekształcone psy i nieforemne naczynia. Na koniec roku zakonnice urządziły wystawę i wieczornicę; te koszmarne dzieła sztuki sprzedawano w celach dobroczynnych. Wkrótce Blanca i Alba spostrzegły, że dzieci pracują o wiele lepiej, gdy czują się kochane, i że jedynym sposobem porozumiewania się z nimi jest uczucie. Nauczyły się obejmować mongoloidów, całować, pieścić, a w końcu naprawdę ich pokochały. Alba czekała przez cały tydzień na przyjazd furgonetki z niedorozwiniętymi umysłowo i skakała z radości, gdy biegły, by ją uściskać. Lecz czwartki były wyczerpujące. Alba kładła się zmęczona, w głowie kręciło się jej od słodkich azjatyckich twarzy dzieci z pracowni, a Blanca cierpiała niezmiennie na migrenę. Gdy zakonnice poszły już sobie, w zamęcie białych gałganów prowadząc za ręce chmarę niedorozwiniętych dzieci, Blanca ściskała córkę jak szalona, obcałowywała i mówiła, że należy dziękować Bogu, iż jest normalna. Dlatego Alba rosła z wyobrażeniem, że normalność jest darem Bożym. Kiedyś porozmawiała o tym z babką.

- Niemal w każdej rodzinie jest osoba głupia lub szalona, moje dziecko - zapewniła ją Clara, nie odrywając wzroku od robótki, ponieważ przez te wszystkie lata nie nauczyła się robić na drutach nie patrząc na nie. - Czasami są niewidoczne, gdyż się je ukrywa, jakby przynosiły wstyd. Zamyka się je w najodleglejszych pokojach, żeby nie widzieli ich goście. Lecz w rzeczywistości nie ma się czego wstydzić, one też są dziełem Boga.

- Ale w naszej rodzinie nie ma nikogo takiego, babciu - replikowała Alba.

- Nie ma. Tutaj szaleństwo udzieliło się wszystkim po trochu i nie zostało go tyle, żeby zrobić z kogoś z nas skończonego wariata.

Tak wyglądały jej rozmowy z Clarą. Dlatego dla Alby najważniejszą osobą w domu i najsilniejszą osobowością w jej życiu była babka. To ona była silnikiem, który wprawiał w ruch i w działanie cały ten magiczny świat, położony na zapleczu wielkiego domu narożnego, w którym spędziła siedem pierwszych lat w warunkach całkowitej swobody. Przyzwyczaiła się do dziwactw babki. Nie zaskakiwało jej, gdy Clara poruszana jakąś niewidzialną siłą przemieszczała się w transie po całym salonie, siedząc z podwiniętymi stopami w fotelu. Alba towarzyszyła babce we wszystkich wędrówkach po szpitalach i domach dobroczynności, gdy Clara usiłowała iść śladem swych podopiecznych w potrzebie, a nawet nauczyła się poczwórną wełnianą nitką i na grubych drutach robić kamizelki, które wuj Jaime zakładał na siebie jeden raz, po czym oddawał komuś innemu; uczyniła to tylko dlatego, by móc oglądać bezzębny uśmiech babki, gdy dostawała zeza łapiąc oczka. Często Clara prosiła Albę, żeby coś przekazała od niej Estebanowi, i dlatego nazwano ją Gołębiem Pocztowym. Uczestniczyła w piątkowych seansach, podczas których podskakiwał stolik na trzech nogach, choć nie stosowano żadnych sztuczek, znanych źródeł energii czy dźwigni, oraz w wieczorach literackich, na których występowali na przemian uznani mistrzowie i mniej czy bardziej liczni protegowani Clary - nieśmiali, nikomu nie znani artyści. W tych czasach w wielkim domu narożnym jadło i piło wielu gości. Prawie wszyscy ważni w kraju ludzie mieszkali tam kolejno lub co najmniej uczestniczyli w seansach spirytystycznych, odczytach na tematy kulturalne i spotkaniach towarzyskich - nawet Poeta, którego po latach uważano za najwybitniejszego w tym stuleciu i tłumaczono na wszystkie znane języki świata; Alba siedziała mu wielokrotnie na kolanach nie podejrzewając, że pewnego dnia z wiązką czerwonych jak krew goździków będzie szła za jego trumną wzdłuż szpaleru karabinów maszynowych.

Clara była jeszcze młoda, choć wnuczce wydawała się bardzo stara, gdyż nie miała zębów. Lecz nie miała również zmarszczek i gdy zamykała usta, sprawiała wrażenie osoby bardzo młodej, a to na skutek niewinnego wyrazu twarzy. Ubierała się w tuniki z surówki lnianej, które wyglądały jak kaftany bezpieczeństwa, w zimie zaś nosiła długie wełniane skarpety i rękawice bez palców. Bawiły ją rzeczy mało zabawne, natomiast nie była w stanie zrozumieć dowcipu, śmiała się poniewczasie, gdy już ucichł śmiech innych; potrafiła też martwić się bardzo, widząc, jak ktoś się ośmiesza. Czasami cierpiała na ataki astmy. Wtedy srebrnym dzwoneczkiem, który zawsze nosiła ze sobą, przywoływała wnuczkę i Alba przybiegała, obejmowała ją i kurowała, szepcząc słowa pociechy, gdyż obie wiedziały z doświadczenia, że na astmę pomaga tylko długotrwały uścisk kogoś kochanego. Clara miała śmiejące się oczy leszczynowej barwy, siwe lśniące włosy zebrane w nieporządny kok, z którego wymykały się niesforne kosmyki, dłonie białe i delikatne o migdałowych paznokciach i długie palce, na których nie nosiła pierścionków i które służyły jedynie do czułych gestów, manipulowania kartami, z których wróżyła, i wkładania sztucznej szczęki w porach posiłków. Alba przez cały dzień chodziła za babką, trzymała się jej spódnicy, namawiała do opowiadania bajek i poruszania dzbanów siłą umysłu. Znajdowała u niej schronienie, gdy osaczały ją koszmary lub gdy treningi wuja Nicolasa stawały się nie do zniesienia. Clara nauczyła ją, jak opiekować się ptakami i mówić do każdego z nich w jego własnym języku, poznawać znaki ostrzegawcze przyrody i robić na drutach ściegiem ryżowym szaliki dla biednych.

Alba wiedziała, że babka jest duszą wielkiego domu narożnego. Inni dowiedzieli się o tym później, gdy Clara umarła, a z domu zniknęły kwiaty, przestali bywać w nim przejazdem przyjaciele, opuściły go figlarne duchy i zupełnie podupadł.

Alba miała sześć lat, gdy po raz pierwszy ujrzała Estebana Garcię, lecz nigdy go nie zapomniała. Prawdopodobnie widziała go już wcześniej w Las Tres Marias, podczas którejś podróży wakacyjnej z dziadkiem, gdy zabierał ją na objazd posiadłości i szerokim gestem pokazywał wszystko, co można było objąć wzrokiem, od zagajników topolowych po wulkan, w tym ceglane domki, i mówił, że powinna pokochać tę ziemię, ponieważ pewnego dnia będzie do niej należała.

- Wszystkie moje dzieci to durnie. Gdyby odziedziczyły Las Tres Marias, w niespełna rok gospodarstwo poszłoby w ruinę, jak za czasów mojego ojca - mówił wnuczce.

- To wszystko jest twoje, dziadku?

- Wszystko, od autostrady panamerykańskiej aż po wierzchołek tych wzgórz. Widzisz je?

- Dlaczego, dziadku?

- Jak to dlaczego? Dlatego, że jestem właścicielem, to jasne!

- Tak, ale dlaczego jesteś właścicielem?

- Dlatego, że należało to do mojej rodziny.

- Dlaczego?

- Dlatego, że odkupili ziemię od Indian.

- A parobcy, którzy też tu zawsze mieszkali? Dlaczego oni nie są właścicielami?

- Twój wuj Jaime wkłada ci do głowy bolszewickie idee! - ryczał senator Trueba czerwieniejąc z wściekłości. - Wiesz, co by się stało, gdyby tu nie było pana?

- Nie.

- Wszystko poszłoby w cholerę! Nikt nie wydawałby poleceń, żeby sprzedano zbiory, nikt nie czułby się za nic odpowiedzialny, rozumiesz? Nikt też nie opiekowałby się ludźmi. Gdyby na przykład ktoś się rozchorował albo umarł i została wdowa i dużo dzieci, poumieraliby z głodu. Każdy miałby nędzny kawałeczek ziemi i nie starczałoby mu nawet, żeby się najeść. Potrzebny jest ktoś, kto będzie za nich myślał, podejmował decyzje, kto będzie im pomagał. Jestem najlepszym dziedzicem w tym regionie, Albo. Mam zły charakter, ale jestem sprawiedliwy. Moi parobcy żyją lepiej niż wielu ludzi w mieście, niczego im nie brakuje i nawet kiedy przychodzi susza, powódź lub trzęsienie ziemi, troszczę się, żeby nikt nie popadł w nędzę. To samo ty będziesz musiała robić, gdy osiągniesz odpowiedni wiek. Przywożę cię zawsze do Las Tres Marias, żebyś poznała każdy kamień i każde zwierzę, a zwłaszcza, z imienia i nazwiska, każdą osobę. Czy mnie zrozumiałaś?

Lecz w rzeczywistości Alba miała mało kontaktów z chłopami i wielu z nich wcale nie znała z imienia i nazwiska. Dlatego nie poznała śniadego, niezdarnego i tępego chłopaka z małymi okrutnymi oczkami gryzonia, który pewnego popołudnia zapukał do drzwi wielkiego domu narożnego w stolicy. Miał na sobie ciemny, za ciasny garnitur. Na kolanach, łokciach i siedzeniu tkanina była wytarta, przypominała błyszczącą błonę. Powiedział, że jest synem jednego z parobków z Las Tres Marias i chce rozmawiać z senatorem Truebą. Choć w normalnych czasach ludzie jego stanu wchodzili drzwiami dla służby i czekali w pokoju kredensowym, zaprowadzono go do biblioteki, gdyż tego dnia w domu miało się odbyć przyjęcie z udziałem całego sztabu partii konserwatywnej. W kuchni stacjonowała armia kucharzy i pomocników, których Trueba ściągnął z klubu, i panowało takie zamieszanie i pośpiech, że wszelki nieproszony gość mógł tylko przeszkadzać. Tego zimowego popołudnia biblioteka była ciemna i cicha; oświetlał ją tylko ogień żarzący się w kominku. Pachniało pastą do polerowania mebli i skórą.

- Poczekaj tutaj, ale niczego nie dotykaj. Senator Trueba przyjdzie wkrótce - powiedziała ostrym tonem służąca i zostawiła go samego.

Młody człowiek rozejrzał się po pokoju nie śmiąc wykonać żadnego ruchu i myśląc sobie z urazą, że to wszystko mogłoby doń należeć, gdyby był prawowitym potomkiem, jak tylekroć tłumaczyła mu babka, Pancha Garcia, nim umarła od gorączki wahającej połączonej z bólami kurczowymi i został ostatecznie sierotą w tłumie braci i kuzynów, wśród których był nikim. Tylko babka wyróżniała go w tym tłumie i nie pozwalała zapomnieć, że jest inny, ponieważ w jego żyłach płynie krew dziedzica. Biblioteka go przytłaczała. Wszystkie ściany były zastawione regałami z polerowanego mahoniu; tylko po obu stronach kominka stały dwie oszklone szafy zapchane kością słoniową i jaspisem ze Wschodu. Pokój miał dwa piętra wysokości, co było jedynym kaprysem architekta, na jaki przystał dziad młodzieńca. Rolę drugiego piętra regałów spełniał balkonik, na który wchodziło się spiralnymi schodami z kutego żelaza. Znajdowały się tam najlepsze obrazy, ponieważ Esteban Trueba zamienił to pomieszczenie w sanktuarium, gabinet i kryjówkę i lubił mieć wokół siebie przedmioty, które najwyżej cenił. Od podłogi po sufit półki były zastawione książkami i dziełami sztuki. W bibliotece znajdowało się też ciężkie biurko w stylu hiszpańskim, tyłem do okna stały wielkie fotele z czarnej skóry, dębowy parkiet pokrywały cztery perskie dywany, a kilka rozmieszczonych odpowiednio lamp z pergaminowymi abażurami pozwalało czytać w dobrym świetle, gdziekolwiek się usiadło. Tutaj senator najchętniej odbywał tajne narady, intrygował, załatwiał interesy, a w godzinach największej samotności zamykał się, by ulżyć złości, nie zaspokojonemu pożądaniu lub smutkowi. Lecz o tym wszystkim nie mógł wiedzieć kmiotek, który stał na dywanie, nie miał co zrobić z rękami i pocił się z onieśmielenia. Pańska biblioteka, ciężka i przytłaczająca, odpowiadała dokładnie jego wizerunkowi dziedzica. Zadrżał z nienawiści i lęku. Nigdy nie był w takim pomieszczeniu i dotychczas sądził, że najbardziej luksusowym miejscem na całej kuli ziemskiej jest kino w San Lucas, dokąd pewnego razu nauczycielka zabrała całą klasę na film o Tarzanie. Wiele go kosztowało podjęcie decyzji, przekonanie rodziny i odbycie długiej podróży do stolicy, po to żeby porozmawiać z dziedzicem. Z tym, o czym chciał mu powiedzieć i co ciążyło mu w piersi, nie mógł czekać do lata. Nagle poczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i ujrzał dziewczynkę z warkoczami i w haftowanych skarpetkach, która stała w drzwiach i przyglądała mu się.

- Jak się nazywasz? - zapytała dziewczynka.

- Esteban Garcia - odparł.

- Ja nazywam się Alba Trueba. Zapamiętaj moje imię.

- Zapamiętam.

Przyglądali się sobie długą chwilę, aż ona nabrała zaufania i ośmieliłasię podejść. Wytłumaczyła mu, że musi poczekać, ponieważ dziadek nie wrócił jeszcze z Kongresu, opowiedziała, że w kuchni jest zamieszanie z powodu przyjęcia, i obiecała, że później postara się dla niego o kilka ciastek. Esteban Garcia poczuł się swobodniejszy. Usiadł na fotelu z czarnej skóry, z wolna przyciągnął dziewczynkę i posadził ją sobie na kolanach. Alba pachniała płynem laurowym; była to świeża i słodka woń, która mieszała się z naturalnym zapachem potu. Chłopak przysunął nos do jej szyi i wdychał nieznany aromat czystości i dobrobytu; nie wiadomo dlaczego oczy zaszły mu łzami. Czuł, że nienawidzi tego dziecka prawie tak samo, jak nienawidził starego Trueby. Alba ucieleśniała to, czego nigdy nie miał posiadać i czym nigdy nie miał być. Pragnął wyrządzić jej krzywdę, unicestwić ją, lecz zarazem chciał nadal chłonąć jej zapach, słuchać dziecinnego głosiku i mieć w zasięgu ręki jej delikatną skórę. Pieścił kolana Alby tuż nad haftowanymi skarpetkami; były ciepłe i miały dołeczki. Paplała o kucharce, która przyrządzając kurczaki na uroczystą kolację wsadza im orzechy w dupę. On zamknął oczy; drżał. Jedną ręką objął dziewczynkę za szyję, poczuł, jak warkocze łaskoczą przegub, i zacisnął lekko ramię, świadom, że jest tak mała, iż bez trudu mógłby ją udusić. Pragnął to uczynić, czuć, jak się wyrywa i wierzga nogami na jego kolanach, starając się rozpaczliwie złapać oddech. Pragnął słyszeć, jak jęczy i umiera w jego ramionach, pragnął rozebrać ją do naga i poczuł gwałtowne podniecenie. Drugą rękę wsunął pod wykrochmaloną sukienkę, przebiegł palcami dziecięce uda, znalazł koronkę batystowej haleczki i wełniane majteczki z gumką. Sapał. W zakamarkach umysłu pozostało mu dość rozumu, by zdawać sobie sprawę, że balansuje na krawędzi przepaści. Dziewczynka przestała mówić i siedziała spokojnie patrząc na niego wielkimi czarnymi oczyma. Ujął jej rękę i położył na stwardniałym członku.

- Czy wiesz, co to jest? - zapytał chrapliwym głosem.

- To twój penis - odpowiedziała, gdyż widziała ten organ na rycinach w książkach medycznych wuja Jaime, a także u wuja Nicolasa, gdy przechadzał się nagi wykonując azjatyckie ćwiczenia.

Esteban Garcia przestraszył się i zerwał nagle na równe nogi, a ona upadła na dywan. Był zaskoczony i przerażony, drżały mu ręce, czuł, że ma nogi jak z waty i że płoną mu uszy. W tej samej chwili usłyszał kroki senatora Trueby nadchodzącego korytarzem i nim odzyskał oddech, stary dziedzic wszedł do biblioteki.

- Dlaczego tu jest tak ciemno? - ryknął, jakby ziemia miała się zatrząść.

Zapalił światło i nie poznał młodzieńca, któremu oczy wyszły z orbit. Wyciągnął ramiona do wnuczki, a ona na chwilę skryła się w nich jak zbity pies, lecz zaraz wyrwała się i wyszła zamykając za sobą drzwi.

- A tyś co za jeden? - zapytał przeszywając wzrokiem chłopaka, który też był jego wnukiem.

- Esteban Garcia. Nie pamiętacie mnie, panie? - zdołał wykrztusić tamten.

Wtedy Trueba rozpoznał w nim chytrego dzieciaka, który przed laty zdradził mu kryjówkę Pedra Trzeciego i zebrał z ziemi odcięte palce. Zrozumiał, że nie będzie łatwo pozbyć się go bez wysłuchania, choć trzymał się zasady, że sprawy parobków ma rozwiązywać zarządca w Las Tres Marias.

- Czego chcesz? - zapytał.

Esteban Garcia wahał się, nie mógł odnaleźć słów, które ułożył sobie dokładnie w ciągu wielu miesięcy, nim ośmielił się zapukać do drzwi dziedzica.

- Mów szybko, bo mam mało czasu - rzekł Trueba. Garcia, jąkając się, zdołał wyłożyć swoją prośbę: skończył liceum w San Lucas i chciał rekomendacji, która pozwoliłaby mu dostać się do szkoły karabinierów i na czas studiów uzyskać stypendium państwowe.

- Dlaczego nie chcesz zostać na wsi, jak ojciec i dziad? - zapytał dziedzic.

- Wybaczcie, panie, ale chcę być karabinierem - powiedział błagalnym tonem Esteban Garcia.

Trueba przypomniał sobie, że nadal jest mu winien rekompensatę za donos na Pedra Trzeciego Garcię, i uznał, że jest to dobra okazja, żeby spłacić dług, a przy okazji mieć sługę w policji. „Nigdy nie wiadomo, nagle mogę go potrzebować", pomyślał. Usiadł przy ciężkim biurku, wziął kartkę papieru z senackim nagłówkiem, w zwyczajowym tonie zredagował rekomendację i wręczył ją młodzieńcowi, który stał przez cały czas.

- Masz, synu. Cieszę się, że wybrałeś ten zawód. Jeśli masz ochotę chodzić pod bronią, to możesz być przestępcą albo policjantem, więc lepiej, byś był policjantem, gdyż zapewni ci to bezkarność. Zadzwonię do komendanta Hurtado, który jest moim przyjacielem, by przyznano ci stypendium. Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

- Bardzo dziękuję, panie dziedzicu.

- Nie dziękuj, synu. Lubię pomagać moim ludziom. Pożegnał go poklepując przyjaźnie po ramieniu.

- Po kim dali ci na imię Esteban? - zapytał w drzwiach.

- Po was, panie - odparł młodzieniec rumieniąc się. Truebie nie dało to do myślenia. Na znak szacunku parobcy często nadawali dzieciom imiona dziedziców.

Clara umarła w tym samym dniu, w którym Alba skończyła siedem lat. Tylko ona sama dostrzegła pierwszą zapowiedź śmierci. Zaczęła wtedy czynić przygotowania do swojego odejścia. Służbie i chmarze protegowanych, których zawsze miała, rozdała bardzo dyskretnie odzież, pozostawiając sobie tylko rzeczy niezbędne. Uporządkowała papiery i powyciągała z kątów pamiętniki. Powiązała je kolorowymi tasiemkami, poukładane podług logiki wydarzeń, a nie w porządku chronologicznym, ponieważ jedyną rzeczą, którą zapomniała w nich umieścić, były daty, i doszła do

wniosku, że w ostatniej chwili nie może tracić czasu na ich ustalanie. Gdy szukała zeszytów, zaczęła odnajdywać klejnoty w pudełkach na buty, woreczkach na pończochy i w głębi szaf; pochowała je tam w czasach, gdy dostawała biżuterię w prezencie od męża, który mniemał, że w ten sposób zdobędzie jej miłość. Włożyła je do starej wełnianej pończochy, którą zapięła na agrafkę, i dała Blance.

- Schowaj je, córeczko. Pewnego dnia mogą się przydać do czegoś ważniejszego niż przebieranie się.

Blanca opowiedziała o tym Jaime, a ten zaczął obserwować matkę. Zauważył, że wiedzie pozornie normalny tryb życia, lecz prawie nie je. Żywiła się tylko mlekiem i paroma łyżeczkami miodu. Niewiele też spała, całe noce pisała lub snuła się po domu. Wyglądało na to, że odrywa się od świata i jest coraz lżejsza, przezroczystsza i uskrzydlona.

- Któregoś dnia, i to niedługo, pofrunie - powiedział zatroskany Jaime.

Nagle zaczęła się dusić. Czuła w piersi galop oszalałego konia i trwogę jeźdźca pędzącego pod wiatr. Powiedziała, że to astma, ale Alba zauważyła, że już jej nie przywołuje srebrnym dzwoneczkiem, by wykurowała ją za pomocą długotrwałych uścisków. Pewnego ranka ujrzała, jak z niewytłumaczalną radością babka otwiera klatki z ptakami.

Clara napisała bileciki do kochanych przez siebie istot; było ich wiele i ukryła je w pudełku stojącym pod łóżkiem. Następnego dnia rano nie wstała i gdy służąca przyszła ze śniadaniem, nie pozwoliła rozsunąć zasłon. Zaczęła żegnać się również ze światłem, by powoli wejść w cień.

Powiadomiony o tym Jaime poszedł do niej i nie wyszedł, dopóki nie pozwoliła się zbadać. Nie stwierdził w jej wyglądzie nic nienormalnego, lecz bez cienia wątpliwości zorientował się, że umrze. Wyszedł z pokoju z szerokim, obłudnym uśmiechem i gdy tylko znalazł się poza zasięgiem wzroku matki, oparł się o ścianę, ponieważ ugięły się pod nim nogi. Nikomu z domowników nic nie powiedział. Zadzwonił do specjalisty, który był jego profesorem na wydziale medycyny i tego samego dnia stawił się u Truebów. Po zbadaniu Clary potwierdził diagnozę Jaime. Zwołali członków rodziny do salonu i bez dłuższych wstępów poinformowali, że pożyje najwyżej dwa lub trzy tygodnie i że jedyne, co można uczynić, to być przy niej, by umarła w dobrym nastroju.

- Uważam, że postanowiła umrzeć, a na taką chorobę nauka nie zna lekarstwa - rzekł Jaime.

Esteban Trueba chwycił syna za szyję i o mało go nie udusił, wypchnął za drzwi specjalistę, a następnie laską potłukł w salonie lampy i porcelanę. W końcu upadł na kolana jęcząc jak dzieciak. W tej chwili weszła Alba i widząc klęczącego dziadka podeszła, przyjrzała mu się ze zdziwieniem i objęła, gdy dostrzegła łzy. Płacz starego sprawił, że dowiedziała się o wszystkim. Była w domu jedyną osobą, która nie straciła głowy, a to dzięki treningom w znoszeniu bólu oraz temu, że babka często tłumaczyła jej okoliczności i mozół śmierci.

- Podobnie jak wtedy, gdy przychodzimy na świat, umierając lękamy się tego, co nie znane. Lecz lęk to zjawisko wewnętrzne, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Śmierć jest jak narodziny: to tylko zmiana - powiedziała jej Clara.

Dodała, że jeśli może porozumiewać się bez trudu z duchami z zaświatów, to jest absolutnie pewna, że z zaświatów będzie potrafiła porozumiewać się również z żywymi, toteż chciała, żeby Alba, zamiast popłakiwać, gdy chwila ta nadejdzie, zachowała spokój, ponieważ w jej przypadku śmierć nie będzie oznaczała rozłąki, lecz połączy je jeszcze bardziej ze sobą. Alba zrozumiała to doskonale.

Wkrótce Clara zaczęła zapadać w słodki sen i tylko widoczny wysiłek, z jakim wypełniała płuca powietrzem, świadczył, że jeszcze żyje. Wyglądało jednak na to, że nie lęka się uduszenia, gdyż nie walczyła o życie. Przez cały czas wnuczka była u jej boku. Trzeba było zrobić dla niej posłanie na podłodze, ponieważ nie chciała opuścić pokoju i gdy usiłowano usunąć ją siłą, po raz pierwszy dostała konwulsji. Upierała się, że babcia jest wszystkiego świadoma i że jej potrzebuje. Tak było rzeczywiście. Tuż przed końcem Clara odzyskała przytomność i mogła spokojnie rozmawiać. Pierwszą rzeczą, którą spostrzegła, była dłoń Alby między jej własnymi dłońmi.

- Umrę, prawda, moje dziecko? - zapytała.

- Tak, babciu, ale to nieważne, bo ja jestem z tobą - odparła dziewczynka.

- To dobrze. Wyjmij pudełko z bilecikami, które stoi pod łóżkiem, i rozdaj je, ponieważ nie zdołam pożegnać się ze wszystkimi.

Clara zamknęła oczy, westchnęła z zadowoleniem i odeszła na tamten świat nie oglądając się za sobą. Wokół zebrała się cała rodzina, Jaime i Blanca mizerni od nocnego czuwania, Nicolas szepczący pacierze w sanskrycie, Esteban z zaciśniętymi ustami i pięściami, bezgranicznie wściekły i zrozpaczony, oraz mała Alba - jedyna, która zachowywała pogodę ducha. Stawiła się też służba, przyszły siostry Mora, paru wynędzniałych artystów, którzy mieszkali w domu przez ostatnie miesiące, i ksiądz wezwany przez kucharkę, który zresztą nie miał nic do roboty, ponieważ Trueba nie pozwolił, by molestował w ostatniej chwili umierającą wymagając od niej spowiedzi lub kropiąc ją wodą święconą.

Jaime pochylił się nad ciałem matki, szukając niedostrzegalnego śladu bicia serca, lecz go nie znalazł.

- Mama już odeszła - rzekł szlochając.

DOBA ZAPASCI

Nie mogę mówić o tym, lecz spróbuję napisać. Minęło dwadzieścia lat i przez długi czas odczuwałem niezmiennie ból. Myślałem, że nigdy nie znajdę pocieszenia, ale teraz, gdy mam dziewięćdziesiąt lat, rozumiem, co chciała powiedzieć, gdy zapewniała nas, że nie sprawi jej trudności porozumiewanie się z nami, ponieważ miała w tej dziedzinie duże doświadczenie. Przedtem zachowywałem się jak ktoś, kto się zagubił, szukałem jej wszędzie. Co noc, gdy położyłem się, wyobrażałem sobie, że jest ze mną, jak wtedy gdy miała wszystkie zęby i mnie kochała. Gasiłem światło, zamykałem oczy i w ciszy mojego pokoju usiłowałem ją ujrzeć, wołałem na jawie, a podobno także przez sen.

Tej nocy, której umarła, zamknąłem się z nią. Po tylu latach, w ciągu których nie rozmawialiśmy ze sobą, dzieliliśmy te ostatnie godziny leżąc na żaglowcu, który stał na cichych wodach z błękitnego jedwabiu, jak lubiła nazywać swoje łóżko, i skorzystałem z okazji, by powiedzieć jej to wszystko, czego nie mogłem powiedzieć wcześniej - wszystko, o czym milczałem od strasznej nocy, w której ją uderzyłem. Zdjąłem z niej nocną koszulę i obejrzałem uważnie, szukając śladu jakiejś choroby, która usprawiedliwiałaby śmierć, a gdy go nie znalazłem, pojąłem, że po prostu wykonała swoją misję na tej ziemi i odleciała w inny wymiar, gdzie jej duch, wolny wreszcie od balastów materialnych, będzie czuł się lepiej. W jej śmierci nie było żadnego grubego błędu ani nic strasznego. Badałem ją długo, ponieważ od wielu lat nie miałem okazji przyglądać się jej, ile zechcę, a w tym czasie żona zmieniła się tak, jak wszyscy zmieniamy się wraz z upływem czasu. Wydała mi się tak cudowna jak zawsze. Schudła i miałem wrażenie, że urosła, że jest wyższa, ale potem zrozumiałem, że było to złudzenie, skutek tego, że to ja zmalałem. Dawniej czułem się u jej boku jak olbrzym, ale teraz, gdy położyłem się z nią w łóżku, stwierdziłem, że jesteśmy niemal tego samego wzrostu. Kosmyk niesfornych kręconych włosów, który zachwycał mnie, gdy się pobieraliśmy, nabrał delikatności, gdyż przeplatało go pasmo siwizny rozjaśniające jej uśpioną twarz. Była bardzo blada, z cieniami w oczach, i zauważyłem po raz pierwszy, że w kącikach ust i na czole ma małe, bardzo delikatne zmarszczki. Wyglądała jak dziecko. Była zimna, ale pozostała tą samą co zawsze słodką kobietą i mogłem mówić do niej spokojnie, pieścić, usypiać u jej boku, gdy senność brała górę nad żalem, i nieodwracalny fakt śmierci nie zakłócił naszego spotkania. Pogodziliśmy się wreszcie.

O świcie zacząłem ją ubierać, by dobrze się prezentowała. Założyłem jej białą tunikę, która była w szafie; zaskoczyło mnie, że ma tak mało odzieży, ponieważ uważałem, że jest kobietą elegancką. Znalazłem wełniane skarpetki i też jej założyłem, by nie zmarzły jej stopy, gdyż była bardzo wrażliwa na zimno. Następnie wyszczotkowałem Clarze włosy mając zamiar upiąć je w kok, który nosiła, ale gdy to czyniłem, kędziory zwichrzyły się i ułożyły wokół twarzy; wydało mi się, że tak jest jej ładniej. Szukałem klejnotów, gdyż chciałem, żeby jeden z nich miała na sobie, lecz nie mogłem znaleźć, toteż zdjąłem złotą obrączkę, którą nosiłem od czasu naszych zaręczyn, i założyłem jej na palec, gdyż swoją zdjęła zrywając ze mną. Ułożyłem poduszki, poprawiłem prześcieradło, skropiłem jej szyję paroma kroplami wody kolońskiej, po czym otworzyłem okno, by do pokoju wszedł poranek. Gdy wszystko było gotowe, otworzyłem drzwi i pozwoliłem moim dzieciom i wnuczce pożegnać się z nią. Zastali Clarę uśmiechniętą, czystą i piękną - taką, jaka była zawsze. Zmalałem o dziesięć centymetrów, człapałem w za dużych butach i byłem zupełnie siwy, lecz już nie płakałem.

- Możecie ją pochować - rzekłem. - Skorzystajcie z okazji i pochowajcie również głowę mojej teściowej, która poniewiera się w piwnicy - dodałem i wyszedłem, powłócząc nogami, aby nie pospadały mi buty.

Tak oto moja wnuczka dowiedziała się, że to, co leży w skórzanym pudle na kapelusze i służy jej do czarnych mszy i dekorowania domków budowanych w piwnicy, to głowa prababki Nivei, której nigdy nie pochowano - najpierw gwoli uniknięcia skandalu, a potem dlatego, że w nieładzie panującym w tym domu zupełnie o niej zapomnieliśmy. Teraz uczyniliśmy to bardzo dyskretnie, aby nie dać powodów do plotek. Gdy pracownicy zakładu pogrzebowego ułożyli Clarę w trumnie i urządzili w salonie kaplicę pogrzebową z czarnymi kotarami i krepami, kapiącymi

gromnicami i zaimprowizowanym ołtarzem na pianinie, Jaime i Nicolas włożyli do trumny głowę babki - która była już tylko żółtą zabawką o przerażonym wyrazie twarzy - by spoczęła u boku najukochańszej córki.

Pogrzeb Clary był wydarzeniem. Nawet ja nie mogłem zrozumieć, skąd się wzięło tyle osób pogrążonych w bólu z powodu śmierci mojej żony. Nie wiedziałem, że znała ich wszystkich. Przechodziły nie kończące się procesje ludzi, którzy ściskali moją dłoń, długa kolejka samochodów zatarasowała dojazd na cmentarz, zjawiły się niezwykłe delegacje Indian, uczniów, związkowców, zakonnic, dzieci-mongoloidów, cyganerii i spirytystów. Ciężarówkami i pociągiem przyjechali prawie wszyscy parobcy z Las Tres Marias, niektórzy po raz pierwszy w życiu, by się z nią pożegnać. W tłumie zauważyłem Pedra Drugiego Garcię, którego nie widziałem od wielu lat. Podszedłem, żeby się z nim przywitać, ale nie zareagował. Stanął z opuszczoną głową nad otwartym grobem i rzucił na trumnę wiązkę na wpół zwiędłych leśnych kwiatów, które wyglądały tak, jakby je skradziono z jakiegoś położonego daleko stąd ogrodu. Płakał.

Alba, którą trzymałem za rękę, wzięła udział w uroczystościach pogrzebowych. Widziała, jak spuszczano trumnę do prowizorycznego grobu, który uzyskaliśmy na cmentarzu, wysłuchała nie kończących się przemówień, w których babce przypisywano wyłącznie takie zalety, jakich akurat nie miała, i gdy wróciła do domu, zamknęła się w piwnicy mając nadzieję, że duch Clary skomunikuje się z nią, tak jak to obiecała. Tam ją znalazłem; spała uśmiechnięta na zjedzonej przez mole skórze Barrabasa.

Tej nocy nie mogłem usnąć. Pomieszały mi się w głowie obie miłości mego życia, Rosa zielonowłosa i Clara jasnowidząca - dwie siostry, które tak kochałem. O świcie doszedłem do wniosku, że jeśli nie miałem ich za życia, to przynajmniej będą mi towarzyszyć po śmierci, więc wyjąłem z biurka kilka kartek papieru i zacząłem rysować najgodniejsze i najbardziej luksusowe mauzoleum, jakie mogłem sobie wyobrazić. Miało być zbudowane z różowego włoskiego marmuru, a dwa posągi z tegoż kamienia miały przedstawiać Rosę i Clarę z anielskimi skrzydłami, ponieważ były i będą aniołami. Tam też, między nimi, pewnego dnia i ja zostanę pochowany.

Chciałem jak najszybciej umrzeć, ponieważ życie bez żony nie miało dla mnie sensu. Jeszcze nie wiedziałem, że mam na tym świecie wiele do zrobienia. Na szczęście Clara wróciła lub być może nigdy nie odeszła. Czasami myślę, że starość zmąciła mi umysł i że nie można ignorować faktu, iż pochowałem ją dwadzieścia lat temu. Podejrzewam, że mam wizje jak stary lunatyk. Lecz wątpliwości te rozwiewają się, gdy widzę, jak przechodzi obok i słyszę jej śmiech na tarasie; wiem, że mi towarzyszy, że wybaczyła mi wszystkie gwałtowne czyny i że jest bliżej mnie, niż była kiedykolwiek. Najjaśniejsza Clara żyje i jest ze mną...

Śmierć Clary zakłóciła zupełnie życie w wielkim domu narożnym. Czasy się zmieniły. Z nią odeszły duchy, goście i świetlana radość, która zawsze była obecna, ponieważ ona nie uważała, że świat jest Doliną Łez, lecz przeciwnie, że jest kaprysem Bożym, a tym samym byłoby głupotą brać go na serio, jeśli On sam tego nie czyni. Alba od razu zauważyła postępującą powoli, ale nieubłaganie, degradację. Dostrzegła ją wcześniej niż ktokolwiek inny widząc, jak kwiaty więdną w wazonach i przesycają powietrze słodkawym, mdłym zapachem; tkwiły w nich, dopóki nie wyschły i nie poodpadały im liście; w końcu pozostały tylko posępne łodygi, których przez długi

czas nikt nie usuwał. Alba nie ścinała już kwiatów, by udekorować dom. Następnie obumarły inne rośliny, gdyż nikt nie pamiętał, że trzeba je podlewać i mówić do nich, tak jak czyniła to Clara. Koty poszły sobie po cichu, tak jak przyszły lub urodziły się na poddaszu. Esteban Trueba ubrał się na czarno i w ciągu jednej nocy przeszedł ze stanu porywczej dojrzałości zdrowego mężczyzny w początkowe stadium skulonej i bełkotliwej starości, której zaletą nie było jednak wyciszenie w nim złości. Przez resztę życia chodził w ścisłej żałobie, nawet wtedy, gdy wyszło to z mody i nikt się tak nie nosił, z wyjątkiem ludzi biednych, którzy na znak żałoby zakładali na rękaw czarną opaskę. Pod koszulą na złotym łańcuszku zawiesił sobie na szyi zamszowy woreczek. Nosił w nim sztuczną szczękę żony - na szczęście i dla pokuty. W rodzinie wszyscy mieli poczucie, że odkąd zabrakło Clary, nie ma powodu, by trzymać się razem: nie mieli sobie prawie nic do powiedzenia. Trueba był świadomy, że w domu trzyma go tylko obecność wnuczki.

W ciągu następnych lat dom zamienił się w ruinę. Nikt nie zajmował się ogrodem, nie podlewał go ani nie sprzątał, aż w końcu wyglądał tak, jakby poszedł w zapomnienie; stał się siedliskiem ptaków i chwastów. Geometrycznie wytyczony park, który kazał założyć Trueba, wzorując się na planach ogrodów przy pałacach francuskich, a także strefa zaczarowana, w której dawniej, w bałaganie i obfitości, zbytku kwiatów i chaosie filodendronów, królowała Clara, wysychała, butwiała i zarastała zielskiem. Suche liście, ptasie odchody i mech pokryły ślepe posągi i grające fontanny. Połamane i brudne altany służyły za schronienie robakom i za wysypiska śmieci sąsiadom. Park pokryły gęste chaszcze, jak opuszczoną wieś; trudno było po nim chodzić nie torując sobie drogi maczetą. Pnące rośliny, które oplatały pergolę, przycinano dawniej tak, by zachowywała barokowy styl; teraz była w opłakanym stanie i wyglądała jak podrobiona, a przy tym dręczyły ją ślimaki i roślinne zarazy. W salonach zasłony pozrywały się stopniowo z haczyków i zakurzone i wyblakłe zwisały jak halki starej kobiety. Sprzęty, na które wchodziła Alba i które służyły jej w zabawach za domki i transzeje, zamieniły się w trupy z wystającymi sprężynami, a wielki gobelin wiszący w głównym salonie zatracił niezwykle wytworne piękno sielankowej sceny z Wersalu i był celem dla strzał, które Nicolas wypuszczał wspólnie z siostrzenicą. Kuchnia pokryła się tłustym osadem, zapełniła pustymi garnkami i stosami gazet i nie dostarczała już na stół wielkich mis kajmaku ani pachnących potraw. Domownicy zadowalali się niemal codziennie grochem i ryżem na mleku, ponieważ nikt nie miał odwagi stawić czoła nadętym, poirytowanym i despotycznym kucharkom, które królowały na zmianę wśród garnków sczerniałych wskutek niewłaściwego używania. Ściany były porysowane, a drzwi popękane po licznych trzęsieniach ziemi oraz atakach złości Estebana Trueby, który trzaskał drzwiami i tłukł je laską; żaluzje powyskakiwały z zawiasów i nikt nie troszczył się o ich reperację. Z kranów zaczęło kapać, rury przeciekały, dachówki pękały, a na murach pojawiły się zielonkawe plamy wilgoci. Tylko pokój Clary, wytapetowany błękitnym jedwabiem, był nietknięty. Wyposażenie wnętrza stanowiły nadal meble z jasnego drewna, a poza tym zostały tam dwie białe bawełniane sukienki, pusta klatka kanarka, kosz z nie dokończonymi robótkami, talie magicznych kart, stolik na trzech nogach i kupa zeszytów, w których w ciągu pięćdziesięciu lat pisała pamiętniki i które później, aby zrekonstruować tę historię, uporządkowałam i przeczytałam w skupieniu, w samotności pustego domu i ciszy zmarłych i zaginionych.

Jaime i Nicolas stracili do reszty zainteresowanie rodziną i nie mieli litości dla ojca, gdy ten, osamotniony, starał się bezskutecznie pozyskać ich przyjaźń, gdyż pragnął wypełnić w ten sposób pustkę, którą stworzyły jego złe stosunki z ludźmi. Mieszkali z

ojcem, ponieważ nie mieli gdzie jeść i spać, lecz zachowywali się jak obojętne cienie, nie zwracając uwagi na to, że wszystko wokół podupada. Jaime wykonywał swój zawód z powołaniem apostoła. Pracował z całych sił w szpitalu, a następnie, w czasie wolnym, leczył ludzi biednych. Jedno i drugie czynił z tym samym uporem, z jakim jego ojciec wydobył z zapuszczenia Las Tres Marias i zbił fortunę.

- Jesteś człowiekiem niechybnie przegranym, synu - wzdychał Trueba. - Nie masz poczucia rzeczywistości. Jeszcze nie uświadomiłeś sobie, jaki jest świat. Stawiasz na wartości utopijne, które nie istnieją.

- Pomoc bliźniemu to wartość, która istnieje.

- Nie, miłosierdzie, podobnie jak wasz socjalizm, to wynalazek słabych, który służy do poniżania i wykorzystywania silnych.

- Nie wierzę w twoją teorię o silnych i słabych - replikował Jaime.

- To nie teoria, ale prawo przyrody. Żyjemy w dżungli.

- Tak, ponieważ ci, którzy ustanawiają reguły, myślą jak ty, ale tak nie będzie w nieskończoność.

- Będzie, gdyż jesteśmy zwycięzcami. Wiemy, jak radzić sobie na tym świecie i sprawować władzę. Posłuchaj mnie, synu, bądź poważniejszy i otwórz prywatną klinikę, ja ci w tym pomogę. Tylko skończ z socjalistycznymi ekstrawagancjami! - mawiał Trueba, lecz nie odnosiło to żadnego skutku.

Gdy Amanda zniknęła z życia Nicolasa, sprawiał wrażenie, że ustatkował się emocjonalnie. Doświadczenia nabyte w Indiach sprawiły, że miał zamiłowanie do przedsięwzięć spirytualistycznych. Zrezygnował z fantastycznych przygód handlowych, które dręczyły jego wyobraźnię we wczesnych latach młodzieńczych, podobnie jak z żądzy posiadania wszystkich kobiet, które mijał, i za pomocą mało konwencjonalnych metod poświęcił się poszukiwaniu Boga, co zawsze było jego pragnieniem. Czar, który dawniej wykorzystywał do werbowania uczennic na kursy tańca flamenco, pozwolił mu teraz skupiać wokół siebie coraz liczniejszych adeptów. Byli to w większości młodzi ludzie znudzeni życiem w dostatku i poszukujący jak on filozofii, która pozwoliłaby im istnieć z dala od ziemskich trosk. Powstała grupa gotowa przyswoić sobie tysiącletnią wiedzę, którą Nicolas uzyskał na Wschodzie. Przez pewien czas zbierali się w opuszczonych pokojach na tyłach domu, gdzie Alba częstowała ich orzechami i naparami z ziół, podczas gdy oni medytowali, siedząc ze skrzyżowanymi nogami. Gdy Esteban Trueba zorientował się, że za jego plecami kręcą się rówieśnicy syna i idole oddychający przez pępek i rozbierający się na każde zawołanie, stracił cierpliwość i zagroził, że użyje laski i wezwie policję. Wtedy Nicolas zrozumiał, że bez pieniędzy nie uda mu się dłużej nauczać Prawdy, toteż zaczął pobierać skromne honoraria. Mógł dzięki nim wynająć dom, w którym stworzył akademię nawiedzonych. Ze względu na wymogi prawa i konieczność posiadania jakiejś nazwy, nazwał ją Instytutem Jedności z Nicością - IJzN. Lecz ojciec nie miał zamiaru zostawić go w spokoju, ponieważ w gazetach zaczęły pojawiać się zdjęcia zwolenników Nicolasa z ogolonymi głowami, w nieprzyzwoitych opaskach na biodrach i z błogim wyrazem twarzy, co wystawiało na śmieszność nazwisko Truebów. Gdy tylko dowiedziano się, że prorok IJzN jest synem senatora Trueby,

opozycja uznała to za dobrą okazję, by zeń szydzić, i wykorzystywała poszukiwania duchowe syna do walki politycznej z ojcem. Trueba znosił to ze stoickim spokojem do dnia, w którym zastał swą wnuczkę Albę Z głową ogoloną jak kula bilardowa i powtarzającą bez końca święte słowo Om. Dostał jednego z najstraszniejszych ataków gniewu. Wpadł niespodziewanie do instytutu syna z dwoma wynajętymi w tym celu zbirami, którzy roznieśli skąpe wyposażenie i byli gotowi uczynić to samo ze spokojnymi uczniami, lecz stary Trueba zrozumiał, że po raz kolejny przesadził, więc rozkazał im powstrzymać się od dalszego demolowania lokalu i czekać na zewnątrz. Gdy został sam na sam z synem, opanował wściekłe roz-trzęsienie i spokojnym tonem powiedział, że ma dość jego błazeństw.

- Nie chcę cię widzieć, dopóki mojej wnuczce nie odrosną włosy! - dodał i wyszedł trzaskając drzwiami.

Nicolas zareagował następnego dnia. Zaczął od usuwania rumowiska pozostawionego przez zbirów ojca i sprzątania lokalu; oddychał przy tym rytmicznie, by wydalić z siebie wszelką złość i oczyścić duszę. Następnie z uczniami w przepaskach na biodrach, uzbrojonymi w transparenty, na których domagali się swobody kultu i poszanowania praw obywatelskich, pomaszerował przez miasto pod bramę Kongresu. Wyjęli tam drewniane świstawki, dzwoneczki i małe zaimprowizowane gongi i urządzili rwetes, który zakłócił ruch uliczny. Gdy zrobiło się już dość duże zbiegowisko, Nicolas rozebrał się i nagi jak noworodek położył się z rozkrzyżowanymi ramionami na środku ulicy. Spowodowało to taki koncert hamulców, trąbek, pisków i gwizdów, że alarm usłyszano wewnątrz budynku. W senacie, gdzie dyskutowano o prawie obszarników do ogradzania dróg wiejskich drutem kolczastym, przerwano posiedzenie i senatorzy wyszli na balkon, z którego podziwiali niezwykłe widowisko, podczas gdy zupełnie nagi syn senatora Trueby śpiewał psalmy azjatyckie. Esteban Trueba zbiegł szerokimi schodami Kongresu i wypadł na zewnątrz gotów zabić własnego syna, lecz nie zdołał dotrzeć do bramy, ponieważ poczuł, że serce pęka mu z gniewu i czerwona mgła zalewa oczy.

Nicolasa odwieziono samochodem karabinierów, a senatora ambulansem Czerwonego Krzyża. Trueba niedomagał przez trzy tygodnie i mało brakowało, a wyniósłby się na tamten świat. Gdy wstał z łóżka, chwycił syna za kołnierz, wsadził do samolotu i wysłał za granicę nakazując, żeby do końca życia nie pokazywał mu się na oczy. Dał mu jednak dość pieniędzy, by mógł gdzieś osiąść i utrzymać się przez dłuższy czas, ponieważ - jak wyjaśnił Jaime - był to sposób na uniknięcie dalszych szaleństw Nicolasa, które również za granicą mogłyby zdyskredytować ojca.

W ciągu następnych lat Esteban Trueba dowiadywał się o losach zakały rodziny ze sporadycznej korespondencji, którą z Nicolasem prowadziła Blanca. Dowiedział się w ten sposób, że Nicolas założył w Stanach Zjednoczonych nową akademię jedności z nicością i odniósł taki sukces, iż zgromadził bogactwo, którego nie posiadł, gdy planował loty balonem lub produkował kanapki. Pluskał się z uczniami we własnym basenie z różowej porcelany i cieszył się szacunkiem obywateli, łącząc bezwiednie poszukiwanie Boga z powodzeniem w interesach. Esteban Trueba nigdy w to, oczywiście, nie uwierzył.

Senator odczekał, aż wnuczce odrosną nieco włosy, aby nie myślano, że ma wszawicę, i osobiście zapisał ją do angielskiej szkoły dla panienek, gdyż uważał, że

jest to najlepszy sposób edukacji, mimo nader dwuznacznych rezultatów, jakie przyniosła ona w przypadku obu synów. Blanca zgodziła się na to, ponieważ zrozumiała, że nie wystarczy dobry układ planet na mapie astrologicznej, by Alba mogła dawać sobie radę w życiu. W szkole nauczyła się jeść rozgotowane jarzyny i przypalony ryż, znosić chłód na dziedzińcu, śpiewać hymny i wyrzekać się wszelkich próżności tego świata, z wyjątkiem sportu. Czytała Biblię, grała w tenisa i pisała na maszynie. Ta ostatnia umiejętność była jedyną użyteczną rzeczą, jaką posiadła w ciągu długich lat nauki w obcojęzycznej szkole. Dla Alby, która w swoim dotychczasowym życiu nie słyszała o grzechach ani o dobrych manierach panieńskich, nie znała granicy między tym, co ludzkie, a tym, co boskie ani tym, co możliwe, a tym, co niemożliwe, widziała, jak jeden wuj chodził nago po korytarzach i skakał jak karateka, a drugi leżał przywalony kupą książek, jak dziadek rozbijał laską aparaty telefoniczne i kwietniki na tarasie, jak matka wymykała się z domu z pajacowatą torebką i jak babka poruszała trójnożnym stolikiem i grała Chopina nie otwierając pianina, szkolna rutyna była nie do zniesienia. Nudziła się na lekcjach. Podczas przerw siadywała w najdalszym i najbardziej dyskretnym kącie dziedzińca, schodząc wszystkim z oczu, i drżała z pragnienia, by zaproszono ją do udziału w zabawie, modląc się zarazem, by nikt nie zwrócił na nią uwagi. Matka zakazała Albie opowiadać koleżankom o tym, czego o naturze ludzkiej dowiedziała się z książek medycznych wuja Jaime, oraz mówić nauczycielkom o przewadze esperanto nad językiem angielskim. Mimo tych środków ostrożności kierowniczka szkoły już w pierwszych dniach dostrzegła bez trudu ekstrawagancje nowej uczennicy. Obserwowała ją przez parę tygodni i gdy była pewna diagnozy, wezwała Blankę Truebę do gabinetu, wytłumaczyła najuprzejmiej jak umiała, że dziewczynka nie mieści się zupełnie w ramach zwyczajowej edukacji brytyjskiej, i zasugerowała, żeby umieścić ją w szkole prowadzonej przez hiszpańskie zakonnice, gdzie być może zdoła opanować swą lunatyczną imaginację i skoryguje fatalne maniery. Lecz senator Trueba nie miał zamiaru godzić się na pouczenia jakiejś tam miss Saint John i użył wszystkich swoich wpływów, by wnuczki nie usunięto ze szkoły. Za wszelką cenę pragnął, żeby nauczyła się języka angielskiego. Był przekonany o wyższości angielskiego nad hiszpańskim, który uważał za język o drugorzędnym znaczeniu, przydatny w sprawach domowych i magii, w niepohamowanych namiętnościach i bezużytecznych przedsięwzięciach, lecz nieprzydatny w świecie nauki i techniki, w którym, zgodnie z pokładanymi przezeń nadziejami, Alba miała odnosić sukcesy. Ustępując pod naporem nowych czasów przyjął w końcu do wiadomości, że niektóre kobiety wcale nie są zupełnymi idiotkami, i uważał, że Alba, zbyt niepozorna na to, by znaleźć dobrze sytuowanego męża, może uzyskać jakiś fach i zarabiać na siebie jak mężczyzna. W tej sprawie Blanca popierała ojca, gdyż na własnej skórze doznała w życiu skutków niedostatecznego wykształcenia.

- Nie chcę, żebyś była biedna jak ja ani żebyś zależała od mężczyzny, który będzie cię utrzymywał - mówiła córce, ilekroć widziała, jak płacze, nie chcąc iść do szkoły.

Nie odebrano jej ze szkoły i musiała znosić ją przez całe dziesięć lat.

Dla Alby matka była jedyną osobą, u której mogła szukać oparcia na tym dryfującym statku, jakim po śmierci Clary stał się wielki dom narożny. Blanca walczyła jak lwica z degradacją i upadkiem, lecz było oczywiste, że przegra. Ona jedna usiłowała nadać idącej w ruinę willi pozory ogniska domowego. Senator Trueba mieszkał tam w dalszym ciągu, ale przestał zapraszać przyjaciół osobistych i politycznych, zamknął salony i zajmował jedynie bibliotekę i własny pokój. Był ślepy i głuchy na potrzeby

domu. Bardzo zajęty polityką i interesami, podróżował nieustannie, opłacał kolejne kampanie wyborcze, kupował ziemię i traktory, hodował konie wyścigowe, spekulował cenami złota, cukru i papieru. Nie dostrzegał, że ścianom potrzeba warstwy farby, że meble się chwieją, a kuchnia zamieniła się w śmietnik. Nie widział też wnuczki kamizelek ze sfilcowanej wełny ani niemodnych strojów córki i jej dłoni zniszczonych przez pracę w domu i glinę. Nie zachowywał się tak ze skąpstwa, lecz po prostu dlatego, że rodzina przestała go interesować. Czasami otrząsał się z roztargnienia i przynosił wnuczce jakiś nazbyt kosztowny i wspaniały prezent, który tylko pogłębiał kontrast między niewidzialnym bogactwem na kontach bankowych a ubóstwem życia domowego. Przekazywał Blance różne, ale nigdy nie wystarczające sumy pieniędzy, przeznaczone na utrzymanie dawnej willi zwyrodniałej w walący się, obskurny dom, po którym hulał wiatr. Blance nigdy nie starczało na wydatki, pożyczała od Jaime i choćby nie wiadomo jakich cięć dokonywała w budżecie domowym i nie wiadomo jak łatała w nim dziury, na koniec każdego miesiąca piętrzył się stos nie zapłaconych rachunków, aż w końcu była zmuszona udać się do dzielnicy żydowskich jubilerów i sprzedać jakiś klejnot, który ćwierć wieku wcześniej tam właśnie nabył Trueba, a Clara przekazała jej w spadku schowany w wełnianej skarpetce.

W domu Blanca chodziła w fartuchu i espadrylach, nie odróżniając się od nielicznej służby, jaka pozostała, a wychodząc zakładała zawsze ten sam, prasowany w kółko, czarny kostium z białą jedwabną bluzką. Odkąd dziadek owdowiał i przestał interesować się wnuczką, Alba ubierała się w to, co miała po dalekich kuzynkach, większych lub mniejszych, toteż na ogół płaszcze leżały na niej jak peleryny wojskowe, a sukienki były za krótkie i za wąskie. Jaime chciałby coś dla nich zrobić, ale sumienie podpowiadało mu, że będzie większa korzyść, gdy z własnych dochodów nakarmi głodujących, niż gdy zatroszczy się o luksus należny siostrze i siostrzenicy.

Po śmierci babki Alba zaczęła mieć koszmary, od których budziła się z krzykiem i gorączką. Śniło się jej, że wszyscy w rodzinie umierają, a ona zostaje sama i chodzi po wielkim domu, w którym spotyka jedynie ulotne i bezbarwne zjawy snujące się po korytarzach. Jaime zasugerował, żeby przenieść ją do pokoju Blanki, gdzie będzie spokojniejsza. Odkąd zaczęła dzielić z matką sypialnię, czekała z utajoną niecierpliwością na chwilę, gdy będą kładły się spać. Skulona w pościeli obserwowała, jak matka kończy dzień i idzie do łóżka. Blanca zmywała sobie twarz kremem Harem - różowym tłuszczem o różanym zapachu, który, jak głosiła fama, czynił cuda z niewieścią cerą - i szczotkowała po stokroć długie kasztanowe włosy, które zaczynały zabarwiać się odrobiną niewidocznej dla nikogo poza nią siwizny. Była skłonna do przeziębień, toteż zimą i latem sypiała w wełnianych pelerynkach, które sama robiła na drutach w wolnym czasie. Gdy padał deszcz, zakładała rękawiczki, by złagodzić podbiegunowe zimno, które udzieliło się jej kościom na skutek wilgotności gliny i którego nie były w stanie wyleczyć ani zastrzyki robione przez Jaime, ani chińska akupunktura Nicolasa. Alba obserwowała, jak chodzi tam i z powrotem po pokoju w długiej koszuli nowicjuszki powiewającej wokół ciała, z włosami uwolnionymi od koka, owiana delikatnym aromatem czystej odzieży i kremu Harem, zatracona w niespójnym monologu, w którym skargi na ceny warzyw, liczne niedyspozycje, zmęczenie spowodowane dźwiganiem ciężaru domu na własnych barkach mieszały się z poetyckimi fantazjami związanymi z Pedrem Trzecim Garcią, którego wyobrażała sobie wśród chmur o zmierzchu lub wspominała leżącego wśród złocistych łanów pszenicznych w Las Tres Marias. Po zakończeniu tego rytuału

Blanca kładła się do łóżka i gasiła światło. Dzieliła je niewielka odległość, toteż brała córkę za rękę i opowiadała bajki z magicznych książek, które leżały w zaczarowanych kufrach pradziadka Marcosa, ponieważ jednak zawodziła ją pamięć, wymyślała na ich podstawie nowe bajki. W ten sposób Alba dowiedziała się o księciu, który spał sto lat, dziewicach, które walczyły wręcz ze smokami, o wilku, który zagubił się w lesie i któremu pewna dziewczynka rozpruła bez powodu brzuch. Gdy Alba chciała, żeby jej powtórzyć te krwiożercze opowieści, Blanca nie była w stanie tego uczynić, ponieważ je zapominała, toteż mała przywykła je spisywać. Potem zapisywała również wydarzenia, które wydawały się jej ważne - tak jak babka Clara.

Prace przy budowie mauzoleum rozpoczęto niedługo po śmierci Clary, ale trwały prawie dwa lata, gdyż ciągle dodawałem nowe i kosztowne detale: płyty kamienne ze złoconymi literami gotyckimi, szklaną kopułę, by docierały tam promienie słońca, pomysłowy mechanizm skopiowany z rzymskich fontann, który pozwalał stale i umiarkowanie nawadniać maleńki ogród wewnętrzny; kazałem zasadzić w nim róże i kamelie - ulubione kwiaty obu sióstr, które nosiłem w sercu. Były kłopoty z posągami. Odrzuciłem kilka projektów, gdyż nie chciałem kretyńskich aniołów, lecz podobizny Rosy i Clary - ich oblicza, ręce, rzeczywiste rozmiary. Pewien rzeźbiarz urugwajski sprostał moim życzeniom i w końcu posągi były takie, jakie sobie wymarzyłem. Gdy wszystko było gotowe, natrafiłem na niespodziewaną przeszkodę: nie mogłem przenieść Rosy do nowego mauzoleum, bo sprzeciwiła się temu rodzina del Valle. Usiłowałem przekonać ich przy użyciu rozmaitych argumentów, prezentów i nacisków, wykorzystując w tym celu nawet władzę polityczną, ale na nic się to nie zdało. Szwagrowie byli nieustępliwi. Myślę, że dowiedzieli się o głowie Nivei i byli obrażeni, że przez tyle lat trzymałem ją w piwnicy. Wobec ich uporu przywołałem Jaime i powiedziałem, żeby poszedł zaraz ze mną na cmentarz wykraść zwłoki Rosy. Nie okazał zdziwienia.

- Jeśli nie po dobroci, to zabiorę je siłą - powiedziałem synowi.

Jak to zwykle bywa w takich razach, udaliśmy się nocą na cmentarz, gdzie przekupiłem strażnika - tak samo zrobiłem wtedy, przed laty, by pozostać z Rosą przez pierwszą noc, którą tam spędziła. Aleją cyprysową wkroczyliśmy z narzędziami, odszukaliśmy grobowiec rodziny del Valle i zabraliśmy się do ponurej roboty, to znaczy otworzyliśmy go. Zdjęliśmy ostrożnie kamienną płytę, która zapewniała Rosie wieczny odpoczynek, i wyciągnęliśmy z wnęki białą trumnę, która była o wiele cięższa, niż przypuszczaliśmy, toteż musieliśmy poprosić o pomoc strażnika. Pracowaliśmy w niewygodnej pozycji, w ciasnym pomieszczeniu, przeszkadzając sobie wzajemnie, w słabym świetle karbidówki. Następnie przykryliśmy wnękę płytą, by nikt nie podejrzewał, że jest pusta. Skończyliśmy zziajani. Jaime był na tyle przezorny, że zabrał ze sobą manierkę z wódką i mogliśmy wypić po łyku, by dodać sobie animuszu. Choć żaden z nas nie jest przesądny, krzyże, kopuły i płyty nekropolii sprawiały, że byliśmy podenerwowani. Usiadłem na progu grobowca, by złapać oddech, i pomyślałem, że nie jestem już młody, skoro uniesienie skrzyni zakłóca rytm mojego serca i w ciemności widzę świecące punkciki. Zamknąłem oczy i przypomniałem sobie Rosę, jej idealne rysy, mleczną cerę, włosy syreny morskiej, oczy koloru miodu, które wzbudzały ogólne poruszenie, dłonie oplecione różańcem z masy perłowej, wianek panny młodej. Westchnąłem na wspomnienie tej cudownej dziewczyny, która wymknęła mi się z rąk i przez te wszystkie lata czekała, bym przyszedł po nią i zabrał tam, gdzie powinna leżeć.

- Synu, otworzymy to. Chcę zobaczyć Rosę - powiedziałem Jaime.

Nie starał się odwieść mnie od tego zamiaru, ponieważ znał ton, jakim mówię, gdy decyzja jest nieodwołalna. Oświetliliśmy trumnę karbidówką, Jaime poodkręcał cierpliwie brązowe śruby, poczerniałe na skutek upływu czasu, i podnieśliśmy wieko, ciężkie jak z ołowiu. W białym świetle karbidówki ujrzałem piękną Rosę z kwiatami pomarańczowymi panny młodej i z zielonymi włosami - całą jej niezmąconą urodę, tak jakbym widział ją przed laty, gdy leżała w białej trumnie na stole w jadalni, w domu teściów. Patrzyłem zafascynowany nie dziwiąc się, że czas jej nie tknął, że jest taka sama jak w moich snach. Pochyliłem się i przez szybę, za którą znajdowała się jej twarz, złożyłem pocałunek na bladych ustach kobiety, którą zawsze kochałem. W tej samej chwili między cyprysami podpełznął powiew wiatru, przedostał się zdradziecko przez jakąś szparę w trumnie, która była dotąd hermetycznie zamknięta, i w mgnieniu oka niezmieniona panna młoda rozsypała się jak zaczarowana w ulotny szary pył. Gdy uniosłem głowę i otworzyłem oczy, czując jeszcze na ustach chłód pocałunku, nie było już pięknej Rosy. Zamiast niej była czaszka z pustymi oczodołami, parę pasemek skóry koloru kości słoniowej, przylepionych do kości policzkowych, i kosmyki spleśniałych włosów na karku.

Jaime i strażnik pospiesznie zamknęli wieko, ułożyli trumnę na taczce i zawieźli ją na miejsce, które było zarezerwowane dla Rosy obok Clary w mauzoleum łososiowego koloru. Ja siedziałem w tym czasie na jakimś grobie w alei cyprysowej, patrząc na księżyc.

Ferula miała rację - pomyślałem. - Zostałem sam i maleje moje ciało i dusza. Pozostaje mi tylko umrzeć jak pies.

Senator Trueba walczył z wrogami politycznymi, którzy z dnia na dzień napierali coraz bardziej, szykując się do zdobycia władzy. Podczas gdy inni działacze partii konserwatywnej tyli, starzeli się i tracili czas na nie kończących się jałowych dyskusjach, on, nie bacząc na swój wiek i łamanie w kościach, pracował, przeprowadzał studia, podróżował po kraju z północy na południe i prowadził w ten sposób nieustającą własną kampanię. W każdych wyborach parlamentarnych wybierano go ponownie na senatora. Nie robił tego jednak dla władzy, bogactwa czy prestiżu. Jego obsesją było, jak mawiał, zniszczenie „marksistowskiego raka", który coraz bardziej toczył lud.

- Człowiek podnosi kamień, a spod niego wstaje komunista! - twierdził-Nikt w to nie wierzył. Nawet sami komuniści. Nieco szydzono zeń, z jego napadów złego humoru, wyglądu kruka w żałobie, anachronicznej laski i apokaliptycznych prognoz. Gdy podsuwał ludziom pod nosy dane statystyczne i prawdziwe wyniki ostatniego głosowania, przyjaciele polityczni mniemali, że to starcze ględzenie.

- W dniu, w którym nie upilnujemy urn przed zliczeniem głosów, pójdziemy w cholerę! - utrzymywał Trueba.

- Nigdzie marksiści nie wygrali w wyborach powszechnych. Do tego potrzeba co najmniej rewolucji, a w tym kraju takie rzeczy się nie zdarzają - odpowiadali.

- Dopóki się nie zdarzą! - upierał się rozgorączkowany Trueba.

- Uspokój się, człowieku. Nie pozwolimy, żeby się zdarzyły - pocieszali go. - Marksizm nie ma żadnych szans w Ameryce Łacińskiej. Czy nie widzisz, że nie uwzględnia magicznej strony rzeczy? Jest to doktryna ateistyczna, praktyczna i funkcjonalna. Tu nie może odnieść sukcesu!

Nawet pułkownik Hurtado, który wszędzie węszył wrogów ojczyzny, nie uważał, żeby komuniści byli niebezpieczni. Przy wielu okazjach wskazywał, że partia komunistyczna składa się z czterech frajerów, którzy nic nie znaczą ze statystycznego punktu widzenia i postępują zgodnie z moskiewskimi przykazaniami z dewocją godną lepszej sprawy.

- Moskwa leży tam, gdzie diabeł zgubił poncho, Estebanie. Nie mają pojęcia, co się dzieje w tym kraju - mówił pułkownik Hurtado. - Zupełnie nie biorą pod uwagę naszych warunków, czego dowodzi fakt, że są bardziej zagubieni niż Czerwony Kapturek. Niedawno opublikowali manifest, w którym wezwali chłopów, marynarzy i Indian do tworzenia pierwszego krajowego sowietu, co, jakkolwiek by na to spojrzeć, jest błazeństwem. Jakże chłopi mogą wiedzieć, co to jest sowiet? Marynarze są zawsze na pełnym morzu i interesują ich bardziej burdele w obcych portach niż polityka. A Indianie? Pozostało nam ich ogółem około dwustu. Nie sądzę, żeby więcej przeżyło masakry ubiegłego stulecia, ale jeśli chcą w rezerwatach utworzyć sowiet, to życzę powodzenia - kpił pułkownik.

- Tak, ale poza komunistami są socjaliści, radykałowie i im podobni! Oni nie różnią się zbytnio od siebie! - replikował Trueba.

Dla senatora Trueby wszystkie partie polityczne, z wyjątkiem własnej, były potencjalnie marksistowskie i nie potrafił wyraźnie odróżnić od siebie ich ideologii. Nie wahał się wykładać publicznie swojego punktu widzenia, ilekroć nadarzała się okazja, toteż dla wszystkich poza własnymi zwolennikami stał się swojego rodzaju reakcyjnym szaleńcem i bardzo barwnym oligarchą. Partia konserwatywna musiała go hamować, żeby nie rozwiązał mu się zanadto język i nie wystawiał jej na pośmiewisko. Był gniewnym orędownikiem gotowym staczać boje podczas publicznych dyskusji, na konferencjach prasowych, na uniwersytetach, gdzie nikt inny nie miał odwagi walczyć z otwartą przyłbicą, a on występował niewzruszony, w czarnym garniturze, z lwią grzywą i srebrną laską. Był ulubionym obiektem karykaturzystów, którzy szydząc zeń bez miary sprawili, że stał się popularny i zgarniał głosy konserwatystów. Był fanatyczny, gwałtowny i staroświecki, lecz lepiej niż ktokolwiek inny reprezentował takie wartości jak rodzina, tradycja, własność i porządek. Wszyscy poznawali go na ulicy, wymyślano dowcipy na jego temat i z ust do ust krążyły o nim anegdoty. Mówiono, że gdy jego syn rozebrał się u bram Kongresu, a on dostał ataku serca, prezydent republiki wezwał go do swojego gabinetu i zaproponował stanowisko w ambasadzie w Szwajcarii, gdzie mógłby pełnić funkcję godną jego wieku i wrócić do zdrowia. Podobno senator Trueba odpowiedział uderzeniem pięścią w biurko szefa państwa, od czego przewróciła się flaga narodowa i popiersie Twórcy Ojczyzny.

- Nie wyjadę stąd nawet martwy, ekscelencjo! - ryknął. - Bo gdy tylko się odwrócę, marksiści wyrwą panu fotel spod siedzenia!

Jako pierwszy nazwał lewicę „wrogiem demokracji” nie podejrzewając, że po latach będzie to hasłem dyktatury. Walce politycznej poświęcał prawie cały swój czas i dużą

część fortuny. Zauważył, że choć ciągle robi nowe interesy, ubywa jej od śmierci Clary, lecz nie zaalarmowało go to, gdyż uważał, że do naturalnego porządku rzeczy należy nie podlegający dyskusji fakt, iż w jego życiu ta kobieta była powiewem szczęścia, z którego po jej śmierci nie można nadal korzystać. Ponadto obliczył, że z tego, co ma, może do śmierci utrzymać się i żyć jak człowiek bogaty. Czuł się stary; był przekonany, że żadne z trojga dzieci nie jest godne być jego spadkobiercą, a jeśli chodzi o wnuczkę, to postanowił, że zabezpieczy Albę zapisując jej Las Tres Marias, choć gospodarstwo nie prosperowało już tak jak dawniej. Dzięki nowym autostradom i samochodom to, co dawniej było kolejowym safari, zamieniło się w sześciogodzinną zaledwie podróż ze stolicy do Las Tres Marias, ale był zawsze zajęty i nigdy nie mógł znaleźć wolnej chwili, by tam pojechać. Od czasu do czasu wzywał zarządcę, każąc mu złożyć sprawozdanie, lecz wizyty te przyprawiały go o kilkudniowy zły humor. Zarządca był człowiekiem pokonanym przez własny pesymizm. Jego sprawozdania były litanią nieszczęść: zmarzły truskawki, kury zaraziły się pypciem, plaga spadła na winogrona. W ten sposób wieś, która była źródłem bogactwa, stała się ciężarem i senator Trueba musiał często inwestować w nią zyski z innych interesów, by nieco zaspokoić nienasyconą ziemię, która zdawała się pragnąć powrotu do czasów zapuszczenia i nędzy, z której ją wydobył.

- Muszę tam pojechać i zrobić porządek. Trzeba tam pańskiego oka - mruczał.

- Sprawy na wsi stoją na głowie, panie - ostrzegał go wielokrotnie zarządca. - Chłopi się buntują. Codziennie stawiają nowe żądania. Można by rzec, że chcą żyć po pańsku. Najlepiej byłoby sprzedać posiadłość.

Lecz Trueba nie chciał o tym słyszeć. „Ziemia to jedyna rzecz, która pozostaje, gdy wszystko inne się kończy", powtarzał jak wtedy, gdy miał dwadzieścia pięć lat i wywierał presję na matkę i siostrę. Lecz z wiekiem i pod ciężarem działalności politycznej posiadłość Las Tres Marias, podobnie jak wiele innych spraw, które ongiś wydawały mu się fundamentalne, przestała go interesować. Miała dlań walor tylko symboliczny.

Zarządca miał rację: sprawy w tych latach stały na głowie. Świadczył o tym aksamitny głos Pedra Trzeciego Garcii, który dzięki cudownemu wynalazkowi w postaci radia docierał do najdalszych zakątków kraju. W wieku trzydziestu paru lat miał nadal wygląd prostego chłopa, ale była to sprawa stylu, ponieważ wiedza o życiu i sukces złagodziły jego szorstką powierzchowność i wysubtelniły idee. Miał przepastną brodę i grzywę proroka, którą sam przycinał brzytwą po ojcu, wyprzedzając o kilka lat modę, która zrobiła furorę wśród pieśniarzy protestu. Nosił stębnowane spodnie i espadryle rzemieślniczej roboty, a zimą poncho z surowej wełny. To był jego strój bojowy. Tak występował na scenie i taki był na okładkach płyt. Rozczarowany do organizacji politycznych skończył na destylowaniu trzech czy czterech prostych idei, z których zmontował swoją filozofię. Był teraz anarchistą. Od kur i lisów przeszedł do opiewania życia, przyjaźni, miłości, a także rewolucji. Jego twórczość była bardzo popularna i tylko ktoś tak twardogłowy jak senator Trueba mógł ignorować jego istnienie. Stary zakazał posiadania radia w domu, ponieważ nie chciał, by wnuczka słuchała komedii i powieści w odcinkach, które sprawiają, że matki tracą dzieci i odzyskują je dopiero po latach, a także dlatego, by wywrotowe piosenki jego wroga nie zakłócały mu trawienia. Sam miał w sypialni nowoczesne radio, ale słuchał tylko wiadomości. Nie podejrzewał, że Pedro Trzeci Garcia jest najlepszym przyjacielem jego syna Jaime ani że spotyka się z Blanką, ilekroć

wychodzi ona z domu z pajacowatą walizeczką i jąka się szukając pretekstów. Nie wiedział też, że w niektóre słoneczne niedziele Pedro Trzeci zabiera Albę na wycieczki, że wspinają się na wzgórza, siadają na szczytach, oglądają miasto i jedzą chleb z serem, a nim stoczą się po zboczach pękając ze śmiechu jak szczęśliwe szczeniaki, opowiada jej o ludziach biednych, uciskanych i zrozpaczonych i innych sprawach, od których Trueba chciał trzymać wnuczkę z daleka.

Pedro Trzeci widział, jak Alba rośnie, i starał się mieć z nią dobre stosunki, ale nie mógł traktować jej jak własnej córki, ponieważ pod tym względem Blanca była nieugięta. Mówiła, że Alba musiała przeżyć wiele wstrząsów i że to cud, iż jest stosunkowo normalnym dzieckiem, toteż nie ma potrzeby mącić jej w głowie sprawą ojcostwa. Najlepiej, żeby wierzyła nadal w oficjalną wersję. Poza tym należało unikać ryzyka, że powie o tym dziadkowi, gdyż spowodowałoby to katastrofę. Tak czy inaczej, wolna i kontestatorska dusza dziewczynki podobała się Pedrowi Trzeciemu.

- Jeśli nie jest moją córką, to zasługuje na to, by nią być - mawiał z dumą.

Przez te wszystkie lata Pedro Trzeci nigdy nie przyzwyczaił się do życia w stanie wolnym - mimo powodzenia, jakie miał u kobiet, a zwłaszcza u ślicznych podlotków, które płonęły z miłości od zawodzenia jego gitary. Niektóre siłą wdzierały się w jego życie. On zaś potrzebował świeżości takich miłostek. Starał się uszczęśliwić je na bardzo krótko, ale gdy tylko zaczynały żywić jakieś złudzenia, on już się żegnał, a w końcu w sposób możliwie delikatny porzucał kochanki. Często, mając jedną z nich w łóżku i widząc, jak wzdycha przez sen, zamykał oczy i myślał o Blance, jej rozłożystym, dojrzałym ciele, obfitych i ciepłych piersiach, cieniutkich zmarszczkach w kącikach ust, mrocznych arabskich oczach - i dławił w piersi krzyk. Starał się pozostać u boku innych kobiet, przeszedł wiele dróg i obcował z wieloma ciałami, oddalając się od niej, lecz w chwili najintymniejszej, w szczytowym momencie poczucia samotności i przeczucia śmierci, uświadamiał sobie, że Blanca jest kobietą jego życia. Rankiem zrywał delikatnie z nową kochanką i gdy tylko miał wolny czas, wracał do Blanki wychudzony, z podkrążonymi oczami i poczuciem winy, ale zarazem z nowym utworem na gitarę i mnóstwem pieszczot.

Blanca natomiast przywykła do życia w samotności. Znalazła w końcu ukojenie w domowej krzątaninie, w pracowni ceramicznej i w szopkach z wymyślnymi zwierzętami, gdzie prawom biologii odpowiadała jedynie Święta Rodzina, zagubiona w tłumie potworów. Jedynym mężczyzną w jej życiu był nadal Pedro Trzeci, gdyż miała powołanie do jednej tylko miłości. Siła tego niewzruszonego uczucia pozwoliła jej sprostać miernocie i smutnemu losowi, który ją spotkał. Pozostawała mu wierna nawet wtedy, gdy znikał z jakąś grubokościstą nimfą o prostych włosach, i nie przestawała kochać go z tego powodu. Początkowo, ilekroć się oddalał, myślała, że umrze, lecz szybko zdała sobie sprawę, że jego nieobecności trwają tyle co jedno westchnienie i że niezmiennie wraca do niej jeszcze bardziej zakochany i czuły. Blanca wolała przelotne spotkania z kochankiem, randki w hotelach, od rutyny wspólnego życia, znużenia małżeństwem, ciężaru wspólnego starzenia się i dzielenia niedostatkami na koniec miesiąca, brzydkiego zapachu z ust przy przebudzeniu, niedzielnej nudy i niedomagań, które przychodzą z wiekiem. Była nieuleczalną romantyczką. Czasem miała pokusę zabrać pajacowatą walizeczkę i to, co pozostało z klejnotów schowanych w skarpetce, i odejść do niego wraz z córką, ale zawsze tchórzyła. Być może bała się, że ta wielka miłość, która wytrzymała tyle prób, nie przetrwa najstraszniejszej ze wszystkich: współżycia. Alba rosła bardzo szybko i

Blanca była świadoma, że niedługo przestanie mieć pretekst w postaci opieki nad nią, pozwalający stawiać czoło żądaniom kochanka, lecz ciągle odkładała decyzję na później. W rzeczywistości w równym stopniu bała się rutyny, co przerażał ją styl życia Pedra Trzeciego, jego skromny domek z desek i blachy w osiedlu robotniczym, pośród setek innych równie ubogich jak ten, klepisko zamiast podłogi, brak wody bieżącej i jedna żarówka zwisająca z sufitu. Wyprowadził się dla niej z tego osiedla i wynajął apartament w śródmieściu, i tym samym znalazł się bezwiednie w klasie średniej, chociaż nigdy nie aspirował, by do niej należeć. Lecz Blance nie było tego dość. W jej oczach apartament był brudny, ciemny i ciasny, a w budynku mieszkała zbieranina ludzka. Mówiła, że nie może pozwolić, by Alba wychowywała się tam, bawiła z innymi dziećmi na ulicy i na schodach i chodziła do szkoły publicznej. Tak minęła jej młodość i weszła w wiek dojrzały pogodzona z myślą, że jedyne chwile przyjemności przeżywa wtedy, gdy wychodzi ukradkiem ubrana tak ładnie, jak ją na to stać, wyperfumowana, mając na sobie haleczkę urzekającą Pedra Trzeciego; haleczkę tę, godną kobiety lekkich obyczajów, chowała głęboko w szafie rumieniąc się ze wstydu i myśląc intensywnie, jak się wytłumaczyć, gdyby ktoś ją znalazł. Ta kobieta, we wszystkich aspektach swojej egzystencji praktyczna i mocno stąpająca po ziemi, wysublimowała dziecięcą namiętność i przeżywała ją tragicznie. Podsycała fantazjami, idealizowała, broniła zaciekle, czyściła z prozaicznych prawd i uczyniła miłością z powieści.

Alba z kolei nauczyła się nie wspominać o Pedrze Trzecim Garcii, ponieważ wiedziała, jaki efekt nazwisko to wywołuje w rodzinie. Wyczuwała, że coś poważnego zaszło między mężczyzną z uciętymi palcami, który całuje matkę w usta, a dziadkiem, ale wszyscy, nawet Pedro Trzeci, odpowiadali wymijająco na jej pytania. Czasem w zaciszu sypialni Blanca opowiadała Albie anegdoty o nim i uczyła jego piosenek z zaleceniem, by nie nuciła ich w domu. Lecz nie powiedziała, że jest jej ojcem, i sama sprawiała wrażenie, że zapomniała o tym. Wspominała przeszłość jako serię aktów przemocy, zawodów i smutków; nie była jednak pewna, czy sprawy miały taki przebieg, jak się to jej wydawało. Zatarł się w jej pamięci epizod z mumiami, zdjęciami i gołobrodym Indianinem w trzewikach Ludwika XV, który spowodował jej ucieczkę od męża. Tyle razy opowiadała, że hrabia umarł na febrę na pustyni, iż sama zaczęła w to wierzyć. W wiele lat później nie ucieszyła się, gdy córka przyniosła wiadomość, że ciało Jeana de Satigny leży w lodówce kostnicy, gdyż od dawna czuła się wdową. Nie usiłowała też usprawiedliwiać swojego kłamstwa. Wyciągnęła z szafy stary czarny kostium, poprawiła szpilki w koku i wraz z Albą udała się na cmentarz komunalny; Francuza pochowano w jednym z grobów należących do rady miejskiej, w których grzebano nędzarzy, ponieważ senator Trueba odmówił odstąpienia mu miejsca w różowym mauzoleum. Matka i córka szły same za czarną trumną, którą udało im się kupić dzięki szczodrości Jaime. Czuły się trochę głupio idąc w skwarne letnie południe z wiązanką zwiędłych kwiatów i nie roniąc ani jednej łzy nad samotnym trupem, którego miały pogrzebać.

- Widzę, że mój ojciec nie miał nawet przyjaciół - skomentowała Alba. Przy tej okazji Blanca też nie powiedziała córce prawdy.

Gdy złożyłem Clarę i Rosę w mauzoleum, uspokoiłem się trochę, ponieważ wiedziałem, że prędzej czy później znajdziemy się tam we trójkę wraz z innymi kochanymi istotami, takimi jak moja matka, Nana, a nawet Ferula - mam nadzieję, że mi przebaczyła. Nie wyobrażałem sobie, że będę żył tak długo, a one będą musiały tak długo czekać na mnie.

Pokój Clary pozostał zamknięty na klucz. Nie chciałem, by ktoś tam wchodził i cokolwiek ruszał, gdyż pragnąłem, by jej dusza była obecna, ilekroć zapragnę spotkać się z nią. Zacząłem cierpieć na bezsenność - utrapienie wszystkich starych ludzi. Nocami snułem się po domu powłócząc nogami w za dużych pantoflach, zawinięty w stary szlafrok biskupi, który przechowuję nadal z powodów sentymentalnych, i narzekałem na los jak skończony starzec. Lecz z pierwszymi promieniami słońca wracało mi pragnienie życia. Zjawiałem się w porze śniadania w wykrochmalonej koszuli i żałobnym garniturze, ogolony i spokojny, czytałem z wnuczką gazetę, załatwiałem sprawy związane z interesami i korespondencję, a następnie wychodziłem na cały dzień. Przestałem jadać w domu, nawet w soboty i niedziele, ponieważ bez łagodzącego wpływu Clary nie było powodu, bym musiał znosić kłótnie z dziećmi.

Moi dwaj przyjaciele - jedyni, jakich miałem - starali się wydrzeć żałobę z mojej duszy. Jadali ze mną obiady, grywali w golfa i domino. Dyskutowałem z nimi o interesach, rozmawiałem o polityce i czasami o rodzinie. Pewnego popołudnia, gdy dostrzegli, że jestem bardziej niż zazwyczaj ożywiony, zaprosili mnie do „Krzysztofa Kolumba" w nadziei, że jakaś usłużna kobieta pozwoli mi odzyskać dobry humor. Żaden z nas nie był już w wieku odpowiednim do takich przygód, ale wypiliśmy parę kieliszków i poszliśmy.

Byłem w „Krzysztofie Kolumbie" kilka lat wcześniej, ale prawie o nim zapomniałem. Ostatnio hotel ten zyskał prestiż u turystów i prowincjusze przyjeżdżali do stolicy tylko po to, by go odwiedzić, a potem opowiedzieć o tym przyjaciołom. Weszliśmy do dużego staromodnego domu, który z zewnątrz wyglądał tak samo jak przed laty. Otworzył nam portier, który zaprowadził nas do głównego salonu, gdzie przypomniałem sobie, że już tu zaglądałem w czasach francuskiej - a raczej mówiącej z francuskim akcentem - matrony. Dziewczynka ubrana jak uczennica podała nam na koszt domu szklanki wina. Jeden z moich przyjaciół usiłował chwycić ją wpół, ale ostrzegła go, że należy do obsługi i że musimy poczekać na profesjonalistki. W chwilę później rozsunęła się kotara i wyszedł do nas osobnik żywcem wzięty ze starych dworów arabskich: ogromny Murzyn, tak czarny, że aż zdawał się niebieski, z naoliwionymi muskułami, w bufiastych jedwabnych spodniach koloru marchwi, kamizelce bez rękawów, fioletowym turbanie z lamy, tureckich kapciach i złotą obrączką w nosie. Gdy uśmiechnął się, zauważyliśmy, że wszystkie zęby ma z ołowiu. Przedstawił się jako Mustafa i wręczył nam album ze zdjęciami, byśmy wybrali sobie towar. Po raz pierwszy od bardzo dawna uśmiałem się serdecznie, gdyż pomysł katalogu prostytutek wydał mi się bardzo zabawny. Przekartkowaliśmy album, w którym były zdjęcia kobiet grubych i chudych, długo - i krótkowłosych, przebranych za nimfy, amazonki, nowicjuszki, kurtyzany, lecz nie mogłem się zdecydować, ponieważ wszystkie miały wyraz twarzy przypominający podeptane na bankiecie kwiaty. Na trzech ostatnich kartkach albumu występowali chłopcy w greckich tunikach i wieńcach laurowych, z pulchnymi pośladkami i długimi, odrażającymi rzęsami, bawiący się pośród fałszywych ruin helleńskich. Nigdy nie widziałem z bliska jawnego pedała poza Carmelo, który w domu „Pod Czerwonym Lampionem" przebierał się za Japonkę, toteż zaskoczyło mnie, że jeden z moich przyjaciół, głowa rodziny i makler giełdowy, wybrał sobie dupiastego młodzieniaszka figurującego w katalogu. Chłopiec wysunął się zza kotary jak w sztuczce czarodziejskiej i wśród chichotów kołyszących się w biodrach kobiet wyprowadził mojego przyjaciela za rękę. Drugi z moich przyjaciół wolał grubaśną odaliskę; wątpię, by mógł zdobyć się z nią na jakiś wyczyn, a to z powodu podeszłego wieku i

kruchego szkieletu, lecz tak czy inaczej wyszedł z nią i również za nimi zasunęła się kotara.

- Widzę, że pan nie może się zdecydować - rzekł kordialnym tonem Mustafa. - Pozwoli pan, że mu zaproponuję najlepszą rzecz. Przedstawię panu Afrodytę.

Do salonu weszła Afrodyta z trzema piętrami loków na głowie, skąpo okryta drapowanym tiulem i od ramion po kolana sztucznymi winogronami. Była to Transito Soto, która nabrała wyraźnie wyglądu mitologicznego, mimo trywialnych winogron i cyrkowych tiuli.

- Cieszę się, że pana widzę - rzekła na powitanie.

Weszliśmy za kotarę i znaleźliśmy się na małym wewnętrznym patio, które było sercem tej labiryntowej konstrukcji. „Krzysztof Kolumb" składał się z dwóch lub trzech starych domów połączonych strategicznie tylnymi podwóreczkami, korytarzami i zbudowanymi w tym celu pomostami. Transito Soto zaprowadziła mnie do nieciekawego, ale czystego pokoju, w którym jedynymi ekstrawagancjami były freski erotyczne na ścianach, nieudolnie skopiowane z pompejańskich przez miernego malarza, oraz wielka i stara, nieco zardzewiała wanna z wodą bieżącą. Gwizdnąłem na znak podziwu.

- Dokonaliśmy pewnych zmian w dekoracjach - powiedziała Transito.

Zdjęła winogrona i tiule i stała się kobietą, jaką pamiętałem, tyle że jeszcze bardziej apetyczną i mniej wrażliwą, lecz z tym samym ambitnym wyrazem oczu, który urzekł mnie, gdy ją poznałem. Opowiedziała mi o spółdzielni prostytutek i pedałów, który to pomysł okazał się znakomity. Wspólnie wyciągnęli „Krzysztofa Kolumba" z ruiny, w której pozostawiła go fałszywa francuska madame, i postarali się uczynić zeń wydarzenie towarzyskie i zabytek historyczny, o którym opowiadali sobie marynarze na najodleglejszych morzach. Do sukcesu przyczyniły się szczególnie przebrania, ponieważ poruszały fantazję erotyczną klientów, podobnie jak katalog kurew, którego reprodukcje rozprowadzono w niektórych prowincjach, by wzbudzić w mężczyznach pragnienie złożenia pewnego dnia wizyty w osławionym burdelu.

- Głupio jest chodzić w takich szmatkach i z lipnymi winogronami, panie dziedzicu, ale mężczyznom to się podoba. Opowiadają sobie o tym i to przyciąga następnych. Idzie nam bardzo dobrze, to dobry interes i nikt tu nie czuje się wyzyskiwany. Wszyscy jesteśmy wspólnikami. To jedyny kurewski dom w kraju, który ma swojego prawdziwego Murzyna. Inni, których pan widuje, są malowani, natomiast Mustafa, choćby go trzeć papierem ściernym, pozostanie Murzynem. I jest tu czysto. W ubikacji można napić się wody, ponieważ sole alkaliczne wrzuciliśmy nawet tam, gdzie by to panu do głowy nie przyszło. Wszystkie jesteśmy pod kontrolą służby zdrowia. Nie ma tu chorych wenerycznie.

Transito zdjęła ostatni łaszek i widok jej wspaniałej nagości zrobił na mnie tak silne wrażenie, że nagle poczułem śmiertelne zmęczenie. Smutek ściskał mi serce, a mój sflaczały między nogami penis musiał wyglądać jak zwiędły, bezużyteczny kwiat.

- Och, Transito! Myślę, że już jestem na to za stary - wybełkotałem.

Lecz Transito Soto wprawiła w ruch falujący węża wytatuowanego wokół pępka, hipnotyzując mnie gładkim profilem swojego brzucha i wabiąc głosem zachrypniętego ptaka, którym opowiadała o zyskach spółdzielni i korzyściach płynących z katalogu. Mimo wszystko musiałem się śmiać i powoli poczułem, że mój własny śmiech działa jak balsam. Usiłowałem dotknąć węża palcem i wyczuć jego ruch, ale wymknął mi się zygzakiem. Byłem pełen podziwu dla tej kobiety nie pierwszej już ani drugiej młodości, że ma tak jędrne ciało i tak twarde mięśnie, iż może poruszać gadem, jakby żył własnym życiem. Pochyliłem się, by całować tatuaż, i stwierdziłem z zadowoleniem, że nie jest wyperfumowana. Wchłonąłem nosem ciepły zapach jej brzucha, który zalał mnie całkowicie i zaczął rozgrzewać ostygłą - jak sądziłem - krew. Transito, nie przestając mówić, rozsunęła nogi oddzielając od siebie delikatne kolumny ud; uczyniła to jakby mimochodem, po to tylko, by ułożyć się wygodnie. Zacząłem obcałowywać jej ciało, wdychać jego zapach, dotykać, lizać, aż zapomniałem o żałobie i ciężarze lat i pożądanie wróciło z tą samą co ongiś siłą; nie przestając pieścić i całować zrywałem z niej ubranie rozpaczliwymi szarpnięciami; szczęśliwy, że oto twardnieje moja męskość, zatapiałem się w ciepłym i miłosiernym zwierzęciu, które mi oferowała, wabiony głosem zachrypniętego ptaka, owinięty ramionami boginki, poruszany siłą jej bioder, aż straciłem poczucie rzeczywistości i eksplodowałem z rozkoszą.

Potem oboje pluskaliśmy się w wannie z ciepłą wodą; duch wstąpił w moje ciało i poczułem się niemal wyleczony. Na chwilę naszły mnie fantastyczne myśli, że Transito jest kobietą, której zawsze potrzebowałem, i że gdybym miał ją u boku, mogłyby wrócić czasy, w których potrafiłem podnieść do góry krzepką chłopkę, posadzić ją na końskim zadzie i wywieźć wbrew jej woli w krzaki.

- Claro - wyszeptałem bezmyślnie i poczułem, że po policzku spływa mi łza, po czym łzy popłynęły strumieniem, przytłoczył mnie szloch, zdławiły nostalgie i smutki, które Transito Soto rozpoznała bez trudu, gdyż miała długoletnie doświadczenie w obcowaniu z męskimi strapieniami. Pozwoliła mi wypłakać całą zgryzotę i samotność ostatnich lat, a potem z matczyną troskliwością wyciągnęła mnie z wanny, wytarła, wymasowała, aż zrobiłem się miękki jak namoczony chleb, i przykryła, gdy w łóżku zamknąłem oczy. Pocałowała mnie w czoło i wyszła na palcach. Nim zamknęła za sobą drzwi, usłyszałem, jak szepcze do siebie:

- Kto to jest Clara?

PRZEBUDZENIE

Dzieciństwo Alby skończyło się ostatecznie, gdy miała osiemnaście lat. W chwili, w której poczuła się kobietą, zamknęła się w swoim dawnym pokoju. Na ścianach był jeszcze fresk, który zaczęła malować przed wielu laty. W starych słoikach znalazła trochę świeżej farby, czerwonej i białej, wymieszała ją dokładnie i na ostatniej wolnej ścianie namalowała wielkie różowe serce. Była zakochana. Potem wyrzuciła słoiki i pędzle do śmieci i siedziała długo, wpatrzona we własne malunki. Przypominając sobie za ich pośrednictwem dzieje swoich smutków i radości, doszła do wniosku, że była szczęśliwa, i z westchnieniem pożegnała się z dzieciństwem.

Tego roku wiele zmieniło się w jej życiu. Skończyła szkołę i dla przyjemności postanowiła studiować filozofię, a ponadto muzykę - na przekór dziadkowi, który uważał sztukę za stratę czasu i niestrudzenie wychwalał korzyści płynące z

wykonywania wolnych zawodów lub z pracy naukowej. Przestrzegał ją też przed miłością i małżeństwem, co czynił równie natrętnie, jak wtedy, gdy nalegał, aby Jaime znalazł sobie przyzwoitą narzeczoną i ożenił się, gdyż zostanie starym kawalerem. Mawiał, że dla mężczyzn ożenek jest dobrą rzeczą, natomiast takie kobiety jak Alba zawsze tracą na zamążpójściu. Wpływ, jaki na Albę miały przestrogi dziadka, ulotnił się, gdy pewnego deszczowego i chłodnego wieczora w kawiarni na uniwersytecie ujrzała po raz pierwszy Miguela.

Miguel był na ostatnim roku prawa. Chodził blady, z gorączką w oczach, w wyblakłych spodniach i butach górnika. Był działaczem lewicowym. Spalała go nieopanowana namiętność - poszukiwanie sprawiedliwości. Nie przeszkodziło mu to dostrzec, że Alba go obserwuje. Podniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli na siebie olśnieni. Odtąd nie przepuszczali żadnej okazji, by spotkać się w topolowych alejach parku, którymi spacerowali dźwigając książki lub ciężką wiolonczelę Alby. Już podczas pierwszego spotkania zauważyła, że na rękawie nosi naszywkę z wizerunkiem wzniesionej pięści. Postanowiła nie mówić mu, że jest wnuczką Estebana Trueby, i po raz pierwszy w życiu użyła nazwiska, które miała w dowodzie osobistym: Satigny. Wkrótce zdała sobie sprawę, że lepiej będzie nie mówić tego również innym kolegom. Mogła natomiast przechwalać się, że jest znajomą Pedra Trzeciego Garcii, który był bardzo popularny wśród studentów, i Poety, na którego kolanach siadywała, gdy była mała, a którego tłumaczono wówczas na wszystkie języki; jego wiersze młodzi ludzie recytowali sobie wzajemnie i wypisywali na murach.

Miguel mówił o rewolucji. Mówił, że na przemoc systemu należy odpowiedzieć przemocą rewolucji. Lecz Alba nie interesowała się polityką i chciała rozmawiać tylko o miłości. Miała dość wysłuchiwania przemówień dziadka, asystowania przy jego kłótniach z synem Jaime, przeżywania kampanii wyborczych. Jedyną jak dotychczas akcją polityczną, w której wzięła udział, było pójście wraz z innymi uczniami pod ambasadę Stanów Zjednoczonych i obrzucenie jej kamieniami, co uczyniła nie wiedząc zbyt dobrze, dlaczego i za co została zawieszona w szkole na okres tygodnia, a dziadka przyprawiła niemal o kolejny zawał serca. Jednak na uniwersytecie nie można było uniknąć polityki. Podobnie jak cała młodzież, która w tym roku poszła na studia, odkryła w sobie pociąg do nie przespanych nocy spędzanych w kawiarni na rozmowach o zmianach, których potrzebuje świat, i wzajemnym zarażaniu się ideowymi namiętnościami. Wracała późną nocą do domu, z gorzkim smakiem w ustach, z odzieżą przesiąkniętą stęchłym zapachem tytoniu i z głową gorącą od myśli o bohaterskich czynach, pewna, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, będzie gotowa oddać życie za słuszną sprawę. Z miłości do Miguela, a nie z przekonań ideologicznych, zabarykadowała się na uniwersytecie wraz z innymi studentami, którzy okupowali budynek na znak poparcia dla strajku robotników. Były to dni biwakowania, płomiennych przemówień, wykrzykiwania z okien aż do utraty głosu obelg pod adresem policji. Studenci wznieśli barykady z worków z piaskiem i kostki brukowej, którą pozrywali z głównego dziedzińca, oraz zatarasowali drzwi i okna z zamiarem przekształcenia budynku w fortecę; w rezultacie uniwersytet zamienił się w kazamaty, z których studentom było o wiele trudniej wyjść, niż policji wejść. Wtedy po raz pierwszy Alba spędziła noc poza domem i spała w ramionach Miguela, wśród stosów gazet i butelek po piwie, w ciepłej koleżeńskiej atmosferze. Wokół była tylko młodzież - spocona, z oczami poczerwieniałymi od bezsenności i dymu, trochę głodna i nieustraszona, ponieważ wszystko to przypominało bardziej zabawę niż wojnę. W pierwszym dniu byli tak

bardzo zajęci wznoszeniem barykad i mobilizowaniem naiwnie prostych środków obrony, malowaniem transparentów i odbywaniem rozmów telefonicznych, że nie mieli czasu się martwić, gdy policja odcięła im wodę i elektryczność.

Od samego początku Miguel był duszą okupacji uniwersytetu; sekundował mu profesor Sebastian Gómez, który mimo paraliżu nóg pozostał do końca ze studentami. Owej nocy śpiewali, by dodać sobie otuchy, a gdy znużyły ich przemówienia, dyskusje i śpiewy, podzielili się na grupy, by możliwie najznośniej przetrwać noc. Miguel udał się ostatni na spoczynek; wyglądało na to, że jest jedyną osobą, która wie, co robić. Zajął się dystrybucją wody, którą pozlewał do pojemników nawet ze zbiorników w ubikacjach, zaimprowizował kuchnię i nie wiadomo skąd wytrzasnął rozpuszczalną kawę, biszkopty i kilkanaście puszek z piwem. Następnego dnia fetor z pozbawionych wody ubikacji był straszny, ale Miguel zorganizował sprzątanie i zakazał dalszego korzystania z nich: swoje potrzeby należało załatwiać na dziedzińcu, do dziury wykopanej obok kamiennego posągu założyciela uniwersytetu. Miguel podzielił chłopców na drużyny i zapewnił im zajęcie przez cały dzień; uczynił to tak zręcznie, że jego władza nie rzucała się w oczy. Decyzje zdawały się zapadać spontanicznie w poszczególnych grupach.

- Wygląda na to, że mamy zamiar pozostać tutaj przez kilka miesięcy! - komentowała Alba zachwycona pomysłem życia w stanie oblężenia.

Wozy pancerne policji zajęły pozycje strategiczne na ulicy, wokół starego budynku. Zaczęło się pełne napięcia oczekiwanie, które miało trwać kilka dni.

- W całym kraju przyłączą się studenci, związki zawodowe, stowarzyszenia. Może to spowodować upadek rządu - twierdził Sebastian Gómez.

- Nie sądzę - replikował Miguel. - Ale najważniejsze to wytrwać w proteście i nie opuszczać budynku, dopóki nie zostanie zaakceptowana lista postulatów robotników.

Zaczęło mżyć i w budynku pozbawionym dopływu prądu bardzo wcześnie zrobiło się ciemno. Zapalili zaimprowizowane lampy - były to słoiki z naftą i dymiącymi knotami. Alba myślała, że odcięto również połączenia telefoniczne, ale stwierdziła, że telefon działa. Miguel wyjaśnił, że policja chce ich mieć na podsłuchu, i ostrzegł, żeby uważać na treść rozmów telefonicznych. Zadzwoniła do domu i zawiadomiła, że zostanie z kolegami do ostatecznego zwycięstwa lub śmierci - lecz gdy już wypowiedziała te słowa, poczuła, że w jej ustach brzmią one fałszywie. Dziadek wyrwał Blance słuchawkę z ręki i gniewnym tonem, który wnuczka bardzo dobrze znała, powiedział, że ma w ciągu godziny stawić się z wiarygodnym wyjaśnieniem, dlaczego spędziła całą noc poza domem. Alba odpowiedziała, że nie może wyjść, a nawet gdyby mogła, to i tak by tego nie zrobiła.

- Nie masz tam nic do roboty z tymi komunistami! - krzyknął Esteban Trueba. Zaraz jednak złagodził ton i zaczął błagać, żeby opuściła budynek, nim wkroczy policja, gdyż z racji swojego stanowiska wie, że rząd nie będzie tolerował w nieskończoność okupacji uniwersytetu. - Jeśli nie wyjdziecie z własnej woli, rząd rzuci do akcji zmotoryzowane oddziały policji i przepędzi was pałami - stwierdził.

Alba wyjrzała przez szparę w oknie zabitym deskami i umocnionym workami z piaskiem i ujrzała stojące na ulicy tankietki oraz dwa szeregi policjantów w szyku

bojowym, w hełmach i maskach, z pałkami w rękach. Zrozumiała, że dziadek nie przesadza. Inni też widzieli, co się dzieje na zewnątrz, i niektórzy drżeli. Ktoś wspomniał o nowych granatach, gorszych od tych z gazem łzawiącym, gdyż wywołują nieopanowaną sraczkę i załamują najodważniejszych, którzy nie wytrzymują smrodu i własnej śmieszności. Przeraziło to Albę. Musiała zrobić duży wysiłek, by się nie rozpłakać. Czuła kłucie w brzuchu i przypuszczała, że to ze strachu. Miguel objął Albę, lecz to jej nie pocieszyło. Oboje byli zmęczeni i zaczynali odczuwać - na ciele i duszy - skutki nie przespanej nocy.

- Nie sądzę, żeby odważyli się wkroczyć - powiedział Sebastian Gómez. - Rząd ma dość kłopotów. Nie będzie szukał zwady z nami.

Ktoś zauważył:

- Nie byłaby to pierwsza szarża na studentów.

- Opinia publiczna nie dopuści do tego - replikował Gómez. - Tu jest demokracja, a nie dyktatura, i dyktatury nigdy tu nie będzie.

- Zawsze nam się wydaje, że takie rzeczy możliwe są tylko gdzie indziej - rzekł Miguel. - Dopóki nie przytrafią się i nam.

Reszta wieczoru minęła bez incydentów i w nocy wszyscy byli spokojniejsi, mimo długotrwałej niewygody i głodu. Tankietki stały nadal na stanowiskach. W długich korytarzach i aulach studenci bawili się w chowanego lub grali w karty, odpoczywali na podłodze i przygotowywali środki obrony w postaci kijów i kamieni. Na wszystkich twarzach widać było zmęczenie. Alba czuła w brzuchu coraz silniejsze skurcze i myślała sobie, że jeśli następnego dnia sytuacja się nie wyjaśni, będzie musiała zrobić użytek z dziury na dziedzińcu. Na zewnątrz nadal padało, a rutyna życia miejskiego pozostawała nie zakłócona. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi jeszcze jeden studencki strajk, i ludzie przechodzili przed tankietkami nie czytając transparentów, które wisiały na fasadzie budynku uniwersytetu. Okoliczni mieszkańcy szybko przyzwyczaili się do obecności uzbrojonych karabinierów i gdy przestało padać, dzieci wyszły grać w piłkę na pustym parkingu, który oddzielał budynek od jednostek policyjnych. W pewnych chwilach Alba odnosiła wrażenie, że znajduje się na żaglowcu, który utknął na morzu przy bezwietrznej pogodzie, i pośród ciszy i bezruchu, pogrążona w oczekiwaniu bez końca, wpatruje się całymi godzinami w widnokrąg. Radosną, koleżeńską atmosferę pierwszego dnia zastąpiły irytacja i nieustanne spory, które zaostrzały się w miarę upływu czasu i wzrostu niewygód. Miguel przeprowadził inspekcję w całym budynku i w kawiarni zarekwirował artykuły żywnościowe.

- Gdy to się skończy, zapłacimy za nie ajentowi. To taki sam człowiek pracy jak każdy inny - powiedział.

Było zimno. Tylko Sebastian Gómez nie skarżył się na nic, nawet na pragnienie. Wydawał się tak niezmordowany jak Miguel, choć był dwa razy starszy i wyglądał na gruźlika. Jako jedyny z profesorów został ze studentami, gdy ci okupowali budynek. Mówiono, że jego paraliż nóg jest wynikiem postrzału z broni maszynowej, który otrzymał w Boliwii. Był ideologiem wzniecającym u studentów żarliwość, która jednakże wygasła u większości z nich, gdy skończyli studia i zaczęli żyć w świecie, o

którym w młodości myśleli, że daje się zmienić. Był niski, suchy, o orlim nosie i rzadkich włosach; ogień wewnętrzny, który go trawił, nie pozwalał mu na wytchnienie. Alba zawdzięczała Gomezowi przydomek „hrabianka", ponieważ pierwszego dnia studiów dziadek wpadł na głupi pomysł wysłania jej na uniwersytet samochodem z kierowcą i profesor zauważył ją, gdy wysiadała. Na skutek zbiegu okoliczności przydomek ten był trafny, gdyż Gómez nie wiedział, że gdyby - co było nieprawdopodobne - chciała uczynić to pewnego dnia, mogła śmiało wydobyć z zapomnienia tytuł szlachecki Jeana de Satigny, był on bowiem jedną z niewielu rzeczy autentycznych w osobowości francuskiego hrabiego, który dał jej nazwisko. Nie czuła urazy z powodu szyderczego przydomka - przeciwnie, czasami puszczała wodze fantazji i marzyła, żeby uwieść dzielnego profesora. Lecz Sebastian Gómez widział W życiu wiele takich dziewcząt jak Alba i umiał dostrzec mieszaninę współczucia i ciekawości, którą wywoływał widok kul podtrzymujących jego bezwładne nogi.

Minął cały dzień: ani tankietki zmotoryzowanych oddziałów policji nie ruszyły z miejsca, ani rząd nie ustąpił wobec postulatów robotników. Alba zaczęła zastanawiać się, co u diabła tu robi, gdyż ból w brzuchu stawał się nieznośny i zaczynała obsesyjnie myśleć o kąpieli w łazience z bieżącą wodą. Ilekroć wyglądała na ulicę i widziała karabinierów, usta napełniały się jej śliną. Już wówczas zdała sobie sprawę, że treningi, którym poddawał ją wuj Nicolas, nie są tak skuteczne w akcji, jak w przypadku wyimaginowanych cierpień. W dwie godziny później poczuła między nogami ciepłą lepkość i ujrzała czerwone plamy na spodniach. Ogarnęła ją panika. W ciągu minionych dni lęk, że może się to zdarzyć, dręczył ją niemal tak samo jak głód. Plama na spodniach była niczym sztandar. Nie starała się jej ukryć. Skuliła się w kącie z poczuciem zagubienia. Gdy była mała, babka nauczyła ją, że wszelkie wydzieliny ludzkiego organizmu są rzeczą naturalną, toteż mogła rozmawiać o menstruacji równie swobodnie jak o poezji, lecz później, w szkole, dowiedziała się, że wszystkie, z wyjątkiem łez, są nieprzyzwoite. Miguel zrozumiał jej wstydliwe położenie i udrękę, poszedł do zaimprowizowanego ambulatorium po paczkę waty i zdobył parę podpasek, ale wkrótce okazało się, że to nie wystarcza, i o zmierzchu Alba płakała z upokorzenia i bólu, przerażona skurczami we wnętrznościach i strumykiem krwi, który nie przypominał miesiączki. Myślała, że coś w niej pękło, Ana Diaz, studentka, która podobnie jak Miguel nosiła naszywkę z wzniesioną pięścią, powiedziała, że to boli tylko kobiety zamożne, ponieważ proletariuszki nie skarżą się nawet przy porodzie, ale gdy stwierdziła, że całe spodnie Alby są mokre i że jest śmiertelnie blada, poszła porozmawiać z Sebastianem Gomezem. Ten oświadczył, że nie jest w stanie rozwiązać problemu.

- Tak bywa, gdy kobiety biorą się do męskich spraw - zażartował.

- Nie! Tak bywa, gdy burżujki biorą się do spraw ludu! - odparła oburzona dziewczyna.

Sebastian Gómez poszedł do Alby i stojąc nad nią o kulach pochylił się z widocznym wysiłkiem.

- Hrabianko, musisz iść do domu. Tu nie ma z ciebie pożytku, przeciwnie, sprawiasz kłopot - rzekł.

Alba poczuła ulgę. Była bardzo przestraszona, a to było honorowe wyjście, które pozwalało jej wrócić do domu bez narażania się na zarzut tchórzostwa. Chcąc zachować twarz spierała się przez chwilę z Sebastianem Gomezem, ale szybko wyraziła zgodę, by Miguel poszedł z białą flagą rokować z karabinierami. Wszyscy obserwowali go przez wzierniki, gdy szedł przez pusty parking. Karabinierzy zwarli szeregi i przez megafon nakazali mu położyć flagę na ziemi i podejść z rękami na karku.

- To wygląda jak wojna! - skomentował Gómez. Miguel wrócił wkrótce i pomógł Albie wstać. Ta sama dziewczyna, która przedtem krytykowała lamenty Alby, wzięła ją pod rękę i we trójkę wyszli z budynku omijając barykady i worki z piaskiem, oświetleni potężnymi reflektorami policyjnymi. Alba wlokła się z trudem, była zawstydzona i kręciło się jej w głowie. Wyszedł im naprzeciw patrol karabinierów; Alba znalazła się nagle oko w oko z zielonym mundurem i na wysokości nosa ujrzała wymierzony w siebie pistolet. Podniosła wzrok i zobaczyła śniadą twarz z oczkami gryzonia. Rozpoznała go natychmiast: to był Esteban Garcia.

- Kogóż ja widzę? Toż to wnuczka senatora Trueby! - zawołał szyderczo Garcia.

Miguel dowiedział się w ten sposób, że nie powiedziała mu wszystkiego o sobie. Czując się zdradzony, przekazał ją w ręce Garcii, nie pożegnał się nawet wzrokiem i zawrócił na pięcie; ciągnąc po ziemi białą flagę, odszedł z Aną Diaz, tak samo jak on zaskoczoną i wściekłą.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Garcia, wskazując pistoletem na spodnie Alby. - To wygląda jak poronienie!

Alba wyprostowała głowę i spojrzała mu w oczy.

- To nie pańska sprawa. Proszę zawieźć mnie do domu! - rozkazała, naśladując władczy ton, którego używał dziadek w stosunku do wszystkich osób nie należących do tej samej co on klasy społecznej.

Garcia zawahał się. Od dawna nie słyszał rozkazów z ust cywila i miał pokusę zabrać ją do aresztu, żeby gniła w celi skąpana we własnej krwi, dopóki nie zacznie błagać go na kolanach o łaskę, ale w swoim zawodzie nauczył się, że są potężniejsi od niego i że nie może pozwolić sobie bezkarnie na luksus takiego postępowania. Ponadto wspomnienie Alby przesiadującej na tarasie w Las Tres Marias w wykrochmalonych sukienkach i popijającej lemoniadę, podczas gdy on powłóczył bosymi nogami po kurniku i wciągał smarki, oraz lęk, jaki odczuwał jeszcze przed Truebą, były silniejsze od chęci poniżenia jej. Nie mógł wytrzymać wzroku dziewczyny i niepostrzeżenie spuścił głowę. Odwrócił się, wyszczekał krótki rozkaz i dwaj karabinierzy ujęli Albę pod ręce i zaprowadzili do policyjnego samochodu. Tak przyjechała do domu. Na jej widok Blanca pomyślała, że sprawdziła się przepowiednia ojca i policja szarżowała z pałkami na studentów. Zaczęła płakać i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy Jaime zbadał Albę i zapewnił, że nie jest ranna ani nie dolega jej nic szczególnego, a wykuruje ją parę zastrzyków i odpoczynek.

Alba spędziła w łóżku dwa dni, podczas których studenci zakończyli pokojowo strajk. Ministra oświaty zdjęto ze stanowiska i przeniesiono do ministerstwa rolnictwa.

- Jeśli mógł być ministrem oświaty, choć nie skończył szkoły, to równie dobrze może być ministrem rolnictwa, choć w życiu nie widział żywej krowy - skomentował to wydarzenie senator Trueba.

Alba, leżąc w łóżku, miała czas przypomnieć sobie okoliczności, w których poznała Estebana Garcię. Z dzieciństwa zapamiętała śniadego chłopca, bibliotekę dziadka, kominek, w którym paliły się cierniste polana i pachniało od nich w całym pomieszczeniu; było późne popołudnie lub wieczór, a ona siedziała mu na kolanach. Lecz obraz ten był ulotny, pojawiał się i znikał w jej pamięci, i miała wątpliwości, czy to się jej nie przyśniło. Pierwsze wyraźne wspomnienie było późniejsze. Zapamiętała dokładną datę, gdyż zdarzyło się to w jej czternaste urodziny, odnotowane w czarnym albumie, który założyła babka, gdy Alba przyszła na świat. Na tę okazję ukarbowała sobie włosy i stała w płaszczu na tarasie, czekając na powrót wuja Jaime, który miał wyjść z nią do miasta po prezent urodzinowy. Było bardzo zimno, ale lubiła ogród zimą. Chuchała w dłonie i postawiła kołnierz, by osłonić uszy. Stamtąd widziała okno biblioteki, w której dziadek rozmawiał z jakimś człowiekiem. Szyba w oknie była przymglona, ale rozpoznała policyjny mundur i zastanawiała się, o czym dziadek może rozmawiać w gabinecie z jakimś karabinierem. Mężczyzna siedział tyłem do okna na brzegu krzesła, sztywny, w patetycznej pozie ołowianego żołnierzyka. Przyglądała im się do chwili, w której uznała, że wuj zaraz nadejdzie, zeszła więc do ogrodu, do podniszczonej altanki, poklepała się po plecach dla rozgrzewki, zrzuciła wilgotne liście leżące na kamiennej ławce i usiadła. W chwilę później zjawił się Esteban Garcia; wyszedł właśnie z gabinetu senatora i aby dotrzeć do żelaznej bramy, musiał przejść przez ogród. Na widok Alby zatrzymał się jak wryty. Niezdecydowany, rozejrzał się na wszystkie strony, po czym podszedł.

- Pamiętasz mnie? - zapytał.

- Nie... - zawahała się.

- Jestem Esteban Garcia. Poznaliśmy się w Las Tres Marias.

Alba uśmiechnęła się zdawkowo. Czuła, że łączy się z nim jakieś niemiłe wspomnienie. W oczach Garcii było coś, co wywoływało w niej niepokój, ale nie potrafiła tego określić. Garcia odgarnął dłonią liście i usiadł obok niej w altance, tak blisko, że zetknęły się ich nogi.

- Ten ogród wygląda jak dżungla - powiedział dysząc jej prosto w twarz.

Zdjął czapkę i zobaczyła, że ma bardzo krótkie i sztywne włosy nasmarowane guminą. Nagle Garcia ją objął. Poufałość tego gestu wytrąciła Albę z równowagi i przez chwilę siedziała jak sparaliżowana, po czym odsunęła się i usiłowała uwolnić. Ręka karabiniera przycisnęła ramię Alby i jego palce wbiły się w nie przez gruby materiał płaszcza. Czuła, że serce bije jej jak maszyna, a rumieniec pokrywa policzki.

- Urosłaś, Albo, wyglądasz już prawie jak kobieta - szepnął jej do ucha.

- Mam czternaście lat, dzisiaj je kończę - wybełkotała.

- W takim razie mam dla ciebie prezent - rzekł Esteban Garcia uśmiechając się krzywo.

Alba usiłowała odwrócić twarz, ale przytrzymał ją mocno obydwoma ramionami, tak że musiała nadstawić mu usta. Był to pierwszy pocałunek, jakiego doznała - gorący i brutalny. Jego szorstka, źle ogolona skóra drapała jej twarz; czuła stęchły zapach tytoniu i cebuli oraz przemoc. Garcia próbował otworzyć językiem usta Alby, podczas gdy palcami ścisnął jej policzki tak mocno, że musiała rozewrzeć szczęki.

Jego język kojarzył się jej z zaślinionym, ciepłym mięczakiem, toteż ogarnęły ją mdłości i zebrało się na wymioty; nie zamykała jednak oczu. Widziała twardą tkaninę jego munduru i czuła jego ręce otaczające jej szyję w okrutnym uścisku; nie przestając całować, Esteban ściskał ją coraz mocniej. Miała wrażenie, że się dusi, i odepchnęła go tak gwałtownie, że zdołała się uwolnić. Garcia wstał z ławki i uśmiechnął się szyderczo. Miał czerwone plamy na policzkach i szybko oddychał.

- Spodobał ci się mój prezent? - zapytał śmiejąc się. Alba widziała, jak oddala się długimi krokami, i zaczęła płakać. Czuła się brudna i poniżona. Potem pobiegła do domu umyć mydłem twarz i szczoteczką zęby, jakby mogło to zmyć plamę z jej pamięci. Gdy przyszedł po nią wuj Jaime, rzuciła mu się na szyję, zatopiła twarz w jego koszuli i powiedziała, że nie chce żadnego prezentu, ponieważ postanowiła zostać zakonnicą. Jaime wybuchł donośnym i głębokim śmiechem, który wydobył się z jego trzewi i który bardzo rzadko u niego słyszała, gdyż z usposobienia był milczkiem.

- Przysięgam, że to prawda! Zostanę zakonnicą! - szlochała Alba.

- Musiałabyś na nowo się urodzić - odparł Jaime. - A do tego jeszcze przejść po moim trupie.

Alba nie widziała więcej Estebana Garcii aż do chwili, w której natknęła się nań na parkingu koło uniwersytetu, ale nigdy go nie zapomniała. Nikomu nie opowiedziała o odrażającym pocałunku ani o snach, które miała potem; Garcia zjawiał się w nich jako zielona bestia gotowa udusić ją swoimi łapami i oślizłą macką, którą wpychał jej do ust.

Przypominając sobie to wszystko odkryła, że koszmar czaił się od lat w jej wnętrzu, a Garcia jest nadal bestią czyhającą w cieniu i gotową rzucić się na nią na każdym życiowym zakręcie. Nie mogła wiedzieć, że myśli, które ją nachodzą, są ostrzeżeniem.

Rozczarowanie i gniew Miguela spowodowane odkryciem, że Alba jest wnuczką senatora Trueby, rozwiały się, gdy po raz drugi w życiu dostrzegł ją snującą się jak zabłąkana dusza korytarzami koło kawiarenki, w której się poznali. Uznał, że nie byłoby rzeczą słuszną obwinianie wnuczki za poglądy dziadka. Znów spacerowali obejmując się. Wkrótce pocałunki bez końca już im nie wystarczały i zaczęli umawiać się u Miguela, w podrzędnym pensjonacie dla ubogich studentów, administrowanym przez starsze małżeństwo, które miało zamiłowanie do podglądania lokatorów. Ludzie ci obserwowali Albę z nie ukrywaną wrogością, gdy wchodziła po schodach trzymając się z Miguelem za rękę, podczas gdy ona przeżywała katusze, gdyż musiała pokonać nieśmiałość i wytrzymać ich krytyczne spojrzenia, które niweczyły radosny nastrój schadzki. Wolałaby jakieś inne wyjście, byleby tylko uniknąć tych spojrzeń, lecz z tego samego powodu, dla którego nie chciała, by widywano ją w pensjonacie Miguela, nie zgodziła się na pójście do hotelu.

- Jesteś najgorszą burżujką ze wszystkich, jakie znam! - śmiał się Miguel.

Czasami udawało mu się pożyczyć motocykl, a wtedy mogli sobie pozwolić na parogodzinne eskapady i nisko pochyleni nad maszyną pędzili jak samobójcy, z lodowato zimnymi uszami i trwogą w sercach. Lubili wyjeżdżać zimą na puste plaże, spacerować po mokrym piasku i zostawiać po sobie ślady, które zlizywała woda, straszyć mewy i wielkimi haustami łykać morskie powietrze. W lecie woleli gęste lasy, w których mogli bezkarnie swawolić, gdy tylko udawało im się uniknąć skautów i wycieczkowiczów. Wkrótce Alba odkryła, że najbezpieczniej będzie w jej własnym domu, gdyż w labiryncie opustoszałych pokoi na zapleczu mogli kochać się bez przeszkód.

- Jeśli służące usłyszą hałas, pomyślą, że wróciły duchy - rzekła Alba i opowiedziała Miguelowi o chwalebnej przeszłości, kiedy to wielki narożny dom odwiedzały duchy i latały w nim stoliki.

Gdy po raz pierwszy przemyciła go przez tylną bramę i torowała drogę wśród chaszczy, omijając posągi porosłe mchem i obsrane przez ptaki, młodzieniec doznał wstrząsu na widok smętnego domu. „Byłem tu kiedyś", szepnął, ale nie mógł sobie przypomnieć kiedy, ponieważ dżungla z sennego koszmaru i ponura willa nie bardzo odpowiadały świetlanemu obrazowi dzieciństwa, który utkwił w jego pamięci.

Kochankowie wypróbowali po kolei wszystkie opuszczone pokoje i w końcu gniazdko dla przelotnych amorów uwili w piwnicy. Alba nie odwiedzała piwnicy od kilku lat i zapomniała o jej istnieniu, ale gdy otworzyła drzwi i poczuła dobrze sobie znany zapach, od razu wrócił dawny magiczny pociąg do tego pomieszczenia. Z rupieci, skrzyń, stosów egzemplarzy książki wuja Nicolasa, mebli, kotar i firanek z innej epoki urządzili niezwykłą komnatę. Na środku ustawili łóżko z kilku materaców, które przykryli kawałkami zniszczonego przez mole aksamitu. Z kufrów powyjmowali niezliczone skarby. Za prześcieradła posłużyły im stare adamaszkowe zasłony o barwie topazu, popruli wytworną suknię z koronkami z Chantilly, którą miała na sobie Clara w dniu śmierci Barrabasa, i zrobili z niej moskitierę, by chronić się przed pająkami spadającymi z sufitu, gdzie snuły pajęczyny. Oświetlali piwnicę świecami i nie zwracali uwagi na małe gryzonie, zimno i grobowy zaduch. W wiecznym mroku piwnicy chodzili nago, nic sobie nie robiąc z wilgoci i przeciągów.

Z kryształowych kieliszków, które Alba wykradła z jadalni, pili białe wino. Nawzajem badali dokładnie swe ciała i próbowali różnorodnych sposobów osiągania rozkoszy. Bawili się jak dzieci. Alba miała trudności z rozpoznaniem w tym zakochanym i czułym młodzieńcu, śmiejącym się i swawolącym w trakcie długich bachanaliów, rewolucjonisty spragnionego sprawiedliwości, potajemnie uczącego się strzelania z broni palnej i studiującego strategie rewolucyjne. Wynajdywała nieodparte sztuczki uwodzicielskie, a Miguel nowe cudowne sposoby kochania się z nią. Poraziła ich siła namiętności, która miała urok nienasyconego pragnienia. Chcąc posiąść się wzajemnie do końca nie znajdowali dość czasu ani słów na dzielenie się najskrytszymi myślami i najodleglejszymi wspomnieniami. Alba zaniedbała wiolonczelę, jeśli nie liczyć chwil, w których naga grała na niej na topazowym łożu, a na zajęciach na uczelni siedziała z nieobecnym wyrazem twarzy. Miguel natomiast odkładał na później pracę magisterską i zebrania polityczne, gdyż mieli potrzebę bycia razem o każdej porze i korzystali z najmniejszej nieuwagi domowników, by wśliznąć się do piwnicy. Alba nauczyła się kłamać i udawać. Pod pretekstem, że

musi się uczyć po nocach, opuściła pokój, który od śmierci babki dzieliła z matką, i zamieszkała na parterze, w pokoju wychodzącym na ogród; tam wpuszczała Miguela przez okno i przez uśpiony dom prowadziła go na palcach do zaczarowanej kryjówki. Lecz spotykali się nie tylko nocami. Miłosna niecierpliwość była czasami tak nieznośna, że Miguel zdobywał się na odwiedziny w ciągu dnia, jak złodziej przemykając się wśród zarośli pod drzwi piwnicy, gdzie z drżącym sercem oczekiwała Alba. Obejmowali się tak rozpaczliwie, jakby to było pożegnanie, i znikali w kryjówce przytłoczeni poczuciem współwiny.

Po raz pierwszy w życiu Alba pragnęła być urodziwa i żałowała, że żadna ze wspaniałych kobiet, których tyle było w rodzinie, nie przekazała jej w spadku atrybutów swojej urody, a jedyna, która to uczyniła - piękna Rosa - nadała jej włosom odcień morskich alg, co bez całej reszty sprawiało raczej wrażenie błędu w sztuce fryzjerskiej. Gdy Miguel domyślił się niepokojów Alby, zaciągnął ją za rękę przed wielkie weneckie lustro, zdobiące jeden z kątów tajemnej komnaty, starł kurz z rozbitego szkła, po czym zapalił wszystkie świece, jakie były pod ręką, i porozstawiał wokół. Przejrzała się w tysiącu kawałków potłuczonego zwierciadła. W blasku świec jej cera miała nierealną barwę figur woskowych. Miguel zaczął ją pieścić, a wtedy ujrzała, jak jej twarz przekształca się w kalejdoskopie, i w końcu pogodziła się z myślą, że jest najpiękniejszą istotą wszechświata, gdyż mogła obejrzeć się oczyma, którymi patrzył na nią Miguel.

Orgia trwała ponad rok. W końcu Miguel skończył pracę magisterską, uzyskał dyplom i zaczął szukać pracy. Gdy minęła pilna potrzeba nie zaspokojonej miłości, odzyskali równowagę i znormalizowali swoje życie. Alba uczyniła wysiłek, by zainteresować się ponownie studiami, a jego znów pochłonęła działalność polityczna, gdyż bieg wydarzeń ulegał przyspieszeniu, a krajem wstrząsały walki ideologiczne. Nie opodal miejsca pracy wynajął mały apartament, w którym spotykali się i kochali, ponieważ figlując nago w piwnicy przez cały rok nabawili się chronicznego bronchitu, który pozbawił podziemny raj dużej części uroku. Alba pomogła udekorować mieszkanie - wszędzie porozkładała jaśki i porozwieszała plakaty polityczne - a nawet zasugerowała Miguelowi, że mogłaby z nim zamieszkać, ale w tej sprawie był nieustępliwy.

- Nadchodzą bardzo ciężkie czasy, kochana - wyjaśnił. - Nie mogę mieć cię przy sobie, bo gdy zajdzie taka potrzeba, pójdę do partyzantki.

- Pójdę z tobą dokądkolwiek - przyrzekła.

- Tam się nie idzie z miłości, lecz z przekonań politycznych, a ty ich nie masz - odparł Miguel. - Nie możemy sobie pozwolić na luksus przyjmowania amatorów.

Albie odpowiedź ta wydała się brutalna i minęło parę lat, nim zrozumiała w pełni jej sens.

Senator Trueba był już w wieku, w którym powinien przejść na emeryturę, lecz nie dopuszczał do siebie takiej myśli. Czytał poranną gazetę i mamrotał przez zęby. Wiele zmieniło się w ciągu minionych lat i czuł, że wydarzenia go przerastają, gdyż nie przyszło mu nigdy do głowy, że będzie żył tak długo, by musieć stawić im czoło. Urodził się, gdy nawet w mieście nie było światła elektrycznego, a przyszło mu oglądać w telewizji człowieka spacerującego po Księżycu, lecz żaden ze wstrząsów,

które przeżył, nie przygotował go na okoliczność rewolucji lęgnącej się w kraju, pod jego nosem, i przyprawiającej wszystkich o konwulsje.

Jedyną osobą, która nie mówiła o tym, co się dzieje, był Jaime. Chcąc uniknąć kłótni z ojcem, nabrał nawyku milczenia i szybko stwierdził, że jest to wygodna sytuacja. Z lakoniczności trapisty rezygnował tylko wtedy, gdy w tunelu książek odwiedzała go Alba. Siostrzenica przychodziła w nocnej koszuli, z mokrymi włosami, prosto spod prysznica, siadała na podłodze obok łóżka i opowiadała mu o sprawach radosnych, ponieważ, jak mówiła, był on magnesem przyciągającym troski i nieuleczalne mizerie innych, toteż trzeba, żeby ktoś go zawiadomił, że nadeszła wiosna i miłość. Te dobre intencje rozbijały się jednak o pilną potrzebę przedyskutowania z wujem wszystkiego, co ją trapiło. Nigdy się nie zgadzali. Czytali te same książki, ale gdy analizowali swoje lektury, mieli zupełnie przeciwstawne opinie. Jaime kpił z jej idei politycznych i brodatych przyjaciół i beształ ją za to, że zakochała się w kawiarnianym terroryście. W całym domu tylko on wiedział o istnieniu Miguela.

- Powiedz temu młokosowi, żeby któregoś dnia popracował ze mną w szpitalu, a wtedy zobaczymy, czy będzie miał nadal ochotę tracić czas na broszury i przemówienia - mówił Albie.

- On jest adwokatem, wujku, a nie lekarzem - odpowiadała.

- To nieważne. Potrzebujemy tam różnych ludzi. Przyda nam się nawet ślusarz.

Jaime był pewien, że po tylu latach walki zwyciężą ostatecznie socjaliści. Pewność ta wynikała jego zdaniem z faktu, że lud uzyskał świadomość swoich potrzeb i własnej siły. Alba powtarzała słowa Miguela, że burżuazję można pokonać jedynie poprzez walkę zbrojną. Jaime brzydził się wszelkim ekstremizmem i twierdził, że walka partyzancka jest uzasadniona jedynie wtedy, gdy istnieje tyrania i nie ma innego wyjścia, jak tylko bić się z karabinem w ręku, natomiast w kraju, w którym można dokonać zmian poprzez wybory powszechne, byłaby czynem obłąkańczym.

- Przecież to się nigdy nie udało, wujku. Nie bądź naiwny - odpowiadała Alba. - Nigdy nie dadzą wygrać socjalistom! Starała się wyjaśnić mu punkt widzenia Miguela: że nie można czekać na powolny proces dziejowy, mozolny proces wychowania i organizowania ludu, gdyż świat rozwija się skokowo, a ich kraj zostaje w tyle; że radykalnych zmian nigdy nie udaje się przeprowadzić po dobroci i bez przemocy. Dowodzi tego historia, mówiła. Dyskusja przeciągała się i oboje gubili się w mętnej retoryce, po czym znużeni oskarżali się wzajemnie o ośli upór, ale w końcu wymieniali pocałunki na dobranoc i każde pozostawało z wrażeniem, że rozstaje się z cudowną istotą.

Pewnego wieczoru przy kolacji Jaime zapowiedział, że wybory wygrają socjaliści, ale ponieważ zapowiadał to już od około dwudziestu lat, nikt mu nie uwierzył.

- Gdyby żyła twoja matka, powiedziałaby, że wygrają ci sami co zawsze - odpowiedział pogardliwie senator Trueba.

Jaime wiedział, co mówi. Powiedział mu o tym Kandydat. Przyjaźnili się od wielu lat i Jaime często chodził grać z nim nocami w szachy. Był to ciągle ten sam socjalista, który od osiemnastu już lat ubiegał się o urząd prezydenta republiki. Jaime ujrzał go

po raz pierwszy w młodości zza pleców ojca, podczas jednej z kampanii wyborczych, gdy wśród chmury dymu przejeżdżał pociągiem zwycięstwa. Wtedy Kandydat był człowiekiem młodym i krzepkim, z policzkami wyżła; wykrzykiwał egzaltowane przemówienia wśród świstów i gwizdów właścicieli ziemskich i wściekłego milczenia chłopów. Były to czasy, w których na rozstaju dróg bracia Sanchezowie powiesili działacza socjalistycznego, a Esteban Trueba wy-chłostał Pedra Trzeciego Garcię w obecności ojca za rozpowszechnianie między parobkami wichrzycielskich wersji Biblii autorstwa ojca Josego Dulce Maria. Przyjaźń Jaime z Kandydatem zrodziła się wskutek zbiegu okoliczności. Pewnej niedzielnej nocy wysłano go ze szpitala w celu udzielenia pomocy komuś w nagłej potrzebie. Przyjechał karetką pogotowia pod wskazany adres, zadzwonił i drzwi otworzył mu osobiście Kandydat. Jaime rozpoznał go bez trudu, ponieważ wielekroć widział jego podobizny, a ponadto Kandydat nie zmienił się od czasu, gdy przejeżdżał pociągiem przez San Lucas.

- Proszę wejść, panie doktorze, czekamy na pana - powitał go Kandydat.

Zaprowadził Jaime do pokoju służbowego, gdzie córki usiłowały pomóc kobiecie, która sprawiała wrażenie, że się dusi, miała zsiniałą twarz, oczy wychodziły jej z orbit, a z ust zwisał monstrualnie spuchnięty język.

- Zjadła rybę - wyjaśniono.

- Przynieście tlen, który jest w karetce - rzekł Jaime przygotowując strzykawkę.

Został z Kandydatem - obaj siedzieli przy łóżku - dopóki kobieta nie zaczęła oddychać normalnie i mogła schować język. Rozmawiali o socjalizmie i szachach i tak zaczęła się ich serdeczna przyjaźń. Jaime przedstawił się nazwiskiem matki, którego zawsze używał; nie wiedział, że następnego dnia służba bezpieczeństwa partii socjalistycznej przekaże Kandydatowi informację, iż jest synem senatora Trueby, jego najgorszego wroga politycznego. Kandydat nigdy jednak o tym nie wspomniał i do końca - nawet wtedy, gdy po raz ostatni wymieniali uściski dłoni, a wokół płonęło i świstały kule - Jaime zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał odwagę powiedzieć mu prawdę.

Kandydat, dzięki swojemu bogatemu doświadczeniu wyniesionemu z porażek i znajomości ludu, zdał sobie sprawę, że tym razem wygra, nim komukolwiek innemu przyszło to do głowy. Powiedział o tym Jaime dodając, że obowiązuje zakaz rozpowszechniania tej prognozy, gdyż chodzi o to, by prawica stanęła do wyborów pewna zwycięstwa, arogancka i podzielona. Jaime odparł, że gdyby rzecz rozgłoszono, nie miałoby to żadnego znaczenia, gdyż nikt by nie uwierzył, nawet sami socjaliści - i na dowód podzielił się prognozą z ojcem.

Pracował nadal po czternaście godzin na dobę, nawet w niedziele, nie uczestnicząc w batalii politycznej. Tchórzył w obliczu coraz większej gwałtowności toczącej się walki, która całkowicie polaryzowała wszystkie siły polityczne; w centrum pozostali jedynie ludzie niezdecydowani, o niestałych poglądach, czekając, aż wyłoni się przyszły zwycięzca, aby wtedy oddać na niego głosy. Nie dał się prowokować ojcu, korzystającemu z każdej okazji, gdy byli razem, by przestrzec syna przed machinacjami międzynarodowego komunizmu i chaosem, w którym pogrążyłaby się ojczyzna, gdyby stała się rzecz nieprawdopodobna i lewica rzeczywiście wygrała wybory. Jaime tylko raz stracił cierpliwość: gdy pewnego ranka ujrzał miasto

obwieszone krwiożerczymi plakatami, na których zrozpaczona matka z wielkim brzuchem usiłowała bezskutecznie wydrzeć z rąk żołnierza komunistycznego swojego syna, wywożonego do Moskwy. Była to kampania zastraszania, zorganizowana przez senatora Truebę i jego zwolenników z pomocą ekspertów zagranicznych sprowadzonych specjalnie w tym celu. Tego było dla Jaime za wiele. Uznał, że nie może żyć z ojcem pod jednym dachem, zamknął tunel, zabrał swoją odzież i zaczął sypiać w szpitalu.

W ostatnich miesiącach przed wyborami tempo rozwoju wydarzeń było coraz szybsze. Na wszystkich murach wisiały portrety kandydatów, z samolotów rozrzucano ulotki i zasypano ulice zadrukowanym śmieciem, który spadał z nieba jak śnieg, radioodbiorniki wyły rozpowszechniając polityczne hasła, a zwolennicy każdej ze stron robili najbardziej niedorzeczne zakłady. Nocami bandy młodych ludzi urządzały polowania na wrogów ideologicznych. Organizowano masowe zgromadzenia, by zmierzyć popularność poszczególnych partii, lecz na każde schodziło się tyle samo ludzi. Alba była w euforii, ale Miguel tłumaczył jej, że wybory to błazeństwo i nie ma znaczenia, kto wygra, gdyż to ta sama strzykawka, tylko z inną igłą, i że rewolucji nie można dokonać za pomocą urn, a jedynie przelewając krew. Pomysł pokojowej rewolucji w warunkach demokracji i pełnej wolności uważał za absurdalny.

- Ten biedny chłopak jest szalony! - zawołał Jaime, gdy opowiedziała mu o tym Alba.
- Wygramy, a on udławi się własnymi słowami.

Dotąd Jaime udało się uniknąć spotkania z Miguelem. Nie chciał go poznać. Dręczyła go utajona i niegodziwa zazdrość. Pomagał przy narodzinach Alby i miał ją tysiąc razy na kolanach, nauczył ją czytać, opłacił szkołę i obchodził wszystkie jej urodziny, czuł się tak, jakby był jej ojcem, lecz odkąd stała się kobietą, nie potrafił stłumić w sobie niepokoju, który ogarniał go na jej widok. W ciągu paru minionych lat dostrzegł u niej zmianę i oszukiwał się iluzjami, choć doświadczenie nabyte przy pielęgnowaniu innych istot ludzkich nauczyło go, że tylko miłość może nadać kobiecie taki splendor, jaki teraz roztaczała wokół siebie Alba. Widział, jak dojrzewa z dnia na dzień, zatracając niezgrabność wieku młodzieńczego i przystosowując się do swojego nowego ciała kobiety zaspokojonej i łagodnej. Oczekiwał z absurdalnym uporem, że zadurzenie się siostrzenicy będzie uczuciem przejściowym, gdyż w głębi duszy nie chciał pogodzić się z myślą, że może potrzebować innego niż on mężczyzny. Lecz nie mógł ignorować Miguela w nieskończoność. Alba powiedziała mu właśnie, że siostra Miguela jest chora.

- Chcę, żebyś porozmawiał z Miguelem, wujku. On opowie ci o swojej siostrze. Czy zrobisz to dla mnie? - poprosiła Alba.

Gdy Jaime poznał Miguela w kawiarni koło domu, mimo całej żywionej do niego nieufności nie umknął przed falą sympatii, która go zalała i kazała zapomnieć o niechęci, gdyż wbrew temu, czego się spodziewał, człowiek siedzący naprzeciwko niego i mieszający nerwowo kawę nie był pyszałkowatym rewolucjonistą ani zabijaką, lecz wzruszonym i drżącym młodzieńcem, który walczył ze łzami cisnącymi mu się do oczu, opowiadając o objawach choroby siostry.

- Zaprowadź mnie do niej - rzekł Jaime.

Miguel i Alba udali się z nim do dzielnicy cyganerii. W samym centrum, o parę metrów od nowoczesnych budynków ze stali i szkła, na zboczu wzgórza pięły się w górę uliczki malarzy, ceramików, rzeźbiarzy. Tam bowiem pozakładali swoje legowiska, dzieląc stare domy na maleńkie pracownie.

Przez oszklone dachy widać było niebo, a w ciemnych klitkach, będących rajem wielkości i nędzy, żyli artyści. W uliczkach bawiły się ufne dzieci, piękne kobiety w długich tunikach nosiły niemowlęta na plecach lub pod pachą oparte o biodra, a na rogach i na progach siedzieli brodaci mężczyźni, senni i obojętni, obserwujący, jak wokół mija życie. Zatrzymali się przed domem w stylu francuskim, ozdobionym na fryzach aniołkami jak tort kremem. Weszli po wąskich schodach, które pierwotnie miały służyć jako zapasowe w razie pożaru, lecz liczne przebudowy wnętrza budynku uczyniły z nich jedyne dojście. W miarę jak wspinali się po krętych schodach, osaczał ich przenikliwy zapach czosnku, marihuany i terpentyny. Na ostatnim piętrze Miguel zatrzymał się przed wąskimi drzwiami pomalowanymi na kolor pomarańczowy, wyjął klucz i otworzył. Jaime i Albie wydało się, że wchodzą do ptaszarni. Pokój był okrągły, uwieńczony absurdalną bizantyjską kopułą i cały oszklony; można było podziwiać z niego dachy miasta i czuć, że jest się bardzo blisko chmur. Gołębie uwiły gniazda na parapetach i od ich ekskrementów i piór szyby mieniły się barwami żyłek jaspisu. Przy jedynym stole siedziała kobieta w szlafroku z wyhaftowanym na piersi smutnym postrzępionym smokiem. Jaime potrzebował kilku sekund, żeby ją rozpoznać.

- Amando... Amando... - wymamrotał.

Nie widział jej od ponad dwudziestu lat, kiedy to miłość, jaką oboje darzyli Nicolasa, okazała się silniejsza od ich wzajemnego uczucia. W tym czasie atletyczny śniady młodzieniec z natartymi guminą i zawsze wilgotnymi włosami, który spacerował czytając na głos medyczne traktaty, stał się mężczyzną lekko pochylonym od ciągłego doglądania pacjentów leżących w łóżkach, z szarą grzywą, wyrazem powagi na twarzy i z grubymi szkłami w metalowej oprawie, lecz pozostał zasadniczo tą samą osobą. Natomiast aby rozpoznać w tej kobiecie Amandę, trzeba było bardzo ją kochać. Wyglądała na starszą, niż była; bardzo szczupła, prawie sama skóra i kości, zwiędła żółta cera, bardzo zaniedbane dłonie z palcami pożółkłymi od nikotyny. Oczy miała zapuchnięte, pozbawione blasku, zaczerwienione, a źrenice rozszerzone, toteż sprawiała wrażenie osoby bezradnej i zalęknionej. Nie patrzyła na Jaime i Albę, a jedynie na Miguela. Spróbowała wstać, potknęła się i zachwiała. Brat podtrzymał ją i przycisnął do piersi.

- Znaliście się? - zapytał zdumiony Miguel.

- Tak, bardzo dawno temu - odparł Jaime.

Pomyślał, że nie warto mówić o przeszłości i że Miguel i Alba są za młodzi, by zrozumieć uczucie nieodwołalnej straty, jakie ogarnęło go w tej chwili. W mgnieniu oka zatarł się obraz cyganki, który przez te wszystkie lata nosił w sercu - jedynej miłości jego samotnego losu. Pomógł Miguelowi ułożyć Amandę na sofie, która służyła za łóżko, i podłożył jej poduszkę pod głowę. Amanda ściskała kurczowo szlafrok, broniąc się słabo i bełkocząc niezrozumiale. Wstrząsały nią konwulsyjne drgawki i dyszała jak zgoniony pies. Alba obserwowała ją przerażona i dopiero wtedy, gdy Amanda leżała już spokojnie, z zamkniętymi oczyma, rozpoznała w niej

uśmiechniętą kobietę ze zdjęcia, które Miguel nosił zawsze w portfelu. Jaime przemawiał do Amandy głosem, którego Alba nie znała, i stopniowo zdołał ją uspokoić, pogłaskał czule i po ojcowsku, jak to czynił czasami zwracając się do zwierząt, aż w końcu chora odprężyła się i pozwoliła podciągnąć sobie rękawy starego chińskiego szlafroka. Alba ujrzała jej chudziutkie ramiona, a na nich mnóstwo mikroskopijnych, tworzących sińce blizn od ukłuć; niektóre były zainfekowane i zaropiałe. Potem dostrzegła, że tak samo udręczone miała ona łydki i uda. Jaime przyglądał się jej ze smutkiem i w jednej chwili zrozumiał lata zaniedbania i nędzy, niespełnionej miłości i strasznej drogi życiowej tej kobiety - to wszystko, co przeszła, nim osiągnęła stan beznadziei, w którym teraz się znajdowała. Przypomniał sobie, jaka była w młodości, gdy oślepiała go swoją fryzurą, brzękiem świecidełek, dźwięcznym śmiechem i prostotą, z jaką przyswajała sobie niedorzeczne idee i hołdowała złudzeniom. Przeklinał samego siebie za to, że pozwolił jej odejść, i z powodu straconego dla obojga czasu. - Trzeba zabrać ją do szpitala. Może ją uratować tylko kuracja odwykowa - powiedział. - Będzie bardzo cierpieć - dodał.

KONSPIRACJA

Tak jak przepowiedział Kandydat, socjaliści, sprzymierzeni z pozostałymi partiami lewicowymi, wygrali wybory prezydenckie. Dzień wyborów przebiegł bez incydentów, w świetlistej wrześniowej aurze. Ci, co zawsze, od niepamiętnych czasów przywykli do sprawowania władzy, wiele tygodni wcześniej zaczęli się przygotowywać do uczczenia swojego zwycięstwa, choć w ostatnich latach ich siły zostały bardzo nadwątlone. W sklepach zabrakło napojów alkoholowych, na targach świeżych frutti di marę, a cukiernie pracowały na dwie zmiany, by zaspokoić popyt na torty i ciastka. W Dzielnicy Górnej nie było alarmu, gdy podano częściowe wyniki głosowania na prowincji, ponieważ wiedziano, że wszystko rozstrzygnie się w stolicy. Senator Trueba śledził przebieg wyborów w siedzibie swojej partii, absolutnie spokojny i w dobrym humorze, śmiejąc się zuchwale, gdy któryś z jego ludzi denerwował się coraz bardziej oczywistymi sukcesami kandydata opozycji. Uprzedzając zwycięstwo odstąpił od ścisłej żałoby i włożył czerwony goździk do butonierki. Telewizja przeprowadziła z nim wywiad i usłyszał go cały kraj. „Wygrają ci co zawsze", powiedział wyniośle, a następnie zaproponował toast na cześć „obrońcy demokracji".

W wielkim domu narożnym Blanca i Alba siedziały wraz ze służbą przed telewizorem, popijając herbatę, jedząc grzanki i notując wyniki, by śledzić z bliska wyścig na ostatniej prostej, gdy na ekranie pojawił się dziadek, starszy i bardziej twardogłowy niż zazwyczaj.

- Szlag go trafi - powiedziała Alba - ponieważ tym razem wygrają inni.

Wkrótce dla wszystkich stało się oczywiste, że już tylko cud może zmienić końcowy wynik, rysujący się coraz wyraźniej przez cały dzień. W białych, niebieskich i żółtych rezydencjach wielkopańskich w Dzielnicy Górnej zaczęto spuszczać żaluzje, ryglować drzwi i zdejmować pospiesznie flagi i portrety własnego kandydata, które za wcześnie wywieszono z balkonów. Tymczasem z dzielnic peryferyjnych i osiedli robotniczych wyszły całe świątecznie ubrane rodziny - rodzice, dzieci, dziadkowie - i ruszyły radośnie w kierunku śródmieścia. Miały ze sobą radia tranzystorowe i słuchały komunikatów. W Dzielnicy Górnej niektórzy studenci, ogarnięci płomiennym idealizmem, spłatali figla swoim bliskim, zgromadzonym z ponurymi minami wokół telewizorów, i też wyszli na ulicę. Z kordonów przemysłowych nadciągnęli w zwartych

kolumnach robotnicy i wznosząc zaciśnięte pięści skandowali hasła kampanii wyborczej. Wszyscy zebrali się w centrum miasta i jak jeden mąż krzyczeli, że naród zjednoczony nigdy nie będzie zwyciężony. Powyjmowali białe chustki i czekali. O północy ogłoszono, że wygrała lewica. W mgnieniu oka rozproszone dotąd grupy stłoczyły się, nabrzmiały i rozlały, i ulice wypełnili radośnie nastrojeni ludzie, którzy skakali, krzyczeli, ściskali się i śmiali. Zapalili pochodnie i bezładne wrzaski i zabawa uliczna zamieniły się w karnawałowy, acz zdyscyplinowany korowód, który zaczął maszerować ku wytwornym alejom dzielnic burżuazyjnych. Było to niezwykłe widowisko: ludzie prości, mężczyźni w butach roboczych, kobiety z dziećmi na rękach, studenci w koszulach bez marynarek spacerowali spokojnie po luksusowej, zastrzeżonej strefie, do której bardzo rzadko zapuszczali się w przeszłości i gdzie uważano ich za obcych. Odgłosy śpiewów i kroków oraz odblaski pochodni przedostały się do wnętrz zamkniętych i pogrążonych w ciszy domów, gdzie trzęśli się ze strachu ci, którzy w końcu uwierzyli w swoją własną kampanię zastraszania i byli przekonani, że hołota porozrywa ich na strzępy lub w najlepszym razie ograbi i ześle na Syberię. Lecz wiwatujący tłum nie wyłamał żadnych drzwi ani nie podeptał doskonale przystrzyżonych trawników. Przeszedł radośnie, nie tykając luksusowych samochodów zaparkowanych na ulicy, obszedł place i parki, w których nie postała dotąd jego noga, zatrzymał się zachwycony przed wystawami sklepowymi, lśniącymi jak na Boże Narodzenie i oferującymi przedmioty, o których nie wiedział, do czego służą, i pogodnie ruszył w dalszą drogę. Gdy kolumny przechodziły pod domem Truebów, Alba wybiegła na ulicę, zmieszała się z tłumem i śpiewała na całe gardło. Rozradowany lud paradował przez całą noc. W willach nie otwarto butelek z szampanem, na srebrnych tacach zmarniały langusty, a muchy obsiadły torty.

O świcie Alba dostrzegła w rzednącym już tłumie charakterystyczną sylwetkę Miguela, który szedł z flagą w ręku i wznosił okrzyki. Przepchnęła się w jego kierunku i wołała bezskutecznie, gdyż harmider był za wielki, by mógł ją usłyszeć. Gdy wreszcie zaszła mu drogę, na jej widok przekazał flagę osobie idącej obok, a Albę chwycił w ramiona i uniósł. Oboje byli u kresu sił i całując się płakali ze szczęścia.

- Mówiłam ci, że wygramy, Miguelu! - śmiała się Alba.

- Wygraliśmy, ale teraz trzeba bronić zwycięstwa - odparł. Następnego dnia ci, którzy w nocy czuwali przestraszeni w swoich domach, spadli jak oszalała lawina na banki, wzięli je szturmem i zażądali, by z kont wypłacono im wszystkie pieniądze. Ci, którzy mieli w depozytach kosztowności, woleli schować je pod materac lub wysłać za granicę. W ciągu dwudziestu czterech godzin wartość nieruchomości spadła o ponad połowę i pośród panicznego pędu do wyjazdu z kraju, nim pojawią się Sowieci i ustawią wzdłuż granic zapory z drutu kolczastego, wyprzedano wszystkie bilety lotnicze. Lud, który w nocy defilował triumfalnie, poszedł obejrzeć burżuazję stojącą w kolejkach i bijącą się pod drzwiami banków, i pękał ze śmiechu. W ciągu kilku godzin kraj podzielił się na dwa nieprzejednanie wrogie sobie obozy i podział ten zaczął rozszerzać się na wszystkie rodziny.

Senator Trueba spędził noc w siedzibie partii, gdzie zatrzymali go siłą jego zwolennicy, przekonani, że jeśli wyjdzie na ulicę, tłum rozpozna go bez trudu i powiesi na latarni. Trueba był bardziej zaskoczony niż wściekły. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało, choć od wielu lat powtarzał, że w kraju roi się od marksistów. Nie czuł się zdeprymowany - przeciwnie. Serce starego bojownika rozpierała emocja, której nie przeżywał od lat młodzieńczych.

- Co innego wygrać wybory, a co innego zostać prezydentem - powiedział tajemniczo swoim zapłakanym kolegom partyjnym.

Nikt jeszcze nie wpadł jednak na pomysł wyeliminowania nowego prezydenta, gdyż jego wrogowie byli pewni, że pozbędą się go na tej samej legalnej drodze, która pozwoliła mu odnieść zwycięstwo. To właśnie miał na myśli Trueba. Następnego dnia, gdy stało się oczywiste, że nie należy się bać świętującego tłumu, wyszedł z kryjówki i udał się do pewnego wiejskiego domu pod miastem, gdzie potajemnie wydano obiad. Spotkał się tam z innymi politykami, kilku wojskowymi i gringos przysłanymi przez agencję wywiadowczą, by opracować plan obalenia nowego rządu, który miał polegać na destabilizacji gospodarki - tak bowiem nazwano sabotaż. Był to duży dom w stylu kolonialnym, z brukowanym dziedzińcem. Gdy senator Trueba przyjechał na miejsce, parkowało tam już kilka samochodów. Przyjęto go wylewnie, ponieważ był jednym z niekwestionowanych przywódców prawicy i na wszelki wypadek, z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem, nawiązał odpowiednie kontakty. Po posiłku - ryba corvina na zimno w kremie z awokado, prosię pieczone w brandy i mus czekoladowy - pożegnali służących i zaryglowali drzwi salonu. Ustalili strategię, po czym na stojąco wznieśli toast za ojczyznę. Wszyscy z wyjątkiem cudzoziemców byli gotowi zaryzykować dla dobra sprawy połowę osobistej fortuny, ale tylko stary Trueba był gotów poświęcić również życie.

- Nie damy mu spokoju ani na minutę. Będzie musiał zrezygnować z urzędu - powiedział stanowczym tonem.

- A jeśli to nie poskutkuje, senatorze, to jest jeszcze inny sposób - dodał generał Hurtado, kładąc na stole służbowy pistolet.

- Nie interesuje nas przewrót koszarowy, panie generale - odpowiedział w swojej poprawnej hiszpańszczyźnie agent wywiadu z ambasady. - Chcemy, żeby marksizm poniósł fiasko z hukiem i trzaskiem i upadł sam, tak aby ideologię tę wybić z głowy innym krajom kontynentu. Rozumie pan, generale? Załatwimy sprawę za pomocą pieniędzy. Możemy jeszcze przekupić niektórych parlamentarzystów, by nie zatwierdzili go jako prezydenta. To jest zapisane w konstytucji: nie uzyskał większości absolutnej i decyzja należy do parlamentu.

- Niech pan wybije to sobie z głowy, mister! - zawołał senator Trueba. - Tu nikogo nie będzie się przekupywać! Kongres i siły zbrojne są nieprzekupne. Lepiej wykupmy za te pieniądze wszystkie środki masowego przekazu. Będziemy wtedy mogli manipulować opinią publiczną, bo to jedyne, co naprawdę się liczy.

- To szaleństwo! Pierwszą rzeczą, którą zrobią marksiści, będzie zniesienie wolności prasy! - żachnęło się jednogłośnie kilku uczestników zebrania.

- Wierzcie mi, panowie - replikował senator Trueba - że znam ten kraj. Tu nigdy nie zostanie zniesiona wolność prasy. Poza tym jest ona jednym z punktów programu rządu, który przyrzekł przestrzegać swobód demokratycznych. Wpędzimy go we własne sidła.

Senator Trueba miał rację. Nie udało się przekupić parlamentarzystów i w ustawowo przewidzianym terminie lewica objęła spokojnie władzę. Wówczas prawica zaczęła rozniecać nienawiść.

Po wyborach wszystko uległo zmianie i ci, którzy mniemali, że będą mogli żyć tak jak dotychczas, bardzo szybko uświadomili sobie, że jest to złudzenie. Dla Pedra Trzeciego Garcii była to zmiana brutalna. Żył dotąd omijając pułapki rutyny, wolny i biedny jak wędrowny trubadur; nigdy nie nosił skórzanych butów, krawata ani zegarka i pozwalał sobie na luksus czułości, prostoty, marnotrawstwa i sjesty, ponieważ nikomu nie musiał się opowiadać. Coraz więcej wysiłku kosztowało go wykrzesanie z siebie niepokoju i bólu, których potrzebował do skomponowania nowej piosenki, gdyż z wiekiem osiągnął wielki spokój wewnętrzny i bunt, który mobilizował go w młodości, ustąpił miejsca łagodności człowieka zadowolonego z samego siebie. Był ascetyczny jak franciszkanin. Nie dążył do pieniędzy ani władzy. Jedyną dużą plamą na jego spokoju była Blanca. Przestała go interesować młodzieńcza miłość bez przyszłości i nabrał pewności, że Blanca jest jedyną stworzoną dlań kobietą. Policzył, ile lat kochał ją potajemnie, i nie mógł przypomnieć sobie ani jednej chwili, w której nie nosiłby jej w sercu. Po wyborach prezydenckich równowaga jego egzystencji załamała się w obliczu pilnej prośby o współpracę ze strony rządu. Nie mógł odmówić, ponieważ - jak mu wytłumaczono - partie lewicowe nie miały dość ludzi przygotowanych do objęcia stanowisk, które należało obsadzić.

- Jestem chłopem. Nie mam żadnego przygotowania - mówił szukając wymówki.

- To nieważne, towarzyszu. Przynajmniej jesteście popularni. Nawet jeśli zrobicie głupstwo, ludzie wam wybaczą.

Tak oto po raz pierwszy w życiu znalazł się za biurkiem, z osobistą sekretarką, mając za plecami ogromny obraz, który przedstawiał Bohaterów Narodowych na polu jakiejś znamienitej bitwy. Pedro Trzeci Garcia wyglądał przez zakratowane okno luksusowego gabinetu i widział jedynie mały czworokąt szarego nieba. Stanowisko, które zajmował, nie było dekoracyjne. Pracował od siódmej rano do późna w nocy i po pracy był tak zmęczony, że nie potrafił wydobyć z gitary ani jednego akordu ani tym bardziej kochać Blanki z tą samą co zwykle namiętnością. Gdy - przezwyciężając wszystkie tradycyjne przeszkody ze strony Blanki oraz nowe przeszkody, które stwarzała jego praca - udawało im się spotkać i leżeli już w łóżku, było w nich więcej udręki niż pożądania. Kochali się zmęczeni, co rusz przerywał im telefon, a przy tym był to wyścig z czasem, którego nigdy nie starczało. Blanca przestała zakładać bieliznę kobiety lekkich obyczajów, gdyż wydawała się jej teraz niepotrzebną prowokacją, która wywoływała u obojga poczucie śmieszności. Skończyło się na tym, że spotykali się, by odpocząć we wzajemnym uścisku, jak para dziadków, i jak starzy przyjaciele rozmawiać o codziennych kłopotach i poważnych sprawach wstrząsających państwem. Pewnego dnia Pedro Trzeci obliczył, że nie kochali się od miesiąca i że, co gorsza, żadne nie ma na to ochoty. Wstrząsnęło to nim. W jego wieku nie było powodów, by cierpiał na uwiąd starczy, toteż przyczyny dopatrzył się w swoim stylu życia i starokawalerskich nawykach, których nabył. Zakładał, że jeśli będzie wiódł z Blanką normalne życie, to znaczy jeśli ona będzie czekała na niego codziennie w zaciszu domowym, sprawy ułożą się inaczej. Zażądał, żeby wreszcie wyszła za niego, gdyż ma dość przelotnych amorów i jest w wieku, w którym nie nadaje się do tego. Blanca udzieliła mu tej samej odpowiedzi co zawsze.

- Muszę się zastanowić, kochany.

Była naga; siedziała na wąskim łóżku Pedra Trzeciego. Przyglądał się jej bezlitośnie i widział, że czas robi swoje: była grubsza i smutniejsza niż dawniej, miała dłonie

zniekształcone przez reumatyzm, a cudowny biust, który kiedyś odbierał mu sen, zamieniał się w obfitą pierś matrony od dawna już mającej za sobą pełnię dojrzałości. Lecz była w jego oczach tak piękna jak w młodości, gdy kochali się wśród trzcin nad rzeką w Las Tres Marias, i dlatego właśnie żałował, że zmęczenie jest silniejsze od namiętności.

- Zastanawiasz się już prawie pół wieku. To wystarczy. Teraz albo nigdy - oświadczył.

Na Blance nie zrobiło to wrażenia, ponieważ nie po raz pierwszy nalegał, by podjęła decyzję. Ilekroć zrywał z kolejną młodą kochanką i wracał do niej, żądał małżeństwa, starając się rozpaczliwie ocalić ich miłość i uzyskać przebaczenie. Gdy zgodził się przenieść z osiedla robotniczego, gdzie przez kilka lat był szczęśliwy, do apartamentu klasy średniej, powiedział jej to samo.

- Albo wyjdziesz zaraz za mnie, albo nie zobaczymy się więcej.

Blanca nie zrozumiała, że tym razem determinacja Pedra Trzeciego jest nieodwołalna.

Rozstali się pogniewani. Ona ubrała się, zebrawszy pospiesznie odzież rozrzuconą po podłodze, i upięła włosy na karku paroma szpilkami, które mimo nieładu udało się jej odnaleźć na łóżku. Pedro Trzeci zapalił papierosa i nie odrywał od niej wzroku, gdy się ubierała. Blanca założyła buty, wzięła torebkę i stojąc w drzwiach wykonała pożegnalny gest. Była pewna, że Pedro Trzeci zadzwoni nazajutrz i jak zwykle złoży spektakularną propozycję pojednania. Lecz on odwrócił się do ściany. Gorzki grymas zamienił jego usta w zaciśniętą linię. Mieli nie widzieć się przez dwa lata.

W ciągu następnych dni Blanca oczekiwała, że powtórzy się ten sam od wielu lat schemat. Nigdy się nie zawiodła - nawet wtedy, gdy wyszła za mąż i rozłąka trwała rok. Wtedy też ją odnalazł. Lecz gdy na trzeci dzień nadal nie miała od niego wiadomości, zaczęła się niepokoić. Wierciła się w łóżku, dręczona bezsennością podwoiła dawkę środków nasennych, znów zaczęła szukać schronienia w migrenach i nerwobólach, zaszyła się w pracowni, wkładając do pieca i wyjmując setki potworków do szopek, tak żeby mieć zajęcie i nie myśleć, lecz nie mogła stłumić niecierpliwości. W końcu zadzwoniła do ministerstwa. Kobiecy głos odpowiedział, że towarzysz Garcia jest na zebraniu i nie można mu przerywać. Następnego dnia zadzwoniła ponownie i czyniła to do końca tygodnia, aż przekonała się, że w ten sposób nic nie osiągnie. Uczyniła wysiłek, by pokonać monumentalną dumę, którą odziedziczyła po ojcu, założyła najlepszą sukienkę i godny dziwki pasek do pończoch, i poszła do niego do domu. Klucz, który miała, nie pasował do zamka i musiała zadzwonić. Drzwi otworzył potężny, wąsaty mężczyzna o oczach pensjonarki.

- Towarzysza Garcii nie ma - rzekł nie zapraszając jej do środka.

Wtedy zrozumiała, że go utraciła. Miała przelotną wizję swojej przyszłości - ujrzała się na bezkresnym pustkowiu, gdzie zużywała energię w bezsensownych zajęciach dla zabicia czasu, bez tego jedynego mężczyzny, którego kochała przez całe życie, i z daleka od ramion, w których sypiała od niepamiętnych czasów wczesnego

dzieciństwa. Usiadła na schodach i się rozpłakała. Wąsaty mężczyzna zamknął bezszelestnie drzwi.

Nikomu nie powiedziała, co się stało. Alba zapytała o Pedra Trzeciego, a ona odpowiedziała jej wymijająco, że na posadzie rządowej jest bardzo zajęty. W dalszym ciągu prowadziła lekcje dla próżnujących panienek i dzieci-mongoloidów, a ponadto zaczęła prowadzić kursy ceramiki w dzielnicach peryferyjnych, gdzie kobiety utworzyły swoje organizacje, chciały przyuczyć się do różnych zawodów i po raz pierwszy uczestniczyć w życiu politycznym i społecznym kraju. Organizacja była konieczna, gdyż „droga do socjalizmu" bardzo szybko zamieniła się w pole walki. Podczas gdy lud świętował zwycięstwo, zapuszczając włosy i brody, mówiąc do siebie towarzyszu, rewindykując zapomniany folklor i rzemiosła ludowe oraz sprawując władzę, którą właśnie zdobył, poprzez ciągnące się w nieskończoność i bezcelowe zebrania pracowników, na których wszyscy mówili naraz i nigdy nie dochodzili do porozumienia, prawica podejmowała rozmaite działania strategiczne, które miały na celu rozwalenie gospodarki i dyskredytację rządu. Miała w swoich rękach najpotężniejsze środki masowego przekazu oraz mogła liczyć na niemal nieograniczone zasoby materialne i pomoc gringos, którzy utworzyli tajny fundusz dla finansowania planu sabotażu. Już po paru miesiącach można było ocenić skutki. Lud miał po raz pierwszy dość pieniędzy, by zaspokoić swoje podstawowe potrzeby i nabyć coś z tego, co zawsze pragnął mieć, lecz nie mógł tego uczynić, gdyż sklepy były niemal zupełnie puste. Zaczął się kryzys w dziedzinie zaopatrzenia, który stał się zbiorowym koszmarem. Kobiety wstawały o świcie i ustawiały się w długich kolejkach, by kupić marnego kurczaka, pół tuzina pieluch lub papier toaletowy. Pasta do butów, igły i kawa stały się artykułami luksusowymi, które dawano sobie w prezencie urodzinowym, zawinięte w ozdobny papier. Zrodziła się udręka niedostatku, kraj zalewały fale sprzecznych pogłosek, które alarmowały ludność, że wkrótce zabraknie takich czy innych produktów, i ludzie kupowali, co się dało, bez umiaru, by zabezpieczyć się na przyszłość. Stawali w kolejkach nie wiedząc po co, byleby tylko nie stracić okazji zakupu czegoś, nawet gdy nie było to im potrzebne. Pojawili się zawodowi „stacze", którzy za rozsądną sumę zajmowali miejsce w kolejce dla innych, sprzedawcy smakołyków, którzy korzystali z zamieszania i upychali swój towar, i ludzie pożyczający derki stojącym w nocnych kolejkach. Rozwinął się czarny rynek. Policja usiłowała mu przeciwdziałać, lecz plenił się jak zaraza, wciskał wszędzie i na niewiele zdało się rewidowanie samochodów i zatrzymywanie osób dźwigających podejrzane walizy. Nawet dzieci handlowały na szkolnych dziedzińcach. Szał wykupywania produktów spowodował takie zamieszanie, że ci, którzy nigdy nie palili, płacili każdą cenę za paczkę papierosów, a ci, którzy nie mieli dzieci, bili się o pożywki dla niemowląt. Znikły części zamienne do kuchenek, maszyn przemysłowych, samochodów. Reglamentowano benzynę, i sznury samochodów stały nieraz przez dwa dni i noc blokując miasto jak gigantyczny, znieruchomiały wąż boa wygrzewający się na słońcu. Urzędnicy nie mieli czasu, by stać w tych kolejkach, i przemieszczali się pieszo lub na rowerach. Ulice wypełniły się zdyszanymi rowerzystami i wyglądało to jak szaleństwo Holendrów. Taka była sytuacja, gdy zastrajkowali kierowcy ciężarówek. W drugim tygodniu strajku stało się oczywiste, że nie jest to protest pracowniczy, lecz akcja polityczna, i że nie mają oni zamiaru wracać do pracy. Problem chciało rozwiązać wojsko, ale warzywa gniły na polach, a na targach nie było co sprzedać gospodyniom domowym; okazało się, że kierowcy ciężarówek wypatroszyli silniki i nie można uruchomić tysięcy pojazdów, które okupowały autostrady jak skamieniałe skorupy.

Prezydent wystąpił w telewizji prosząc o cierpliwość. Poinformował społeczeństwo, że kierowcy ciężarówek są opłacani przez imperializm i że będą strajkować w nieskończoność, więc będzie lepiej, jeśli każdy zacznie hodować warzywa na podwórkach i balkonach, przynajmniej do czasu, gdy znajdzie się inne wyjście. Lud, który był przyzwyczajony do ubóstwa i jadł kurczaki tylko na święta narodowe i Boże Narodzenie, nie tracił dobrego samopoczucia z pierwszego dnia - przeciwnie, organizował się jak na wojnę i był zdecydowany nie dopuścić, żeby sabotaż gospodarczy zatruł mu poczucie zwycięstwa. Świętował radośnie i śpiewał na ulicach, że naród zjednoczony nigdy nie będzie zwyciężony, choć pobrzmiewała w tym coraz większa dysharmonia, gdyż nieubłaganie szerzyły się podziały i nienawiść.

Życie senatora Trueby, podobnie jak innych, też uległo zmianie. Zapał do walki, którą podjął, przywrócił mu dawne siły i ulżył nieco bólowi biednych kości. Pracował jak za najlepszych czasów. Odbywał liczne podróże konspiracyjne za granicę i niestrudzenie objeżdżał prowincję z północy na południe samolotami, samochodami i pociągami, w których skończyły się przywileje pierwszej klasy. Wytrzymywał mordercze kolacje, które w każdym mieście, miasteczku i wiosce wydawali jego zwolennicy, i udawał, że ma apetyt jak więzień, choć wnętrzności starca nie nadawały się już do takich wyczynów. Czas spędzał na tajnych naradach. Początkowo szerokie swobody demokratyczne nie pozwalały mu wykazać się w pełni talentem w dziedzinie zastawiania pułapek na rząd, ale wkrótce porzucił myśl o nękaniu wroga zgodnie z prawem i przyjął do wiadomości fakt, że jedynym sposobem na obalenie rządu jest sięgnięcie po środki zakazane. Jako pierwszy odważył się oświadczyć publicznie, że natarcie marksizmu może powstrzymać jedynie wojskowy zamach stanu, ponieważ lud nie zrezygnuje z władzy, której pożądał przez pół wieku, tylko dlatego, że brakuje kurczaków.

- Przestańcie zachowywać się jak pedały i chwyćcie za broń! - mówił, słysząc o sabotażu.

Jego idee nie były dla nikogo tajemnicą, rozgłaszał je wszem i wobec i nie poprzestawał na tym, lecz od czasu do czasu obrzucał kadetów Szkoły Wojskowej kukurydzą i krzyczał, że są jak kury. Musiał postarać się o paru ochroniarzy, którzy strzegli go przed własnymi ekscesami. Często zapominał, że sam ich wynajął, i czując się szpiegowany miał napady złego humoru, wyzywał ich, wygrażał laską i z reguły kończyło się to przyspieszonym biciem serca. Był pewien, że gdyby ktoś miał zamiar go zamordować, ci dwaj krzepcy durnie nie byliby w stanie temu zapobiec, ale ufał, że ich obecność może przynajmniej odstraszyć samorzutnych zuchwalców. Usiłował też zapewnić ochronę wnuczce, ponieważ uważał, że obraca się ona w jaskini komunistów, gdzie w każdej chwili ktoś może okazać jej brak szacunku z powodu pokrewieństwa z nim, ale Alba nie chciała o tym słyszeć. „Płatny zbir to jak wyznanie winy. Ja nie mam czego się obawiać”, argumentowała. Nie odważył się upierać, ponieważ był już znużony kłótniami ze wszystkimi członkami rodziny, a poza tym wnuczka była jedyną osobą na świecie, z którą łączyło go wzajemne uczucie i dzięki której się śmiał.

Tymczasem Blanca zorganizowała sieć zaopatrzenia za pośrednictwem czarnego rynku i koneksji w osiedlach robotniczych, w których uczyła kobiety ceramiki. Przeżywała wiele utrapień mozolnie starając się ukryć worek cukru lub skrzynkę mydła. Rozwinęła w sobie przebiegłość, o którą się nie podejrzewała, magazynując w jednym z pustych pokoi najrozmaitsze produkty, nieraz zupełnie zbędne, jak choćby

dwie beczki sosu sojowego, które kupiła u jakichś Chińczyków. Zabiła deskami okno pokoju, założyła kłódkę i na pasku nosiła klucze, z którymi nie rozstawała się nawet podczas kąpieli, gdyż nikomu nie ufała, nawet Jaime i własnej córce. Nie brakowało jej powodów. „Wyglądasz jak strażnik więzienny", mówiła Alba zaalarmowana matczyną manią przewidywania przyszłości kosztem zatruwania atmosfery dnia dzisiejszego. Alba uważała, że jeśli nie ma mięsa, to trzeba jeść ziemniaki, a jeśli nie ma butów, to trzeba chodzić w espadrylach, ale Blanca, przerażona prostotą poglądów córki, wyznawała teorię, że bez względu na okoliczności należy utrzymać poziom, i uzasadniała tym fakt, że traci czas na wybiegi godne przemytnika. W rzeczywistości nigdy nie żyło im się lepiej od śmierci Clary, ponieważ po raz pierwszy ktoś troszczył się o organizację życia domowego i decydował, co ma trafić do garnka. Z Las Tres Marias nadchodziły regularnie skrzynie z żywnością, które Blanca ukrywała. Za pierwszym razem prawie wszystko zgniło i smród rozszedł się z zamkniętych pokoi po całym domu, a następnie po całej dzielnicy. Jaime zasugerował siostrze, żeby rozdała, wymieniła lub sprzedała łatwo psujące się produkty, ale Blanca odmówiła dzielenia się z kimkolwiek swoimi skarbami. Alba zrozumiała wówczas, że matka, która dotychczas zdawała się być jedyną zrównoważoną osobą w rodzinie, też ma swoje szaleństwa. Zrobiła dziurę w ścianie spiżarni i opróżniała ją w takim samym tempie, w jakim Blanca wypełniała. Nauczyła się robić to tak, żeby nie zostawiać śladów - wykradała cukier, ryż i mąkę filiżankami, kruszyła sery i rozsypywała suszone owoce w taki sposób, żeby wyglądało to na dzieło myszy, toteż Blanca zaczęła coś podejrzewać dopiero po czterech miesiącach. Wtedy spisała wszystko, co miała w magazynie, i zaznaczała krzyżykiem to, co pobierała na użytek domowy, przekonana, że w ten sposób wykryje złodzieja. Lecz Alba korzystała z najmniejszej nieuwagi matki i stawiała krzyżyki na liście, i w rezultacie Blanca nie wiedziała, czy ona myli się w swojej księgowości, czy rodzina spożywa trzy razy więcej, niżby to wynikało z jej kalkulacji, czy też może w tym przeklętym domu nadal pokutują duchy.

Owoce kradzieży popełnianych przez Albę trafiały do rąk Miguela, który rozdawał je w osiedlach robotniczych i fabrykach wraz ze swoimi rewolucyjnymi broszurami, w których nawoływano do walki zbrojnej w celu obalenia oligarchii. Nikt jednak nie zwracał na nie uwagi. Ludzie byli przekonani, że jeśli doszli do władzy na drodze legalnej i demokratycznej, to nikt nie może im jej odebrać, przynajmniej do najbliższych wyborów prezydenckich.

- Co za durnie, nie zdają sobie sprawy, że prawica się zbroi! - mówił Albie Miguel.

Alba wierzyła mu. Widziała, jak w środku nocy na patio jej domu wyładowywano wielkie drewniane skrzynie, po czym potajemnie, na rozkaz Trueby, składowano w pustych pokojach. Dziadek, podobnie jak uczyniła to matka, pozakładał kłódki na drzwiach i nosił klucze na szyi, w tym samym zamszowym woreczku, w którym przechowywał sztuczną szczękę Clary. Alba opowiedziała o tym wujowi Jaime, który po zawieszeniu broni z ojcem wrócił do domu. „Jestem prawie pewna, że to karabiny", dodała. Jaime, który w tym czasie i aż do chwili, gdy go zabito, żył na księżycu, nie uwierzył siostrzenicy, lecz tak się upierała, że zgodził się porozmawiać z ojcem przy kolacji. Odpowiedź starego rozwiała wątpliwości.

- W moim domu mogę robić, co mi się podoba, i sprowadzać tyle skrzyń, ile zechcę! Nie wtykajcie nosa w nie swoje sprawy! - ryknął senator Trueba, uderzył pięścią w stół z taką siłą, że zatańczyły kryształy, i przeciął rozmowę.

Tej nocy Alba udała się do tunelu z książek i zaproponowała wujowi, by z bronią dziadka postąpić tak samo, jak ona postępuje z matczynym prowiantem. Tak też uczynili. Przez resztę nocy wybijali dziurę w ścianie pokoju przylegającego do arsenału, po czym zastawili ją z jednej strony szafą, a z drugiej tajemniczymi skrzyniami. Przedostali się z młotkiem i obcęgami do pokoju zamkniętego przez dziadka. Alba, która miała już doświadczenie w tej dziedzinie, postanowiła otworzyć skrzynie stojące na spodzie. Znaleźli broń palną, na której widok rozdziawili gęby, gdyż nie mieli pojęcia o istnieniu tak doskonałych narzędzi mordu. W ciągu następnych dni wykradli, co mogli, opróżniając skrzynie na spodzie i wypełniając je kamieniami, aby nie były za lekkie, gdy ktoś je podniesie. Zabrali pistolety, pistolety maszynowe, karabiny i granaty ręczne i ukryli w tunelu Jaime, dopóki Albie nie udało się powynosić ich w futerale wiolonczeli w bezpieczne miejsce. Senator Trueba widział, jak wnuczka mocuje się z ciężkim futerałem, ale nie podejrzewał, że w obitym suknem wnętrzu przewala się amunicja, którą z takim trudem przeszmuglował przez granicę i ukrył w domu. Alba miała pomysł, żeby zarekwirowaną broń przekazać Miguelowi, lecz wuj Jaime przekonał ją, że Miguel jest nie mniejszym terrorystą od dziadka i że lepiej będzie ukryć ją tak, by nikomu nie wyrządziła krzywdy. Rozważali różne możliwości - a to żeby wrzucić ją do rzeki, a to spalić na stosie - ale ostatecznie doszli do wniosku, że rzeczą bardziej praktyczną będzie powkładanie broni do plastykowych worków i zakopanie w bezpiecznym a tajemnym miejscu, na wypadek gdyby miała kiedyś przydać się jakiejś słusznej sprawie. Senatora Truebę dziwiło, że syn i wnuczka planują wycieczkę w góry, gdyż ani Jaime, ani Alba nie uprawiali żadnego sportu, od chwili gdy opuścili szkołę angielską, i nigdy nie objawiali skłonności do niewygód andynizmu. Pewnego sobotniego ranka wyjechali wypożyczonym jeepem zabierając ze sobą namiot, koszyk z prowiantem i tajemniczą walizę, którą musieli nieść razem, gdyż ważyła tyle co ludzkie zwłoki. Wewnątrz znajdowała się broń wykradziona dziadkowi. Pełni zapału pojechali w góry, najpierw drogą, a gdy się skończyła - na przełaj, i w końcu, wśród roślinności umęczonej wiatrem i zimnem, znaleźli zaciszne miejsce. Wyładowali tam manatki i niewprawnie rozbili namiot, wykopali doły i zakopali worki, oznaczając każde miejsce kupką kamieni. Resztę weekendu spędzili na łowieniu pstrągów i pieczeniu ich na ognisku z gałęzi głogu, skautowskim chodzeniu po wzgórzach i opowiadaniu sobie o przeszłości. Wieczorem zagrzali czerwone wino z cynamonem i cukrem i okryci szalami wznieśli toast za minę, jaką będzie miał dziadek, gdy uświadomi sobie, że go okradziono. Śmiali się przy tym do łez.

- Gdybyś nie był moim wujem, wyszłabym za ciebie! - zażartowała Alba.

- A Miguel?

- Byłby moim kochankiem.

Wujowi nie wydało się to zabawne i do końca wycieczki był ponury. Tej nocy położyli się w swoich śpiworach, zgasili parafinową lampę i zamilkli. Alba szybko usnęła, natomiast Jaime do świtu leżał w ciemności z otwartymi oczyma. Lubił mówić, że Alba jest dla niego jak córka, ale tej nocy uświadomił sobie rzecz zaskakującą: wcale nie chciał być jej ojcem ani wujem, lecz Miguelem. Myślał o Amandzie i żałował, że nie może go już ona niczym poruszyć, szukał w pamięci żaru niepohamowanej namiętności, którą ongiś czuł do niej, lecz nie odnalazł. Stał się samotnikiem. Początkowo Amanda była mu bardzo bliska, ponieważ podjął się jej leczenia i widywał niemal codziennie. Była przez kilka tygodni w stanie agonii, ale w końcu

mogła obyć się bez narkotyków. Porzuciła też palenie i picie; zaczęła dbać o zdrowie i wieść uporządkowane życie, przybrała trochę na wadze, ścięła włosy i ponownie malowała swoje wielkie ciemne oczy i obwieszała się dźwięczącymi naszyjnikami i bransoletkami, pragnąc w patetyczny sposób stać się znów taką, jaka była kiedyś we własnych oczach. Była zakochana. Z depresji przeszła w stan permanentnej euforii, a Jaime stał się jej główną obsesją. Ogromną wolę, jaką okazała uwalniając się od licznych nałogów, oferowała mu jako dowód miłości. Jaime nie zachęcał jej do tego, ale też nie miał odwagi odrzucić jej uczucia, gdyż uważał, że złuda miłości może pomóc w powrocie do zdrowia; wiedział jednak, że jest już dla nich za późno. Gdy tylko mógł, starał się utrzymać dystans pod pretekstem, że jest starym kawalerem straconym dla sprawy miłości. Do zaspokojenia najbardziej palących potrzeb wystarczały mu przelotne randki z uczynnymi pielęgniarkami ze szpitala lub - w rzadkich chwilach wolnych od pracy - smutne wizyty w burdelu. Wbrew własnej woli uwikłał się w stosunki z Amandą, której w młodości pożądał rozpaczliwie, ale która teraz nie budziła już w nim tkliwości; nie potrafiłby też jej utrzymać. Wzbudzała w nim jedynie współczucie, ale była to jedna z najsilniejszych emocji, do których był zdolny. Mimo długotrwałego obcowania z nędzą i bólem nie stwardniało mu serce, lecz przeciwnie - był coraz bardziej skłonny do miłosierdzia. W dniu, w którym Amanda zarzuciła mu ręce na szyję i powiedziała, że go kocha, objął ją machinalnie i pocałował z udaną namiętnością, by nie odczuła, że jej nie pożąda. Tak wpadł w pułapkę niszczycielskiego związku w wieku, w którym uważał się za niezdolnego do burzliwych miłości. „Nie nadaję się do tego”, myślał po wyczerpujących sesjach, podczas których Amanda, by go oczarować, sięgała po wyszukane przejawy miłości, które na oboje miały destrukcyjny wpływ.

Stosunki z Amandą i nalegania Alby sprawiły, że często widywał się z Miguelem. Przy wielu okazjach nie mógł go uniknąć. Czynił, co było w jego mocy, by pozostać obojętnym, lecz w końcu Miguel go urzekł. Wydoroślał i nie był już egzaltowanym młodzieńcem, ale ani na jotę nie odstąpił od swoich poglądów politycznych i nadal uważał, że prawicy nie da się pokonać bez gwałtownej rewolucji. Jaime nie zgadzał się z nim, lecz cenił go i podziwiał za odwagę. Uważał jednak Miguela za jednego z ludzi fatalnych, ogarniętych niebezpiecznym idealizmem zwolenników nieprzejednanej czystości, którzy wszystko, czego się dotkną, naznaczają piętnem nieszczęścia - zwłaszcza kobiety, które ku swej zgubie zdołały ich pokochać. Nie podobała mu się również jego postawa ideologiczna, gdyż był przekonany, że tacy ekstremiści lewicowi jak Miguel wyrządzają Prezydentowi więcej szkód niż prawicowi. Lecz wszystko to nie przeszkadzało mu żywić sympatii do Miguela i chylić czoła przed siłą jego przekonań, naturalnością i radosnym usposobieniem, skłonnością do czułości i szlachetnością, sprawiającą, że gotów był oddać życie za ideały, które Jaime podzielał, ale których nie miał odwagi konsekwentnie realizować.

Tej nocy usnął strapiony i niespokojny w niewygodnym śpiworze, czując oddech śpiącej tuż obok siostrzenicy. Gdy się obudził, była już na nogach i grzała kawę na śniadanie. Wiał chłodny wiatr i słońce oświetlało szczyty gór złocistym odblaskiem. Alba zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała, ale on trzymał ręce w kieszeni i nie odwdzięczył się pieszczotą. Był speszony.

Majątek Las Tres Marias był na południu kraju jednym z ostatnich, które wywłaszczono w ramach reformy rolnej. Ci sami chłopi, którzy urodzili się na tej ziemi i uprawiali ją od pokoleń, utworzyli spółdzielnię i zawładnęli posiadłością, ponieważ od trzech lat i pięciu miesięcy nie widzieli właściciela i zapomnieli o jego szalonych

jak huragan atakach gniewu. Zarządca, przestraszony obrotem spraw i podnieceniem panującym na zebraniach parobków, które odbywały się na terenie szkoły, spakował manatki i uciekł nie żegnając się z nikim ani nie powiadamiając senatora Trueby, gdyż nie chciał narazić się na jego wściekłość i uważał, że zrobił, co do niego należało, ostrzegając go wielokrotnie. Po jego wyjeździe gospodarka w Las Tres Marias dryfowała. Nie było nikogo, kto wydałby polecenia, jak i nikogo, kto byłby gotów je wykonać, ponieważ chłopi po raz pierwszy zasmakowali wolności i cieszyli się, że sami są dla siebie panami. Pola podzielili równo i każdy uprawiał na nich, co chciał, dopóki rząd nie przysłał agronoma, który dał im na kredyt ziarno, wyjaśnił, jak kształtuje się popyt, oraz poinformował o trudnościach z transportem produktów i korzyściach płynących z nawozów sztucznych i środków owadobójczych. Chłopi nie zwracali zbytnio uwagi na to, co mówił agronom, gdyż wyglądał na miejskiego wymoczka i było oczywiste, że nigdy nie chodził za pługiem, ale mimo wszystko uświetnili jego wizytę, otwierając święte piwnice dziedzica, szabrując stare wina i zarzynając rozpłodowe byki, by najeść się jąder z cebulą i kolendra. Po wyjeździe agronoma zjedli też importowane krowy i kury nioski. Esteban Trueba dowiedział się o utracie ziemi, gdy zawiadomiono go, że otrzyma odszkodowanie w bonach państwowych, których realizacja będzie trwała trzydzieści lat, i że posiadłość wyceniono tak, jak on sam to uczynił w deklaracji podatkowej. Stracił panowanie nad sobą. Zabrał z arsenału pistolet maszynowy, którym nie umiał się posługiwać, i nakazał osobistemu kierowcy zawieźć się prosto do Las Tres Marias nie informując o tym nikogo, nawet swoich ochroniarzy. Podróżował przez kilka godzin zaślepiony złością i bez żadnego planu w głowie.

Gdy dojechali, musieli ostro zahamować, ponieważ brama była zamknięta na wielki rygiel. Jeden z parobków stał na warcie uzbrojony w dzidę i fuzję myśliwską bez naboi. Trueba wysiadł z samochodu. Na widok dziedzica biedak uwiesił się rozpaczliwie szkolnego dzwonu, który zainstalowano obok, by w razie czego można było wszcząć alarm, po czym zaraz upadł twarzą do ziemi. Seria z broni maszynowej przeszła mu nad głową i kule utkwiły w pobliskich drzewach. Trueba nie zatrzymał się, by sprawdzić, czy parobek poniósł śmierć. Z nieoczekiwaną w jego wieku chyżością ruszył drogą prowadzącą do majątku, nie rozglądając się na boki, toteż cios w kark, który otrzymał, zaskoczył go zupełnie i padł twarzą w piach, nim zdążył sobie uświadomić, co się stało. Odzyskał przytomność w jadalni we dworze, gdzie leżał na stole ze związanymi rękami i poduszką pod głową. Jakaś kobieta kładła mu zimny kompres na czole, a wokół stali prawie wszyscy parobcy przyglądając mu się z ciekawością.

- Jak się czujecie, towarzyszu? - zapytali.

- Skurwysyny! Nie jestem niczyim towarzyszem! - wrzasnął stary, usiłując wstać.

Tak się szarpał i krzyczał, że rozwiązali go i pomogli się podnieść, ale gdy chciał wyjść, okazało się, że okna są pozabijane deskami z zewnątrz, a drzwi zamknięte na klucz. Starali się mu wyjaśnić, że czasy się zmieniły i nie jest już dziedzicem, ale nikogo nie chciał słuchać. Z ust płynęła mu piana, a serce w piersi omal nie pękło. Złorzeczył jak szaleniec i groził tak mściwymi karami, że w końcu chłopi zaczęli się śmiać. Wreszcie znudzeni zostawili go samego w jadalni, którą zamknęli na klucz. Esteban Trueba zwalił się na krzesło, wyczerpany strasznym wysiłkiem. W parę godzin później dowiedział się, że jest zakładnikiem i ma go sfilmować telewizja. Do Las Tres Marias zjechali dwaj ochroniarze, zawiadomieni przez kierowcę, wraz z

kilku podekscytowanymi młodzieńcami z partii konserwatywnej, wszyscy uzbrojeni w kije, bicze i łańcuchy, z zamiarem odbicia go, lecz natknęli się przy bramie na wzmocnioną straż, mierzącą do nich z tego samego pistoletu maszynowego, którego bezwiednie dostarczył Trueba.

- Towarzysza zakładnika nikt stąd nie zabierze - powiedzieli chłopi i aby podkreślić powagę swoich słów, przepędzili tamtych strzelając w powietrze.

Pojawiła się telewizyjna furgonetka w celu sfilmowania incydentu i parobcy, którzy nigdy nie widzieli czegoś podobnego, wpuścili ekipę, po czym uśmiechając się szeroko pozowali do kamery otaczając więźnia. Tego wieczora cały kraj mógł obejrzeć na ekranach czołowego przywódcę opozycji - związanego, z pianą na ustach i tak przeklinającego, że musiała w to wkroczyć cenzura. Prezydent też go widział i nie był zachwycony, gdyż obawiał się, żeby sprawa ta nie podpaliła lontu i nie wysadziła w powietrze beczki prochu, na której, z trudem zachowując równowagę, siedział jego rząd. Posłał karabinierów, żeby uwolnili senatora. Gdy ci przyjechali do majątku, chłopi, rozzuchwaleni przez prasę, nie wpuścili ich. Zażądali nakazu sądowego. Sędzia sądu prowincjonalnego widząc, że może zostać zamieszany w drakę i pojawić się na ekranach telewizorów traktowany niegodziwie przez lewicowych reporterów, czym prędzej wyjechał na ryby. Karabinierzy musieli czekać pod bramą Las Tres Marias na nakaz sądowy ze stolicy.

Tak jak wszyscy, Blanca i Alba dowiedziały się o wydarzeniu z dziennika telewizyjnego. Blanca odczekała do następnego dnia, nie czyniąc żadnych komentarzy, ale przekonawszy się, że nawet karabinierzy nie mogą uwolnić ojca, uznała, że czas spotkać się ponownie z Pedrem Trzecim Garcią.

- Zdejmij te brudne spodnie i ubierz się przyzwoicie - rozkazała Albie.

Obie stawiły się w ministerstwie, nie prosząc uprzednio o przyjęcie. Jeden z sekretarzy usiłował zatrzymać je w przedpokoju, ale Blanca odepchnęła go kuksańcem i przeszła zdecydowanym krokiem ciągnąc za sobą Albę. Otworzyła drzwi bez pukania i wtargnęła do gabinetu Pedra Trzeciego, którego nie widziała od dwóch lat. Omal się nie cofnęła, sądząc, że pomyliła gabinety. W ciągu tak krótkiego czasu mężczyzna jej życia schudł i postarzał się, wyglądał na bardzo zmęczonego i smutnego, włosy miał jeszcze czarne, ale rzadsze i krótsze, ściął wspaniałą brodę i był ubrany w szary garnitur urzędnika państwowego i zmięty krawat tego samego koloru. Blanca rozpoznała go jedynie po wyrazie czarnych starczych oczu.

- Jezus Maria! Jakże się zmieniłeś!... - wymamrotała. Natomiast ona wydała się Pedrowi Trzeciemu piękniejsza niż we wspomnieniach, jak gdyby rozstanie ją odmłodziło. Przez ten czas zdążył pożałować swojej decyzji i odkryć, że bez Blanki stracił nawet upodobanie do dziewcząt, które dawniej go pociągały. Zarazem, siedząc za biurkiem, pracując po dwanaście godzin na dobę, z dala od gitary i ludu, który był jego natchnieniem, miał niewiele okazji, by czuć się szczęśliwy. Z biegiem czasu coraz bardziej tęsknił za niosącą spokój i wypoczynek miłością Blanki. Widząc, jak wchodzi ze zdecydowaną miną w towarzystwie Alby, domyślił się, że nie przyszła z pobudek sentymentalnych, lecz w związku ze skandalem wokół senatora Trueby.

- Przyszłam cię prosić, byś nam towarzyszył - powiedziała prosto z mostu. - Twoja córka i ja jedziemy po starego do Las Tres Marias.

Tak oto Alba dowiedziała się, że Pedro Trzeci Garcia jest jej ojcem.

- Zgoda. Tylko wstąpię do domu po gitarę.

Wyjechali z ministerstwa czarnym jak karawan samochodem z urzędową rejestracją. Blanca i Alba zostały w samochodzie, podczas gdy on poszedł do siebie. Gdy wrócił, odzyskał coś ze swojego dawnego czaru. Zamienił szary garnitur na jednoczęściowy kombinezon i poncho, na nogach miał espadryle, a na plecach gitarę. Blanca uśmiechnęła się po raz pierwszy, on zaś pochylił się i pocałował ją szybko w usta. Przez pierwsze sto kilometrów jechali w milczeniu, aż wreszcie Alba pozbierała się i drżącym głosem zapytała, dlaczego nie powiedzieli jej wcześniej, że Pedro Trzeci jest jej ojcem. Mogliby jej w ten sposób oszczędzić tylu koszmarnych snów o ubranym na biało hrabi, zmarłym na febrę na pustyni.

- Lepszy ojciec martwy niż nieobecny - odpowiedziała enigmatycznie Blanca i nie podjęła tematu.

Przyjechali do Las Tres Marias o zmierzchu i pod bramą majątku zastali tłumek ludzi rozmawiających przyjaźnie wokół ogniska, na którym piekł się wieprz. Byli to karabinierzy, dziennikarze i chłopi; opróżniali ostatnie butelki z piwnicy senatora. W świetle ogniska bawiło się parę psów i kilkoro dzieci czekając, aż upiecze się rumiany, lśniący wieprz. Wszyscy rozpoznali natychmiast Pedra Trzeciego Garcię - dziennikarze dlatego, że często przeprowadzali z nim wywiady, karabinierzy dlatego, że miał nieomylny wygląd ludowego wieszcza, a chłopi dlatego, że widzieli, jak rodził się na tej ziemi. Powitali go serdecznie.

- Co was tu sprowadza, towarzyszu? - zapytali chłopi.

- Przyjechałem zobaczyć się ze starym - odparł z uśmiechem Pedro Trzeci.

- Możecie wejść, towarzyszu, ale tylko wy. Dona Blanca i mała Alba zechcą poczęstować się szklaneczką wina.

Obie kobiety przysiadły się do zgromadzonych przy ognisku i delikatny zapach przypiekanego mięsa przypomniał im, że od rana nic nie jadły. Blanca znała wszystkich parobków i wielu z nich nauczyła czytać w szkółce w Las Tres Marias, więc zaczęto wspominać minione czasy, kiedy to prawo w okolicy dyktowali bracia Sanchezowie, stary Pedro Garcia położył kres pladze mrówek, a Prezydent był wiecznym kandydatem, który zatrzymywał się na stacji i wygłaszał do nich przemówienia z pociągu swoich klęsk.

- Kto by pomyślał, że kiedyś zostanie prezydentem! - powiedział jeden z chłopów.

- I że pewnego dnia dziedzic będzie znaczył w Las Tres Marias mniej od nas! - śmiali się pozostali.

Pedra Trzeciego Garcię zaprowadzono do dworu, prosto do kuchni. Siedzieli tam najstarsi parobcy pilnując drzwi jadalni, w której w charakterze więźnia trzymali byłego dziedzica. Nie widzieli Pedra Trzeciego od lat, ale wszyscy go pamiętali. Usiedli wokół stołu, by popijać wino i powspominać odległą przeszłość, kiedy to jeszcze Pedro Trzeci nie był dla ludzi ze wsi postacią legendarną, ale buntowniczym chłopcem zakochanym w córce dziedzica. Potem Pedro Trzeci wziął gitarę, oparł ją o

udo, zamknął oczy i zaczął śpiewać aksamitnym głosem o kurach i lisach, a wszyscy starzy mu wtórowali.

- Zabiorę dziedzica, towarzysze - powiedział cichym głosem Pedro Trzeci, gdy zapadło milczenie.

- Nawet nie marz o tym - odpowiedzieli.

- Jutro przyjdą karabinierzy z nakazem sądowym i wyjdzie jak bohater. Lepiej, żeby wyszedł ze mną z podwiniętą kitą - rzekł Pedro Trzeci.

Dyskutowali dłuższą chwilę, po czym zaprowadzili go do jadalni i zostawili sam na sam z zakładnikiem. Stali oko w oko po raz pierwszy od fatalnego dnia, w którym Trueba siekierą pobrał haracz za dziewictwo córki. Pedro Trzeci pamiętał go jako wściekłego olbrzyma uzbrojonego w bicz z wężowej skóry i srebrną laskę, na którego widok drżeli parobcy i którego grzmiący głos i władcze wielkopańskie maniery wywoływały niepokój w przyrodzie. Zaskoczyło go, że uraza, którą żywił od tak dawna, zwietrzała w jednej chwili na widok tego przygarbionego i zmalałego starca, który patrzył nań przestraszony. Senatorowi Truebie wyczerpały się pokłady gniewu. Przez całą noc, gdy siedział na krześle ze związanymi rękami, bolały go wszystkie kości, a w krzyżu czuł tysiącletnie zmęczenie. Początkowo miał trudności z rozpoznaniem Pedra Trzeciego, gdyż nie widział go ćwierć wieku, ale zauważywszy, że brakuje mu trzech palców u prawej ręki, zrozumiał, że jest to kulminacja koszmaru, w którym był pogrążony. Obserwowali się w milczeniu przez wiele sekund, a każdy myślał, że ten drugi ucieleśnia wszystko, co najbardziej znienawidzone na tym świecie, lecz nie odnaleźli w sercach ognia dawnej nienawiści.

- Przyszedłem po pana - rzekł Pedro Trzeci.

- Dlaczego? - zapytał stary.

- Dlatego, że poprosiła mnie o to Alba - odparł Pedro Trzeci.

- Idźże w cholerę - mruknął bez przekonania Trueba.

- Dobrze, tam właśnie pójdę, ale pan pójdzie ze mną. Pedro Trzeci zaczął rozwiązywać postronki, które założono Truebie na nadgarstkach, by pięściami nie mógł bić w drzwi. Trueba odwrócił oczy od jego okaleczonej dłoni.

- Wyprowadź mnie tak, żeby nikt tego nie widział. Nie chcę, żeby się dowiedzieli dziennikarze - rzekł senator Trueba.

- Wyprowadzę pana tamtędy, którędy pan wszedł, główną bramą - rzekł Pedro Trzeci i ruszył przed siebie.

Trueba szedł za nim ze spuszczoną głową, miał zaczerwienione oczy i po raz pierwszy, odkąd pamiętał, czuł się pokonany. Przeszli przez kuchnię, gdzie stary nie podniósł wzroku, następnie przez cały dom i odbyli drogę z dworu do głównej bramy w towarzystwie grupy niesfornych dzieciaków, które podskakiwały wokół nich, oraz podążającej z tyłu świty złożonej z milczących chłopów. Blanca i Alba siedziały wśród dziennikarzy i karabinierów jedząc palcami pieczoną wieprzowinę i pociągając duże hausty czerwonego wina prosto z butelki, która krążyła z rąk do rąk. Na widok

dziadka Alba wzruszyła się, ponieważ nie widziała go tak przygnębionego od śmierci Clary. Połknęła mięso, które miała w ustach, i wybiegła mu na spotkanie. Uścisnęli się mocno i ona szepnęła mu coś do ucha. Wówczas Esteban Trueba zdołał zapanować nad swoją godnością, wyprostował głowę i uśmiechnął się z dawną wyniosłością w świetle fleszów aparatów fotograficznych. Dziennikarze sfotografowali go, gdy wsiadał do czarnego samochodu z urzędową rejestracją, i opinia publiczna zastanawiała się przez kilka tygodni, co miało znaczyć to błazeństwo, aż w końcu, na skutek innych, o wiele ważniejszych wydarzeń, zatarła się pamięć o incydencie.

Tej nocy Prezydent, który miał zwyczaj oszukiwać bezsenność grając w szachy z Jaime, skomentował sprawę między dwiema partiami, obserwując jednocześnie przyjaciela przebiegłymi oczyma schowanymi za grubymi szkłami w ciemnej oprawie; miał nadzieję, że przyłapie go na jakimś objawie zażenowania, lecz Jaime bez słowa ustawiał figury na szachownicy.

- Stary Trueba ma mocno podwieszone jaja - rzekł Prezydent. - Szkoda, że nie jest po naszej stronie.

- Zaczynacie, towarzyszu prezydencie - odparł Jaime, wskazując szachownicę.

W ciągu następnych miesięcy sytuacja bardzo się pogorszyła; kraj wyglądał tak, jakby toczyła się w nim wojna. Nastroje były bardzo podgrzane, zwłaszcza wśród kobiet z opozycji, które defilowały po ulicach bijąc w rondle na znak protestu przeciwko niedoborom żywności. Jedna połowa ludności starała się obalić rząd, a druga połowa go broniła, nikt zaś nie miał czasu pracować. Alba była zaskoczona, gdy pewnego wieczora ujrzała ciemne i puste ulice śródmieścia. Przez cały tydzień nie wywieziono śmieci, które zalegały stosami i rozgrzebywały je bezpańskie psy. Słupy były obwieszone propagandowymi drukami, rozmytymi przez zimowe deszcze, i wszędzie widniały hasła obu obozów politycznych. Połowę lamp ulicznych potłuczono kamieniami i w budynkach nie paliły się światła; płonęły tylko smętne ogniska podsycane gazetami i deskami, wokół których grzały się grupki ludzi stojących na zmianę na warcie przed ministerstwami, bankami, urzędami, by uniemożliwić bandom skrajnej prawicy wzięcie ich szturmem pod osłoną nocy. Przed jednym z budynków publicznych zatrzymała się furgonetka. Wysiadło z niej kilku młodych ludzi w białych kaskach, z pojemnikami z farbą i pędzlami; pomalowali ściany na jasny kolor, a następnie namalowali wielkie, wielobarwne, kiczowate gołębie, motyle i krwawe kwiaty oraz wypisali cytaty z wierszy Poety i apele o jedność ludu. Była to jedna z brygad młodzieżowych, które wierzyły, że można uratować rewolucję za pomocą fresków patriotycznych z gołąbkami. Alba podeszła i wskazała im napis po drugiej stronie ulicy. Składał się on z jednego tylko, wymalowanego czerwoną farbą i ogromnymi literami, słowa: Dżakarta.

- Co znaczy to słowo, towarzysze? - zapytała.

- Nie wiemy - odpowiedzieli.

Nikt nie wiedział, dlaczego opozycja wypisuje na ścianach to azjatyckie słowo; nikt nie słyszał o stosach zabitych na ulicach owego odległego miasta. Alba wsiadła na rower i pojechała do domu. Odkąd reglamentowano benzynę i trwał strajk komunikacji miejskiej, wyciągała z piwnicy starą zabawkę z dzieciństwa i w ten

sposób poruszała się po mieście. Jadąc myślała o Miguelu i dziwne przeczucie ściskało ją za gardło.

Od dawna nie chodziła na zajęcia i zaczynała mieć nadmiar wolnego czasu. Profesorowie ogłosili bezterminowy strajk, a studenci okupowali budynki uczelni. Miała już dość domowych ćwiczeń na wiolonczeli, toteż gdy nie kochała się z Miguelem, nie spacerowała z Miguelem lub nie dyskutowała z Miguelem, chodziła do szpitala w dzielnicy La Misericordia. Pomagała tam wujowi Jaime i innym nielicznym lekarzom - praktykowali oni wbrew Kolegium Lekarskiemu, które kazało nie pracować, aby w ten sposób sabotować działalność rządu. Zadania, którym należało sprostać w szpitalu, były herkulesowe. Na korytarzach tłoczyli się pacjenci, oczekując całymi dniami jak beczące stado, aby ich zbadano. Pielęgniarze nie mogli dać sobie rady. Jaime zasypiał z lancetem w ręku; był tak zajęty, że często zapominał o jedzeniu. Wychudł i wyglądał na bardzo wycieńczonego. Pracował na osiemnastogodzinnych zmianach i gdy rzucał się na łóżko polowe, nie mógł zasnąć na myśl o tym, że chorzy czekają, że nie ma środków znieczulających, strzykawek, waty, że gdyby nawet pomnożył się przez tysiąc, i tak byłoby go za mało, że wszystko, co czyni, jest tyle warte co próba zatrzymania ręką pociągu. Również Amanda pracowała w szpitalu jako ochotniczka, ponieważ chciała być obok Jaime i mieć zajęcie. W tych dniach znojnej pracy, opieki nad obcymi chorymi ludźmi, odnalazła w sobie światło, które w młodości oświetlało jej wnętrze, i przez pewien czas miała złudzenie, że jest szczęśliwa. Chodziła w niebieskim fartuchu i gumowych pantoflach, ale gdy mijała Jaime, odnosił wrażenie, że jak ongiś dźwięczą paciorki. Czuł, że jest mu bliska, i pragnął ją kochać. Prezydent występował w telewizji prawie co wieczór, oskarżając opozycję o prowadzenie bezlitosnej wojny. Był bardzo zmęczony i często załamywał mu się głos. Mówiono, że jest pijany i spędza noce na orgiach z Mulatkami sprowadzonymi drogą lotniczą z tropików, by grzały mu kości. Informował, że kierowcy ciężarówek otrzymują z zagranicy po pięćdziesiąt dolarów dziennie, by nadal strajkowali i paraliżowali życie kraju. Odpowiadano, że w walizach dyplomatycznych otrzymuje lody kokosowe i radziecką broń. Mówił, że wrogowie spiskują z wojskowymi w celu dokonania zamachu stanu, gdyż wolą, by demokracja raczej sczezła, niż aby on miał rządzić. Oskarżano go, że są to wymysły paranoika i że rabuje z Muzeum Narodowego dzieła sztuki, którymi dekoruje mieszkanie swojej kochanki. Uprzedzał, że prawica jest uzbrojona i gotowa zaprzedać ojczyznę imperializmowi. Replikowano, że spiżarnię ma pełną filetów z kurzych piersi, podczas gdy lud stoi w kolejkach po szyjki i skrzydełka.

W dniu, w którym Luisa Mora zadzwoniła do drzwi wielkiego domu narożnego, senator Trueba siedział w bibliotece nad rachunkami. Była ostatnią z żyjących sióstr Mora; zmalała do rozmiarów wędrującego anioła, ale miała zupełnie jasny umysł i zachowywała ogromną energię duchową. Trueba nie widział jej od śmierci Clary, ale poznał po głosie, który brzmiał jak zaczarowany flet, i po zapachu leśnych fiołków, który zwietrzał z biegiem czasu, lecz nadal dawał się wyczuć na odległość. Wchodząc do pokoju wniosła ze sobą uskrzydloną obecność Clary, która pływała w powietrzu na oczach zakochanego męża - ujrzał ją po raz pierwszy od kilku dni.

- Przyszłam, żeby przepowiedzieć panu nieszczęścia, Estebanie - rzekła Luisa Mora, rozsiadłszy się w fotelu.

- Och, droga Luiso! Tych mi nigdy nie brakowało... - westchnął.

Luisa opowiedziała, co wykryła w układzie planet. Musiała wyłożyć metodę naukową, którą się posłużyła, by przezwyciężyć opory pragmatycznego senatora. Powiedziała, że przestudiowała mapę astrologiczną każdej ważnej osobistości w rządzie i opozycji, w tym również samego Trueby. Z porównania map wynikało, że nadchodzi właśnie chwila historyczna i że nastąpią nieuchronnie wydarzenia znaczone krwią, boleścią i śmiercią.

- Nie mam najmniejszej wątpliwości, Estebanie - powiedziała na koniec - że nadchodzą straszne czasy. Będzie tyle trupów, że nie da się ich zliczyć. Będzie pan po stronie zwycięzców, ale zwycięstwo przyniesie panu jedynie cierpienie i samotność.

Esteban Trueba czuł się niezręcznie w obliczu niezwykłej wróżki, która bredniami astrologicznymi zakłócała spokój biblioteki i pracę wątroby, lecz nie miał odwagi jej pożegnać, a to z uwagi na Clarę, która obserwowała wszystko kątem oka.

- Nie przyszłam jednak po to, by molestować pana wieściami, które wymykają się spod jego kontroli, Estebanie. Przyszłam porozmawiać z pańską wnuczką Albą, ponieważ mam dla niej przesłanie od babki.

Senator przywołał Albę. Miała siedem lat, gdy po raz ostatni widziała Luisę Morę, ale pamiętała ją doskonale. Uściskała ją delikatnie, by nie zgnieść tego kruchego szkieletu z kości słoniowej, i pożądliwie wchłonęła nieomylny zapach.

- Przyszłam powiedzieć, żebyś uważała na siebie, moje dziecko - powiedziała Luisa Mora, gdy już wytarła łzy, które popłynęły jej ze wzruszenia. - Śmierć depcze ci po piętach. Twoja babka Clara chroni cię z zaświatów, ale kazała mi powiedzieć, że duchy opiekuńcze są nieskuteczne w przypadku wielkich kataklizmów. Byłoby dobrze, gdybyś udała się w podróż, wyjechała za morze, gdzie byłabyś bezpieczna.

Senator Trueba, słysząc to, stracił cierpliwość i nabrał pewności, że ma przed sobą starą wariatkę. W dziesięć miesięcy i jedenaście dni później, gdy po godzinie policyjnej Albę zabierano z domu, miał sobie przypomnieć proroctwo Luisy Mory.

TERROR

W dniu wojskowego zamachu stanu słońce wstało promienne - rzecz dość niezwykła, gdy wiosna dopiero pączkuje nieśmiało. Jaime pracował prawie całą noc i o siódmej rano miał za sobą tylko dwie godziny snu. Zbudził go dzwonek telefonu i jakaś sekretarka nieco zaniepokojonym głosem ostatecznie wyrwała go ze snu. Dzwoniono z Pałacu, by poinformować go, że ma jak najszybciej przyjechać do gabinetu towarzysza Prezydenta, nie, towarzysz Prezydent nie jest chory, nie, ona nie wie, o co chodzi, kazano jej zadzwonić do wszystkich lekarzy prezydenckich. Jaime ubrał się jak somnambulik i wziął samochód, zadowolony, że z racji swojego zawodu ma raz w tygodniu prawo do przydziału benzyny, bo gdyby nie to, musiałby udać się do śródmieścia rowerem. Przyjechał do pałacu o ósmej i zdziwił się na widok pustego placu i dużego oddziału żołnierzy u bram siedziby rządu - wszyscy byli w mundurach polowych i hełmach i mieli w rękach broń. Jaime zaparkował na pustym placu nie bacząc na to, że żołnierze dawali mu gestami do zrozumienia, iż ma się nie zatrzymywać. Wysiadł i natychmiast otoczyli go, wycelowując weń broń.

- O co chodzi, towarzysze? Wojna z Chińczykami? - zapytał uśmiechnięty Jaime.

- Proszę odjechać, tu nie można się zatrzymywać! Ruch uliczny jest przerwany! - rzekł rozkazującym tonem oficer.

- Przykro mi, ale otrzymałem wezwanie z kancelarii prezydenckiej - oświadczył Jaime, pokazując dowód tożsamości. - Jestem lekarzem.

Zaprowadzono go do ciężkich drewnianych drzwi Pałacu, przy których służbę wartowniczą pełniła grupa karabinierów. Pozwolono wejść. Wewnątrz budynku wrzało jak na tonącym statku, urzędnicy biegali po schodach jak myszy cierpiące na chorobę morską, a straż osobista Prezydenta barykadowała okna meblami i rozdawała najbliższemu otoczeniu pistolety. Prezydent wyszedł mu na spotkanie. Miał na głowie hełm nie pasujący do eleganckiego garnituru sportowego i włoskich półbutów. Jaime zrozumiał, że dzieje się coś niezwykłego.

- Zbuntowała się marynarka wojenna, doktorze - wyjaśnił krótko. - Nadeszła chwila walki.

Jaime podniósł słuchawkę telefoniczną i zadzwonił do Alby; powiedział jej, żeby nie wychodziła z domu i to samo polecenie przekazała Amandzie. Nigdy więcej z nią nie rozmawiał, gdyż wydarzenia potoczyły się w zawrotnym tempie. W ciągu następnej godziny przybyło kilku ministrów i przywódców partii rządzących i zaczęły się rokowania telefoniczne z buntownikami, podjęte w celu rozpoznania zasięgu buntu i znalezienia pokojowego wyjścia z sytuacji. Lecz o wpół do dziesiątej rano jednostki wojskowe w całym kraju znalazły się pod komendą dowódców, którzy opowiedzieli się po stronie przewrotu. W koszarach zaczęła się czystka skierowana przeciw tym, którzy pozostawali lojalni wobec konstytucji. Komendant główny karabinierów rozkazał straży pałacowej opuścić Pałac, ponieważ policja przyłączyła się właśnie do zamachu stanu.

- Możecie odejść, towarzysze, ale zostawcie broń - powiedział Prezydent.

Karabinierzy byli zmieszani i zawstydzeni, lecz rozkaz komendanta głównego był kategoryczny. Żaden nie odważył się spojrzeć szefowi państwa w oczy. Złożyli broń na dziedzińcu i odeszli gęsiego, ze spuszczonymi głowami. W bramie jeden zawrócił.

- Zostanę z wami, towarzyszu prezydencie - rzekł.

W godzinach przedpołudniowych stało się oczywiste, że dialog do niczego nie doprowadzi, i prawie wszyscy opuścili Pałac. Pozostał tylko Prezydent z najbliższymi przyjaciółmi i strażą osobistą. Kazał swoim córkom opuścić Pałac. Trzeba było wyprowadzić je siłą; nawet z ulicy było słychać, jak wołają do ojca. W budynku przebywało teraz około trzydziestu osób, które zabarykadowały się w salonach na drugim piętrze; wśród nich był Jaime. Zdawało mu się, że jest w samym środku koszmaru. Usiadł w fotelu z czerwonego aksamitu i przyglądał się idiotycznie pistoletowi, który miał w ręku. Nie umiał się nim posługiwać. Odnosił wrażenie, że czas płynie bardzo powoli - zegarek pokazywał, że minęły dopiero trzy godziny tego złego snu. Usłyszał głos prezydenta, który przemawiał przez radio. Było to wystąpienie pożegnalne.

„Zwracam się do tych, którzy będą prześladowani. Chcę im powiedzieć, że nie ustąpię: zapłacę życiem za lojalność wobec ludu. Będę zawsze z wami. Wierzę w ojczyznę i jej przeznaczenie. Inni przezwyciężą trudności tej chwili i prędzej czy później staną otworem przestronne aleje, którymi wolny człowiek pójdzie budować lepsze społeczeństwo. Niech żyje lud! Niech żyją ludzie pracy! To są moje ostatnie słowa. Jestem pewien, że moja ofiara nie pójdzie na marne”.

Niebo zaczęło się chmurzyć. Z daleka słychać było pojedyncze wystrzały. Prezydent rozmawiał właśnie przez telefon z szefem zbuntowanych wojsk, który zaoferował mu samolot wojskowy, by wraz z całą rodziną mógł opuścić kraj. Nie miał jednak zamiaru udać się na wygnanie do jakiegoś dalekiego kraju, gdzie spędziłby resztę życia wegetując wraz z innymi obalonymi prezydentami, którzy opuścili swoje ojczyzny.

- Pomyliliście się co do mnie, zdrajcy. Na tym urzędzie postawił mnie lud i wyjdę stąd tylko martwy - odpowiedział pogodnie.

Natychmiast usłyszeli ryk samolotów i zaczęło się bombardowanie. Jaime, jak wszyscy, rzucił się na podłogę nie mogąc uwierzyć w to, co przeżywa, ponieważ do wczoraj był przekonany, że coś takiego nigdy nie zdarzy się w jego kraju i że nawet wojskowi szanują prawo. Tylko Prezydent stał nadal; podszedł do okna z rusznicą przeciwpancerną i strzelił do czołgów stojących na ulicy. Jaime rzucił się ku niemu i chwycił za łydki chcąc zmusić, żeby się schylił, lecz Prezydent rzucił mu brzydkie słowo i pozostał w pozycji stojącej. W piętnaście minut później płonął cały budynek i nie można było oddychać z powodu wybuchów bomb i dymu. Jaime pełzał między porozbijanymi meblami i kawałkami stropu, które spadały wokół niego jak śmiercionośny deszcz; starał się nieść pomoc rannym, lecz mógł jedynie zaoferować słowa otuchy i zamknąć oczy zabitym. Nastąpiła nagła przerwa w strzelaninie, podczas której Prezydent zebrał niedobitków i powiedział, żeby wyszli, gdyż nie chce męczenników ani zbędnych ofiar, że wszyscy mają rodziny i ważne zadania do wykonania w przyszłości. „Poproszę o przerwanie ognia, żebyście mogli wyjść”, dodał. Nikt jednak się nie ruszył. Niektórzy drżeli, ale wyglądało na to, że wszyscy zachowują poczucie godności. Bombardowanie było krótkotrwałe, lecz Pałac legł w gruzach. O drugiej po południu pożar pochłonął stare salony, jeszcze z czasów kolonialnych; wokół Prezydenta pozostała tylko garstka ludzi. Wojskowi weszli do budynku i zajęli to, co pozostało z parteru. Pośród huku usłyszeli histeryczny głos oficera, który rozkazywał im poddać się i zejść pojedynczo z rękami podniesionymi do góry. Prezydent uścisnął każdemu dłoń. „Zejdę ostatni”, powiedział. Nie ujrzeli go już żywego.

Jaime zszedł wraz z innymi. Na każdym stopniu szerokich kamiennych schodów stali żołnierze. Wydawało się, że oszaleli. Kopali i bili kolbami schodzących, z nową, niedawno odkrytą nienawiścią, która zakwitła w nich w ciągu paru godzin. Niektórzy strzelali nad głowami poddających się ludzi. Jaime otrzymał cios w brzuch, od którego zgiął się wpół, i gdy zdołał się wyprostować, miał oczy pełne łez i spodnie ciepłe od gówna. Bito ich, dopóki nie wyszli na ulicę, tam zaś kazano położyć się na ziemi, deptano po nich, obrzucano wyzwiskami, aż wyczerpały się zasoby przekleństw, które posiada język hiszpański, a wtedy dano znak czołgowi. Jeńcy słyszeli, jak nadjeżdża; asfalt drżał od ciężaru tej gruboskórej, niezwyciężonej bestii.

- Rozstąpić się, rozjedziemy tych skurwysynów czołgiem! - krzyknął pułkownik.

Jaime podniósł wzrok znad ziemi i wydało mu się, że go poznaje, gdyż przypomniał mu chłopca, z którym bawił się w młodości w Las Tres Marias. Czołg, parskając, przejechał w odległości dziesięciu centymetrów od ich głów, wśród gromkiego śmiechu żołnierzy i wycia syren straży pożarnej.

Z daleka słychać było warkot samolotów bojowych. Po dłuższym czasie podzielono jeńców na grupy zgodnie z przypisywanym każdemu rodzajem winy; Jaime zabrano do gmachu Ministerstwa Obrony, które zamieniono w koszary. Nakazano, by szedł skulony, jakby znajdował się w okopie, i przeprowadzono go przez dużą salę pełną nagich mężczyzn powiązanych po dziesięciu, z rękami skrępowanymi na karku i tak pobitych, że niektórzy nie mogli utrzymać się na nogach, a strużki krwi płynęły na marmurową podłogę. Potem wepchnięto go do kotłowni, gdzie ludzie stali twarzami do ściany, pilnowani przez zsiniałego żołnierza, który spacerował, mierząc do nich z pistoletu maszynowego. Jaime spędził tam sporo czasu w bezruchu, na stojąco, trzymając się na nogach jak lunatyk, ciągle nie rozumiejąc, co się dzieje, udręczony krzykami, które było słychać przez ścianę. Zauważył, że żołnierz go obserwuje. Nagle opuścił on lufę i podszedł.

- Niech pan usiądzie i odpocznie, doktorze, ale kiedy powiem, żeby pan wstał, proszę natychmiast to uczynić - powiedział szeptem i podał mu zapalonego papierosa.

- Pan operował moją matkę i uratował jej życie.

Jaime nie palił, ale powoli wciągał nosem dym z papierosa. Jego zegarek był rozbity, lecz ponieważ czuł się bardzo głodny i spragniony, uznał, że musi być już noc. Był tak zmęczony i zażenowany z powodu poplamionych spodni, że nie zastanawiał się, co się z nim stanie. Zaczynał zapadać w drzemkę, gdy podszedł żołnierz.

- Proszę wstać, doktorze - szepnął. - Idą już po pana. Powodzenia!

W chwilę później weszli dwaj mężczyźni, założyli mu kajdanki i zaprowadzili do oficera, który kierował przesłuchaniami więźniów. Jaime widywał go w towarzystwie Prezydenta.

- Wiemy, doktorze, że pan nie ma z tym nic wspólnego - rzekł. - Chcemy tylko, żeby pan wystąpił w telewizji i powiedział, że Prezydent był pijany i popełnił samobójstwo. Potem pozwolę panu wrócić do domu.

- Niech pan sam złoży takie oświadczenie. Nie liczcie na mnie, dranie - odpowiedział Jaime.

Ujęto go pod pachy. Pierwszy cios dostał w brzuch. Potem podniesiono go, rozciągnięto na stole i poczuł, że go rozbierają. Po długim czasie nieprzytomnego wyniesiono z gmachu Ministerstwa Obrony. Zaczynało padać i ożywił go chłód deszczu i powietrza. Odzyskał przytomność, gdy wsadzono go do autobusu wojskowego i położono na tylnym siedzeniu. Przez okno obserwował noc i gdy autobus ruszył, ujrzał puste ulice i budynki obwieszone flagami. Zrozumiał, że wrogowie odnieśli zwycięstwo; pomyślał o Miguelu. Autobus zatrzymał się na dziedzińcu koszar jakiegoś pułku; tam kazano mu wysiąść. Inni więźniowie byli w tak samo złym stanie jak on. Związano im nogi i ręce drutem kolczastym i twarzami do ziemi rzucono na podłogę stajni. Jaime i inni spędzili tam dwa dni bez picia i

jedzenia, gnijąc we własnych ekskrementach, krwi i strachu, po czym wszystkich przewieziono ciężarówką w okolice lotniska. Tam, w szczerym polu, rozstrzelano leżących, gdyż nie mogli utrzymać się na nogach, i zwłoki wysadzono w powietrze dynamitem. Odgłos eksplozji i fetor ludzkich szczątków długo unosiły się nad tym miejscem.

W wielkim domu narożnym senator Trueba otworzył butelkę francuskiego szampana, by uczcić obalenie rządu, który zwalczał tak zaciekle, nie podejrzewając, że w tej samej chwili jego synowi Jaime przypiekają jądra papierosem z importu. Wywiesił na drzwiach flagę i nie wyszedł tańczyć na ulicy, dlatego że kulał i była godzina policyjna, lecz nie brakowało mu na to ochoty, jak o tym obwieścił uradowany córce i wnuczce. Tymczasem Alba wisiała u telefonu i usiłowała uzyskać wieści o losie ludzi, którzy byli jej bliscy: Miguela, Pedra Trzeciego, wuja Jaime, Sebastiana Gomeza i wielu innych.

- Teraz zapłacą! - zawołał senator Trueba, wznosząc kielich.

Alba jednym gwałtownym gestem wyrwała mu go z ręki i rozbiła o ścianę. Blanca, która nigdy nie miała odwagi stawić czoła ojcu, nie starała się ukryć uśmiechu.

- Nie będziemy świętować śmierci Prezydenta ani innych, dziadku! - powiedziała Alba.

W eleganckich domach Dzielnicy Górnej odkorkowano butelki, które od trzech lat na to czekały, i wzniesiono toasty za nowy porządek. Nad osiedlami robotniczymi przez całą noc latały śmigłowce, brzęcząc jak muchy z innego świata.

Bardzo późno, prawie o świcie, zadzwonił telefon i Alba, która nie położyła się, pobiegła podnieść słuchawkę. Doznała ulgi słysząc głos Miguela.

- Nadeszła chwila walki, kochana. Nie szukaj mnie ani na mnie nie czekaj. Kocham cię - powiedział.

- Miguelu! Chcę iść z tobą! - szlochała.

- Nie mów o mnie nikomu, Albo. Nie spotykaj się z przyjaciółmi. Zniszcz notesy, papiery, wszystko, co może mieć związek ze mną. Zawsze będę cię kochał, pamiętaj o tym, kochana - rzekł Miguel i odłożył słuchawkę.

Godzina policyjna obowiązywała przez dwa dni. Dla Alby trwały one wieczność. Radiostacje nadawały bez przerwy hymny wojskowe, a w telewizji pokazywano jedynie ojczyste krajobrazy i filmy rysunkowe. Kilka razy dziennie, z godłem po jednej i flagą po drugiej stronie, pojawiali się na ekranie czterej generałowie tworzący juntę, którzy obwieszczali swoje rozporządzenia; byli to nowi bohaterowie narodowi. Mimo rozkazu strzelania do każdego, kto wytknie z domu nos, senator Trueba przeszedł przez ulicę, by u sąsiada z przeciwka świętować zwycięstwo. Wrzawa świętujących nie zwróciła na siebie uwagi patroli, które krążyły po ulicach, ponieważ w tej dzielnicy nie spodziewano się oporu. Blanca ogłosiła, że ma najgorszą migrenę w życiu, i zamknęła się w swoim pokoju. W nocy Alba usłyszała, że kręci się po kuchni, i przypuszczała, że głód okazał się silniejszy od bólu głowy. Przez dwa dni Alba chodziła po domu zdesperowana, kartkując książki w tunelu Jaime i grzebiąc w szufladach biurka, i niszczyła wszystko, co mogło okazać się niebezpieczne. Miała

wrażenie, że dopuszcza się świętokradztwa, i była pewna, że gdy wuj wróci, wścieknie się i przestanie jej ufać. Zniszczyła też notesy z numerami telefonów przyjaciół, najcenniejsze listy miłosne, a nawet zdjęcia Miguela. Służba, obojętna i znudzona, podczas godziny policyjnej robiła paszteciki; tylko kucharka cały czas płakała i czekała niecierpliwie na chwilę, w której zobaczy męża, gdyż nie mogła się z nim skomunikować.

Gdy na parę godzin zawieszono zakaz wychodzenia z domów, by ludność mogła dokonać zakupów żywności, Blanca stwierdziła z zachwytem, że sklepy są pełne produktów, których brakowało przez trzy lata; wyglądało to tak, jakby pojawiły się na wystawach za sprawą czarów. Ujrzała stosy brojlerów i mogła kupić wszystko, co chciała, choć kosztowało trzy razy więcej, ponieważ zadekretowano uwolnienie cen. Zauważyła, że wiele osób przygląda się kurczakom z ciekawością, jakby nigdy ich nie widziało, ale niewiele z nich kupuje, gdyż ich na to nie stać. W trzy dni później w sklepach w całym mieście śmierdziało zepsute mięso.

Nerwowi żołnierze patrolowali ulice; wielu ludzi, którzy pragnęli obalenia rządu, wiwatowało na ich cześć. Niektórzy żołnierze, rozzuchwaleni aktami przemocy z ostatnich dni, dokonywali aresztowań długowłosych lub brodatych mężczyzn, ponieważ były to w ich oczach nieomylne oznaki buntowniczego ducha, i zatrzymywali na ulicach kobiety w spodniach, które obcinali nożyczkami; uważali, że są odpowiedzialni za zaprowadzenie porządku, moralności i zasad przyzwoitości. Nowe władze twierdziły, że z tymi działaniami nie mają nic wspólnego - nigdy nie wydały rozkazu golenia bród i obcinania spodni i prawdopodobnie robią to komuniści przebrani za żołnierzy, by w oczach obywateli zdyskredytować siły zbrojne; nie ma zakazu noszenia bród przez mężczyzn ani spodni przez kobiety, choć oczywiście władze wolałyby, żeby mężczyźni chodzili ogoleni i krótko ostrzyżeni, a kobiety nosiły spódnice.

Rozeszła się pogłoska, że Prezydent nie żyje, i nikt nie uwierzył w oficjalną wersję tego, co się stało.

Odczekałem, aż sytuacja trochę się znormalizuje. W trzy dni po wystąpieniu wojska pojechałem senackim samochodem do Ministerstwa Obrony, gdyż byłem zdziwiony, że nikt nie przyjechał po mnie i nie zaprosił do udziału w nowym rządzie. Wszyscy wiedzą, że byłem głównym wrogiem marksistów, pierwszym, który przeciwstawił się dyktaturze komunistycznej i miał odwagę powiedzieć publicznie, że tylko wojskowi mogą zapobiec wpadnięciu kraju w szpony lewicy. Poza tym to ja ustanowiłem prawie wszystkie kontakty z naczelnym dowództwem armii, służyłem za łącznika z gringos, na swoje nazwisko i za własne pieniądze zakupywałem broń. W sumie to ja narażałem się najbardziej. W moim wieku władza polityczna zupełnie mnie nie interesuje. Lecz jestem jednym z niewielu, którzy mogliby służyć radą, ponieważ od dawna zajmuję rozmaite stanowiska i wiem lepiej niż ktokolwiek, czego potrzeba temu krajowi. Co bez lojalnych, uczciwych i wysoko kwalifikowanych doradców może zrobić kilku zaimprowizowanych polityków w stopniu pułkownika? Tylko głupstwa. Albo dać się oszukać cwaniakom, którzy korzystają z okazji, by się wzbogacić, jak to faktycznie ma miejsce. Wtedy nikt nie wiedział, że stanie się tak, jak się stało. Myśleliśmy, że interwencja wojska jest posunięciem nieodzownym dla przywrócenia zdrowej demokracji, i dlatego tak ważna wydawała mi się współpraca z władzami.

Gdy przyjechałem do gmachu Ministerstwa Obrony, zaskoczyło mnie, że budynek zamienił się w śmietnik. Na piętrach ordynansi zmywali szmatami podłogi, na niektórych ścianach widać było ślady kul i wszędzie biegali wojskowi skuleni tak, jakby naprawdę znajdowali się na samym środku pola walki lub spodziewali się, że wrogowie spadną na nich z dachów. Musiałem czekać prawie trzy godziny na przyjęcie przez jakiegoś oficera. Początkowo myślałem, że nie poznano mnie w tym zamieszaniu i dlatego jestem traktowany tak mało uprzejmie, ale potem zdałem sobie sprawę, jak naprawdę to wszystko wygląda. Oficer przyjął mnie trzymając nogi na biurku i jedząc ociekającego tłuszczem hamburgera, nie ogolony i w rozpiętym pod szyją mundurze. Nie dał mi czasu, bym zapytał o mego syna Jaime ani pogratulował mu dzielnej akcji żołnierzy, którzy uratowali ojczyznę, tylko zaraz poprosił o kluczyki do samochodu argumentując, że zamknięto Kongres i w związku z tym skończyły się przywileje parlamentarzystów. Aż podskoczyłem z wrażenia. Stało się bowiem dla mnie oczywiste, że nie mają najmniejszego zamiaru otworzyć bram Kongresu, na co wszyscy czekaliśmy. Poprosił

- nie, rozkazał - bym następnego dnia o jedenastej rano przyszedł do katedry na Te Deum, którym ojczyzna podziękuje Bogu za zwycięstwo nad komunizmem.

- Czy to prawda, że Prezydent odebrał sobie życie? - zapytałem.

- Spłynął! - odparł.

- Spłynął? Dokąd?

- Spłynął krwią! - śmiał się.

Wyszedłem na ulicę zdezorientowany; kierowca prowadził mnie pod ramię. Nie wiedziałem, jak wrócić do domu, ponieważ nie jeździły taksówki ani autobusy, a ja nie jestem w wieku, w którym można chodzić pieszo. Na szczęście przejeżdżał jeep z karabinierami i poznali mnie. Łatwo mnie poznać, jak mówi moja wnuczka Alba, gdyż mam nieomylny wygląd starego złego kruka oraz zawsze chodzę w żałobie i ze srebrną laską.

- Proszę wsiąść, panie senatorze - powiedział porucznik. Pomogli nam wdrapać się do samochodu. Karabinierzy wyglądali na zmęczonych i na pewno od paru dni nie spali. Potwierdzili moje przypuszczenie - powiedzieli, że od trzech dni patrolują miasto, trzymając się na nogach dzięki czarnej kawie i tabletkom.

- Czy napotkaliście opór w dzielnicach peryferyjnych lub w kordonach przemysłowych? - zapytałem.

- Bardzo niewielki. Ludzie zachowują spokój - powiedział porucznik. - Mam nadzieję, panie senatorze, że sytuacja szybko się unormuje. Nie podoba nam się ta brudna robota.

- Nie mów tak, człowieku. Gdybyście nie uprzedzili komunistów, oni dokonaliby przewrotu i teraz pan i ja bylibyśmy martwi razem z pięćdziesięcioma tysiącami innych osób. Czy wie pan, że oni planowali ustanowienie dyktatury?

- Tak nam powiedziano. Lecz w osiedlu, w którym mieszkam, aresztowano wielu ludzi. Sąsiedzi patrzą na mnie z lękiem. Moi chłopcy są w takim samym położeniu. Lecz trzeba wykonywać rozkazy. Ojczyzna jest na pierwszym miejscu, prawda?

- Otóż to. Ja też, panie poruczniku, ubolewam nad tym, co się dzieje. Nie było jednak innego wyjścia. Ustrój gnił. Co by się stało z tym krajem, gdybyście nie chwycili za broń?

W głębi duszy wcale nie byłem tego taki pewien. Miałem przeczucie, że sprawy nie układają się tak, jak zaplanowaliśmy, i że sytuacja wymyka się nam z rąk, lecz w owej chwili wyciszyłem moje niepokoje, tłumacząc sobie, że trzy dni to bardzo mało czasu na uporządkowanie kraju i że prawdopodobnie chamowaty oficer, który przyjął mnie w Ministerstwie Obrony, reprezentuje znikomą mniejszość w siłach zbrojnych. Większość była na pewno taka jak ten sumienny porucznik, który zawiózł mnie do domu. Zakładałem, że wkrótce zostanie przywrócony porządek i gdy opadnie napięcie pierwszych dni, nawiążę kontakt z kimś wyżej postawionym w hierarchii wojskowej. Żałowałem, że nie zwróciłem się do generała Hurtado; nie uczyniłem tego z szacunku do niego, a także - przyznaję - z dumy, ponieważ to on powinien był mnie szukać, a nie ja jego.

O śmierci mojego syna Jaime dowiedziałem się dopiero po dwóch tygodniach, gdy minęła euforia zwycięstwa, okazało się bowiem, że wszyscy liczą zabitych i zaginionych. Pewnej niedzieli do domu wstąpił dyskretnie jakiś żołnierz i w kuchni opowiedział Blance to, co widział w Ministerstwie Obrony i co wiedział o ciałach wysadzonych dynamitem w powietrze.

- Doktor del Valle uratował życie mojej matce - powiedział, patrząc w ziemię i trzymając hełm w ręku. - Dlatego przyszedłem powiedzieć, jak go zabito.

Blanca zawołała mnie, żebym usłyszał relację żołnierza, ale nie chciałem mu uwierzyć. Powiedziałem, że musiał się pomylić, że w kotłowni widział nie Jaime, lecz inną osobę, gdyż podczas wystąpienia wojska Jaime nie miał nic do roboty w Pałacu Prezydenckim. Byłem pewien, że w przypadku prześladowań syn uciekł przez zieloną granicę lub poprosił o azyl w jakiejś ambasadzie. Ponadto jego nazwisko nie figurowało na żadnej liście osób poszukiwanych przez władze, toteż doszedłem do wniosku, że Jaime nie ma czego się obawiać.

Musiało minąć wiele czasu, faktycznie kilka miesięcy, bym zrozumiał, że żołnierz mówił prawdę. W delirium samotności czekałem na syna, siedząc w fotelu w bibliotece, ze wzrokiem utkwionym w próg drzwi, wzywając go myślami, tak jak czyniła to Clara. Tak długo wołałem go, że w końcu ujrzałem, ale ukazał mi się pokryty zaschniętą krwią i łachmanami; po zapastowanym parkiecie ciągnął za sobą serpentyny z drutów kolczastych. W ten sposób dowiedziałem się, że zginął tak, jak to opowiedział żołnierz. Dopiero wtedy zacząłem mówić o tyranii. Natomiast moja wnuczka Alba dużo wcześniej dostrzegła pojawienie się dyktatora. Zauważyła, że wyróżnia się wśród generałów i innych wojskowych. Rozpoznała go z miejsca, gdyż po Clarze odziedziczyła intuicję. Jest to człowiek surowy, o prostym wyglądzie, małomówny jak chłop. Wydawał się skromny i niewielu mogło przewidzieć, że pewnego dnia pojawi się w cesarskim płaszczu i będzie wznosił do góry ramiona, by uciszyć tłumy ludzi zwiezionych ciężarówkami i wiwatujących na jego cześć, podczas gdy błazeńskie wąsy będą mu drżały z próżności, i odsłoni pomnik Czterech Szpad, z

którego szczytu wiecznie płonąca pochodnia miała oświetlać ojczyznę i jej dzieje, lecz na skutek błędu popełnionego przez techników zagranicznych nigdy nie pojawił się tam żaden płomień, a jedynie gęsty dym jak z garkuchni, który wisi nieustannie na niebie niczym burzowa chmura z innego klimatu.

Zacząłem przypuszczać, że pomyliłem się co do metody i że być może nie był to najlepszy sposób na pokonanie marksizmu. Czułem się coraz bardziej samotny, gdyż nikt już mnie nie potrzebował, nie miałem przy sobie dzieci, a Clara z jej manią niemoty i roztargnieniem była już tylko duchem. Nawet Alba z każdym dniem coraz bardziej oddalała się ode mnie. Rzadko widywałem ją w domu. Przechodziła obok jak gwałtowny poryw wiatru, w horrendalnych długich spódnicach z pomarszczonej bawełny i z niewiarygodnie zielonymi włosami - takimi, jakie miała Rosa - wykonując w porozumieniu z babką jakieś tajemnicze czynności. Jestem pewien, że coś knuły za moimi plecami. Wnuczka robiła wrażenie zatrwożonej, tak jak Clara, gdy w czasach tyfusu wzięła na swoje barki cudze boleści.

Alba miała niewiele czasu na opłakiwanie wuja Jaime, gdyż natychmiast zaabsorbowały ją sprawy ludzi będących w pilnej potrzebie, toteż musiała stłumić w sobie ból i odłożyć cierpienie na kiedy indziej. Przez dwa miesiące po przewrocie wojskowym nie widziała Miguela i myślała, że też został zabity. Nie szukała go jednak, ponieważ pod tym względem otrzymała odeń bardzo wyraźne instrukcje, a ponadto wiedziała, że figuruje na listach osób, które miały obowiązek zgłosić się do władz. To było źródłem nadziei. „Dopóki go szukają, dopóty żyje", wywnioskowała. Zadręczała się myślą, że może zostać pojmany żywcem, i przywoływała babkę prosząc, by temu zapobiegła. „Po tysiąckroć wolę, żeby zginął, babciu", błagała. Wiedziała, co dzieje się w kraju, i dlatego chodziła dzień i noc ze ściśniętym żołądkiem i drżały jej ręce, a gdy dowiadywała się o losie jakiegoś więźnia, pokrywała się od stóp do głów bąblami, jak zapowietrzona. Nie mogła jednak z nikim o tym rozmawiać, nawet z dziadkiem, gdyż ludzie woleli o niczym nie wiedzieć.

Po strasznym wtorku dla Alby świat zmienił się brutalnie. Musiała przystosować do niego zmysły, żeby móc dalej żyć, pogodzić się z myślą, że nigdy nie ujrzy tych, których najbardziej kochała - wuja Jaime, Miguela i wielu innych. Obwiniała dziadka o to, co zaszło, lecz później, gdy ujrzała, jak siedzi skulony w fotelu i nieprzerwanym szeptem wzywa Clarę i syna, wróciła jej cała miłość do niego i biegła go uścisnąć, pogładzić po białej grzywie, pocieszyć. Miała wrażenie, że wszystko jest ze szkła, kruche jak westchnienia, i że ogień z broni maszynowej i bomby w dużym stopniu zniszczyły w pamiętny wtorek to, co znane, a resztę podarły na strzępy i zbryzgały krwią. W miarę jak mijały dni, tygodnie i miesiące, to, co na początku zdawało się ocalałe od zniszczenia, też zaczęło ulegać rozkładowi. Zauważyła, że przyjaciele i krewni unikają jej, że niektórzy przechodzą na drugą stronę ulicy, by jej nie pozdrowić, lub odwracają głowę, gdy się zbliża. Pomyślała, że rozeszła się pogłoska, iż pomaga prześladowanym.

Tak było. Od pierwszych dni sprawą najpilniejszą było zapewnienie azylu tym, którym groziła śmierć. Początkowo Albie wydawało się to zajęciem niemal zabawnym, pozwalającym zająć czymś umysł i nie myśleć o Miguelu, lecz szybko zdała sobie sprawę, że to nie zabawa. W swoich rozporządzeniach junta nakazała obywatelom donosić na marksistów i wydawać ukrywających się, grożąc, że w przeciwnym razie sami będą uważani za zdrajców ojczyzny i sądzeni jako tacy. Alba odzyskała cudem samochód Jaime, który uratował się z bombardowania i przez tydzień stał

zaparkowany na tym samym placu, na którym go zostawił, aż dowiedziała się o tym i zabrała go stamtąd. Na drzwiach jaskrawożółtą farbą wymalowała dwa wielkie słoneczniki, które miały odróżniać go od innych samochodów i ułatwiać realizację nowych zadań.

Musiała nauczyć się na pamięć adresów wszystkich ambasad, godzin zmiany warty pełnionej przez karabinierów, wysokości otaczających je murów i szerokości drzwi. Wiadomość, że ktoś musi uzyskać azyl, dostawała niespodziewanie, często za pośrednictwem nie znanej osoby, która zaczepiała ją na ulicy, a którą, jak przypuszczała, przysyłał Miguel. Jechała w biały dzień na miejsce spotkania i gdy widziała, że ktoś reaguje na żółte kwiaty wymalowane na samochodzie i daje jej znaki, zatrzymywała się na moment i człowiek ten natychmiast wsiadał. Po drodze nie rozmawiali, gdyż wolała nie znać nawet nazwiska pasażera. Czasami musiała spędzić z nim cały dzień, a nawet ukryć go na noc czy dwie, nim ustaliła odpowiedni moment, w którym mogła podjechać pod przystępną ambasadę, gdzie on, korzystając z nieuwagi wartowników, przeskakiwał przez mur. Metoda ta była skuteczniejsza od załatwiania sprawy z bojaźliwymi ambasadorami państw demokratycznych. Nigdy więcej nie słyszała o azylancie, ale na zawsze zachowywała w pamięci jego podziękowania wypowiadane drżącym głosem i gdy wszystko dobrze się kończyło, wzdychała z ulgą, że znów ktoś się uratował. Czasami miała do czynienia z kobietami, które nie chciały rozstać się z dziećmi, chociaż Alba przyrzekała, że dostarczy niemowlę głównym wejściem, bowiem nawet najbardziej lękliwy ambasador nie odmówi jego przyjęcia; matki nie zgadzały się, toteż w końcu dziecko też trzeba było przerzucać przez mur lub spuszczać na sznurze. Wkrótce wszystkie ambasady otoczono drutem kolczastym i stanowiskami karabinów maszynowych i stało się niemożliwe branie ich szturmem, a Albę pochłonęły nowe zadania.

Amanda skontaktowała ją z księżmi. Były przyjaciółkami i spotykały się, by szeptać o Miguelu, którego od dawna nie widziały, i wspominać Jaime z nostalgią, ale nie roniąc łez, ponieważ nie było urzędowego dowodu jego śmierci, a pragnienie, by ujrzeć go żywym, było silniejsze od wiarygodności relacji żołnierza. Amanda znów paliła nałogowo, bardzo drżały jej ręce i miała błędny wzrok. Czasami miała też rozszerzone źrenice i poruszała się niemrawo, ale nadal pracowała w szpitalu. Opowiadała Albie, że często przynoszą tam ludzi omdlałych z głodu.

- Rodziny więźniów, zaginionych i zabitych nie mają co jeść. Bezrobotni też nie. Jedzą co drugi dzień talerz mamałygi. Dzieci usypiają w szkołach, są niedożywione.

Dodała, że szklanka mleka z biszkoptami, którą dawniej uczniowie otrzymywali codziennie, została zlikwidowana i że matki usiłują złagodzić głód dzieci dając im słabą herbatę.

- Tylko księża coś robią, by pomóc ludziom - wyjaśniła Amanda. - Ludzie nie chcą znać prawdy. Kościół zorganizował stołówki i sześć razy na tydzień wydaje dzieciom do siedmiu lat jeden posiłek dziennie. Oczywiście to nie rozwiązuje sprawy. Na każde dziecko, które je raz dziennie talerz soczewicy lub ziemniaków, przypada pięcioro, które stoją na zewnątrz i przyglądają się, gdyż nie starcza dla wszystkich.

Alba zrozumiała, że kraj cofnął się do czasów, gdy babka Clara chodziła do dzielnicy La Misericordia i dobroczynnością zastępowała sprawiedliwość społeczną. Tylko że

teraz dobroczynność była źle widziana. Stwierdziła, że gdy obchodzi domy przyjaciół z prośbą o torebkę ryżu czy karton mleka w proszku, za pierwszym razem nie mają odwagi odmówić, ale potem jej unikają. Początkowo Albie pomagała Blanca. Alba uzyskała bez trudu klucz do spiżarni matki argumentując, że nie ma powodu składować zwyczajnej mąki i fasoli spożywanej przez biedaków, jeśli można jeść rosyjskie kraby i szwajcarską czekoladę, i przez pewien czas, który i tak wydał się jej bardzo krótki, zaopatrywała stołówki prowadzone przez księży. Pewnego dnia do jednej z nich zabrała matkę. Na widok szerokiego stołu z niepolerowanego drewna, przy którym dwa szeregi dzieci czekały z błagalnym wyrazem oczu na swoją rację, Blanca zaczęła płakać i na dwa dni położyła się z migreną do łóżka. Rozpaczałaby tak bez końca, gdyby córka nie kazała jej ubrać się, zapomnieć o samej sobie i zdobyć środki na pomoc, choćby okradając budżet domowy i dziadka. Senator Trueba, podobnie jak inni członkowie jego klasy, nie chciał o niczym słyszeć i negował istnienie głodu z takim samym uporem jak istnienie więźniów i tortur, toteż Alba nie mogła na niego liczyć i później, gdy nie mogła również liczyć na matkę, musiała sięgnąć po bardziej drastyczne metody. Dziadek wychodził tylko do klubu. Nie bywał w śródmieściu, a tym bardziej w dzielnicach peryferyjnych. Bardzo łatwo uwierzył, że nędza, o której mówi mu wnuczka, to wymysł marksistów.

- Księża komuniści! - wołał. - Tylko tego brakowało! Kiedy jednak o każdej porze zaczęły pukać do drzwi chodzące po prośbie dzieci i kobiety, nie kazał zamknąć zakratowanej bramy i spuścić żaluzji, jak to uczynili inni, lecz zwiększył Blance miesięczną sumę na wydatki i powiedział, że zawsze ma być w domu trochę gorącej strawy dla biednych.

- Jest to sytuacja przejściowa - zapewniał. - Gdy tylko wojskowi skończą z chaosem, w którym marksizm pogrążył kraj, problem ten zostanie rozwiązany.

W gazetach pisano, że uliczni żebracy, których nie widziano od tylu lat, są nasyłani przez międzynarodowy komunizm w celu zdyskredytowania junty wojskowej i sabotowania porządku i postępu. Wzniesiono płoty wokół dzielnic peryferyjnych, ukrywając je przed turystami i tymi, którzy nie chcieli nic widzieć. W ciągu jednej nocy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, w alejach pojawiły się przystrzyżone trawniki i klomby założone przez bezrobotnych, by stworzyć wrażenie spokojnej wiosny. Pomalowano na biało mury zamazując freski z kiczowatymi gołębiami i usunięto na zawsze plakaty o treści politycznej. Każda próba wypisania hasła politycznego na drodze publicznej była karana na miejscu serią z broni maszynowej. Czyste, uporządkowane i ciche ulice stanęły otworem dla handlu. Wkrótce zniknęły żebrzące dzieci, a Alba zauważyła, że nie ma też bezpańskich psów ani kup śmieci. Czarny rynek skończył się w dniu, w którym zbombardowano Pałac Prezydencki, ponieważ spekulantom zagrożono, że staną przed sądami wojskowymi i zostaną rozstrzelani. W sklepach zaczęto sprzedawać towary, których nie znano nawet z nazwy, oraz takie, które dawniej mieli tylko ludzie bogaci, i to z przemytu. Miasto nigdy nie było równie piękne. Nigdy też nie była szczęśliwsza wielka burżuazja: whisky mogła kupować hurtowo, a samochody na kredyt.

W euforii patriotycznej pierwszych dni kobiety czyniły w koszarach darowizny z kosztowności na rzecz odbudowy ojczyzny - nawet z obrączek ślubnych, które zastępowano obrączkami miedzianymi z godłem narodowym. Blanca musiała schować skarpetkę z biżuterią, którą Clara zostawiła jej w spadku, by senator Trueba nie przekazał zawartości władzom. Rodziła się nowa i arogancka klasa społeczna.

Ważniaczki w zagranicznych strojach, egzotycznych i błyszczących jak robaczki świętojańskie, puszyły się w lokalach rozrywkowych i prowadzały pod rękę z nowymi, aroganckimi ekonomistami. Powstała kasta wojskowych, która szybko zajęła kluczowe stanowiska. Ci, którzy dawniej uważali, że wojskowy w rodzinie to nieszczęście, wykorzystywali wszystkie swoje wpływy, by umieścić synów w akademiach wojskowych i proponowali żołnierzom córki. W kraju było pełno ludzi w mundurach, sprzętu wojskowego, flag, hymnów i defilad, ponieważ wojskowi wiedzieli, że naród potrzebuje symboli i rytuałów. Senator Trueba, który w zasadzie brzydził się nadużywaniem symboli, zrozumiał, co mieli na myśli jego przyjaciele z klubu zapewniając, że marksizm nie ma żadnych szans w Ameryce Łacińskiej, gdyż nie uwzględnia magicznej strony rzeczy. „Chleb, igrzyska i coś, co można czcić - to wszystko, czego ludzie potrzebują", stwierdził w końcu, żałując w głębi duszy, że brakuje chleba.

Zmontowano kampanię, która miała zetrzeć z powierzchni ziemi dobre imię byłego prezydenta, w nadziei, że lud przestanie go opłakiwać. Otwarto jego dom i zaproszono publiczność do obejrzenia tego, co nazwano „pałacem dyktatora". Można było zajrzeć do szaf i zdumieć się ilością i jakością zamszowych marynarek, otworzyć skrzynie, pogrzebać w spiżarni i obejrzeć rum kubański i worek cukru, który przechowywał. Krążyły ordynarnie podrobione zdjęcia, na których widniał przebrany za Bachusa, z girlandą winogron na głowie, figlując podczas nieustannych orgii z kobietami obfitych kształtów i atletycznymi osobnikami tej samej co on płci; w autentyczność tych zdjęć nikt nie wierzył - nawet sam senator Trueba. „Tego już za dużo, przeginają pałę", mruknął, gdy się o tym dowiedział.

Jednym pociągnięciem pióra wojskowi zmienili dzieje powszechne, wymazując wydarzenia, ideologie i osobistości, które reżim dezaprobował. Zmieniono mapy, ponieważ nie było powodu, aby biegun północny leżał tak daleko od ukochanej ojczyzny, jeśli można umieścić go na dole, a przy okazji pomalowano na pruski błękit granice wód terytorialnych, rozszerzając je aż po Azję i Afrykę, a w podręcznikach geografii zawładnięto dalekimi ziemiami przesuwając bezkarnie granice, toteż w końcu bratnie kraje straciły cierpliwość, podniosły krzyk w Narodach Zjednoczonych i zagroziły, że użyją czołgów i myśliwców. Cenzurę, która początkowo obejmowała tylko środki przekazu, szybko rozszerzono na podręczniki i lektury szkolne, teksty piosenek, treść filmów i rozmowy prywatne. Na mocy rozporządzenia władz wojskowych zakazano pewnych słów, takich jak „towarzysz", a wielu innych - takich jak wolność, sprawiedliwość i związek zawodowy - przezornie nie wymawiano, choć żadne rozporządzenie nie wyeliminowało ich ze słownika. Alba zastanawiała się, skąd z dnia na dzień wzięło się tylu faszystów, gdyż w długich dziejach demokracji w tym kraju nigdy nie było ich widać, jeśli nie liczyć garstki oszołomów, którzy podczas wojny, małpując wzory zagraniczne, zakładali czarne koszule i wśród śmiechów i gwizdów przechodniów defilowali z wyciągniętymi ramionami, lecz nie odgrywali żadnej istotnej roli w życiu narodu. Nie mogła też zrozumieć postawy sił zbrojnych, które w większości rekrutowały się spośród klasy średniej i klasy robotniczej i historycznie rzecz biorąc były bliższe lewicy niż skrajnej prawicy. Nie pojmowała stanu wojny wewnętrznej ani nie zdawała sobie sprawy, że wojna jest dziełem sztuki wojskowych, kulminacją szkoleń, złotą broszką ich profesji. Nie są od tego, by błyszczeć w czasach pokoju. Zamach stanu dał im okazję zrobienia użytku z tego, czego się nauczyli w koszarach, ślepego posłuszeństwa, posługiwania się bronią i innych sztuk, które żołnierze mogą opanować, gdy potrafią wyciszyć skrupuły sumienia.

Alba porzuciła studia, ponieważ zamknięto wydział filozofii, podobnie jak wiele innych wydziałów, które otwierają wrota myśli. Nie studiowała też dalej muzyki, gdyż w tych okolicznościach gra na wiolonczeli wydawała się jej zajęciem frywolnym. Wielu profesorów zwolniono z pracy, wielu z nich zostało aresztowanych lub zaginęło bez wieści, bowiem znaleźli się na czarnej liście policji politycznej. Sebastiana Gomeza zabito podczas pierwszego najścia na uniwersytet na skutek donosu złożonego przez jego własnych studentów. Uczelnia była pełna szpiegów.

Wielka burżuazja i prawica ekonomiczna, które sprzyjały przewrotowi koszarowemu, nie posiadały się z radości. Początkowo przestraszyły się trochę widząc skutki swoich działań, ponieważ nigdy nie przyszło im żyć pod dyktaturą i nie wiedziały, co to takiego. Uważały, że zniesienie demokracji będzie przejściowe i że przez jakiś czas można żyć bez swobód indywidualnych i zbiorowych, jeśli tylko reżim respektuje wolną przedsiębiorczość. Nie miała też dla nich znaczenia dyskredytacja międzynarodowa - to, że kraj znalazł się w gronie tyranii latynoamerykańskich - gdyż wydawało się to im niską ceną za obalenie marksizmu. Gdy napłynęły kapitały zagraniczne, które zainwestowano w bankach, przypisały to naturalnie stabilizacji nowego reżimu, nie bacząc na fakt, że za każdego dolara, który wwożono, wywożono dwa z tytułu procentów. Gdy skasowano niemal wszystkie gałęzie przemysłu narodowego i zaczęli bankrutować kupcy pokonani przez masowy import dóbr konsumpcyjnych, twierdziły, że kuchenki brazylijskie, tkaniny tajwańskie i motocykle japońskie są dużo lepsze od wszystkiego, co kiedykolwiek wyprodukowano w kraju. Dopiero gdy spółkom północnoamerykańskim przywrócono koncesje na kopalnie znacjonalizowane od trzech lat, pojawiły się głosy, że to tak, jakby z ojczyzny czyniono komuś prezent w celofanowym opakowaniu. Głosy te wycichły jednak, gdy zaczęto oddawać dawnym właścicielom ziemię rozparcelowaną podczas reformy rolnej: wracały dobre czasy. Widać było, że tylko dyktatura dysponująca przytłaczającą siłą i nikomu nie zdająca z niczego sprawy może zagwarantować przywileje, toteż w sferach tych przestano mówić o polityce i pogodzono się z myślą, że one będą miały władzę ekonomiczną, a wojskowi będą rządzić. Jedynym zadaniem prawicy było służyć radą przy opracowywaniu nowych dekretów i ustaw. W ciągu kilku dni wyeliminowano związki zawodowe, działacze robotniczy zostali uwięzieni lub ich zabito, działalność partii politycznych zawieszono bezterminowo, a wszystkie organizacje pracownicze i studenckie, nawet stowarzyszenia wolnych zawodów, rozwiązano. Zakazano zbierania się. Jedynymi miejscami, w których ludzie mogli się spotykać, były kościoły, toteż wkrótce religia weszła w modę, a księża i zakonnice byli zmuszeni odłożyć na później działalność duszpasterską i zaspokajać ziemskie potrzeby zagubionych owieczek. Rząd i przedsiębiorcy widzieli w księżach potencjalnych wrogów i niektórym marzyło się, że problem rozwiąże zamordowanie kardynała, ponieważ w Rzymie papież odmówił odwołania go i skierowania do azylu dla chorych na umyśle braciszków.

Dużą część klasy średniej ucieszył wojskowy zamach stanu, gdyż oznaczał przywrócenie porządku, czystości obyczajów, spódnic u kobiet i krótkich włosów u mężczyzn, ale szybko zaczęły ją dręczyć wysokie ceny i bezrobocie. Z pensji nie starczało na życie. Każda rodzina opłakiwała kogoś bliskiego i nie można już było powiedzieć, tak jak na początku, że jeśli jest w więzieniu, został zabity lub musiał wyemigrować, to dlatego, że sobie na to zasłużył. Nie można też było nadal negować stosowania tortur.

Podczas gdy prosperowały luksusowe interesy, cudowne instytucje finansowe, egzotyczne restauracje i przedsiębiorstwa importowe, u bram fabryk ustawiały się kolejki bezrobotnych mających nadzieję na zatrudnienie za minimalną dniówkę. Siła robocza stoczyła się do poziomu niewolnictwa i po raz pierwszy od wielu dziesięcioleci przedsiębiorcy mogli bez przeszkód zwalniać pracowników nie wypłacając im odszkodowań i wtrącać do więzień za najmniejszy protest.

W ciągu pierwszych miesięcy senator Trueba podzielał oportunizm swojej klasy. Był przekonany, że potrzebna jest faza dyktatury, by kraj wrócił do zagrody, z której nigdy nie powinien był wyjść. Był jednym z pierwszych obszarników, którzy odzyskali majątki. Zwrócono mu Las Tres Marias w stanie ruiny, ale co do metra kwadratowego. Czekał na tę chwilę od dwóch lat, przeżuwając złość. Niewiele myśląc, pojechał na wieś z pół tuzinem płatnych zbirów i zemścił się do woli na chłopach, którzy odważyli się rzucić mu wyzwanie i zagarnąć jego własność. Przyjechał z siepaczami w słoneczne niedzielne przedpołudnie, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Weszli na teren majątku hałaśliwie jak piraci. Siepacze rozbiegli się na wszystkie strony, wypędzili ludzi wrzaskiem, pięściami i kopniakami, stłoczyli na podwórzu ludzi i zwierzęta, a następnie oblali benzyną ceglane domki, które dawniej były dumą Trueby, i podpalili ze wszystkim, co było wewnątrz. Zwierzęta wystrzelali. Wrzucili w ogień pługi, kurniki, rowery, a nawet dziecięce kołyski. Ten sabat czarownic w samo południe tak uradował Truebę, że z euforii o mało co nie wyzionął ducha. Zwolnił wszystkich parobków, ostrzegając, że jeśli zobaczy, iż kręcą się po majątku, spotka ich taki sam los jak zwierzęta. Widział, jak odchodzą biedniejsi niż kiedykolwiek, w długiej i smutnej procesji, z dziećmi, starcami, kilkoma psami, które przeżyły odstrzał, jakąś kurą, która uratowała się z piekła; powłóczyli nogami po piaszczystej drodze, pozostawiając za sobą ziemię, na której żyli od pokoleń. Pod bramą Las Tres Marias czekała grupa wynędzniałych, zatrwożonych ludzi. Byli to chłopi bez pracy, wypędzeni z innych majątków, którzy, tak samo pokornie jak ich przodkowie przed wiekami, przyszli prosić dziedzica, by zatrudnił ich przy najbliższych żniwach.

Tej nocy Esteban Trueba położył się na żelaznym łożu, które należało do jego rodziców, w starym, od dawna nie odwiedzanym przezeń dworze. Był zmęczony i miał nozdrza pełne zapachu pożaru i padliny, którą też musieli spalić, by rozkład nie zatruł powietrza. Dopalały się jeszcze resztki ceglanych domków i wokół było tylko zniszczenie i śmierć. Wiedział jednak, że ponownie może postawić posiadłość na nogi, tak jak uczynił to już kiedyś, gdyż pola pozostały nietknięte, a jego siły również. Mimo przyjemności, jaką sprawiła mu zemsta, nie mógł spać. Czuł się jak ojciec, który zbyt surowo ukarał dzieci. Przez całą noc widział twarze odchodzących autostradą chłopów, którzy na jego oczach urodzili się w tym majątku. Przeklinał swój gniew. Nie mógł spać przez cały tydzień i gdy wreszcie mu się to udało, śnił o Rosie. Postanowił nie mówić nikomu o tym, co zrobił, i przyrzekł sobie, że posiadłość Las Tres Marias stanie się wzorowym gospodarstwem, jakim była kiedyś. Rozpuścił po wsi wieść, że gotów jest przyjąć ponownie parobków, którzy odeszli, oczywiście pod pewnymi warunkami, ale żaden nie wrócił. Rozpierzchli się po wsiach, po wzgórzach, poszli na wybrzeże, niektórzy udali się pieszo do kopalń, inni wyjechali na wyspy Południa - każdy starał się, jak umiał, zarobić na chleb dla swojej rodziny. Zniechęcony dziedzic wrócił do stolicy, bardziej niż kiedykolwiek czując się starcem. Dręczyło go sumienie.

Poeta skonał w swoim domu nad morzem. Był chory i wydarzenia z ostatnich czasów wyczerpały jego pragnienie życia. Wojsko przeprowadziło rewizję, porozbijało kolekcje muszli, konch, motyli, butelek, wydobytych z tylu mórz maszkaronów z dziobów statków, poniszczyło książki, obrazy, nie dokończone wiersze, szukając broni i ukrywających się komunistów, i w końcu jego stare serce barda zaczęło bić coraz bardziej niezdecydowanie. Zawieziono go do stolicy. Umarł w cztery dni później i ostatnie słowa tego człowieka, który śpiewał na cześć życia, brzmiały: „Rozstrzelają was!

Rozstrzelają.!". W godzinie śmierci nie mógł go odwiedzić żaden z przyjaciół, gdyż byli wyjęci spod prawa, ukrywali się, przebywali na wygnaniu lub zostali zabici. Jego błękitny dom na wzgórzu był na wpół zrujnowany, z wypaloną podłogą i potłuczonymi szybami, i nie było wiadomo, czy jest to dzieło wojskowych, jak mówili sąsiedzi, czy sąsiadów, jak mówili wojskowi. Czuwało przy nim niewiele osób, które odważyły się przyjść, i dziennikarze ze wszystkich stron świata, którzy zjechali się w związku z jego pogrzebem. Senator Trueba był jego wrogiem politycznym, ale wielokrotnie gościł go w swoim domu i znał na pamięć jego wiersze. Przyszedł z wnuczką Albą ubrany na czarno. Oboje trzymali straż przy prostej drewnianej trumnie i w ów nieszczęsny ranek towarzyszyli jej w drodze na cmentarz. Alba niosła wiązankę pierwszych o tej porze roku goździków, czerwonych jak krew. Mały kondukt pogrzebowy przebył powoli drogę na miejsce wiecznego spoczynku, między dwoma szpalerami żołnierzy.

Ludzie szli w milczeniu. Nagle ktoś krzyknął zachrypniętym głosem imię Poety i wszystkie gardła odpowiedziały jednogłośnie: „Jest wśród nas! Teraz i na zawsze!" Wyglądało to tak, jakby otwarto klapę i cała boleść, cały strach i gniew, które nagromadziły się w ciągu tych dni, wyskoczyły z piersi, potoczyły się ulicą i w strasznej skardze wzbiły się ku ciężkim, czarnym chmurom. Ktoś inny krzyknął: „Towarzyszu Prezydencie!" I wszyscy odpowiedzieli jednym lamentem, płaczem człowieka: „Jesteś wśród nas!" Pogrzeb Poety zamieniał się powoli w symboliczny pogrzeb wolności.

Tuż obok Alby i jej dziadka pogrzeb filmowali kamerzyści z telewizji szwedzkiej, by mroźny kraj Nobla mógł zobaczyć na własne oczy przerażający widok karabinów maszynowych ustawionych po obu stronach ulicy, twarze ludzi, trumnę w kwiatach, grupę milczących kobiet, które tłoczyły się przy bramie kostnicy, o dwie przecznice od cmentarza, i czytały listy zmarłych. Głos wszystkich uleciał w śpiewie i powietrze wypełniły zakazane hasła, okrzyki, że lud zjednoczony nigdy nie będzie zwyciężony, wznoszone w obliczu karabinów, które drżały w rękach żołnierzy. Kondukt przeszedł obok jakiejś budowy i robotnicy, porzuciwszy narzędzia, zdjęli kaski i ze spuszczonymi głowami ustawili się w szeregu. Jakiś człowiek w koszuli ze zniszczonymi mankietami, bez marynarki i w rozlatujących się butach szedł, recytując najbardziej rewolucyjne wiersze Poety, a twarz zalewały mu łzy. Osłupiały senator Trueba nie odrywał od niego oczu i szedł obok.

- Szkoda, że był komunistą! - rzekł do wnuczki. - Był tak dobrym poetą, a tak miał pomieszane w głowie! Gdyby zmarł przed wystąpieniem wojska, na pewno miałby pogrzeb z honorami państwowymi.

- Umiał umrzeć, tak jak umiał żyć, dziadku - odpowiedziała Alba.

Była przekonana, że umarł w odpowiednim czasie, gdyż żaden hołd nie mógłby być większy od tego skromnego pochodu garstki mężczyzn i kobiet, którzy chowali go w wypożyczonym grobie, skandując po raz ostatni jego wiersze o sprawiedliwości i wolności. W dwa dni później junta wojskowa ogłosiła na łamach prasy żałobę narodową w związku ze śmiercią Poety i pozwoliła, by na domach osób prywatnych, które tego pragną, wywieszono flagi opuszczone do połowy masztu. Zarządzenie obowiązywało od dnia śmierci Poety do dnia, w którym ukazało się w prasie.

Alba nie mogła stracić głowy myśląc o Miguelu lub żałując Poety, tak samo jak nie mogła sobie pozwolić na opłakiwanie śmierci wuja Jaime. Była zaabsorbowana swoją pracą: indagowaniem policji o zaginionych, pocieszaniem torturowanych, którzy wracali z plecami odartymi ze skóry i zmąconym wzrokiem, i szukaniem żywności dla stołówek prowadzonych przez księży. Lecz w ciszy nocnej, gdy miasto zatracało normalność właściwą skrzynce na narzędzia i operetkowy spokój, dręczyły ją myśli, które zagłuszała w ciągu dnia. O tej porze, jak zagubione wilki wyjące w ciemnościach godziny policyjnej, po ulicach jeździły tylko ciężarówki pełne trupów i aresztantów oraz samochody karabinierów. Alba drżała leżąc w łóżku. Przed jej oczyma pojawiały się rozdzierające widma zmarłych, których nie znała, wielki dom oddychał jak sapiąca staruszka, wytężała słuch i czuła w kościach napawające strachem odgłosy dalekiego gwałtownego hamowania, trzaskających drzwiczek, strzelaniny, chrzęstu żwiru pod butami wojskowych, głuchego krzyku. Potem następowała długa cisza, która trwała do świtu, kiedy to miasto ożywiało się ponownie, a słońce zdawało się zacierać ślady po nocnych lękach. Nie tylko ona czuwała. Często napotykała dziadka w koszuli nocnej i pantoflach, bardziej postarzałego i zasmuconego niż za dnia, podgrzewającego sobie filiżankę rosołu i mamroczącego bluźnierstwa godne flibustiera, gdyż bolały go kości i dusza. Również matka krzątała się po kuchni lub snuła się po pustych pokojach jak nocna zjawa.

Tak mijały miesiące i dla wszystkich - nawet dla senatora Trueby - stało się oczywiste, że wojskowi przejęli władzę po to, żeby ją zachować, a nie przekazać w ręce prawicowych polityków, którzy sprzyjali zamachowi. Stanowili odrębną rasę ludzi zbratanych ze sobą, mówili odmiennym od cywilów językiem, a rozmowa z nimi była dialogiem głuchych, gdyż z punktu widzenia ich sztywnego kodeksu honorowego najmniejsza różnica w poglądach oznaczała zdradę. Trueba zorientował się, że mają mesjanistyczne plany, w których nie przewidują żadnych ról dla polityków. Pewnego dnia rozmawiał o tym z Blanką i Albą. Wyraził ubolewanie, że akcja wojskowych, która miała zapobiec groźbie dyktatury marksistowskiej, skazała kraj na o wiele surowszą i - jak widać - mającą trwać sto lat dyktaturę. Po raz pierwszy w życiu senator Trueba przyznał, że się pomylił. Widziały, jak płacze po cichu, wciśnięty w fotel niczym starzec u kresu sił. Nie opłakiwał utraty władzy. Opłakiwał ojczyznę.

Wtedy Blanca uklękła obok, wzięła go za rękę i wyznała, że Pedro Trzeci Garcia, żyjąc jak pustelnik, ukrywa się w jednym z opuszczonych pokoi, które Clara kazała dobudować w czasach duchów. W dzień po zamachu opublikowano listy osób, które miały zgłosić się do władz. Było na nich nazwisko Pedra Trzeciego Garcii. Niektórzy, myśląc, że w tym kraju nigdy nic się nie dzieje, poszli na własnych nogach do Ministerstwa Obrony i przypłacili to życiem. Pedro Trzeci miał wcześniej od innych przeczucie, że nowy reżim będzie okrutny, a to być może dlatego, że w ciągu tych trzech lat poznał siły zbrojne i nie wierzył w bajkę, że są one inne niż gdzie indziej. Tej samej nocy, podczas godziny policyjnej, doczołgał się do wielkiego domu

narożnego i zapukał do okna pokoju Blanki. Gdy wyjrzała, patrząc nań wzrokiem zamglonym na skutek migreny, nie poznała go, gdyż zgolił brodę i miał okulary.

- Zabito Prezydenta - rzekł Pedro Trzeci.

Ukryła go w pustych pokojach. Urządziła chwilową kryjówkę nie podejrzewając, że będzie musiała ukrywać Pedra Trzeciego przez kilka miesięcy, podczas gdy poszukujący go żołnierze przeczesywali kraj.

Uważała, że nikomu nie przyjdzie do głowy, iż Pedro Trzeci Garcia jest u senatora Trueby w tej samej chwili, w której ten słucha na stojąco uroczystego Te Deum w katedrze. Dla niej był to najszczęśliwszy okres w życiu.

Dla niego natomiast godziny upływały tak wolno, jakby był więźniem. Spędzał dzień w czterech ścianach, za drzwiami zamkniętymi na klucz, by nikomu nie przyszło do głowy pójść tam posprzątać, okno miało opuszczone żaluzje i zaciągnięte zasłony. Światło dzienne nie przenikało do wewnątrz, ale mógł je wyczuć po delikatnej zmianie barwy szpar w żaluzjach. Nocami otwierał okno na oścież, by przewietrzyć pokój - w którym trzymał zakryty kubeł służący do załatwiania potrzeb fizjologicznych - i wdychać łapczywie powietrze wolności. Czytał książki Jaime, które Blanca znosiła mu po kryjomu, oraz wsłuchiwał się w hałasy uliczne i szepty nastawionego jak najciszej radia. Blanca zdobyła dla niego gitarę, na której pod strunami położyła kawałki wełnianej tkaniny, żeby nie było słychać, jak cichaczem komponuje piosenki o wdowach, sierotach, więźniach i zaginionych. Starał się narzucić sobie stały rozkład zajęć, który pozwoliłby mu wypełnić dni, gimnastykował się, czytał, uczył się angielskiego, sypiał po obiedzie, pisał nuty i znów się gimnastykował, lecz mimo wszystko pozostawały mu nie kończące się godziny wolnego czasu, aż wreszcie słyszał zgrzyt klucza w zamku i wchodziła Blanca, która przynosiła gazety, jedzenie, czystą wodę do mycia. Kochali się rozpaczliwie wynajdując nowe, zakazane formuły, które strach i namiętność zamieniały w olśniewające podróże ku gwiazdom Blanca pogodziła się już z cnotliwym życiem, dojrzałością i wynikającymi z niej rozmaitymi niedyspozycjami, ale miłosne uniesienie przywróciło jej młodość. Jej cera nabrała blasku, krok stał się znów miarowy, a głos dźwięczny. Śmiała się w duchu i chodziła jak uśpiona. Nigdy nie była piękniejsza. Zauważył to nawet ojciec i przypisał wszystko pokojowi i obfitości „Odkąd Blanca nie musi stać w kolejkach, wygląda jak nowo narodzona”, mawiał senator Trueba. Alba też dostrzegła zmianę. Obserwowała matkę Dziwny somnambulizm wydawał się jej podejrzany, podobnie jak nowa mania zabierania posiłków do pokoju. Parokrotnie miała w nocy zamiar szpiegować matkę, ale pokonywało ją zmęczenie spowodowane licznymi zajęciami, a gdy cierpiała na bezsenność, bała się zapuszczać do pustych pokojów, w których rozlegały się szepty duchów.

Pedro Trzeci schudł i stracił dobry humor i słodycz, które cechowały go dotąd. Nudził się, przeklinał swoje dobrowolne więzienie, niecierpliwił się brakiem wiadomości o przyjaciołach. Uspokajała go tylko obecność Blanki. Gdy wchodziła do pokoju, rzucał się jak szalony, by ją objąć, stłumić lęki całego dnia i nudę całych tygodni. Zaczął mieć obsesję, że jest zdrajcą i tchórzem, ponieważ nie dzieli losu tylu innych, i uznał, że rzeczą najbardziej honorową byłoby oddanie się w ręce władz i stawienie czoła losowi. Blanca starała się wyperswadować mu to za pomocą najlepszych argumentów, na jakie było ją stać, ale zdawał się nie słuchać. Próbowała zatrzymać go siłą odnalezionej miłości, karmiła, kąpała, wycierała wilgotną ściereczką, talkowała

jak niemowlę, obcinała włosy i paznokcie, goliła. W końcu i tak musiała podawać mu w potrawach środki uspokajające, a w napojach środki nasenne, po których zapadał w głęboki i męczący sen i budził się z suchym gardłem i smutkiem w sercu. Po paru miesiącach zdała sobie sprawę, że nie może być w nieskończoność jej więźniem, i porzuciła plany zredukowania jego duszy tak, by stał się wiecznym kochankiem. Zrozumiała, że umiera za życia, gdyż wolność jest dla niego ważniejsza niż miłość, i że nie ma takich cudownych tabletek, które zmieniłyby jego charakter

- Pomóż mi, ojcze' - błagała senatora Truebę - Muszę go wywieźć z kraju

Stary zdębiał i zrozumiał, jak bardzo jest zużyty, gdyż chciał znaleźć w sobie gniew i nienawiść, lecz nie znalazł. Myślał o tym wieśniaku, którego przez pół wieku łączyła miłość z jego córką, i nic, co sobie przypominał - nawet jego poncho, broda socjalisty, upór czy choćby przeklęte kury goniące lisy - nie było w stanie wzbudzić w nim odrazy.

- Do diabła! Musimy dopomóc mu w uzyskaniu azylu, bo jeśli znajdą go w tym domu, rozwalą nas wszystkich - rzekł; nic innego nie przyszło mu do głowy.

Blanca zarzuciła mu ramiona na szyję i obsypała pocałunkami, płacząc jak dziecko. Była to pierwsza żywiołowa pieszczota, którą obdarzyła ojca od czasów dzieciństwa.

- Mogę go umieścić w jakiejś ambasadzie - powiedziała Alba. - Trzeba jednak poczekać na odpowiednią chwilę i będzie musiał przeskoczyć mur.

- Nie będzie takiej konieczności, moje dziecko odpowiedział senator Trueba. - Mam jeszcze w tym kraju wpływowych przyjaciół.

W czterdzieści osiem godzin później otworzyły się drzwi pokoju Pedra Trzeciego Garcii, ale zamiast Blanki stanął w nich senator Trueba. Zbieg pomyślał, że wybiła jego ostatnia godzina, i do pewnego stopnia ucieszyło go to.

- Przyszedłem po pana - rzekł Trueba.

- Dlaczego? - zapytał Pedro Trzeci.

- Dlatego, że poprosiła mnie o to Blanca - odparł Trueba.

- Idźże w cholerę - mruknął Pedro Trzeci.

- Dobrze, tam właśnie pójdę, ale pan pójdzie ze mną.

Obaj uśmiechnęli się równocześnie. Na patio czekała srebrzysta limuzyna ambasadora jednego z państw nordyckich. Pedra Trzeciego wciśnięto jak tobołek do bagażnika i przykryto torbami na zakupy pełnymi warzyw. Do samochodu wsiedli Blanca, Alba, senator Trueba i jego przyjaciel ambasador. Szofer zawiózł ich do nuncjatury apostolskiej; samochód, przez nikogo nie zatrzymywany, przejechał wzdłuż szpaleru karabinierów. W bramie nuncjatury stała podwójna straż, ale gdy rozpoznała senatora Truebę i zobaczyła tablicę rejestracyjną ze znakami dyplomatycznymi, pozwoliła przejechać salutując. Za bramą, na terenie placówki dyplomatycznej Watykanu, wyciągnięto Pedra Trzeciego spod liści sałaty i zgniecionych pomidorów. Zaprowadzono go do gabinetu nuncjusza, który, odziany w

biskupią sutannę, oczekiwał Pedra Trzeciego ze świeżo wypisanym listem żelaznym, pozwalającym mu na wyjazd za granicę; Blanca postanowiła wyjechać razem z nim, by na obczyźnie przeżyć wreszcie odkładaną od dzieciństwa miłość. Nuncjusz powitał ich. Był wielbicielem Pedra Trzeciego i miał wszystkie jego płyty.

Podczas gdy kapłan i ambasador państwa nordyckiego dyskutowali o sytuacji międzynarodowej, odbyło się pożegnanie. Blanca i Alba płakały niepocieszone. Rozstawały się po raz pierwszy. Esteban Trueba długo obejmował córkę - nie roniąc łez, ale ze ściśniętym gardłem, drżąc i starając się powstrzymać szloch.

- Nie byłem dla ciebie dobrym ojcem, córko - rzekł. - Czy uważasz, że możesz mi wybaczyć i zapomnieć o przeszłości?

- Bardzo cię kocham, ojcze! - odparła z płaczem Blanca, obejmując go rozpaczliwie za szyję i całując.

Następnie stary odwrócił się do Pedra Trzeciego i spojrzał mu w oczy. Wyciągnął do niego rękę, lecz nie umiał uścisnąć jego dłoni, gdyż brakowało jej kilku palców. Rozłożył więc ramiona i pożegnali się mocnym uściskiem, wolni w końcu od nienawiści i uraz, które przez tyle lat zatruwały im życie.

- Będę się opiekował pańską córką i zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa - powiedział Pedro Trzeci załamującym się głosem.

- Nie wątpię. Odejdźcie w pokoju, dzieci - mruknął starzec. Wiedział, że nigdy więcej ich nie ujrzy.

Senator Trueba został w domu tylko z wnuczką i paroma służącymi. Tak przynajmniej mu się wydawało. Lecz Alba postanowiła wykorzystać pomysł matki i w opuszczonej części domu ukrywała ludzi na noc czy dwie, nim udało się znaleźć bezpieczniejsze miejsce lub wywieźć ich z kraju. Pomagała tym, którzy żyli w cieniu i za dnia ginęli w anonimowym tłumie, ale w nocy musieli schronić się pod jakimś dachem, za każdym razem innym. Największe niebezpieczeństwo groziło im po godzinie policyjnej, gdy nie mogli wychodzić na ulicę, a policja mogła polować na nich do woli. Alba uważała, że dom dziadka jest ostatnim miejscem, w którym skłonni by byli przeprowadzić rewizję. Stopniowo zamieniła puste pokoje w labirynt utajonych pomieszczeń, w których ukrywała podopiecznych - czasami całe rodziny. Senator Trueba zajmował tylko bibliotekę, łazienkę i swoją sypialnię. żył tam wśród mahoniowych mebli, wiktoriańskich gablot i perskich dywanów. Nawet dla człowieka o tak małej jak on skłonności do strachu ta ponura budowla miała w sobie coś niepokojącego: wydawało mu się, że kryje w sobie potwora. Nie znał przyczyny niepokojów, ponieważ wiedział, że dziwne szmery, o których mówi służba, pochodzą od Clary snującej się po domu w towarzystwie zaprzyjaźnionych duchów. Często natykał się na żonę prześlizgującą się po salonach w białej tunice i z dziewczęcym uśmiechem na twarzy. Udawał, że jej nie widzi, stał nieruchomo, a nawet wstrzymywał oddech, żeby jej nie przestraszyć. Gdy zamykał oczy udając, że śpi, czuł jej delikatne palce na swoim czole, świeże jak powiew wiatru tchnienie, włosy w zasięgu ręki. Nie miał powodów, by podejrzewać, że dzieje się coś nienormalnego, lecz mimo to wolał nie zapuszczać się w zaczarowane okolice będące królestwem żony, a w każdym razie nie dalej niż do kuchni, która leżała w strefie neutralnej. Kucharka odeszła, ponieważ w jakiejś strzelaninie zabito przez pomyłkę jej męża, a

jedynego syna, który odbywał służbę wojskową w pewnej wiosce na południu, powieszono na słupie z wyprutymi i okręconymi wokół szyi wnętrznościami - co oznaczało zemstę ludu za wykonywanie rozkazów przełożonych. Biedna kobieta straciła rozum, a Trueba stracił wkrótce cierpliwość, gdyż miał dość natrafiania w potrawach na włosy, które sobie wyrywała lamentując bez końca. Przez pewien czas wśród garnków eksperymentowała Alba, posługując się książką kucharską, ale skończyło się na tym, że Trueba, choć miał dobrą wolę, znów zaczął prawie co wieczór jadać w klubie, by zapewnić sobie przynajmniej jeden przyzwoity posiłek na dzień. Dało to Albie większą swobodę w działaniach na rzecz osób ukrywających się i pozwalało wpuszczać je do domu przed godziną policyjną i wyprowadzać nie wzbudzając podejrzeń dziadka.

Pewnego dnia zjawił się Miguel. Alba wchodziła do domu w porze sjesty, gdy wyszedł jej na spotkanie. W oczekiwaniu na jej powrót ukrył się w krzakach w ogrodzie. Przefarbował włosy na kolor jasnożółty i miał na sobie dwurzędowy niebieski garnitur. Wyglądał jak pospolity urzędnik bankowy, ale Alba poznała go w mgnieniu oka i nie mogła powstrzymać okrzyku radości. Ściskali się w ogrodzie na oczach przechodniów i wszystkich innych, którzy chcieli patrzeć, dopóki nie wrócił im rozum i nie uświadomili sobie niebezpieczeństwa. Alba zaprowadziła go w głąb domu, do swojej sypialni. Padli na łóżko spleceni ramionami i nogami, wymawiając nawzajem swoje sekretne imiona, którymi posługiwali się w czasach, gdy korzystali z piwnicy i kochali się desperacko, aż w końcu poczuli, że uchodzi z nich życie i pękają serca - musieli uspokoić się nieco słysząc ich łomot. Wtedy Alba przyjrzała mu się baczniej i stwierdziła, że kochała się z zupełnie nie znanym mężczyzną, który nie tylko ma włosy jasne jak wiking, ale co więcej nie nosi brody Miguela ani jego małych belferskich okularów i bardzo wyszczuplał. „Strasznie wyglądasz!”, powiedziała mu do ucha. Miguel został jednym z dowódców partyzanckich, zgodnie z przeznaczeniem, które sam sobie wybrał w latach młodzieńczych. W celu ustalenia jego miejsca pobytu poddano torturom wiele osób obojga płci; Albie ciążyło to jak kamień młyński, lecz dla niego było tylko jednym z wielu horrorów wojennych; godził się na taki sam los, gdyby któregoś dnia to jemu przyszło osłaniać innych. Tymczasem działał w podziemiu, wierny swojej teorii, że przemocy bogaczy należy przeciwstawić przemoc ludu. Alba, która po tysiąckroć wyobrażała sobie, że jest więźniem lub został zabity w jakiś straszny sposób, płakała ze szczęścia słysząc jego głos, czując zapach, szorstkość i ciepło ciała, dotyk dłoni stwardniałych od noszenia broni i nawyku czołgania się; modliła się i przeklinała, całowała go i nienawidziła za tyle cierpień, pragnęła umrzeć natychmiast, by nie znosić ponownie jego nieobecności.

- Miałeś rację, Miguelu. Stało się to wszystko, co przepowiedziałeś - przyznała szlochając w jego ramionach.

Potem opowiedziała mu o broni, którą wykradła dziadkowi i ukryła razem z wujem Jaime, i zaproponowała, że pojedzie Z nim, by wskazać, gdzie została zakopana. Z chęcią przekazałaby mu też broń, której nie zdołali wykraść i która została na składzie w domu, ale w parę dni po przewrocie wojskowym nakazano ludności cywilnej oddać wszystko, co mogło uchodzić za broń - nawet noże fińskie i dziecięce scyzoryki. Ludzie podrzucali paczuszki zawinięte w gazety pod drzwi kościołów, gdyż bali się zanosić je do koszar, ale senator Trueba, który miał prawdziwy arsenał, nie żywił żadnych obaw, ponieważ posiadana przezeń broń miała służyć do zabijania komunistów, co było dla wszystkich jasne. Zadzwonił do swojego przyjaciela

generała Hurtado, a ten przysłał wojskową ciężarówkę. Trueba zaprowadził żołnierzy do pokoju, w którym trzymał broń, i tam, oniemiały, stwierdził, że połowa skrzyń jest wypełniona kamieniami i słomą, ale nie mógł przyznać, że dokonano kradzieży, gdyż podejrzenie padłoby na kogoś z rodziny lub on sam znalazłby się w tarapatach. Zaczął przepraszać, choć nikt go o to nie prosił, jako że żołnierze nie mogli wiedzieć, ile broni zakupił. Podejrzewał Blankę i Pedra Trzeciego, ale rumieniec, którym oblały się policzki Alby, też wzbudził w nim wątpliwości. Gdy żołnierze zabrali skrzynie i wręczyli mu pokwitowanie, chwycił wnuczkę za ramiona i tak nią potrząsnął, jak nigdy tego nie czynił, by wymusić wyznanie, czy ma coś wspólnego ze sprawą brakujących pistoletów maszynowych i karabinów. „Nie pytaj mnie, dziadku, o to, czego nie chcesz ode mnie usłyszeć", odpowiedziała patrząc mu w oczy. Nigdy więcej nie było o tym mowy.

- Twój dziadek to nędznik, Albo. Ktoś go zabije, tak jak sobie na to zasłużył - rzekł Miguel.

- Umrze w łóżku. Jest już bardzo stary - odparła Alba.

- Kto mieczem wojuje, ten nie ginie od uchylenia kapelusza. Być może to ja go kiedyś zabiję.

- Niech cię Bóg strzeże przed tym, Miguelu, bo gdybyś to uczynił, zmusiłbyś mnie, bym to samo uczyniła z tobą.

Miguel wyjaśnił jej, że nie zobaczą się przez długi czas, a może nawet nigdy. Starał się uświadomić Albie, jak niebezpiecznie jest być narzeczoną partyzanta, nawet gdy chroni ją nazwisko dziadka, ale tak bardzo płakała i przytulała się do niego, że musiał obiecać, iż nawet ryzykując życie będzie się starał widywać z nią od czasu do czasu. Zgodził się też pojechać razem z nią po broń i amunicję zakopaną w górach, gdyż wiodąc życie wypełnione zuchwałą walką tego właśnie najbardziej potrzebował.

- Mam nadzieję, że to nie nadaje się już tylko na złom - mruknęła Alba - i że przypomnę sobie miejsce, w którym je zakopaliśmy, bo to było już z górą rok temu.

W dwa tygodnie później zabrała dzieci ze stołówki ludowej na wycieczkę furgonetką, którą wypożyczyli jej księża z parafii. Wzięła koszyki z prowiantem, torbę pomarańczy, piłki i gitarę. Dzieci nie zwróciły uwagi na to, że po drodze dosiadł się jasnowłosy mężczyzna. Alba prowadziła obciążoną dziećmi furgonetkę tą samą drogą górską, którą przejeżdżała z wujem Jaime. Zatrzymały ich dwa patrole i musiała otworzyć koszyki z prowiantem, ale zaraźliwie radosny nastrój dzieci i niewinna zawartość koszyków oddaliły wszelką podejrzliwość żołnierzy. Dotarli bez przeszkód na miejsce kryjówki. Dzieci bawiły się w berka i chowanego. Miguel urządził mecz piłki nożnej, potem posadził dzieci wokół siebie i opowiedział bajki, a następnie wszyscy śpiewali, dopóki nie ochrypli. Sporządził szkic, by pod osłoną nocy wrócić na miejsce z towarzyszami. Była to radosna wycieczka, podczas której na kilka godzin zapomnieli o stanie wojennym i cieszyli się ciepłem słonecznego dnia w górach i wrzawą dzieci uganiających się wśród głazów z żołądkami pełnymi po raz pierwszy od wielu miesięcy.

- Boję się, Miguelu - powiedziała Alba. - Czyż nigdy nie będziemy żyć normalnie? Dlaczego nie wyjedziemy za granicę? Dlaczego nie uciekniemy teraz, gdy jest na to jeszcze czas?

Miguel pokazał na dzieci i Alba zrozumiała, co ma na myśli.

- Pozwól mi więc pójść z tobą! - błagała, jak czyniła to już nieraz.

- W tej chwili nie możemy mieć wśród nas kogoś bez przeszkolenia, a już tym bardziej zakochanej kobiety - rzekł Miguel z uśmiechem. - Lepiej rób to co dotychczas. Trzeba pomagać tym biednym dzieciom, dopóki nie nadejdą lepsze czasy.

- Powiedz mi przynajmniej, gdzie cię szukać!

- Lepiej, żebyś nic nie wiedziała, jeśli wpadniesz w ręce policji - odpowiedział Miguel.

Alba zadrżała.

W ciągu następnych miesięcy wyprzedawała z domu meble. Początkowo odważała się wynosić jedynie sprzęty z opuszczonych pokoi i piwnicy, ale gdy wszystko sprzedała, zaczęła zabierać jeden po drugim stare fotele z salonu, barokowe boazerie, kufry z epoki kolonialnej, rzeźbione parawany, a nawet komplety bielizny stołowej z kuchni. Trueba zauważył to, ale nic nie powiedział. Przypuszczał, że wnuczka przeznacza uzyskane w ten sposób pieniądze na jakiś zakazany cel - podobnie jak przypuszczał, że uczyniła to z bronią, którą mu wykradła - lecz wolał nie wiedzieć na jaki, by w swoim rozdzieranym na strzępy świecie zachować resztki równowagi. Czuł, że wydarzenia wymykają mu się spod kontroli. Był jednak świadomy, że dla niego ważne jest naprawdę tylko jedno - nie utracić wnuczki, gdyż jest ona ostatnią istotą, która go trzyma przy życiu. Dlatego nic nie powiedział, gdy po kolei zdejmowała ze ścian obrazy i stare gobeliny, a następnie sprzedawała je nowobogackim. Czuł się bardzo stary i bardzo zmęczony, bez sił do walki. Jego myśli nie były już tak jasne i zacierała się w nich granica między tym, co wydawało mu się dobre, a tym, co uważał za złe. Nocami, gdy zaskakiwał go sen, śniły mu się płonące domki z cegły. Myślał sobie, że jeśli jedyna spadkobierczyni postanowiła wyrzucić dom przez okno, to on nic nie może na to poradzić, ponieważ mało mu brakuje, żeby znaleźć się w grobie, a tam zabiera się ze sobą tylko całun. Alba chciała z nim porozmawiać, ale odmówił wysłuchiwania bajek o głodujących dzieciach, które dzięki dochodowi uzyskanemu ze sprzedaży gobelinu z Au-busson otrzymują talerz strawy, lub o bezrobotnych, którzy dzięki chińskiemu smokowi z opalu przeżyją kolejny tydzień. Wszystko to - twierdził nadal - jest potwornym oszczerstwem rzuconym przez międzynarodowy komunizm, a gdyby nawet, co mało prawdopodobne, było prawdą, Alba nie powinna brać na siebie takiej odpowiedzialności, gdyż od tego jest rząd, a w najgorszym razie Kościół. Lecz w dniu, w którym po powrocie do domu nie ujrzał portretu Clary wiszącego przy wejściu, uznał, że przechodzi to już wszelkie pojęcie, i starł się z wnuczką.

- Gdzie do cholery jest obraz twojej babki? - ryknął.

- Sprzedałam go konsulowi angielskiemu, dziadku. Powiedział, że przekaże go do muzeum w Londynie.

- Zakazuję ci wynosić cokolwiek z tego domu! Od jutra będziesz miała konto w banku na drobne wydatki - rzekł.

Wkrótce okazało się, że Alba jest najdroższą kobietą w życiu Estebana Trueby i że harem kurtyzan nie byłby tak kosztowny, jak ta wnuczka z zieloną grzywą. Nie robił jej z tego powodu wyrzutów, gdyż znów rosła jego fortuna i im więcej wydawał, tym więcej posiadał. Odkąd zakazano działalności politycznej, miał aż nadto czasu na robienie interesów i stwierdził, że wbrew wszelkim przewidywaniom umrze bardzo bogaty. Lokował pieniądze w nowych bankach, które oferowały pomnożenie ich z dnia na dzień i w stopniu oszałamiającym. Odkrył, że bogactwo wywołuje w nim wielką odrazę, ponieważ przychodzi mu łatwo, ale nie towarzyszą temu żadne pokusy wydawania pieniędzy i nawet niezwykła rozrzutność wnuczki nie jest w stanie przynieść uszczerbku jego sakiewce. Z zapałem odbudował i ulepszył Las Tres Marias, ale później stracił zainteresowanie dla jakichkolwiek przedsięwzięć, gdyż zauważył, że dzięki nowemu systemowi ekonomicznemu nie potrzeba wysilać się i produkować - pieniądze przyciągają więcej pieniędzy i bez żadnego jego udziału konta w banku rosną jak na drożdżach. Robiąc więc rachunki podjął decyzję, o którą nigdy się nie podejrzewał: co miesiąc wysyłał czek Pedrowi Trzeciemu Garcii, który w charakterze uchodźcy mieszkał z Blanką w Kanadzie. Oboje mieli tam poczucie zaspokojonej miłości i pełnej samorealizacji. On komponował pieśni rewolucyjne dla robotników, studentów, a przede wszystkim dla wielkiej burżuazji, wśród której stały się modne; tłumaczono je na angielski i francuski i odnosiły wielkie sukcesy, choć kury i lisy to stworzenia niedorozwinięte, pozbawione zoologicznego splendoru orłów i wilków mroźnego kraju Północy. Blanca, pogodna i szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu miała żelazne zdrowie. W domu zainstalowała wielki piec, w którym wypalała szopki z potworkami; sprzedawały się bardzo dobrze jako przedmioty rzemiosła indiańskiego - tak jak przed dwudziestu pięciu laty przewidział to Jean de Satigny, gdy chciał je eksportować. Dzięki tym interesom, czekom od Trueby i pomocy rządu kanadyjskiego żyło im się dostatnio, ale na wszelki wypadek Blanca schowała pieczołowicie wełnianą skarpetkę z niewyczerpanym zapasem biżuterii Clary. Miała nadzieję, że nigdy nie będzie musiała jej sprzedać i że pewnego dnia nosić ją będzie Alba.

Aż do chwili aresztowania Alby Esteban Trueba nie wiedział, że policja polityczna obserwuje dom. Spali już i przez przypadek nikt nie ukrywał się tej nocy w labiryncie opuszczonych pokoi. Starego wyrwały ze snu uderzenia kolb karabinowych w drzwi; obudził się z fatalistycznym przeczuciem. Alba obudziła się jednak wcześniej - gdy tylko usłyszała pisk opon hamujących samochodów, odgłos kroków, wydawane półgłosem rozkazy - i zaczęła się ubierać, ponieważ nie miała wątpliwości, że wybiła jej godzina.

W ciągu minionych miesięcy senator uświadomił sobie, że nawet jego nieskazitelna przeszłość rzecznika zamachu stanu nie stanowi zabezpieczenia przed terrorem. Nigdy jednak nie wyobrażał sobie, że po godzinie policyjnej będzie świadkiem najścia tuzina uzbrojonych po zęby mężczyzn w cywilu, którzy na nic nie bacząc wyciągną go z łóżka i trzymając pod ramię zawloką do salonu, nie pozwalając założyć pantofli ani okryć się szalem. Widział, jak inni otwierają kopniakiem drzwi do pokoju Alby i wchodzą tam z pistoletami maszynowymi w rękach; widział, jak wnuczka, zupełnie ubrana, blada, ale pogodna, czeka na nich stojąc; widział, jak popychając ją i mierząc do niej z pistoletów prowadzą dziewczynę do salonu, gdzie każą jej stać bez ruchu obok starego. Wykonała polecenia bez słowa, obojętna na gniew dziadka i na

gwałtowność mężczyzn, którzy miotali się po domu wywalając drzwi, kolbami wygarniając wszystko z szaf, wywracając meble, prując materace, wyrzucając na podłogę zawartość szuflad, kopiąc ściany i wykrzykując rozkazy, a wszystko to w poszukiwaniu partyzantów, skrytek z bronią i innych dowodów winy. Wyciągnęli z łóżek służące i zamknęli w jednym z pokojów pod strażą uzbrojonego mężczyzny. Poprzewracali regały w bibliotece i ozdoby, a dzieła sztuki należące do senatora runęły z hukiem na podłogę. Woluminy z tunelu Jaime wyrzucili na podwórze, ułożyli je na stosie, oblali benzyną i podpalili; na tym skandalicznym i haniebnym stosie spłonęły również magiczne książki z zaczarowanych kufrów pradziadka Marcosa, studium ezoteryczne Nicolasa, dzieła Marksa w skórzanej oprawie, a nawet partytury oper należące do starego; dym rozszedł się po całej dzielnicy i gdyby czasy były normalne, przyjechałaby straż pożarna.

- Oddajcie wszystkie notesy, spisy adresów, książeczki czekowe, wszystkie dokumenty osobiste! - rozkazał ten, który wyglądał na szefa.

- Jestem senator Trueba! Na Boga, człowieku, czy pan mnie me poznaje? - wrzeszczał rozpaczliwie stary. - Nie możecie mi tego zrobić! To samowola! Jestem przyjacielem generała Hurtado!

- Zamknij się, stary zasrańcu! Dopóki ci nie zezwolę, nie masz prawa otwierać gęby! - odpowiedział tamten brutalnie.

Zmusili go, by im wydał całą zawartość swojego biurka, i wrzucili do worków wszystko, co budziło ich zainteresowanie. Podczas gdy jedna grupa kończyła rewizję w domu, druga nadal wyrzucała przez okno książki. W salonie pozostało czterech uśmiechniętych szyderczo i groźnie zachowujących się mężczyzn, którzy wchodzili na przewrócone meble, pili z butelki szkocką whisky i po kolei łamali płyty z kolekcji muzyki klasycznej senatora Trueby. Alba oceniała, że minęły co najmniej dwie godziny. Drżała, ale nie z zimna, tylko ze strachu. Przypuszczała, że kiedyś to się stanie, ale zawsze żywiła irracjonalną nadzieję, że wpływy dziadka zapewnią jej ochronę. Widząc go jednak skulonego w fotelu, małego i nędznego jak schorowany starzec, zrozumiała, że nie może liczyć na pomoc.

- Podpisz tutaj! - rozkazał szef, podsuwając Truebie pod nos kartkę papieru. - To oświadczenie, że weszliśmy z nakazem sądowym, wylegitymowaliśmy się, że wszystko jest w porządku, postępowaliśmy z szacunkiem i jak przystało na ludzi dobrze wychowanych, i że nie wnosisz żadnej skargi. Podpisz!

- Nigdy tego nie podpiszę! - zawołał z wściekłością stary.

Człowiek ten obrócił się błyskawicznie na pięcie i uderzył Albę w twarz. Cios powalił ją na podłogę. Senator Trueba znieruchomiał ze strachu; zrozumiał, że w końcu wybiła godzina prawdy - po prawie dziewięćdziesięciu latach życia zgodnie z prawem, które sam ustanawiał.

- Czy wiedziałeś, że twoja wnuczka jest kurwą partyzanta? - zapytał tamten.

Senator Trueba, poskromiony, podpisał oświadczenie. Następnie podszedł z trudem do wnuczki i objął ją, gładząc po głowie z nie znaną u niego czułością.

- Nie martw się, moje dziecko. Wszystko się wyjaśni, nic nie mogą ci zrobić, to pomyłka, bądź spokojna - mamrotał.

Lecz tamten odciągnął go brutalnie i zawołał do pozostałych, że czas ruszać w drogę. Dwóch zbirów wyprowadziło pod ręce Albę niemal unosząc ją w powietrzu. Ostatnią sceną, którą widziała, była patetyczna postać dziadka, bladego jak wosk, drżącego, odzianego w nocną koszulę i bosego, który stojąc w progu zapewniał, że wyciągnie ją następnego dnia, porozmawia osobiście z generałem Hurtado, wraz ze swoimi adwokatami odnajdzie ją, gdziekolwiek by się znajdowała, i sprowadzi do domu.

Wsadzono ją do szoferki; wsiadł do niej również mężczyzna, który ją uderzył, i jeszcze jeden, który prowadził pogwizdując. Nim zakleili jej oczy taśmą, rzuciła po raz ostatni okiem na pustą i pogrążoną w ciszy ulicę, zdziwiona, że mimo hałasu i płonącego stosu książek nie wyjrzał żaden sąsiad. Przypuszczała, że tak jak ona czyniła to wiele razy, wyglądają przez szpary w żaluzjach i zasłonach lub - by o niczym nie wiedzieć - schowali głowy pod poduszki. Furgonetka ruszyła, a ona, po raz pierwszy ślepa, straciła poczucie przestrzeni i czasu. Poczuła na nodze wilgotną, wielką dłoń, która ją obmacywała, szczypała, podchodziła wysoko, obszukiwała, oraz ciężkie tchnienie prosto w twarz i szept: rozgrzeję cię, kurwo, zobaczysz, jak to jest; usłyszała też inne głosy i śmiechy, podczas gdy samochód co rusz skręcał, a jej zdawało się, że podróż trwa w nieskończoność. Nie wiedziała, dokąd ją wiozą, dopóki nie usłyszała szumu wody i nie poczuła, że furgonetka przejeżdża po drewnianym moście. Wtedy domyśliła się swojego losu. Przywoływała duchy z czasów trójnożnego stolika i niespokojnej solniczki babki oraz zjawy zdolne do zmiany biegu wydarzeń, ale wydawało się, że zupełnie ją opuściły, gdyż furgonetka jechała dalej tą samą drogą. Poczuła hamowanie, usłyszała, jak ze skrzypieniem otwiera się, a następnie zamyka za nimi ciężka brama. Wtedy wstąpiła w otchłań koszmaru - tego, który babka ujrzała na jej mapie astrologicznej, gdy się urodziła, i Luisa Mora w chwili, gdy przyszła, żeby ją ostrzec. Mężczyźni pomogli jej wysiąść. Nie zdołała zrobić dwóch kroków. Otrzymała uderzenie w żebra i upadła na kolana nie mogąc oddychać. Chwycono ją pod pachy i ciągnięto kawał drogi. Czuła pod nogami ziemię, a następnie szorstką powierzchnię cementowej podłogi. Zatrzymali się.

- Panie pułkowniku, to jest wnuczka senatora Trueby - usłyszała.

- Widzę - odpowiedział inny głos.

Rozpoznała bez wahania Estebana Garcię i zrozumiała natychmiast, że człowiek ten czeka na nią od dnia, w którym, będąc małą dziewczynką, usiadła mu na kolanach.

GODZINA PRAWDY

Alba siedziała skulona w ciemności. Jednym szarpnięciem zerwano jej z oczu taśmę klejącą i zamiast niej założono mocno zaciśnięty bandaż. Bała się. Przypomniała sobie ćwiczenia wuja Nicolasa, który uczył ją, jak radzić sobie z niebezpieczeństwem, gdy człowiek boi się strachu, i skoncentrowała się, by opanować drżenie i nie słyszeć przeraźliwych hałasów, które docierały z zewnątrz. Starała się przywołać w pamięci chwile szczęścia, jakiego zaznała będąc z Miguelem, szukała pomocy, dzięki której mogłaby oszukać czas i znaleźć dość sił, by

sprostać temu, co miało nastąpić, wmawiała sobie, że musi wytrzymać parę godzin i że nie może dopuścić, by zdradziły ją nerwy - do chwili, gdy dziadek uruchomi ciężką machinę swojej władzy i wpływów i ją stąd wydostanie. Przypomniała sobie jesienną wycieczkę z Miguelem na wybrzeże, na długo przedtem, jak huragan zdarzeń wywrócił świat dogóry nogami - gdy rzeczy określano znanymi słowami, które były jednoznaczne, gdy lud, wolność i towarzysz były tylko ludem, wolnością i towarzyszem, a nie znakami rozpoznawczymi. Starała się przeżyć ponownie tę chwilę, widzieć czerwoną, wilgotną ziemię, czuć intensywny zapach sosnowych i eukaliptusowych lasów, w których po długim gorącym lecie miękł dywan z suchych liści, a między koronami drzew przenikało miedziane światło słoneczne. Starała się przypomnieć sobie chłód, ciszę i cudowne uczucie, że są panami ziemi, mają dwadzieścia lat, a przed sobą życie - to wszystko, czego doznawała, gdy kochali się w spokoju, pijani od zapachu lasu i miłości, która nie miała przeszłości ani nie podejrzewała przyszłości, lecz stanowiła niebywałe bogactwo chwili bieżącej, kiedy patrzyli na siebie, wąchali się, całowali, pieścili, owinięci w szmer wiatru wśród drzew i łoskot fal, które w rozbryzgach pachnącej piany biły o skały u stóp urwiska; gdy otuleni tym samym poncho i obejmujący się jak rodzeństwo syjamskie, siedzące w jednej i tej samej skórze, śmiali się i na wieczne czasy składali sobie przyrzeczenia przekonani, że jako jedyni we wszechświecie odkryli miłość.

Alba słyszała krzyki, długie jęki i radio rozkręcone na cały regulator. Las, Miguel, miłość - to wszystko zagubiło się w głębokim tunelu strachu i pogodziła się z myślą, że bez żadnych wybiegów będzie musiała stawić czoło losowi.

Miała wrażenie, że minęła noc i kawał następnego dnia, gdy po raz pierwszy otworzyły się drzwi i dwaj mężczyźni wyprowadzili ją z celi. Wśród obelg i gróźb zaprowadzili do pułkownika Garcii, którego rozpoznała z zawiązanymi oczami, nim jeszcze usłyszała jego głos, a to ze względu na otaczającą go aurę nikczemności. Poczuła, jak jego dłonie ujmują jej twarz, grube palce dotykają szyi i uszu.

- Teraz powiesz mi, gdzie jest twój kochanek - rzekł. - To pozwoli nam obojgu uniknąć wielu przykrości.

Alba odetchnęła z ulgą. Nie schwytali Miguela!

- Chcę iść do ubikacji - odpowiedziała głosem tak stanowczym, na jaki tylko mogła się zdobyć.

- Widzę, Albo, że nie chcesz współpracować. Szkoda - westchnął Garcia. - Chłopcy będą musieli wywiązać się ze swojej powinności. Nie mogę temu zapobiec.

Nastąpiła wokół niej krótka chwila ciszy, podczas której uczyniła wysiłek ponad siły, by przypomnieć sobie sosnowy las i miłość Miguela, ale poplątały się jej myśli i nie wiedziała już, czy śni ani skąd pochodzi zapach potu, kału, krwi i moczu, a także głos sprawozdawcy sportowego informujący o golach Finów, które nie miały z nią nic wspólnego, ani inne ryki, równie bliskie i wyraźne. Brutalnie spoliczkowana upadła na podłogę, gwałtowne ręce postawiły ją z powrotem na nogi, okrutne palce wbiły się w piersi i miażdżyły sutki, a strach opanował ją do cna. Nieznane głosy żądały czegoś od niej, słyszała imię Miguela, ale nie wiedziała, o co ją pytają, i tylko powtarzała niestrudzenie monumentalne nie, podczas gdy oni bili, macali, zrywali bluzkę, a ona nie potrafiła już myśleć, umiała tylko powtarzać nie i nie, i nie, kalkulując, ile czasu

jeszcze zdoła wytrzymać i kiedy opuszczają siły; nie wiedziała, że to dopiero początek, lecz w końcu poczuła, że mdleje; leżała na podłodze i przez jakiś czas, który wydał się jej bardzo krótki, mężczyźni zostawili ją w spokoju.

Wkrótce usłyszała ponownie głos Garcii i domyśliła się, że to jego ręce pomagają jej wstać, prowadzą do krzesła, poprawiają na niej ubranie, wkładają bluzkę.

- Ach, mój Boże! - rzekł. - Popatrz, w jakim stanie cię zostawili! Ostrzegałem cię, Albo. Teraz postaraj się uspokoić, dam ci filiżankę kawy.

Alba się rozpłakała. Ciepły płyn ożywił ją, ale nie czuła jego smaku, gdyż był zmieszany z krwią. Garcia trzymał filiżankę i podsuwał ją troskliwie, jak pielęgniarz.

- Chcesz zapalić?

- Chcę iść do ubikacji - odpowiedziała, z trudem wymawiając opuchniętymi ustami każdą sylabę.

- Oczywiście, Albo. Zaprowadzą cię do ubikacji, a potem będziesz mogła odpocząć. Jestem twoim przyjacielem, doskonale rozumiem twoją sytuację. Jesteś zakochana i dlatego go osłaniasz. Wiem, że nie masz nic wspólnego z partyzantką. Lecz chłopcy nie wierzą, gdy im to mówię, nie zadowolą się, dopóki nie powiesz im, gdzie jest Miguel. W rzeczywistości już go okrążyli, wiedzą, gdzie jest, i go schwytają, ale chcą być pewni, że ty nie masz nic wspólnego z partyzantką, rozumiesz? Jeśli będziesz go osłaniać, jeśli nie będziesz chciała mówić, będą cię nadal podejrzewać. Powiedz to, co chcą usłyszeć, a wtedy ja sam zawiozę cię do domu. Prawda, że powiesz?

- Chcę iść do ubikacji - powtórzyła Alba.

- Widzę, że jesteś uparta jak twój dziadek. Dobrze. Pójdziesz do ubikacji. Dam ci szansę, żebyś mogła się zastanowić - rzekł Garcia.

Zaprowadzono ją do ubikacji, gdzie musiała się pogodzić z obecnością mężczyzny, który trzymał ją za rękę. Następnie odprowadzono ją do celi. W małym samotnym sześcianie swojego więzienia starała się uporządkować myśli, ale dręczył ją ból fizyczny, miała pragnienie, bandaż ściskał skronie, była ogłuszona hałasem radia, odgłos zbliżających się kroków wywoływał lęk, a oddalających się sprawiał ulgę, dokuczały krzyki i rozkazy. Skuliła się na podłodze jak embrion i poddała się rozlicznym cierpieniom. Leżała tak przez kilka godzin, a może dni. Dwukrotnie przychodził po nią jakiś mężczyzna i prowadził do cuchnącej latryny, gdzie nie mogła się umyć, gdyż nie było wody. Dawał jej minutę czasu i sadzał w klozecie wraz z inną milczącą i otępiałą jak ona osobą. Nie wiedziała, czy jest to kobieta, czy mężczyzna. Początkowo płakała z żalu, że wuj Nicolas nie wyćwiczył jej w znoszeniu poniżenia, które wydawało się jej gorsze niż ból, ale w końcu pogodziła się z własną sromotą i przestała myśleć o nieznośnej potrzebie umycia się. Dano jej do jedzenia młodą kukurydzę, mały kawałek kurczaka i lody - poznała je po smaku, zapachu, temperaturze i zjadła szybko, zaskoczona tak luksusowym posiłkiem. Potem dowiedziała się, że posiłki dla więźniów w tej izbie tortur przywożono z nowej siedziby rządu, który zainstalował się w pewnym pospiesznie urządzonym w tym celu budynku, ponieważ dawny Pałac Prezydencki leżał w gruzach.

Usiłowała doliczyć się dni, które minęły od chwili aresztowania, ale samotność, ciemność i strach zakłóciły poczucie czasu i przestrzeni; wydawało się jej, że widzi jaskinie zamieszkane przez potwory, wyobrażała sobie, że poddano ją działaniu narkotyków i dlatego czuje słabość wszystkich kości i doznaje nawału szalonych myśli, miała zamiar nie jeść i nie pić, ale głód i pragnienie były silniejsze od jej woli. Zastanawiała się, dlaczego dziadek jeszcze po nią nie przyjechał. W chwilach, gdy miała jasny umysł, rozumiała, że nie jest to zły sen i że nie znajduje się tu przez pomyłkę. Postanowiła nawet zapomnieć, jak ma na imię Miguel.

Gdy Albę zaprowadzono po raz trzeci przed oblicze Es-tebana Garcii, była lepiej przygotowana, gdyż przez ścianę celi słyszała, co dzieje się w sąsiednim pomieszczeniu, w którym przesłuchiwano innych więźniów, i nie żywiła złudzeń. Nie usiłowała nawet przypomnieć sobie lasów, pośród których się kochała.

- Miałaś czas, Albo, by się zastanowić. Teraz spokojnie porozmawiamy w cztery oczy i powiesz mi, gdzie jest Miguel; w ten sposób szybko z tego wyjdziemy - powiedział Garcia.

- Chcę iść do ubikacji - odparła Alba.

- Widzę, że kpisz sobie ze mnie, Albo - rzekł. - Bardzo mi przykro, ale tu nie możemy tracić czasu.

Alba nie odpowiedziała.

- Rozbierz się! - rozkazał Garcia innym tonem.

Nie wykonała polecenia. Rozebrano ją przemocą, zdzierając spodnie mimo kopniaków, które rozdawała. Dokładnie przypomniała jej się młodość i pocałunek Garcii w ogrodzie, i uczucie nienawiści dodało jej sił. Walczyła, krzyczała, płakała, sikała i wymiotowała, aż zmęczyli się i przestali bić na krótką chwilę, z której skorzystała, by przywołać wyrozumiałe duchy babki; prosiła, by pomogły jej umrzeć. Lecz nikt nie przyszedł jej z odsieczą. Dwie ręce podniosły ją, cztery położyły na metalowej pryczy - zimnej, twardej, pełnej sprężyn, które raniły ją w plecy - i związały kostki i nadgarstki skórzanymi postronkami.

- Pytam po raz ostatni, Albo. Gdzie jest Miguel? - zapytał Garcia.

Odpowiedziała milczeniem. Przywiązano do pryczy jej głowę.

- Gdy będziesz miała ochotę mówić, podnieś palec - rzekł. Alba usłyszała głos innego mężczyzny.

- Ja obsłużę maszynę - powiedział.

Ból, który przebiegł jej ciało i zawładnął nim zupełnie, był tak straszny, że nie zapomniała go do końca życia. Zapadła się w ciemność.

- Mówiłem, żebyście z nią uważali, durnie! - usłyszała głos Estebana Garcii, który dochodził z bardzo daleka; czuła, że otwierają jej powieki, ale ujrzała tylko mglistą poświatę, po czym poczuła ukłucie w ramię i ponownie straciła przytomność.

W sto lat później obudziła się mokra i naga. Nie wiedziała, czy jest spocona, czy oblana wodą, czy mokra od moczu; nie mogła się poruszać, nic nie pamiętała, nie wiedziała, gdzie się znajduje ani co jest przyczyną tej ogromnej słabości, która uczyniła z niej strzęp człowieka. Poczuła tak silne pragnienie, jakby była na Saharze, i poprosiła o wodę.

- Wytrzymaj, towarzyszko - powiedział ktoś obok. - Wytrzymaj do jutra. Jeśli napijesz się wody, dostaniesz konwulsji i możesz umrzeć.

Otworzyła oczy. Nie były zawiązane. Twarz, która pochylała się nad nią, wydała się jej znajoma; czyjeś ręce okryły ją kocem.

- Pamiętasz mnie? Jestem Ana Diaz. Byłyśmy koleżankami na studiach. Nie rozpoznajesz mnie?

Alba zaprzeczyła ruchem głowy, zamknęła oczy i poddała się słodkiemu złudzeniu śmierci. Po paru jednak godzinach obudziła się i przy pierwszym ruchu poczuła, że boli ją w mięśniach każde włókno.

- Wkrótce poczujesz się lepiej - powiedziała jakaś kobieta, głaszcząc Albę po twarzy i odgarniając kosmyki wilgotnych włosów, które spadały jej na oczy. - Nie ruszaj się i staraj odprężyć. Będę przy tobie. Odpocznij.

- Co się stało? - wymamrotała Alba.

- Mocno ci przyłożyli, towarzyszko - powiedziała tamta ze smutkiem w głosie.

- Kim jesteś? - zapytała szeptem Alba.

- Jestem Ana Diaz. Siedzę tu od tygodnia. Mojego chłopaka też złapali, ale jeszcze żyje. Raz dziennie widzę, jak prowadzą go do ubikacji.

- Ana Diaz? - mamrotała Alba.

- Tak. Na studiach nie bardzo się przyjaźniłyśmy, ale nigdy nie jest na to za późno. Prawdę mówiąc, jesteś ostatnią osobą, którą spodziewałam się tu zastać, hrabianko - powiedziała słodko tamta kobieta. - Nie mów, staraj się zasnąć, żeby czas szybciej mijał. Stopniowo wróci ci pamięć, nie martw się. To na skutek porażenia prądem.

Lecz Alba nie mogła spać, gdyż otworzyły się drzwi celi i wszedł jakiś mężczyzna.

- Załóż jej bandaż! - rozkazał Anie Diaz.

- Błagam!... Czy pan nie widzi, że jest bardzo słaba? Niech pan pozwoli jej trochę odpocząć...

- Zrób to, co powiedziałem!

Ana pochyliła się nad pryczą i zawiązała Albie oczy. Następnie zdjęła z niej koc i usiłowała ubrać, ale strażnik odepchnął ją, chwycił Albę za ramiona i posadził. Wszedł drugi strażnik, by mu pomóc, i wynieśli ją, gdyż nie mogła iść. Alba była

pewna, że umiera, o ile już nie umarła. Słyszała, że idą korytarzem, na którym odgłos kroków odbija się echem. Poczuła, że czyjaś dłoń unosi jej głowę.

- Możecie dać jej wody. Zabierzcie ją i zróbcie jeszcze jeden zastrzyk. Sprawdźcie, czy może napić się kawy, i przyprowadźcie - rzekł Garcia.

- Panie pułkowniku, czy mamy ją ubrać?

- Nie.

Alba długo była w rękach Garcii. Po paru dniach zdał sobie sprawę, że go rozpoznała, ale trzymał ją nadal z zawiązanymi oczami, nawet wtedy, gdy byli sami. Codziennie przywożono i wywożono więźniów. Słyszała pojazdy, krzyki, brama się zamykała, i usiłowała liczyć więźniów, lecz było to niemożliwe. Ana Diaz oceniała, że jest ich około dwustu. Garcia był bardzo zajęty, ale widywał Albę codziennie, raz stosując rozpasaną przemoc, a innym razem odgrywając komedię i udając dobrego przyjaciela. Czasami wydawał się naprawdę wzruszony i własną ręką podawał jej do ust łyżkę zupy, lecz w dniu, w którym wsadził jej głowę do wiadra pełnego ekskrementów i zemdlała z obrzydzenia, zrozumiała, że nie chodzi mu o ustalenie miejsca pobytu Miguela, lecz o zemstę za krzywdy, których doznał od urodzenia, i że nawet gdyby zaczęła zeznawać, nie zmieniłoby to jej położenia osobistego więźnia pułkownika Garcii. Od tej chwili zaczęła stopniowo wychodzić z kręgu strachu; bała się mniej i współczuła innym - tym, których wieszano za ręce, nowo przybyłym, mężczyźnie, któremu przejechano furgonetką skute nogi. Wszystkich więźniów spędzono o świcie na dziedziniec i kazano patrzeć, gdyż także w tym przypadku chodziło o osobiste porachunki pułkownika z więźniem. Alba po raz pierwszy otworzyła oczy poza półmrokiem celi i delikatny blask poranka, szronu pod stopami i kałuży po nocnym deszczu wydał się jej nieznośny. Wyciągnięto mężczyznę, który nie stawiał oporu, ale nie mógł utrzymać się na nogach, i porzucono go na środku dziedzińca. Strażnicy mieli chusty na twarzach, by nie można było ich rozpoznać w mało prawdopodobnym przypadku zmiany sytuacji. Alba, słysząc szum silnika furgonetki, zamknęła oczy, ale nie mogła zatkać uszu i odtąd ryk człowieka, który usłyszała, zawsze wibrował w jej pamięci.

Przez cały czas, gdy były razem, Ana Diaz pomagała jej wytrwać. Była to kobieta nieugięta. Wytrzymała wszelkie brutalności, zgwałcono ją na oczach narzeczonego, torturowano ich razem, a ona nie straciła uśmiechu ani nadziei - nawet wtedy, gdy zabrano ją do tajnej kliniki policji politycznej, gdyż na skutek bicia straciła dziecko, którego się spodziewała, i zaczęła się wykrwawiać.

- Nieważne, kiedyś będę miała drugie - powiedziała Albie po powrocie do celi.

Tej nocy Alba usłyszała po raz pierwszy, że Ana płacze zakrywając twarz ręcznikiem, by stłumić rozpacz. Podeszła do niej, objęła, otarła łzy, powiedziała wszystkie czułe słowa, jakie mogła sobie przypomnieć, lecz tej nocy Any Diaz nie można było pocieszyć, toteż Alba ograniczyła się do ukołysania jej w ramionach i nucenia jak niemowlęciu; chcąc jej ulżyć, gotowa była wziąć na swoje barki całą tę straszną boleść, która ogarnęła Anę. Poranek zaskoczył je skulone jak dwa zwierzątka. W ciągu dnia czekały w napięciu na chwilę, w której długim szeregiem prowadzono mężczyzn do ubikacji. Szli pod uzbrojoną strażą z zawiązanymi oczami i aby się nie zgubić, każdy trzymał rękę na ramieniu idącego przed nim. Wśród nich był Andres.

Oglądały ich przez maleńkie zakratowane okno celi; byli blisko, niemal w zasięgu ręki. Ilekroć przechodzili, Ana i Alba śpiewały z rozpaczliwą siłą, a wtedy z innych cel również rozlegały się śpiewy kobiet. Więźniowie prostowali głowy i ramiona, patrzyli na nie, a Andres się uśmiechał. Miał na sobie podartą koszulę, poplamioną zaschniętą krwią.

Jeden ze strażników wzruszył się hymnem kobiet. Pewnej nocy przyniósł im trzy goździki w słoiku z wodą, aby udekorowały okno. Innym razem powiedział Anie Diaz, że szuka ochotniczki, która uprałaby odzież jednego z więźniów i posprzątała w jego celi. Zaprowadził ją do Andresa i pozwolił, by przez kilka minut zostali sami. Ana Diaz wróciła jak odmieniona i Alba nie odważyła się odezwać, by nie płoszyć szczęścia.

Pewnego dnia pułkownik Garcia, ku własnemu zaskoczeniu, zaczął pieścić Albę jak człowiek zakochany i opowiadać o dzieciństwie na wsi, kiedy to widywał ją z daleka, jak spacerowała z dziadkiem za rękę w krochmalonych fartuszkach i z warkoczami o zielonym odcieniu, podczas gdy on, bosy, brodząc w błocie, przysięgał, że pewnego dnia będzie musiała zapłacić za swoją arogancję i że zemści się za przeklęty los bękarta, który mu przypadł. Alba, sztywna i nieobecna, naga i drżąca z obrzydzenia i zimna, nie słuchała go ani nie czuła, ale ta rysa na pragnieniu udręczenia jej była dla pułkownika sygnałem alarmowym. Rozkazał umieścić Albę w „psiej budzie” i wściekły postanowił o niej zapomnieć.

„Psia buda” była małą celą, hermetyczną jak grób, pozbawioną dopływu powietrza, ciemną i lodowato zimną. Ogółem było sześć takich cel, które służyły za karcery; urządzono je w pustym zbiorniku na wodę. Wsadzano do nich na dość krótko, ponieważ nikt nie wytrzymywał tam dłużej niż parę dni, po czym zaczynał mówić od rzeczy, tracił poczucie rzeczywistości i upływu czasu, zapominał znaczenia słów lub po prostu umierał. Początkowo Alba, skulona w swojej mogile, nie mogąc usiąść ani przeciągnąć się mimo niewielkiego wzrostu, broniła się przed obłędem. W samotności zrozumiała, jak bardzo potrzebowała Any Diaz. Wydawało się jej, że słyszy nieuchwytne, dalekie stukania, jak gdyby z innych cel nadawano do niej alfabetem Morse’a, ale szybko przestała zwracać na to uwagę, ponieważ zdała sobie sprawę, że wszelka próba nawiązania łączności byłaby bezcelowa. Skapitulowała, zdecydowana raz na zawsze położyć kres katuszom przestała jeść i tylko czasem, ulegając własnej słabości, piła łyk wody. Starała się nie oddychać, nie ruszać i z niecierpliwością czekała na śmierć. Trwało to bardzo długo. Gdy już niemal osiągnęła cel, pojawiła się babka Clara, którą tyle razy wzywała prosząc, by pomogła jej umrzeć, i powiedziała, że łaską nie jest śmierć, gdyż tak czy inaczej jest ona nieunikniona, lecz przeżycie, które jest cudem. Ujrzała ją taką, jaką widziała zawsze w dzieciństwie - w białym lnianym szlafroku, zimowych rękawiczkach, z pełnym słodyczy bezzębnym uśmiechem i figlarnym błyskiem orzechowych oczu. Clara wpadła na zbawienny pomysł, by Alba pisała w myślach, bez ołówka i papieru, i zapewniła w ten sposób zajęcie umysłowi, uciekła z „psiej budy” i żyła. Zasugerowała ponadto, by spisała świadectwo, które pewnego dnia pozwoli ujrzeć światło dzienne strasznej tajemnicy, jaką posiadła - tak by świat dowiedział się o horrorze dziejącym się równolegle do spokojnej i układnej egzystencji tych, którzy nie chcą wiedzieć, tych, którzy mogą się łudzić, że życie toczy się normalnie, tych, którzy zechcą zaprzeczać, że płynęli tratwą po morzu lamentów, wbrew oczywistym faktom nie widząc, że o kilka przecznic od miejsc ich szczęśliwego żywota inni walczą o życie lub umierają w ciemnicy.

„Mamy wiele do zrobienia, więc przestań litować się nad sobą, napij się i zacznij pisać”, powiedziała wnuczce, zanim zniknęła, tak jak się pojawiła.

Alba starała się być posłuszna babce, ale gdy tylko zaczęła pisać w myślach, „psia buda” wypełniła się osobnikami z jej opowieści, którzy weszli rozpychając się i spowili ją swoimi anegdotami, wadami i zaletami, przytłoczyli dokumentami, na które się powoływali, niszczyli jej świadectwo, zadręczali, stawiali wymagania, popędzali, a ona notowała pospiesznie, zrozpaczona, bo gdy zaczynała zapisywać następną stronę, poprzednia się zamazywała. Pisanie w myślach pochłonęło ją całkowicie. Początkowo łatwo gubiła wątek i w miarę jak przypominała sobie o jednych faktach, zapominała o innych. Najmniejsze roztargnienie lub odrobina strachu czy bólu gmatwały opowieść. Potem jednak znalazła klucz, który pozwalał przypominać sobie wszystko po kolei, a wtedy pogrążyła się w swojej opowieści tak dogłębnie, że przestała jeść, drapać się, wąchać, skarżyć i zaczęła przezwyciężać po kolei swoje niezliczone cierpienia.

Rozeszła się pogłoska, że kona. Strażnicy otworzyli „psią budę” i wyciągnęli ją bez trudu, gdyż była bardzo lekka. Ponownie zanieśli Albę przed oblicze pułkownika Garcii, któremu w tych dniach wróciło uczucie nienawiści, ale go nie poznała. Była poza zasięgiem jego władzy.

Z zewnątrz hotel „Krzysztof Kolumb” miał ten sam nieciekawy wygląd szkoły podstawowej, który zachowałem w pamięci. Nie pamiętałem, ile lat upłynęło od czasu, gdy byłem tu po raz ostatni, i usiłowałem się łudzić, że na spotkanie wyjdzie mi ten sam co wtedy Mustafa, niebieski Murzyn ubrany jak orientalna zjawa, z podwójnym rzędem ołowianych zębów i kurtuazją wezyra - jedyny prawdziwy Murzyn w kraju, wszyscy inni byli malowani, jak zapewniała Transito Soto. Lecz tak się nie stało. Portier zaprowadził mnie do bardzo małego gabinetu, wskazał krzesło i kazał poczekać. Po chwili, zamiast spektakularnego Mustafy, pojawiła się dama o smętnym wyglądzie i manierach prowincjonalnej ciotki, odziana w błękitny uniform z białym wykrochmalonym kołnierzykiem; wzdrygnęła się lekko na widok bezradnego starca w mojej osobie. W ręku miała różę.

- Szanowny pan przyszedł sam? - zapytała.

- Oczywiście, że przyszedłem sam! - zawołałem. Dama wręczyła mi różę i zapytała, który z pokoi preferuję.

- Wszystko mi jedno - odparłem zaskoczony.

- Wolne są: Stajnia, Świątynia i Tysiąc i Jedna Noc. Który pan sobie życzy?

- Tysiąc i Jedna Noc - wybrałem na chybił trafił.

Poprowadziła mnie długim korytarzem oznaczonym zielonymi światłami i czerwonymi strzałkami. Z trudem nadążałem za nią, podpierając się laską i powłócząc nogami. Znaleźliśmy się na małym patio, na którym wznosił się miniaturowy meczet z absurdalnymi ostrołukami z kolorowych szkieł.

- To tutaj. Jeśli życzy pan sobie zamówić coś do picia, to proszę uczynić to przez telefon - wyjaśniła.

- Chcę porozmawiać z Transito Soto. Po to przyszedłem - powiedziałem.

- Przykro mi, ale pani nie przyjmuje osób prywatnych. Tylko dostawców.

- Muszę z nią porozmawiać! Proszę jej powiedzieć, że jestem senator Trueba. Ona mnie zna.

- Nikogo nie przyjmuje, już panu powiedziałam - odrzekła krzyżując ręce na piersi.

Podniosłem laskę i zagroziłem, że jeśli Transito Soto nie zjawi się osobiście w ciągu dziesięciu minut, potłukę szkła i całą rupieciarnię, jaka znajduje się w tej puszce Pandory.

Umundurowana dama cofnęła się przestraszona. Otworzyłem drzwi meczetu i znalazłem się w tandetnej Alhambrze. Krótkie schody z kafelków, pokryte fałszywymi dywanami perskimi, prowadziły do sześciokątnej komnaty z kopułą na dachu, w której ktoś umieścił wszystko, co w jego mniemaniu mieściło się w haremie w Arabii, w której nigdy nie był: duże poduszki adamaszkowe, szklane kadzielnice, klosze i wszelkiego rodzaju drobiazgi z bazaru. Między kolumnami, które mnożyły się w nieskończoność na skutek przemyślnego rozstawienia zwierciadeł, ujrzałem większą od sypialni łazienkę wyłożoną niebieskimi kafelkami, z wanną, w której - jak oceniłem - mogła wykąpać się krowa, a tym bardziej figlować dwoje kochanków. To wszystko nie przypominało w niczym „Krzysztofa Kolumba", którego znałem. Usiadłem mozolnie na okrągłym łóżku i nagle poczułem się bardzo zmęczony. Bolały mnie stare kości. Podniosłem wzrok i zwierciadło na suficie przekazało mi wizerunek biedaka, który zmalał na starość, ze smutnym, pokrytym zmarszczkami goryczy obliczem biblijnego patriarchy i resztkami białej grzywy. „Jakże się zestarzałem!" - westchnąłem.

Transito Soto weszła bez pukania.

- Cieszę się, że widzę pana dziedzica - pozdrowiła mnie tak jak zawsze.

Była teraz dojrzałą szczupłą damą z groźnym kokiem; wystrojona w czarną wełnianą suknię, z dwoma sznurkami pysznych pereł na szyi, majestatyczna i pogodna, wyglądała raczej na pianistkę niż właścicielkę domu publicznego. Z trudem skojarzyłem ją z kobietą z wężem wytatuowanym wokół pępka. Wstałem, żeby ją powitać, i nie potrafiłem zwrócić się do niej w drugiej osobie.

- Bardzo dobrze pani wygląda, Transito - powiedziałem; moim zdaniem miała ponad sześćdziesiąt pięć lat.

- Powiodło mi się, proszę pana. Czy pamięta pan, że gdyśmy się poznali, powiedziałam, iż kiedyś będę bogata? - odparła z uśmiechem.

- Cieszę się, że się pani powiodło.

Usiedliśmy obok siebie na okrągłym łóżku. Transito nalała mnie i sobie koniaku i opowiedziała, że spółdzielnia kurew i pedałów była świetnym interesem przez dziesięć długich lat, lecz czasy się zmieniły i trzeba było zmienić profil, gdyż z winy swobody obyczajów, wolnej miłości, pigułki i innych nowinek nikt już z wyjątkiem marynarzy i starców nie potrzebuje prostytutek. „Przyzwoite dziewczyny idą do łóżka

za darmo, więc proszę sobie wyobrazić konkurencję", mówiła. Wytłumaczyła, że spółdzielnia zaczęła bankrutować i wspólniczki musiały podjąć się innych, lepiej płatnych zajęć i nawet Mustafa wrócił do swojego kraju. Wpadła wtedy na pomysł urządzenia domu schadzek - miłego miejsca, w którym pary mogłyby uprawiać potajemnie miłość, a mężczyzna nie wstydziłby się sprowadzić narzeczonej. Nie ma tu żadnych kobiet, to klient przychodzi z nimi. Sama udekorowała hotel - zgodnie z porywami własnej fantazji i biorąc pod uwagę gusty klienteli

- i tak oto, dzięki handlowej wizji, która skłoniła ją do stworzenia innego nastroju w każdym będącym do dyspozycji zakątku, hotel „Krzysztof Kolumb" stał się rajem dla zagubionych dusz i przelotnych kochanków. Transito Soto urządziła salony z wyścielanymi meblami francuskimi, żłoby ze świeżym sianem i tekturowymi końmi, które obserwowały kochanków nieruchomymi oczyma z malowanego szkła, przedhistoryczne pieczary ze stalaktytami i telefonami obszytymi skórą pumy.

- Ponieważ nie przyszedł pan, żeby się kochać, porozmawiamy w moim biurze, a ten pokój zwolnimy dla klienteli - rzekła Transito Soto.

Po drodze opowiedziała, że po zamachu stanu policja polityczna parokrotnie przeprowadzała w hotelu rewizje, ale ilekroć wyciągała pary z łóżek i spędzała je do głównego salonu, tylekroć okazywało się, że wśród klientów jest jeden czy drugi generał, toteż w końcu przestała im dokuczać. Transito Soto miała bardzo dobre stosunki z nowym rządem, podobnie jak ze wszystkimi poprzednimi. Powiedziała, że „Krzysztof Kolumb" jest kwitnącym interesem i że co roku, zgodnie z panującą modą, odnawia jakieś dekoracje, zamienia obozy rozbitków na wyspach Polinezji na surowe krużganki klasztorne a barokowe kołyski na maszyny do zadawania tortur; wszystko to udało się urządzić w budynku stosunkowo normalnych rozmiarów manipulując lustrami i światłami, które pomnażają przestrzeń, oszukują klimat, stwarzają poczucie nieskończoności i zatrzymują czas.

Weszliśmy do biura urządzonego jak kabina pilota, z którego Transito Soto zarządzała swoją niezwykłą instytucją z wprawą bankiera. Powiedziała mi, ile pierze się prześcieradeł, ile zużywa się papieru toaletowego, ile spożywa się alkoholu, ile gotuje się codziennie jaj przepiórczych - to afrodyzjaki - jak licznego potrzeba personelu i ile wynosi rachunek za światło, wodę i telefon, by mógł pływać ten ogromny krążownik zakazanych miłości.

- A teraz proszę mi powiedzieć, co mogę dla pana zrobić - rzekła w końcu Transito Soto, sadowiąc się w fotelu lotniczym i zabawiając perłami. - Przypuszczam, że chce pan, bym się odwdzięczyła za uprzejmość, którą wyświadczył mi pan pół wieku temu. Czyż nie tak?

Wtedy ja, który czekałem, żeby zapytała mnie o to, odkręciłem kurek z trwogą i opowiedziałem jej o wszystkim od początku do końca, niczego nie przemilczając i nie przerywając ani na chwilę. Powiedziałem, że Alba jest moją jedyną wnuczką, że byłem coraz bardziej samotny na tym świecie, że skurczyło się moje ciało i zmalała dusza, tak jak przepowiedziała to Ferula, gdy mnie przeklęła, i że pozostaje mi już tylko umrzeć jak pies, że ta wnuczka z zielonymi włosami jest jedyną istotą, która mi pozostała i na której naprawdę mi zależy, lecz niestety okazała się idealistką, nieszczęściem w rodzinie, gdyż jest jedną z tych osób, które muszą przysparzać sobie kłopotów i przyprawiać najbliższych o cierpienia, przyszło jej na myśl

przerzucać do ambasad ludzi, którzy się ukrywają, robiła to bezmyślnie, jestem pewien, że nie zdawała sobie sprawy, iż kraj jest w stanie wojny, już nie wiadomo czy z międzynarodowym komunizmem, czy z własnym narodem, ale tak czy inaczej w stanie wojny, i że takie czyny są karalne, ale Alba buja w obłokach i nie jest świadoma niebezpieczeństwa, nie robi tego z niegodziwości, przeciwnie, z dobrego serca, podobnie jak babka, moja Clara jasnowidząca, która za moimi plecami w opuszczonych pokojach ciągle pomaga biednym, i każdemu, kto przychodzi i opowiada, że jest prześladowany, Alba udziela pomocy sama się narażając, nawet gdy jest to ktoś zupełnie obcy, mówiłem jej, ostrzegałem wielokrotnie, że mogą zastawić na nią pułapkę i któregoś dnia okaże się, że rzekomy marksista jest agentem policji politycznej, ale puszczała to mimo uszu, nigdy mnie nie słuchała, jest bardziej uparta niż ja, ale mniejsza o to, zapewnienie od czasu do czasu azylu jakiemuś nieszczęśnikowi nie jest przestępstwem, nie jest czymś tak poważnym, żeby uzasadniało aresztowanie i ignorowanie faktu, że jest moją wnuczką, wnuczką senatora republiki, wybitnego działacza partii konserwatywnej, nie mogą tak postępować z członkiem mojej rodziny, w moim własnym domu, bo w takim razie, co może stać się z innymi, jeśli ktoś taki może zostać uwięziony, to znaczy, że nikt nie jest bezpieczny, po co człowiek zasiada przez dwadzieścia lat w Kongresie i jest tak ustosunkowany jak ja, znam wszystkich w tym kraju, przynajmniej wszystkie ważne osobistości, nawet generała Hurtado, który jest moim przyjacielem, ale w tej sprawie do niczego to się nie przydało, nawet kardynał nie mógł mi pomóc w ustaleniu miejsca pobytu wnuczki, nie może tak być, żeby zniknęła jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, żeby zabrano ją w nocy i przepadła bez wieści, szukam jej od miesiąca i zaczynam wariować, to są sprawy, które dyskredytują juntę wojskową w oczach zagranicy, pozwalają Narodom Zjednoczonym przypieprzać się w obronie praw człowieka, ja początkowo nie chciałem słuchać o zabitych, torturowanych, zaginionych, ale teraz nie mogę już dłużej uważać, że są to wymysły komunistów, jeśli nawet sami gringos, którzy jako pierwsi poparli wojskowych i wysłali swoich pilotów, żeby zbombardowali Pałac Prezydencki, są oburzeni z powodu masakry, a przecież nie chodzi o to, bym był przeciwnikiem represji, rozumiem, że na początku trzeba działać stanowczo, by zapewnić porządek, ale przegięli pałę, przesadzają i pod pretekstem bajek o bezpieczeństwie wewnętrznym i konieczności wyeliminowania wrogów ideologicznych zabijają wszystkich, nikt nie może godzić się na to, nawet ja sam, który jako pierwszy obrzucałem kadetów kurzym pierzem i sprzyjałem zamachowi stanu, nim komukolwiek przyszło to do głowy, jako pierwszy oklaskiwałem zamach i byłem obecny podczas Te Deum w katedrze, i właśnie dlatego nie mogę zgodzić się, żeby takie rzeczy działy się w mojej ojczyźnie, żeby znikali ludzie, żeby moją wnuczkę siłą zabierano z domu i żebym ja nie mógł temu przeszkodzić, tu nigdy nie zdarzały się takie rzeczy, dlatego, właśnie dlatego musiałem porozmawiać z panią, Transito, przed pięćdziesięciu laty, gdy pani była rachityczną dziewczynką w domu „Pod Czerwonym Lampionem”, nie przyszło-by mi do głowy, że pewnego dnia będę musiał błagać panią na kolanach o przysługę, proszę pomóc mi w odnalezieniu wnuczki, pozwalam sobie prosić panią o to, ponieważ wiem, że pani ma dobre stosunki z rządem, mówiono mi o pani, jestem pewien, że nikt nie zna lepiej ważnych osobistości w siłach zbrojnych niż pani, wiem, że pani urządza dla nich zabawy i może dotrzeć tam, dokąd ja nigdy nie będę mógł dotrzeć, dlatego proszę, żeby pani uczyniła coś dla mojej wnuczki, nim będzie za późno, ponieważ nie śpię od tygodni, obszedłem wszystkie urzędy, wszystkie ministerstwa, wszystkich starych przyjaciół i nikt nie może mi pomóc, nie chcą mnie już przyjmować, mnie, człowieka, który tym samym ludziom wyświadczył tyle

przysług, i każą mi godzinami przesiadywać w poczekalniach, proszę, Transito, niech pani zażąda ode mnie, co zechce, jestem jeszcze bogatym człowiekiem, chociaż w okresie komunizmu miałem kłopoty, wywłaszczono mnie, pani niewątpliwie słyszała o tym, na pewno widziała w telewizji i czytała w prasie, to był skandal, ciemni chłopi pozjadali byki rozpłodowe i pozaprzęgali moje klacze wyścigowe do pługa i w ciągu niespełna roku majątek Las Tres Marias zamienił się w ruinę, ale teraz wypełniłem go traktorami i ponownie stawiam na nogi, teraz, gdy jestem stary, ale jeszcze jary, czynię z nim to samo, co uczyniłem już raz, gdy byłem młody, podczas gdy ci nieszczęśnicy, którzy mieli tytuły własności do mojego majątku, umierają z głodu jak banda żebraków, szukając jakiejś nędznej roboty, żeby mieć co włożyć do gęby, nieszczęśnicy, oni nie byli winni, pozwolili się oszukać tej przeklętej reformie rolnej, w głębi duszy wybaczyłem im i chciałbym, żeby wrócili do Las Tres Marias, nawet dałem ogłoszenia w gazetach, któregoś dnia wrócą i nie będę miał innego wyjścia, jak wyciągnąć do nich rękę, oni są jak dzieci, no, ale nie przyszedłem do pani, Transito, by mówić o tym, nie chcę zabierać pani czasu, ważne jest to, że mam się dobrze, moje interesy idą rufą do wiatru, toteż mogę pani dać to, czego zażąda, cokolwiek, byleby tylko pani odnalazła moją wnuczkę Albę, nim jakiś szaleniec przyśle mi następne odcięte palce lub zacznie przysyłać odcięte uszy i nim oszaleję lub dostanę zawału serca, niech pani mi wybaczy, że tak się zachowuję, drżą mi ręce, jestem bardzo zdenerwowany, nie umiem wytłumaczyć, co się stało, dostałem pocztą paczkę, w środku były tylko trzy ludzkie palce, zwyczajnie amputowane, makabryczny żart, który wywołuje we mnie pewne wspomnienia, ale te wspomnienia nie mają nic wspólnego z Albą, wtedy wnuczki nie było jeszcze na świecie, mam niewątpliwie wielu wrogów, każdy polityk ma wrogów, nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby okazało się, że jakiś anormalny osobnik ma ochotę dokuczyć mi przysyłając pocztą palce akurat wtedy, gdy jestem zrozpaczony aresztowaniem Alby, gdyż pragnie, żeby przyszły mi do głowy straszne myśli, gdyby nie to, że jestem u kresu sił, że wyczerpałem wszystkie możliwości, nie przychodziłbym pani niepokoić, proszę, Transito, w imię naszej starej przyjaźni, o litość nade mną, jestem starym, załamanym człowiekiem, niech pani się zlituje i odnajdzie moją wnuczkę Albę, nim zaczną przysyłać mi ją w kawałkach pocztą - szlochałem.

Transito Soto osiągnęła pozycję, jaką posiada, między innymi dlatego, że potrafi spłacać zaciągnięte długi. Przypuszczam, że wykorzystała swoją wiedzę o najskrytszych stronach osobowości mężczyzn będących u władzy, by spłacić mi pięćdziesiąt pesos, które kiedyś jej pożyczyłem. Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie.

- Tu Transito Soto. Spełniłam pańską prośbę - powiedziała.

EPILOG

Wczoraj wieczorem umarł dziadek. Wbrew swoim obawom nie zdechł jak pies, lecz umarł spokojnie w moich ramionach, myląc mnie z Clarą, a czasami z Rosą, bez boleści i trwogi, świadomy i pogodny, z jaśniejszym niż kiedykolwiek umysłem i szczęśliwy. Leży teraz na żaglowcu dryfującym na cichych wodach, uśmiechnięty i spokojny, podczas gdy ja piszę na stole z jasnego drewna, który należał do babki. Rozsunęłam zasłony z błękitnego jedwabiu, by do pokoju zawitało światło poranka i wniosło do niego radosny nastrój. W starej klatce przy oknie śpiewa nowy kanarek, a na środku pokoju spoglądają na mnie szklane oczy Barrabasa. Dziadek opowiedział mi, jak Clara zemdlała w dniu, w którym - pragnąc sprawić jej przyjemność - wyścielił

podłogę skórą tego zwierza. Uśmialiśmy się do łez i postanowiliśmy odszukać w piwnicy resztki biednego Barrabasa - mimo upływu czasu i zaniedbania nic nie stracił z pychy, którą tchnęło jego nieokreślonej budowy ciało - i ułożyć tam, gdzie pół wieku temu położył je dziadek składając hołd kobiecie, którą najbardziej kochał.

- Niech leży tam, gdzie zawsze powinien był leżeć - rzekł.

Pewnego słonecznego zimowego poranka przyjechałam do domu na dwukołowym wózku ciągnionym przez chudego konia. Ulica z podwójnym rzędem stuletnich kasztanów i pańskimi willami nie stanowiła odpowiedniej scenerii dla tego skromnego pojazdu, ale gdy zatrzymał się przed domem dziadka, pasował bardzo dobrze do jego stylu. Wielki dom narożny posmutniał i postarzał się jeszcze bardziej, a do tego wyglądał zgoła absurdalnie z powodu swoich dziwactw architektonicznych, pretensji do stylu francuskiego i gęsto pokrywającego go bluszczu. Ogród był zupełnie zarośnięty, a prawie wszystkie furtki wypadały z zawiasów. Brama, jak zwykle, stała otworem. Zadzwoniłam i po chwili usłyszałam kogoś nadchodzącego w espadrylach; otworzyła mi nieznajoma służąca. Popatrzyła na mnie nie wiedząc, kto zacz, a ja poczułam w nozdrzach cudowny zapach drewna i zamknięcia, tak charakterystyczny dla domu, w którym się urodziłam. W oczach zebrały mi się łzy. Pobiegłam do biblioteki mając przeczucie, że dziadek czeka na mnie tam, gdzie zawsze siadywał; był tam rzeczywiście, skulony w fotelu. Zaskoczyło mnie, że jest aż tak bardzo stary, mały i drżący i że z dawnych czasów pozostała mu tylko biała lwia grzywa i ciężka srebrna laska. Długo ściskaliśmy się bardzo mocno szepcząc dziadku, Albo, Albo, dziadku, wycałowaliśmy się i gdy zobaczył moją dłoń, zaczął płakać i przeklinać i tłuc laską meble, jak czynił to ongiś, a ja śmiałam się, gdyż okazało się, że nie jest tak stary i zużyty, jak to wydało mi się w pierwszej chwili.

Dziadek chciał, żebyśmy jeszcze tego samego dnia wyjechali za granicę. Bał się o mnie. Lecz wytłumaczyłam mu, że nie mogę wyjechać, gdyż z dala od tej ziemi byłabym jak te biedne drzewka, które ścina się na Boże Narodzenie - bez korzeni utrzymują się przy życiu przez jakiś czas, po czym umierają.

- Nie jestem głupcem, Albo - rzekł, przyglądając mi się uważnie. - Prawdziwym powodem, dla którego chcesz zostać, jest Miguel, nieprawdaż?

Podskoczyłam. Nigdy nie mówiłam mu o Miguelu.

- Odkąd go poznałem, wiem, że nie zdołam wywieźć cię stąd, moje dziecko - powiedział ze smutkiem.

- Poznałeś go? On żyje, dziadku? - zapytałam szarpiąc go za ubranie. - żył w zeszłym tygodniu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni - odparł.

Powiedział, że po moim aresztowaniu Miguel zjawił się pewnej nocy w wielkim domu narożnym. Mało brakowało, a dziadek ze strachu dostałby apopleksji, ale w ciągu paru minut zrozumiał, że obaj mają wspólny cel: uwolnić mnie. Potem Miguel często przychodził, towarzyszył dziadkowi i połączyli swoje wysiłki, by mnie odnaleźć. To Miguel wpadł na pomysł, żeby pójść do Transito Soto; dziadkowi nigdy nie przyszłoby to do głowy.

- Niech pan mnie posłucha. Wiem, kto w tym kraju ma władzę. Moi ludzie przeniknęli wszędzie. Jeśli ktoś może w tej chwili pomóc Albie, to osobą tą jest Transito Soto - zapewnił.

- Jeśli uda nam się wyrwać ją ze szponów policji politycznej, synu, będzie musiała wyjechać. Wyjedźcie razem. Mogę zdobyć dla was listy żelazne, a pieniędzy wam nie braknie - zaproponował stary.

Lecz Miguel popatrzył nań jak na staruszka, któremu pomieszało się w głowie, i zaczął wyjaśniać, że ma do wykonania pewne zadania i nie może sobie pozwolić na ucieczkę za granicę.

- Musiałem pogodzić się z myślą, że tak czy inaczej zostaniesz tutaj - powiedział dziadek obejmując mnie.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim. Chcę poznać szczegóły.

Więc opowiedziałam. Po tym, jak moje ramię uległo zakażeniu, zabrano mnie do tajnej kliniki; zawożono tam więźniów, którzy nie powinni byli umrzeć. W klinice zajmował się mną wysoki, elegancki lekarz, który nienawidził mnie chyba tak samo jak pułkownik Garcia i odmawiał mi środków uśmierzających ból. Wykorzystywał każdy zabieg, by robić mi wykład o jego osobistej teorii na temat tego, jak należy skończyć z komunizmem w kraju i, jeśli to możliwe, na całym świecie. Lecz poza tym zostawiał mnie w spokoju. Po raz pierwszy od kilku tygodni miałam czystą pościel, dość jedzenia i naturalne światło. Opiekował się mną Rojas, pielęgniarz, mężczyzna masywny, o okrągłej twarzy, odziany w niebieski, zawsze brudny fartuch; miał bardzo dobry charakter. Karmił mnie łyżką, opowiadał bez końca o meczach piłki nożnej, rozgrywanych bardzo dawno temu przez drużyny, których nazw nigdy przedtem nie słyszałam, i zdobywał środki uśmierzające, które wstrzykiwał mi potajemnie, aż przerwał moje delirium. Rojas opiekował się niezliczonymi rzeszami nieszczęśników, które przechodziły przez tę klinikę. Przekonał się, że w większości nie byli to mordercy ani zdrajcy ojczyzny, toteż był dobrze nastawiony do więźniów. Często udawało mu się uzdrowić więźnia, po czym przywożono go ponownie. „To tak, jak opróżniać morze szuflą", mawiał ze smutkiem. Dowiedziałam się, że niektórzy prosili Rojasa, by pomógł im umrzeć, i sądzę, że przynajmniej w jednym przypadku spełnił prośbę. Rojas liczył dokładnie, ile osób przywożono i wywożono, pamiętał też dokładnie nazwiska, daty i okoliczności. Przysiągł mi, że nigdy nie słyszał o Miguelu, a to przywróciło mi odwagę, by żyć, choć czasami zapadałam się w czarną przepaść depresji i zaczynałam recytować swoją śpiewkę, że chcę umrzeć. Opowiedział mi o Amandzie. Aresztowano ją w tym samym czasie co mnie. Gdy przywieziono ją do Rojasa, nie mógł już nic zrobić dla niej. Zmarła nie wydawszy swojego brata - dotrzymując obietnicy, którą poczyniła przed laty, gdy po raz pierwszy zaprowadziła go do szkoły. Jedyną pociechą było to, że zmarła znacznie szybciej, niż tamci sobie tego życzyli, gdyż jej organizm był bardzo osłabiony wskutek zażywania narkotyków i bezgranicznej rozpaczy, w jaką popadła po śmierci Jaime. Rojas opiekował się mną, aż minęła gorączka, zaczęła goić się ręka i odzyskałam jasność umysłu; potem nie było już pretekstu, by mnie trzymać w klinice; nie oddano mnie jednak ponownie w ręce Estebana Garcii, czego tak się bałam. Myślę, że miała na to dobroczynny wpływ kobieta z naszyjnikiem z pereł, którą odwiedziliśmy z dziadkiem, dziękując za ocalenie mi życia. W nocy przyszło po mnie czterech mężczyzn. Rojas obudził mnie,

pomógł ubrać się i na pożegnanie życzył powodzenia. Pocałowałam go z wdzięczności.

- żegnaj, mała! Zmieniaj opatrunek, nie zamocz go, a jeśli wróci gorączka, to będzie znaczyło, że odnowiła się infekcja - powiedział w drzwiach.

Zaprowadzono mnie do wąskiej celi, w której spędziłam resztę nocy siedząc na krześle. Następnego dnia zabrano mnie do obozu koncentracyjnego dla kobiet. Nigdy nie zapomnę chwili, w której zdjęto mi z oczu bandaż i ujrzałam kwadratowy, oświetlony dziedziniec, a wokół kobiety śpiewające na moją cześć Hymn Radości. Była wśród nich moja przyjaciółka Ana Diaz, która podbiegła, żeby mnie uściskać. Szybko ułożyły mnie na pryczy i zapoznały z regułami wspólnoty i moimi zadaniami.

- Dopóki nie wyzdrowiejesz, nie musisz prać ani szyć, ale będziesz się opiekować dziećmi - postanowiły.

Dotąd jakoś wytrzymywałam piekło, lecz gdy poczułam, że jestem wśród przyjaznych mi ludzi, załamałam się. Najdrobniejsze czułe słowo sprawiało, że płakałam, po nocach leżałam z otwartymi w ciemności oczami wśród kobiet, które na zmianę czuwały przy mnie i nigdy nie zostawiały mnie samej. Pomagały, gdy dręczyły mnie złe wspomnienia, gdy przypominał mi się pułkownik Garcia i trzęsłam się ze strachu lub gdy szlochałam nie mogąc uwolnić się od myśli o Miguelu.

- Nie myśl o nim - nalegały. - Nie należy myśleć o ukochanych osobach ani o świecie za murami. To jedyny sposób, żeby przeżyć.

Ana Diaz zdobyła zeszyt szkolny, który mi podarowała.

- Pisz, bo może w ten sposób uwolnisz się od tego, co gnije w tobie, w końcu przecież wyzdrowiejesz, będziesz z nami śpiewać i pomożesz nam szyć - powiedziała.

Pokazałam dłoń i pokręciłam głową, ale wsadziła mi ołówek w lewą rękę i powiedziała, żebym nią pisała. Powoli nauczyłam się pisać lewą ręką. Starałam się uporządkować opowieść, którą zaczęłam pisać w myślach w „psiej budzie". Koleżanki pomagały mi, gdy traciłam cierpliwość i ołówek drżał mi w ręce. Czasami rzucałam wszystko w kąt, ale po chwili podnosiłam zeszyt i gładziłam go ze skruchą, gdyż nie wiedziałam, kiedy uda mi się zdobyć następny. Innymi razy budziłam się rano smutna i pełna złych przeczuć, odwracałam się do ściany i nie chciałam z nikim rozmawiać, ale nie pozwalały mi na to, potrząsały mną, kazały pracować, opowiadać dzieciom bajki. Ostrożnie zmieniały mi opatrunek i otwierały przede mną zeszyt.

„Jeśli chcesz, opowiem ci o mojej sprawie, żebyś mogła ją opisać", mówiły. Żartowały, że sprawa każdej z nich jest taka sama i że lepiej pisać opowiadania o miłości, ponieważ wszyscy lubią czytać takie rzeczy. Zmuszały mnie też do jedzenia. Porcje dzieliły sprawiedliwie, według potrzeb, a mnie dawały trochę więcej, gdyż mówiły, że została ze mnie tylko skóra i kości i nawet mężczyzna w największej potrzebie nie zwróciłby na mnie uwagi. Wstrząsało to mną, ale Ana Diaz przypominała, że nie jestem jedyną zgwałconą kobietą i że o tym, podobnie jak o wielu innych sprawach, należy zapomnieć. Przez cały dzień kobiety śpiewały pełną piersią. Karabinierzy walili w ściany.

- Zamknijcie się, kurwy!

- To wy nas uciszcie, łajdaki, jeśli potraficie! Chodźcie, jeśli jesteście tacy odważni! - odpowiadały i śpiewały jeszcze głośniej, a tamci nie przychodzili, gdyż nauczyli się, że nie można uniknąć tego, co nieuniknione.

Starałam się pisać o drobnych wydarzeniach z życia kobiet, o tym, że aresztowano siostrę Prezydenta, że pozbawiono nas papierosów, że przywieziono nowe więźniarki, że Adriana miała znów atak i rzuciła się na swoje dzieci chcąc je zabić, musiałyśmy wyrwać je z jej rąk, usiadłam trzymając dzieci w ramionach i opowiadałam im bajki z magicznych książek pradziadka Marcosa, dopóki nie zasnęły, po czym rozmyślałam o losie małych istot, które rosną w takim miejscu z matką cierpiącą na zaburzenia umysłowe, pod opieką innych matek, które nie straciły głosu i śpiewają kołysanki ani nie zapomniały gestu pocieszenia, i zastanawiałam się - pisałam - w jaki sposób dzieci Adriany odwdzięczą się piosenką i gestem dzieciom lub wnukom tych kobiet.

W obozie koncentracyjnym byłam krótko. Pewnej środy po południu przyszli po mnie karabinierzy. Wpadłam na chwilę w panikę myśląc, że zawiozą mnie do Estebana Garcii, ale koleżanki powiedziały, że jeśli są w mundurach, to znaczy, że nie służą w policji politycznej, co mnie trochę uspokoiło. Zostawiłam im wełnianą kamizelkę, by ją popruły i zrobiły na drutach ciepłe odzienie dla dzieci Adriany, oraz wszystkie pieniądze, które miałam przy sobie, gdy mnie aresztowano, i które zwrócono mi ze skrupulatną uczciwością, cechującą wojskowych w sprawach bez znaczenia. Ukryłam zeszyt w spodniach i uścisnęłam wszystkie po kolei. Wychodząc słyszałam śpiew koleżanek, które starały się dodać mi otuchy, tak jak czyniły to wobec wszystkich przywożonych lub wywożonych więźniarek. Płakałam. Wśród nich byłam szczęśliwa.

Opowiedziałam dziadkowi, jak z zawiązanymi oczami wywieziono mnie po godzinie policyjnej. Trzęsłam się tak, że słyszałam, jak dzwonią mi zęby. Policjant siedzący ze mną w tyle samochodu włożył mi do ręki cukierka i na pocieszenie poklepał po ramieniu.

- Proszę się nie martwić. Nic złego się panience nie przytrafi. Wypuścimy panienkę i po paru godzinach będzie z rodziną - powiedział szeptem.

Zostawili mnie na śmietnisku koło osiedla La Misericordia. Ten sam, który dał mi cukierka, pomógł mi wysiąść.

- Niech panienka uważa na godzinę policyjną - szepnął mi do ucha. - Proszę nie ruszać się stąd aż do świtu.

Usłyszałam warkot silnika i pomyślałam, że mnie rozjadą, a następnie prasa poda, że zginęłam w wypadku drogowym, ale samochód odjechał. Przez pewien czas byłam sparaliżowana zimnem i strachem, lecz w końcu postanowiłam zdjąć z oczu bandaż i się rozejrzeć. Znajdowałam się w szczerym polu, na wysypisku śmieci, gdzie wśród odpadków uganiało się trochę szczurów. Świecił słabo księżyc i w jego świetle dojrzałam w oddali zarysy nędznego osiedla z tektury, blachy i desek. Zrozumiałam, że powinnam zastosować się do zalecenia policjanta i pozostać na miejscu do rana. Spędziłabym całą noc na wysypisku, gdyby z cienia nie wyszedł jakiś chłopiec, który

zaczął dawać mi znaki. Ponieważ nie miałam wiele do stracenia, ruszyłam w jego kierunku potykając się o śmiecie. Gdy podeszłam, zobaczyłam jego zatrwożoną twarzyczkę. Zarzucił mi na ramiona koc, wziął mnie za rękę i bez słowa zaprowadził do osiedla. Szliśmy pochyleni, omijając ulice i nieliczne palące się latarnie; zaszczekało kilka psów, ale nikt nie wyjrzał. Przeszliśmy przez podwórko, na którym jak proporce zwisało z drutu kilka sztuk odzieży, i weszliśmy do budy walącej się jak wszystkie inne na tym osiedlu. Wnętrze oświetlała smętnie jedna żarówka. Uderzyło mnie niebywałe ubóstwo: całe umeblowanie składało się z sosnowego stołu, dwóch topornych krzeseł i łóżka, w którym spało kilkoro stłoczonych dzieci. Na spotkanie wyszła niska ciemnoskóra kobieta; miała żylaki na nogach i oczy spowite siecią zmarszczek, które nie były jednak w stanie nadać jej starczego wyglądu. Uśmiechnęła się i dostrzegłam, że brakuje jej kilku zębów. Podeszła i poprawiła na mnie koc nagłym i nieśmiałym gestem zastępującym uścisk, na który się nie odważyła.

- Dam pani herbaty. Nie mam cukru, ale coś ciepłego dobrze pani zrobi.

Powiedziała, że usłyszeli budę policyjną - a wiedzą, co to znaczy, jeśli podczas godziny policyjnej krąży ona po tych zapadłych kątach. Odczekali, aż nabrali pewności, że odjechała, po czym dzieciak poszedł zobaczyć, co takiego zostawiła tam policja. Myśleli, że znajdą zwłoki.

- Czasami przyjeżdżają i wyrzucają tam zwłoki jakiegoś rozstrzelanego, żeby ludzie się ich bali.

Rozmawiałyśmy do rana. Była to jedna z tych spokojnych i praktycznych kobiet naszego kraju, które z każdym mężczyzną przechodzącym przez ich życie mają dziecko, a ponadto przygarniają dzieci porzucone przez innych, a także najuboższych krewnych i w ogóle każdego, kto potrzebuje matki, siostry, ciotki; są one filarem życia wielu innych ludzi, chowają dzieci, które też od nich odchodzą, a mężczyznom, którzy je opuszczają, nie czynią wyrzutów, gdyż mają inne, pilniejsze sprawy. Wydawała mi się taka sama jak wiele innych, które poznałam w stołówkach ludowych, w szpitalu wuja Jaime, w wikariacie, dokąd przychodziły pytać o zaginionych, w kostnicy, gdzie szukały zabitych. Powiedziałam, że udzielając mi pomocy wiele ryzykuje, a ona się uśmiechnęła. Wtedy zrozumiałam, że dni pułkownika Garcii i innych takich jak on są policzone, ponieważ nie udało im się zniszczyć ducha tych kobiet.

Rano zaprowadziła mnie do swego znajomego, który miał do wynajęcia dwukołowy wóz z koniem. Poprosiła, by zawiózł mnie do domu, i tak tu przyjechałam. Po drodze miałam okazję przyjrzeć się straszliwym kontrastom tego miasta: osiedlom bud ogrodzonych płotami po to, by stworzyć złudzenie, że nie istnieją, przeludnionemu szaremu śródmieściu i Dzielnicy Górnej z angielskimi ogrodami, parkami, szklanymi wieżowcami i jasnowłosymi dziećmi jeżdżącymi na rowerach. Nawet psy wydawały mi się tu szczęśliwe, wszędzie panował porządek, wszystko było czyste i spokojne solidnym spokojem sumień pozbawionych pamięci. Ta dzielnica to jakby inny kraj.

Dziadek słuchał mnie ze smutkiem. Walił się ostatecznie świat, który uważał za dobry.

- Ponieważ będziemy tu czekać na Miguela, zróbmy w domu trochę porządku - rzekł w końcu.

Tak też uczyniliśmy. Początkowo spędzaliśmy dzień w bibliotece, niespokojni, myśląc, że znów mogą mnie zabrać do Garcii, ale później uznaliśmy, że - jak mawiał wuj Nicolas - najgorzej jest bać się strachu i że należy zająć cały dom i zacząć normalne życie. Dziadek zaangażował firmę remontową, która odnowiła dom od dachu po piwnice; wypolerowano co trzeba, umyto okna, odmalowano ściany, zrobiono dezynfekcję, tak że dom znów stał się mieszkalny. Pół tuzina ogrodników i traktor usunęło chaszcze, przyniosło murawę zwiniętą jak dywan - niezwykły wynalazek gringos - i w ciągu niespełna tygodnia stanęły nawet wysokie brzozy, w fontannach popłynęła woda i znowu pojawiły się zuchwałe posągi bogów Olimpu, oczyszczone w końcu z ptasiej sraczki i wieloletniego zapuszczenia. Poszliśmy razem kupić ptaki do klatek, które stały puste od czasu, gdy otworzyła je babka przeczuwając, że umrze. Wstawiłam świeże kwiaty do wazonów, a na stole umieściłam półmiski z owocami, tak jak w czasach duchów; teraz w całym domu znów pachnie kwiatami i owocami. Potem, trzymając się pod ręce, obeszliśmy z dziadkiem dom; zatrzymywaliśmy się w każdym kącie, wspominaliśmy przeszłość i pozdrawialiśmy niewidzialne duchy z innych epok, które mimo zmiennych kolei losu trwają na posterunkach.

To dziadek wpadł na pomysł, byśmy spisali tę historię. - Dzięki temu, moje dziecko, zabierzesz ze sobą korzenie, jeśli pewnego dnia będziesz musiała stąd wyjechać - rzekł.

Z sekretnych i zapomnianych kątów wyciągnęliśmy stare albumy i mam tu, na stole babki, mnóstwo zdjęć: oto piękna Rosa obok wyblakłej kołyski, matka i Pedro Trzeci Garcia, gdy mieli cztery lata, karmią kukurydzą kury na podwórku w Las Tres Marias, dziadek, gdy był młody i mierzył metr osiemdziesiąt, niepodważalny dowód, że spełniło się przekleństwo Feruli i zmalał fizycznie, podobnie jak skurczyła mu się dusza, wujowie Jaime i Nicolas, jeden melancholijny i posępny, wielki i wrażliwy, drugi chudy i powabny, eteryczny i uśmiechnięty, a także Nana i pradziadkowie del Valle, zanim zginęli w wypadku - jednym słowem wszyscy, z wyjątkiem hrabiego de Satigny, po którym nie pozostał żaden ślad materialny i w którego istnienie zwątpiłam.

Zaczęłam pisać z pomocą dziadka, którego pamięć, mimo dziewięćdziesięciu lat, aż do ostatniej chwili pozostała nietknięta. Własnoręcznie napisał kilka stron i gdy uznał, że powiedział wszystko, położył się w łóżku Clary. Usiadłam obok, czekając razem z nim na śmierć, która nadeszła po cichu i zaskoczyła go podczas snu. Być może śniło mu się, że to żona gładzi jego rękę i całuje w czoło, ponieważ w ostatnich dniach nie opuszczała go ani na chwilę, chodziła za nim po domu, zaglądała mu przez ramię, gdy czytał w bibliotece, i szła z nim spać, kładąc mu na ramieniu swoją śliczną głowę z koroną kędziorów. Początkowo była tylko tajemniczym blaskiem, ale gdy dziadkowi przeszła raz na zawsze złość, która dręczyła go przez całe życie, stała się taka sama jak w najlepszych czasach - śmiała się, szczerząc wszystkie zęby i w przelocie mąciła spokój duchów. Ona też pomagała nam pisać i dzięki jej obecności Esteban Trueba umarł szczęśliwy, szepcząc jej imię - Claro, najjaśniejsza, jasnowidząca.

W „psiej budzie” napisałam w myślach, że pewnego dnia pokonany pułkownik Garcia będzie leżał u mych stóp i będę mogła pomścić wszystkich, którzy powinni zostać

pomszczeni. Teraz jednak wątpię w moją nienawiść. Wydaje mi się, że w ciągu paru tygodni, odkąd jestem w domu, uległa rozcieńczeniu i zatraciła wyraźne kontury. Podejrzewam, że to wszystko, co się wydarzyło, nie jest dziełem przypadku, lecz jest zgodne z moim przeznaczeniem, które zostało określone, nim się urodziłam, a Esteban Garcia stanowi jego część. Szkic ten jest toporny i niezdarny, ale nie ma w nim ani jednej zbędnej kreski. W dniu, w którym dziadek przewrócił w krzakach nad rzeką babkę Garcii, Panchę, dołożył jeszcze jedno ogniwo do łańcucha wydarzeń, które miały nastąpić. Potem wnuk zgwałconej kobiety zrobił to samo z wnuczką gwałciciela i być może za czterdzieści lat mój wnuk przewróci w krzakach nad rzeką jego wnuczkę, i ta historia bólu, krwi i miłości toczyć się będzie bez końca, przez wieki. W „psiej budzie" miałam wrażenie, że buduję układankę, w której każdemu elementowi przypada ściśle określone miejsce. Nim je ułożyłam, wydawały mi się niezrozumiałe, ale byłam pewna, że jeśli złożę całość, nada ona sens każdej cząstce i będzie harmonijna. Każdy element ma sam w sobie rację bytu, nawet pułkownik Garcia. W pewnych chwilach wydaje mi się, że już to kiedyś przeżyłam i napisałam te same słowa, lecz mam świadomość, że to nie ja - to inna kobieta zapisała je w swoich pamiętnikach, abym mogła z nich skorzystać. Piszę - napisała - bo pamięć jest ulotna, a żyje się bardzo krótko i wszystko dzieje się tak szybko, iż nie potrafimy dostrzec związku między wydarzeniami i ocenić konsekwencji czynów, wierzymy w fikcję czasu, w teraźniejszość, przeszłość i przyszłość, ale być może wszystko dzieje się jednocześnie, jak to mówiły trzy siostry Mora, które widziały w przestrzeni duchy wszystkich czasów. Dlatego babka Clara pisała pamiętniki: aby widzieć wydarzenia w ich realnym wymiarze i okpić złą pamięć. Teraz szukam w sobie nienawiści i nie mogę jej znaleźć. Czuję, że gaśnie, w miarę jak tłumaczę sobie istnienie pułkownika Garcii i jemu podobnych, jak staram się zrozumieć dziadka i dowiaduję się o wielu rzeczach z zeszytów Clary, z listów matki, z ksiąg prowadzonych w Las Tres Marias i z tylu innych dokumentów, które leżą teraz na stole, w zasięgu mojej ręki. Będzie mi bardzo trudno pomścić tych, którzy powinni być pomszczeni, ponieważ moja zemsta byłaby tylko kolejnym ogniwem bezlitosnego rytu. Chcę myśleć, że moim zawodem jest życie i że moją misją nie jest kultywowanie nienawiści, a jedynie zapisanie tych stron, gdy będę czekać na powrót Miguela, grzebać dziadka, który teraz leży obok w tym pokoju, spodziewać się lepszych czasów i nosić dziecko, które mam w brzuchu - córkę tylu gwałtów, a może córkę Miguela, lecz nade wszystko moją córkę.

Babka pisała pamiętniki przez pięćdziesiąt lat. Ukryte przy współudziale niektórych duchów, uratowały się cudem przed stosem hańby, na którym spłonęło tyle innych papierów rodzinnych. Leżą u moich stóp powiązane kolorowymi wstążkami, ułożone zgodnie z porządkiem rzeczy, a nie chronologią - tak jak je zostawiła. Pisała je po to, abym mogła teraz przypomnieć minione wydarzenia i przetrwać mój własny strach. Pierwszy pamiętnik to dwudziestokartkowy zeszyt szkolny, zapisany delikatną dziecięcą kaligrafią. Zaczyna się tak: „Barrabas przyjechał do nas drogą morską...".